

ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY SOWIECKIEJ

WE WŁASNYCH OCZACH

Aleksander SOŁŻENICYN

Włodimir MAKSIMOW

Aleksander JASZIN

Leonid STADNIUK

Fiodor ABRAMOW

Borys DIAKOW

Leonid SIOMIN

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

ⓧ (Z) II 745498

18

WE WŁASNYCH OCZACH

ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY SOWIECKIEJ

WE WŁASNYCH OCZACH

WE WŁASNYCH OCZACH

WSTĘP GUSTAWA KRZYWICKIEGO

Przekłady:

Józefa Łobodzkiego

Mieczysława

Kaczmierza Okulicza

INSTITUT LITTÉRAIRE DE FRANCE

PARYZ

41, avenue de la République
75011 PARIS

1967

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom XCII



IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et.-O.)

1965 H 1585/10

ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY SOWIECKIEJ

WE WŁASNYCH OCZACH

WSTĘP GUSTAWA HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

Przekłady:

Józefa Łobodowskiego

Zdzisława Miłoszewskiego

Kazimierza Okulicza

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603703



11 745.498



KSIĘGA KRZYWD

Enrico Emanuelli towarzyszył, jako wysłannik *Corriere della Sera*, delegacji włoskiej na niedawny kongres Europejskiej Wspólnoty Pisarzy w Leningradzie. W jednej z jego korespondencji czytamy: „Któregoś dnia siedziałem na sali kongresowej i słuchałem przemówienia starego powieściopisarza sowieckiego, biurokraty cięższego kalibru na odcinku wydawniczym. Obok mnie siedział pewien młody pisarz z Moskwy. Mówca zapewniał że nic go nie obchodzi Proust, Joyce i Kafka, że z zadowoleniem pełni swoje funkcje pisarskie w służbie ludu. Mój młody sąsiad usiłował szepnąć mi coś na ucho, a ponieważ go nie rozumiałem, wyrwał kartkę z mojego notesu i napisał na niej na wskos: „Niech go pan nie słucha. To wariat”. Emanuelli zetknął się również z młodymi czytelnikami sowieckimi. Oto zanotowane przezeń strzępy ich wypowiedzi: „Jest dla mnie rzeczą upokarzającą czytać przekład *Dzumu* Camusa w maszynopisie, który krąży wśród nas prawie potajemnie. Dlaczego nie pozwolą nam wydać Robbe-Grilleta i Nathalie Sarraute?”. „Odmawiają nam wciąż prawa przeczytania *Doktora Żiwago* Pasternaka. Kiedy go w końcu przeczytamy, nie wyda nam się może wcale taki piękny. Nie chodzi jednak o to czy jest piękny, czy nie. Ważna jest inna rzecz: Pasternak był człowiekiem uczciwym”.

Problem „ojców i dzieci”, negowany przez Chruszczowa w marcowym przemówieniu na „naradzie literatów i artystów”, występuje również w opowieści młodego prozaika sowieckiego Gładilina *Pierwszy dzień Nowego Roku* (*Junost*, luty 1963):

Syn:

„Jak mamy dalej żyć? Jak kontynuować dzieło naszych ojców, nie powtarzając ich omyłek? Następcw kultu jednostki nie naprawisz, ograniczając się tylko do usunięcia portretów i przemianowania ulic. Kult jednostki to inercja myślenia, to lęk przed samodzielnym myśleniem, to ma-

rzenie o spokoju i nienawiść do nowego. Nie chcemy być tłumem — „wszyscy, jak jeden mąż” — niemą figurą na szachownicy wielkiej polityki. Chcemy sami zrozumieć „co to takiego dobro, a co to takiego zło”. Nie chcemy być małymi śrubkami. Przecież komunizm zaczyna się wtedy, kiedy człowiek przestaje się czuć wyzutym z praw kółkiem wielkiej maszyny, kiedy uważa się za gospodarza wszystkiego i wie że mu wierzą i słuchają jego opinii, słuchają naprawdę. Chcemy żeby nam dowierzano, żeby nam dano prawo do poszukiwań”.

Ojciec:

„Byli też tak zwani wrogowie ludu. I wierzyliśmy, że istnieją. I wierzyliśmy, że kierownicy naszego przemysłu, zarządcy ogromnych krajów i okręgów, sprzedawali się za dwieście dolarów obcym wywiadowi. Myślę teraz często: dlaczego wielu starych bolszewików, ludzi zahartowanych w carskich więzieniach i na zesłaniu, przyznawało się do bezsensownych oskarżeń? Prócz wszystkich faktów, które są obecnie wyjaśniane, odgrywała według mnie rolę jedna okoliczność. Wiedzieli oni: im bardziej absurdalne będzie oskarżenie, tym szybciej w przyszłości powinna wyjść na jaw jego niedorzeczność. Można uwierzyć że stary bolszewik, w ogniu walki partyjnej, chciał usunąć Stalina ze stanowiska *gensęka*. Ale że tenże bolszewik, oprócz tego, w osiemnastym roku montował spiski, organizował morderstwa, podpalał składy, psuł instalacje, zatrąwał zboże, truł małe dzieci, wstępował równocześnie na służbę wywiadów angielskiego, amerykańskiego, francuskiego, niemieckiego, japońskiego, polskiego, brazylijskiego, perskiego i obiecywał oddać innym krajom Ukrainę, Białoruś, Krym, Kaukaz, Daleki Wschód — w to nie uwierzy dziś nawet sztabek trzeciej klasy. Według mnie, głównym dokumentem dla rehabilitacji wielu takich bolszewików jest wytoczone przeciw nim oskarżenie. A przez długi czas wierzyliśmy temu. Wierzyliśmy dlatego, że logika walki może rzeczywiście wprawić w trans wrogości. Rozumiem dlaczego dzisiaj młodzi chłopcy starają się wszystko sprawdzić we własnym doświadczeniu, obmacać i obejrzeć pod światło, ale oburza mnie gdy nieraz zrządzą: to złe, tamto złe. Gdybyśmy wówczas zwracali uwagę tylko na niedostatki! Nie mówię już o pierwszych latach po rewolucji, gdy miasta głodowały a wieś zapijała się samogonem. Ale przecież jeszcze w trzydziestym piątym roku nie można było w Moskwie wsiąść do tramwaju! No i co? Rzecz nie tylko w tym, że dziś wystrzeliwujemy sputniki. Nasz kraj stał się jednym z najpotężniejszych na świecie. Ot co jest ważne! Jakaśmy takie góry zwalili, to nie potrafimy wygładzić kolein na drogach?”.

Odwoływanie się (jak bezmyślne i toporne, niech osądzi czytelnik) do rosyjskiej dumy narodowej i mocarstwowego *gółowokrużenja* odnosi jednak niewielki skutek: syn zdaje się być bardziej zajęty malarstwem i nową miłością, niż retoryką „zwalania gór” i „wystrzeliwania sputników” za cenę nieuchronnych „omyłek” i „niedostatków”; odrzuca rolę pionka na „szachownicy wielkiej polityki”, „małej śrubki w maszynie”, domaga się „prawa do poszukiwań”, wierzy tylko własnym oczom, własnej inteligencji i dotykowi własnych rąk. Ma na sztandarze wypisaną nieufność do wszelkich sztandarów. Ociera się o programowy indyferentyzm jako instynktowną kurację psychologiczną na kłamstwo zaangażowania (nie wyzbywając się równocześnie podskórnego i

zamaskowanego idealizmu). Gdyby usłyszał słowo „służba”, odpowiedziałby zapewne jak jeden z autorów nielegalnego pisemka studenckiego *Phoenix*: „Służyć można tylko w cerkwiach i w koszarach”. Ogniu ideologiczne między generacjami obu pograniczy (zakłamania i odkłamania rewolucji) wygląda na bezprowrotnie strzaskane. W zebraniach półkonspiracyjnego kółka młodych literatów w Moskwie (wykrytego dzięki usłużnemu donosowi Putramenta, którego młodzi Rosjanie zaprosili lekkomyślnie do siebie jak pisarza polskiego, czyli *ex definitione* nonkonformistycznego...) brała udział córka marszałka Koniewa.

Ale nie zawsze siwizna pokrywa lata zamroczenia stalinizmem i uczestnictwa w zbrodni; znacznie częściej jest jedynym widocznym dla gołego oka śladem cierpień przeżytych podczas „zwalania gór”. Emanuelli opisuje swoje leningradzkie spotkanie z Olgą Bergholz. „Jej spojrzenie jest napięte i nerwowe, głos urywany, temu co mówi towarzyszą wciąż szybkie i krótkie wybuchy śmiechu, palce jej rąk splatają się co jakiś czas w niecierpliwym uścisku. Wiem że za Stalina przesiedziała osiem lat w więzieniu. Pytam dlaczego. Odpowiada: „Chcieli żebym obwiniła moich towarzyszy. Odmówiłam”. Jej męża wtrącono również do więzienia w okresie stalinizmu. Mówi: „Przysłali mi list z zawiadomieniem że zwariował, a potem drugi list z wiadomością o jego śmierci”. Wiem że miała trzech synów i że wszyscy trzej polegli w obronie Leningradu. Patrzę na nią myśląc że zablźniają się nawet najgłębsze rany, albo że udaje się zobojętnienie, i słucham tego co opowiada. Pisze pamiętniki. Mówiąc o tym, napęnia sobie bezustannie koniakiem dużą szklanę. „Tak — powtarza naraz, — piszę pamiętniki”.

Czy można wątpić co w głębi serca myślą tacy pisarze sowieccy starszego pokolenia? Czy trudno odgadnąć z jakimi uczuciami *także* oni słuchają przemówień „biurokratów cięższego kalibru”? Czy wolno brać za dobrą monetę, gdy *nawet* oni wygłaszają — ze strachu, lub z nadmiernej ostrożności która po ćwierćwieczu stalinizmu stała się niemal odruchem warunkowym — podobne przemówienia? Być może, pełny tekst pamiętników Olgi Bergholz nie ujrzy szybko światła dziennego. Ale setki takich niewydanych pamiętników nadają za kulisami ton dzisiejszej sytuacji literackiej w Rosji.

Ogniu męki ojców, nieznaney synom z bezpośredniego doświadczenia, jest bodaj główną psychologiczną więzią pokoleń w społeczeństwie sowieckim, które poddano elektroszokom XX i XXII zjazdu oraz „tajnego raportu” Chruszczowa. Pamiętam przejęcie, z jakim Andrej Wozniesiński opowiadał przed rokiem audytorium włoskiemu w Neapolu o *Dniu Iwana Deni-*

sowicza Solżenicyna. „To największe dzieło współczesnej literatury rosyjskiej!” — wykrzyknął. Po czym dodał: „Nie mamy nic przeciw kontroli partii i Nikity Sergiejewicza nad literaturą, jeśli takie utwory mogą być drukowane w naszych periodykach”.



W deklaracji młodego poety odczytujemy nadzieje, jakie pisarze sowieccy wiązali z polityką kulturalną Chruszczowa. Miał to być generalny obrachunek z przeszłością, od którego zaczyna się wszelkie oczyszczenie. W Rosji teki redakcyjne pękały od wciąż nowych skarg i oskarżeń wierszem i prozą. Zagranicą krążył od miasta do miasta z dobrą nowiną „cyrk Chruszczowa”: Erenburg, Niekrasow, Jewtuszenko, Wozniesienskij. Wyklęte raz na zawsze zdawały się czasy, kiedy na wieczorach poetyckich publiczność witała Pasternaka okrzykiem: *Sonet LXVI!*, chcąc usłyszeć w jego przekładzie słynny szekspirowski werset: *...And art made tongue-tied by authority.*

8 marca, w jednej z sal kremlofskich, Władza oznajmiła zwołanym literatom i artystom, że nie zamierza rozwiązać języka sztuce. Przemówienie Chruszczowa, humorystyczne jako wykład „zasad estetyki”¹, zawiera (prócz ataków *ad personam*) dość istotne ostrzeżenie:

„W tym miejscu uważamy za konieczne zwrócić uwagę wszystkich pracowników odcinka twórczego na pewne błędne tendencje w dziełach niektórych autorów. Te błędne tendencje wyrażają się głównie w jednostronnym skupieniu całej uwagi na bezprawiu, arbitralności i nadużyciach władzy. W samej rzeczy lata kultu jednostki przyniosły poważne następstwa. Nasza

1. I tak żenujące, że wbrew przyjętym dotąd zwyczajom komuniści włoscy, na przykład, nie ogłosili go w żadnym ze swoich licznych czasopism, a Togliatti wykpił je prawie w kilkakrotnych aluzjach. Na Zachodzie trzeba się teraz liczyć z opinią bezpartyjnych „sympatyków” wśród pisarzy, malarzy i muzyków z prawdziwego zdarzenia. Istnieją podstawy by sądzić, że Chruszczow był zaskoczony gwałtowną reakcją komunistów i filokomunistów włoskich i francuskich na przemówienie z 8 marca. Tym się zapewne tłumaczy ponowne i pośpieszne wyciągnięcie Erenburga z naftaliny podczas kongresu EW P w Leningradzie, jak również „pojednawcze” przyjęcie na Krymie dla wybranych luminary zjazdu, których po sutym obiedzie uruczono na deser autorską recytacją *Tiorkina na tantym świecie* Aleksandra Twardowskiego, poematu krążącego dotąd od 7 czy 8 lat tylko w odpisach. Wkrótce po próbie osłabienia efektu diatryby z 8 marca Tiorkin został też, jak wiadomo, przedstawiony jawnie czytelnikom sowieckim przez Adzubeja na łamach *Izwestji*: dowód, że w Rosji Chruszczowa, bardziej wrażliwej na reakcje zachodnioeuropejskich partii komunistycznych po awanturze chińskiej, naciski i alarmy z zewnątrz odnoszą jednak pewien skutek. Przemówienie Chruszczowa wydał we Włoszech... Silone w biblioteczkę Kongresu Wolności Kultury.

partia powiedziała o tym całą prawdę narodowi. Z drugiej strony trzeba wiedzieć i pamiętać, że lata te nie były dla społeczeństwa sowieckiego okresem zastoju, jak to sobie wyobrażają nasi przeciwnicy. Pod przewodem partii komunistycznej, pod sztandarami ideałów i wskazań wielkiego Lenina, nasz naród budował socjalizm i osiągnął swój cel. Dzięki wysiłkom partii i narodu Związek Radziecki przeobraził się w potężne państwo socjalistyczne, które stawiało czoło twardym próbom wojny i ukoronowało zwycięsko niespotykane dotychczas w historii bitwy całkowitym rozgromieniem hord faszystowskich (*Burnyje apłodismenty*). Oto dlaczego powiadamy że pisarze, którzy oceniają w sposób jak najbardziej jednostronny ten okres życia naszego narodu, nie postępują uczciwie przedstawiając prawie wszystkie wypadki w posępnym świetle i odmalowując je w czarnych barwach. Istnieją jeszcze pisarze, którzy wolą szukać materiału do swoich utworów na śmietnikach, i którzy utrzymują że jest to poprawna interpretacja życia narodu. Rzecznicy tego punktu widzenia uważają wszystkie dzieła odtwarzające dokonania i pozytywne zdobycze naszego narodu za produkty „lakiernictwa”. Nie możemy się zgodzić z takim poglądem. Wiemy dobrze że zdarzały się wypadki nadmiernego upiększania rzeczywistości w niektórych utworach, i że partia uznała to zjawisko za negatywne. Ale przecież nie wszystko było złe w tym okresie. W okresie budowy socjalizmu naród dał dowody heroizmu. Dlatego nie wolno obsmarowywać wszystkiego smołą. Zasługują na wymówkę ci, którzy przylepiają z upodobaniem etykietkę „lakierników” pisarzom i pracownikom sztuki odtwarzającym pozytywne strony naszego życia. Jakże zatem nazwać tych, którzy szukają w życiu tylko tego co złe i każdą rzecz odmalowują na czarno? Należy im chyba przykleić etykietkę smolarzy. To co piękne w życiu winno znaleźć godne odbicie w literaturze i w sztuce”.

Teorią „podwiązanego języka sztuki” można by nazwać tę próbę wyważenia złotego środka między „lakiernikami” i „smolarzami”. Nie o to jednak idzie, najłatwiej jest wyśmiać orację Chruszczowa i powiedzieć, że przejdzie on (jeśli mu się powinie noga) do historii komunizmu jako autor heretyckiego brewiarza estetyki z epoki Mao Tse-tunga. Sedno sprawy (czysto polityczne) polega na tym, że partia nie myśli wyrzec się pieczy nad granicami, jakie spadkobiercy Stalina wyznaczali rewizji przeszłości; i jakie jej, zależnie od okoliczności, wyznaczają dalej z zygzakowatą zmiennością ludzi schwytych we własny potrzask antystalinizmu. Że ta gra jest niebezpieczna, a szanse jej powodzenia dość iluzoryczne, zobaczymy niebawem. Chwilowo wystarczy ustalić dwa punkty, których przekroczenie naraża automatycznie każdego pisarza sowieckiego na miano „smolarza” i strąca go w „zewnątrzne ciemności”: nie wolno, w procesie wytoczonym „okresowi kultu jednostki”, implikować odpowiedzialności samego ustroju; i nie wolno ruszać epizodów, rzucających zbyt wyraźny cień na problem współodpowiedzialności głównych organizatorów „synodu z trupem”².

2. Odkąd zabalsamowaną mumię Stalina usunięto z mauzoleum na *Krasnoj Płoszczadi*, ta nazwa i zawarta w niej analogia historyczna powinny się przyjąć jako zwrot obiegowy na oznaczenie XXII zjazdu: w swojej

Kruchość tej formuły była widoczna już przed kilku laty. Inteligentniejsi czytelnicy sowieccy powieści Bondariewa *Cisza* nie mogli przypuszczalnie przełknąć gładko neokonformistycznego katechizmu, zaproponowanego na jej kartach. Czym był stalinizm? Przejściowym sezonem kanałii. Skąd tyle kanałii w jednym okresie historycznym? Daremne pytanie: nasza poprzednia odpowiedź załatwia wszystkie wasze wątpliwości. A może przypadkiem nie bez winy były także ustrój i partia? Wstyďte się i strzeżcie takich uogólnień! Kim były kanałie stalinowskie? Mętami, które należało usunąć. Święta powinność została spełniona? W sposób najbardziej rygorystyczny. Przez kogo? Przez ustrój i partię. Istniało niebezpieczeństwo recydywy sezonu kanałii? Absolutnie nie! Dlaczego? Dlatego że nie można było tak dalej iść naprzód. Istnieje niebezpieczeństwo recydywy sezonu kanałii? Absolutnie nie! Dlaczego? Dlatego że ustrój i partia nigdy na to więcej nie pozwolą. W jaki sposób nigdy na to więcej nie pozwolą? Darząc pełnym zaufaniem Nikitę Sergejewicza i ludzi którzy stoją u jego boku. A Nikita Sergejewicz nie był bliskim i zaufanym współpracownikiem Stalina? Był, ale kanałie wzięły nad nim górę. A teraz? Teraz on sam rządzi. I tak dalej i tak dalej, *ad infinitum* i *ad absurdum*.

Oto, bardzo z grubsza, tło na którym lepiej zarysowują się kontury niniejszej antologii: ferment wśród młodych; nagromadzony (i wolno, lecz niepowstrzymanie procentujący) kapitał cierpienia wśród starszych; sztywne (i mniej lub więcej nostalgiczne) pozycje wydziedziczonych kanałii cięższego i lżejszego kalibru; pułapka konfuzji „ideologicznej” na *wierchuszce*, pogłębiona jeszcze przez konflikt z Chinami i jego reperkusje w innych partiach komunistycznych. Najmniej co można o tym tle powiedzieć, to że jest ono płynne i w stałym ruchu, jak lawa szukająca dla siebie na zboczach miejsca do okrzepnięcia i zastygnięcia po wybuchu wulkanu. Nie widać więc dostatecznych powodów do przesadnego demonizowania „niezmiennej” Rosji. Po wstrząsach geologicznych oblicze ziemi wygląda zawsze inaczej i nakazuje człowiekowi inną jej uprawę.



Z autorów włączonych do antologii osobno musi być potraktowany Sołżenicyn. Nie tylko ze względu na wysoką rangę jego

Historii Rzymu w Średniowieczu Gregorovius opowiada jak następca papieża Formozjusza wytoczył mu pośmiertny proces, rozkazawszy wnieść na salę obrad synodu i posadzić w fotelu jego mumię; po zasądzeniu oskarżonego na drugą śmierć, jego zwłoki wrzucono do Tybru.

talentu pisarskiego. Jeśli nie liczyć Pasternaka (i pisarzy ukrywających się pod pseudonimami), Sołżenicyn dał najczystszy i najuczciwszy wzorzec sowieckiej Księgi Krzywd, sięgając do tak żywych w zeszlówiecznej literaturze rosyjskiej tradycji „goryczy obywatelskiej”.

Dwa nieodstępne cienie towarzyszą jego twórczości: cień przedrewolucyjnej Rosji i cień sowieckiego *Jedermann*. Pierwszy ma ogromną wagę literacką. Spojrzenie na Iwana Denisowicza z ukrytej w podtekście perspektywy katorgii carskiej, spojrzenie (zresztą bardzo przelotne) na małego biurokratę Czicziszewa z perspektywy *Martwych dusz*, czy spojrzenie na starą Matryonę z perspektywy wiekowego wyzysku wsi rosyjskiej, wprowadza do opowieści Sołżenicyna wymiar, jakiego dotąd w postalinowskiej prozie sowieckiej nie było. Jest to znana doświadczonym pisarzom *głębokość* obrazu, bez której każdy utwór rekryminacji społecznej rodzi się martwy³. Oskarżyciel przemawia tu wyłącznie z mandatu przestudiowanej i przemyślanej dokładnie rzeczywistości, zawsze bogatszej i prawdziwszej od jej uproszczenia „ideologicznego”. Artysta zaś pracuje tak, jakby posiadał tylko wiedzę o najskromniejszych narzędziach sztuki i najprostszych elementach konstrukcji.

Ale z punktu widzenia moralnego i politycznego, z punktu widzenia autentycznej „rewizji przeszłości”, bez porównania ważniejszy jest u Sołżenicyna nacisk na sowieckiego *Jedermann*, człowieka bylejakiego, związanego z ustrojem i krzywdzonego z woli ustroju jedynie przez sam fakt że żyje w obrębie jego władania. Dotychczasowa procedura dość nikłej literatury „obrachunkowej” w Rosji polegała na tym, że jeśli sprawca zła był komunistą, to jego ofiarą był również komunist. Usiłowano zredukować całe zagadnienie do bilansu „krzywd w rodzinie”, do partyjnego apelu poszkodowanych i poległych, wykorzystując przy tym rosyjską słabość do puryfikacyjnych walorów „męki za sprawę i za wiarę”. Niewiernych pozostawiano na uboczu, jakby ich ten wynaturzony przez okoliczności („okrążenie kapitalistyczne”) i jednostkę (Stalina), lecz w zasadzie szlachetny, *furor teologicus* ani nie dotknął w przeszłości, ani nie dotyczył obecnie. Rozległe obszary krzywdy ogólnonarodowej stały więc dalej odłogiem, pogrążone w ciszy i nietykalne, a ich niemi mieszkańcy mogli co najwyżej wzdychać od czasu do czasu współczująco na wiadomość ile z rąk „złych” komunistów ucierpieli „dobrzy” komu-

3. Jerzy Giedroyc zwrócił trafnie uwagę na podobieństwo Sołżenicyna do Silonego. Zwłaszcza *Zagroda Matryony* ma w sobie coś z *Fontamary*, nawet w stylizacji na syntezę gawędy ludowej z przypowieścią biblijną i w cierpliwym, rzemieślniczym tkaniu deseni narracyjnego.

niści. Sołżenicyn złamał tę znowę milczenia, obdzielając nawet cierpieniem tylko uprzywilejowanych posiadaczy legitymacji partyjnych (jak chlebem w *spectarkach* podczas racjonawania, choć chleba cierpienia starczyłoby w Rosji na długo dla wszystkich). Jego bohaterami, ofiarami w jego opowiadaniach, są ciemny kołchoźnik Iwan Denisowicz, niepiśmienna chłopka Matriona, bezpartyjny aktor z Moskwy. Więcej: w *Zdarzeniu na stacji Kreczetowka*⁴ partyjny porucznik Zotow staje się ofiarą (własnego sumienia oddanego w pacht partii) dopiero po wysłaniu na zgubę klasycznego *outsidera* ustroju. Niebywały to w literaturze sowieckiej majstersztyk aktu oskarżenia o podwójnym dnie. Dzięki Sołżenicynowi do słów Księga Krzywd nie ma potrzeby dodawać osłabiającego je słowa: komunistycznych.

Pozostali autorzy antologii nie mogą się równać z Sołżenicynem jako pisarze, ale i w ich opowiadaniach uderza wysiłek wciągnięcia do Księgi Krzywd szarych *unizennych i oskorblennych*. Z wyjątkiem Maksimowa i najbardziej „apolitycznego” Jaszina, wartość literacka zebranych tu tekstów jest niewielka, a przecież ze stronicy na stronicę rośnie Czarny Obraz. Czy to będą więźniowie Diakowa, czy repatrianci *iz germanskowo plena* u Siomina, czy kołchoźnicy Abramowa, czy mieszkańcy wioski ukraińskiej opisaney przez Stadniuka, cieknie nieprzerwanie strumień „smoły”. Naśladowcy Sołżenicyna są jednak ostrożniejsi od swego Mistrza i posłuszniesi „zasadom estetyki” Chruszczowa: strumień „smoły” polewają mniej lub więcej obficie „lakierem”. „Wzorowy komunista” Todorskiy w *Przeżytem*, „czysty jak ła” *politruk* Kłoczko w *Oko w oko*, „rozsądny przewodniczący kołchozu” w *Dokoła i wokół*, „dobre strony kolektywizacji” w *Ludzie nie są aniołami* — wszystko to spełnia na pozór rolę „optymistycznej” przeciwwagi w „pesymistycznym” malowidle, a w rzeczywistości rolę amortyzatorów pisarskich w karkołomnej jeździe na wyboistej i najeżonej kamieniami drodze. Jak w wypadku powieści Bondariewa, inteligentny czytelnik — ze wzrokiem utkwionym w panoramę niedoli, nędzy, prześladowań, *izdiawatelstwa*, okrucieństwa, ucisku, wyzysku, głodu, terroru — puszcza w ruch mechanizm pytań z kategorii *reductio ad absurdum*. Cytat z Tołstoja poprzedzający opowieść Maksimowa i krótki wstęp poprzedzający opowieść Diakowa stają się tym, czym za czasów Stalina bywały niekiedy pierwsze i ostatnie strofy *blagoadiożne* w wierszach obudowanych na „jadrze ciemności”.

Kto naprawdę przemawia (ciągle jeszcze za cicho) w tej Księdze Krzywd, to wielki i milczący dotąd Niemowa.

4. Drukowane w „Kulturze” nr 7/189-8/190 (1963).

Powstaje naturalnie pytanie dlaczego opowiadania zebrane w niniejszej antologii ukazują się po polsku w Paryżu, a nie — jakby należało oczekiwać — w Warszawie.

Z kilku nasuwających się rozwiązań tej zagadki jedno zasługuje na chwilę zastanowienia. Wiele zdaje się wskazywać na to, że władze komunistyczne obawiają się pogłębienia przez sowiecką literaturę „obrachunkową” istniejącej w Polsce nienawiści do Rosji i Rosjan⁵. Trudno o bardziej jaskrawy i wymowny owoc dwudziestolecia PRL: rejestr rosyjskich krzywd i cierpień, który powinien być bliski czytelnikowi polskiemu jako wyraz wspólnoty w ucisku, rozjątrza i zaognia w nim niechęć do wszystkiego co rosyjskie. Ustrój staje się synonimem narodu, nie odróżnia się ofiar od oprawców. Tradycyjny antyrosyjski stereotyp polski święci największe triumfy w cieniu „braterskiej przyjaźni polsko-radzieckiej”.

Znowu więc trzeba tłumaczyć (nie mogą tego, rzecz prosta, robić komuniści), że ręce wyciągnięte do siebie nad przepaścią przez uciskanych są rękami wyciągniętymi nad głowami rządów i ustrojów, przeciw rządowi i ustrojowi. I znowu odnajdywać gorzkawy posmak aktualności w *Byłoję i dumy* Herzena:

„A propos zesłańców: za Niżnym Nowogorodem zaczyna się spotykać zesłańców polskich, w Kazani widuje ich się znacznie więcej. W Permi żyło ich czterdziestu, tyleż w Wiatce; prócz tego po paru w każdym mieście okręgowym. Żyli izolowani od Rosjan, unikając wszelkiego kontaktu z mieszkańcami; panowała między nimi zgoda, bogatsi dzielili się wszystkim po bratersku z biednymi. Ze strony mieszkańców nie zauważyłem w stosunku do nich ani wrogości, ani szczególnej życzliwości. Uważano ich za obcych, zresztą tylko bardzo nieliczni z Polaków znali rosyjski. Zatwardziały sarmata, starszy człowiek który służył pod Poniatowskim jako oficer ułanów i brał udział w kampaniach napoleońskich, otrzymał w r. 1837 zezwolenie na powrót do swego majątku na Litwie. W przeddzień wyjazdu zaprosił mnie na obiad wraz z grupką Polaków. Po posiłku gospodarz trącił się ze mną kielichem, objął mnie i uściskał, po czym szepnął mi na ucho z wojskową otwartością: *Ach, dlaczego pan jest Rosjaninem!?* Nie odpowiedziałem, ale ta uwaga zraniła mnie głęboko. Zrozumiałem, że to pokolenie (podkreślenie Herzena) nie mogło uwolnić Polski”.

Październik, 1963

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

5. *Dzień Iwana Denisowicza* ukazał się co prawda na łamach *Polityki*, ale nie słyhać jakoś o wydaniu książkowym. W tejże *Polityce* pojawił się *Tiorkin na tamtym świecie*, zmasakrowany przez cenzurę lub przez redakcję.

OKO W OKO

R o z d z i a ł p i e r w s z y

Trzymał się środka szosy, gdzie asfalt był gładszy. Wyboje zasypane drobnym żwirem, były tu rzadsze niż na skraju drogi. Mimo to twarz jego często drgała bólem: nie dające się zauważyć kamyczki, jak gwoździe w starych bucikach, wbijały się w poranione stopy.

Do Wiednia było jeszcze siedemdziesiąt kilometrów. Potem czekała go droga przez Węgry, a być może, przy skierowaniu się na północ, trzeba będzie przeciąć i Czechy i Polskę.

Daleka i trudna droga do kraju ojczystego... Człowiek w jego położeniu mógł przecież umrzeć gdzieś po drodze. Zmordowany, nikomu niepotrzebny, wszystkim obcy. Wczoraj przecież żołnierze, rodacy, omal że nie utłukli go pod urwiskiem, obok mętnych fal Dunaju. A on tak śpieszył do swoich!... Płynął na kruchej łódeczce, zamazując lepkiem zielonawym mułem jej szczeliny, czapką wylewał wodę, bo łódź przeciekała, wiosłował rękami. A Dunaj to nie Oka, nad którą się urodził i już siedmioletnim chłopcem na nagusa nurkował w poroży za rakami. Niepodobny jest Dunaj również i do Newy, nad którą przeszła jego młodość. Dunaj jest bardzo bystry w swoim górnym biegu. Tylko zimna krew pomogła mu przewyciężyć wściekły prąd wody; a także przemożne pragnienie aby jak najprędzej dostać się do swoich.

Żołnierze z patrolu, oczekujący go na brzegu, zawołali:

— Ej tam, ktoś ty?

— Swój, bracia, Rosjanin!

Mokry po pas wylądował nareszcie pod urwiskiem.

— Skądżeś się znalazł po tamtej stronie?

— Idę z niewoli.

— Masz dokumenty?

— Z niewoli jestem... Jakie dokumenty?

Przekład z mies. „Newa”, Leningrad, marzec 1963.

Natychmiast macie mnie zaprowadzić do swego oddziału!... Słyszysz?

Żołnierze ponuro patrzyli na niego.

— Odprowadźcie mnie do waszego dowódcy — zażądał już spokojniej Aleksy.

— Widzieliście go, jaki szchwany! roześmiał się ten wysoki. Dowódca nie będzie zajmować się byle swołoczą.

Zabiją mnie... Za nic... Od myśli tej pociemniało mu w oczach.

— Ja jestem oficerem sowieckim, a nie żaden swołocz! Nie macie prawa obrażać człowieka, którego nie znacie!

Na brzegu pojawił się trzeci. Zatrzymał się na skraju urwiska. Czapkę trzymał w rękach, wiatr poruszał jego jasnymi włosami.

— Kogo tam macie?

— Gada schwytaliśmy, towarzyszu sierżancie; przypłynął z tamtego brzegu.

— Ja nie gad! — krzyknął Aleksy zduszonym, łamiącym się głosem i omal nie rozplakał się. — Czego wy, naprawdę, chcecie?

Sierżant zeszedł z urwiska, pobieżnie obejrzał nieznanego.

— Któż więc jesteś?

— Idę z obozu koncentracyjnego, ledwo wyżyłem. Z Mauthausen.

— Słyszałem o takim — powiedział wolno sierżant.

— Niedaleko od Linzu.

— No, dobrze... A sam skąd rodem.

— Z Leningradu.

Sierżant uważnie popatrzył na niego. Zaczął szukać papierosa. Nie śpiesząc się zapalił. Chwilę pomilczał i znów spojrzął na Aleksę:

— Na jakiej ulicy mieszkałeś?

Nie wiadomo dlaczego Aleksemu rzuciło się w oczy, że sierżant ma usta maleńkie, dziecinne.

— W porcie. Na Szkiperce.

Papieros podskoczył w maleńkich ustach sierżanta, skupił się w sobie, poprawił czapkę, którą nasadził na bakier, złącząc z urwiska.

— A tak? Portowy?! — wypluł papierosa, znów chwilę pomyślał. Nagle rzucił głową. — Jakie kino było w pobliżu?

— „Majak”.

— Ta-ak...

— A ja nawet pracowałem w kinie przed wojną.

— W „Majaku”?

— Nie, w „Forum”.

— Nie, idę do Wiednia, na punkt zborny.

— A-a... — Szofer wyciągnął papierek i pyta: — Czy nie wiesz czasem, de tut wioska... Poczekaj, przeczytam... Sylabizując odczytał: — O-berhof.

— Nie wiem.

Szofer podrapał się w głowę, schował papierek.

— Spytajcie kogoś z miejscowych. O, tam idzie kobieta.

— Ale my nie mogim bałakać po ichniemu, oś bieda.

— Frau, sagen sie bitte, wo ist Dorf Oberhof? — zwrócił się Aleksy do kobiety.

Ta zatrzymała się, wzruszyła ramionami. Pomyślawszy chwilę powiedziała, że wieś taka jest, zdaje się, o jakieś trzydzieści kilometrów od szosy. Poradziła dojechać do rozstaju dróg i tam spytać kogokolwiek.

— Ty dobre bałakajesz po ichniemu — radośnie wykrzyknął szofer. — Siadaj szwidko, dopomożisz nam.

Zauważywszy wahanie Aleksego, zaczął go namawiać.

— My ciebie potim do samego Widnia odwieziemy. Ce ja mówię, starszyna Straszko. Zauważasz ja bez łyczek*) na pagonach? Tak potrebno, druże. Maskirowka... Roześmiał się, otworzył drzwi kabiny.

To, że zawiozą go do Wiednia, zdecydowało. Z takimi nogami przecież tych siedemdziesiąt kilometrów do Wiednia nie da rady przejść nawet w ciągu dwóch dni.

— A wy na długo do Oberhofu? — spytał Aleksy.

— Ta, nn-i — od razu odezwali się żołnierze, siedzący dotychczas milcząco z tyłu. — Na pół godziny, albo i mniej.

— Jakij czas — spytał Straszko, zwracając się do Aleksego. Aleksy popatrzył na zegarek.

— W pół do pierwszej.

— A na moim dwadzieścia siedem. Na tri chwylyny zapiżniajutsia.

Przy tych słowach Straszko włączył motor, „willys” miękko potoczył się po szosie.

Wspominając o wczorajszych żołnierzach, Aleksy mimo woli porównywał ich z obecnymi nieoczekiwanymi towarzyszami podróży. Tamci, chłopcy niemal, niedbale ubrani, z własnoręcznie zrobionymi gwiazdkami... Ci — jeden w drugiego: dwóch z nich po lat jakieś dwadzieścia pięć, a podoficer, powiedzmy, trzydzieści, czyściutki wygoleni, w nowiutkich mundurach, a na otokach czapek jak rubiny świeciły gwiazdki. Tak... gdyby jednak nie sierżant-rodak, tamci, podobni do partyzantów mogli go całkiem

*) Paski oznaczające stopnie podoficerskie.

— Nie kłamiesz? — bardzo już cicho zapytał sierżant i głos jego jakby drgnął.

— Pracowałem aż do mobilizacji.

Sierżant zduślił papierosa butem.

— A teraz ostatnie pytanie, i pamiętajcie... Czemuś znowu przeszedł na „wy”. Jeżeliście próbowali coś namotać to... — Sierżant ponuro patrzył na drugi brzeg, skąd przedwczoraj przekradł się taki sam, zmięty człowiek z plecakiem. Twierdził, że idzie z niewoli, a w plecaku miał skądś wojskową rację.

— Powiedźcie mi, jaka to litera w świetlnej reklamie waszego kina migotała... To zapali się, to zgaśnie...

Aleksy zrozumiał, że odpowiedź może go kosztować życie. Z ulgą powiedział:

— Litera „R”. Zdaje się, że ze trzy tygodnie nie mogliśmy się zebrać, aby ją poprawić...

— Dobrze, chodźmy stąd — nieoczekiwanie łagodnie powiedział sierżant.

Aleksy szedł, nie czując nóg, nie widząc nikogo i niczego wokoło.

Krocząc wolno, na bosaka, cały czas myślał o spotkaniu ze swoimi, o sierżancie. Nie miał żalu do żołnierzy. Wielu bojowych towarzyszy zginęło na ich oczach; wojna wzmogła okrucieństwo i zatwardziałość serc.

— Dobrze, Kłoczkow, idźcie dalej na wschód — rzekł do niego dowódca oddziału.

A sierżant-rodak, portowy chłopak, pomógł mu się wysuszyć i dał mu swój leningradzki adres.

Buty zeszcły się w ciepłym pomieszczeniu dyżurki, powypaczały się. Nie przeszedł nawet pięciu kilometrów, gdy już natarł sobie krwawiące odciski; trzeba było zdjąć obuwie i iść dalej boso. A teraz raniły go ostre kamienie.

Szosa była pusta. Z rzadka tylko mijały go w pędzie samochody. Częściej jednak jechały naprzeciw.

Oto na zakręcie ukazał się amerykański „willys”. Nad jego chłodnicą powiewał jednak czerwony proporczyk. Aleksy zeszedł na bok. „Willys” gwałtownie zahamował. Tak gwałtownie, że aż zapiszczały opony, jakby je zabolalo od kamieni.

— Allo, kamrad, kom do mene — przywołał go kierowca „willysa”, rosły żołnierz.

— Czy mówicie po rosyjsku?

— A ty, Rosjanin?

Aleksy chciał powiedzieć, że idzie do domu z niewoli, ale powstrzymał się.

— Tutejszy?

— Nie, idę do Wiednia, na punkt zborny.

— A-a... — Szofer wyciągnął papierek i pyta: — Czy nie wiesz czasem, de tut wioska... Poczekaj, przeczytam... Sylabizując odczytał: — O-berhof.

— Nie wiem.

Szofer podrapał się w głowę, schował papierek.

— Spytajcie kogoś z miejscowych. O, tam idzie kobieta.

— Ale my nie mogim bałakać po ichniemu, oś bieda.

— Frau, sagen sie bitte, wo ist Dorf Oberhof? — zwrócił się Aleksy do kobiety.

Ta zatrzymała się, wzruszyła ramionami. Pomyślawszy chwilę powiedziała, że wieś taka jest, zdaje się, o jakieś trzydzieści kilometrów od szosy. Poradziła dojechać do rozstaju dróg i tam spytać kogokolwiek.

— Ty dobre bałakujesz po ichniemu — radośnie wykrzyknął szofer. — Siadaj szwidko, dopomożisz nam.

Zauważywszy wahanie Aleksego, zaczął go namawiać.

— My ciebie potim do samego Widnia odwieziemy. Ce ja mówię, starszyna Straszko. Zauważasz ja bez łyczek*) na pagonach? Tak potrzebno, druże. Maskirowka... Roześmiał się, otworzył drzwi kabiny.

To, że zawiozą go do Wiednia, zdecydowało. Z takimi nogami przecież tych siedemdziesiąt kilometrów do Wiednia nie da rady przejść nawet w ciągu dwóch dni.

— A wy na długo do Oberhofu? — spytał Aleksy.

— Ta, nn-i — od razu odezwali się żołnierze, siedzący do tychczas milcząco z tyłu. — Na pół godziny, albo i mniej.

— Jakij czas — spytał Straszko, zwracając się do Aleksego.

Aleksy popatrzył na zegarek.

— W pół do pierwszej.

— A na moim dwadzieścia siedem. Na tri chwylyny zapiżniajutsia.

Przy tych słowach Straszko włączył motor, „willys” miękko potoczył się po szosie.

Wspominając o wczorajszych żołnierzach, Aleksy mimo woli porównywał ich z obecnymi nieoczekiwanymi towarzyszami podróży. Tamci, chłopcy niemal, niedbale ubrani, z własnoręcznie zrobionymi gwiazdkami... Ci — jeden w drugiego: dwóch z nich po lat jakieś dwadzieścia pięć, a podoficer, powiedzmy, trzydzieści, czystiutko wygoleni, w nowiutkich mundurach, a na otokach szapek jak rubiny świeciły gwiazdki. Tak... gdyby jednak nie sierżant-rodak, tamci, podobni do partyzantów mogli go całkiem

*) Paski oznaczające stopnie podoficerskie.

po prostu wykończyć. I kości jego leżałyby pod urwiskiem. I bodaj nikt nigdy nie dowiedziałby się, gdzie złożył swoją głowę młodszy politruk, Aleksy Kłoczkow. Tyle wycierpiał i tak głupio skończył! Kontuzjowany w czasie walk na Wołchowskim froncie, pod miejscowością Pogost, tam też pojmany do niewoli, cudem uniknąwszy rozstrzelania na miejscu, przeszedł długą, jakże niezmiernie długą drogę. Dziesiątki etapów. Z jednego obozu do drugiego. W ciągu trzech lat, objechał za kratami bez mała całe Niemcy. Trzykrotnie uciekał spod straży. Siedział w obozowych karczerach. Uczestniczył w sabotażach. Wreszcie wrzucono go do straszego, dzień i noc śmierdzącego palonymi kośćmi obozu we Flesenburgu, a stamtąd do Mauthausen... I oto pośród niezmiernie nielicznych dożył do dnia wyzwolenia... Nie, nigdy by nie dowiedziała się kochana matka, gdzie jej jedyny syn zginął.

Na wojnę poszedł prawie chłopcem, z werbunku Komunistycznego Związku Młodzieży, wtedy gdy Niemcy wzięli już byli Mgę i odcięli ostatnią drogę do Leningradu. Trzy miesiące uczył się na kursach wojskowych i poszedł wojować. Pod sławną w owe czasy Newską Dąbrówką doszczętnie rozbito ich batalion szturmowy. Z sześciuset uczestników kursu niewielu ponad stu zostało po owej październikowej nocy czterdziestego pierwszego roku, kiedy usiłowali wziąć „piataczok”¹ na lewym brzegu Newy, na przeciwko wzgórza Kiełkołowo. Kiełkołowa Góra!... Jak straszny wrzód wyrosła ona w gardle Leningradu, posyłając śmierć tysiącom jego obrońców. Ciężarówką, idącą w jego stronę, dostał się Aleksy do miasta, gdzie miano reorganizować jego oddział. Po drodze wpadł na godzinkę do domu. Matka zobaczyła syna i łzy pocięły po jej pełnych zmarszczek policzkach. Jakiś dureń powiedział matce w przeddzień, że spod Newskiej Dąbrówki nikt nie wraca, że Newa tam czerwona od krwi... A on wrócił... Czarny, uwalany ziemią i gliną. Tylko białka oczu i zęby czyste. A nawieszane na nim, jak na podróżnym wielbłądzie! Łopatka saperska, maska przeciwgazowa, torba z granatami, automat PPD: Dwa dyski z nabojami. Torba z zapasową amunicją. Zwinięte koce. Płaszcz-namiet. Kask... Duży worek na rzeczy, wypchany produktami. Wydali żelazne porcje na wypadek, gdyby im się udało zdobyć na Niemcach „piataczok”.

I dziwne przecież: umył się, odpoczął i, podczas gdy matka czyściła mundur, Aleksy ani słowa nie powiedział jej o tylko co przebytych przejściach, o tych okropnościach, których był świadkiem ostatniej nocy, gdy ludzie padali w jesienne fale Newy i milcząc szli na dno, obwieszeni bronią i zapasową amunicją. Nie powiedział nic, jak tej nocy, w nieprzejrzanych ciemnościach, sape-

1. Wzgórze Numer pięć.

rzy budowali pontonowe przeprawy przez Newę, a oni — bataliony szturmowe — leżeli w krzakach i, wstrzymując oddech, czekali. A kiedy wszystko było gotowe, bezszelestnie ruszyli po chwiejnych pływających mostkach. Jak po potężnej rzece zaczął się ślizgać niemiecki reflektor i oślepił biegnących. Jak zagrzmiał wraży brzeg rzygając ogniem i siejąc śmierć. Jak ponton został rozerwany pływającą miną i jego zwolnione końce, jakby zerwaną wiatrem pajęczynę, poniosło z prądem coraz dalej i dalej. A na obu końcach pontonu byli ludzie. Aleksy był jeszcze niedaleko własnego brzegu... Nie, niczego matce nie powiedział, a spytał tylko, czy zachodziła Ludmiła. Uradował się, gdy się dowiedział, że była. Ona teraz również w mundurze. Liuda — dowódcą drużyny. Aleksy poruszony przeszedł się po izbie, następnie otworzył paterfon, założył płytę:

*Być może spotkasz, uśmiechniesz się,
Być może chmurnie zmarszczysz brwi,
Być może, z trudem sobie przypomnisz.
A może zapłonie ogniem
Nasza dawna miłość.*

Z tą piosenką odchodził wtedy na wojnę. Odprowadzała go matka i dwaj towarzysze. I jeszcze odprowadzała go ona, jego pierwsza miłość...

„Willys” wściekle rwał drogą w kierunku, gdzie według słów staruchy Austriaczki miała odchodzić droga na Oberhof. A oto, zdaje się, rozstaje.

— Stańcie! — Aleksy podniósł rękę — trzeba kogoś zapytać.

Kilka białych domków stało w odległości jakichś stu metrów.

— E-gej, kamrad, zagen sie bitte...

Żołnierze spojrzeli na siebie: Jak bardzo w porę nadarzył się im Aleksy.

„Kamrad” — machając rękami i sepleniąc bezzębnymi ustami, tłumaczył, zgodnie z informacjami Austriaczki, jak dostać się do wsi Oberhof. Wóz rusza, a starzec długo jeszcze stoi, patrząc w ich ślady.

Żołnierze milczą, nie pytają Aleksego o nic, jakby już dawno go znali. Samochód mknie z najwyższą szybkością. Oblicza żołnierzy skupione. Cóż oni zamierzają robić w tej wsi? Wiadomo jedno: Aleksy potrzebny im tylko jako tłumacz.

Wreszcie ukazały się domki, kryte czerwoną dachówką — zwykła austriacka wieś. Straszko zmniejszył szybkość. „Willys”

obecnie posuwał się powoli, jakby się skradał. Zatrzymał się. Straszko podchodzi do radiatora, zdejmując czerwony proporczyk i na jego miejsce wstawia inny, biały z czerwonym krzyżem:

— Te, rusek — zwraca się nagle do Aleksego — zrozum. My jesteśmy z oddziału sanitarnego. Trzeba bałakać cим austryjankam, że my przyjechali ze szpitala...

Chwilami Straszko mówi z jakimś dziwnym akcentem; podobne to do polskiego. Aleksy, niezbyt rozumiejąc, słucha go.

— Nasi żołnierze przelewali krew za ich swobodę. Urazumieli? Rannym Rosjanom żołnierzom potrzebne są dobre produkty. Urazumieli? Oni muszą nam oddać dobre produkty. Naperwo, szpek, masło, cukier...

Zdumienie Aleksego rosło. Czyżby w szpitalach nie było produktów i żołnierze jeżdżą po wsiach, aby zbierać świninę, masło, cukier? Prawda, miesiąc temu radio hitlerowskie, mówiąc o położeniu na froncie, zapewniało, że Rosjanie są wyczerpani. Nie ma amunicji, nie ma zaopatrzenia... Ba, ale zapewniało ono również, że ofensywa rosyjska lada chwila utknie, zakrzusi się...

„Willys” pojechał dalej. Zatrzymał się obok domu na skraju wsi. Żołnierze wzięli automaty i udali się w stronę domu. U wejścia spotkał ich gospodarz — bez nogi, nieogolony.

— Zapytaj go, jak się nazywa ichnia wieś — nakazał Straszko.

Aleksy zauważył, że obaj żołnierze bez sprzeciwu wypełniają rozkazy tego człowieka.

— Oberhof — ochryple odpowiedział Austriak.

— Wyjaśnij mu szczo nam potrzebno.

Podczas gdy Aleksy wyjaśniał, mężczyzna sposepniał i odszedł na bok, skrzyżowawszy ręce na piersi, jakby mówił: szukajcie.

Żołnierze o czymś pogadali między sobą. Aleksy nie uchwycił treści ich słów, mówili bowiem jakimś pogmatwanym ukraińskim językiem.

— Rusek — Straszko pchnął w plecy Aleksego. — Na, nie wypuszczaj stąd nikogo. Podał mu pistolet.

„Co za diabła robota? Nic nie mogę zrozumieć”, pomyślał Aleksy i ruszył ramionami.

Żołnierze poszli przeszukiwać dom. Aleksy z pistoletem w ręku stał przy drzwiach. Austriak patrzył mu pogardliwie prosto w oczy, jakby chciał powiedzieć: Oto, jacyście, grabieżcy!

W kilka minut potem jeden z żołnierzy sapiąc, przetaszczył obok nich wędzony udziec wieprzowy i rzucił go do wozu.

Aleksy zajrzał przez otwarte drzwi. Straszko pośpiesznie grzebał w szufladach komody i biurka.

Znalazł coś i ręka szybko wśliznęła się do kieszeni. Nagle ktoś cichutko zapłakał. Aleksy zrobił krok na bok i zobaczył: w pokoju, gdzie działał Straszko, znajdowała się kobieta i troje dzieciaków. Wszyscy oni stali pod ścianą i patrzyli na Strazkę. Dzieci pochłipywały.

Aleksy zadrżał: „Co my tu wyczyniamy?”

Straszko wreszcie wyszedł i skierował się do drugiego domu. Żołnierze szli milcząc, patrząc z ukosa na Aleksego. Chciał powiedzieć do podoficera, że jeśli ich wysłano w poszukiwaniu produktów, to po co przeszukują szafy i biurka. Zdawało mu się, że tamten brał jakieś pierścionki. Ale w tej chwili Straszko odezwał się:

— Uwaga chłopcy. Tutaj mogą się ukrywać esesowcy!

W tym domu dzieci nie było. Ludzie starsi stali, patrząc chmurnie na nieproszonych gości.

— Rusek, tłumacz!

Starając się jakoś załagodzić ponure wrażenie, Aleksy zaczął dodawać od siebie i tłumaczyć, że ludzie sowieccy bardzo ucierpieli od faszystowskiej napaści i ponieśli ogromne straty. Ale faszyzm został rozgromiony. Za to, że ich sowieccy ludzie uwolnili od hitleryzmu, Austriacy powinni być im wdzięczni. Że wielu żołnierzy złożyło swoje głowy na ich ziemi. Jest wielu rannych którzy potrzebują dobrego i długotrwałego leczenia i dobrego odżywiania. Transporty z głębi sowieckiego kraju idą nieskończenie długo, drogi zawałone są ruchami wojsk i nie zawsze udaje się na czas dowieść dostateczną ilość wysokokaloryjnych produktów. Dlatego też oni, Austriacy, powinni przyjść z pomocą.

Mowa była długa, zagmatwana. Trzej żołnierze z automatami przysłuchiwali się temu ponuro i niecierpliwie. Kiedy Aleksy skończył, Straszko gburowato zapytał:

— Coś im tam, cholerom, wygadywał?

Gospodarze zakrzętnęli się sami. Sami chcieli pokazać, gdzie są produkty.

— Kom, kom, mit! — wołał Austriak zapalając fajkę.

— Idźcie za nim — rzekł Aleksy — pokaże.

— Idźcie — skinął Straszko na żołnierzy, a sam skierował się do pokoju, otworzył szafę, zdjął z wieszaka kurtkę z błyskawicznym zamkiem.

— Czemu ty to bierzesz — przecież to nie słonina? — oburzył się Aleksy. Podoficer dalej prowadził swoje dzieło, grzebiąc w kieszeniach palt i ubrań. Znalazł zegarek i schował do kieszeni. Potem wy dostał szkatułkę i wyciągnął z niej broszkę, która zabłysnęła jasnym kamieniem.

— Zostawcie to, zostawcie! — nagle krzyknęła gospodyni.

Szeroko otwartymi oczyma patrzyła to na Straszkę, to na Aleksego, jakby szukając u niego pomocy.

Aleksy czuł, jak zżera go wstyd. W głowie mąciło mu się; wszystko co się działo, zdawało się jakimś koszmarnym snem.

— Zostawcie to — błagała kobieta — to pamiątka od przyjaciela.

Straszko spokojnie wsadził broszkę do kieszeni. Wtedy kobieta zerwała się z miejsca i wybiegła na ulicę.

— Czegoś wypuścił — wrzasnął Straszko na Aleksego. — Cholero!

— A ty, czym się tutaj zajmujesz, grabieżco! Przecież to najzwyczajniejszy rozbój!

— Milcz! — zamachnął się Straszko i w mig wyrwał mu pistolet. Tymczasem, skrzypiąc stopniami, zeszli ze strychu gospodarz domu i dwaj żołnierze. Nieśli udźce wieprzowe.

— Wszystko zabraliście — spytał Straszko.

— Załszyły mu jeden, maleńki.

— Ne załyszat! Zrozumieli?!

Udali się do następnego domu. Aleksy szedł jako ostatni, gorączkowo myśląc, co zrobić? „Cóż oni tu robią, podlecyc... Grabią”.

Straszko obejrzał się.

— Czemu zostajesz, Rusek?

„Poczekaj swołocz, dojedziemy do Wiednia — za wszystko odpowiesz”.

Straszko pociągnął za klamkę. Było zamknięte.

— Pozamykali się, swołoczy. Poczuli — zaklął i zaczął kołatać kolbą.

Nikt się nie odzywał. Tylko gdzieś na dworze zaszczekał pies.

— Dobrze, uśmiechnął się Straszko. — My tu jeszcze wrócimy. Pijszły dalij.

Aleksy rzucił okiem na wieś. Liczyła kilka domów. Jeden z nich dwupiętrowy.

Kiedy podeszli do małego, zapuszczonego domku, wyszła na ich spotkanie chuda kobieta i natychmiast rzuciła się na kolana, wyciągając do żołnierzy ręce.

— Pytaj — rozkazał Straszko.

Okazało się, że kobieta jest bardzo biedna, żadnych cennych przedmiotów nie posiada, produktów również. Mąż zginął na wojnie, w domu dwoje małych, chorych dzieci.

— Idźcie, popatrzcie na nie — załkała.

Weszli, zobaczyli wychudzone twarzyczki. Dzieci leżały na dwóch łóżkach, stojących obok siebie i patrzyły na ludzi rozpalonymi, na wpółśennymi oczyma.

— Obszukać! — splunął Straszko.

Żołnierze rzucili się do izb. Kobieta ciągle pochlipywała. Straszko wyszedł na ganek, zapalił. Kilkakrotnie rzucił okiem na wymiętą odzież Aleksego, na czapkę z obwisłym daszkiem.

Żołnierze nic nie znaleźli, poza bańką miodu.

— Zanieście z powrotem — głucho powiedział Aleksy.

— A ty byś lepiej wziął ten miód i zeżarł. Tylko popatrz jakiś chudy, niczym zeszlóroczna pluskwa.

Następnie zwrócił się do kobiety:

— Gdzie tutaj najbogatszy?

Ta pytania nie zrozumiała.

— Bauer, gros, so — dobierał słów, ilustrując ruchami tłustego, ogromnego człowieka.

Kobieta milczała.

— Tam? — pokazał na dom dwupiętrowy.

Milcząc skinęła głową.

— Tam szwydko! Ce to, szczo my szukajemo. O nim mnie mówiono — zaczął się spieszyć Straszko. Idąc już, odwrócił się do Aleksego: — Wot szczo, postój z boku. Tu nie ma co dużo gadać. Tłumaczyć również. To bogacz.

Z domu wyszedł pyzaty, łysy człowiek, niezbyt wysoki. Szorstko zapytał, czego chcą.

Straszko wszedł na ganek pierwszy, zmierzył Austriaka od stóp do głów i pchnął lufą w wypukły brzuch.

— Teraz ty verstanden?

— Poskarżę się waszemu komendantowi — spokojnie rzekł Austriak. — Wy maruderzy. Weźcie pod uwagę, że ja nie nazista, a socjal-demokrata.

— Kurwa, co on bormocze? Niech się schowa, bo go zastrzelę po rewizji.

Austriak zrozumiał groźbę, zbladł i, przepuściwszy żołnierzy natychmiast zniknął.

W domu nie znaleziono nikogo więcej. Wszyscy się widocznie gdzieś rozbiegli.

Żołnierze przewrócili dom do góry nogami.

„Ależ nikczemnicy”! żuł Aleksy.

„Willys” naładowany był po brzegi produktami i odzieżą. Załapali niewielką beczkę rumu. Aleksy widział, jak żołnierze chowali po kieszeniach zegarki, pierścionki, łyżeczki od herbaty. Ostatnie, co Straszko wyniósł z domu, były buty. Przez otwarte okna płynnie spadały płatki pierza z rozprutych pierzyn.

— A teraz pojechaliliśmy — wydał komendę Straszko.

Wszystko, czym był naładowany „willys” żołnierze przykryli płaszczami-namiatami.

— Do Wiednia nie pojedziemy — rzucił Straszko do Aleksego. Mamy jeszcze inne sprawy. Chcesz — zostawaj z nami. Tilki my w tu storonu, — pokazał na zachód. — I do domu wrócisz nieprędko. Może, nigdy... — krzywo się uśmiechnął. — Nu, do pobaczennia!

„Willys” parsknął i omal nie obalił Aleksego. Zdążył uskoczyć na bok.

— Podlece — kłął przez zaciśnięte zęby Aleksy, chromając po kamienistej drodze. — Nie szkodzi, bez was dojdę... Trzeba jak najprędzej zawiadomić komendanturę... — Nagle chwycił się za głowę: na numer nie popatrzył. A „Willys” był już daleko.

Poszedł dalej. Buty jego zostały w „Willysie”. Zapomniał o nich. Zresztą nie były potrzebne. Zeschły się. Aleksy szedł i wciąż myślał o Straszku, przeklinając siebie za nieostrożność. Ale czy mógł przewidzieć, po co zabrali go do Oberhofu?...

Po półtorej godziny dowłókł się do szosy. Tutaj zabrała go wojskowa ciężarówka i dowiozła do Wiednia. Szofer wytłumaczył mu, gdzie się znajduje komendantura.

Nieznajome miasto, nieznajome ulice, nieznajomi ludzie... Aleksy od razu stracił orientację; zdawało się, że trzeba było przejść dwa kwartały i pójść na prawo, a on widać minął więcej. Żadnej komendantury nie było.

Szedł, wpatrując się w tabliczki na drzwiach domów. Ludzie nie zwracali na niego uwagi. Wszyscy się dokądś śpieszyli. A przecież w innym czasie zebrałby się koło niego tłum. Zmięta czapka, ni to oklapnięty grzyb, brudna i zmięta odzież, bose nogi, wycieńczona twarz — takim przecież zobaczył siebie nagle, gdy zatrzymał się koło pustej wystawy. Tak błąkał się po mieście — młodszy politruk Kłoczko — po pokonanym mieście, na trzeci dzień po zwycięstwie. Na końcu ulicy zwróciła jego uwagę wysoka góra cegieł. Cegły i powydzieranego skądś żelastwa było tak wiele, jakby tu zwieziono i zsypano na kupę dziesiątki zburzonych domów. Aleksy podszedł bliżej, obszedł podnóże tej góry i zdumiał się jeszcze bardziej. Za pierwszą górą wyrastały następne. Jedna z nich była opasana skręconymi szynami kolejowymi. U jej podwalin sterczały szkielety rozbitych wagonów, a na samym szczycie leżał parowóz, wystawiając do słońca swój rozbity wybuchem czarny kadłub. „Jakiej trzeba było siły, aby zarzucić parowóz na tę wysokość” — myślał Aleksy, zadartszy głowę. Nagle usłyszał:

— Ach, bracia, bardzo zatęskniłem za domem...

Aleksy zobaczył żołnierzy, rzucił się ku nim:

— Towarzysze, powiedzcie gdzie komendantura? — Zatrzymali się.

— A wy w jakiej sprawie?

Zaczął opowiadać.

— E-ee, dziadziu, coś w tym nieczysto... Numeru maszyny nie zapamiętałeś. Szkoda...

— Chodźcie ze mną — zaproponował jeden z nich, elegancko ubrany i pożegnawszy się zaraz z towarzyszem, zawrócił.

— O, tam — skinął w stronę góry rozbebeszonej cegły i metalu z parowozem na szczycie — za stacją kolejową, nasza komendatura. To, po ichniemu czwarty biscyrch. Po austriacku znaczy. Zaraz zajdziemy do pułkownika Kisliakowa.

I nagle, bez żadnych wstępów żołnierz zapytał:

— A powiedz ty mnie, jak ci się to tak zdarzyło dostać się do niewoli?

Aleksy uśmiechnął się gorzko.

— A ty byś mnie lepiej spytał, jak mi się udało stamtąd wydostać żywym?

— Tym niemniej, jak wpadłeś. Bo za taką sztukę tobie, tatuńciu...

Nie dokończył, pokręcił głową.

— Jak dostałem się do niewoli? Nawet bardzo prosto. W miejsce, gdzieśmy byli rozlokowani wlała niemiecka kompania i zaczęła swoją robotę. Nasz batalion — ich kompania. Ale u nas w batalionie całego kramu sześćdziesięciu, a u nich w kompanii — dwustu. Przy tym nieoczekiwanie, o brzasku. Zimą. W białych ochronnych chałatach. Na nartach. Znaleźli w linii obronnej szczelinę i przeleźli. Dojechali wprost do naszych ziemianek. Gdym wybiegał z ziemianki, jeden z nich uderzył mnie kolbą w głowę a nadto, w zamieszaniu zbłąkana kula chlasnęła mnie po nodze. Kiedy przyszedł do siebie, byłem już w niemieckim schronie. Oto cała historia.

Aleksy czuł, że żołnierz wierzy i nie wierzy. Jak jednak nieznanemu człowiekowi tak, ot, w przejściu, można dostatecznie przekonywująco opowiedzieć, żeś dostał się do niewoli niechcący. Aleksy zasępiiony spytał:

— Wy dawno w armii?

— Od czterdziestego czwartego, tatuńciu!...

„W czterdziestym czwartym było już lżej. W czterdziestym pierwszym lub drugim było ci posłużyć!” chciało się powiedzieć, ale Aleksy zmilczał.

Teraz, kiedy Aleksy szedł z żołnierzem, zwracano na nich uwagę. Nawet z szacunkiem usuwano się z drogi. Rozumiał, oczywiście, że nie jemu, a temu chwackiemu młodzieńcowi w doskonale skrojonym sowieckim mundurze.

— Tak więc — rzekł żołnierz, patrząc przed siebie z roztargnieniem — zaraz zaprowadzę cię do pułkownika Kisliakowa.

On ciebie na pewno spyta o niewolę. Uważaj, opowiadaj z sensem. Tata nie lubi, jak ktoś kręci. Zrozumiano?... Wykładaj czyściutko, jak było.

— Oczywiście — gorąco przytaknął Aleksy. Było mu nieprzyjemnie, że w tym, co mówił żołnierz przebijało niedowierzanie. A równocześnie było jakoś spokojnie na sercu: na koniec znalazł się wśród swoich.

— Służycie w komendanturze? — spytał Aleksy.

— Ja jestem ostatnią, najmniejszą śrubką w maszynie — pisarz — uśmiechnął się żołnierz. I to chwili dodał: — Ale nie zapominaj, że czasami i od Bańkowskiego wiele zależy. Tak to jest... A oto nasz dom!...

Bańkowski polecił Aleksemu poczekać w korytarzu, a sam poszedł zameldować pułkownikowi Kisliakowowi. W korytarzu siedziało z piętnaście osób cywilnych i również czekało na przyjęcie.

Drzwi otworzyły się i od razu dwoje, mężczyzna i kobieta, ruszyło w stronę gabinetu, ale Bańkowski zagroził im drogę:

— Jeniec, do pułkownika!

W bardzo obszernym gabinecie za ogromnym biurkiem siedział siwy, chudziutki staruszek. Był tak mały i chudy, że naramienniki, jakie nosił, wydawały się niewspółmiernie wielkie.

— Dzień dobry — odpowiedział na powitanie Aleksego i popatrzył na jego podrapane, o pozdzieranym naskórku nogi.

— Nazwisko wasze? Tak... czym byliście w armii do czasu dostania się do niewoli? Tak... Co to za maszyna jeździła do Oberhofu? „Willys”, ocho! gwałtownie wstał. — Dokąd oni, mówicie, następnie pojechali?... Po czym pułkownik zaczął telefonować i przekazał opowiadanie Aleksego. Następnie, znów rozparłszy się w fotelu, zapytał współczująco:

— Jak wy, tatuńciu, ocaleliście?

Aleksy zwrócił uwagę, że nie tylko Bańkowski, ale i sam pułkownik lubi używać słowa „tatuńciu”. Nie wiedział jeszcze, że słóweczko to jest właśnie zwyczajem pułkownika, a Bańkowski tylko naśladuje swego dowódcę.

— Mogę opowiedzieć, ale to zajmie sporo czasu — odpowiedział Aleksy.

Pułkownik spotkał otwarte, jasne spojrzenie. Być może, że to spojrzenie spodobało mu się, być może, i jeszcze coś innego, dość na tym, że ciężko westchnął, nie wypytywał o nic; spytał tylko skąd Aleksy pochodzi, kogo zostawił w domu. Potem zainteresował się, czy Aleksy w niewoli nauczył się dobrze mówić po niemiecku. Aleksy przyznał, że szczególnie mocny w niemieckim nie jest, ale mówić umie. Pułkownik zamyślił się długo. Podparłszy

ręką zapadnięty policzek, zdawało się zapomniał o obecności Aleksego, siedział i patrzył w jeden punkt. Raz i drugi zajrzał przez drzwi Bańkowski, ale pułkownik, zdawało się i tego nie zauważył.

Wreszcie wstał, przeszedł się po ogromnym gabinecie i, otworzywszy drzwi, rzucił:

— Bitte.

W drzwiach stanęło dwoje. Mężczyzna i kobieta. Zaczęli się spierać kto ma wejść pierwszy. Pułkownik patrzył na nich niecierpliwie. Weszła kobieta. Denerwując się, zaczęła mówić.

— Postarajcie się zrozumieć, o co ona prosi — rzekł pułkownik.

Austriaczka mówiła prędko, czerwieniła się, coś nią chwilami wstrząsało, oddychała ciężko.

— My was słabo rozumiemy — rzekł pułkownik po niemiecku. — Proszę mówić wolniej.

Kobieta powtórzyła swoje opowiadanie. Pułkownik pytająco spojrzął na Aleksego.

— Zrozumiałem tak, towarzyszu pułkowniku: ona jest uciekinierką. Obecnie wróciła, ale dom zburzony. Krewnych w Wiedniu nie ma i nie wie co robić, gdzie mieszkać.

— Tak, właściwie tak. Czy zdołacie jej wytłumaczyć, że my możemy jej dać tylko czasowe pomieszczenie w mieszkaniu zbiegłych nazistów?

— Oczywiście.

— A więc wytłumaczcie jej.

Wyteżając pamięć, Aleksey przetłumaczył odpowiedź pułkownika.

Kobieta położyła rękę na piersiach i zaczęła dziękować.

Pułkownik napisał papierek. Kobieta wzięła go i wyszła.

— Teraz idźcie, odpoczywajcie, Kłoczkow. Pewnie jesteście głodni. Bańkowski was zaprowadzi i załatwi sprawę wyżywienia. Jeżeli pozwolą, zostawię was przy komendanturze. Jest mi bardzo potrzebny młodszy tłumacz. Starszego tłumacza mamy — Borys Iljicz Dumisz. Później was poznam. Ale najpierw musicie iść do kontrwywiadu.

Bańkowski już czekał w drzwiach.

— Jesteście wolni — skinął pułkownik na Aleksego.

Aleksey wyszedł z gabinetu i natychmiast chciał tam wejść mężczyzna w tyrolskim kapeluszu.

— Momencik. Pułkownik zajęty — powiedział Bańkowski, zamykając drzwi przed Austriakiem. Powiedział to po rosyjsku, ale Austriak pojął, cofnął się i siadł na najbliższym krześle.

Oszołomiony przyjaznym przyjęciem i nagłą perspektywą

pracy w komendanturze, Aleksy myślał o tym, czy dadzą mu mundur. Tak chciałby stać się znowu człowiekiem, tak zatęsknił na obczyźnie za ojczyzną, za wszystkim co związane jest z tym słowem. Bańkowski wyszedł wesoły, wziął go pod rękę i prowadząc korytarzem, mówił:

— Będziesz wspominać Bańkowskiego. Mam lekką rękę... Gdybym ja tak nie nie szepnął tatuściowi, myślisz, że tak gładko poszłaby sprawa? A teraz: czyk — czyk i wszystko gotowe.

— Jeszcze nie wiadomo, co powiedzą w kontrwywiadzie.

Bańkowski popatrzył nań :

— No, jeśli pysk zamazany, wtedy już, tatuściu, i sam Kisliakow nie pomoże. A ty skąd wiesz, że tobą zajmie się kontrwywiad?

— Powiedział mi pułkownik.

— Ach, on ci to jednak powiedział. No widzisz, jaki tata u nas szczery.

Z kontrwywiadu Aleksy wrócił późnym wieczorem. Szedł, nie śpiesząc się. Droga była już znajoma. Znow obok wschodniego dworca, który tak okrutnie zbombardowali Amerykanie w przeddzień wkroczenia do miasta wojsk sowieckich.

Aleksy poniekąd był zadowolony, że pomówił z jednym z tych ludzi, którzy będą się nadal zajmować zbadaniem okoliczności, w jakich człowiek dostał się do niewoli. Kapitan Wostoczny był grzeczny, kazał szczerze opowiedzieć sobie wszystko, prawie nie przerywał. Wykazał tylko szczególne zainteresowanie, gdy Aleksy opowiadał o pierwszych dniach niewoli. Tutaj Wostoczny kilkakrotnie przerywał mu i zadawał pytania. Idąc wolno w kierunku komendantury źle oświetloną ulicą, Aleksy myślał z natężeniem, czy czegoś ważnego nie pominął w czasie opowiadania.

...Było to wiosną czterdziestego drugiego roku. Kiedy raniony i ogłuszony przyszedł wreszcie do siebie, poddano go krótkiemu przesłuchaniu. Umiał wtedy nie więcej, niż dziesięć słów po niemiecku, mimo, że uczył się tego języka od piątej klasy. Tłumacz mówił po rosyjsku bardzo źle, jego zapas słów rosyjskich był również bardzo niewielki. Przesłuchanie przebiegło pomyślnie głównie dlatego, że spojrzawszy na dwie kostki na jego naszywkach na kołnierzu, Niemiec spytał: — Porucznik?

— Tak — zełgał nie mrugnawszy okiem Aleksy.

— Karaszo! — Nie zdjęto z niego watanego kaftana, więc nie widzieli naszytej na rękawie gwiazdy. To go uratowało. Zaraz też jego i z półtora tuzina szeregowych odesłano dalej do tyłu. Z kompanii, w której służył, nie było nikogo. Jechali nocą po wyjeżdżonej leśnej drodze pod silnym konwojem. Nad ranem

dotarli do na w półrozwalonej wioseczki. Samochód zatrzymał się obok poczerniałego drewnianego domu. Później Aleksy dowiedział się, że przedtem w domu tym mieściła się czytelnia. Obecnie na desce z dykty czerniał niemiecki napis: DUŁAG”.

Wszedł komendant — wysoki, jasnowłosy podoficer i kilku ze straży. Konwojenci, którzy dostarczyli jeńców, oddali ich za pokwitowaniem i odjechali.

— Czy są wśród was Żydzi i politycy — zwrócił się podoficer do nowoprzybyłych. Jeńcy milczeli.

Komendant wściekł się. Podbiegł do czarnowłosego żołnierza, kazał zdjąć ciepły kaftan. Dokładnie obejrzał rękawy bluzy wojskowej. Potem kazał się rozebrać następnemu. Jeńcy rozbierali się, podoficer wpijał się oczami w twarze, badał kolor włosów, mierzył szerokość głowy, zmuszał do pokazywania zębów i znów badał dokładnie rękawy bluz. Przyszła kolej i na Aleksę. Był spokojny: w drodze jeszcze domyślił się, że trzeba zerwać gwiazdę. Bluza była nowiutka, gwiazdę naszywał niedawno, żadnych znaków być nie mogło.

— Porucznik? — spytał groźnie podoficer. Otrzymałszy odpowiedź twierdzącą, zamachnął się i uderzył.

Potem obalił i drugiego oficera. Był to młodszy porucznik, Misza Skworcow — białuśki, czystutki młody człowiek lat dwiętnastu. Zdążył już o sobie opowiedzieć Aleksę. On też zostawił chorą matkę w oblężonym Leningradzie.

Do obozu przybyli w niedzielę i wszelkie nadzieje na jakiś posiłek okazały się płonne. Zamiast obiadu dawano tu w każdą niedzielę „ruską” gazetę.

W południe przyszedł żołnierz i przykleił na ścianie arkusz papieru. Jeńcy, zapełniający do ostatnich granic niewielkie pomieszczenie, pośrodku którego jako parasza, stał wyszczerbiony kocioł, leżeli na podłodze. Któryś z nich spytał z jadowitą ironią:

— No cóż, zaczniemy chyba spożywać obiad, czy co?

— Ano, dawaj! — odpowiedział za wszystkich zachrypły głos z kąta.

— Patrzcie, jak pracują — uśmiechnął się sąsiad Aleksę, widocznie dawniejszy już mieszkaniec. — Spójrzcie na gazetę, co wam przypomina?

Rzeczywiście format gazety i druk tytułu były kopią stołecznej gazety „Prawda”. Tylko w górnym rogu umieszczone były inne słowa: „Ludzie pracujący wszystkich krajów, łączcie się do walki z bolszewizmem”.

— Czytaj, czytaj — zażądał ochrypły głos. — Czas prędzej przejdzie.

Ten, który stanął przed gazetą, leniwie odczytywał tytuły:

— Szkic Mikołaja Moskwicza: Na gruzach bolszewizmu... Nowy utwór poetycki Blumenthal-Tamarina!...

— Dawaj wiersze!

Człowiek odkaszlnął, plunął do łazienkowego kotła, z którego ciągnęło gęstym smrodem i zaczął czytać.

Aleksy był wstrząśnięty, nie tyle już treścią antysowiecką, którą ze smakiem oddawał czytający, ile samym czytającym. Kiedy jednak rozejrzał się po jeńcach, odczytał na ich wychudłych, obrosniętych szczecinią obliczach, kompletną obojętność. Ktoś nawet pochrapywał. Gazeta była osobliwością tylko dla nowoprzybyłych.

Aleksy nie wytrzymał:

— Od razu widać, że pisał to jakiś degenerat...

— Tfu, rzygać się chce! — splunął Misza Skworcow.

Czytający odwrócił się, utkwiał wzrok w Aleksym Kłoczku i wycharczał:

— Żółtodzióbie, milcz!

Po czym, przełaząc przez leżących, zbliżył się do Aleksego, pośpiechnie nań popatrzył i spytał:

— Albo co, *wasze błogorodie*, nie podoba się wam ich pisanie?

— To nie on powiedział, to ja! — uniósł się z podłogi Misza.

Wtedy czarny napadł na Skworcowa:

— Popatrzcie, ten też był komendancikiem! Obaj nami rządzą, szczeniaki! Ot i galife z kantami... Poczekaj, zostaniesz bez portek! Nadowodzili się!

Aleksy uchwycił coś znajomego w fizjonomii tego człowieka, zarośniętego gęstą czarną szczecinią. Czoło w bruzdach, głęboko osadzone oczy, z lekka przypłaszczony nos i szerokie energiczne usta... Tak, na pewno gdzieś go już spotkał. Spostrzegłszy jego spojrzenie, czarnobrody wpił się oczyma w twarz Aleksego i nagle jego brwi gwałtownie uniosły się ze zdumienia. Twarz w pierwszej chwili jakby rozjaśniła się. Zgasł w oczach wyraz nienawiści, pojawił się uśmiech. Stał i patrzył z półotwartymi ustami. Pauza była niezmiernie długa. Aleksy nie wytrzymał upartego spojrzenia, odwrócił się. A gdy znów podniósł głowę, mimo woli wstrząsnął się: twarz nieznanego zmierzchnęła, z oczu ziała złość. Patrzył na galife, na wypustki na kołnierzu bluzy, gdzie mgliście świeciły frontowe zielone „kostki”. Aleksemu czegoś przyszło na myśl, że oto w tej chwili czarnobrody rzuci się na niego i rozbudzi wszystkich wrogim okrzykiem: „Wpadłeś politruku!”. Zaraz przybiegnie straż i jasnowłosy podoficer, dowiedziawszy się o co chodzi, ustawi jeńców

2. *Błogorodie* — użyty tutaj ironicznie tytuł stosowany w carskiej armii, gdzie zamiast: panie poruczniku, mówiło się: wasze błogorodie (przyp. tł.).

przed drutem kolczastym, jak to już nie raz — opowiadają — bywało — wygęoli wśród panującej grobowej ciszy dobrze znane słowa: „Im mniej będzie Żydów i komisarzy, tym szybciej skończy się wojna, tym szybciej przyjdzie do was wolność”. I palce komendanta zaczęły wolniutko rozpinąć kaburę parabellum.

Ale czarnobrody nie zaczął krzyżeć. Uśmiechnął się tylko i zaczął znów gramolić się w kierunku gazety.

„Przecież to Czernych! Szeregowiec naszej kompanii!” — przypomniało się nagle Aleksemu. Pewnego razu, w czasie walki, Czernych znikł. Nikt nie wiedział, gdzie się podział. Nikt nie wiedział, czy zginął czy wpadł do niewoli. I tu dopiero spotkał go Aleksy...

Czemu jednak Czernych patrzy nań z taką złością? Usiłując sobie przypomnieć, czy czymś Czernycha nie uraził, Aleksy był przeświadczony, że widział go w ogóle dwa — trzy razy. Przypomniało mu się, że gdy kiedyś zesłała mowa na wszawę stosunki w armii niemieckiej, Czernych podrapawszy się w głowę, powiedział: „A u nas wszów także jest dosyć, towarzyszu politruku!”. Przypomniało mu się również, jak przed ofensywą Czernych zaczął udawać chorego i prosił, aby go skierowano do sanitariatu...

Podczas gdy Aleksy snuł te wspomnienia, Czernych wrócił do gazety. Od czasu do czasu odwracał się i uporczywie z tą samą złością wpatrywał się w twarz politruka...

Do pełnego zaduchu pomieszczenia powoli wpełzał zmrok. Rozmowy ucichły. Ludzie zaczynali drzemać. Zasnąć twardo nie pozwalały: głód i pluskwy. Czernych siedział i ciągle od czasu do czasu rzucał okiem na Aleksę.

Aleksy nie pamięta, kiedy zasnął. Ubezwładniło go znużenie.

Obudził się, kiedy wszyscy już wstali i zbitym tłumem stali koło drzwi, przysłuchując się krokom na ulicy.

Misza Skworców, słabo uśmiechając się, zaczął opowiadać, że miał przyjemny sen: jadł bliny ze śmietaną.

— Ej, zamilcz tam... Bliny, bliny! — gniewnie zawarczeli w tłumie. — Zaraz dostaniesz bliny!... Na ganku wreszcie dały się słyszeć kroki i drzwi ze zgrzytem otwały się.

— *Raus! Antreten! Los! Los!*

Wszyscy rzucili się do wyjścia i na ulicy zaczęli ustawiać się w szeregu. Ponięktórym podoficer w biegu dawał szturchańce.

Przez całą godzinę ciągnęła się procedura porannego apelu. Zapytał następnie, kto nie ma naczyń. Nowoprzybyli podnieśli ręce. Komendant zaklął i wskazał na kupę pustych puszek po konserwach, obok niemieckiego baraku.

— A teraz — do szeregu! — taki był sens nowego rozkazu, który zresztą jak dotychczas rozumieli tylko siedzący tu dawniej

jeńcy: Następnie: „Równaj”! „Baczność!” i znów zwracanie się do jeńców z żądaniem ujawnienia Żydów i politruków.

Nad szeregiem wisi martwa cisza. Na twarze pada mokry pył drobniutkiego deszczu. Podoficer chodzi tam i z powrotem i powtarza rozkaz; kończąc ostro i dobitnie znanymi już słowami:

— *Juden und Komissaren!... Frei! Brot!*

To znaczy: Żydzi i komisarze! Wolność. Chleb.

Ręka jego leży na kaburze pistoletu. Przed frontem stoi dwóch strażników z automatami.

Aleksy patrzy na nich i na podoficera: „Ich trzech — nas pięćdziesięciu. Prawda, oni z bronią... Ale przecież nas pięćdziesięciu!”.

Wreszcie pada komenda: „Spocznij!”, co oznacza, że ludzie mogą poruszać głowami na prawo i na lewo, wpatrywać się jeden w drugiego, wyszukując Żydów i komisarzy. W tym celu jeńcy ustawieni są obecnie półkołem. Każdy z nich, patrząc, może widzieć pozostałych czterdziestu dziewięciu.

— *Los, los!* — domaga się podoficer. Wskazuje na taboret, na którym leży cegła chleba i paczka margaryny. Oczy zgłodniałych ludzi ślizgają się po chlebie i margarynie, słychać ciężkie westchnienia, przyspieszone oddechy. Aleksy również czuje, jak zaczyna go dusić w gardle. Tak się chce jeść!

Dwie doby ani okruszynki chleba w ustach...

— *Los, los! Juden und Komissaren! Frei! Brot! Butter! Milch!* — wrzeszczy podoficer. Wolność. Chleb. Masło. Mleko.

Od kuchni dochodzi smaczny zapach. Ludziom szalejącym z głodu w głowach się mąci. Aleksy spotyka się wzrokiem z czarnobrodym. Czernych ciężko dyszy, rozszerzonymi źrenicami patrzy na niego. Cały czas tylko na niego. Aleksy spuszcza oczy. „Zaraz go wyda. Zaraz...”. Z trudem opanowuje niepokój. Czuje jednak jak słabną mu mięśnie, jak drżą kolana.

Juden und Komissaren. Wolność i chleb — dzwoni mu w uszach.

Podoficer stoi naprzeciwko. Twarzy jego Aleksy nie odróżnia. Przed nim biała plama i czarne poruszające się usta. Potem widzi palce. Niemiec ma je długie, smukłe, jak u muzyka. Głaszczce kaburę pistoletu.

I nagle komendant nie wytrzymuje. Tupnąwszy nogą, podskakuje do szeregu. Odgłos policzków. Wrzeszczy niemal w szale:

— Szwynia, szwynia!... *Idioten!* Z taką samą wściekłością wydaje rozkaz. Szereg zwraca się w prawo, rusza na koniec w kierunku kuchennego okna, z którego wygląda głowa w białym

czepcu. Podoficer miota się. Klątwy i słowa komendy zlewają się w jeden potok krzyków:

— *Links, zwei, drei, vier! Links und links.* (Lewa, dwa, trzy, cztery. Lewa, lewa) *Idioten!*... Szwynia!

„Czernych nie wydał... Czemu jednak patrzy z taką nienawiścią? Czyż jestem winien, że on jest tutaj?”

Aleksy od czasu do czasu rzuca niespokojnym wzrokiem na czarnobrodego. Ten również patrzy nań: krzywo, spode łba.

Wreszcie następuje chwila rozdawania bałandy. Pobrzękują pod kuchennym oknem kociołki i konserwowe blaszanki. Miga czerpak, napełniając naczynia gorącym obrzydliwym płynem.

— Zgniła konina... Potrują nas, gady... — pobiegło po szeregu.

Wszystkie spojrzenia skierowane są na okno. Człowiek w białym czepku wydaje się być czarnoksiężnikiem i od niego wszystko zależy — zamiast zgniłej koniny, może on — jakoby — dać baraniny.

Ktoś podstawił pod czerpak wojskowy kociołek. Misza Skworców trzyma tak jak i Aleksy, małeńką puszkę po konserwach. Czerpak wchlustuje w nią żółty płyn — wiele wylewa się obok: bańka mała. Misza szybko odpija trochę i podstawią bańkę oknu. Zobaczył to podoficer, ryczy rozbestwiony:

— O, *ab, mensch! Los, los, szwynia!*... — i wali go butem.

Aleksy na samym końcu szeregu. U okna Czernych. Do jego ogromnego kociołka — gdzież to on taki zdobył — wywała się z czerpaka solidny kawał mięsa.

— Mięso ze szczecina — szepcą w szeregu. — Ze szczecina...

Otrzymawszy swoją porcję, Czernych nie śpieszy się z odejściem od okna kuchni. Pokazuje kucharzowi jakiś niebieski papierek. Podoficer nie wali go butem. Przychylnie kiwa głową:

— *Gut! Uberleifer! Gut!*...

Znaczą to: „Dobrze! Zbieg! Dobrze!”

I kucharz wali do kociołka jeszcze jedną porcję i kawał śmierdzącego mięsa.

„Ach, to taki jest Czernych! Oto dlaczego przepadł bez wieści!”

Aleksy oczom nie wierzy, a żołnierz z jego oddziału chowa do kieszeni niebieski bilecik. Oszołomiony, z roztargnieniem, podstawi swoją banieczkę: „Czernych zbiegł na drugą stronę... I właśnie za to dają mu więcej żarcia...”

— Jak trzymasz?! — wrzeszczy na Aleksego czarodziej. — Durniu podsuwaj bliżej!

Mgnienie i bańka konserwowa napełniona.

— Małe naczynko — powiada ktoś z westchnieniem.

Siadłszy w kuczki pod gołym drzewem, Aleksy wydostaje łyżkę. Nagle przysiadła się Czernych.

— Witam — mówi cicho, mrugając porozumiewawczo. I podstawił swój kociołek do połowy tylko opróżniony: — Nalewaj tu!

Aleksy patrzy na niego, nie pojmując. W oczach zbiegłego pożądliwe ognie. Nachyliwszy się tak, że omal dotyka wargami ucha Aleksiego, drżącym głosem szeptem:

— Lej. Tyś przecież Kłoczkow, politruk...

I bezceremonialnie wylewa płyn do swego kociołka. Potem, zwracając bańkę: — Możesz oblizać, dzisiaj bałanda gęsta...

Aleksy wstaje, zacisnąwszy pięście. Wstaje i Czernych. Patrzają na siebie z nienawiścią.

Zdaje się, że nikt na nich nie zwraca uwagi — wszyscy zajęci swoimi kociołkami i bańkami.

— Ty młodzik, ja starzec... Patrz, jakoś wyżyjesz... Możesz ukraść, albo w karty wygrać. To nie moja sprawa. Radź sobie jak umiesz... A twoja porcja... dla mnie. Za to nikt się nie dowie, ktoś ty. Czernych nie wyda.

Z tymi słowami odchodzi.

Wieczór. Aleksy leży na brzuchu, objąłszy głowę rękami. Obok siedzi Misza i próbuje tłumaczyć:

— To z nieprzyzwyczajenia brzuch boli. Od bałandy. Koina zgniła. Mówią, że zbierają ją na miejscach zeszlórocznych walk... Nic, pocierp... Może przejdzie. Nie pij tylko surowej wody...

On jeszcze nic nie wie.

Aleksy zasnął.. A w izbie klątwy, głuche rozmowy, gra w karty. Ktoś wymienia papierosa na jutrzejszą zupę — na pół porcji bałandy. Jakiś znów człowiek — może zwariował — nuci cichutko:

*Czy żyjesz jeszcze, staruszek moja,
Ja również żyję. Pozdrawiam cię, pozdrawiam...*

Długa jest noc w udręce. Potem znów dręczący ranek. Usze-regowanie. Ustawienie się w półkole. Podoficer. Rękojeść parabelum. *Juden und Komissaren, Frei. Brot... Los, los! Szwynia, szwynia. Idioten...* W nogę. *Links, zwei, drei, vier! Links und links! Uberfleier gut...* Gorąca bańka w ręku. Aleksy szybko wyjmując łyżkę, zapuszcza ją w zachęcająco pachnącą ciecz. Z tyłu mocno chwyta za łokieć Czernych. „Stój, nie śpiesz się, politruku. Zapomniałeś?...” Znów sen. Znów wieczór. Noc. Ranek. Dzień. Nudności. Ból. I znów nudności. Świadomość tonię w

jakiejś mgle. Potem następują krótkie wyjaśnienia. Gorzkie, prze-
rażające wyjaśnienia. „Oto czym jest niewola!”.

Tak, towarzyszu Wostocznyj — proszę mi wierzyć — nie-
wola to nie jest siedzenie w ciepłym baraku za drutem kolcza-
stym i oczekiwanie na koniec wojny.

...Och, niech diabli porwą, gdy przychodzi wspomnieć wszy-
stko, co się przeszło w niewoli!... Samemu trudno uwierzyć. Wszy-
stko zaczyna się wydawać jakimś koszmarnym snem.

Aleksy wolno zbliża się do komendantury. Błady, twarz wy-
ostrzyła się. Oczy szeroko otwarte. Nikogo nie zauważa. Pogrą-
żony jest całkowicie tam, w obóz jeńców w roku czterdziestym
drugim.

„Oto obok Czernych pożera jego nędzną porcję mącznej
bełtuchy. Żołnierz, który służył w jego kompanii... W izbie
czterdziestu sześciu jeńców. Dokładniej czterdziestu pięciu: Czern-
nych się nie liczy. Czterech w tych dniach zmarło. Czyż napraw-
dę my wszyscy, czterdziestu pięciu ludzi to tchórze, bezsilny
tłum?”.

I znów zapomnienie. I znów sen. A potem znów wyjaśnie-
nie umysłu. „Gdzie Misza?” — pierwsza rzecz, jaka przychodzi
do głowy. Tak, tak Misza — białuśki chłopiec, który dostał się do
niewoli niemal wprost z ławy szkoły wojskowej. Aleksy przy-
gląda się twarzy leżącego obok. Nie, to nie Miszy twarz z pus-
kiem nad górną wargą. Ten, obrośnięty szczecina...

— Gdzie porucznik Skworcow? — cicho pyta Aleksy. Trze-
ba przecież koniecznie pomówić z nim. Co robić dalej? Czy na-
prawdę mamy tak wymierać?

Aleksy pyta cicho, człowiek nie słyszy... Trzeba pomówić
z Miszą. Nadto trzeba mu dać swój adres. Jeżeli wyżyje, niech
opowie matce, jak zginął jej Aleksy. Na mamę wołają Eugenia
Matwiejewna. Ona maleńka, z żywymi szarymi oczkami, które
zawsze patrzą na człowieka uważnie, pytająco, ale równocześnie
tak jakoś współczująco.

— Gdzie porucznik Skworcow?

Człowiek usłyszał.

— Jaki Skworcow? A ten młodziutki... Wczoraj rozstrzelali.
Chciał uciekać. Dziwak... Stąd nie uciekniesz...

— Co za dzień dzisiaj?... Kiedy on chciał uciekać?...

— A ty, zdaje się byłeś w malignie, ciągle kogoś wzywałeś...
A ten zamyślił ucieczkę... Ot, cudak...

Aleksy zamyka oczy i słyszy, jak przez sen:

— Już pięć dni jesteśmy tutaj, w tej śmierdzącej dziurze. Co
będzie dalej, komendancie? Czy już tak na stałe... A więc wy-
zdychamy do ostatniego. W ciągu tych pięciu dni umarło jedenastu,

a jednego zastrzelił podoficer, pies wściekły... A Misza, twój przyjaciel, nie chciał umierać, nawet zapłakał...

„Nie chciał umierać. Nawet zapłakał... Poczekaj, gdzie on mieszkał? Zdaje się, że na Piotrogradzkiej”.

Upłynęło trochę czasu i oto obok Aleksego jakiś inny człowiek. Młody z rozgorączkowanymi oczyma, w marynarskiej bluzie i kusym czarnym szynelu.

— Czemu oddajesz pożywienie zbiegowi?

Aleksy drgnął. Czyżby się przesłyszał? Patrzy na marynarza. Twarz znajoma. Jechali w jednej ciężarówce.

— Za co? — powtarza marynarz nalegająco.

Szerokie czoło, włosy krótko ostrzyżone, sterczą na jeża.

— Skąd rodem? Zdaje się, leningradzki?

Na pewno ten marynarz już wie... Przyznać się... Teraz już wszystko jedno...”.

— Za co oddajesz? — W oczach marynarza coś jakby współczucie — Przegrałeś w karty?

— Nie, ja politruk.

— Takeśmy myśleli... — Podniósł się i rozmachując szerokim kloszem spodni, przełazi przez śpiących, dociera do przeciwległego kąta, przysiada się obok tak samo rosnącego, jak on młodzieńca.

Aleksy zwija się w rogal. Ogarnia go drzemka. Cały czas prawie przechodzi we śnie. Cały czas, prócz apeli i otrzymywania bałandy, którą natychmiast zabiera Czernych. Aleksy stracił poczucie czasu. Dzień, noc, wieczór, jak w kalejdoskopie.

Znów ranek... Zwykły zgrzyt zamka. Z szumem otwierają się drzwi. To samo: *Raus, antreten! Los! Los!* Dzisiaj podoficer ma dzień wolny, zamiast niego robi pobudkę szeregowiec Heinrich. Uważają go za dobrego człowieka. Nie bije.

Heinrich popędza jeńców.

— Ilu umarło w nocy?

Jest to normalne pytanie. Jeńców jest coraz mniej. Głód kosi.

— Trzech.

Żołnierz pobieżnie spogląda na trupy. Wzrok jego zatrzymuje się dłużej na jednym ze zmarłych — czarnobrodym zbiegu. Na szyi jego sine plamy. Żołnierz rozgląda się wokół, nagle czerwieni się, w oczach zakfopotanie. Domyślił się przyczyny śmierci tamtego. Ale oto twarz Heinricha staje się znów nieprzenikniona. Poprawia tylko okulary i, kryjąc wzburzenie, głośno wydaje komendę:

— *Raus!... Los, los!*

Wszyscy wychodzą. Wlecze się chwiejnie i Aleksy. Obok

niego marynarz. Aleksy patrzy w stronę kąta, gdzie leżą trzech zmarli. Obok Czernycha wala się na ziemi niebieski bilet. Marynarz szybko go podnosi i wsuwa Aleksemu do kieszeni.

— Weź na wszelki wypadek. Jest tu jeszcze jeden, który na ciebie zezem patrzy. A w następnym obozie, jak już wpadniesz, bacz... No, czegoż, ty mały jeszcze nie pojmujesz?

Posuwają się w ogonku do czarodziejskiego okienka. Marynarz opowiada o sobie. Rodem z Irkucka, do niewoli dostał się nie dawno...

Z okna pachnie jadem, w głowie się od tego kręci i wszystko przewraca się wewnątrz. W rękach Aleksiego kociołek. Jeszcze wczoraj wziął go, gdy zobaczył, że sąsiad jest martwy i kociołek nie będzie mu potrzebny.

Aleksy podstawia kociołek. Ręce i nogi drżą! Ledwie stoi. Marynarz wyciąga z jego kieszeni niebieski bilet, tka do okna. Kucharz wlewa do kociołka Aleksiego jeszcze jedną porcję.

— A główne, wzmocnij się... szepce marynarz. — A tam dalej zobaczymy... A nie, to się załamiesz... Idź, jedz...

Aleksy siedzi na podłodze, pożądliwie łyka mączną bełtuchę, patrzy wokół otępiąłym wzrokiem. Nikt mu obecnie nie zabierze jedzenia... Je, je i oblewa się słonym potem z osłabienia... Później niepamiętny na nic, dowleka się do swego kąta, pada i zasypia jak trup. A gdy się budzi, obmacuje w kieszeni niebieski bilecik; robi mu się podle na duszy. Zdaje mu się, że jakiś człowiek w łachmanach patrzy na niego z pogardą. Aleksy wydobywa przekłętą papieraśkę i z wściekłością rwie go na małe kawałki... Nie, nie ma racji marynarz. Lepiej zdechnąć z głodu, niż nosić bilet zdrajcy!...

Drzwi się otwierają. Na progu — podoficer.

Potrzeba piętnastu zdrowych ludzi. Będzie praca — będzie chleb.

Taki jest sens jego słów. W pierwszej chwili wszyscy niedowierzają patrzą na faszystę. Ale oto podnosi się marynarz, za nim jeszcze jeden, jeszcze i u drzwi — tłum. Nikt nie chce zdychać w tej śmierdzącej izbie.

— Czego leżysz, — trąca marynarz Aleksiego — wstawaj, może w drodze uda się uciec...

Aleksy idzie ku drzwiom.

— *Zu viel, zu viel! Nur fünfzehn man!* (zbyt wielu, tylko piętnastu ludzi) — mruży podoficer. Wygania ich wszystkich na ulicę i tam przy świetle słonecznym zagląda w twarze i wybiera piętnastu jeńców, którzy jego zdaniem są jeszcze zdolni do pracy. Resztę gania z powrotem do izby.

Na pożegnanie marynarz dziarsko skinął do Aleksiego. ak-

by mówił: trzymaj się, nie upadaj na duchu! Ach, żebyż on wiedział, jak bardzo będzie potrzebny młodemu politrukowi Aleksemu Kłoczkowowi po latach!

Wszystko to Aleksy opowiedział uczciwie kapitanowi kontrwywiadu, Wostocznemu. Ten słuchał, palił, milczał. Ostatecznie więc Aleksy nie wiedział, czy mu ten kontrwywiadowiec uwierzył, czy nie.

Wolno Aleksy szedł zanurzoną już w mroku ulicą Wiednia, obcą ulicą w obcym mieście, napotykał obcych ludzi. W sercu uczucie — choć wkładaj głowę w pętlę! Wkradały się wątpliwości, ogarniał go niepokój, niepojęty strach. Co o nim pomyśli pułkownik Kisliakow, gdy mu kapitan po swojemu opowie historię niebieskiego biletu. A Bańkowski? Jak do tego ustosunkują się również jego bliscy: ojciec i matka?

Przyszła mu na myśl Liuda. Czy ona uwierzy? I nagle rozumiał, że jego sprawa jest bardzo, bardzo skomplikowana. I nikogo, kto by pomógł. Ach, żeby tak spotkać tego marynarza! Ale Aleksy nigdy go już więcej nie widział, choć przeszedł wiele obozów...

Żeby tak godzinkę побыć w tej chwili w domu obok matki. Tak bardzo serce boli. Ona uwierzy. Na pewno uwierzy!

— Pobudka!... Wstawaj, wstawaj, tatuńciu!...

Aleksy podnosi głowę. Nad nim stoi Bańkowski, uśmiecha się.

— Zdaje się, żeś odwykł od dyscypliny. W niewoli spaliście, zapewne, ile dusza zapagnie?!

Aleksy szybko się ubiera, naciąga ciasne obuwie, które już wczoraj zdobył dla niego Bańkowski. W duszy myśli: „nie daj ci Boże, tatuńciu, побыć tam, gdzie mnie bywać przyszło”. Bańkowski jednak, jego zdaniem, bardzo przyjemny człowiek. Cały czas podżartowuje sobie, wszystko co robi wychodzi lekko i naturalnie.

— Nie wkładaj butów — powiada Bańkowski — zaraz dostaniemy umundurowanie.

— Naprawdę? — Aleksy wzruszony patrzy na pisarza.

— Nie, nieprawda. Kiedy ja mówię, znaczy się tak. Bańkowski, tatuńciu mój, wie co robi. Podziękuj losowi, żeś mnie spotkał.

Idą korytarzem aż do końca.

— Tfu, do diabła — kręci głową Bańkowski — intendent jeszcze dosypia. Zupełnie się rozpuścił. Poczekaj na mnie, ja go zaraz podniosę.

Bańkowski ginie w jednym z niezliczonych pokoi. Wkrótce

wraca, pobrzękując kluczami. Mrugnawszy porozumiewawczo, szepce:

Zaraz cię umunduruję, potem dopiero zajdziesz i pokwitujesz w ewidencji.

W intendenturze pachnie gumą, skórą, szuwaksem i czymś kwaśnym.

— Ja ci, tatuńciu, wybiorę co najlepsze — mruży Bańkowski, grzebiąc niedbale w kupie starych rzeczy. Ogląda jedną rzecz, drugą, trzecią i odrzuca. Ciągłe nie to. Szmaty. I w dodatku, jakie szmaty! Stare, znoszone. — Ale to nic, nie martw się.

Za parę bochenków chleba można w Wiedniu uszyć wspałały mundur. Poczekaj trochę, urządz się.

Przyszedł wkrótce zaspany, z obrzękłymi oczyma intendent.

— Czegoś tak wszystko porozwalał, czego się grzebiesz? Nie widzisz, jaki towar, bierz cokolwiek!

Kiedy już Aleksy odział się, wygląd jego nie był bardzo pociągający. Zmięta, poczerniała bluza wojskowa, stare brezentowe buciory. Szare szarawary, jakie zazwyczaj nosili rzemieślnicy. Tylko że tamci mieli nowe, a te były połatane. Jedyne czapka była prawie nowa i miała prawdziwą czerwoną gwiazdkę sowieckiej armii. I to już było powodem do radości. Aleksy kilkakrotnie ukradkiem spoglądał w lustro.

Niespodzianie wszedł na to pułkownik Kisliakow.

— Co to za łachy naciągnęliście na niego? — spytał intendenta.

— Nic lepszego nie ma, towarzyszu pułkowniku.

— Jużeśmy zryli całe to barachło — dodał Bańkowski.

— Towarzysza trzeba ubrać jak należy — powiedział pułkownik — chłop stęsknił się za ojczystym mundurem, a wy — coście mu tu podsunęli?

— Będzie zrobione, towarzyszu pułkowniku. Uszyjemy na zamówienie.

— Róbcie, róbcie. Kłoczkow jest mi potrzebny.

Pułkownik wyszedł, a Bańkowski, gryząc paznokcie małego palca, patrzył skupiony w jeden punkt. Wreszcie machnął ręką.

— Dobrze. Całe życie będziesz pamiętał Bańkowskiego. Ruszaj za mną!

Zeszli na dół, minęli jakieś wielkie puste podwórze i wkrótce znaleźli się na schodach przed drzwiami mieszkania. Pisarz zadzwonił.

Drzwi otworzył człowiek w podeszłym wieku, w okularach. Zobaczywszy Bańkowskiego, uśmiechnął się uniżenie i oddawszy głęboki ukłon, zaprosił ich skinieniem do wnętrza.

— To krawiec — wyjaśnił Bańkowski i zaczął rozmawiać z Austriakiem, zrećźnie pracując rękami, mimiką, z rzadka wstawiając niemieckie a nawet francuskie słówka.

— Widzisz — skinął na Austriaka — komrad ubrany niks gut. Z obrzydzeniem potrząsnął połą bluzy wojskowej Aleksego. Trzeba kamrada ubrać gut. Pardon — powiem w tajemnicy: ten towarzysz będzie u nas arbeit. *Komendantur, Verstehen?*

Austriak kiwał głową i przypochlebnie się uśmiechał.

— Dam ci dwa chleby. *Zwei stück, verstehen?*... Ale pamiętaj, żeby jutro było... *fertig!*

Austriak przestał się uśmiechać, na twarzy pojawiło się zafrasowanie. Spytał, kiedy mają być gotowe spodnie i bluza.

— Jutro.

— *Morgen* — odpowiedział Aleksy.

— Tak, tak, *morgen*.

— Materiał? — wymówił po rosyjsku Austriak.

Materiał przyniesiemy. O, on sam przyniesie — wskazał pisarz na Aleksego. — No, a teraz, poszli. Pardon!

— *Zebr gut, zebr gut* — mruczał Austriak.

Bańkowski z Aleksym wychodzili już z mieszkania krawca, kiedy ten się lękliwie zająknął:

— *Zwei brot — wenig...*

— Co takiego — *wenig?* — spytał Aleksego Bańkowski. — Dwa bochenki mało? Ze zdumieniem spojrzął na krawca. Zgłupiałeś tatuńciu?... No, dobrze już, damy trzy.

— *Dreit, gut* — aprobusząco załopotał rżęsami Austriak.

Pogrzebawszy w pamięci, Bańkowski dodał:

— *Drei* będzie całkiem *genuch*.

Kiedy znów znaleźli się na ulicy, zatrzymał Aleksego:

— Teraz trzeba będzie namówić tatę, aby dał zezwolenie na pójście do mieszkań arystokratów.

— Jakich arystokratów?

— To nasi chłopcy tak nazwali cały kwartał, gdzie, rozumiesz, mieszkały same tuzy. Wszyscy drapnęli na zachód do Amerykanów. A całe swoje barachło zostawili. Tam znajdziemy jakie chcemy kupony na ubrania. Najważniejsze to dobrać kolor ochronny. Zrozumiałeś? Och, tatuńciu, powiedz dziękuję, zem spotkał w życiu Bańkowskiego. Poufale poklepał Aleksego po plecach. Potem, pomyślawszy chwilę, zapytał:

— Czy to prawda, że byłeś oficerem?

— Byłem.

— Tak, tatuńciu, nie powiodło ci się. Jak się to mówi: fortuna nawaliła.

W pół godziny potem Bańkowski stał przed pułkownikiem

Kisliakowem, opowiadał, że obleciał wszystko i wszystkich, ale odpowiedniego umundurowania nie ma.

— Jeżeli pozwolicie, towarzyszu pułkowniku, pójść do domu pod numerem jedenastym, tam bym zdobył dla towarzysze materiał i poprosiłbym krawca, aby pręciutko uszył.

Pułkownik drwiąco popatrzył na Bańkowskiego, ale przepustkę wypisał, uprzedzając:

— Tylko z wyjątkiem kuponu na mundur wojskowy, nic więcej nie brać.

— Rozkaz!

Szybko doszli do potrzebnego domu. Przy podjeździe stał wartownik z automatem.

— Stój! Dokąd!

— A oto przepustka, drogi towarzyszu!...

Bańkowski, jak gospodarz otworzył drzwi do pierwszego z brzegu mieszkania, wszedł do pokoju i zawołał Aleksego.

— Chodź tutaj, szukaj. — W pokoju pachniało naftaliną.

— Jeśli tu nie znajdziemy, trzeba będzie iść do innych pokoi...

Wkrótce już wracali. Bańkowski wsunął pod koszulę parę najcieńszej damskiej bielizny. Spojrzał na Aleksego i natychmiast spuścił oczy.

— Wiesz, ja sam nie lubię się grzebać w cudzych szmatkach. Ale co robić, nagich mam w domu kupę... Naszych Niemcy nie żalowali, niczym nie gardzili. A my co, perły mamy przed świniami rozsypywać. Albo z reweransami do nich... I tak trzymam się, jak mogę. Nieraz jakiś typ patrzy na ciebie bezczelnymi ślepiami i od razu widać, że gdyby tylko mógł, utłukłby cię z miejsca. A samego aż dłonie swędzą. Bo trzeba udawać, że się jego spojrzenia nie zauważa. A tu przejechałbyś się po jego mordzie. Masz, gadzie, powąchaj, jak rosyjski kułak pachnie!

Zatrzymał ich wartownik:

— Co niesiecie? Pokazuj... ta-ak, kupon na mundur wojskowy. A co jeszcze?

— Nic więcej.

— Wywrócić kieszenie.

Bańkowski wściekł się.

— Czego ty nas obmacujesz? Poczekaj, już pułkownik wyspie ci na całego. Zachowujesz się, jak pies na sianie!

— Coś ty powiedział?... powtórz!... Ja ci pokażę psa! — Zakipiał z kolei wartownik.

— No, dobrze już, dobrze, daj spokój... Czego na swego brata chnykasz — nagle po przyjacielsku przemówił Bańkowski.

— Możesz mnie zrewidować, niczego nie wziąłem. — Rozpostarł

ręce. — Ja tylko towarzysza przyprowadziłem, on nowy i potrzebny mu jest mundur terminowo. Będzie u nas pracować jako tłumacz. Widzisz, jak jest ubrany. A mnie nic nie potrzeba.

Wartownik zmiękł, odstąpił o krok, ale ciągle jeszcze spoglądał na Bańkowskiego ze złością.

— Idźcie!

I zapewne na znak pogardy dla pisarza, gwałtownie i demonstracyjnie obrócił się tyłem.

— Widziałeś, jacy się spotykają? Myśmy krew przelewali, a ten tutaj burżujskich szmatek strzeże!... Nie mówiłem ci jeszcze: ojciec mój zginął już w roku czterdziestym pierwszym. Prócz mnie, są trzy siostry. Ot, choćby bielizny im posłać.

Na drugi dzień kitel i bufiaste spodnie były gotowe. Dla pisarza zdobycie trzech bochenków chleba, było drobnostką. Wszędzie miał „swoich” chłopców.

Aleksy był rad, że jest tak elegancko ubrany. Ścisłe mówiąc był ubrany o wiele lepiej niż w roku czterdziestym drugim, kiedy jeszcze na kołnierzu miał dwie kostki.

Obecnie naramienniki były bez gwiazdek i nawet bez paszków, takie ot, naramienniki szeregowca. Ale co za radość w duszy! Znowu stał się człowiekiem. Stał się żołnierzem ojczystej armii!

— No, tatuńciu, idź i pokaż się komendantowi i powiedz, żeś już gotów do spełniania obowiązków służbowych. Weź pod uwagę, że tata to bardzo lubi.

Pułkownik uważnie popatrzył na młodszego wojskowego tłumacza, na twarzy jego pokazał się uśmiech.

— Rad?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Dziękuję za zajęcie się mną.

Pułkownik, wyprostował się i rzekł surowo:

— Przed wdzięcznością stawiam działanie.

— Służę Związkowi Sowieckiemu — nieśmiało powiedział Aleksy, przykładając rękę do daszka.

Pułkownik poprosił siadać.

— Tak, towarzyszu, młodszy tłumaczu wojskowy — powtórzył. Obecnie znów służycie Wielkiemu Związkowi Sowieckiemu. Pamiętajcie o tym na każdym kroku i w każdej chwili. Wypadek wojenny... powiedziałbym tragiczny wypadek w waszym życiu przerwał tę służbę. Ale, mam nadzieję, że obecnie będziecie wypełniać tę służbę, jak wypada prawdziwemu sowieckiemu żołnierzowi. Na ramionach macie w tej chwili naramienniki szeregowca. Nikt temu nie jest winien. Przyjdzie czas, gdy sprawa wasza będzie rozpatrzona i zdecydowana.

Do gabinetu wszedł bez pukania porucznik w starszym wieku. Znużonym ruchem zdjął czapkę. Czarne włosy wiły się koło niewielkiej łysiny.

— Bardzo dobrze, żeście wrócili. Poznajcie : Borysie Iljczu towarzysza Kłoczkowa — waszego bezpośredniego pomocnika i zastępcę — rzekł pułkownik.

— Dzień dobry — rzekł porucznik, z lekka gardłowo przy dźwięku „r” — i wyciągnął rękę. — Starszy wojskowy tłumacz, porucznik Dumisz. Będziemy pracować. I powiem w tajemnicy — z uśmiechem spojrzął znacząco na pułkownika — że roboty będziemy mieli obaj powyżej uszu. Będziecie radzi, jeśli uda się wam ukraść dodatkową godzinkę snu. Powiem więc od razu, aby potem nie było pretensji: dla nas nie ma ani wieczornej ani rannej pobudki...

— Myślę, że pošlemy towarzysza od razu do obozu jeńców esesowców... Będzie to pewnego rodzaju chrzest bojowy. — Pułkownik roześmiał się.

— Kląć po niemiecku potrafisz? — spytał Dumisz.

— O, to to ja umiem!

— Na przykład?

Aleksy patrzył pytająco to na pułkownika to na Dumisza.

— Tak, tak. Oni wszyscy, jak jeden łotry, zbóje. Do siedzenia za kratą nieprzyzwyczajeni. Dobrze im było, gdy siedzieli inni. Tacy, jak wy, Kłoczkow. A obecnie zamieniłeś się z nimi miejscami. Trzymać ich trzeba surowo, żadnego pobłażania. Myślę, że nie będziesz szukał słów po kieszeniach. Ale pamiętaj o jednym: bicie jest zabronione. Mimo wszystko będziemy się starali ich wychować. Na nowo.

— Na nowo tylko ziemia wilgotna ich wychowa — uśmiechnął się posępnie Dumisz.

Do obozu jeńców esesowców trzeba było jechać zaraz. Jadąc ulicami Wiednia, Aleksy nikogo i niczego nie widział. Był bardzo zdenerwowany. Przecież jeszcze kilka dni temu, on, więzień Mauthausen, musiał przy pojawieniu się esesowca stawać na baczność i zdejmować pasiasty beret aresztancki. Dumisz mówił, że niektórzy z jeńców zachowują się po nonszalancku, jakby jeszcze na coś licząc.

— Towarzyszu Kłoczkow, jako niższy szarżą, podasz komendę: „baczność”.

Na podwórzu więzienia włączyły się bez zajęcia różne dryblasy w pomiętych niebieskich frenczach.

Aleksy zrobił kroków ku przodowi i głośno, drżącym z podniesienia głosem, krzyknął:

— *Achtung!*

Niektórzy z esesowców wyciągnęli się, inni jak siedzieli, tak siedzieli nadal.

— A wy co? Nie rozumiecie komendy, czyście pogłuchli?! — spytał Aleksy po niemiecku.

Popatrzone na niego z jawną ironią. Jeden z nich, okrągłolicy tłuścioch esesowiec powiedział coś do swoich kolegów i siedzący z nim Niemcy zachichotali.

Aleksy podskoczył do nich i wycedził przez zęby, patrząc w twarz tłuściocha:

— *Halte Schnautze du, Scheisskipel motorisirt!* (zamknij mordę, ty, zmotoryzowana beczko gówna!).

Esesowcy powoli podnosili się, posepnie patrząc na tłumacza. Przekleństwo, zrodzone gdzieś w katowniach, nie było im oczywiście obce. A więc stał wobec nich doświadczony więzień obozowy, jeśli przemawiał językiem kryminalisty.

Tłuścioch coś zamruczał.

— *Rube!* — warknął nań Aleksy. Zerwał z siebie czapkę i pokazał esesowcom głowę. Od czoła aż na tył głowy widać było drózkę, wystrzyżoną aresztancką maszynką.

I już spokojniej, ale ze ściśniętymi zębami, obrzucając wzrokiem tych zdrowych chłopaków, wycedził:

— Patrzcie na mnie! Popatrzcie!

Teraz już wszyscy stali wyciągnięci i patrzyli tylko na niego. Aleksy nie wiedział, że i Dumisz był zdenerwowany. „Teń z nimi da sobie radę. O jak przycichli. Zobaczyli i poznali, kto przed nimi stoi i z kim mają sprawę” — pomyślał radośnie.

Po wizycie w więzieniu Dumisz rzekł:

— Wspaniale Kłoczkow, przekonany jestem, że znajdziecie z nimi „wspólny” język.

Pułkownik zauważył:

— Idźcie do fryzjera. W łaźni też jeszcze pewno nie byliście.

— Wszystko w porządku, towarzyszu pułkowniku. Myłem się niedawno w Mauthausen. Komitet więźniów w pierwszym rzędzie zorganizował łaźnię. A ostrzyc trzeba się koniecznie. Zatrzeć ostatni ślad katorżnika.

Wieczorem spotkali się z Bańkowskim. Pisarz wypytywał o wyprawę do esesowców.

— Borys Iljicz ich się boi — powiedział. — Teraz ty na pewno będziesz musiał tam pracować. Mówi się, że nie zadługo odeślą ich do obozu na naszym terytorium. Być może, że będziesz odkomenderowany w charakterze towarzyszącego.

Perspektywa wyjazdu do kraju bardzo ucieszyła Aleksego.

— A czego ich się bać?

— Dumisz boi się od ostatniego wypadku. Pewnego razu

rzucił się na niego esesowiec z nożem. Nasi chłopcy zdążyli go schwytać i związać. Płakał i ciągle powtarzał: „Dlaczego Żyd na wolności, a ja w więzieniu. Dlaczego on żyje?”. Tak ich nastroił Hitler.

Bańkowski i Aleksy tak sobie rozmawiali już po wieczornym capstrzyku. Żaden z nich nie wiedział, że w tym samym czasie pułkownik odczytywał zalecenie, podpisane przez kapitana Wostocznego, aby natychmiast odkomenderować młodszego politruka Kłoczkowa do zbornego oficerskiego obozu, celem repatriacji do kraju.

— Szkoda — rzekł głośno pułkownik, kiedy został sam. — Dzisiaj Kłoczkow dowiódł, że mógłby być pożyteczny w służbie. Byłby doskonałym pomocnikiem dla Dumisza...

A wkrótce do pułkownika zatelefonowali ze sztabu. Prosilili, aby natychmiast przysłał tłumacza. Schwytano trzech Niemców, przebranych w rosyjskie mundury. Jeździli na wojskowej maszynie po austriackich wioskach, grabili, usiłowali zbiec do Amerykanów.

Przy wyjściu czekał na Aleksego samochód. Oddział wojskowy, do którego dostarczono grabieżców, znajdował się niedaleko od komendantury, ale obawiano się, że Aleksy sam pobłądzi w labiryncie zburzonych uliczek.

Dyżurny zaprowadził Aleksego do piwnicy, która czasowo była przerobiona na areszt polowy. Spojrzawszy na „Niemców”, Aleksy ze zdumienia aż usta otworzył. Przy słabym świetle ujrzał trzy znajome fizjognomie. Był to podoficer Straszko i dwaj jego żołnierze, którzy operowali we wsi Oberhof.

Niemniej zdumiał się i Straszko, poznawszy Aleksego. Trzy dni temu widział go po cywilnemu, bosy, z krwawymi odciskami na nogach. Obecnie stał przed nim tłumacz w nowiutkim spod igły kitlu, bufiastych spodniach i wyczyszczonych do pełnego blasku butach.

— Acha, wszlapani się? — uradował się Aleksy. — Jacyż wy Niemcy?

Milczeli

— Cóż, nie poznajecie mnie?

„Niemcy” dalej milczeli.

— Coście wody do ust nabrali? — zaklął Aleksy i zaczął mówić już po niemiecku.

Straszko i jego podwładni jakby ogłuchli i oniemieli.

— Ach, wy swołocze! — roześmiał się Aleksy. — Bałakat’ oduczyliście się, tak?

Wreszcie podniósł ciężko głowę Straszko. — Ot, co... musimy się już przyznać. Oś zza swojej dury wpadliśmy tym razem.

Niemieckie barachło nas pogubiło. Zostaliśmy w tyle od naszego oddziału, zagubiły dokumenty. Szukały — szukały i oto partyzantamy zrobili... „Zastąpić za nas, druże... Objasni komandiru. Niechaj wyzwolit nas z cjego pidwalu.

Tej nocy Aleksy już nie zasnął. Wyjaśnione zostało, że Straszko i jego dwaj pomocnicy: Malnik i Dziuba — to zatwardziali banderowcy, którzy usiłowali uciec na zachód. Już dawno poszukiwał ich nasz kontrwywiad.

A raniem czekało go coś nowego: wysyłka do zbornego oficerskiego obozu na Węgrzech. Tak wyglądała jego służba w wojsku: jeden dzień pracy w Komendanturze.

— Żałuję — przyznał się pułkownik. — Ale nic nie mogę poradzić. Rozkaz jest rozkazem. — Pomilczał chwilę, ciężko westchnął, a potem po ojcowsku spojrzął na Aleksego. — Wierzę, żeś najadł się biedy wiele... — i jakby mu nagle zaczęło się śpieszyć, wyciągnął rękę na pożegnanie.

Zarzuciwszy na ramię zieloną torbę, Aleksy wolno szedł słoneczną wiedeńską ulicą.

R o z d z i a ł d r u g i

Na brzegach dróg niknęły już powoli rdzawe główki podbiału. Łąki pokryte były bujną trawą. Gdziegdzie złościły się pyszne czapeczki dmuchawca, wytryskiwały z trawy na cienkich nóżkach żółte ogniki kuroślepu. W gaju nad brzegiem Balatonu śpiewały niewidzialne ptaki. Na niebieskich falach jeziora kołysały się łódki i kutry... Zdawało się, że już nic nie przypomina wojny.

— Popatrz, miły — ryby łowią — uśmiecha się towarzysz podróży Aleksego, Iwan Kaszelkin.

— Nie odgadłeś przyjacielu — roześmiał się posępny szofer. Trupy wyławiają.

Kaszelkin potrząsa głową, wzdycha.

Kasztańki opuszczają gałęzie nisko nad szosą. Kaszelkin wyciąga czerwone łapsko, chwytając za gałąź, oddziera liście, pcha je pod nos i głośno wdycha powietrze.

— Ach, jak przyjemnie... A u nas w Riazani przy drogach tylko łoża i łoża.

Nad wstążką asfaltu — cienie drzew. Pachnie wodą. Wiodocznie oddech Balatonu. Z rzadka napotykanie czarnowłose Wę-

gierki, leniwie ustępują z drogi i trochę dzikimi oczyma długo patrzą na samochód. A w oddali, na jeziorze migocą i migocą staczki niecodziennych rybaków.

Kaszelkin ma malutkie szare oczka, mięsiste wargi. Uśmiecha się bez powodu, dobrotliwie spogląda na polany, na drzewa, na Aleksę. Potem nagle chmurzy się. Wtedy na jego szerokiej twarzy zaczynają biegać jakieś cienie, zgrubienia, a oczy stają się jakby mętne i smutne. Od dawna już zamierza coś powiedzieć, ale powstrzymuje się. Ale oto, zapaliwszy fajkę i potrząsnąwszy rudymi włosami, zaczyna śpiewnie:

— Ja, mój miły, wojowałem w tych stronach. — Patrzy przez chwilę na ledwo już widoczną, niebieską smugę Balatonu. — Rozumiesz, pewnego razu wpadam do chaty i krzyczę: „Wody, prędzej!” — A przerażona Madziarka buch na łóżko. Tfu, durna, powiadam. Chcę się napić. Umieram niemal, tak pali na wnętrzu!... Z trudem wytłumaczyłem... Niemcy nas wtedy znów wyparli i trzymali się ze dwie godziny. Potem myśmy ich wybili i zaszedłem do tego samego domeczku. Patrzę — a na łóżku ona, martwa... No, dobrze narobili świństwa, ale, powiedz, czemu pozbawiać życia? Czemu życia pozbawiać?... — Smutnie opuścił ramiona i ciężko wzdycha: — Oj, miły, wojna tu była taaka... Uuu!

Kaszelkin pokręcił głową.

Nie wiedzieć czemu Aleksy zapytał:

— Byłeś dowódcą?

Kaszelkin jakoś zapadł się w sobie, popatrzył na swoje zapyłone buciska, uśmiechnął się:

— Wszyscyśmy nimi bywali.

Oficerski punkt zborny znajdował się na miejscu byłego obozu jeńców. Dotarli tutaj po półtorej godziny. Kłoczkowa i Kaszelkina zaprowiantowano.

— Pamiętajcie: druga kompania, czwarty pluton, czwarta sekcja. Starajcie się przywyknąć do tutejszych przepisów. — Człowiek mrugnął porozumiewawczo, zamknął zeszyt. — Jestem taki sam jak wy. Pełnię obowiązki pisarza. Zdążyliście na czas. Oczekujemy, że jutro będzie wysyłka do kraju, do ojczyzny.

„Do ojczyzny... do ojczyzny... do ojczyzny”... Słowa te dźwięczały w uszach w czasie gdy szli do jadalni, jedli kolację, gdy wracali do „swego” baraku.

Aleksy skulił się na narach i ciągle myślał o jutrzejszym dniu. „Do ojczyzny...”. Nagle ścisnęło się serce. Niczego w życiu już więcej nie pragnie. Jak najszybciej do domu. Przypomniały mu się słowa zmarłego towarzysza: „Ach, żeby dożyć tej chwili!”. Aleksy dobrze pamiętał jego adres. Przyjedzie do domu i natychmiast napisze: Sumskaja obłast', Szatygiński rejon, Wieś Wikto-

rowo”. Straszna będzie ta wiadomość dla staruszków. No, ale co robić? Walery bardziej się obawiał tego, że jego matka i ojciec nie dowiedzą się, gdzie zginął ich syn, niż samej śmierci. Śmierci się tak nie bał, jak zaginięcia bez wieści...

W innym kącie baru opowiadał ktoś o swoim miasteczku Szumich. Aleksy zmarszczył czoło, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie jest takie miasteczko.

— Mam tam sad...

— W samym mieście?

— Miasteczko u nas lichutkie, maleńkie. A my na samym skraju. Wyjdiesz za nasze obejście, jezioro... Aby jak najprędzej do domu... A tam... Ech, powiem wam, aż ręce swędzą do swojej pracy! Bardzo zatęskniły! Jestem przecież dobrym tokarzem...

— Może nie od razu puszczą do domów?....

— A dlaczego? Wojna się przecież skończyła...

Przed oczyma Aleksiego staje, jak żywy, generał Karbyszew. „Towarzysze, kto wróci do ojczyzny, będzie tam witany z szacunkiem”... Generał wypowiedział te słowa prawie dwa lata temu we Felsenburgu. A zginął w Mauthausen.

I znów głos z innego końca baru:

— Sad, można powiedzieć, zdrowie wlewa w człowieka...

Aleksy podniósł się. Jakieś ciepło ogarniało duszę. To wszystko: powolne pokrępiające rozmowy o jutrze, uroczysty spokój na twarzach — zdawało się jakimś snem, w którym człowiek oddychał całą pełnią i w którym nie dręczą go koszmary przeżytych przejść. Wstał i wyszedł z półciemnego kąta.

— Bywało tak, powiem wam, wrócisz z pracy... I po fabrycznym huku, od razu wchodzisz w ciszę, jakbyś się do wody zanurzył, aż serce zamiera...

Opowiadający siedział na górnych narach, okrągłutki, maleńki, zwiesiwszy króciutkie nóżki, płynnie gestykułował maleńkimi rączkami. To podporucznik Fenota. Obok niego zgarbił się porucznik Sudariew. Długi, niezmiernie chudy, przypominający nazbyt podpalonego irlandzkiego terriera. Ziemista twarz, ogromne wilgotne oczy. Aleksy słyszał, jak Sudariew żalił się komuś w stołówce, że w niewoli dostał wrzodu na dwunastnicy.

— Co za — powiedziałbym — rozkosz... — z wyrazem szczęścia na obliczu, mówił Fenota. — Popatrzysz, a tu dzieciarnia zażera się w krzewach jagodami, żona robi kolację. No i, rozumiesz, bo przecież to całkiem jasne — od razu bierzesz się do roboty: marynaty!... Ta-ak... wygotujesz puszki, słoje, dajesz im podeschnąć. Pokryweczki również wygotujesz. Niezbędna jest najpełniejsza sterylizacja, inaczej sfermentuje. Na pewno sfermentuje. A przez ten czas, kiedy się to wszystko gotuje, robisz syrop

z cukru. Dla ogrodowej poziomki, na trzylitrowy słój potrzeba tylko pół kilograma cukru-kryształu. Cała sprawa zajmie ci jakieś pięćdziesiąt minut i patrzysz, a tu jeden słój już gotów. Bierzesz się za drugi... Za to zimą; otworzysz: powiedzmy na Nowy Rok albo na urodziny... Ach, palce lizać. Poziomki całkiem świeże. A aromat... Jaki aromat! W pokoju latem zapachnie. Przymkniesz oczy i zupełnie jakbyś w sadzie siedział i jadł świeże jagody... Ach! — Fenota westchnął, pokręcił głową.

— Albo weźmy, na przykład, choćby zielony groszek. Też przecież przyjemna rzecz, jeśli przygotować jak należy... Tutaj cukier nie jest potrzebny. Natomiast sól, pieprz, korzonek pietruszki... Dobrze, niewątpliwie, jeśli masz liść laurowy...

Na dole ktoś leniwie ziewnął i gburowato przerwał opowiadającemu:

— Za wiele mitręgi, mój szanowny. A ja uważam tak: zechcesz, pójdziesz, kupisz czego chcesz i zjesz.

— E-e-e, nie! — ożywił się Fenota — takiego zielonego groszku w sklepie nie kupisz. Nie, nie, nie mów... Entuzjasta marynat zamachał krótkimi rączkami. — Nie mogę się zgodzić...

Jego oponent, kapitan Uriński, wstał, przeciągnął się, znów ziewnął.

Podpasany szerokim rzemieniem, zgrabny, z lekko śmiejącymi się oczyma. Twarz ogorzała, czoło szerokie, nad górną wargą jasne dobrze przyszyte wąsy. Spod stojącego kołnierza znoszonego kitla wygląda brzeżek śnieżno-białego kołnierzyka. Kapitan słynie tutaj jako największy pożeracz serc. W łagrze są cztery kobiety-medyczki, które dostały się do niewoli razem z polowym szpitalem.

Aleksy mimo woli zapatrzył się na Urińskiego. Od całej jego postaci wiało spokojem i pewnością siebie. Wiózł ze sobą masę waliz, ani razu do nikogo nie powiedział „ty” i stale ssał fajeczkę, nabijając ją aromatycznym tytoniem.

— Cóż, młodzieńcze? — uśmiechnął się Uriński, widząc spojrzenie Aleksego. Wyciągnął rękę: — Poznajmy się... — Zdawało się, że odgadł myśl Aleksego i pierwszy zaproponował znajomość w sposób bardzo bezpośredni, niewymuszony.

Wyszli z baraku. Wieczór był ciepły.

— Aleście wystrojeni, niech to diabli — mówił kapitan. — I powierzchowność niczego sobie. Tylko chuderlawy. Ale nie ma się co martwić. Pożywienie tu przyzwoite, nabierzecie wagi. Tylko nie tyjcie. Tutaj niektórzy nasi bracia po głodówce zaczęli się po prostu obżerać i przypominają teraz prosiaki. Ot, choćby ten marynarz. Zaokrąglił się, jak bochenek chleba... Ten człowiek puchnie w oczach. Zupełnie jak na drożdżach. Jesteśmy tutaj

miesiąc. Na początku cały czas kręcił się w kuchni. Dostanie dolewkę, siądzie na kamieniu, zje i znów kociołek czyści łyżką. Potem znów do kuchni i do kucharza: „Chłupnij tam, na miłość Boską”. A był chudziak. Ta-ak... Chcecie pójść ze mną? Nie po-
żałujecie.

Uriński wziął Aleksego pod ramię. Poszli wolno przez obóz. Aleksemu podobał się ten dbający o siebie oficer. Było z nim jakoś łatwo. Zapominało się o wszystkich niedolach. Uriński opowiadał anegdoty, podżartowywał.

— Gracie w preferansa?

Aleksy zmieszał się.

— Jakoś tak nie wypadło.

— Szkoda — pulka rzecz ciekawa. Ale to nic. Coś tam wymyślimy. Tam, wiecie jest lekarz-kobieta, bardzo przyjemne stworzenie. Podobna do Venus Milońskiej.

Aleksy nieśmiało zauważył, że nie jest bardzo silny w marlarstwie.

— No, Wiera Iwanowna, oczywiście nie Wenera. Taka — po prostu — miła jasnowłosa śmieszka, wielka miłośniczka preferansa. Mogę was poznać...

— Nie trzeba — zmieszał się Aleksy.

Kapitan uważnie przyjrzał się i konspiracyjnie zapytał:

— Rozumiem. Nie czujecie się w pełni mężczyzną? — Uśmiechnął się zabłysnął białością zębów. — Tu nie niewola, drogi towarzyszu. Przy tym to z czasem wróci.

Ze wstydu Aleksy gotów był zapaść się pod ziemię. Ten kapitan Uriński to bardzo przenikliwy człowiek!

Kapitan zapukał do niewielkiego baraku, który stał na uboczu.

— Prosimy, Siergieju Siergiejewiczu — odpowiedział kokieterjny głosik.

— Drażnicie się ze mną?... Ile już razy prosiłem, aby nazywać mnie Siergiejem, a wy umyślnie tytułujecie mnie również i po ojcu. Rozumiem — robicie ze mnie staruszka. A ja przecie jeszcze stary nie jestem... Proszę bardzo, lepiej zapoznajcie się: mój towarzysz, Aleksy Pawłowicz Kłoczow, politruk.

— O, jego można by nazywać Alioszą — zaśmiała się blondynka.

— Ach tak? Wiera Iwanowna, zacznę być zazdrosny — nachmurzył się kapitan.

Zza przepierzenia wyszły jeszcze dwie młode kobiety: jedna nazwała się Roza, druga — Natasza. Potem przyszła jeszcze czwarta — Lusja. Aleksy aż drgnął, kiedy usłyszał to imię. Przypomniał mu się Leningrad. Ludmiła. Chodził z nią na tańce do letniego pa-

wilonu imienia Pierwszego Maja. Po tańcach odprowadzał do domu. Pewnego razu ona nagle objęła go i pocałowała. I — uciekła. Potem na pewno była zażenowana. Cały tydzień unikała spotkań. A kiedy wreszcie spotkali się, zaprosił Liudę do siebie, przedstawił matce. Odtąd od czasu do czasu zachodziła do niego. Po prostu. Kiedy w domu zostawali sami, całowali się. Kiedyś zaczęli mówić o życiu rodzinnym. Miał wtedy lat siedemnaście, ona — tyleż. Potem o jakies głupstwo pospierali się i długo się nie spotykali. Nie wiadomo, jak długo jeszcze byliby nadęci, gdyby nie to, że zaczęła się wojna. Zaraz na drugi dzień po wybuchu wojny przyszła Ludmiła: tylko co pożegnała brata i ojca, została sama z matką.

Obecna Lusia była jakoś podobna do tamtej dalekiej Liudy, o której nic nie wiedział już trzy lata. Czy na niego czeka? Jak wygląda obecnie? Czy żyje?

Ta Lusia była trochę niższa i włosy miała ciemniejsze. Mówiła jak gdyby półgłosem — oczy miała stale spuszczone, jakby się czegoś krępowała. A w tych oczach był smutek.

— No więc co? w preferansa? — spytała Wiera Iwanowna. Była tutaj najstarsza wiekiem i stopniem.

— Przyjaciół mój, niestety, nie gra — zmarszczył się Uriński.

— Ale w durnia, mam nadzieję, gra?

— Troszeczkę — odpowiedział nieśmiało Aleksy.

Ta nieśmiałość zwróciła nań ogólną uwagę. Nawet Lusia, patrząc cały czas gdzieś w bok albo na podłogę, rzuciła na niego szybkie, zdziwione spojrzenie.

— Jak to mam rozumieć: „troszeczkę”? — uśmiechnęła się Wiera Iwanowna. Albo gracie, albo w ogóle nie umiecie! — Podobała się jej wstydlivość Kłoczkowa.

— Grajcie we czworo — wmieszała się Lusia — ja również nie będę grała.

— Och! — westchnął Uriński — cóż za minorus nastrój?

— Grajcie, a my popatrzemy, poduczmy się — czerwieniąc się, powiedziała Lusia.

Grali jednak nie długo. Wiera Iwanowna zaczęła ziewać, w grze nie uważała.

— Wszyscy macie jakiś minorus nastrój — westchnął kapitan.

Przecież jutro wyruszamy do domu, cieszyć się trzeba! Do ojczyzny!... A wyście jakoś pokiśli.

Lusia szybko i badawczo spojrzała na Aleksego. W jakiś dziwny sposób. Od tego spojrzenia wszystko w nim drgnęło. Zaczął na nią patrzeć. Opuściła oczy.

— No więc dobrze — podniósł się kapitan Uriński. — Jak minorus, to minorus. Gut nacht.

Ulicą ciemnego już obozu szli do swego baraku.

— Która ci się najbardziej podobała? Wieroczka chyba trochę za stara?

Aleksy milczał, ciągle jednak myśląc o dziwnej Lusi.

— Gubisz się — mówił dalej kapitan. Zauważyłem, jak Luśka na was zerkąła.

— A mnie wydała się skromna i nieśmiała...

— Tiuuu... roześmiał się kapitan. — Kochanie! One przeszły już wszystko, dużo więcej, niż sobie wyobrażasz. Coś ty, naiwny?

Zatrzymali się koło baraku.

— Wkrótce wyjedziemy — nie zasypiaj gruszek w popiele. Naszych braci tutaj ze dwustu, a ich tylko cztery.

Aleksy ze zdziwieniem patrzył na Urińskiego.

Kapitan zaczął nagle szeptać, nachylając się ku niemu:

— Mogę powiedzieć, ale tylko, żeby to zostało między nami: Wierka, to etap, który już przeszedłem. Nic specjalnego. O, Natasza... No, ale za nią już uganiają się... Pomyślałby kto?... Jeden kucharz i komisarz... A Roza, ten chuchrak, nie podoba mi się... Tak więc zostaje Lusia. Ona — zagadkus... Jeśli więc wy nie bardzo... to bym się do niej pozalecał.

Starając się robić wrażenie solidnego, Aleksy odpowiedział obojętnie:

— Narzeczoną zostawiłem... Czeka. Też ma na imię Ludmiła.

— A, to tak? — z początku kapitan jakby się zdziwił. Potem roześmiał się.

— Naiwny! Czeka! Na pewno już dawno zamężna!

Nigdy mu to nie przychodziło do głowy. Aleksy myślał różnie: mogła zginąć podczas blokady, mogła być zabita w pierwszych liniach frontu... Ale żeby Lusia wyszła za męża, nie doczekawszy się końca wojny, nie poczekawszy na niego... Nie, o tym nigdy nie myślał.

„Zamężna”... Myśl ta długo mąciła mu spokój. Sen nie przychodził. Obok z otwartymi ustami, twardo spał Uriński. Z drugiej strony zgięty w kabłąk, od czasu do czasu stękając przez sen, leżał Sudariew. Tylko Aleksy męczył się. A gdy wreszcie zasnął, przyśniła mu się Lusia. Tak, ta Lusia z opuszczonymi oczyma, a nie ta daleka, kochana Lusia.

Po śniadaniu wydano rozkaz: być w pogotowiu. Oczekiwano eszelonu.

Aleksy włączył się po obozie, przyglądał się ludziom. Wszy-

scy byli uroczyści, weseli, nawet beztroscy. Tu i tam słychać było radosne okrzyki, powitania, współczujące pytania: „Jak się spało, poruczniku?” — „Jak tam noga, goi się”? „Witam was, towarzyszu majorze!” „Czegoście tacy nieogoleni, kapitanie?” „Życzę zdrowia, towarzyszu, dowódcu batalionu!” „Hallo, pułkowniku Iwanowie!” „Pułkowniku, gdzieżecie się zapodziali?” „Ej, towarzyszu, nie zauważasz swojaków!” Tytuły wojskowe wymawiano z naciskiem, ze szczególnym smakiem. Przecież nie tak dawno nazywano ich *Kriegsgefangenen* albo *Heftling*, *Hund* albo *Schwein*. Jeniec, aresztant, pies lub świnia. I oto przyszła godzina: szybko odradzało się w człowieku wszystko, co ludzkie.

Oczywiście, ciągle jeszcze za drutem kolczastym, ale ponurzy spotykali się rzadko. Patrzone na nich z ukosa. Bo i — rzeczywiście — czego się gnębić? Jedziemy do domu! Cieszyć się trzeba... Ileż trudnych miesięcy a często i lat zostało za nimi. I wreszcie spełniło się: do domu! Jeżeli ktoś się nie cieszy — znaczy się pysk zamazany. No, ale tam, w domu już się wszystko rozpatrzy. Tym, którzy winni — wleci. Niewinnym...? Ach, oni już i teraz weseli.

— Kłockowus, gdzieś się zapodział? — Uriński bierze Aleksego pod rękę. — Wyście mi, mój szanowny, bardzo potrzebni.

— I na cóż to?

— Ty nie masz żadnych rzeczy. Otóż ja się na was nastawiłem — Uriński błysnął zębami w uśmiechu. — Nie myśl. Nie będę dłużny.

Nagle na placu rozległ się dźwięczny okrzyk:

— Do szeregów! Gotuj się!

Każdy pośpieszył do swego baraku.

— Aliosza! — zawołał ktoś pieszczotliwie.

Aleksy odwrócił się. Lusia z dala machała mu ręką. Od jej głosiku stało się jakoś radośniej, a równocześnie jakoś trwoźniej na duszy. Znow coś drgnęło pod sercem...

Porzucano obóz z pieśnią:

*Grzmiąc salwami, migocząc blaskiem stali,
Runą maszyny we wściekły pochód...*

Wielu jednak nie wsłuchiwało się w głosy sąsiadów, ani w swój własny. Nie śpiewali, a ryczeli. Aleksy ruszał wargami i jakiś wstyd go męczył. „Przesiedzieli wojnę w niewoli, a teraz gardłują, jakby nigdy nic”. Zagryzł wargi. Śpiewać niezręcznie, a zwłaszcza na temat „Wściekłego pochodu”. Kiedy jednak zaśpiewano *Katiuszę*, nie wytrzymał, podchwycił pieśń. Waliza nacią-

gała rękę, bolało ramię. Uriński zachęcająco kiwał doń, jakby mówił, później odwdzięczę się.

Przyszli na stację. Wzdłuż peronu stały wagony, na których były napisy kredą. Ktoś policzył:

— Dwadzieścia!

— Po dziesięciu na wagon. Żyjemy bracia!

Obok dworca stali oficerowie w pełnym umundurowaniu polowym — tzw. asysta.

Ustawiono kolumnę wzdłuż eszelonu. Na środek peronu wyszedł major, na piersi skrzyżowane i naciągnięte pasy skórzane. Cichym głosem ogłosił.

— Towarzysze oficerowie. Przed nami droga do ojczyzny. Proszę zająć osiem wagonów.

— Osiem tylko. Fiuuu... przebiegło po szeregach.

— Jeden wagon żywnościowy. Jeden sanitarny. A pozostałe będą zapełniane po drodze na innych punktach zbornych. Na postojach proszę, aby nie oddalać się od transportu. Wszystkie pytania proszę kierować do mnie — do pierwszego wagonu. Czy wszystko jasne?... Do wagonó-ów!

Aleksy zajął miejsce na narach w kącie. Rzucił pod głowę walizę. Ale zaraz przebiegł Uriński. Prawie bez tchu (niósł sam pozostałe walizy) wychrypiął:

— Dziękuję przyjacielu. Dawaj walizę.

I jak pajak, zaciągnął walizę, do przeciwległego kąta.

— Ot baracholszyk — zawarczał sąsiad Aleksiego — i na co mu tyle.

Do odejścia pociągu zostawało jeszcze pół godziny. Aleksy wyszedł na peron, obrzucił wzrokiem wagony. Na wszystkich pośpiesznie namalowane kredą napisy: „Zwyciężyliśmy!”. „Niech żyje Czerwona Armia!”. „Moskwa stoi — Berlin padł!”.

I znów jakieś uczucie wstydu zaczęło gryźć Aleksiego. A właśnie na ich wagonie było wypisane: „Zwyciężyliśmy!”.

Po peronie włączyły się tłumy ludzi. Jedni odziani w aresztanckie łachy, inni w niebieskie frence z piętnem „SU”, niektórzy w doskonałych cywilnych ubraniach, wreszcie, gdzieniegdzie w ojczyстых mundurach, ale bez naramienników.

— Przyjedziemy do granicy i natychmiast zrzucimy to barachło — z całym przekonaniem mówił dobrze już starszy człowiek do otaczających go oficerów. — Nie powiozą nas przecież do ojczyźnej ziemi w tych karnawałowych mantylach! — Wesoło potrząsnął połamami aresztanckiego chałata.

Aleksy chwycił pełne zawiści spojrzenia, jakie rzucano na niego. Toż on w porównaniu z innymi. — elegant. Nie bez racji przecież Uriński, obejrzwawszy go, pokiwał z żalem głową:

— Zamieniłbym się z tobą chętnie, ale cóż kitel na mnie nie wlezie.

Uwaga Urińskiego rozniewała Aleksęgo. — „Czyżby rzeczywiście sądził, że Aleksy zamieniłby ojczysty mundur na jego zagraniczne ubranie? Zwariował człowiek!”.

Pociąg ruszył.

Nie od razu zauważył Aleksy brak kapitana. Zaniepokoił się: czyżby został?

— Już on tam nie zostanie... Jak tylko rozległ się dzwonek — natychmiast dmuchnął do wagonu sanitarnego!

Aleksy uśmiechnął się niewesoło. Złapał się na tym, że myśli o Lusi. Na pewno Uriński teraz siedzi obok niej i coś tam opowiada, rzuca głodne spojrzenia. Starając się nie myśleć o nich, zaczął przysłuchiwać się rozmowom.

— ...Pamiętam oto, był u nas niejaki Jekim Stanowij... Dzieściometrowy surowy chłyst podnosił. I to taki że go pięciu ledwo udźwignąć mogło, a cóż dopiero jeden.

— Co to takiego, chłyst?

— Ech, ty, mieszkańcu stepów, nie wiesz, co to chłyst? Kloc drewniany. Akim Stanowij kładzie go na ramię, a kloc ma dziesięć metrów długości. Sam tylko górny koniec ma ho-ho-ho, dwadzieścia centymetrów średnicy. Nie ma co mówić już o innych rzeczach...

W innym kącie wagonu ktoś z zapalem dowodził:

— Matka pszczoł, to fundament fundamentów. Do tej pory zagadka przyrody. Popatrz, co się dzieje: potrafi w ciągu doby złożyć do plastra do trzech tysięcy jajeczek. Połóż matkę na szalkę wagi, a jej produkcję na dobę na drugą szalkę: jajeczka przeważą. Czy możesz pojąć, co to za sztuka?... W naszym instytucie...

Sudariew, przyciskając ręką brzuch i garbiąc się z bólu, opowiadał o Kirowie.

— Ja z nim ot, tak, jak tu z tobą stałem obok. Zdarzyło się, że zaszedł do lokalu fabrycznego komitetu. Było to w Metalicznym. Wysłano mnie do Leningradu, aby zapoznać się z ich doświadczeniami. Stoję, nagle otwierają się drzwi i wchodzi człowiek jakiś. Spojrzałem i myślę: gdzie go widziałem. A po sekundzie — tam do licha — w mózgu się rozjaśniło: toż to przecież Siergiej Mironycz! Przyjechał ot tak, bez żadnego uprzedzenia.

— Tak, bardzo był prostolinijny i bezpośredni — nie taki jak inni. Co ty myślisz... rozmówca zaczął mówić ciszej. I Aleksy w stuku kół pociągu przestał odróżniać ich głosy.

Powoli rozmowy cichły. Wagon kolebał, chwiały się; ludzie, niczym duże dzieci, drzemali ukołysani. Aleksy półleżał, przymrużywszy oczy. Koła wystukiwały: „do-do-mu... do-do-mu...”.

Myślał o matce, o ojcu. Jeśli żyją, na pewno teraz tęsknią i martwią się, że nie ma od niego żadnych wiadomości. Żeby tak teraz wrzucić liścik. Mówią jednak, że nie dojdzie. Chyba żeby można wysłać przez jakiegoś towarzysza przez numerowany oddział wojskowy.

„Do-do-mu... — Liu-da... Do-domu... liu-da...” stukały koła.

Jaka ona obecnie ta jego Liuda? Na pewno nie raz przychodziła do matki dowiedzieć się, czy nie ma jakiejś najmniejszej choćby wiadomości. Z pewnością nie raz zamartwiały się razem, wspominając go. Ach, żeby już jak najprędzej dojechać! Jak najprędzej przeciąć granice i tam, na pierwszej stacji, wrzucić list do skrzynki... Myślał i o dziadku, u którego przebywał w dzieciństwie. Zabawny stary. Zapewne po dawnemu chodzi po swoim sadzie, nad brzegiem Oki, hoduje pszczoły i wymyśla przewodniczącemu kołchozu. Wszystkimi przewodniczącymi zawsze wymyślał. Zawsze coś, jego zdaniem, było nie tak, albo nie to. Na starego się jednak nie obrażali. Zнали jego gderliwy charakter. Myślał o wujku. W czterdziestym pierwszym był pułkownikiem. Jeżeli żyje, jest teraz chyba generałem. Ot, żeby jego spotkać! Wuj tak go lubił.

„Do-do-mu... do-do-mu...” Znów pogрузił się w drzemkę. Nagle wagon szarpnął gwałtowniej, Aleksy otworzył oczy.

...Agrest też próbowałem, marynować... Wszystko zależy tutaj od gatunku... Gdybyśmy na przykład wzięli „daktyl”.

Komuż to tak detalicznie, już bitą godzinę tłumaczy Fenota? Jerofiejewowi. Człowiekowi w aresztanckim pasiaku. Staruszek słabowity, cały jakiś pobity i posiekany, pełen szram po głębokich cięciach. Nazywają go dlaczegoś Jerofiejczem a on się nie obraża. Jerofiejcz leżał na plecach, mrużąc oczy. Nie, poczekaj! Przecież on śpi. A Fenota nie widzi tylko mówi i mówi. Głos ma pełen jakiegoś nabożeństwa, brzęczy i brzęczy.

— Słuchajcie, bracia: komu się zdarzyło uciekać? — Zapytuje ktoś głośno. Widać nie mógł już wytrzymać opowiadania o marynatach.

— Nikt nie odpowiedział. Z różnych kątów dochodziło chrapanie.

— Uciekać? — Sennie zapytał Jerofiejcz. — Jak to nie zdarzało się? Myślę, że każdemu się zdarzało.

— No, już tam po próżnicy nie gadaj o każdym. A ty sam uciekałeś?

— A bo co?

— A tak. W kontrwywiadzie to będzie pierwsze pytanie.

— A ty pracujesz w kontrwywiadzie?

— Ja nie pracuję, ale wiem: o to pytają na pewno.

— Jak spytają, będziesz opowiadał. Mnie się zdarzyło pięć razy. No, popatrz. — Podniósł koszulę i pokazał głębokie szramy.

— Mnie się też zdarzyło. Dwa razy — rzekł Sudariew.

— Opowiedz.

— Po co?

— A to już lepiej słuchać o uciezkach, niż o tych jagodach. Na nudności zbiera. Wiśnie, agrest, śliwy... Tfu, do diabła! Dobrze by było, ot całe wiadro tego zezreć a, on nic tylko rozjątrza i rozjątrza!

— Jak to tak?... Fenota gniewnie machnął swą króciutką rączką. Nudzi go!... A mnie nudzi, kiedy te wszystkie więzienia, łagry i uciezki wspominam. Zła krew zalewa, gdy wspomnisz, ilu naszych ludzi wygubiono...

Fenota z oburzeniem ściągnął wargi, ze złością popatrzył na dolne nary. Tam jednak było prawie ciemno i trudno było rozróżnić ludzkie twarze.

— No więc opowiadajcie, jak niebądź!...

Aleksy umiał opowiadać i niejednokrotnie zauważył, że go zawsze chętnie słuchano. Jeszcze w Mauthausen, marynarz, Puczkow, pewnego razu słuchał, słuchał i nagle zauważył: „Ale umiesz zmyślać. Mówisz tak, jakbyś książkę czytał. Gdy wrócisz, koniecznie spróbuj pisać. Powinno ci wyjść”. Aleksy w pierwszej chwili oburzył się. Wcale nie fantazjował. Ale wychodziło tak, że ludzie słuchali i sądzili, że on zrećnie zmyśla.

— No więc mogę opowiedzieć. Także trzy razy uciekałem. Ale na próżno — dodał nieśmiało.

— No to wal — czas nam szybciej zejdzie...

— Z jakich obozów uciekałeś?

— Ostatnim razem z Wilgotnego Worka. Po ichniemu Nasezak. Była to zgniła jama... Prawda, byłem tam niedługo. Ze dwa tygodnie. Kiedy przybyłem, oni właśnie przygotowywali uciezkę. Mieli wiać wszyscy. I oto w przeddzień uciezki wsadzono do naszego baraku — nowego. Przybył jako ostatni. I zachowywał się bardzo dziwnie. Od pierwszej chwili. Pokazano mu miejsce na narach... Poszedł, położył się i tak przeleżał ze dwie godziny, nie podnosząc głowy. O cokolwiek by go się nie spytano, nie odpowiadał: milczy i milczy. Chłopcy się wściekli: „Stukacza nam podrzucili!³. Nie, myślimy, „stukacz” tak się nie zachowuje. W tym jest coś innego...

Twarz ten nowy miał żółtą, oczy mętne. Leżał, leżał i nagle odwrócił się na bok, zwiesił głowę między nary i zaczął pluć krwią. Krew szła gardłem. Wtedy przestaliśmy go podejrzewać, a dawaj

3. *Stukacz* — podsłuchujący — donosiciel. (Przyp. tłumacza).

ratować. Czym tu jednak ratować. Lekarstw żadnych. Podgrzaliśmy kawę. Biedaczyna wydychał się, wypił kilka łyków kawy i znów położył się na plecach, zamknął oczy. Co robić? Rozumiecie, że każda godzina była dla nas droga. Od dłuższego już czasu kopali nocami podziemny chodnik pod barakiem... Barak zwyczajny, standardowy. Ale jego tylna ściana przylegała do drutów kolczastych. A za nimi stóg siana. Jeden z naszych strażników troszczył się o swoje krowy. Było to w Sudetach. On sam — Niemiec sudecki. Chłop. Gdzieś, w pobliżu, o jakieś dwadzieścia kilometrów miał swój dom. Zwierz był, nie człowiek. Marzyliśmy o tym jakby tu spalić mu dom i zburzyć całe gospodarstwo, gdy tylko wydostaniemy się na swobodę. Przeżywaliliśmy go Kema. Słowa tego używał czy było potrzebne, czy nie. Przedsiębiorczy Kema z naszą pomocą nakosił siana na trzy krowy i zamierzał je przetransportować do domu. Raz w tygodniu uchytrzał się i wymykał do swojej żony. Ona też do niego przyjeżdżała. Dorodna ciotka, jasna blondyna i także, widać, bardzo zła. Zauważyliśmy, że i sami Niemcy nienawidzili Kemy. Jeszcze wtedy przed moim przybyciem do obozu, powstał tam plan: odkręcić w podłodze baraku cztery śruby, podnieść całą partię desek, wykopać głęboką jamę, a następnie przekopać siedmiometrowy chodnik pod ziemią aż do stogu. I dopiero pod sianem wyjść na powierzchnię.

— Zdrowo! Czegóż to nasi ludzie nie wymyślą!

Długo kopano wąskie podziemne przejście. Początkowo chowano ziemię pod podłogę, a gdy tam zabrakło miejsca, zbierano do worka i do ustępu. Zbliżała się jesień, śpieszyliśmy się, gdyż mogły przyjść deszcze i zalać nam chodnik. Baliśmy się również że Kema zabierze siano i wtedy ucieczka będzie utrudniona... I oto, gdy już wszystko było gotowe — zostało bowiem do wykopania jakieś pół metra pod stogiem — przybył do nas ten nowy. Po kawie poczęstowaliśmy go papierosem. Sami wiecie, jak bezcenną rzeczą był w łagrze papieros. Czasami zdobywaliśmy papierosa przy pracy — jeden z Czechów podrzucał. Nowy papierosa odmówił, pokręcił głową.

— Ty chyba nie Rosjanin? — zapytaliśmy.

Patrzy na nas, wyraźnie nie rozumie.

— *Sprechen Sie deutsch?*

Milczy

— *Parlez vous français?*

Milczy.

— Któż ty jesteś tedy, Turek, Madziar?

Rozumiecie sami, boimy się podnieść podłogę i kończyć kopać chodnik. A nuż on tylko udaje?

— A więc — proponuje jeden z naszych — czasu nie mo-

żemy tracić. Jak tylko piknie — worek na łeb, knebel w usta i głową do klozetu. Idzie ulewa... Zaleje nam chodnik... przepa-
dliśmy!

Nie było rady. Odkręciliśmy śruby, podnieśliśmy podłogę, jeden z naszych położył z workiem pod barak. Patrzymy, a nasz nowy naprzód wytrzeszczył oczy, a potem nawet jakby się uśmiechnął się.

— Tylko na niego uważać — uprzedził nas starszy naszej brygady, kapitan Trubin. Oczywiście patrzymy na niego. On patrzy na nas. Ubrani jesteśmy w stare frence, niebieskiego koloru, a na guzikach jakieś smoki.

— Bracia, on nie może zrozumieć, kto my! — powiada nagle kapitan Trubin. — Widzę to po jego oczach. — Wziął tedy Trubin ołówek, kawałek papieru i wyraźnie napisał: „SSSR”. Potem pomyślał i dopisał: *Sowjet Union*. I co: człowiek podniósł się, siadł, wziął ołówek i papier. Usłużnie podłożyliśmy pod papier kawałek dykty, żeby mu wygodniej było pisać. Rzucił kilka kresk ołówkiem — i na papierze pojawił się znany nam profil:

— Patrzcie! Toż to Lenin! Profil Lenina!

— Towarzysze, ten człowiek jest niemy — powiada Trubin — widziałem jak poruszył językiem, chciał coś powiedzieć.

Teraz już staliśmy wszyscy wkoło i patrzyliśmy ze współczuciem. I równocześnie wzbierała w nas nienawiść do katów. Co zrobili z człowiekiem!

A jemu znów krew poszła gardłem. Wtedy już staraliśmy się podtrzymać, jak umieliśmy.

Kiedy mu wrócił oddech i znów przełknął kilka łyków kawy, nieszczęśnik ten nakreślił na papierze mapę Zachodniej Europy i grubiej obciągnął granice swego państwa. Okazało się, że pochodzi z Luksemburga i, co jest bardzo ważne, że jest komunistą. Następnie dowiedzieliśmy się, że stał się głuchoniemy w więzieniu, w którym przesiedział pięć lat. My ze swej strony wyjaśniliśmy mu, że szykujemy się do ucieczki tej nocy. Ścisnął nas za ręce, starał się uśmiechać. Było nam go żal. Nie wiedzieliśmy, czy go brać w drogę czy nie. Jak go zabierać? A i jak zostawić?

Sudariew smętnie zauważył:

— Taki to już jest nasz naród. Cudzoziemca, jeśli przyjaciel, żałujemy więcej, niż swojaka.

— I co dalej?

— Cóż — westchnął Aleksy. — Uciekliśmy nocą, jak było zaplanowane. Pogoda była straszna, ale nam właśnie na rękę. Obawialiśmy się tylko, aby nam chodnika nie zalało. Kapitan Trubin położył na stole pudełeczko — a w nim skrócone papierki, wielkości zapalki. Jednego brakło, nie oczekiwaliśmy bowiem, że

przywiozą do nas tego z Luksemburga. A posadzili go, aby w drodze im nie umarł; nie chcieli mieć z nim kramu. Miał gruźlicę.

— Ostatnie stadium — podpowiedział Sudariew.

— Mimo to włożyliśmy do pudełka i trzydziesty papierek. Potem zaczęliśmy ciągnąć losy: przecież jeden z nas musiał zostać, aby zamknąć za nami podłogę i przykręcić śruby.

— Ech, ty matko rodzona... — westchnął Kaszelkin.

— Co było robić. Na tym polegał cały nasz plan. Straż zgłupieje ze wściekłości. Nie od razu się domyśli jakim sposobem brygada uciekła. Na skrzydłach, czy co? Wszyscy z góry byliśmy podzieleni na małe grupy, aby łatwiej było przedzierać się na wschód... I otóż podchodzimy i bierzemy papierki... Wziąłem, nie patrząc, jak wszyscy inni... Rozwinąłem — głos Aleksego drgnął.

— A na nim napis: „Zostajesz”.

— Uuff — westchnęło od razu kilka głosów.

Podszedł do mnie kapitan Trubin:

— No cóż, żegnaj Kłoczokow. Ciężka twoja dola.

Wtedy mówi jeden Białorusin:

— Niechaj chłopiec ucieka. On młody. A ja mam już pięćdziesiąt lat. Pożyłem sobie. Starczy.

Głuchoniemy z Luksemburga stoi i patrzy na nas smutnie. Zrozumiał wszystko. Chwiejąc się podchodzi do mnie, oddał swój papierek a zabrał mój.

— Oto człowiek!

— Trzeba!

— A cóż dla niego? I tak by nigdzie nie doszedł.

— Nie w tym rzecz: doszedł czy nie doszedł. Mógł także wyjść i pobyc chociaż pół godziny na wolności. Za to czasami ludzie życie oddają.

— Nn-tak. Niewątpliwie.

— I uciekliście.

— Uciekliśmy.

— Udało się.

Aleksy ciężko westchnął.

— Udało się. Kiedy nazajutrz przyszli strażnicy, aby zbudzić ludzi na robotę, Kema nieomal zwariował. Koce leżały zwinięte tak, jakby pod każdym był człowiek.

Pomilczawszy chwilę, Aleksy zakończył.

— Tego z Luksemburga rozstrzelali. Widzieli Czesi. Mówią, że zaśmiał się w twarz swoim katom... A strażników — wszystkich na front. Taki to u nich był porządek.

— Złapano cię?

— Tak. W tydzień. To była moja ostatnia ucieczka.

— A pozostali?

Aleksy popatrzył w ciemny kąt. Ktoś bardzo uparcie się dopytywał.

Słyszałem, że wielu z nich zginęło.

Z ciemnych nar zeskoczył niewysoki barczysty człowiek z wielkimi wąsami.

— No, więc, witaj! — i objął oszołomionego Aleksego.

— Trubin! — tyle tylko zdołał wymamrotać Aleksy.

— On sam. A ty, zuch, opowiedziałeś wszystko, jak było...

Z nar wstawali ludzie z ciekawością patrząc na przyjaciół, którzy się spotkali.

— Nie od razu ciebie poznałem... — mówił przejęty Trubin. — Później zaś nie chciałem już przerywać. A jeśli chodzi o opowiadanie — toś mistrz...

Spotkanie natchnęło Aleksego nową nadzieją. Radosną. Oto znalazł się człowiek, który może potwierdzić, że młodszy politruk trzymał się w niewoli godnie.

— Jakżem rad, żeśmy się spotkali! — powtarzał Aleksy i ze wzruszeniem patrzył na uśmiechającego się wąsacza.

Pociąg stanął.

— Jeśli się tak będziemy wlec — westchnął Sudariew — to i do lata nie dojedziemy. Co się tam mogło stać, dlaczego stoimy? — Tęskno patrzył na wschód, na daleki horyzont.

Stacja była malusieńka — trzy domki. Z dala widniała tonąca w sadach wioszczyna.

— Sady tu bogate — marząco powiedział Fenota.

— Ech, kochany — rzekł Kaszelkin — popatrzyłbyś, jakie są sady u nas w Riazani! Ech, ty matko rodzona! — Pokręcił głową i odszedł, kłapiąc ogromnymi buciskami.

Sudariew nagle zjeżył się, objął rękami brzuch i tak zgięty we dwoje jakby się bał coś uronić, boczkciem — boczkciem, pośpieszył w kierunku nar. Aleksy trwożliwie patrzył w ślad za nim. Nieprzyjemnie mu się zrobiło na myśl, czy Sudariew w ogóle dojedzie, czy zobaczy swoje dzieci. Porucznik mówił, że ma ich dwoje... Przykro będzie umrzeć, nie zobaczywszy ojczyzny. Postąpił chwilę przy drzwiach, a potem poszedł do nar, nachylił się nad chorym. Sudariew leżał zgięty w kabłąk i, objąwszy brzuch rękami, cicho jęczał.

— Tak bardzo źle, co? — spytał Aleksy.

Tamten nie odpowiadał, tylko mocno zaciskał zęby. Jego cierpiąca twarz jeszcze bardziej zszarzała.

Aleksy udał się do sanitarnego wagonu.

— No, co tam mówią, probkus na naszej kolei? — zwrócił się do niego Uriński, trzymając wachlarz kart.

— Wiera Iwanowna, mamy bardzo ciężko chorego człowieka. Może jakieś lekarstwo? zapytał lekarza Aleksy.

Kapitan beznadziejnie machnęła ręką.

— A wy o tym... wysokim? Przegrana sprawa. On ma po dziurawione kiszki. Lusia, popatrz, czy nie mamy czegoś na uśmierzanie bólów?

Wagon był przedzielony parawanem na dwie nierówne części. W mniejszej mieściła się część sanitarna. Lusia skinęła na Aleksę, zapraszając go za prawan. Znalazła jakieś tabletki, zawięła je w skrawek papieru i powiedziała:

— Chodźmy, popatrzę na chorego.

Kiedy wychodzili z wagonu sanitarnego, ktoś z grających roześmiał się:

— Widzicie, jak trzeba działać? Przyszedł i od razu uprowadził!

Patrząc pod nogi Lusie zapytała:

— Dlaczego do nas nie zachodzicie?

— Beze mnie tu narodu dosyć.

Wzruszyła ramionami. Potem kazała Sudarielowi zażyć dwa proszki. Porucznik dziękczynnie skinął Aleksemu.

Lusia rzekła głucho:

— A jednak przychodźcie...

Słońce piekło tak mocno, że ściany wagonów zrobiły się gorące.

Otwarto drzwi na ścieżaj. I mimo to w wagonach nie można było wytrzymać; duchota wprost dławiła. Zresztą wielu spacerowało po peronie, a niektórzy nawet, zszedłszy z nasypu, leżeli na trawie. Zobaczywszy Aleksę, Trubin skinął nań ręką.

— Chodź tu, popatrz, co za urok! Trzymał w ręku bukiet polnych kwiatów.

Z pierwszego wagonu wyszedł naczelnik eszelonu i głośno zawołał:

— Do wagonów!

Parowóz trzykrotnie zahuczał i ruszył.

Aleksy urządził się przy drzwiach, oparłszy się łokciami o framugę i zwiesiwszy nogi na zewnątrz. Pociąg nabierał pędu, coraz mocniej wiał wietrzyk, chłodząc rozpalone twarze. Aleksy patrzył w niebo. Słońce oslepiało. Nagle mocno zmrużył powieki. Po oczach przejechało mu coś, jakby cieniutka brzytwa. Więcej już na niebo nie patrzył, ale w oczach zaczął się jakiś ból, rżnięcie.

Pociąg nie zatrzymywał się na stacjach prawie zupełnie aż do wieczora. Prawda, szedł z szybkością nie większą niż piętnaście kilometrów na godzinę. Mówiono, że droga ledwo dyszy, odbudowano ją i przywrócono na niej ruch bardzo niedawno.

— Czemu ty tak mrużysz oczy — podszedł do Aleksego Trubin.

— Wiesz, czegoś mnie oczy bardzo rozbolały.

Ból nie przechodził, chociaż już przyszedł zmrok. Pociąg akurat zatrzymał się.

Przyszedł Uriński, sprawdził walizki i znów wyszedł. Wrócił z wagonu sanitarnego Sudariew, przysiadł się do Aleksego, i między innymi, mówił:

— Co im tam chorzy. Urządzają popijawę. Spirytus skądciś zdobyli. Tam już wszyscy podzieleni na pary... Nasz kapitan tam to pierwszy bohater...

Aleksy pomyślał o Lusi. Słowa Sudariewa ukłuły go.

Oczy bolały. Trubin znów radził iść do wagonu sanitarnego, zapytać lekarzy, wziąć jakieś krople. Pociąg stał dalej i nikt nie wiedział kiedy ruszy.

Aleksy chodził wzdłuż wagonów, ciągle nie mogąc się zdecydować na pójście do wagonu sanitarnego. Bał się, że pomyśla, iż udaje. Wreszcie rozgniewał się sam na siebie i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wagonu sanitarnego. Kiedy się zbliżył, usłyszał pieśń. Ciągnęły męskie i kobiece głosy:

*Pełga ogienek w ciasnym piecyku,
Na polanach smoła, jak tza.*

Drzwi były zasunięte. Aleksy stał niezdecydowany. Poznał głos Urińskiego. Posłuchał i przypomniał sobie, że kapitan mówił o sobie: „gdyby nie wojna — byłbym w konserwatorium. Przecież mam prawdziwy baryton...”.

W tej chwili jakoś zachciało się Aleksemu, zapytać Urińskiego, w jakim obozie siedział w niewoli, co tam robił...

Powoli otworzył drzwi. Pieśń przerwano.

— Przepraszam — rzekł Aleksy. — Ja na chwilkę, oczy mnie rozbolały.

W półmroku wagonu siedziało dziesięć osób. Obok Lusi, położywszy rękę na jej ramieniu, rozsiadł się Uriński.

— Co słyhać, dlaczego stoimy, znowu probkus? — zainteresował się Uriński.

— Aliosza — zatrzepotała się Lusia. — Siądźcie z nami chodźcie tutaj.

Ręka Urińskiego niezauważalnie spłynęła z jej ramienia.

Wiera Iwanowna niechętnie wstała, poszła za parawan — zakłęła, potknąwszy się o coś.

— Ciemno. Jak my cię będziemy leczyć, Kłoczkw, nie wiem. Pocierpiałbyś do jutra... I czemuś patrzył na słońce?...

Widział jak grzebała w wielkim pudle i nie mogła znaleźć lekarstwa.

— No cóż, przyjdę jutro rano. Przepraszam.

— Aliosza, nie odchodź — próbowała zeskoczyć z nar Lusią. Ale ją silnie objął Uriński.

— Puście — rozzłościła się. — Aliosza, zostańcie... No puście mnie, jak wam nie wstyd!

Roza, oparłszy się o ramię porucznika, w zamyśleniu patrzyła gdzieś w sufit.

Aleksy poczuł, jak po jego ciele przeszło jakieś niepojęte mrowie. Wyszedł i prawie biegiem skierował się do swego wagonu.

Pociąg stał przez całą noc. Żar ustąpił chładowi. Mżył drobny deszczyk. Wszyscy w wagonie spali, prócz Aleksego i chorego Sudariewa. Temu trochę ulżyło, ożywił się więc i przysłuchując się szumowi deszczu, cicho opowiadał o wiośnie, o swojej fabryce, o tym jak spotka dzieci, ile to będzie radości i szczęśliwych łez...

Aleksy słuchał go z roztargnieniem, patrząc w ciemność szeroko otwartymi oczyma. Starał się myśleć o innej Lusii, którą zostawił daleko w Leningradzie. Ale przed oczyma stała ta Lusią, która jest tu o jakieś dwadzieścia metrów od niego.

Miejsce Urińskiego było puste.

Kapitan wrócił dopiero nad ranem. W oczach miał uśmiech. Twarz przez noc jakby osunęła się.

W południe, kiedy znów w oczach pojawił się silny ból, Aleksy niechętnie, z bólem serca, poszedł do wagonu sanitarnego. W drzwiach, twarzą w twarz, spotkał się z Lusią. Trwożliwie rzuciła na niego okiem, usunęła się, jakby się bała go pobrudzić i prześliznęła się obok.

Bacniej niż zwykle popatrzyła na niego Wiera Iwanowna. Jakby oczekiwała odeń czegoś, jakichś szczególnych słów. A on tylko przypomniał o lekarstwie. Wtedy, milcząc zaprowadziła go za parawan, znalazła flakonik, wpuściła pod powieki kilka kropli. Aleksy poczuł się tak, jakby mu nasypano miążkiego piasku. Zakrył ręką oczy.

— To przejdzie — powiedziała znużonym głosem Wiera Iwanowna. — Tylko nie patrzcie na słońce. Dobrze by było ponosić przez pewien czas przeciwsłoneczne okulary.

Na dworze, oparta o ścianę wagonu, stała Lusią. Zdawało mu się nawet, że płacze. Aleksy zatrzymał się:

— Lusią! Gniewacie się na mnie?...

— Odejdź, zostaw mnie. — Głos jej zadrżał. — Wszyscyście swołoczcie!

Jakby mu wymierzyła policzek. Aleksy zdetonowany patrzył na nią ze zdumieniem. Wtedy podrzuciła głowę do góry, wściekłość i obraza zabłysły w jej oczach. Wstrzymując łzy, prawie zakrzyczała:

— Precz! Czego się przyglądasz?!

Aleksy, jak zbity, szybko się oddalił.

Zbliżano się do Budapesztu.

Trubin leżał koło Aleksego i opowiadał mu o swoich niepowodzeniach po ucieczce z Nasezaku. Aleksy słuchał z rozręgnięciem. Złościł go i męczył wesoły głos Urińskiego. Siedząc przy drzwiach, kapitan opowiadał o jakimś ślubie... Co on takiego właściwie mówił? Aleksy nawet nie starał się zrozumieć. Wyprowadzał go tylko z równowagi rzeński głos opowiadającego. „Baryton. Typus” — złośliwie uśmiechał się w duszy Aleksy. — „I jak mu się nie znudzi?”.

Trubin, który ostatecznie zauważył nastrój sąsiada, zapytał szeptem:

— Czyżbyś tam jakieś amory zaczął w wagonie sanitarnym?...

I nie doczekawszy odpowiedzi, poradził:

— Nie chodź tam. Weź lekarstwo, ja ci je będę wkraplał. A tam nie chodź. Powiem ci, jak to jest... Kiedy baba znajdzie się wśród chłopów, obowiązkowo dur jakiś nadchodzi na naszego brata. I babę zepsują i sami staną się zwierzętami. Ja to przecież widzę: leżą do tego sanitarnego wagonu ludzie bez żadnej potrzeby. Jak raki wpełzają na zdechłą wronę... Ja to tak rozumiem: te nasze babki i bez naszego brata nacierpiały się w niewoli dość. Hansy robili z nimi, co chciały. A teraz i nasi się czepiają. Sumienie zatracili. Weź lekarstwo i więcej nie chodź.

Aleksy milczał.

Powiem ci, że bardzo trudno kobietom wśród naszego schamiałego bractwa... Oto, pamiętam, w czterdziestym trzecim roku byłem na polowym lotnisku. Zabiło naszego medyka. Przysłali dziewczę lat dziewiętnastu. Szczuplutka, czarniutka. Spojrzysz — dziecko po prostu. Gdzie ją umieścić — nie wiedzieli. I jak myślisz: zdecydowali w naszym baraku, wśród trzydziestu zdrowych mężczyzn — nie było gdzie. Urządzono jej pod sufitem wiszące nary. A barak był wysoki, widocznie dla jakiegoś innego celu zbudowany. Na tych narach spała. Jeden z młodych ludzi splótł jej drabinę sznurową. Gałoczek — tak ją zwali — wejdzie do siebie na górę, drabinkę podciągnie do swego gniazda. I dlatego nikt tam do niej nie mógł się wdrapać. Takie to bywały sprawy. I śmiech i rozpacz. Co robić?... A do wagonu sanitarnego nie chodź!

— Bracie, Budapeszt widać!

Aleksy podniósł głowę, ale Trubin dotknął jego ręki:

— Co dla nas Budapeszt? Żeby Moskwa!... Pomilczawszy chwilę, sięgnął dalej z westchnieniem. — O jednym tylko myślę: przywróć mi członkostwo partii, czy nie przywróć? Jak będzie z tytułami, z orderami?... Ech, mój drogi, co nas jeszcze czeka w najbliższej przyszłości? A ludzie jakby pogłupieli. Wyrwali się na swobodę i o wszystkim zapomnieli. Zresztą takie jest życie. Bierze górę nad wszystkim. A mimo to nie należy zapominać...

Pociąg obszedł Budapeszt od strony południowej i całą dobę stał o kilka kilometrów od miasta. Uriński przepychał się wśród Madziarów, którzy obścapiли pociąg, i próbował handlować zegarkami. Ale nie było amatorów na jego zegarki. Ludzie snuli się wśród wagonów i prosili chleba.

Na tym przystanku do eszelonu wlała się nowa grupa oficerów.

Byli w kompletnym umundurowaniu, mieli broń osobistą. Kapitan szybko zapoznał się z niektórymi. Szybko też przyniósł nowiny. Wszyscy ci oficerowie też byli w niewoli. Niektórzy tylko po kilka godzin, inni po kilka tygodni lub miesięcy. Wyswobodziła ich armia sowiecka. Po czym oficerowie ci brali dalej udział w walkach, dowodzili oddziałami, byli awansowani, otrzymywali ordery. Wśród nich znajdował się Bohater Związku Sowieckiego, lotnik Tieriechin. Mówiono, że zestrzelił dziesięć niemieckich samolotów.

— A obecnie również jedzie na sprawdzonko, tak jak my, grzeszni — uśmiechał się Uriński.

Po chwili Uriński spacerował po peronie z majorem o bardzo wojskowej postawie. Aleksy niechcący usłyszał rozmowę.

— Mdli mnie, że muszę nosić niemieckie łachy. Za swojącką odzieżą stęskniła się dusza — wzdychał Uriński. — Prawda zdobyłem kitel, tylko stareńki... A zegarek, słowo daję, doskcały. Szwajcarska marka, czego chcecie więcej. Zawsze wam się przyda.

Major wahał się. Uriński namawiał, powtarzając, że nigdy by zegarka się nie pozbył, gdyby był w ojczystym mundurze. Wreszcie major się poddał. Weszli do wagonu. Wkrótce potem Uriński pojawił się na peronie w kitlu i galife. Na ramionach połyskiwały kapitańskie naramienniki.

— Całkiem inny wyglądus, nieprawdaż? — rzekł, zobaczywszy Aleksego.

— A przyznać trzeba, że byłem podobny do jakiegoś farmera, takiego szanownego grossbauera, szczególnie gdy wkładałem kapełusz z piórkiem.

— Brawo kapitanus — dociął Trubin. Oczy jego lśniły się złośliwie.

— Aj-aj-aj, bracia, naramienniki zakładac! — rozbawiło Kaszelkina.

— Choć kieszeń pusta, ale bogaty sarafan!

Trubin pytał Urińskiego:

— Czy naprawdę można włożyć mundur na nowo?

— A cóż, mój szanowny, albośmy odmieńcy? — odparł kapitan. I udał się do wagonu sanitarnego, żeby pokazać się dziewczętom.

— Wystroił się! Kto mu dał takie prawo? — splunął za nim Trubin.

Aleksy chodził tam i z powrotem. Oczy bolały.

— Chodź, poprosimy o lekarstwo — nalegał Trubin — czego się ociągasz, chcesz oślepnąć?

Zobaczyli, jak Uriński stuka do drzwi wagonu. Nie otwierano mu jednak.

— Nie szkodzi — nam otworzą. Chorych obowiązani przyjmować.

Uriński poszedł do wagonu nowoprzybyłych.

— Czegoście się pozamykały wśród białego dnia? — zastukawszy i usłyszawszy głos lekarki zapytał Trubin.

Wiera Iwanowna wyjrzała przez okno i chłodno spytała:

— Czego wam potrzeba?

— Biorę na siebie obowiązki medyka — uśmiechnął się Trubin. Dajcie lekarstwo, a ja sam go będę leczył, aby was mniej niepokoić. — Wskazał na zmieszanego Aleksego.

Wiera Iwanowna otworzyła drzwi. Zza parawanu wyszła Lusja. Chmurna, nie patrząc na Aleksego, przeszła obok.

— Po trzy krople trzy razy dziennie — rzekła Wiera Iwanowna, podając Trubinowi flakonik.

Kiedy wracali do siebie, Trubin uśmiechnął się.

— Oto do jakiego stopnia obmierzliśmy im. Nawet w dzień się zamykają.

Aleksy był rad, że medycy nie wpuściły Urińskiego. Nie pomogły naramienniki. Na pewno już go rozgryzła Wiera Iwanowna.

Wieczorem pociąg ruszył i szedł bez zatrzymywania aż do rana.

— No, mileńki, jak tak będziemy gnać — palnął Kaszelkin po plecach Aleksego — to i niedługo nam...

Przemówił rozmarzony Fenota:

— A w Mołdawii już dojrzewają czereśnie. To kraj sadów.

— U nas w Riazani sadów więcej — mrugnął porozumiewawczo Kaszelkin. Trochę trzydziesty dziewiąty rok napsuł. Po-

wymarzały. Ale jeszcze obfite. Weźmy Jasakowo, albo Isady, Horodyszczę....

— Jak myślisz, Fenota, posmakujemy jeszcze czereśni, co?

— Może się uda. W naszej miejscowości obecnie sady za ledwie tracą kwiat, formują się zalążki...

— Widisz, jaki chybki! Czereśni mu się zachciało — śmiał się Kaszelkin. — Poszła — można powiedzieć — baba w las za grzybami, a tu jej na spotkanie niedźwiedz z zębami...

Dwa dni jeszcze jechali po obcym kraju. Nic szczególnego w eszelonie nie zaszło, jeśli nie liczyć tego, że dodatkowe cztery wagony zapełniły się pasażerami. Wszyscy chudzi, bladzi, w zniszczonych niemieckich mundurach i podartych butach.

Zostały już tylko nieliczne kilometry węgierskiej ziemi, gdy nagle pociąg utknął na wielkiej stacji i sterczał tam cztery doby. Ludność miejscowa oblegała wagony, prosząc o chleb. Koło punktów żywnościowych dniem i nocą stał tłum.

— Gdyby nam nie dorzucono czterech wagonów „dochodiagów”⁴ — rozumował Jerofiejcz — oczywiście mogliśmy pomóc wydatniej. A tak — na razie sami proszą o dodatki.

Wieczorem za dworcem Aleksy zobaczył Urińskiego. Stał obok jakiejś czarnowłosej Madziarki i gestami próbował jej coś objaśnić.

A raniem Uriński rzekł tak, aby wszyscy usłyszeli:

— Ależ tu babki smaczne! Trzeba przecież zapamiętać ten kraj. Jakby tu powiedzieć: swego rodzaju suwenirus.

Sprawdzając czy wszystkie walizki są bezpieczne, długo się śmiał, wzdychał. Dał Sudariewowi kawałek białego chleba.

— Taką tu sztukę wyczyniłem — chepił się Uriński jak chłopak... Cha-cha-cha... Oni tu w locie chwytają dziobami... Poczekajcie, niezadługo będziemy jechać przez Ukrainę... Tam też nie należy być gawronem...

Sudariew słuchał, słuchał. Potem nagle zwrócił mu chleb i posępnie spytał:

— Czy wam nie wydaje się to wszystko trywialne, podłe i jakieś takie bardzo brudne? Jesteście przecież oficerem?

Obok Aleksego leżał Trubin. Ciężko westchnął, obrócił się na bok, zakrył twarz czapką i cicho warknął:

— Wątpię, czy on był oficerem...

4. *Dochodiaga* — umierający z głodu, z wycieńczenia. (przy. tłumacza).

O brzasku towarzyszący eszelonowi wojskowi zaczęli biegać po wagonach, budząc ludzi.

— Wychodzić, ustawiać się w szeregi. Szybciutko, szybko!

— Co się stało? — pytali zaspani. — Czego aż tak rano?

— Szybko, towarzysze, szybko!

Kiedy czterystu pasażerów ustawiło się w szeregi przed wagonami, naczelnik eszelonu niezbyt głośno obwieścił:

— Towarzysze, mamy przed sobą bardzo niebezpieczny odcinek drogi. Dopiero ostatnio został on odbudowany i oddany do eksploatacji. Mówię o Karpatach. Tu w jednym z rejonów ciągle jeszcze działają ostatki banderowców... — Przeszedł wzdłuż szeregów, zatrzymał się przed umundurowanymi oficerami i spytał:

— Wszyscy mają broń osobistą? Dobrze. Proszę zrobić przegląd broni i naładować ją.

Następnie major zatrzymał się przed szeregiem, w którym stał Aleksy. Ujrawszy naramienniki na ramionach Urińskiego, spytał:

— A towarzyszu jak się tu znalazł? Przecież wy z tamtej grupy?

— Nie, ja z tej grupy — odpowiedział nieśmiało Uriński.

— On zdobył sobie naramienniki — wyjaśnili z szeregu. Naczelnik eszelonu roześmiał się i spytał o co innego.

— Czy są wśród was cekaemiści?

Nikt się nie odezwał. Major zakłopotany patrzył w twarze oficerów.

— Toż on doskonały cekaemista — rzucił dowcipnie Trubin. W szeregu zaczęto się śmiać.

— Nie zupełnie was rozumiem...

— Nie jestem cekaemistą — spokojnie sprzeciwił się Uriński. — Służyłem w batalionie chemicznym.

— Chemikus — rzucił cicho Trubin.

Teraz już cały szereg zabrzmiał głośnym śmiechem.

— On, towarzyszu majorze, „cekaemista” jeśli idzie o baby — wyjaśnił Trubin.

I znów zgodny śmiech przetoczył się po szeregu.

— A, teraz rozumiem, rozumiem — roześmiał się naczelnik eszelonu.

— A więc nie ma wśród was cekaemistów?

Aleksemu przypomniał się wypadek, że gdy pod Pogostia na Wołchowskim froncie w czterdziestym drugim roku zginął w walce cekaemista, on go zastąpił. Nie mógł się jednak zdecydować, aby tu, przed frontem oficerów, podać się za cekaemistę. Dopiero gdy major zamierzał już przejść do następnej grupy, Aleksy odezwał się:

— Zdarzyło mi się obsługiwać karabin maszynowy, towarzyszu majorze.

— To bardzo dobrze — ucieszył się dowódca eszelonu, kiedy przygotowania do dalszej jazdy zostaną zakończone, proszę wziąć swoje rzeczy i przyjść do czołowego wagonu.

— Rozkaz!

Odszedłszy ku środkowi szeregu, major zawołał:

— Towarzysze, proszę być w pogotowiu bojowym. Rozejść się!

Aleksy wziął swój worek z rzeczami, skinął na pożegnanie kolegom i pobiegł do czołowego wagonu. Gdy przebiegał obok wagonu sanitarnego, zobaczył Lusię. Ta z zawstydzeniem patrzyła na niego. W oczach jej widniał smutek. Szybko odwrócił wzrok, myśląc nie bez dumy: „Widziała jakem się zgłosił na cekaemistę, a jej kapitanus chemikus... tiu... tiu...”

Jechali niecałe pół godziny, gdy zewsząd nadciągnęły góry, porośnięte gęstym lasem i, zdawało się, zupełnie zagrodziły drogę na wschód.

Pociąg wił się zakosami tak, że często z dwudziestu wagonów powstawały dwa maleńkie łuki. Uparcie biegł naprzód, nurzając się w skałach, odnajdując drogę u podnóża olbrzymich gór, mknąc ponad zapadlinami i parowami.

Eskorta grała w durnia i paliła papierosy.

Sprawdziwszy cekaem, Aleksy założył nowy dysk z nabojami i zaczął patrzeć na góry.

Na tle niebieskawo-różowego nieba wyrastała, oparta o nie tępa, ogromna góra, oświetlona słońcem, i pałająca ogniście brązowym kolorem.

„Ta-ak... gdyby tak strącić tę sztukę, rozduśiłaby parowóz na placuszek. Zrobiłaby z niego blin”.

Parowóz dymił gęsto i ani na chwilę nie zmniejszając szybkości nieustraszenie parł naprzód. Szyny wyginały się, jakoś niepokojąco mlaskały, wagonami rzucało. Spojrzawszy na kolejnym zakręcie na wygięty w łuk skład pociągu, Aleksy zobaczył, że wagony chwiały się na wszystkie strony, przewalając się z boku na bok, jak biegnący rząd gęsi. Wydawało się, że lada chwila pęknie szyna i wszystko polecą do diabła, zamieni się w odłamki i kawałki żelaza. Parowóz natężał się, wypuszczał chmury dymu i sadzy i wciąż pędził i pędził naprzód, jakby sam śpieszył się wydostać z tych ponurych miejsc.

Oficerowie przestali grać w karty i również patrzyli na góry, na parowóz, na chwiejące się za nim wagony.

Pałająca brązowym ogniem skała, która już była zniknęła z pola widzenia, pojawiła się nagle znowu, tym razem z boku. Teraz

była bliżej i zdawała się jeszcze potężniejsza i bardziej przerażająca.

— Ale sztuka — mruźli oficerowie, zadarłszy głowy.

— Oni tu gdzieś są, w tych górach.

Aleksy zauważył, jak ręka majora ześliznęła się do kabury, odpięta zatrząsk. Wyjrzała czarna, kwadratowa rękojeść pistoletu. Patrząc na góry i na swój cekaem, Aleksy pomyślał, że jest wątpliwe, aby oni wszyscy razem mogli cokolwiek zdziałać, jeśli wróg napadnie z góry. Podłożyć pod te masy kamienne petardę z melinitu — i runą w dół kamienne tony, rozgniotą eszelon na miazgę. Nagle, nieoczekiwanie, zza czerwonej skały wynurzył się samolot, dwumotorowy bombowiec, gwałtownie zawrócił i poleciał nad składem pociągu.

— A-a... Wszystko w porządku — z ulgą odetchnął major. A już myślałem, że nie przyślą... Popatrzysz następnie bacznie na Aleksego, dodał: — Tutaj właśnie, nie dawno temu, taki sam jak nasz eszelon „ustukali”. Więcej niż stu zabitych, jeszcze więcej rannych, pokaleczonych. Jechali w nim tacy, jak wy...

Tak, trudna jest droga do ojczyznoego kraju — myślał Aleksy. Udało się przeżyć niewolę, wracali do domu i oto gdzie zginęli: niedaleko granicy, zabici przez jakichś „samostijników”. Pomyślał również o oficerach eskorty. „Czy im się chce umierać teraz, kiedy już skończyła się wojna?”. Patrzył na ich młode, spokojne oblicza. Oficerowie znów grali w karty. Teraz już hazardowo, nie w durnia, a w jakąś bardziej skomplikowaną grę. I oni również uważali, że niebezpieczeństwo minęło. Nad pociągiem krążył samolot.

Tak dojechali do granicy. Góry odeszły w tył. Tutaj rozciągała się równina i na horyzoncie rysowały się, już nie góry a wzgórza. A może również góry, tylko bardzo odległe.

— Towarzysze! — obwieścił uszeregowanym oficerom dowódca eszelonu. — Proszę wynieść z wagonów wszystko, co do was należy. Wagony pozamiatać tak, żeby ani odrobiny śmieci nie zostało! Zrozumiano?!

— Cóż to, dezynfekcja, czy co? — spytano go zjadliwie. — Te sztuki przecież przechodziliśmy u Hitlera niejednokrotnie.

— O Hitlerze możecie opowiadać swoim babkom — przeciął major. — A obecnie mamy się przesiąść do innego składu pociągu. Nie można przecież zostawić po sobie brudu? Jak uważacie? Można?

Ktoś, stojący za Aleksym, cicho wyjaśnił:

— Nasze tory kolejowe szersze. Tutejsze, a także u Niemca i w całej Zachodniej Europie węższe. Stąd przesiadka.

I oto stoją. Czterystu przeszło ludzi, wracających do kraju.

Z obczyzny. Czterystu ludzi, którzy przeżyli, którzy pokonali śmierć. Być może wszyscy oni są czyści wobec swojej ojczyzny, szczerzy między sobą, gdy opowiadają o ciężkiej walce z wrogiem. Ale także być może, że są wśród nich sprzedawczycy, dobrowolni zbiegowie na stronę wroga, policjanci, donosiciele. Kto wie?... Dusza obcego człowieka — ciemności. Ale tam, dokąd idzie eszelon, już ich czekają... Tam już rozpatrzą wszystkie sprawy...

A tymczasem przed szeregiem stoi grupa oficerów — eskorta towarzysząca. Niczym się nie wyróżnia od tych, którzy byli w niewoli, a w tej chwili są też w mundurach i nawet przy broni, z orderami i medalami. Medali i orderów na piersiach nieraz więcej, niż u oficerów towarzyszących. Jeden nawet ze złotą gwiazdą.

A mimo to różnią się.

I jeszcze przed szeregiem stoi sekcja młodych żołnierzy w czapkach z zielonymi otokami. Na czele sekcji — oficer w takiej samej czapce. Wzrok jego ślizga się po rzeczach, wyłożonych przed każdym z byłych jeńców i mimo woli zatrzymuje się na walizkach Urińskiego. Pogranicznicy chmurnie patrzą na niego. Zdaje się, że i on wreszcie poczuł się niezręcznie, zakłopotany. Niczego sobie — jedzie z niewoli i ciągnie za sobą z pół tuzina waliz. Po co, dla kogo? Żonie i dzieciom? Teściowej i teściowi?

Aleksy widział, jak Uriński otwierał maleńką walizeczkę, kiedy wyładowywano się z wagonów, i szybko rozpychał coś po kieszeniach.

Naczelnik eszelonu sprawdził pasażerów według spisu. Wszyscy. Rzucił na pogranicznika szybkie spojrzenie. Ten, jakby oczekując tego spojrzenia, przeziębionym głosem rzekł coś do swoich żołnierzy. Ci ruszyli wzdłuż szeregu. Zaczęła się rewizja rzeczy. Zbędne kazano zabrać.

— Co macie?

Twarzą w twarz z Aleksym stanął młody pogranicznik. Chłopiec lat mniej więcej dziewiętnastu. Rosły, silny, patrzy czujnie.

— Proszę, popatrzcie. — Aleksy rozwiązuje worek, wyjmuje pogniecione cywilne ubranie, ręcznik, mydło.

Chłopiec wziął do ręki ubranie i niepewnie popatrzył na swego dowódcę, jakby milcząco pytał, co robić.

— Możecie ze sobą zabrać — pozwolił oficer.

— A wy co macie? — Żołnierz patrzył na Urińskiego i na jego walizy. I chociaż Uriński miał naramienniki, żołnierz czemuś nie nazwał go kapitanem. — Co macie w walizkach? Obecnie wszyscy, zdawało się, patrzą tylko na Urińskiego.

Zbliżył się oficer-pogranicznik.

— Otwórzcie! — rzucił rozkaz i również nie nazwał go kapitanem.

— Co macie w walizkach?

Siadłszy w kuczki Uriński otworzył walizę o lśniących zamkach, obitą solidną skórą.

— Wiozę palto, ubranie i jeszcze coś nie coś — wyjął Uriński trochę drżącym głosem.

Oficer wyciągnął palto.

— Ta-ak. Jedno palto... — wyciągnął drugie. — Jeszcze jedno... A to? Ubranie? Acha, ubranie... Jedno ubranie. Jeszcze jedno... I jeszcze oddzielnie, para spodni... A to? Acha, piżama... Ta-ak... Teraz otwórzcie drugą walizę. Co tam?

— Bielizna, koszule... jąkał się Uriński.

— A no, zobaczymy... Ta-ak... Jedna koszula, druga, trzecia, czwarta... Jeszcze kalessony... A to co? Podkoszulki. Jeden, dwa, trzy, cztery...

— Starczy na całe życie — roześmiano się w szeregach.

— Macie rację, ochryple rzekł pogranicznik. — Starczyłoby na długo. Tylko bieda, że nie pozwala się przewozić przez granicę w takiej ilości. Co robić... — Kazał otworzyć następną walizę.

Tam były krawaty, szaliki, półkoszulki, skarpetki, chusteczki do nosa.

— Ależ chciwiec. Popatrz ile nabrał! Czekajżesz ty! — dziwił się Kaszelkin.

— A mnie przecież wszystko zabrali, przekłęci faszyci — odgryzał się Uriński. Twarz miał ceglasto-czerwoną. Krople potu ściekały po czysto wygolonych policzkach.

— A co w tamtej? — Oficer trącił końcem buta czwartą walizę.

— Obuwie.

— Obuwie, mówicie? Ta-ak, otworzyć.

— Ach, jakie śliczne butki — znów zawołał Kaszelkin.

— Ile tu par? — pytał oficer.

— Trzy pary.

— Po co wam tyle?... A to co? Obuwie do basketballe? Ocho, osiem par. Coś ty całą sportową drużynę rozruł?

Porucznik rzucił okiem po szeregu, zatrzymał wzrok na jednym oberwańcu w starych buciorach na drewnianej podeszwie — chudym bardzo człowieku. Zwrócił się do Urińskiego.

— Podzieliłbyś się z towarzyszami. Jak to wygląda? Wiezicie tyle rzeczy a inni krocze rękami przykrywają, gdyż, przepraszam, coś nie coś wyłazi. Gdzie macie sumienie? — Oficer pogranicznik wpadł nagle w złość, chwycił trzy czy cztery pary butów sportowych i porozrzucił w kierunku tych, którzy mieli

podarte buty. Następnie oddał jednemu mizerakowi w łachmanach nowiutkie szewiotowe ubranie, jedwabną koszulę i kalesony: — Przebierzcie się, towarzyszu!

„Towarzyszu” — było powiedziane tak po ludzku, że od razu to wszystko, tak niemiłe, co działo się na zielonej polance, otoczonej łańcuchem pograniczników, odeszło jakoś w dal i jakby zostało zalane ciepłym wiosennym słońcem.

— Dziękujemy, towarzyszu poruczniku! — rozległo się w szeregach pod adresem pogranicznika.

— A wy tam, nie podlizujcie się! — zapiął Uriński.

Tu jednak wielu już zaczęło krzyżeć, potępiając Urińskiego. Posypały się smaczne słówka.

— Spokojnie, spokojnie — podniósł rękę porucznik. — I znów do Urińskiego: — A co w następnej walizce?

— To samo — ze złością odpowiedział Uriński.

— Ta-ak... Zostawcie sobie jedną walizę według własnego wyboru, resztę konfiskuję.

— Nie macie na to prawa.

— Mam. Ten odcinek granicy jest na moim sumieniu.

— Róbcie, co chcecie, władza jest w waszych rękach — odgryzł się Uriński, ocierając pot. — Kiedy już taka wasza władza, zabierzcie wszystko. Tylko powiedzcie mi swoje nazwisko i numer oddziału. Kiedy przyjadę do domu i zobaczę, że moje dziecko i żona — nadzy, przyślę wam liścik, abyście ich ubrali.

— Zabierać to wszystko — rąbnął oficer, nie patrząc na Urińskiego.

— To zabieram ze sobą. — Uriński chwycił małą walizeczkę. Nagle ta otworzyła się i dobra setka ręcznych i kieszonkowych zegarków posypała się na trawę, lśnić w słońcu.

— Oo-o!... — rozległ się zgodny okrzyk.

— Tiu-uu!

— No, no!

Na chwilę wszystko jakby zamarło. Nad polaną zapanowała cisza. Następnie jakby zerwało tamy. Wszyscy zaczęli mówić naraz, krzyżeć, kląć, śmiać się. Pogranicznik i Uriński stali naprzeciw, gotowi, zda się, rzucić się na siebie. Ale oto Uriński ukląkł i zaczął drżącymi rękoma zbierać zegarki do walizki.

Krępy, kanciasty z długimi wąsami Trubin, wyszedł z szeregu, zmierzył Urińskiego wzrokiem i z całą siłą zerwał mu naramiennik. Ale podbiegli żołnierze pogranicznicy i przekonując o czymś Trubina, skłonili go, aby wrócił do szeregu.

— Swołocz... Maruder... tacy właśnie przynoszą nam hańbę... — wypluwał z siebie Trubin.

Uriński milczał, zbierając nagrabione. Kiedy wreszcie zamknął walizeczkę, oficer mu ją zabrał i oddał żołnierzom.

Nie patrząc na nikogo, Uriński zapalił fajkę. Stał tak, pociągając z fajeczki, z tym swoim jednym tylko naramiennikiem. Jedną walizkę mu jednak zostawiono.

— Dla żony? — spytał drwiąco pogranicznik.

— Tak.

Wkrótce, prowadzeni przez pograniczników, podeszli całą kolumną do nowego pociągu; kazano zająć miejsca w wagonach. Wagon sanitarny w tym składzie pociągu znalazł się zaraz obok wagonu, w którym jechał Aleksy. Zobaczył Lusię. Ta również patrzyła na niego i jakby chciała coś powiedzieć. Już zamierzał podejść, na co wyraźnie czekała, ale w tej chwili parowóz zagwizdał i pociąg ruszył. I znów w piersiach Aleksego coś się wywróciło, coś ścisnęło serce niepojętym bólem, ale równocześnie jakaś przyjemna niemoc ogarnęła go nagle. Dobrze rozumiał, że Lusia czeka na spotkanie z nim.

— Towarzysze, jedziemy po swojej ziemi! — uroczyście przemówił starszek Jeforycz.

Odepchnął jednego z młodszych, przedostał się do drzwi na ścieżaj otwartych i długo, nieruchomymi oczyma, wpatrywał się w szeroką równinę, pokrytą zieloną bujną trawą. Wzdłuż nasypu kolejowego ciągnęły się głębsze i płytsze leje, do połowy zapełnione wodą. Potem równinę przerzynał ogromny rów z rozwalonymi brzegami. Zaczęły migać stożkowate słupy przeciwczołgowe. Sterczały wszędzie, jak okiem sięgnąć, czasami rzadziej a czasami całymi ogromnymi stadami, jak pingwiny, tylko że białe i bez czarnych skrzydeł. Ślady bombardowań zagęszczały się tutaj; cała ziemia była zryta jamami, okopami, schronami.

Pociąg płynnie zataczał półkole i teraz widać było cały eszelon. Ludzie stali w drzwiach wagonów i chciwie, lecz ze smutkiem patrzyli na otwierającą się przed nimi panoramę minionych walk. W dali, zadarłszy lufę armatnią do góry, stał samotny czołg. Ciągnęły się całe rzędy zerwanego drutu kolczastego.

— Ziemio rodzona — rzekł cicho Jeforycz — całaś ty zryta, poraniona, zmordowana; ale szybko zagoją się twoje rany..

Aresztancki kitel Jeforycza był rozpięty, wietrzyk odrzucał poły. Koszuli nie było. Na nagim ciele starego pułkownika widać było szramy i głębokie bruzdy, dłuższe i krótsze. Ciało jego podobne było do tej poranionej równiny, obok której toczył się eszelon.

Aleksy spojrzął na starca i natychmiast odwrócił się. Oczy starca były pełne łez. Na twarzy pojawiły się dwie mokre dróżki.

Wargi mocno ściśnięte. Zdjął swój aresztancki beret i miał go w dłoniach; ręce mu drżały.

— Ta-ak... westchnął Sudariew — wiele widziała ziemia cierpiętница, wiele kości w siebie schowała.

Okrągłutki Fenota, mrużąc oczy, zauważył nieśmiało:

— Tutaj właśnie miały miejsce najsilniejsze walki czołgów. Mówią, że po pięć tysięcy czołgów naraz uczestniczyło po obu stronach.

Pociąg wkrótce zatrzymał się. I od razu do Aleksego przysiadł się Uriński, ciężko westchnął i powiada:

— Złoście się na mnie, Kłoczkw? A ja dureń okropny. Oj jaki dureń!... Chwył się za głowę, chwając się z boku na bok...

Aleksy, nic nie rozumiejąc, patrzył na kapitana.

Ten ścisnął dłońmi skronie, jakby w bólu. Wreszcie proszącym tonem, wykrztusił:

— Zrób dobry uczynek. Mnie samemu pójść tam niezręcznie. Ośmieszyłem się... Poproście Wierę Iwanownę o sulfidin. Zdaje się, że złapałem gonorrę... Tylko, bardzo proszę, jeśli będziecie mogli, nie mówcie dla kogo ten sulfidin. O tobie nie pomyślą. Ciebie przecież nie posądzą. Tyś w ich oczach chłopczyk jeszcze... No, ale jeśli będzie koniecznie dopytywać się, dla kogo lekarstwo, tedy powiedz, że dla Urińskiego.

Aleksy przypomniał sobie ów ciemny wieczór, wielką stację, długi postój, masę pociągów i Madziarkę, której Uriński coś tłumaczył...

— Nie wiem, jak można prosić o sulfidin i nie powiedzieć dla kogo — wzruszył Aleksy ramionami.

— Kupić nie kupić — potargować można. Pójdźcie. Usługi tej nigdy nie zapomnę.

Pociąg mógł ruszyć lada chwila i nie wiadomo, kiedy się znów zatrzyma. Toteż spojrzawszy nieprzyjaźnie na skwaszoną piękną twarz Urińskiego, Aleksy wstał zdecydowanie i w minutę był w wagonie sanitarnym.

— Jak oczka? — dobroliwie spytała Wiera Iwanowna.

Lusia zobaczyła Aleksego, zmieszana się, załała mocnym rumieńcem i uciekła za parawan.

— Dziękuję, lepiej — odpowiedział wesóło. — Mam do was prośbę.

— Proszę bardzo.

— Gwałtownie potrzebny jest sulfidin — wypalił szybko i z uśmiechem na coraz bardziej różowym i z każdym dniem pełniejszym obliczu.

— Sulfidin?! — Spojrzała na niego ze zdumieniem Wiera Iwanowna. — Po cóż on wam?

— Nie dla mnie. Dla jednego gościa.
— Hm. Czemuż tedy on sam nie przyjdzie.
— Krępuje się... Przecież znacie go dobrze...
— A-a-a... Doskakał się! — Zaśmiała się Wiera Iwanowna.
— Powiedzcie mu, że sulfidinu nie ma.

— Jakże tak może być? — zakłopotał się Aleksy. — Przecież trzeba jakoś pomóc człowiekowi.

— Ba, żeby to był człowiek! A to po prostu człowiekus!
Za parawanem zakrzyszono się śmiechem.

Aleksy zachmurzył się. Popatrzył w jej szare, szydlive oczy ze szczerą nieprzyjaźnią, i wycedził przez zęby:

— Do niedawna był on tutaj najbardziej pożądanym... Jak szybko zmieniają się nastroje...

— Nie mam nic — ostro odpowiedziała Wiera Iwanowna i wyszła za parawan.

— Cóż mnie to zresztą obchodzi — roześmiał się Aleksy i wyszedł z wagonu.

Za nim rzuciła się Lusja.

— Aleksy!... — Policzki jej pały. — Muszę wam powiedzieć. Nie teraz. Pociąg odchodzi. Na dłuższym postoju... Bardzo muszę...

— Przyjdę.

Pociąg ruszył.

— Aliosza — zawołał na niego Trubin — zostaniesz.

Aleksy dwoma skokami znalazł się u drzwi swego wagonu. Uriński niecierpliwie patrzył na Aleksego. Ten rozłożył ręce.

— Dlaczego nie dały? — szeptem zapytał kapitan.

Aleksy wyjaśnił:

— Łże — zakipiał Uriński. — Ma. Nie ma prawa odmawiać, suka. Zażądam. Złości się, że do niej nie chodzę.

Zanim jeszcze dojechali do granicy, wsadzono do ich wagonu nowego. Był to starszy już człowiek z rozumnymi czarnymi oczyma. Fenota opowiadał mu, jak hodować bakłażany w warunkach okręgów północnych, jak solić maślaki, aby później goście palce oblizywali. Nazywał się Andrzej Timofiejcz Łykov.

Zwracał na siebie uwagę ludzi z innych nawet wagonów. Dlatego, że choć również wracał z niewoli, to jednak dostał się do niej nie w czterdziestym pierwszym, ani nawet w czterdziestym piątym, a jeszcze w tysiąc dziewięćset szesnastym, przed rewolucją.

— Czemu dotychczas nie wracałeś? — pytano go.

Łykov wzruszał ramionami.

— Byłem młodszy od niego — wskazał na Aleksego. — Czego młodość nie narobi. Pokochałem Niemkę. Z powodu naszej wzajemnej miłości rodzice wygnali ją z domu. Tułaliśmy się.

Nieraz trzeba było nocować w zagrodach dla bydła. Wreszcie urządziliśmy się. Zacząłem pracować w fabryce. Ona w piekarni. Urodził się nam syn. Żyliśmy nieźle. Ale oboje polubiliśmy koczowanie. Wyjechaliśmy tedy do Włoch. Tam osiedliśmy i przeżyliśmy do samej wojny. Urodziła się nam jeszcze córeczka i syn.

— I naprawdę nie zachciało się wam wracać do ojczyzny?
— dziwiono się, słuchając jego niezwykłej historii.

— Początkowo, kiedym się zeszedł, mało o tym myślałem; trzeba było myśleć, jak zdobyć kawałek chleba.

— W domu u ciebie widać nikt nie został?

— Jak to nikt? I ojciec i matka i bracia zostali — niezmaczenie odpowiedział Łykw.

Ludzie kiwali głowami. Jedni ze zdumieniem, drudzy potępiąco patrzyli na niego. On jednak był niewzruszony.

— No nie. Toż trzeba być kamieniem, żeby zostać na obczyźnie, zapomnieć o ojcu i matce.

— Ja nie zapomniałem. Ale co było robić, żadną miarą nie można było wracać po rewolucji. Bałem się, że posadzą.

— Sadzali, prawda. Ale przecież nie takich, jak ty. Ty przecież nie żaden kontra, ani biały. Po prostu cudak, włóczęga.

— Kiedy już mieszkałem we Włoszech bardzo się chciało wrócić. Bywało, tutaj u was święto jakies zamknę się w pokoju przy radiodbiorniku i cały dzień płaczę, nikogo do siebie nie wpuszczam. Piję i płaczę. Ale też w takie dni nikt do mnie nie usiłował zachodzić. Już wiedzieli.

— Ta-ak...

To ostatnie jakoś wszystkich wzruszyło. Łykwowi uwierzono przestano nań krzywo patrzeć. — Zapłatał się człowiek i tyle.

— No, a czemu teraz sam jedziesz?

— Żona z dziećmi tymczasem została we Włoszech. Jak tylko się urządę, zaraz sprowadzę. Pożyjemy w ojczyźnie.

— Urządysz się — dodawano mu odwagi. — Pracy starczy dla wszystkich. Popatrz, co te szwaby narobiły. Wszystko porozbijały.

Obok pociągu przepływały rozbite wsie, popalone stacje kolejowe.

— Lepiej by było od razu jechać z rodziną. A to dodatkowy kłopot.

— Nie szkodzi — spokojnie odpowiadał Łykw. — Aby tylko dotrzeć do miejsca jak najprędzej.

— Do jakiego miejsca?

— Nie wiem. Na pewno tam, gdzie i wy.

— Ba, my sami dobrze nie wiemy, dokąd jedziemy. Mówi się, że do oficerskiego obozu. Przechodzić tam będziemy kontrolę

państwową. Komu przywrócić stopień a kogo — do domu... — uśmiechnął Trubin.

Łykow patrzył na nich swoimi rozumnymi oczyma. Ubrany był dobrze. Żadnych jednak rzeczy, prócz małego saszka, ze sobą nie wiózł.

Na postojach raz i drugi zachodził do wagonu dowódca eszelonu i odnalazłszy Łykowa, pytał:

— No jak tam, Łykow, poznajesz Ukrainę.

— Taka sama, jak była.

— O nie, nie taka sama. Porozbijali gady.

Podjeżdżano do Sławuty, niewielkiego miasteczka, położonego niedaleko od dawnej granicy.

— Tutaj służyłem, wychylając się z wagonu, radośnie wzdychał Fenota. — Czy wiecie, jakie tu cudowne sady... Ach, żebyście wiedzieli... A naród tutaj, głównie Żydzi i chachły. Rosjan bardzo mało.

W Sławucie pociąg stał krótko i spotkanie Aleksego z Lusią nie doszło do skutku. Wyjrzała ze swego wagonu, na którego drzwiach był naklejony papierek z czerwonym krzyżem, pomachała Aleksemu ręką i uśmiechnęła się.

— Dziewucha zakochała się w tobie... — rzekł dobrotliwie stojący obok Aleksego Sudariów. — To przyjemnie.

Aleksy z radością popatrzył na Sudariewa. Jakoś nie oczekiwał tych słów. Mężczyźni najczęściej na ten temat płasko dowcipkują. A ten nie. Nie łatwo go rozgryźć, ale czuje się, że jest człowiekiem dobrym. Choroba na pewno bardzo go gnębiła. Wyglądało na to, że nie spostrzegął w ludziach zła.

Na następnym, również krótkim postoju, do pociągu runął tłum nędznie odzianych dzieci i kobiet. Dzieci wołały: — Wujku, rzuc chleba, wujku...

Uriński wytrząsnął popiół z fajki, zawołał na jedną z kobiet:

— Co masz na sprzedaż?

— Kura, kura... Dobra kura — odkrzyknęła.

Uriński obliznął wargi. — Ile za nią chcesz?

— Pieniędzy ne treba... majesz jakije wieszczy?

— Maju... poczekaj tutaj — ...obiecał i poszedł do swego kąta, otworzył walizę. W minutę potem kobieta oglądała niebieski kombinezon.

Zamiana odbyła się. Uriński trzymał w ręku pieczoną kurę, połyskującą tłuszczem.

Sudariów patrzył na niego nieruchomymi oczyma. Jego długa szyja wyciągnęła się, przelyk chodził w górę i na dół.

Do wagonu podbiegło wiele młodych kobiet. Wszystkie hałasowały, błagając o coś z bielizny.

Uriński chytrze się uśmiechał, odrywał po kawałku mięso kury i leniwie żuł.

— Koje szto — jeszcze maju... podstrajał swoją mowę pod mowę ukraińską. — A szto, diuże wam potreba?

— Diuże, diuże treba!

Wydostał różowe majteczki. Trzymając je dwoma palcami, aby nie poplamić kurzym tłuszczem, krzyknął:

— Ale piękne!

— Trimaj groszi... Wot groszi... — wyciągały doń ręce.

— Groszi nie treba! — Śmiał się, potrząsając majteczkami nad głowami kobiet. Pociąg wolno ruszył.

— Toż on sobie z nas kpi! — zawołała strapiona jedna z kobiet. — Dla swojej baby taszczy, niech go cholera!

— A czemuż ty nie prosisz — rzucił do stojącej na uboczu młodej kobiety.

— Nie mam kury, nie ma groszi.

— A taką rzecz masz?

— Nie ma.

— Breszesz, pokaż że nie masz, to odłam! — Oczka Urińskiego zrobiły się maślane, obleśnie zwięzły się w szpareczki.

Kobieta niezdecydowanie rozejrzała się wokół i nagle, schwycwszy podolek spodnicy, szybko zadarła ją do góry i natychmiast opuściła.

Uriński gruchnął śmiechem. Potem wsadził dwa palce w usta i przeraźliwie gwizdnął.

— No, więc, oddaj jej — popychał go pułkownik Jerofiejew. — Widzisz baba goła chodzi.

Uriński złośliwie uśmiechał się. Kobieta biegła za wagonem.

— Oddaj, niech cię diabli! — Trubin nagle wyrwał majteczki i rzucił je kobiecie. Ta schwyciła je w locie, wsunęła za kaftan i szybko poszła precz od stacji, nie oglądając się ani razu.

— A ty, karaluchu wąsaty, nie pchaj się, gdzie cię nie proszą — odwrócił się Uriński.

Trubin zbladł, zamachnął się... Uriński zachwiał się od uderzenia, ale natychmiast się wyprostował i runął na Trubina. Schwyciło ich dziesiątki rąk.

— Co wy... przecież tak nie można...

Trubin ciężko dyszał aż ruszały się jego wąsiska.

— Nie, podliuga... — chrypiał — czekaj przyjedziemy, będą cię sądzić... My będziemy cię sądzić... Jeszcze nie zatraciliśmy oficerskiego honoru. Podła ty duszyczka... Chapacz...

Uspokajano go.

— A przecież podłością jest tak drażnić — rzekł Sudariew. — Myślę, że nasze kobiety zasługują na inny stosunek.

— Ja je lepiej znam, te kobiety! — splunął Uriński.

— Ech, matko ty rodzona, bardzo się zepsuły nasze dziewczęta — pokręcił głową Kaszelkin. W oczach jego pojawiły się łzy.

— Tego jeszcze nigdzie nie widziałem — przyznał Łykov.

Poszły rozmowy o wojnie, o tym, kto więcej wskutek niej ucierpiał.

— A ja uważam tak, towarzysze — mówił Sudariew. — Myśmy użyli, jak psy w studni. Ot, tak użyliśmy — pokazał dłonią w poprzek gardła. — Ale i nasze żony, dzieci i staruszkowie nasi przeżyli również nie mało.

— Nie daj Boże, ile! — podtrzymał go ktoś.

— No, już nie wszyscy tak przeżywali — zadrwił Uriński.

— Okopał się taki gdzieś za Uralem i tak całą wojnę przesiedział.

— Przesiedział? A może przestał?

— Jak to tak? Przestał?

— A tak, przy warsztacie. Po osiemnaście godzin na dobę. I niemal nie żrąc. I na zimnie...

Rozmowy o wojnie, o froncie i tyłach, ciągnęły się do samego wieczora. Być może trwałyby dłużej, gdyby pociąg się nie zatrzymał i nie dano rozkazu pobierania jedzenia. Chwyciwszy kociołki, wszyscy pobiegli do wagonu-kuchni.

Aleksy spóźnił się. Ktoś widać brał jego kociołek i nie postawił na miejsce. Był ostatni w ogonku. I znów nie spotkał się z Lusią. Później bowiem pociąg szedł bez zatrzymania prawie do samego rana. Aleksy obudził się rankiem. Stali na jakiejś dużej stacji. Wyrzwał z wagonu. Było wiele torów kolejowych, wiele towarowych i pasażerskich pociągów, masy ludzi na kiepsko oświetlonym peronie.

Trubin, ziewając, powiedział, że Kijów został w kierunku na północ.

Przyszedł naczelnik eszelonu.

— Łykov! — zawołał.

Łykowa nie było.

— Gdzie Łykov?

Popatrzyli na miejsce na narach, gdzie zwykle spał: było puste.

— Łykov został! — W wagonie wszyscy się pobudzili.

— Ot i masz! Wczoraj rozprawił o prawdziwej rosyjskiej gorzkiej. „Trzydzieści lat, powiadał, nie próbowałem”. Czyżby poszedł do bufetu i pił się?

Dowódca eszelonu coraz posepniejszy stał obok nar, gdzie spisał Łykov i wreszcie skruszonym głosem rzekł, nie zwracając się do nikogo:

— I po co go wzięłem?... Kto teraz będzie odpowiadał?... Obszedł wszystkie wagony, mając nadzieję, że znajdzie Łykowa. Ale go nigdzie nie było.

— Ot głupstwo człowiek popełnił. Teraz go mogą zabrać i sprawa się skomplikuje. A rodzina została, czeka. Cudaż!

— Pólgłówek czy co? — kręcił głową Kaszelkin.

Do Aleksego przysiadł się Trubin, wyciągnął kartkę papieru, kopertę: — Masz, pisz. Stąd dojdzie szybko. Podczas gdy my jedziemy, otrzymają.

Aleksy nie wiedział dokąd pisać. Ojciec był na froncie, gdzieś pod Pietrozawodskiem. W ostatnich miesiącach przed niewolą Aleksy stracił z nim łączność. Matka została w oblężonym Leningradzie. Czy zdołała wyżyć? Leningrad bombardowali, ostrzeliwali z ciężkich dział. Z Wroniej Góry. W czterdziestym drugim roku, kiedy pewnego razu przejeżdżał przez miasto, w rejonie ich zamieszkania widać było pożary. Nie mógł wtedy pobiec choćby na chwilę do domu. Nie puścili go. I zresztą trudno go było puścić. Przerzucano bardzo pilnie jego oddział na inny odcinek frontu.

Aleksy wysłał list do wsi, w której spędzał dzieciństwo. Może żyje jeszcze jego dziad. Na wszelki wypadek napisał na adres przewodniczącego Rady Wiejskiej.

„Towarzyszu przewodniczący!

Jeśli wiecie cokolwiek o mojej rodzinie i o moich bliskich, proszę przestać im list niniejszy. Komunikuję, że ja, Aleksy Pawłowicz Kłoczów, wracam do ojczyzny z faszystowskiej niewoli. Jedziemy w kierunku Uralu. Jak tylko zajadę na miejsce, zaraz wyślę adres”.

Wreszcie dłuższy postój. Aleksy rzucił list do skrzynki pocztowej i zaraz poszedł do wagonu sanitarnego.

Wiera Iwanowna popatrzyła nań w zamyśleniu, niechętnie wydobyła papier złożony w trójkąt.

— Zostawiła tę notkę. I powiedziała mi tak: Jeśli zajdzie, proszę oddać. Nie zajdzie — podrzec. Ona przecież nie była na froncie. Nie była jeńcem. Niemcy wywieźli ją na roboty jako piętnastoletnie dziecko. Tedy, czego miała jechać z nami?

Aleksy zbiegł z nasypu, położył się na trawie i ze wzruszeniem rozpięczętował troskliwie sklejony trójkąt. Zdziwił się, zobaczywszy równiutkie wiersze, piękne literki. Jak Luscia mogła tak ładnie napisać w wagonie. Literka w literkę. Malutkie, wyraźne, subtelne. Prawie kaligraficzne pismo. Serce zaczęło bić żywiej, na twarz wystąpiły rumieńce.

„*Aliosza!*

Nie doczekałam się spotkania. Zdecydowałam się więc napisać. Mam osiemnaście lat. Wiele nieszczęścia widziałam w życiu. Moją mamę rozstrzelali Niemcy za łączność z partyzantami, a mnie wywieźli do Niemiec. Pochodzę z Liubani...”

Aleksy zakrył ręką oczy, chwycił się za głowę. Przecież wojska pod Liubanią, atakował to miasteczko. Potem już w niewoli zdarzyło się, że przebywał w tym miasteczku za drutem kolczastym.

„*Nie wiem, czy żyje jeszcze ktokolwiek z moich krewnych. Czy domek nasz ocalał. Ty również nie wiesz, co cię czeka. Nie dziw się, jeśli powiem, że twój los będzie mnie zawsze niepokoić. Ty na pewno jesteś dobrym człowiekiem. Ja tak myślę. Chciało mi się być z tobą. I bardzo mi przykro, że nie jestem cię warta. Naprzód nade mną znęcali się Niemcy. A później już — swoi. A mimo to postaram się stanąć na nogi i nigdy już tak nisko nie upaść, jak to się zdarzyło w wagonie tego wieczora. Ty przecież wiesz wszystko. Pewno spytasz: dlaczego ja to wszystko piszę? Piszę dlatego, że ja pierwszy raz w życiu pokochałam... Tyle o tobie myślę. Sama nie wiem, dlaczego. To znaczy miłość... Bo cóż by innego?*

Pamiętaj, jeśli ci będzie potrzebny przyjaciel — ja jestem przyjacielem. To jest bardzo szczere, Aliosza. Kiedy będziesz wracał do Leningradu, daj malutką wiadomość. Liubań. Poczta Główna. Poste restante.

Życzę ci wszystkiego najlepszego, najszybszego powrotu do domu

SONINA Lusja”.

Nieopodal od Aleksego siadł na trawie Trubin. Pokręcił wąsy, skinął.

— Nic innego tylko list? Powiedz proszę, od bogdanki, co?

Aleksy poczerwieniał. Zerwał żółty kwiatusek, w zamyśleniu podniósł do nosa, powąchał. Żółty pyłek został mu na koniuszku nosa.

— Pierwszy raz w życiu dziewczyna wyznała mi swoją miłość.

— Podoba ci się? — Trubin uważnie patrzył na Aleksego.

— Nie wiem.

— Wszystko jeszcze przed tobą — miękko uśmiechał się Trubin — a ja, to już starzec. Czterdzieści dwa stuknęło. Jeszcze kilka latek — i już naprawdę będę staruszką... Pomyślał o czymś niewesołym, odwrócił się i posępnie zakończył: — Jeśli

rodzina zginęła — drugiej zakładać nie będę. Jak nie bądź, prze-trwam.

— Dlaczego miała zginąć — sprzeciwił się Aleksy. Do No-wosybirskia niemieckie samoloty, zdaje się, nie dolatywały.

— Mało to rzeczy zdarza się w życiu — odparł Trubin. — A oto i dowódca eszelonu biegnie od parowozu. Pewnie ruszamy dalej.

Nieznana, zanurzona w szaroniebieskim listowiu olbrzymiej łożyny stacyjka szybko została gdzieś w tyle.

Na jednym z postojów Sudariew pobiegł do czołowego wa-gonu, błagać majora, aby go puścił na godzinkę do domu. Do jego miasteczka było stąd bardzo blisko — ot, ręką podać!

— Rzucę tylko okiem na dzieci i migiem wrócę. Czyżby mógł nie puścić? — zastanawiał się w przeddzień.

— Powinien przecież zrozumieć. Ma chyba serce — doda-wał sobie odwagi Sudariew.

Wrócił zgnębiony. Milcząc poszedł do swego legowiska, po-łożył się, skrzył w pałak. Nikt go nie pytał, co mu odpowiedział dowódca eszelonu. Tylko Trubin westchnął ciężko i głośno splu-nął.

— Hm... ta-ak... — znacząco warknął Jerofiejcz.

Jeszcze dwa dni, ziejąc białymi kłębamii pary i dymu mknął pociąg na wschód. Im bliżej podchodził pociąg do miejsca, któ-rego nazwy nikt nie znał, prócz towarzyszących transportowi ofi-cerów, tym bardziej małowólni stawali się ludzie. Nawet Bo-hater Związku Sowieckiego sposepniał, na postojach samotnie przechadzał się po peronie.

W ciągu ostatniej nocy pociąg prawie się nie posuwał. Uje-chano zaledwie z dziesięć kilometrów, i stanęli na jakiejś zapadłej stacyjce. Było ciemno i pustynnie. Padał deszcz, pochłodziło. Zupełna jesień.

Trubin szepnął do Aleksego.

— Stąd do Ufy ze sto kilometrów, a może nawet więcej.

O świcie parowóz odczepiono i odjechał sam, dokądś na-przód, ginąc w rozpraszającej się mgłę.

Pół godziny później dano rozkaz wyładowywać się.

A więc słusznie — zauważył Jerofiejcz. — Jeszcze wczoraj chodziła plotka, że do „Ałkingradu”. Tak nazwał to miasteczko jeden z naszych.

— A mnie obecnie wszystko jedno — ruszył ramionami Su-dariew — czy do Ałkingradu czy do Diablogradu.

W żaden sposób nie mógł się pogodzić z tym, że nie pozwo-lono mu na krótko odłączyć się od transportu. Jakby przeczuwał, że przyszłość była zła — zapowiadała rozłąkę z rodziną na zawsze.

R o z d z i a ł t r z e c i

Bezleśne pagórki z nędzną, jakby słońcem wypaloną trawą, błotnista droga, z głębokimi koleinami, wypełnionymi mętną wodą, przegniły i dawno już rozwalony mostek nad jarem, samotna wrona na słupie telegraficznym — oto pejzaż okolic Ałkingradu.

Drobnutki, jak mokry kurz, deszczyk, mlaskanie butów w błocie, nieprzeniknione twarze towarzyszących oficerów — wszystko to razem oddziaływało przygnębiająco. Dowódca eszelonu co raz odchodził na bok i, wycierając o trawę zabłocone gęstą gliną buty, pokrzykiwał:

— Nie rozciągać się tam, nie rozciągać! ...Ej, tam w tyle, oduczyliście się chodzić...

Aleksy rzucił okiem na Wierę Iwanownę i jej towarzyszki. One to właśnie zamykały pochód. Niosły sporo rzeczy i wyraźnie zostawały w tyle. Mimowoli myślał: „Gdzież podzieli się ci wszyscy zalotnicy, którzy tak natrętnie nadskakiwali im w podróży i tak bezwstydnie zapominali o nich obecnie?”. Jeden tylko Trubin uważał za stosowne pomagać. Aleksy niósł worek Sudariewa, a drugą ręką podpierał go. Zdawało się, że stary porucznik lada chwila upadnie, do tego stopnia osłabł.

Kolumna długo wpełzała na wzgórze. Droga była coraz gorsza. Wzdłuż szeregu podniosło się szemranie.

— Cóż to, umyślnie nam każą miesić to błotko? Przecież na boku drogi jest sucho:

— Towarzyszu majorze, każcie skrócić na bok drogi!...

— Nie gadać tam!

— Cóż za idiotyzm!

Kiedy wreszcie wleźli na płaskie wzgórze, ujrzeni nieopodal w zagłębieniu masę ziemianek, długich, rozłożonych równymi rzędami, jak mogiły na niemieckich cmentarzach.

To specjalny oficerski pułk — objaśnił major. — Otośmy przybyli, a wyście się już zachłysnęli drogą. Odwykliście od służby.

— „Specjalny” — rzekł ktoś ironicznie.

Naliczyli ponad trzydzieści ziemianek. Pod cieniem rachitycznych brzózek stał barak drewniany z trzema długimi kwadratowymi kominami. Bok baraku był zastrzony i stąd całość przypominała okręt. Z jednej strony baraku wisiało coś w rodzaju ogromnej markizy.

— Kuchnia i stołówka jest — ktoś usiłował wesoło zażartować. — Czego trzeba więcej?! Wszystko w porządku!

— Nie kuchnia, a cały krążownik!

— Tak, tak, krążownik... Zupełnie jak krążownik! — Podchwyciły inne głosy.

Dał ostry wiatr, deszcz nieustannie padał mokrym pyłem.

Aleksy patrzył przypominając sobie, że gdy służył w zapasowym strzeleckim pułku w Leningradzie, była tam identyczna stołówka, tylko nie pod nędznymi brzoškami, a w sosnowym borze.

— O, do diabła. To już do niczego nie podobne: znów druty!

— Jakże inaczej, bez drutów ani rusz — odezwał się Jerofiejcz.

U wrót stał wartownik. W pomiętym szynelu, w pilotce nasuniętej na oczy, w olbrzymich, również zabłoconych butach. Żołnierz podniósł kołnierz szynela i zdawało się nie zauważał zupełnie zbliżania się kolumny. Zgarbiony stał oparty o słup wierzei.

— Kolumna, stój! — zakomenderował major.

Podszedł do wartownika, coś mu powiedział i udał się do najbliższej ziemianki. W chwilę później wyszedł już nie sam, a w towarzystwie krępego oficera.

Przed szeregiem major się zatrzymał a z nim i ów krępy pułkownik. Cienkim głosikiem, zupełnie nie pasującym do jego masywnej postaci, pułkownik krzyknął:

— Witam, towarzysze wojskowi!

— Zdrowia życzymy, towarzyszu pułkowniku! Niezbyt zgodnym chórem odpowiedziała kolumna.

— E-ee, to do niczego — uśmiechnął się pułkownik. Ano, spróbujmy jeszcze raz i znów cieniutko, prawie piskliwie krzyknął:

— Witam, towarzysze wojskowi!

— Zdro-wia ży-czy-my to-wa-rzy-szu puł-kow-ni-ku!

„Dlaczego wojskowi, a nie oficerowie?” — pomyślało wielu.

— Tak jakby trochę lepiej. Ano, jeszcze razik.

Znów krzyknął jak kogut. I znów szczekliwym chórem odpowiedział szereg. Zdawało się, że już nieźle, ale pułkownik zachmurzył się, zbliżył się do kolumny i surowo zapytał:

— Dlaczego nie wszyscy odpowiadają na powitanie? Co to takiego? Co was, że trzy dni nie karmiono?... Ano jeszcze raz...

— Jak mamy rozumieć słowo „wojskowi”? — zawołał ktoś z szeregu.

Pułkownik podrzucił głowę do góry, spojrzeli na siebie porozumiewawczo z dowódcą eszelonu. Kaszląc odpowiedział:

— Nie ma się co śpieszyć, dowiecie się wszyscy. A teraz jeszcze razik...

Wymiana powitań powtarzała się jeszcze i jeszcze. Wreszcie

pułkownik obwieścił, że jest zastępcą dowódcy pułku w sprawach politycznych: *zamkompolit* — i prosił, aby nie kompromitować siebie i jego, kiedy przyjdzie dowódca pułku. Zrozumieli więc, że był to przygotowawczy trening.

Przeszli przez wrota i zatrzymali się na wielkiej polanie, gdzie trawa była wydeptana. Z tej samej ziemiarki wysypali się oficerowie, za nimi podoficerowie i szeregowi z zeszytami w rękach. Zatrzymali się opodal ze wzrokiem zwróconym w jedną stronę. Z tej strony zbliżał się człowiek bardzo wysokiego wzrostu. Był to dowódca pułku. Rozległ się rozkaz: *Baczność! Równaj się! Zampolit* zaraportował dowódcy o przybyciu „grupy repatriantów”. Pułkownik basem, niezbyt głośno rzucił powitanie. Kolumna odpowiedziała zgodnym chórem. Pułkownik nie zrobił żadnej uwagi. Odczekawszy chwilę, cicho, jakby się obawiał, że go ktoś usłyszy po drugiej stronie drutów, zaczął mówić:

— Towarzysze wojskowi! Przybyliście do specjalnego oficerskiego pułku. Będziecie tu przechodzić kontrolę państwową. Tutaj będzie się wasz los decydować. Sami rozumiecie, że z jednymi praca pójdzie łatwo, z innymi trudniej. Jedni z was są absolwentami szkół wojskowych, inni zdobyli swoje stopnie na froncie. Oddziały wojskowe były wielokrotnie reorganizowane, przerzucane z miejsca na miejsce, dokumenty często ginęły. Co więc jest konieczne? Przede wszystkim, abyście się nie gmatwali w swoich zeznaniach i odpowiedziach na pytania oficerów kontrwywiadu, którzy się będą wami zajmować. Po wtóre: abyście w żadnym wypadku nie kłamali. Tak, towarzysze — jeszcze bardziej zniżył głos. — Takie wypadki, niestety miały tu miejsce. I wychodziły tylko na szkodę temu, kto sam błędził i starał się wprowadzić w błąd pracowników organów śledczych. Po trzecie: rozkazy i wskazówki waszych dowódców, a w szczególności podoficerów, należy wypełniać bez najmniejszego sprzeciwu. Porządek u nas trochę różni się od porządku, jaki panuje w innych oddziałach wojskowych. Ale sami rozumiecie, zagadnienie nie jest zwykłe. Zamiast podnoszenia sprawności bojowej w warunkach pokojowych, będziemy zajmować się waszymi, szczególnie ważnymi osobistymi sprawami. Ale spraw osobistych tutaj nie można oderwać od spraw państwowych. Czy są jakieś pytania?

— Dlaczego nas nazywają „towarzysze wojskowi”?

— Tak. Kto pyta, proszę wyjść z szeregu.

Według wszelkich prawideł musztry, dotknąwszy ramienia stojącego przed nim, który natychmiast zrobił mu miejsce, wyszedł z kolumny Trubin.

— Wy kto?

— Kapitan Trubin, towarzyszu pułkowniku.

Dowódca pułku zmarszczył brwi.

Mówicie „kapitan”. A skąd ja mam to wiedzieć? Możecie samозwanic?... Otóż przejdziecie kontrolę, włożycie mundur i będę was nazywać kapitanem. Zrozumiano? Wróćcie do szeregu! Czy są jeszcze jakieś pytania?

Pytań nie było. Nad szeregiem panowała martwa cisza.

— Oczywiście, mam nadzieję, że samozwańców wśród was nie ma — uśmiechnął się pułkownik.

Aleksy usłyszał jak stojący za nim Kaszelkin, ciężko dyszy.

Pułkownik rzucił okiem na stojącą opodal grupę oficerów, podoficerów i szeregowych z zeszytami.

— Rozdzielić kolumnę na kompanie, plutony i sekcje — rzucił rozkaz.

Oficerowie specjalnego pułku podeszli do kolumny, zaczęli ją przegrupowywać. Przez kilka minut rozlegały się rzucane różnymi głosami rozkazy, okrzyki, uwagi.

I oto czterystu ludzi ustawiono na nowo. Kapitan zameldował pułkownikowi, że batalion repatriantów jest już przygotowany. Do czego przygotowany — kapitan nie powiedział.

Pułkownik od razu wyznaczył dowódców kompanii. Ci ze swej strony wyznaczyli plutonowych i sekcyjnych.

— Od tej pory jesteście czwartą kompanią — obwieścił porucznik. Nazwisko moje Kutiepow. A oto wasi dowódcy. Poznajcie się...

Przed Aleksym stał sierżant o mocno skośnych oczach i szerokich kościach policzkowych.

— Alimow — powiedział swoje nazwisko.

Podeszło dwóch pisarzy i zaczęło zapisywać nazwiska według sekcji i plutonów.

Podczas rozdzielania ludzie, którzy jechali jednym wagonem i już zaczęli do siebie przywykać, zostali wymieszani. Aleksy jednak rad był, że Trubin znalazł się z nim w tej samej sekcji, podobnie jak Sudariew i Kaszelkin. Uriński wyznaczony był do innej sekcji. Doszli natomiast nowi: młody kruczowłosy porucznik Elli Macewicz, piszący wiersze w wolnych chwilach, i milczący porucznik Biełochwostow.

— Czy ma kto broń? — spytał dowódca kompanii.

Ku ogólnemu zdziwieniu Uriński wyjął rewolwer.

— Oddać. Pisarzu, zapisać broń w jego ewidencji.

Oddali broń również i ci oficerowie z innego wagonu, którzy byli w mundurach, z naramiennikami i przy orderach. Kiedy zdali broń, nakazano również zdjąć naramienniki i ordery.

— A dlaczego to? — spytał Bohater Związku Sowieckiego.

— Taki jest rozkaz — ruszył ramionami oficer.

Przez półtorej godziny stali na wietrze pod drobnym deszczem, który to przestawał padać, to zaczynał od nowa. Wolno ciągnęła się procedura sporządzania spisów, zdawania broni, zdejmowania naramienników i orderów, sprawdzające apele, zaznajamianie się z nowymi dowódcami.

Następnie kompanię skierowano do łaźni. Leżała w odległości kilometra od wrót pułku, w maleńkim lasku. Zwykła izba z brewion przerobiona była na łaźnię.

— W czterdziestym pierwszym w grudniu — objaśniał dowódca kompanii Kutiepow. — Wybudowaliśmy ją sami. Dużośmy tutaj przeżyli, wiedzcie... O-o, obecnie to raj!

Izba była obszerna, mogła pomieścić całą kompanię. Ponieważ jednak przyprowadzono od razu cały batalion, czwarta kompania musiała długo jeszcze sterczeć na deszczu.

Zmiana umundurowania odbywała się w przedpokoju łaźni. Tutaj — podoficer-intendent wydawał każdemu pełny komplet munduru szeregowca. Tutaj też fryzjerzy strzygli i golili. Był surowy rozkaz ostrzyć absolutnie wszystkich.

— Włosy odrosną — żartował *zampolit*. — Ach, żeby to tylko o włosy chodziło! — wzdychał — wtedy wszystko byłoby prostsze niż zjedzenie pieczonej rzepy.

— A bo co, towarzyszu, albo my to przestępcy?

Zampolit mrużył oczy, uśmiechał się zakłopotany.

— Nie sądzę, nie sądzę. Dajcie tylko trochę czasu, wszystko się wyjaśni.

Przeszli łaźnię, ostrzyżono im włosy, ubrali się w wydane im mundury. Ludzie patrzą jeden na drugiego i nie poznają się. W ciągu dwudziestodniowej podróży przywykli do innego wyglądu. Jerofiejcz na przykład, chodził w pasiaku aresztanckim, w który go ubrali jeszcze esesowcy w Dachau. Teraz stał przed nimi w ogromnych brezentowych buciskach, nowiutkiej gimnastorce i galife; wszystko wisało na jego chudej jak kij figurze. Na łysej głowie niezgrabnie siedziała pilotka. Zielone naramienniki czegoś powyginały się na wąskich ramionach i wyglądały jak znaki zapytania.

Na tych repatriantach, którzy dołączyli do eszelonu później w łachmanach i wygłodzeni, przebranie się w mundury wywierało wrażenie dodatnie. Niektórzy z nich radośnie poklepywali się po plecach.

Inni, przedtem ubrani w mundury oficerskie, obecnie byli przygnębieni. Broń odebrano, mundur zdjęto, głowy ostrzyżono. Za co?

Z łaźni udali się do ziemianki. Był to ogromny półciemny budynek z dwupiętrowymi narami wzdłuż ścian i z dwoma oknami.

Przy wejściu stała szafeczka i taborecik — miejsce dyżurnego. Pachniało surowizną, wilgocią. Materace były brudne, wypchane jakimś śmieciem. Otrzymali jednak czyste prześcieradła i koce. Dla sześciu z czwartej sekcji zabrakło miejsca.

— Będziecie musieli mieszkać na zewnątrz — rzekł dowódca kompanii. — Teraz to żaden problem, pod byle krzakiem można prznocować.

— Jak to tak: pod krzakiem? Alboż my wilki? — uśmiechnął się Jerofiejcz.

— No, no. Pod krzakiem nie będziecie nocować, postawimy namiot... Alimow — zwrócił się do sierżanta — idź do intendenty, przynieś namiot.

I kiedy obok ziemianki wyrósł czworokątny namiot — cała kompania uznała tych sześciu za szczęśliwców. Na wolnym powietrzu będzie jednak o wiele lepiej spać, niż w dusznej, śmierdzącej i ciemnej ziemiance. W dodatku Uriński zdążył już złapać pchłę — i pokazywał ją wszystkim.

— Po niemiecku to „fle”. A po rosyjsku pchła.

Płótno namiotowe miało wiele maleńkich dziurek. Ale deszcz ustał, wyrzało różowe zachodzące słońce. Pod płótnem namiotowym było jasno i przytulnie.

— Czwarta kompania — rozległ się głos dyżurnego — do kolacji szykuj się!

— Nieźle wymyślił sierżant — roześmiał się Uriński. — Jeszcześmy obiadu nie jedli, a on powiada „do kolacji”.

— Zaprześcić rozmów! — obciął sierżant. Popatrzył na Urińskiego swymi skośnymi oczyma, twarz mu pociemniała. — Szybko! Szybko! — Dowódca sekcji popędzał ludzi. — Co oni — głusi, czy co?

Sekcja ustawiała się wolno, z ociąganiem, sierżant biegał, kłął. Ot, ludzie, skąd was takich zebrali! Nie chcesz jeść kolacja? Tak? Spóźnimy się do kolejki, potem czekamy!

Ostatnie słowa poskutkowały. Wszystkim się już dawno chciało jeść.

— Wy długo popaliwasz? — rzucił się sierżant na Urińskiego. Marsz do szeregu. Mam cię karać dodatkowym dyżurem? co?

— Uch, ty... Twarz Urińskiego wykrzywiła się. — Wolniej, wolniej, przyjacielu, nie jestem chłopcem.

Sierżant stanął przy Urińskim jak wryty. Miał już do czynienia z ludźmi, którzy byli od niego starsi i wiekiem i rangą, ale tutaj byli mu podporządkowani i musieli wykonywać jego wskazówki i rozkazy. Być może, w głębi duszy zdawał sobie sprawę ze swej niezręcznej sytuacji. Jednakże służba — to służba. Zresztą diabli wiedzą tych ludzi, kto z nich winien, a kto nie.

— Ty, szeregowy, będziesz wykonywał moje polecenia. Jasne?

— Alboż my zdegradowani czy co? — pytał Uriński.

— No dość już! — Inni wsiedli na niego. — Czego się z nim będziesz spierał. On tutaj nic nie jest winien.

— Jak twój nazwisko?

— Jak mój nazwisko? — uśmiechnął się Uriński. — Nie twój, a twoje — podkreślił.

— Podwójna dyżur. Mniej gadać — przyłożył rękę do pilotki Alimow. — Powtórz.

Uriński rozglądał się zakłopotany.

— Powtórz — domagał się sierżant.

— Podwójna dyżur — rzekł Uriński. — Proszę. A choćby i stokrotna.

— Stawaj do szeregu! Chowaj swój fajka!

Nie pozostało Urińskiemu nic innego, jak stanąć do szeregu.

Aleksemu zrobiło się żal Urińskiego. Po chwili dopiero zrozumiał, że żal mu było nie Urińskiego, a siebie. „Co z nami jeszcze będzie?” — pomyślał z trwogą.

Ranek był taki, jak dzień poprzedni — pochmurny. Niebo ciężko leżało nad smętną ziemią, nad ponurymi ziemiankami. Po namiocie spływały deszczowe krople. Zatrzymywały się w miejscach rozdartych i spadały na posłania.

— Ech, bracia wojskowi — ironizował Jerofiejcz. — Tu mi się też nie powodzi. Leje się, bestia, prosto na głowę.

Zbudził się Elli Macewicz. Na niego również kapało.

— Znowu deszcz. Na sercu ohydnie... Nade mną dziurawy namiot — wymamrotał i głowę wsunął pod koc.

— Ta-ak, w taką pogodę tylko wiersze pisać — westchnął Bielochwostow. Wychylił się popatrzył w górę i schował się również.

— A nade mną, matko rodzona, Bóg się zmiłował — zakomunikował Kaszelkin. Na niego nie kapało.

— Dajcie spać — zgniewał się Sudariew. Z wieczora nie mógł zupełnie zasnąć, kolacja mu nie smakowała. Żalił się, że od takiego pożywienia jego kiszka trzaśnie ostatecznie.

— Teraz już nie zaśniemy — odezwał się Elli. I głośno zadeklamował:

Skończyła się nuda dzienna.

Znowu deszcz. Na sercu ohydnie.

Pode mną pościel uboga.

Nade mną dziurawy namiot.

— Ładnie! — zawołał Kaszelkin.

W tej chwili odchyliła się zasłona namiotu, sierżant Alimow krzyknął:

— Wstawać! Pobudka!

W ziemiance dyżurny także dał rozkaz wstawania. Tam również wbiegł sierżant Alimow, wrzeszcząc nalegająco:

— Sekcja czwarta podnosiła się, podnosiła się!

Kaszelnin wstał, pokręcił głową.

— Ach, jaki nudny. Ze swoją rożą, siedziałby pod rogożą. A on tu gwałt podnosi i miota się jak potępieniec.

Kiedy ostatecznie sekcja czwarta stanęła w szeregu, sierżant rzekł:

— Czwarta sekcja — leniwa dużo! Trzeba podciągać się. Jasno?

Przyszedł dowódca kompanii. Wysłuchawszy raportów dowódców plutonów, przywitał się i następnie obwieścił:

— Towarzysze wojskowi! Poranne ćwiczenia prowadzimy w następujący sposób. Szybkim krokiem idziemy na plac samanstroju⁵, bierzemy po jednym „chlebku” i niesiemy go na plac budowy. Chlebkiem nazywano u nas samanowe cegły — uśmiechnął się Kutiepow. — Po powrocie — śniadanie. Po śniadaniu — zajęcia.

— Czy wolno spytać, jakie zajęcia?

— Pułkownik wam wczoraj wyjaśniał.

— A gdzie ten wasz samanstroj?

— On i nasz i wasz. Zaraz zobaczycie... Kompania w le-e-wo zwrot! Kro-kiem maarsz! Dłuższy krok... — Bie-e-egiem!

Obciągnąwszy bluzę, nacisnąwszy mocniej czapkę, która i tak mocno siedziała na jego głowie, porucznik biegł z boku.

Aleksy wkrótce poczuł klucie w piersiach, zaczął tracić oddech, pozostawać w tyle. Obejrawszy się, zobaczył Jerofiejicza. Zgiąwszy się w pół, starzec ledwo przestawiał nogi. Obok niego, trzymając się ręką za bok starał się biec Sudariew.

Dowódca roty dźwięcznie krzyknął:

— Nie zostawać, podciągać się, szybko!

Przeszli na zwykły krok. Głośno dyszeli, niektórzy chwyтали się rękami za serce, kaszlali.

— Odwykli, odwykli... uśmiechał się Kutiepow. — Za tydzień wróćcie do formy.

— O nie — zachrypiał Jerofiejicz. — Ja już do formy nie wróce.

Dowódca kompanii rzucił na niego krzywe spojrzenie.

Samanstroj — placyk, gdzie leżały bure „chlebki” — znajdował się w odległości jakiegoś kilometra od pułkowych ziemia-

5. Samanstroj — miejsce, gdzie produkowano rodzaj cegły ze słomy i gliny. Cegłę tę nazywa się tu samanem (przyp. tłumacza).

nek. Zaśmieszony był słomą, stały na nim ogromne koryta, wypełnione gliną i leżały drewniane formy. Wszystko wydawało się prymitywne, przedpotopowe.

— Ależ technika u was? — roześmiał się Uriński.

Porucznik Kutiepow zaoponował:

— A przecież z niczego zbudowaliśmy dziesięć domków i zaczęliśmy tyleż. I miasteczko oficerskie będzie gotowe. Tanio i zdrowo!

Rozkazał brać po jednej cegle z tych, które już dość podeschły. Jerofiejcz podniósł cegłę i usiłował nieść ją pod pachą. Cegła rozpadła się na dwoje.

Podskoczył Alimow, rozwrzeszczał się:

— Dlaczego tak brał? Kto tak brał? O tak — uczaj się! — Troskliwie podniósł saman i trzymając go oburącz przed sobą, zaczął szybko iść naprzód.

— Daleko to nieść?

— Dwa kilometry.

— Och! — Jerofiejcz w zakłopotaniu patrzył na dowódcę kompanii.

— Ja nie zdołam tego zatańczyć. Popatrz na mnie... — Wyciągnął zza pasa koszulę, obnażył brzuch i piersi; całe jego ciało pokryte było głębokimi szramami i cięciami. Ostro rysowały się żebra pokryte zwiędłą skórą.

— Ja nie mogę cię zwalniać od roboty — zachmurzył się porucznik. — Ja tej roboty nie wymyśliłem. Zanim tutaj przyjechaliście różni saman nosili.

Rozciągnąwszy się kompania brnęła po błotnistej drodze. Każdy niósł źle wysuszone gliniane ceglisko, ważące około dwudziestu kilogramów.

Aleksy z trwogą patrzył to na Sudariewa, to na Jerofiejcz. Starzec mocno zostawał w tyle. Jego zwiędła twarz cała w sieci większych i mniejszych zmarszczek, pokryła się potem. Dyszał ciężko, szeroko otwartymi ustami i jakoś podobny był do pieczonej małej rybki⁶. Wszystko na nim dziwnie sterczało: fałdy bluzy wojskowej, pogięte w jakieś fantastyczne łuki naramienniki, ostra i spadająca na czoło pilotka.

Na Sudariewa nie można było patrzeć. Skręcił się, jak wysuszony strąk, zgięty był na jeden bok, a saman trzymał nie przed sobą, a pod pachą obu rękami.

Obok Aleksego kroczył Kaszelkin.

— Ciężkawo, miły? — pytał. — To dlatego, że on taki jeszcze wilgotny. Powinienby jeszcze poleżeć, podeschnąć na sło-

6. W oryginale ryba — jazgarz (przyp. tłumacza).

neczku... No ale cóż, nasze położenie takie — taszcz! Mówią — jaki pan, taki kram.

Nagle nadleciał wiatr i zaczął siać w twarze deszczowym pyłem.

— Czortowska pogoda! — zaklął Trubin.

Elli niespodzianie zaczął deklamować:

*Przez głowę mą przechodzą myśli rojem.
Czym jest ojczyzna?
Czyżby to były sny?
Przecież ja dla wszystkich tutaj pielgrzym ponury
Bogu tylko wiadomo z jakich stron.*

— Towarzyszu wojskowy! — przerwał mu ostro dowódca kompanii — Przestać rozmawiać! Elli splunął i zamilkł.

Ciężko dysząc, z opuszczonymi nisko głowami szli i szli.

Tak przeszedł tydzień. Rano „saman”. Potem śniadanie. Pogoda ustaliła się. „Wojskowi” powoli podciągali się i wciągali w życie specjalnego pułku. W tym czasie nic nowego nie zaszło. Jerofiejcz rozchorował się. Od samanu zwolnili go na długo. Sudariew leżał w izbie chorych. Elli otrzymał list od rodziców. Cała kompania mu zazdrościła. Niecierpliwie oczekiwali Aleksy wieści od Rady Wiejskiej. Do Leningradu nie mógł zdecydować się napisać, mimo że o ojcu i o matce myślał codziennie. Gdzie oni. Czy żyją? Czasami w wolnej chwili wyjmował list od Lusi i czytał go od początku. I z pewnym zdziwieniem zauważał, że w sercu tkwiła nie ta, a inna Lusja — ta przedwojenna. Napisze do niej wkrótce. Tylko naprzód dowiedzieć się czegoś o rodzicach i o tym, kiedy go zwolnią do domu.

Pod kolczaste druty, oddzielające terytorium pułku od pustych, pagórkowatych pól, przychodziły czasami kobiety o wystających kościach policzkowych i maleńkich oczkach. Proponowały masło, placuszki. Uriński biegał do ogrodzenia, wymieniał różne barachło na masło. Miał jeszcze pół walizy damskiej bielizny.

Masło było zбите w większe lub mniejsze bryłki. Bryłkę masła, wagi z pół kilograma zjadł za jednym zamachem. Kupił następną, ale rozciąwszy ją zaczął spluwać. W masle trafiały się resztki rozgniecionych much: łapki, główki, skrzydełka.

— To brudas — warczał. Takie majtki jej oddałem, podlecowi.

— Kupiłyś lepiej samogonu — poradził mu ktoś. — W nim wszystkie mikroby giną.

Po śniadaniu przychodził pisarz, otwierał zeszyt.

— Jerofiejew Fiodor Wasiljewicz! Do kontrwywiadu na

dziewiątą trzydzieści. Sidorow!... O dwunastej — zero-zero. Pietrow... Iwanow...

Aleksego wzywano już piąty raz.

Podszedł Trubin, ścisnął mu dłoń:

— Trzymaj się w cuglach. Nie trać godności. Co on za nonsensy plecie?... Ja mu już o tobie opowiedziałem.

„On” — to śledczy, major Ugłanow. Aleksey opowiedział Trubinowi i Elliemu, jak Ugłanow prowadzi śledztwo. Obaj słuchali i posepniali.

I oto znów Aleksey idzie do znajomej ziemianki, która stoi za stołówką, pod dwoma wątlymi brzózkami. Tam zresztą stoi cały rząd takich ziemianek.

Podszedłszy do drzwi, Aleksey czuje, jak mrowie idzie mu po całym ciele, jak zaczynają drżeć ręce, słabną kolana.

„Czego ja się boję — stara się sam siebie uspokoić.— Przecież w niczym nie jestem winien”. Ale przed oczyma znów jawi się zła twarz i przenikliwe spojrzenie głęboko osadzonych oczu.

Aleksego oszałamiały pytania. Zaczął się nawet jąkać. Nie dlatego, że pytania były nowe, lub nieoczekiwane. Nie. A właśnie dlatego, że były wciąż te same i tylko powtarzane dzień w dzień uporczywie i po grubiańsku.

Major Ugłanow ma szorstki głos, wysuniętą dolną szczękę. Ostatnim razem stracił panowanie nad sobą, przeszedł w krzyk. Nawet chwycił za kaburę. Potem długo palił. Kiedy zapalał papierosa ręce mu się trzęsły, papieros skakał w wargach. Aleksey patrzył na niego ze strachem, ale i ze współczuciem. „Czyżby naprawdę major sądził, że jestem przestępcą?”. Serce ścisnęło się bólem.

„Co znowu będzie dzisiaj?”. Podszedłszy do drzwi, Aleksey obciąga bluzę, poprawia pilotkę, prostuje się, jakby w oczekiwaniu ciosu, i wreszcie zdecydowanie puka:

— Proszę o pozwolenie, towarzyszu majorze... Towarzyszu majorze, wojskowy Kłockow zjawia się na wasz rozkaz!

Wyrywał to twardo — zdaje się, że głos nie drgnął, i nie odwrócił oczu od badawczego spojrzenia śledczego.

Major milczy. Siedzi za biurkiem, zawalonym papierami. Światło pada na jego plecy i tył głowy oświetla stół. Twarz w półmroku. Widać tylko oczy.

Bez pośpiechu i ponuro major wreszcie mówi:

— Mam nadzieję, że dziś nie będziesz kręcił. Ojciec twój był kułakiem?

Aleksey ciągle jeszcze stoi u progu z ręką przy pilotce.

Śledczy bez przerwy patrzy mu w oczy.

— No?!... Kułak przecież?... Opuść, rękę. Siądź!

I znów wyczerpująca pauza. Major czyta jakiś papierek, zamyśla się. Potem nagle, ostro wbijając wzrok w Aleksego, pyta!

— Będziemy pracować, czy będziemy się znów wykręcać? No, Kłoczkow?

— Ja przecież wszystko opowiedziałem szczerze, jak i...

— Przestań, ty krętaczu. Na co ty liczysz? Czego ty ciągniesz, duszę wymęczasz? Cóż ty myślisz, że jestem idiotą? Ty, mówisz, wojowałeś. A ja, zdaniem twoim, w kości grałem?

Nagle mięknie.

— Dobrze. Nie chcesz mówić o swojej przeszłości, o pochodzeniu, mówmy o niewoli.

Otwiera teczkę, rozkłada zapisane kartki papieru, wodzi palcem po linijkach.

— Tu oto zapisane; tyś opowiadał... „Godzina była piąta rano. Świtało. My, dowódcy, zebraliśmy się w ziemiance łączności. Jedliśmy śniadanie. Piliśmy otrzymaną w przeddzień wódkę...”. Zresztą dlaczego w przeddzień? No, ale głupstwo. Niech tak będzie. Piliście wódkę. Też ją dostawałem i też piłem. Przypuśćmy, żeś tu nie zełgał. „Nagle na ulicy ktoś dziko zaczął krzyzczeć: Niemcy! Niemcy!”. Wszyscy się zerwali z miejsc, rzucili do wyjścia. Miałem w ręku kubek z wódką. Szybko wlałem wódkę do ust, dotknąłem pistoletu na rzemieniu, wyciągnąłem rękę do hełmu. Hełm wisiał na gwoździu...”.

— Na sęczku... poprawił Aleksy.

— Na sęczku?... A dlaczego ja napisałem „na gwoździu”?

— Nie wiem. Ja mówiłem „na sęczku”.

— Dobrze, poprawimy.

Aleksemu przypomina się, że już wczoraj i przedwczoraj śledczy chciał poprawić to słowo, ale dlaczegoś nie poprawił.

— Poprawcie.

Major wziął do rąk pióro, zamacał je w kałamarzu, nagle podniósł wzrok na Aleksego, Wściekł się:

— Czegoś ty się uczeplił tego sęczka? Jak tonący słomy?... Kręci mi tutaj, kręci... Ty mi się przyznaj, jak podniosłeś ręce do góry na widok Niemca... Przyznaj się!

— Ja wam to wszystko już opowiedziałem.

— Łzesz! Łzesz ty, Kłoczkow. Usiłujesz suchy wyleźć z wody! Nie, nie wyjdiesz! Nas nie oszukasz. My też nie palcem robieni!

Wrzeszczy, twarz mu pąsowieje. Podnosi się, macha gwałtownie ręką, stuka palcem w pierś Aleksego, potem, wzburzony, trzęsącymi rękami wydobywa papierosa, zapalki.

— Nie, panie Kłoczkow, sowieckie organy władzy są silne, wy nas nie oszukacie! Nie, panowie, nie oszukacie!

W ciężącej ciszy przechodzą minuty. Śledczy w zamyśleniu patrzy w papiery, chciwie pali, wypuszczając kłęby dymu. I znów, wbiwszy wzrok w Aleksego, spokojniej już ciągnie dalej:

— Dobrze, będziemy rozplątywać te supły, któreś ty poza-
wiązywał, pozaplątywał. Wszyscy wybiegli z ziemianki, tyś zdjął
z sęczka... Z sęczka, czy z gwoździa jednak? Przypomnij sobie.
Z sęczka? Dobrze. Zdjąłeś z sęczka swój hełm i rzuciłeś się do
wyjścia... Poczekaj: rzuciłeś się, czy poszedłeś? Coś nie mogę po-
łapać się, co tutaj jest napisane?

— Pośpieszyłem do wyjścia. Tam już szła strzelanina...

— Pośpieszyłeś... — Major z powątpiewaniem pokręcił głó-
wą. — A wczoraj mówiłeś, zdaje się, żeś poszedł. A wtedy, o ile
ja się potrafię zorientować w sytuacji, spokojnie nie można było
iść. Chyba pobiegiesz, kiedy wróg już obok, kiedy jest alarm
bojowy.

— Toteż ja pobiegłem.

— Pobiegłeś?... Teraz już nie pośpieszyłeś a pobiegłeś? Czyś
ty naprawdę postanowił strugać durnia, tak? Za kogo ty mnie
masz? Ja przecież już piętnaście lat służę w kontrwywiadzie. Czy
ty to możesz zrozumieć, czy nie? Ty, kochaneńki, jeszcze za płytko
pływasz, aby ze mnie durnia robić!

Rozpalając się, major znów się zrywa, wrzeszczy, klnie ordy-
narnie, macha wściekle rękami. Zdaje się gotów rozedrzeć Kłocz-
kowa na strzępy. Aleksy jakby przyrósł do taburetu.

W myślach Aleksego tylko jedno: „Trzymaj się w cuglach.
Co on tam za nonsensy plecie? Dziękuję ci Trubin”.

I major znów przycicha, siedzi, pyka z papierosa. Potem
rzuca okiem na zegarek i przesywa Aleksego zabijającym wzro-
kiem:

— Znaczy więc, żeś ty pobiegł. Przypuśćmy... Ale, powiedz
mi, ile metrów długości miała ziemianka. Zdaje się, żeś mówił
że była mniej więcej dwa na dwa. Czy tak? Acha, zgadzasz się,
że tak. No więc, powiedz mi: Gdzieżeś tam, kochany, mógł biegać?

Aleksy zgubiony milczał. „Czego on mi wszystko mać?”

— Jeśli więc mówić uczciwie i ściśle wtedy gdyś usłyszał
strzały, skoczyłeś do wyjścia? Tak? zgadzasz się? No, nareszcie
zgadzasz się. Czegoś tedy chrzanił mi przedtem głowę? Tfy?...
Zdjął z sęczka hełm, nałożył go i rzucił się do wyjścia. No, można
pobiegł do wyjścia. I co dalej?

— Jak już mówiłem. Kiedy odchyliłem zasłonę, to...

— Przestań mi powtarzać swoje durne: „Ja już opowiada-
łem”. Kiedy będzie trzeba — sto razy opowiesz!... Gdybyś nie klu-
czył, jak zając, nie starał się, jak lis zacierać ogonem ślady — daw-
no już byśmy ze sobą całą rozprawę zakończyli. Być może wło-

żyłbyś już naramienniki z dwoma gwiazdkami i udał się na przeszkolenie... Na kursy, powiedzmy, do Leningradu. Tak, jabym ci pomógł, abyś wyjechał służyć właśnie w tym mieście. Dostałbyś oficerski mundur, broń osobistą, dokumenty. I wtedy nie byłoby wstyd pokazać się rodzicom. A ty wierczysz się tak i siak... No, dalej: — Odsunąłeś zasłonę i zobaczyłeś szerokie, krótkie buty Niemca. Tak?

— Tak.

— Przypuśćmy, żeś ty dokładnie rozeznał, że przed tobą wróg? Aleś ty zobaczył tylko jego buty... Cóżeś ty przedsięwziął? Poraziłeś go wystrzałem, czy też w panice podniosłeś ręce do góry?

— Niczego nie zdążyłem zrobić. Coś uderzyło mnie w głowę.

— Poczekaj, poczekaj. Mówisz, po głowie. Co, poczułeś ból w głowie. Czy jeszcze coś?

— Nie, nie mogę powiedzieć, że poczułem. Nie zrozumiałem jeszcze niczego, kiedy już wszystko zniknęło. I sam niczego nie pamiętam.

— Cha-cha-cha... — śledczy odrzucił całe ciało ku oparciu fotela i świdrując Kłoczkowa wzrokiem pełnym pogardy, mówił: — Ech, Kłoczkow, Kłoczkow. Myślałem, żeś mądrzejszy... Jakże to ty nie pamiętasz, jakieś podniósł ręce, a Niemiec stuknął cię po łbie? Ty lepiej powiedz — ostrzegawczo zniżył głos — czy ty przestaniesz łągać czy nie, czy wolisz się i posiedzieć. Po niewoli jeszcze tak z piętnaście latek w swoim własnym więzieniu! Uważaj, ja cię usmażę. Wtedy, gdy wyjdiesz, to już tylko jako siwy staruszek.

Major znów pali, potem grzebie się w papierach i coś tam wyczytuje, zwija, zupełnie jakby zapomniał o obecności Aleksęgo.

Ten z napięciem patrzy na śledczego. Ręce i nogi jak z drewna. W gardle tkwi jakiś kłębek, utrudnia oddychanie. Do oczu nabiegają łzy. „Po niewoli do turmy...”. — Za co?

Do diabła z tym wszystkim. Czwartą już godzinę męczę się tu z tobą. Śledczy wstaje. — A przecież tyś nie jeden u mnie... Nie chcesz się przyznać, jak poddałeś się do niewoli, tedy opowiedz choćby o swoim kułackim pochodzeniu. Przecież ostatecznie ty nie odpowiadasz za postęпки swoich rodziców. Byłeś wtedy małoletni. Mówimy, na przykład, o Hitlerze. A rodziców jego przecież nie wspominamy. Co nas obchodzą? Tak i tutaj. Jest to tylko zwykła formalność.

Rzuciwszy papierosa, kończy rzeczowo:

— A więc: zakończmy choćby jedną część zeznań. Mówiłeś tedy, że rodzice twoi w roku trzydziestym sprzedali wszystko na wsi i przenieśli się do miasta, do Leningradu. Tak?

— Tak.

— Ile lat miałeś wtedy?

— Siedem.

— No widzisz. Miałeś tylko siedem latek. Jakżebyś mógł odpowiadać za podłe postęпки papy i mamy? Oczywiście, że nie!... Bierze pióro i zaczyna pisać. — Ta-ak... „Miałem siedem lat, kiedy rodzice moi uciekli z kołchozu”.

— Dlaczego uciekli? Oni wyjechali.

— Jak to wyjechali? A więc oni nie wstępowali do kołchozu, ciągle jeszcze na coś liczyli? Liczyli, że władza sowiecka się rozwali? Co Kłoczkow? Mów!

Po obiedzie niebo zaciągnęło się chmurami i zaczęło pokapywać. Aleksy wrócił do namiotu w czasie godziny ciszy. W stołówce z trudem udało mu się dostać talerz kapuśniaku. Nikt nie zapowiedział, że on przyjdzie na obiad. Nikt też nie wiedział, że major Ugłanow go przetrzyma. Śledczy domagał się podpisania zeznania, Aleksy odmawiał, bowiem w protokole, zestawionym przez Ugłanowa, mówiło się, że rodzice Aleksego, zamożni chłopci, sprzedawszy wszystko, co posiadali, uciekli w trzydziestym roku z kołchozu. Przede wszystkim byli zwykłymi chłopami-średniakami, a następnie nie uciekali. Jeszcze przed wojną — opowiadała mu matka — gdy pojechali kiedyś do Leningradu w gości do rodziny, było to w roku dwudziestym piątym, Leningrad bardzo im się podobał. Po prostu zapragnęli zamieszkać w mieście. Wtedy jeszcze kołchozów nie było. Oboje rodzice mieli po dwadzieścia cztery lata. W trzydziestym roku sprzedali więc dom i wyjechali. Opowiadanie to wprawiło majora we wściekłość. Oświadczył, że mu już znudziło brudzić papier, że papier jest droższy, niż te wszystkie bajki Kłoczkowa.

Niemniej, zgrzytając zębami, miotając pioruny i błyskawice, śledczy przekreślił słowo „Uciekli” a napisał „Wyjechali”. To jednak, że rodzice „byli zamożnymi chłopami” zostawił.

Aleksy nakrył się kocem i długo nie mógł zasnąć. Odrzucił więc koc, położył się na plecach i zaczął patrzeć na białe płótno namiotu, które szarzało, w miarę, jak nasiąkało wodą deszczową.

Deszcz był coraz silniejszy. Aleksy leżał i rozpamiętywał te dalekie lata, kiedy jeszcze był siedmioletnim chłopcem.

Przypomniał sobie, jak to w letni, gorący dzień bawili się w statek parowy. On biegał po wiejskiej ulicy, pokrzykując: „Du-du-du!”. Za nim, trzymając się sznurka, biegało dwóch braci: Sańka i Miszka Gałaktionowy. On był statkiem parowym, oni barkami. Potem zaczęli się bawić w wojnę. Wzięli ciężkie kije i, celując do siebie, krzyczeli: „Bum! Bach! Buch!”. Wkrótce i to im się znu-

dziło. Wtedy on podbiegł do okna, wyrznął kijem w ramę i obwieścił: „Będzie wojna!”. Obaj bracia zaczęli również podbiegać do okien, walić w ramy i wrzeszczeć: „Będzie wojna!”. Obok jednego z domów zaczął się na nich stuletni dziadek Ignat Kaduszin. Kiedy Aleksy zatrzymał się przy oknie i zamachnął się kijem, aby wyrznąć w ramę, dziadek go schwycił, zdjął mu spodni i długo smagał pokrzywą. Aleksy ryczał potem przez godzinę i drapał się po tyłku. A zły starzec ilekroć go spotkał, zapytywał: „No jak tam synku, wojna, mówisz będzie? I jeszcze przypomina się ojciec: niesie worek mąki, po twarzy jego spływa pot. Ktoś pyta ojca: „Po ileś płacił?”. Matka, uśmiechając się pomaga zdjąć mieszek z pleców. Mąka ta nazywała się „biała”. Alioszka pytał, czy jest mąka czarna. Okazało się, że z tej mąki można było piec takie same bułeczki, jak te, które ojciec przywoził z miasta. Ojciec pracował na statkach parowych. We wsi nazywano go „Wodniakiem”. Oto przyjechał „wodniak”, mówiono. Do domu przychodziło wielu mężczyzn, aby się dowiedzieć, jakie ojciec przywiózł nowiny. Wszyscy palili machorkę, pluli i smarkali na podłogę. Matka oburzała się, a mężczyźni nazywali matkę: czystoplujką. Oto i wszystko, co pamiętał. A Uglanow żąda swego.

Niewesołe rozmyślenia Aleksego przerwał Elli. Także nie mógł zasnąć. Popatrzył na Aleksego swymi wielkimi czarnymi oczyma, zawsze zamysłonymi, spytał:

— No i co tam, ciągle to samo?... — Ciężko westchnął. Potem rzekł cicho:

— Zaraz przyleci Alimow, a ja ciągle nie mogę dobrać rymu...

*Czemż nie jestem zmięty, zgnieciony
Gradem ołowiu, który przeleciał?
Spałbym, jak śpią moi przyjaciele,
Ukołysany...*

— Czym ukołysany?... Coś się nie klei..

Podniósł głowę Iwan Kaszelkin:

— Żebyście wiedzieli, ilu u nas w Riaziani, poetów? U-uuu...! Oto na przykład w mojej wsi był jeden. Także Kaszelkin. Akim. Bardzo składnie tworzył. I jak szybko. Miał żonę Rajkę. A na skraju naszej wsi stał pusty popowski dom. Zbierano się tam na pogaduszki, na ploteczki. Pop po rewolucji wyjechał do syna do Riaziani. Otóż ten Akim krzyczy: Raj, Raj, zbieraj się iść na skraj. A potem poprzez wszystkie nazwiska mieszkańców wioski, zwołuje ich do rymu. I choć wieś duża, domy stoją gęsto, on nikogo nie przepuści, zgrabnie rymując nazwiska. Ostry był w języku. Żeby go tak do miasta ani się obejrzyć, Jesieninem mógłby zostać...

Elli spojrzął na Kaszelkina i poępnie spytał:

— Ciebie jeszcze nie wzywano do kontrwywiadu?

— Nie, albo co? — Kaszelkin strwożony zamrugnął oczyma.

— Nic, nic. Tak sobie.

Sudariew przewracał się z boku na bok, twarz jego kurczyła się cierpieniem. Tylko co wypisano go z Izby Chorych kazali leżeć u siebie w kompanii, od samanu został zwolniony.

Aleksy patrzył przed siebie, na maleńką dziurkę w płótnie, że ot, za chwilę, zacznie kapać woda.

Biełochwostow spał z otwartymi ustami. Ten zazwyczaj milczący człowiek pewnego razu rozgadał się. W niewoli był wszystkiego piętnaście minut. W czasie walk w Berlinie, jako pierwszy wpadł do pewnego domu i natychmiast został schwytyany przez Niemców, którzy go związali. Z okien na strychach Niemcy odpierali kolejny atak. Mimo ich oporu nasi wdarli się na pierwsze piętro. Oto cała historia porucznika Białochwostowa.

Aleksy był niespokojny. Wstał, ubrał się i poszedł do ziemianki do Trubina. W półmroku nie od razu go odnalazł. Kapitan spał z mocno wystawioną grdyką. Wąsy sterczały. Był podobny do morsa.

Nieopodał Trubina ktoś półgłosem rozmawiał. Aleksy chciał odejść, ale usłyszał:

— Ten Ugłanow sam nie wie, czego chce. Pyta: „Uciekałeś z niewoli? Nie? Czegoś ty, taka twoja mać, tak siedział?”. A jeśli mówisz, żeś uciekał — nie wierzy: „Łżesz. Bo i dokąd mogłeś uciekać?”.

Aleksy siadł, przysłuchuje się.

— Oto i mnie Ugłanow pyta: „Czyś choć raz uciekał? „Jakże inaczej — powiadam — nie raz, ze trzy razy... I, powiem wam bracia, że ostatnia ucieczka była bardzo oryginalna... Obóz, do którego mnie przywieziono, nazywał się obozem karnym. Gdy mnie tam wysyłano, mówiono mi, że tam już będzie ze mną „kaput”. No, myślę sobie: przepadłem.

Było to latem, w zeszłym roku. Z pociągu zaprowadzono mnie do dowództwa. Oddano pod straż. I wprost z drogi konwojent odprowadził mnie do roboty. Idziemy wolniutko, ja się rozglądam. Z daleka już zobaczyłem: podmokła łąka, ziemia torfowa lśni w słońcu, walażą się łomy, oskardy, łopaty. A jeńcy, podślawszy sobie niebieskie mundurowe kurtki, co sądzicie, że robią?... Opalają się! Tak, tak, nie dziwcie się. Opalają się! Nieopodał, na okrągłym głazie, siedzi wartownik. Chuderławy taki, bladolicy w ciemnych okularach. Siedzi sobie, ogląda coś w notesie, albo rysuje. Karabin leży u nóg. Myślę sobie: „Co za diabeł? Jakiż to karny obóz? Zjeździłem połowę Niemiec. Pracowałem w kopalni,

brukowałem ulice, rozładowywałem wagony. Gdzie ja nie pracowałem! A jeszcze nie widziałem, żeby się jeńcy opalali. „Karl” — zawołał strażnika mój konwojent. — „Zugang”. Po naszymu: nowy. „Przyjmuj” — powiada. Karl podniósł głowę, popatrzył na mnie przez ciemne okulary i znowu wsadził nos w notes. Konwojent zapalił i wolniutko poszedł z powrotem ku wiosce. Słońce zmorzyło naszych. Ten drzemie, ów po prostu zmrzył oczy. Żar był okropny, aż dławilo. Stoję pośrodku wśród opalających się i nie rozumiem, co za porządki. U Hitlera, przecież wiecie — w każdym obozie coś nowego, niezwykłego. Jakieś nowe świństwo. Ale oto podnosi się kędzierzawa głowa i zaspany głos pomrukuje: „Ej, przyjacielu, odpoczywaj, zaraz pobudka”. — Rozumiecie — roześmiał się opowiadający — po raz pierwszy widzę taki porządeczek. Wreszcie wartownik schował notes do kieszeni, spojrzął na zegarek i zawołał: „Wstawać”. Ludzie podnosili się leniwie i szli do rowu. Koło mnie zatrzymał się kędzierzawy: „Zreć chcecie?” i podaje ogromną pajdę chleba. Potem podszedł mężczyzna w starszym wieku, twarz miał zniszczoną oparzelinami. „Poznajmy się” — wyciągnął rękę. „Major Kopytin”. Podałem moje nazwisko. „Oficer?” — pyta. Wiecie, że w niewoli było często niezręcznie mówić o swoim stopniu. Niechętnie więc mówię: „Byłem kiedyś porucznikiem”. „A obecnie co, zdegradowali cię? Poszukał w kieszeni tytoniowych okruszyn, skręcił papierosa, popalił, dał i mnie pociągnąć. Potem krzyczy do wartownika: „Słuchaj, Karłucha! Ober-lejtnant ten oto, popatrz, jak wygląda... Wyciągnął podbródek, szramy na jego twarzy jakby się trochę wygładziły. „On musi dużo gut jeść, gut schlafen, mało arbeit”. Wartownik z aprobatą kiwa głową.

— Czyżby? — spytał ktoś opowiadającego. — Takich nie spotykałem. Zazwyczaj przy każdej okazji ścierwy waliły po mordzie. Nieraz pomyślisz: „Przecież ty sam pochodzisz z robotników, psi synu. Być może, żeś proletariusz. Czegóż więc się znęcasz nade mną, psie nieszczęsny, lokaju burżujski?!”. —

O nie, zdarzali się i inni. Właśnie chcę opowiedzieć o takim. O Karłusze... „Siądź, odpoczywaj” — rzekł do mnie major Kopytin. Był jakby starszym brygady. Siadłem, przyglądam się, jak pracują w rowie i śledzę wartownika. Obawiam się, że podkradłszy się, wyrznie kolbą karabinu przez łeb. A rok czterdziesty czwarty, umierać się nie chce, nasi przecież na wszystkich frontach łupią Niemca na całego. Siedzę, a Karłucha, jeśli chodzi o mnie — zero uwagi.

Czas płynął, pracowali zdrowo. Opalone plecy tylko zginały się i rozginały, zginały się i rozginały. I nasyp torfowy rósł wzdłuż rowu. Zakładali dreny. „Spieszcie się, chłopcy” — po-

krzykuje kędzierzawy. „Co za jakieś świństwo?” — myślę sobie. „Więc major i ten kędzierzawy za policjantów tutaj”. Wartownik kurzy papierosa, a oni swoich popędzają. Podniosłem się i poszukałem wolnej łopaty. „Czego ty? Siedź, jeszcze się nakopiesz” — radzi mi major: „No, nie — powiadam, będę też pracować, tylko normy dla nich wyrabiać nie będę”. „Agitować będziesz później” — śmieje się major. „A tymczasem siedź!”. No, myślę: „dostałem się nie do karnego a do pokazowego obozu”. Słyszałem, jakoby i takie były, gdzie stosunek był, żeby się tak wyrazić, ludzki. Mówiło się tam: „Sprawuj się dobrze, gorliwie pracuj i możesz od czasu do czasu z dziesięć minut się poopalać”. Złość mnie porwała. Żądam łopaty...

„Cóż ty, nie chcesz stosować się do naszych porządków?” — pyta major. Wylaźł z rowu brudny, spocony. „Policjant” — jestem prawie przekonany. Tylko że bez opaski na rękawie. Zaraz wyrznie w mordę. Pluję na wasze porządki — powiadam. „Za kogo ty nas bierzesz? Czemu ty plujesz na nasze porządki? Odpowiadam: jesteście brygadą pokazową. Tak czy nie? Zwariowałeś czy co? — śmieje się major. Kędzierzawy wylaźł z kanału i również się śmieje. Wreszcie wszyscy zaczęli się śmiać. Nagle major krzyknął: „Przestać się śmiać!”. I do mnie: „Więc ty sądzisz, że mnie, starego wróbla, Hitler zwerbował, abym wychowywał sowieckich ludzi?... Mylisz się, towarzyszu. Dziś wieczorem wszystkiego się dowiesz. Zresztą będziesz miał okazję wykazać swoją odwagę. A tymczasem siedź — i nie rób hałasu. Nie psuj naszej roboty!”.

Myślę sobie: „Niech was diabli! Popatrzę, o co chodzi”. O czwartej wylaźł z rowu młodzian o smągłym obliczu, raportuje: Popatrzcie towarzyszu majorze. Zrobione. „Chwat, Cupko. Zręczny chłop jesteś”. Zaraz za Cupko powyłaźli i reszta. Major przeszedł się wzdłuż rowu, popatrzył na równe dno, zawołał wartownik. „Przyjmuj, wasze błagorodie. Fertig”. To znaczy, gotowe. Ten rzucił pobieżnie okiem i machnął ręką, jakby mówił, wszystko w porządku, „Bacność!” — podał komendę major. „Czyżbyśmy — myślę sobie — mieli iść po pracy w szyku wojskowym? Gdzie? w niewoli?”. A oni zarzucili narzędzia na ramiona, stanęli w szeregu. „Krokiem, marsz! Zaśpiewamy! I zaśpiewali: „Zrodzeni jesteśmy, aby z baśni robić legendę”. ...Wyrównują krok, podciągają się, jak w prawdziwym szyku wojskowym. Krocze w ogniu. Patrzę na wartownika, a ten dziwny Niemiec idzie z nami w nogę. Jeńcy zgodnie podchwycili śpiew, wybijają krok. Oskardy, łomy i łopaty niosą jak karabiny. Nie śpiewałem. Patrzyłem. Słuchałem. W jednym rzędzie ze mną szedł Cupko. Szeroko otwierał okrągłe usta i tupał tak, że jego podbródek drgał przy każdym

kroku. I wtedy domyśliłem się: ludzie nasi jakby zapomnieli, że są w niewoli, na obczyźnie. Szli, zgodnie śpiewali i na pewno każdy z nich wspominał w tej chwili swoją przeszłość, swoją służbę w ojczyściej armii, swój dom. Patrzę na konwojenta-Karłuchę — a ten również śpiewa na całego. Potem dowiedziałem się, że już od dawna był dla nich, jak swój. Wychowali go sobie nasi chłopcy. I nie od razu przecież, nie w trzy dni; trzeba było miesięcy. Przyznaję, że coś podobnego widziałem po raz pierwszy. Podeszli do wsi. Przeczytałem nazwę: Kaltenbrunn. Znaczący: Zimna studnia. Przed pierwszymi domami major kazał zaprzestać śpiewu. I zwraca się do mnie: „Spójrz, poruczniku, ile oczu na ciebie patrzy”! I rzeczywiście, pokazywano mi palcami. „Jakże by inaczej, śmieje się major — wtlaczano im do łbów, że nie mamy umundurowania, a za to na łbach rogi...”. A mundur mój, choć i nie nowy, to jednak nasz, sowiecki. A wszyscy nasi w niebieskich frenczach — łata na łacie”. A oto nasze „sanatorium” — rzekł major, kiedyśmy podeszli do dwupiętrowego domu, z kratami w oknach. Wyszedł podoficer. Zobaczył kędzierzawego — nazywali go zresztą Fed'ką — kiwa na niego palcem. „No, chodź tu — powiada — bliżej”. Ten podszedł, a wtedy podoficer z całej siły wyrzucił go kułakiem w brodę. Potem wyrwał z kieszeni jakiś papier i zaczął nim szturchać w twarz Fedkę. Okazało się, że znalazł w jego materacu geograficzną mapę Sudetów... Zapędzono nas do środka, zamknięto.

— Za minutę pobudka — uprzedza ktoś opowiadającego. Aleksy ogarnął oczami ziemiankę. Wielu nie spało, słuchało.

— Powiedz, jakoście uciekli.

— Ano tak. Tego samego wieczora. Karłucha przygonił ciężarówkę. Podoficera i drugiego wartownika związano, pyski pozatykano i do pudła. Potem wysadziliśmy ich po drodze. Naprzód szeregowca. Po dziesięciu kilometrach podoficera. Żeby się zbyt szybko nie zeszli i nie zarządzili pogoni — roześmiał się opowiadający. Na ostatek Fedka jak wlepi podoficerowi między oczy. To — powiada — rewanż, wasze sijatielstwo⁷. Całą noc grzaliśmy na pewnej szybkości. Potem, już na terytorium czeskim, maszynę do jaru, gdzie krzaki bujniejsze, a sami piechotę. Rozbiliśmy się na trzy grupy i staraliśmy się dostać do partyzantów. Potem dowiedziałem się, że tylko jedna grupa dotarła. Drugą całą wybito w starciu z esesmanami. Nam też się nie powiodło... Karłucha był w naszej grupie. Zabili go w Karpatach... I wiecie kto? Żeby choć hitlerowcy. A to jacyś przekłeci banderowcy. Było nas wtedy

7. *Wasza Sijatielstwo* — Wasza Światłość. Tytuł używany przy zwracaniu się do wysokich dygnitarzy za czasów carskich.

sześciu, a ich zważyło się trzydziestu. Jakiś go żałowali! — westchnął opowiadający. Młodziak miał zaledwie dwadzieścia cztery lata. Marzył, żeby zostać muzykiem. Bardzo lubił pieśni. I swoje i nasze.

— Kompania... Pobudka! — krzyknął dyżurny.

— A kiedym opowiedział to wszystko Ugłanowowi, ten mnie zbeształ. Wymyśliłeś — powiada. Nazwał kompozytorem... A co on widział, ten Ugłanow? Przez całą wojnę siedział zapewne w tych ziemiankach. Ma tylko jeden jedyny medal: „Za zwycięstwo nad Niemcami”. Krępowałby się, wieszac to na sobie.

— Czwarty pluton, szybko! Spał mało? Tak? Aj, aj, aj, jaki leniwy ludzie się zebrał! — oburzał się Alimow.

Pluton wyruszył do obrzydłego samanstroju.

Zbliżali się już do wrot, gdy przybiegł zdyszany pisarz:

— Sierżant Alimow!... Wojskowy Kłoczkow u ciebie w plutonie?

— Kłoczkow?... Tak... tak...

— Do kontrwywiadu.

Aleksy wyszedł z szeregu. Alimow napadł nań:

— Czego wychodził? Kto pozwolił? Jaki ty był oficer, nie znał regulaminów?

Aleksy wrócił do szeregu.

— Nagradzać cię dodatkowym dyżurem? co?

Ktoś niewesoło roześmiał się?

— Rozmowy milczał — zapiął Alimow, ostatecznie zapłatawszy się w rosyjskim języku. — Kłoczkow, trzy kroki naprzód, marsz! Idź, kontrwywiad woła.

— Patrz, jaki gorliwiec, czort — uśmiechnął się Kaszelkin, — Regulamin zna...

— Kto, kto tam gadał? Starucha jakiś, tak? — rzucił się sierżant na Kaszelkina. — Trzy kroki naprzód, marsz!

Ten westchnął i wyszedł z szeregu.

— Dostałeś dwa dyżury. Ot. Do szeregu, marsz!

— Nie ma błota bez czorta — zawarczał Kaszelkin stając w szeregu.

Alimow pochodził przed szeregiem, potem zawrócił pluton w prawo i wyprowadził za wrota.

Aleksy już z dala słyszał głos intonującego pieśń:

*Tam gdzie nie przejdzie piechota,
Gdzie pociąg pancerny nie przemknie,
Pośpny czółg nie przepętnie —
Tam ptak stalowy przeleci...*

Śpiew choć na jakiś czas pomagał ludziom zapominać o ich niedolach.

Aleksy szedł do znanej sobie ziemianki i znów, jak to już nieraz bywało, ogarniał go mróz.

— No cóż, Kłoczkow, namyśliłeś się? — spytał śledczy — nie zapominaj, że tutaj w kolejce mamy setki innych. Z nimi też trzeba będzie dojść do ładu.

Przeszył Aleksę wzrokiem i zagłębił się w papierach.

„Co on wiedział, ten Ugłanow” — przypomniało się Aleksemu. I z nieprzyjaznym uczuciem patrzył na zwisający na czoło pukiel rudawych włosów majora.

— A więc tak — podniósł głowę major. — Z pierwszym pytaniem skończyliśmy. Rodzice twoi, za których ty nie ponosisz żadnej odpowiedzialności, uciekli ze wsi do miasta. Ty jednak nastajesz przy słowie „wyjechali”. Mogę się zgodzić. To nie zmienia istoty rzeczy. Byli ludźmi zasobnymi, to jest zamożnymi. Tak? Do kołchozu nie wstępowali.

— Ojciec pracował w żegludze.

— Pamiętam, pamiętam, że w żegludze. No, ale matka mogła być kołchoźnicą. Pozwolę sobie zostawić w tekście notatkę: „Do kołchozu nie wstępowali”. Teraz o niewoli. Mówiłeś: „Wziąłem hełm i rzuciłem się do wyjścia”. Przypuśćmy, że tak było. Tak to zapisałem, chociaż tyś się jękał, wykręcał. A więc i ten rozdział skończony. Widzisz, idę ci na rękę. Ale pozwól zapytać: Jak to się stało... Oto ty, chwyciwszy hełm, rzuciłeś się do wyjścia, a tam Niemiec stuknął cię kolbą szmajsera w głowę. Gdyby tak było w rzeczywistości, co by z twojej głowy zostało, jak ty myślisz? Przecież mózg by wyprysnął.

— Mówiłem już, że rozbiciu głowy zapobiegł hełm — sprzeciwił się Aleksy.

— Ile razy cię już uprzedzałem, żebyś zapomniał o tym idiotycznym „Ja już mówiłem”. Trzeba będzie — to tysiąc razy powtórzysz!... Powiedz raczej po prostu: zobaczyłem Niemca, straciłem się, podniosłem rękę do góry. I wszystko będzie w porządku. A-aa... Nie chcesz? A dlaczego nie powiedziałaś od razu, że schwywszy hełm, włożyłeś go na głowę?

— Oczywiście, że włożyłem.

— „Oczywiście”! A dlaczego tego od razu nie powiedział? To ja mam zgadywać? Przecież wygląda tak, żeś hełm trzymał w ręku.

„Jak długo będzie się nade mną znęcać” — Aleksy nagle zjeżył się w sobie. Popatrzył śledczemu w oczy, i dobitnie, rozciągając słowa, spytał:

— Czy choć raz zdarzyło się wam widzieć żywego Niemca?

Brwi majora wygięły się ze zdumienia. Wyciągnął rękę po papierosa nie spuszczać z oczu Aleksego. Starał się namacać drżącymi rękami paczkę, wydobyl zapałki... Syczącym głosem spytał, na poły unosząc się:

— Ty smarkaczu, chcesz zdaje się wiedzieć, czy ja byłem na froncie? Tak?

Aleksy milczał.

— No! — Zerwał się major.

— Nie jestem smarkaczem, a młodszym politrukiem! — krzyknął Aleksy.

— Ścierwo ty jesteś, a nie politruk! G... z dużej litery, oto ktoś ty! — ryknął major nieswoim głosem. — Nasi prawdziwi politrucy wycierali sobie d... niemieckimi papierkami... A tyś podniósł i podwójną porcję w łagrze żarłeś! Sameś się do tego przyznał... Teraz, mam nadzieję, zrozumiano, dlaczego ci nie wierzę? Widziano cię z niebieskim biletem!... No, co powiesz? A?... — wyszczerzył zęby śledczy.

Twarz Aleksego szarzyła. Zmąciło mu się w oczach. Przecież o niebieskim bilecie sam opowiedział, jeszcze tam, w Wiedniu, kapitanowi Wostocznemu. Opowiedział wszystko uczciwie, jak było. A przecież mógł przemilczeć. Tutaj temu śledczemu, nie chciało mu się jakoś wspominać o niebieskim bilecie. No dobrze, ale jeśli Ugłanow wie wszystko, czego tak uparcie rozpytywał się o hełm: na czym wisiął, na gwoździu czy na sęczku, włożył go na głowę, czy nie? Aleksy wreszcie zrozumiał: śledczy mu nie wierzą. Widzą w nim podłego zbiega. Dlaczego jednak. Przecież sam, z własnej woli opowiedział wszystko. Nikt go za język nie ciągnął. Opowiedział uczciwie. Szczerze. I oto...

Przywołując na pomoc całą swoją odwagę, starając się nie okazać wzburzenia i zmieszania, Aleksy odpowiedział jak najbardziej spokojnie:

— Tak, miałem niebieski bilet. Za tym biletem raz tylko otrzymałem podwójną porcję. I tego samego dnia podarłem go i wyrzuciłem.

— Cha-cha-cha!... Wyrzucił! Cha-cha-cha!... i zaraz serio: Gotów byłeś lizać niemieckie buty, aby tylko nie zdechnąć z głodu. Czyż nie tak?

— Jeśli wiecie o niebieskim papierku, to powinniście również wiedzieć w jaki sposób dostał się do moich rąk.

— Powiedz no mi, gdzie tu logika — krzyknął śledczy. Tak. Dobrze. Poczekaj chwilkę... Wstał, wyszedł z ziemianki i zawołał:

— Dyżurny!

Zaraz przybiegł sierżant z opaską na rękawie.

— Przywołaj mi natychmiast... — major powiedział numer kompanii i nazwisko.

— Sprawa twoja, Kłockow, dla nas zupełnie jasna. Pragnęliśmy jednego tylko: czy okażesz skruchę, czy też nadal będziesz łąć. Czy zamierzasz zmyć z siebie błoto, czy już do końca chcesz zostać podlecem... Chciałem ci dopomóc. Jesteś jeszcze młody, można powiedzieć; mógłbyś jeszcze na powrót stać się człowiekiem. Ale ty jesteś widać do szpiku kości zepsuty, zarażony faszyzowską zarazą. Straciłeś honor, sumienie, duszę. Straciłeś także i stopień, który ci dała ojczyzna.

Do drzwi zapukano.

— Tak. Tak.

Wszedł starszy człowiek w takim samym, jak Aleksy żołnierskim odzieniu. Zaczął raportować.

— Towarzyszu majorze... Wojskowy trzeciej kompanii...

— Dobrze, dobrze — przerwał mu major, proszę podejść bliżej.

Wojskowy podszedł.

— Popatrzcie na tego człowieka. Czyście go gdzieś spotykali?

Ten, ledwo spojrzawszy na Aleksego, skinął potwierdzająco głową.

— Spotykałem, towarzyszu majorze.

— Gdzie?

— DULAG. Był taki obóz pod Lubanią w czterdziestym czwartym.

— Tak. Teraz ty odpowiadaj — zwrócił się śledczy do Aleksego. — Byłeś w obozie pod Lubanią?

— Byłem.

— Miąłeś w kieszeni niebieski bilet zbiega?

— Jeden dzień.

— Widzisz tedy, zacząłeś mówić inaczej. A to kręcił, wykręcał się. Tak, teraz sprawa pójdzie prędzej. — Major zwrócił się do świadka: Czy widziałeś kiedykolwiek w jego rękach niebieski bilet?

— Tak, widziałem, towarzyszu majorze.

— Cóż więc powiesz, Kłockow.

— Nie byłem zbiegiem.

— Łżesz! znów łżesz!... Bilet miąłeś — widzicie go — a zbiegiem nie byłem.

Major przygryzł papierosa i wycedził przez zęby do świadka.

— Idźcie, jesteście wolni.

Ten w zmieszaniu patrzył na Aleksego potem na majora. Zda-

wało się, że chce coś powiedzieć; nie zdecydował się jednak i wyszedł.

— No, myślę, że teraz rozmowa nasza będzie już prosta, bez żadnych tam sztuczek-driuczek. Opowiadaj, jakeś uciekł do hitlerowców, w jakich okolicznościach.

— Byłem wzięty do niewoli, sam nie zbiegłem.

— Nie wierzę — przerwał mu Ugłanow. Wracaj do kompanii. Pomyśl. I wiedz, albo jutro się dogadamy, albo prześlę cię gdzie indziej. Tam z tobą się pieścić nie będą. To wszystko. Wstać! W tył zwroot! Maarsz!

Przez cały wieczór Aleksy leżał w namiocie, myślał o świadku, usiłował przypomnieć sobie, czy widział go w łagrze pod Lubanią i nie mógł.

Przychodził Trubin. Był uradowany: otrzymał list od brata, który donosił mu, że żona Trubina i dzieci żyją i są zdrowe, że mieszkają obecnie na Uralu, w domu staruszka ojca żony. Brat wysłał już im telegram z radosną wieścią.

Aleksy zaczął opowiadać Trubinowi o swojej biedzie, ale ten słuchał z roztargnieniem, dodawał odwagi, mówił, że wszystko się wyczyści, i znów wyjmował list, aby go jeszcze raz przeczytać.

Otrzymał również krótką wiadomość z domu Kaszelkin. Wrócił z samanstroju, a tu na szafce dyżurnego list. Kaszelkin zaczął czytać; przeczytał i dawał śmiać się radośnie i tańczyć. Nazwał Alimowa „kochankiem” i prosił, aby mu dodał jeszcze dziesięć dyżurów. Aby uwolnił od nich innych, a przełożył wszystko na niego.

Sierżant patrzył na niego osobliwym wzrokiem, wreszcie pokręcił głową:

— Całkiem głupi, co?

Kaszelnin zaś z rozczuleniem patrzył na niego, szeroko się uśmiechał i potrząsał kopertą.

Ni stąd ni zowąd podszedł do samego sierżanta i wyrzekł:

— U nas w Riaziani, grzyby z oczami —

Bierzesz je, uciekają.

Jesz je, patrzą.

— Ech, ty matko moja rodzona!... Widzisz ty, żywi, a? A teraz czekają!

Sierżant wzruszył ramionami:

— Jaki jednak głupi. — I gwałtownie odwróciwszy się, odszedł.

— Niech ja głupi, niech... A Mania żywiutka, czeka na mnie... Niedługo przyjadę... U-uu!

No i cóż, kochanie, zachmurzony jakiś? Wzywali? Znów dali łupnia? No nic, wszystko się ułoży.

Przyszedł Elli.

— Cóż, ciągle to samo? — westchnął. Posłuchaj skończyłem swój utwór. Początek pamiętasz.

*Ile przeszło się dróg,
Ile biedy przeżyto.
Tyle czekałem, cierpiełem. Rezultat?
Znów u rozbitego koryta.*

— Co nieźle?... Przestań się gnębić. Czy sądzisz, że mnie jest lekko. Albo komu innemu z nas?... Nam wszystkim nie wierz, rozumiesz ty to, czy nie?

Wkrótce rozdrażnienie jego trochę się zmniejszyło i już spokojniej ciągnął dalej.

— Wszyscy idziemy tą samą drogą. Prawda, ja choć list od staruszków swoich otrzymałem. Ale poczekaj, być może i ty dostaniesz. Nie wpadaj w rozpacz przed czasem. Nie trzeba... — Po przyjacielsku poklepał Aleksego po plecach i wyszedł z namiotu.

Wieczór był cichy, ciepły. W powietrzu gromadziły się stada komarów, zapowiadając, jak to wróżył Jerofiejcz, piękną pogodę. Starzec leżał przy samej zasłonie. Ta była odsunięta. Starzec przyglądał się igraszkom muszek. Obok Aleksego leżał skurczony, śmiertelnie blady, z siniejącymi wargami Sudariew, z bolesną niecierpliwością oczekiwał poczty. Zawsze pierwszy szedł do szafki dyżurnego, ale listów nie było.

Uriński spacerował zawsze rześki, zgrabny, ogorzały. Dowiedziawszy się, że Aleksey ma na śledztwie duże nieprzyjemności, przestał go widzieć. Nawet w stołówce, gdzie początkowo siedzieli obok, zamienił z kimś miejsce i przesiadł się.

Aleksey chwycił uważne spojrzenia, jakie rzucali nań sąsiedzi. Jeden tylko Trubin, pocieszając go, miał ciągle nadzieję na pomyslnie zakończenie.

Z całej sekcji wzywano tylko Kaszelkina.

Dziarsko pociągając z fajeczki, Uriński uśmiechał się, mówił że jego sprawa jest zupełnie jasna, że niezadługo przywróca mu stopień i pożegna się z Ałkingradem. Bodajże nikt się nie domyślał, jak zrećnie grał swoją rolę „pewnego siebie” i jak w rzeczywistości bał się zdemaskowania.

Aleksey leżał i myślał o świadku. Czy naprawdę ten starszy gość nie widział wtedy w DUŁAGU, jak Aleksey umiera z głodu, jak zabierał mu jego porcję zbieg Czernych?... Nie widział, jak Aleksey podarł niebieski bilet, żeby o nim nikt nic złego nie po-

myślał... Co by nie było — zdecydował Aleksy — trzeba pogadać ze świadkiem. Być może pamięta Czernycha, pamięta marynarza.

Nazajutrz Uriński otrzymał list od żony. Pisała, że w roku czterdziestym czwartym wyszła za mąż i prosiła, aby o niej na zawsze zapomniał.

Na ostatku było zdanie: „Bardzo jestem szczęśliwa z Piotrem”.

Uriński zrobił się bardzo wesoły, łagodny w obejściu. Nabijając fajeczkę tytoniem, podchodził to do jednego to do drugiego, wyjmował list, czytał, potem mówił:

— Oto, co robią baby!... No, powiedzcie tylko, a? Podczas gdy myśmy tam wojowali... te nie traciły czasu! Nie, to już chyba diabli wiedzą, gdzie to zapisać. Toż ona ciągle mówiła, że była i ze mną szczęśliwa. A teraz z tym...

Przed innymi jakby się usprawiedliwiał.

— Lenka bardzo ładna, nie można powiedzieć... Mężczyźni do niej, jak muchy do miodu... Ale przecież nigdy jej nie skrzywdziłem. Nie miała żadnego powodu.

Mówił tak, wyszukując coraz to nowych rozmówców, chciwie oczekując współczucia. List przechodził z rąk do rąk. Czytali, utyskiwali, wrzuszali ramionami.

Powoli zakłopotanie i ożywienie Urińskiego przechodziło w złość.

— Ach, ścierwo, ścierwo!... — cicho, dobitnie i posępnie powtarzał. — Podliuga białorzęsa. Szcur wodny. Malowana suczka. Poczekajże... Wróć, wygnam z mego mieszkania razem z tym pętakiem. Mało ci jeszcze rogów przypiąłem, ty, szcztoko do podłogi!....

Zobaczywszy Aleksęgo podszedł doń:

— Słyszałeś Kłockow, że dostałem list?... Acha, już wiesz? No i powiedz, co za bezczelność. Co robią baby... Podczas gdy mężczyźni walczą, te co wyczyniają?!

Aleksy akurat wracał do namiotu z trzeciej kompanii. Świadek, z którym tylko co udało mu się pomówić, doskonale pamiętał, że w DULAGU pod Lubanią był tylko jeden jedyny niebieski bilet zbiega na nazwisko Czernych. Świadek, oczywiście, może to stwierdzić wobec śledczego, jeśli ten o to zapyta. Aleksęgo podniosło to na duchu. Dowiedzie majorowi, że bilet wpadł mu w ręce przypadkiem.

— Jak tam sprawy? — ssąc fajkę, spytał Uriński. — Ciągną cię?... To nic... — nagle zaproponował: — Chcesz wypić? Mam. Wczoraj wymieniłem.

Aleksy przecząco pokręcił głową i schował się w namiocie,

choć pierwszy raz w życiu miał ochotę na wódkę. Uriński spotkał jakiegoś innego znajomego, zaproponował:

— Wypijemy? Mam.

Wydoili butelkę mętnego śmierdzącego samogonu zaraz tu, na miejscu, siadłszy obok namiotu. Uriński rozprawił:

— Oto psychologia baby: mąż się odwrócił, a ona już z innym... Ale ja tak tego nie zostawię. Już ja tę sukę urządzę, że ha!...

Po czym, spiwszy się, przycichł i zaczął mamrotać, prawie z płaczem:

— Lenka, Lenka... Suczko... Tak mi się wypłaciłaś. Chodziłaś w jedwabiach. Ileś miała barachła. Trzy futra... A ile płaszczy... Wszystkiego ci nakupiłem. Żle się żyło, co?

Rankiem całkiem niespodziewanie odmówili pójścia na saman starsi oficerowie i Bohaterowie. W Ałkingradzie zebrało się już ośmiu Bohaterów Związku Sowieckiego. Ordery i naramieniki były zdjęte, ale złote gwiazdy pozwolono im nosić.

Zewsząd dolatywały głosy, wydających rozkazy, aby stawać w szeregu. Koło namiotu stał zupełnie zdetonowany sierżant Alimow.

— Czwartą pluton zwariował? W nocy nie spał? Karać dyżurami? Co? Dla wszystkich starczy.

Nikt jednak w szeregu nie stawał. Aleksy porwał się do swego miejsca, ale jakiś człowiek go zatrzymał: — Poczekaj, nie śpiesz się...

Wszyscy na coś czekali. Wszyscy byli niespokojni i wzburzeni. Podniecenie szybko rosło i przenosiło się z jednych na drugich. Nikt nie rozumiał dobrze, co się dzieje.

Wreszcie na placyku przed stołówką pojawiła się wysoka postać komendanta pułku. Zobaczono go dopiero po raz drugi. Obok niego kroczył *zampolit*.

— Kompania, stawać w jeden szereg! — zakomenderował dowódca kompanii, który wybiegł ze stołówki. Tego też rzadko widywano.

Po kilku minutach kolumna stanęła w szyku.

Dowódca pułku przywitał się. Odpowiedzieli niezgodnie, niedbale.

— Towarzysze wojskowi! — rzekł pułkownik. — Niektórym z was się zdaje, że budowa domków z samanu jest niepotrzebna. Tak? Muszę podkreślić, że jest to bardzo potrzebne. Jak wam wiadomo, etatowy personel pułku, a także nasi ponadterminowi, w większości mają rodziny. A wielu z nich z żonami i dziećmi ciągle musi mieszkać w ziemiankach. Nie rozumiem dlaczego odmawiacie noszenia dwóch-trzech par cegieł dziennie na budowę?

— Nie chodzi tu o saman — odpowiedział ostry głos z szeregu.

— A o co? Kto mówi, proszę wyjść z szeregu!

Wyszedł podciągnięty po wojskowemu, chuderlawy człowiek ze złotą gwiazdą na żołnierskiej bluzie, Tierechin.

— Ja mówiłem! Nie chodzi o saman.

— A o co?

— Po cośmy tutaj przyjechali? Ażeby przejść kontrolę. Tak, czy nie? Tedy kontrolujcie, nie ciągnijcie. Ja osobiście więcej na saman nie wyjdę! Uważam to za ujmę dla swego honoru. Nawet więcej — po prostu za naigrwanie się. Wśród nas jest wielu rannych, chorych, okaleczonych przez hitlerowców. Proszę wziąć na przykład pułkownika Jerofiejewa. Stary człowiek, wymordowany przez faszystowskich młodziaków... Ledwo dusza się w nim trzyma... A wy zmuszacie go do taszczenia cegieł!

Pułkownik zmarszczył się, ścisnął wargi. *Zampolit* przestąpił z nogi na nogę.

— Przypuszczacie, że ja to zajęcie wymyśliłem? — spytał pułkownik.

— Nie wiem, kto wymyślił. Jeśli jednak nie wy, niech tutaj przyjdzie ten, kto wymyśli. Wyjaśnimy mu całą sprawę, że tą pracą powinien zajmować się batalion budowlany. A nie my. Ja na przykład, jestem z zawodu lotnikiem.

— Dobrze. Proszę wrócić do szeregu. Złożę raport generałowi. A tymczasem będziecie chodzić na samanstroj. Jeżeli przyjdzie rozkaz odwołujący budowę oficierskiego miasteczka, odczytam go wam. Jeżeli zaś nie przyjdzie — będziecie pracować. Wojskowy Jerofiejicz niech się zwróci do Wydziału sanitarnego.

— Zwraçałem się, tylko co z tego... — odezwał się Jerofiejicz.
— Na stałe zwolnić nie chcą.

— Nie pójdziemy, towarzyszu pułkowniku.

— Takich, jak Jerofiejicz, jest tutaj wielu!

— Wiecie, co czeka za niewykonanie rozkazu? Uprzedzam dowódców kompanii — obwieścił pułkownik tonem groźby — jeżeli do śniadania nie będzie dostarczona określona ilość saman-materiału, nie przyprowadzać oddziałów do stołówki.

I tu dopiero wydarzyło się to, czego pułkownik na pewno nie oczekiwał. Setki ludzi w wielkim wzburzeniu zaczęły krzyć. Z ogólnego harmideru wyrwały się tylko oddzielne głosy.

— Czym on nas chce straszyć?! Nas Hitler morzył i nie zamorzył... Tu też chcą!

— Nie wyjdzie!

— Naigrwanie się! Zawiadomimy Marszałka!

— Kto dał prawo?

— Jestem przecież dowódcą eskadry... Coś oni tu za wiele sobie poczynają!

— Musimy żądać, towarzysze oficerowie. My nie w niewoli, a u siebie w domu. Bzdurami się wykręcają... Podłość!

— Saman... duby smalone, psia krew! Nie pójdziemy!

Pułkownik i jego zastępca pośpiesznie oddalili się. Kolumna stała jeszcze kilka minut przed zakłopotanymi dowódcami kompanii, po czym rozsypała się. Tłumnie wracano do ziemianek. Huczało jak w podrażnionym ulu.

Ktoś wziął Aleksego za łokieć. Aleksy obejrzał się. Trubin podniecony, z błyszczącymi oczyma, ciężko dysząc, zaczął mówić.

— Trzeba pisać do Stalina. Natychmiast! Dowie się, rozpedzi całą tę szajkę, zobaczysz...

Przez cały ranek ludzie tłumami stali koło ziemianek. Ożywione rozmowy, klątwy, śmiech nawet, wypełniały cały obszar specjalnego pułku. Zniknęli, jakby ich wiatrem zdmuchnęło, dowódcy kompanii, plutonowi. Nie przychodzili pisarze z zeszytami, nikogo nie wzywano do kontrwywiadu. Wszyscy czekali co będzie?

Elli ujrzał Aleksego, uśmiechnął się:

— No cóż — samanowy bunt?

Po dwóch godzinach, kiedy słońce podniosło się już do wierzchołków brzoź, co oznaczało, że zbliża się pora obiadowa, nieoczekiwanie rozległa się komenda:

— Czwarta kompania, przygotowanie!... Do śniadania!

— Ochoo! — odetchnęło z ulgą stu ludzi.

— A saman? Tiu... tiu... nakrył się nogami? A więc jednak zreć dadzą? To, to, to...

Przed ziemiankami pojawili się, jakby spod ziemi wyrosli, plutonowi.

— Czwarty pluton — krzyknął Alimow — szybko, szybko! Stołowego nie chciał? Kasza ryżowa, baran tłusta. Żle, co?

Jerofiejcz mrugnął porozumiewawczo do Trubina: „Oto, widzisz — może my jeszcze zachowamy postawę”. Trubin wesoło skinął w odpowiedzi i pokręcił węsą.

— Kom-pa-nia-a ma-arsz!... Pieśń.

Szli pięknie, odbijali krok, jak na paradzie. Śpiew podchwycili zgodnie i rzeźko.

*Ech, machoroczka-machorka,
Spokrewniliśmy się z tobą.
W dal patrzą oczy bystro.
Gotowiśmy do boju. Gotowi.*

Mogą się od nas nauczyć, jak należy maszerować.

Dziarsko szły do stołówki i inne kompanie.

Kiedy skończyli jeść kaszę z baraniną i pili herbatę, zjawił się w stołówce *zampolit* i głośno obwieścił.

— Towarzysze! Po śniadaniu podpułkownicy, pułkownicy i Bohaterowie Związku Sowieckiego proszę się nie rozchodzić i poczekać w stołówce. Zrozumiane?... Pozostali wojskowi udają się do normalnych zajęć.

Pozostali poszli na saman.

Zapaliwszy papierosa Uriński rzekł:

— Podpułkownicy zwolnieni... a majorowie i kapitanowie — taszczyć tę glinę? Coś nie tak. Tu jest jakiś sęk. Trzeba się będzie jakoś zorientować.

Otrzymał wreszcie list i Kłoczkow. List był napisanym dużym, dzieciennym pismem pod dyktando dziadka.

„Witam cię, drogi wnuczku, Aleksieju Pawłowiczu!

W pierwszych słowach komunikujemy, że jesteśmy niestety nie radzi, żeś okazał się żyw. Nisko ci się kłania twój dziadek Fiedor Iwanowicz i Twoja nowa babcia, Maria Timofiejewna. Donosimy ci także, że mateczka twoja, Eugenia Matwiejewna, żyje, wylewa łzy po tobie oto już trzy lata. A sama znajduje się na Dalekim Wschodzie u swego brata, Pawła Matwiejewicza. On teraz jest w pułkownikach. I lata na samolotach. Ojciec twój Paweł Fiedorowicz też żyje. Był ciężko ranny. Oto już pół roku leży w szpitalu na Uralu. Píše, że nogi i ręce ma zdrowe i całe. Jeszcze donoszę ci, że nasz Michał Fiedorowicz, twój wujek, jest już generałem. Służy w Irkucku... Podczas wojny masę u nas młodzieży wybito, a starzy powymierali. Grisza Sobaczkin, Iwan Kurkin, Nikitok Szebołkow. Babka Wasilisa zwariowała. Swata się z Fimonem Swistunem. Syna Mikitkę mu zabili. Dlatego zaczął się swatać. A mnie zjada reumatyzm. I serce już odmawia posłuszeństwa. Oto na razie wszystkie nowiny. Mateczce twojej posłałiśmy telegram z podaniem adresu twojego miejsca pobytu. List ten do ciebie pisała nasza piśmienna mądrala, Waria Tiszkina. Ty jej pewnie nie pamiętasz, mała jeszcze była. Kłaniamy się jeszcze raz, Bóg da, wkrótce zobaczymy się. Odpowiedz’.

Aleksy odczytywał i odczytywał list, a serce tłuło się, jakby się chciało wyrwać z piersi. Otóż-to, na koniec! Wszystko — wszystko już teraz wiedział. Ojciec, matka, dziadek i wujek żyją!

— No jak, kochany — podszedł do Aleksego Kaszelkin. — Otrzymałeś? Jak tam, wszystko w porządku?

— Tak, wszystko — uśmiechnął się Aleksy — wszyscy żyją. Ojciec, co prawda, ciężko ranny, pół roku już w szpitalu.

— Nic, nic — poprawi się.

— Masz, poczytaj. List ten, wiedz, z naszej, z Riazańskiej.

— U-uuu... daj, daj! — Kaszelkin wpił się chciwie oczyma w duże linijki.

A wkrótce, tego samego dnia, przyszedł telegram z Dalekiego Wschodu i drugi list znad Oki.

Drżącymi rękami rozwijał Aleksy wąski blankiet depeszy.

„Nieskończenie szczęśliwa. Całuję. Posyłam pieniądze. Szczegóły w liście”.

Aleksy przebiegł oczami skąpą linijkę i łyzy same zaczęły płynąć mu po policzkach. Wbiegł do namiotu, położył się i przykrył się kocem. Ale w ślad za nim wszedł Alimow i surowo zapytał:

— Dlaczego spał? Kto pozwalać? Nie ma takiego rozkazu.

Aleksy nie ruszył się.

— Dlaczego milczym? Dyżurem nagradzać? Tak?

Aleksy uchylił koniec koca. Sierżant zobaczył twarz, mokrą od łez.

— Odejdźcie, towarzyszu sierzancie... później wytłumaczę... List... Rozumiecie... list... z domu...

— Aj-aj — pokręcił głową sierżant, przestępował z nogi na nogę w niezdecydowaniu, wyszedł jednak z namiotu. Było tylko słychać, jak mamrotał: — Jaki ludzie słaby, ajajaj!

Aleksy leżał z przymkniętymi oczyma. Przed nim, nie wiadomo dlaczego jawiły się dwie postacie: małeńka, z żywymi, dobrymi oczyma i siwymi skroniami matka i ryżawy major Ugłanow... Potem zaczęli się zjawiać inni. Wychodzili z nicości, ustawiali się w rząd i patrzyli na niego, leżącego. Byli tutaj: dziadek, ranny ojciec, krzepki, przysadzisty wujek w generalskim mundurze. Wszyscy patrzyli na niego, Aleksego, a on płakał.

— Tfu, co znowu ze mną? — Odrzucił koc, widzenie znikło. Wyszedł z namiotu, opłókał twarz w umywalni, uspokoił się i bez pośpiechu otworzył drugi list od dziadka. Starzec donosił, że prosił syna swego, generała, aby ten pomógł jednemu krewnemu; niechby go zabrał do służby w swoim oddziale, albo poprosił zwierzchność, żeby Aleksego jak najszybciej „wyswobodzili” ze służby, gdyż musi odpocząć i leczyć się, w niewoli wiele wycierpiał. Okazało się, że jeden z mieszkańców tej samej wsi, co dziadek, był na stacji i widział eszelon powracających z niewoli. Wszyscy „skóra i kość”. Staruszek bardzo się przejął, zląkł się o Aleksego i pośpiesznie zwrócił się o pomoc do Miszki-generała.

Aleksy uśmiechnął się, pokiwał głową. Nagle wyobraził sobie sad za gwałtownym, spadzistym zakrętem Oki; rozłożysta czeremcha koło składziku, tapczan, na którym latem spał razem z dziadkiem. Dziadek nie wie, nie domyśla się nawet, w jakich opałach znajduje się jego wnuk, jego „złoty Lenok”, jak nazywał Aleksego w dzieciństwie... W sadzie mrocznie. W gęstym krzaku agrestu, jak poprzednio, tuli się gniazdo słowika. I wieczorami roznosi się pieśń, mlaskanie z poświstami — słyhać ją na łąkach za rzeką.

Aleksy wrócił do namiotu. Nikogo nie było. Sudariew poszedł do wydziału sanitarnego, reszta wezwana do kontrwywiadu. Czwarty już dzień Ugłanow nie ruszał Aleksego. Milczenie śledczego było pełne grozy. Aleksy chodził tam i sam, trwoga rosła.

Niepostrzeżenie zbliżył się środek gorącego lata. Ciągłe nowe partie repatriantów przybywały do Ałkingradu.

Niektórzy z wczorajszych „wojskowych” zakładali na nowo oficerskie naramienniki. Opuszczali specjalny pułk radośni, uroczyści. Jakby się znowu narodzili, jakby znów stawali się ludźmi. Zaden zresztą nie wiedział, nie podejrzewał, że służba ich będzie ciężka, w najbardziej zapadłych kątach i pod stałym nadzorem kontrwywiadu.

Z czwartej kompanii nikomu jeszcze nie przywrócono stopnia.

Szemrali ci, którzy „ugrzęźli”, których losy jeszcze nie były zdecydowane. Dawno już przestali wzywać Sudariewa i Jerofiejicza. Za to usilnie zajęto się zamkniętym w sobie Biełochwostowem i Trubinem. Kaszelkin wracał do namiotu zgnębiony i zakłopotany. Aleksy zaczął obecnie zazdrościć Trubinowi i wszystkim tym, którzy chodzili do ziemianek, na które do niedawna patrzył wrogo i ze strachem. Stamtąd można było wrócić „zrehabilitowanym”. To nowe słowo stało się modne w Ałkingradzie.

Aleksy napisał list do Ludmiły. Nie wiedział, czy żyje. Napisał na stary adres. Niespokojnie obliczał dni, oczekując odpowiedzi. Otrzymał przekaz od matki. Pieniądze nie były mu potrzebne. Poczł się jednak jakby pewniej. Jest teraz ktoś, kto się będzie o niego troszczył, jest ktoś, kto go nigdy nie opuści w nieszczęściu, ktoś, kto nie uwierzy żadnym śledczym, że jej syn jest przestępcą. Matka wciąż jeszcze przebywała nad mongolską granicą; miała tam skromną pracę. Pracowała w stołówce przy kranianiu chleba. Przysłała list pełen tęsknoty i czułości, pełen nadziei na szybkie spotkanie. Opowiadała o sobie, o tym jak w czterdziestym drugim roku była wywieziona z Leningradu i co przeżyła. Aleksy zrozumiał z listu, że zwierzchnicy matkę cenią, wielokrotnie ją nagradzali listami pochwalnymi i cennymi podarunkami,

okazywali wiele wdzięczności. Lotnicy, tacy sami młodzi ludzie, jak Aleksy, kochali ją po synowsku i wielu z nich nazywało ją: „Nasza mama”. Pewnego razu uległ rozbiciu samolot. Był ciężko ranny dwudziestoletni lotnik, jeden z jej „synów”. Gwałtownie było potrzeba krwi. Pogoda była straszna. Do najbliższego przyzwoitego szpitala, co najmniej pół godziny lotu. Życie lotnika było w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie bacząc na podeszły wiek i słabe zdrowie, poderwane podczas blokady Leningradu, matka dała swoją krew. Miała dobrą krew, wiedziała o tym. Już w pierwszych dniach wojny uważano ją za najlepszego krwiodawcę. Lotnik został uratowany. Od tego czasu nazywał ją już swoją matką całkiem na serio. Przychodził do matki, często razem z nią się zamartwiał, gdy napadała na nią tęsknota i ciążyły smutne myśli o synu, który przepadł bez wieści, kiedy wyciągała z szuflady i rozkładała na stole pogniecione arkusiki papieru i na nowo odczytywała skąpe słowa: „W spisach zabitych i ranionych nie figuruje”.

Arseniusz, tak miał na imię ten lotnik, pocieszał matkę i zapewniał, że jeśli jej Aleksy ma taki sam charakter jak ona — na pewno wróci.

I oto rzeczywiście wrócił. Teraz już nie bała się niczego. Najważniejsze, że wrócił, że żyje. Na końcu listu dopisek nieznanym charakterem:

„Wierzyliśmy, że wrócisz, drogi towarzyszu, bracie. Obecnie wszystko co było pełne grozy — już poza nami. Życzę wszystkiego najlepszego. Arseniusz”.

„Wszystko pełne grozy — za nami”. Omylił się Arseniusz. Przed Aleksym było jeszcze wiele tego, czego żadną miarą nie oczekiwał. Ale też i sam Arseniusz, wkładając serce swoje w te linijki, nie mógł przewidzieć, że w miesiąc później zginie gdzieś koło Charbina...

Pewnego razu zamiast obmierzłego samanstroju, niespodziewanie wyprawiono ich na stację. Przyszły ramy i drzwi do samanowych domków. Dawno na nie czekano.

Aleksy i towarzysze zaczęli rozładowywanie leniwie. Rozglądali się, ledwo się poruszali, urządzając częste przerwy na papierosa. Niespodziewanie na wyładunek przyszli wolni od służby oficerowie specjalnego pułku, ich żony i dzieci.

— Przyszło uzupełnienie — uśmiechnął się ktoś.

Dziewięcioletni malec z trudem zdjął z platformy ramę i włożył ją za sobą, natężając wszystkie siły. Podszedł do niego kapitan, chciał mu pomóc.

— Papa, ja sam, ja sam!... Teraz będziemy mieli okno, o, jakie duże!

Aleksy poczuł się, jak biczem podcięty. Jakże musiało obrzyd-

nąć tym ludziom życie w zatęchłych mrocznych ziemiankach. Aleksy chwycił całe naręcze ram i chwiejąc się pod nimi poniósł. Malec zobaczył, krzyknął zachwycony. Popatrz papa, o ten wujek żołnierzu, ile od razu taszczy. Silny, prawda?

— Tak — rzekł kapitan, spojrzął na Aleksę i odwrócił się zmieszany.

— A czemu on taki chudy, a przecież taki silny...

Aleksy zobaczył, że takie same ilości, albo i większe nieśli Trubin i Elli. A Kaszelkin, nachyliwszy się, nawalił sobie na „garb” całą piramidę drzwi.

„Nie dla Niemców przecież pracujemy” — pomyślał Aleksy.

W czasie rozładowywania przez stację pędziły szybko jeden za drugim pociągi wojskowe. Na Wschód. Na platformach stały działa, czołgi. Na lufach niektórych dział białały rzędy gwiazdek — znaki ich czynów bojowych. Wojna z Japonią. Mówiono o tym już całkiem poważnie.

Wieczorem, przechadzając się z Ellim, Aleksy przysłuchiwał się rozmowom. Wszyscy mówili o czekającej nas wojnie. „Wojskowi” pragnęli iść na front, aby udowodnić, że umieją walczyć.

— Ja już więcej się do niewoli nie dostanę — zapalczywie dowodził jakiś młody człowiek. Mam dość, lepiej niech samuraj mi w serce nóż wsadzi, albo ja mu gardło zębami porozrywam. A do niewoli? O nie, już nie!...

— A więc, przyjacielu kochany, do Niemców dostałeś się tak trochę dobrowolnie?

— Jak to tak trochę dobrowolnie? Ty mów wyraźnie, nie kręć!

— No przecież mogłeś się zabić?

Młodzieniec zgubiony wytrzeszczał oczy.

— Mógłbyś, ale się nie chciało? A... przysięgę pamiętasz? Zjadliwie szczyrzył żółte od nikotyny zęby.

Wtedy, przyparty do muru pytaniami młodzik, nagle zamachał rękami i zaczął ordynarnie kłąć.

— Ach, ty swołocz! Won... Też mi tu... A ty sam... czegoś się poddał?...

Wokoło wybuchnęli śmiechem.

Aleksy spojrzął na Elliego. Ten patrzył w jeden punkt, wargi jego ledwo się poruszały.

Szuka rymu — zrozumiał Aleksy. Spytał:

— Jak ty myślisz, Elli, Ugłanow ma rację?

Elli wzruszył ramionami.

— Może ma, może nie. A tylko ten typ, który tak zapewnia, że nigdy już do niewoli się nie odda — jest mi wstrętny. Spotkałem człowieka, który w czterdziestym drugim wyrwał się z nie-

woli, wojował dalej, otrzymał order, a później znów był pojmany... Nawet skończył w niewoli. Myślę, że gdyby usłyszał słowa tego demagoga, plunąłby mu w mordę.

Wpadłszy pewnego razu do ziemianki, aby zobaczyć się z Trubinem, Aleksy usłyszał rozmowę o Własowie, generale-zdrajcy.

— Pytacie o Sablino i Lubań?... — uśmiechnął się opowiadający. Kto by o tych miejscowościach nie wiedział. Przeszła przez nie połowa naszej armii. Poodmrażani, ranni, dystroficy, tyfusowi.

— A potem dokąd cię wysłano?

— Do Gatczyna. Do Wiry. Na Siewierkę. Tam właśnie widziałem Własowa... Nie długo tam byłem. A potem już w Pskowie przeczytałem jego manifest: „Dlaczego wkroczyłem na drogę walki z bolszewizmem”.

Aleksy rozejrzał się. Ludzi było sporo. Był Trubin, Kaszelkin, Jerofiejcz. Całkiem z tyłu siedział Uriński i pykał z fajeczki.

— A wyście, Kurkow, dobrze znali Własowa? — spytał Uriński.

— Jakby tu powiedzieć... Herbaty z nim nie piłem.

— „Na drogę walki z bolszewizmem” — ależ gnida. — Splunął Trubin.

— O, niewątpliwie gnida — zgodził się opowiadający. Ale, że jego artykułik dużo szumu narobił, to narobił...

Przy tych słowach Uriński podniósł się po cichu. Wyszedł z ziemianki.

Minęła godzina i porucznika Kurkowa wezwano do kontrwywiadu. Więcej stamtąd nie wrócił.

Rozmowa o Własowie przypomniała Aleksemu obóz w Reichenau. W roku czterdziestym trzecim w obozie tym, niedaleko Karlsbadu, zetknął się po raz pierwszy twarzą w twarz z własowcem.

Pracowali wtedy na kolei. Strażnicy dobrali się jeden w drugiego. Bezustannie szukali okazji, jakby tu mocniej stuknąć jeńca. Cywilni „majstrowie”-kolejarze nie pozostawali w tyle. Mówiono, że za tę staranność kompania Farbenindustrii — a jej właśnie podlegał obóz — wypłacała nadzorcom premie. Właśnie za mordobicie. Ludzi wpędzano do grobu w ciągu dwóch miesięcy. Szczęście miał ten, któremu udało się dostać do szpitala. Choć odżywianie nie było tam lepsze, to jednak nie wyganiali do pracy i bili rzadziej... Otóż pewnego razu przyjechał do Reichenau instruktor-własowiec. Zdrowszy, rumiany młody człowiek, w niemieckim mundurze. Naramienniki nosił szerokie, jak jeszcze w armii carskiej. Na rękawie zaś własowski emblemat: biały proporczyk andrzejewski, przekreślony dwoma cienkimi niebieskimi liniami.

mi i trzy wyszyte złotem litery: ROA⁸. Jeńcy z niechęcią zebrali się koło stołu; pośpnie patrzyli na niego. Mówił o tym, że trzeba wstępować do ROA.

— Popatrzcie na siebie, do czegoście podobni: „dochodiagi” — jak jeden...

Kiedy oni zaczęli kłąć i nazwali go podlecem, własowiec rzekł spokojnie:

— Oczywiście wasza sprawa, ale wiedzcie jedno:... — Obejrzał się na okno, za którym chodził wartownik, i ściszywszy głos, jakby się obawiał, że go Niemcy podsłuchają, zaczął szybko mówić: — Głuptaki. Własow dąży do tego, aby otrzymać odcinek frontu i już w zasadzie się z Hitlerem dogadał. Jak tylko armia zostanie sformowana i zajmie swój odcinek frontu, wtedy zrobimy zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Zrozumiano! I w niemieckich mundurach i z niemiecką bronią... Zrozumieliście, durnie?

— A jeśli Hitler oddzielnego odcinka frontu nie da, wtedy co?...

Instruktor spokojnie się uśmiecha:

— Też jest wyjście: dostałeś się do pierwszych linii, wybierasz moment i drapaką do swoich. A jak się uchytrzysz, zabierzesz ze sobą Fritza. A przy sprzyjających okolicznościach może nawet dziesiątek...

Jeńcy zakłopotani patrzyli na siebie. Własowiec, zobaczywszy wahanie, dodał drwiąco i na poły ze smutkiem:

— A tak, wszyscy wyrzecie bez żadnej korzyści, jak za niuch tabaki, czy warto? Myślicie, że was Niemcom żal?... Tylko dodatkowy nawóz dla ich ziemi.

Spytano go:

— A ty już byłeś w pierwszych liniach?

— Ech — westchnął, długo na nich patrzył. — Zeby... Na tym rzecz polega, że na razie nie mogę. Sumienie mi nie pozwala. — I zapaliwszy papierosa wyjaśnił:

— Jestem instruktorem, propagandzistą. Zadanie moje nie łatwe. Przeprowadzać rozmowy z takimi, jak wy ludźmi. Ratować od niepotrzebnej zguby rosyjskich chłopców. Niedawno też byłem „dochodiagą”, już-już zdychałem. Ale generał przysłał do naszego obozu takiego, jak ja obecnie człowieka i ten wielu uratował od śmierci... Jak już stworzymy armię, stanę do raportu i na front. Czemu po próżnicy wam tu zdychać, lepiej się odżywić na niemieckim żarciu.

Zegnając się, uprzedził.

— Pomyślcie dobrze. Za trzy dni wrócę; będziemy wołać

8. ROA — Rosyjska wyzwolenicza (Oswobodzielska) Armia.

na szczerą rozmowę pojedynczo. Tylko tam będzie Niemiec, znający rosyjski. Sami rozumiecie, że przy nim wielu rzeczy nie da się powiedzieć. A słowo „Zdrajca” wyrzucicie z pamięci. Grunt — to ocalić życie. Zrozumielście? Do widzenia!

Pięćdziesięciu jeńców rozlało się po narach i przemyślało nad słowami własowca. Wielu one kusily. Przecież istotnie byli już jedną nogą w grobie. A można by „odeżreć” się na niemieckim jadle, dostać na front i przejść do swoich.

Myśl ta aż dech zapierała!

Przez trzy dni gwałtownie dyskutowano. Zastanawiali się, co robić. Pięćdziesięciu ludzi rozpadło się na trzy grupy. Jedni uważali, że trzeba jeszcze odczekać, żeby się nie znaleźć w pułapce. Drudzy zapewniali, że instruktor ma w gruncie rzeczy rację, teraz trzeba wstępować do ROA, aby uniknąć śmierci, dostać się na front i machnąć do swoich. Trzecia grupa milczała. Na każdym kroku wynikały spory. Pewnego razu doszło do bójki. Sąsiad Aleksego na narach — wysoki, chudy młody człowiek, o przewisku Prytuga — to jest żerdź — zaczął dusić za gardło swego przyjaciela, z którym dotychczas dzielili się każdą okruszyną chleba. A bójka wynikała stąd, że przyjaciel jego postanowił wstąpić do ROA, twierdząc, że inaczej szybko wyciągnie nogi.

— Ty podlecu, chrypiął Prytuga, zaduszę... A później wszystkim opowiem, gdy wrócę, żem zadławił ciebie, gada, własnymi rękami.

Ledwo zdołano ich rozdzielić. Prytuga pluł i wzrokiem pełnym nienawiści patrzył na swego wczorajszego przyjaciela, Jurka Polaniczkowego.

— Dawno już zauważyłem, że ty nadajesz się na zdrajcę. Po twojej mordzie to widziałem, po twoich pieskich ślepiach — mówił Prytuga. — Matka twoja powinna była zataszczyć cię w podołku do rzeki i rzucić do przerębla. Na próżność tyle lat żarł chleb rosyjski. Ty, bydlę parszywe...

Propagandzista przyjechał dokładnie po trzech dniach. Jeńców wzywano pojedynczo na wartownię. A na drugi dzień, kiedy, jak zazwyczaj, oddział roboczy zbierał się i ustawiał, aby udać się do katorżnej roboty, szef odczytał pięć nazwisk i ich właścicielom polecił zostać w baraku. Jurki między nimi nie było. Prytuga, niesłuchanie zawstydzony, patrzył na niego i ruszał wargami. A wieczorem, zбитy za coś przez wartownika, dowłókł się z trudem do obozu i od razu poszedł do Jurki i zaczął mamrotać:

— Ty, bracie... e... nie złość się na mnie. Sam nie wiem, czego tak rzucałem się na ciebie... Serce mi, rozumiesz, zamarło kiedyś powiedział, że pójdziesz do nich...

Jurka wzdychał, milczał. Wreszcie wyciągnął z kieszeni nędz-

ny kartofel i podał towarzyszowi. Ten odmówił, odwracając się zakłopotany, dopóki Jurka się nie wściekł.

— Bierz, albo inaczej wyrznię cię nim między ślepie!...

Pogodzili się.

Po odejściu pięciu do ROA, życie w łagrze stało się już zupełnie nie do wytrzymania. Pozostałych w obozie faszystów bili okrutnie i morzyli głodem. Uważali, że tych czterdziestu pięciu to zażarci bolszewicy. W dwa tygodnie potem Jurka zachorował na dyzenterię i umarł. Prytuga stał nad nim, wycieńczony, długi i z jego zapadłych oczodołów płynęły łzy: „Jurka, daruj” — szeptał. A w dwa dni później Prytugę zmiądzzył pociąg. Sam rzucił się pod parowóz, czy też stojąc na torze, nie zauważył zbliżającego się pociągu — kto wie?

Aleksy zagotował wieczorem kubek wody, zawiązał rękaw koszuli i zacisnąwszy zęby, wylał wrzątek na rękę. Na drugi dzień prowadzono go do szpitala. Konwojent coś burczał pod nosem i od czasu do czasu stukał kolbą w kościste plecy Aleksiego.

W końcu roku włosowska gazetka „ZORZA” jęła się nowego kursu. W każdym numerze zaczęła drukować opowiadania o „bohaterskich czynach” żołnierzy ROA. Drukowano również fotografie tych ludzi. Kiedyś Aleksy natknął się na znajomą twarz. Wzburzony chwycił gazetkę. Pod fotografią było wydrukowane: „Włodzimierz Sztepel” od trzech miesięcy już walczy o szczęście swojej ojczyzny”. Aleksy wyrwał fotografię z gazety, schował ją do kieszeni. Uda się, pokaże go szkolnym towarzyszom, nauczycielom, ba, rodzicom Sztepeła. Przecież Wołodka był z nim w jednej klasie.

Dopiero pod koniec wojny dowiedzieli się wszyscy, że gazetka, publikując fotografie tych, którzy rzekomo odznaczyli się w bojach, łgała.

W czterdziestym czwartym Hitler rzucił dwie dywizje włosowców przeciwko wojskom sojuszniczym we Włoszech. Obie dywizje, wystrzelawszy oficerów, poddały się bez walki Anglikom⁹. Mówiono, że rozwścieczony Führer spoliczkował generała Własowa. Armię jego rozbito na drobne oddziały, które posyłało tylko na front wschodni. Oszukanym żołnierzom dawano na drogę takie błogosławieństwo: „Albo się bij, albo zginiesz w NKWD”.

Tak więc pewna część Rosjan, byłych jeńców znalazła się pod koniec wojny w położeniu bez wyjścia. A generał-zdrajca, jak tego należało oczekiwać — skończył na stryczku.

9. Nieścisle. Internowane oddziały wydane były przez Anglików władzom sowieckim. Patrz J. Mackiewicz: „Kontra”, „Biblioteka Kultury”, tom XX.

Trzydzieści kompanijnych ziemianek, zatechłych i ciemnych z wielotysięczną armią pcheł i „specjalnych ałkingradzkich”, jak je nazywano, pluskiew — wypełniły po brzegi gromady repatriantów. Nie starczyło miejsca pod dachem. Na polanach wyrosły całe miasteczka namiotów. Kuchnia „krążownik” pracowała na trzy zmiany. Obok stało około tuzina kuchni polowych. Przy kotłach dzień i noc krzątali się żołnierze w białych chałatach.

Podpułkownicy, pułkownicy i Bohaterowie Związku Sowieckiego dawno już byli zwolnieni od samanstroju. Było to stałym tematem rozmów pozostałej masy. Szczególnie szemrali majorowie i kapitanowie. Wreszcie i ich zwolniono. Wtedy zaczęli szemrać i porucznicy. Zresztą na samanstroju gromadziło się obecnie tyle narodu, że wielu w ogóle nie wiedziało, co robić. Koło każdej formy pracował jeden, a dziesięciu czekało na swoją kolejkę. Całe dni mijały na bezsensownej budowie, na chodzeniu tam i sam.

W ostatnich dniach lipca rozeszły się wieści, że wkrótce wszystkich rozpuszczą do domów. W pierwszym rzędzie tych, którym przywracano stopnie. Ludzie pokrzepieni na duchu, stali się lepsi, uprzejmiejsi między sobą. W godzinach odpoczynku sypały się żarty, dowcipy. Przyszedł czas na opowiadanie anegdot.

— Wkrótce, kochanie, do domów — przysiadł się Kaszelkin do Aleksego. — Jakaś zdecydował: do domu, czy na wieś w okolicy Riazani?

Aleksego nie wzywano do kontrwywiadu już przeszło miesiąc. A tymczasem śledczy pracowali dzień i noc. Ugłanów, zdawało się, zapomniał o Kłoczowie.

Ludzie różnie reagowali na badania. Uriński chodził, pociągał z fajeczki, śmiał się. Chmurzył się tylko, gdy wspominał zdradę żony. Spokojnie trzymali się Jerofiejcz i Sudariew. Pułkownik uważał, że mu wkrótce przywrócą stopień, ale też zaraz zwolnią do rezerwy. Wrzody dokuczały mu coraz dotkliwiej. Biedaczysko już nie wiedział, co jeść. Cokolwiek zjadł, kurczyło go i gięło do ziemi. Elli, jak zwykle, chodził zamysłony, z półotwartymi ustami, wargi coraz to zaczynały coś szeptać. Na badania patrzył, jak na zło, którego się nie do uniknąć. Jeśli Aleksey spytał go, jak stoją jego sprawy na śledztwie, Elli krzywił się i machając rękami, uchylał się od odpowiedzi.

Nierozmowny porucznik Biełochwostow grał w piłkę. Kiedyś wybrał się z nim Uriński. Potem w zachwycie opowiadał, że przychodzą tam ładniutkie medyczki i że między nimi jest jedna taka, no, po prostu „Venus Milońska”.

Pewnego razu, wracając z samanstroju, Aleksey zobaczył koło ziemianki tłum ożywionych ludzi. Po środku stał milczący Biełoch-

wostow. Uśmiechał się. Okazało się, że przywrócono mu stopień i wysyłano do służby na Daleki Wschód... Z zawiścią patrzył Aleksy na tego, niczym właściwie nie odznaczającego się młodzieńca, prawie swego rówieśnika.

Wkrótce dowódca kompanii wezwał Biełochwostowa i wysłał go z sierżantem Alimowym do intendentury. Porucznik Biełochwostow wrócił w nowiutkim mundurze oficerskim, z dokumentami.

Cała kompania mu się przyglądała. Niektórzy podchodzili, ściskali mu dłoń, wieszowali.

W dwie godziny później wyjechał i zaraz o nim zapomniano, tym bardziej, że znów kilku innym przywrócono stopnie.

Aleksego nie wzywano i sam już zaczął myśleć, czy nie udać się do Ugłanowa.

Kaszelkin nagle skisł; coś tam zaszło u niego na śledztwie. Chodził przygnębiony, przestał się uśmiechać, żartować. Trubin usiłował go pocieszyć, dodać mu ducha, pytał, co się stało, ale ten zamknął się w sobie i milczał.

Kiedyś wieczorem kapitan podszedł do Aleksego. Wziął go pod rękę. Aleksy zrozumiał, kapitan chce się poradzić. Wysłał już list do Centralnego Komitetu Partii, opisując w nim niesłychany stosunek do byłych oficerów, podając przykłady jawnego naigrania się z ludzi na badaniach.

Trubin, podobnie, jak i Aleksy, zdobył swój stopień na froncie. Do czasu wybuchu wojny był maszynistą, prowadził pociągi na wielkiej kolei transsyberyjskiej. Był wyłączony od mobilizacji. To też z trudem udało mu się zwolnić z pracy i pójść do armii. Stopień podporucznika dostał już w końcu czterdziestego pierwszego roku. W czterdziestym drugim został porucznikiem, a w początkach czterdziestego trzeciego — kapitanem. Na tym skończyła się jego kariera w ciężkich bojach na sławnej Orłowsko-Kurskiej drodze. Obecnie coraz upartsze plotki mówiły, że tym, którzy zostali oficerami na froncie, stopnie oficerskie nie będą przywrócone.

— Jakie jest twoje zdanie o takim świństwie? — pytał Trubin, przygryzając wąsa.

Aleksy nie wiedział, co odpowiedzieć. Było mu ciężko na duszy. Nie miał już wcale nadziei na zostanie z powrotem oficerem. Pragnął tylko jednego: Jak najszybciej wypłatać się z tego wszystkiego i demobilizować się.

— Jestem członkiem partii z trzydziestego roku — ciągnął Trubin. — Mam piętnastoletni staż. Jakże to teraz. Obecnie nie mam partyjnej legitymacji, nie mam orderów i medali, na które zasłużyłem w walkach. I nawet mają mi nie przywrócić stopnia, który zdobyłem w pierwszych liniach, a nie w szkole wojskowej.

Coś tu nie gra. Powiedzmy, o Kaszelkinie wiem nie wiele, ale weźmy takiego Sudariewa. Członek partii z wielkim stażem. Trzykrotnie ranny. Odznaczony dwoma orderami... Ale o czym tu mówić. Oto na przykład nasz staruszek Jerofiejicz. Pułkownik intendentury. Dlaczego tak się wlecze jego sprawę i tak się nad nim znęcają? Przecież już najprościej znaleźć jego dokumenty... Nie, bratku, w tym jest coś nieczystego... Trzeba pisać. Do samego Stalina. Myślisz, że on wie, co tu się dzieje? Gdyby wiedział, nigdy by do tego nie dopuścił...

Aleksy zgadzał się z Trubinem, nie zamierzał jednak nigdzie pisać. Był przybity moralnie. Ciężka mu historia z niebieskim biletem i dlatego uważał, że nie ma prawa podpisywać listu razem z Trubinem. Był przekonany, że w sprawie Trubina jest wszystko jasne. Trubin, to czysty, uczciwy człowiek. A on, Kłocz-kow, ugrzązł w absurdalnej zupełnie historii.

— Cóżś tak oklapnął, jak widzę... Trubin bacznie mu się przyjrzał. — Całkiem cię nie poznaję. Pamiętasz, jakeśmy kopali dziurę pod barakiem w Nasezaku... Ech, bracie, byłeś zupełnie inny...

Z daleka doleciał głos Alimowa:

— Gdzie, gdzie jeszcze dwa ludzie?... Nie ma? Co to ja biegaj tu i tam. Prędko, prędko szukaj!...

— Czegoś znów ustawiają w szereg... — rzekł Aleksy. — Alimow nas szuka. Pobiegli w stronę ziemianki.

Stał tu już *zampolit*, pisarz. Kiedy kompania została ustawiona, pisarz zaczął wywoływać nazwiska wojskowych. Aleksy, Sudariew, Trubin i wielu innych znajomych oficerów znalazło się na liście. Kazano im stanąć w oddzielnym szeregu.

— Towarzysze szeregowi! — zwrócił się do nich z przemówieniem *zampolit*...

„Dlaczego szeregowi?”

Wasza grupa będzie włączona do kompanii budowlanej. Jutro zostaniecie wysłani do nowego miejsca służby. Czy są pytania?

— Są, są... — zaczęto z szeregu.

— Proszę, tylko prędko, mam bardzo mało czasu.

— Jakież ze mnie żołnierz-robotnik budowlany. Jestem oficerem. Mam już szósty krzyżyk — pytał Jerofiejicz. — Najwi-doczniej przypadkowo znalazłem się na liście?...

— Nie ma tu żadnego przypadku. Tymczasem będziecie szeregowcami. Dokumenty wasze widać nie zostały odnalezione...

— Nie rozumiem, czemu mam być szeregowcem? — upierał się Jerofiejicz.

Zampolit ze złością już ruszył ramionami.

— Jeśli wy nie rozumiecie, ja — tym bardziej... Odwrócił

się do drugiego. A wy czego? Takie samo pytanie?... Na te pytania nie mogę odpowiedzieć. Wyście lepiej powinni wiedzieć, dlaczego okazaliście się szeregowcami... Muszę dodać, że niektórzy z was będą mianowani podoficerami.

Trzeba się do tego wszystkiego odnieść zupełnie poważnie.

Zampolit oddalił się. Po pewnym czasie zjawił się Kutiepow i obwieścił, kto został mianowany sierżantem.

Sierżantami zostali Trubin i Uriński.

— No, już diabli wiedzą co? — w zakłopotaniu rozkładał ręce Trubin.

Tego samego dnia Aleksy otrzymał depezę od matki. Zawiadamała go, że wyjechała. Prosiła, aby ją spotkał następnego dnia.

Zupełnie już rozbity i zagubiony Aleksy udał się wieczorem do Ugłanowa.

— Uważasz, że mam się tobą zajmować od rana do wieczora, dlaczego, Kłoczkow? — śledczy ostrym wzrokiem patrzył na Aleksego. — Pozwól mi nie wierzyć twoim opowiadaniom.

— Towarzyszu majorze, przecież wszystko szczegółowo opowiedziałem towarzyszkowi Wostocznemu jeszcze w Wiedniu.

Ugłanow, nie śpiesząc się wydobyl arkusz papieru.

— No, więc, co z tego? Oto kopia badania, podpisana przez Wostocznego i przez ciebie. No, popatrz, poznajesz swój podpis?... Jesteś przekonany, że kapitan Wostoczny ci uwierzył? Otóż cała sprawa polega na tym, że on wcale nie był przekonany. Dlaczego wysłał cię od razu pierwszym transportem? Przecież można było się tak nie śpieszyć.

Aleksy zobaczył znajomy arkusz papieru z maszynowym pisem, podpisany przez Wostocznego i przez niego. Zupełnie go to oszołomiło. A więc Ugłanow opiera się nie tylko na swoich podejrzeniach i na słowach świadka z trzeciej kompanii.

— Rozmawiałem ze świadkiem — rzekł Aleksy — on może potwierdzić, że na niebieskim bilecie figurowało zupełnie inne nazwisko. Bilet ten nie należał do mnie. Właścicielem jego był Czernych.

— Świadek był tutaj. Oto jego zeznanie.

Aleksy przeczytał. Świadek uczciwie zeznawał, że na bilecie zbiega figurowało nazwisko Czernych.

— Co z tego — uśmiechnął się Ugłanow. Czy nie mogłeś nazwać się w niewoli inaczej, aby na wszelki wypadek ukryć swoją zdradę? Na śledztwie u kapitana Wostocznego mogłeś również wymyślić całą historię o zbiegu, którym jakoby był Czernych. A być może byłeś nim sam. A także historię o marynarzu, który jakoby uratował cię. No więc, Kłoczkow, co ty na to wszystko?

— A więc... a więc... obecnie — głos Aleksego zadrzał, z

trudem dokończył, jakby go jakaś pętla dusiła za gardło. — Więc.. nie ma żadnego sposobu usprawiedliwienia się... dowiedzenia, że nie jestem zdrajcą?

Nie hamując się więcej zaczął płakać, ramiona jego zaczęły się trząść.

Ugłanow palił, patrzył na niego swoim ciężkim wzrokiem. Ale oto, nagle w jego oczach zabłysło coś w rodzaju współczucia. Zaczął mówić łagodnie:

— Szansę usprawiedliwienia się masz, Kłoczkow... Znaleźć tego marynarza... Ale, mówiąc otwarcie, szansa jest małoprawdopodobna. Gdyby na pewno wiedzieć, że nie zginął w niewoli i wrócił. A tak, kto wie, czy żyje, gdzie przebywa... Nawet jego nazwiska nie znasz...

Aleksy łkał, objąłszy głowę rękami.

— Matka jedzie do mnie... Oto przysłała depeszę... A ja jej nie zobaczę...

Śledczy westchnął:

— Tak, kochany, teraz nie jest odpowiedni czas na spotkania... I powiem ci jeszcze jedno. Gdybyśmy byli całkiem przekonani że byłeś zbiegiem, oddalibyśmy cię pod sąd jako zdrajcę ojczyzny. Ale, jeśli wysyłamy się do kompanii budowlanej, jako szeregowca, tedy dochodzenie w twojej sprawie nie zostało zakończone. Będziemy je prowadzić dalej. Być może, że będzie trzeba lat, aby wszystko wyjaśnić do końca. Żeś nie był własowcem, tośmy prawie na pewno ustalili. Nie oddaje cię więc nikt pod trybunał rewolucyjny — i nikt cię nie odda. Dlatego przestań tu chnykać. Przywrócenie ci stopnia na razie jest niemożliwe.

Z dwudziestej drugiej dywizji otrzymaliśmy odpowiedź na nasze pytanie. Na nieszczęście nie wszystkie dokumenty tam ocalały. Dywizja, jak wiadomo, przeszła olbrzymią drogę bojową od Wołohowa do Narwiku. Prowadziła w Norwegii ciężkie boje¹⁰. Wielokrotnie była uzupełniana. Dokumenty więc mogły zaginąć. Tedy uspokój się i, jeśli uważasz, że sumienie twoje jest czyste, służ ojczyźnie. Jesteś jeszcze młody, staniesz na nogi. Idź.

Aleksy chciał jeszcze coś powiedzieć, ale dławilo go w gardle.

— Zrobiliśmy wszystko, aby sprawę wyjaśnić. Na razie nie było to w naszej mocy.

Leonid SIOMIN

(Przełożył *Zdzisław MIŁOSZEWSKI*)

10. Nieścisle. Przyp. Redakcji.

ZYWOT CZŁOWIEKA

Dobroć jest zawsze w naszej duszy.
I dusza jest dobra, a zło zaszczipione.

L. Tolstoj

I

Powieki jak sklejone. Otwieram je z trudem. Ostre światło oślepia mi oczy. Płyną przed nimi i mnożą się kręgi — niebieskie, zielone, czerwone. Później, poprzez różnokolorowe, tęczkowe roztopy, przeciskają się twarze: jedna — młodzieńcza, z wystającymi po mongolsku kośćmi policzkowymi, i z szeroko rozstawionymi oczami, jak migdały; druga — starcza, przygniecioną czasem, o cienkich wargach. Cicho, niemal apatycznie szleszczą nade mną czyjeś głosy:

— A Kolka wie o tym?

— Niechbym tylko mu powiedziała!

— A ty mu powiedz.

— Jeżeli powiem, pomyśli że się narzucam. Urodzę — i niech wtedy decyduje.

— On przecie ojciec.

— Ojciec... no to co?

— Powinien się ożenić.

— A po co mnie mąż z litości! Nie zechce — nie trzeba.

Sama wyhoduję.

— U was, terażniejszych ludzi, honoru aż nadto, ale rozumu za mało. Za moich czasów zadarłby ci ojciec spódnicę i przejechał skórzanym batogiem po miękkim miejscu...

— Zamieć huczy...

Słyszę jak na dworze hula wiatr. To cichnie, to z jeszcze większą siłą napiera na ściany sypiąc po szkle kruche kryształki śniegu, jak gdyby ktoś swawoląc ciskał piaskiem w okno. Po-

przez fale zamieci przedziera się rytmiczne stukanie silnika spalinowego, a lampka pod sufitem do taktu leciutko migoce.

— Nasza Sima jakaś nieswoja... Trzeba chorego operować, a Iwan Antonowicz ugrzązł w Saburowie.

— Zimno cię obleci... a nuż on straci nogi? Tfu! tfu! Niech Bóg broni!

Zwieram powieki. Wszystkiego o sobie muszę dowiadywać się z boku — to moja zawodowa reguła. Gdzie ja jestem? jak tu trafiłem? Ostatnie, co mi zostało w pamięci, to spadanie gdzieś, palące, bez końca...

Jak suche liście szemrzą słowa koło mojego ucha:

— Gdy nie ma Antonycza, ona nie ma przed kim odpowiadać.

— Z Saburowa bez mała 40 wiorst. I jeszcze w taką zawiechę...

— Jeszcze nie stary, tylko bardzo obrośnięty.

— Ja też mówię, że nie straciłby nóg.

— Widocznie z ekspedycji. Oni wszyscy z brodami.

— Tak, tak...

Rozmowa ucicha, a do mojej świadomości przenika wreszcie straszny sens tych słów: „nie straciłby nóg”. Jeśli tak — to naszych już nie ma. Gra skończona. Mimo woli pochylam się w przód, ale ostry, przesywający ból odrzuca mnie w zawrotną pustkę.

II

...Wychodzę na ganek. W rękach mam tornister. Przede mną trzy znajome aż do ostatniego szczegółu stopnie, od których prowadzi do furtki wyszczerbiona ceglana ścieżka, rozcinająca podwórko na dwoje. Tak samo jak wczoraj kurzą się hałdy węgla różnego wieku, otaczające kołem nasz przysadkowaty Jużnogorsk, tak samo jak wczoraj, znane od dzieciństwa dźwięki, barwy, płyną ku mnie ze wszech stron: koguci apel, bielizna rozwieszona na sznurach wzdłuż płotu, krążenie topolowego puchu, tak samo jak wczoraj idę do szkoły, dokąd będę musiał chodzić jeszcze długo — całe trzy lata. Ale czuję, że coś nagle odmieniło się we mnie. Dawniej zlewałem się z całym otoczeniem, czułem się jego maleńką, ledwie dostrzegalną cząsteczką, a dziś jestem jak gdyby wyrwany ze zwykłego otoczenia przez olśniewający snop światła. Każdy mój krok, każde westchnienie wypełnione jest teraz przeczuciem bliskiej i bezpowrotnej przemiany. Pierwsze zdarzenie już nastąpiło: ostatniej nocy aresztowano mego ojca.

To musiało się zdarzyć. Już w roku ubiegłym zaczęli nas odwiedzać jacyś niezwykli goście — z jednakowymi twarzami i nawet jednakowymi głosami — chrypliwymi, przytłumionymi. I jeszcze jedno: ręce ich jakoś drgały. Brały one, kładły, zawijały, rozpakowywały — i to wszystko robiły gwałtownie, nerwowo, jak gdyby bały się sparzyć o te rzeczy. Później goście pili wódkę i szpetnie klęli. A matka tylko jęczała żałośnie spod kołdry:

— Aleksy, dosyć, miej litość nad dziećmi.

Ojciec leniwo machał ręką:

— A — a, śpij.

Z rana ojciec chodził po domu cicho i jak gdyby czując się winnym nieśmiało popatrywał na nas wszystkich.

Teraz to wszystko skończyło się. Tuż nad ranem zjawilo się trzech ludzi i narobiło popłochu w całym domu. Tylko Halka, moja najmłodsza siostra, nie obudziła się. Śniła do końca swoje przedporanne sny, a milicjant z wyłupiastymi oczami, stojący pod ścianą pomiędzy drzwiami i łóżkiem, raz po raz poprawiał ześlizgującą się z jej ramion kołdrę. Dwaj cywilni z przejściem grzebali się w szafie i w szufladach komody, rozkładając rzeczy na dwa stosy, jak gdyby grali w cetno i lichu. Gdy wszystko było skończone, na wierzchu dużego stosu rzeczy leżały ojcowskie kalesony z rdzawymi plamami od żelaznych guzików, a na mniejszym stosie — nasz rodzinny album w wytartej safianowej oprawie, w którym butwiały zasuszone kwiaty i fotografie całej naszej rodziny, jak powiadała matka — do siódmego pokolenia. Potem jeden z cywilnych krótko skinął na ojca:

— Prędeż, Cariew!

A ojciec żadną miarą nie mógł utrafić nogą w but, który jak żywy wciąż wyslizgiwał mu się spod stopy. Matka trzymała się obydwoma rękami za kant szafy i drżała leciutko całym ciałem. Najstraszniejsze było to, że nie krzyczała, nie rzucała się, lecz ot tak, spazmatycznie leciutko drżała. Ale najważniejsze — te kalesony z rdzawymi plamami od żelaznych guzików i nasz rodzinny album, z którego sterczała pożółkła fotografia z urywkiem zdania: „Fieniczkie od rod...”.

...Woła mnie głos tak znany, że aż ściska szczęki:

— Sierioża!

To Zina, moja sąsiadka z ławy szkolnej. Ma elastyczne, jak z gumy, warkocze, piegowaty nos ze spłaszczonymi nozdrzami i okrągłe oczy, zawsze z wyrazem zdziwienia w głębi. Zina mieszka naprzeciwko i dlatego zawsze chodzimy do szkoły i z powrotem z nią razem. Może nawet nie tylko dlatego. W klasie dokuczają nam nazywając nas „parą narzeczonych”. Zina w takich

wypadkach uparcie wzrusza ostrym ramionkiem, a ja wszczynam bójkę. W tej chwili stoi ona przede mną z opuszczoną głową, koniec jej bucika wypisuje powoli na kurzu chodnika skomplikowane zygzaki.

— Mama powiedziała, że my z tobą nie powinniśmy chodzić razem.

— Dlaczego?

— Sam rozumiesz.

— Rozumiem.

Zawracam i odchodzę. Zina dopędza mnie. Skądś z daleka dochodzi do mnie jej głos:

— Ale ja będę mimo to siedzieć z tobą na jednej ławce, słowo pioniera.

Niech siedzi, jeśli jej się tak podoba. Żrący kłębek rozpycha mi gardło. Podczas lekcji moje pióro raz po raz pryska wyrzucając bryzgi niebieskiego atramentu. Miękka ręka naszego nauczyciela literatury, „trójwargowego” Walerija Mikołajewicza, spada mi na plecy.

— Trzeba myśleć, Cariew!

Czuję wstręt do tego cichego, przymilnego głosu. Nie podnosząc nawet głowy widzę przed sobą najwyraźniej, aż do mdłości, mięsistą, jakby na przedce ulepioną twarz z rozciętą na dwoje dolną wargą, wyświechtaną szewiotową marynarkę, gęsto przyprószoną łupieżem, oraz zwiędłą rękę z napęczniałymi żyłami pod rudym owłosieniem. Chce mi się zrzucić ją z pleców, ale tylko opuszczam niżej głowę. Gwiżdżę teraz na wszystko. Staram się nie patrzeć na nauczyciela. Obawiam się, że cisnę weń kałamarzem.

Głos zasnuwa mnie, czuję że duszę się w nim, jak w gęstej i lepkiej pajęczynie. — E-ee... Nie rozumiem, Cariew, nie rozumiem... Wstań, proszę, nauczyciel do ciebie mówi... Naprawdę, to nie przystoi pionierowi...

Gryząca kula w gardle nagle wybucha. Wyskakuję i nie oglądając się wybiegam z klasy.

Na ulicy pada ciepły, drobny deszcz. Idę wzdłuż niskich, jakby rozpieranych przez zielen parkanów, ścisnąwszy pięści w kułak, i nienawidząc całego świata. Deszcz pada coraz mocniej... Twarz mam mokrą od deszczu, ale deszcz ten jest jakiś słony. Boję się przyznać sam przed sobą, że przecie mam już 14 lat.

Wracać do domu nie chcę. Tam jest teraz tak jak w opuszczonej cerkwi przy Chitrowym stawie — pustka, w której echo gra. Tylko ojciec mógł wypełniać dla mnie rodzinne okna ciepłem i światłem. Bez ojca czułem się zawsze czymś zbytecznym na świecie. Wciąż komuś i w czymś przeszkadzałem. Podobno

urodziłem się jako dziecko dotknięte krzywicą i wciąż krzyczałem. Stąd niechęć domowników do mnie. Nie wiem czym spodobałem się ojcu, ale tylko on rozmawiał ze mną jak równy z równym, nie szeptaniąc i nie starając się podobać. Płaciłem mu za to jedynym czym rozporządzałem — wiernością. Odczuwam nienawiść do całego świata. Nienawidzę tych wszystkich, którzy mają prawo walić pięścią w stół, stawiać stopnie, gwizdać rozkazująco na rozstaju, zmuszać... Nie życzę sobie! Nie chcę! Idźcie wszyscy do diabła!

Nogi same doprowadzają mnie do starego mostu kolejowego przy przejeździe. Zawsze lubiłem patrzeć jak giną za najbliższym zakrętem huczące pociągi nabierając rozpędu. W takich chwilach otaczający mnie świat przestawał istnieć.

...Nad stromym urwiskiem, opodal trzech wiekowych palm, stoi samotna chata. Pod urwiskiem huczy ocean, duże ciepłe gwiazdy strzegą tropikalnej ciszy nad bambusowym dachem. Wewnątrz chaty smutny ogień nigdy nie wygasa. Świetlne języki płam przesuwają się wolno po ścianach, matach, po zadumanej twarzy. Ona czeka. Na imię jej Tamiंगा. Jest córką Orlego Dzioba, wielkiego wodza plemienia Agu-Oga. Wielu myśliwych z sąsiednich plemion stara się o nią, ale ona milczy — milczy już trzeci rok. Wstrząśnięci jej wielką boleścią, rezygnują znakomici konkurenci.

Smutne są słowa jej ojca, niedoścignionego Orlego Dzioba.

— *Córko moja! Oto już trzy lata milczysz. Najlepsi z młodych wojowników odchodzą od ciebie z niczym. Jestem już stary, Bóg Słońca wezwie mnie wkrótce na wieczne ucztowanie, a wciąż jeszcze nie mam komu przekazać losów mojego plemienia. Zaklinam cię na gwiazdę, która świeci nad naszą chatą, podziel się ze mną swoimi troskami!*

Wtedy piękniczka Tamiंगा tak powiada swemu ojcu:

— *Ojcze mój! Zwierzę się tobie z trosk mego serca. Daleko stąd, po tamtej stronie oceanu, w małym mieście o dziwnej nazwie Juźnogorsk żyje szlachetny młodzieniec Sieriożka Cariew. Nie ma on pirogi i nie może przepłynąć przez ocean, toteż jesteśmy zmuszeni kochać się wzajemnie w rozłące aż do grobowej deski. Oto wszystko, ojcze mój, co ci mogę zwierzyć.*

Nic nie odpowiada na to córce Orli Dziób, bowiem w plemieniu Agu-Oga gadulstwo uważane jest za hańbę. Orli Dziób wkłada tylko mokasyny i wsiada do największej swojej pirogi.

A piękniczka Tamiंगा wychodzi na brzeg i rozpuściwszy na plecach, na znak strapienia, swoje sprężyste, jakby z gumy, warkocze, będzie długo ściagać odpływającego ojca swymi okrągłymi, stale w swej głębi zdziwionymi oczami...

Chrypliwy gwizd lokomotywy przywraca mnie do rzeczywistości. W dole przejeżdża towarówka. Na platformie ostatniego wagonu z hamulcem rozgospodarowuje się praktycznie maleńki człowieczek, którego głowa tonie w ogromnym brezentowym deszczowcu. Pociąg pędzi coraz szybciej i ciemny człowieczek wydaje się motylem, który dopiero co wydobył się z kokona: głowa jego uporczywie porusza się kierując się ku światłu. Ale oto za czerwonym światłem semaforu zwiera się szara zasłona. Ogarnia mnie uczucie zazdrości aż do łez: człowiek w brezencie siedzi sobie w tej chwili na platformie z hamulcem ostatniego wagonu i rozgląda się na wszystkie strony. Prawdę mówiąc — czego mu potrzeba? Może siedzieć i patrzeć, siedzieć i patrzeć, w deszczowcu mu ciepło. Teraz już tylko z daleka słychać nie gwizd, lecz jakieś przeciągłe na wpół westchnienie, na wpół stęknienie: to pociąg pędzi po rozwidleniach szyn, tam gdzie kończy się nasze szare niebo. A może kończy się ono już za pierwszym zakrętem? Tak, najpewniej za pierwszym.

Zakrzusłem się nagle wystąpiłem na wodzie powietrzem. Daleki gwizdek odszukał nietkniętą jeszcze we mnie strunę — i struna odzywa się. Krew bije we mnie jak szalona. Po chwili biegnę już pomiędzy wagonami kryjąc się przed konduktorami i kontrolerami. Wreszcie przyjmuje mnie ciemna paszcza i gościna głębia pustego wagonu. W wagonie czuć sianem, nieczystościami, zbutwiałą rogożą. Poprzez deszczową zasłonę migocą natrętnie pod nasypem światła Jużnogorska. Jestem przemoczony do nitki, lecz czuję ciepło i spokój, zapewne dlatego, że mogę teraz nie myśleć tak dużo i tak dokuczliwie, wciąż w kółko o tym samym... Minione życie wydaje mi się w tej chwili niemal snem, nieco nawet śmiesznym. Przesuwają się przede mną twarze: matki — z wyrazem odrazy, niezgrabne — Walerija Mikołajewicza, zdziwione — Ziny, zdumione — ojca. Współczuję im wszystkim pobłażliwie, jak dorosły. Współczuję — to wszystko.

Pociąg zwiększa szybkość. Poprzez rozpełzające się przerwy pomiędzy chmurami zaczynają pod dach wagonu zaglądać gwiazdy. Według mnie, są one jednak ciepłe.

III

Czuję się w tych prześcieradłach jak mysz w mokrym kapciuchu. Wydaje mi się, jakbym spływał wodą. W ustach sucho i

gorzko. Przy łóżku drzemie staruszka-pielęgniarka. Od robótki na jej kolanach ciągnie się nić aż pod łóżko, do kłębka, co się tam zatoczył. Zawierucha nie tylko nawala się na ściany porywami wiatru, lecz już bije nieustannie jakby je chciała rozwalić. Słychać równy, nieprzerwany huk.

— Pić, matko!

Staruszka wzdryga się, chwytając robótkę. Druty zaczynają szybko migać w jej rękach zostawiając gęste ściegi.

— Pić, powiadam!

Staruszka spostrzega się.

— Migiem, mój miłaaaj!

Wymawia „miłaaaj” rozciągając drugą sylabę, przez co samo słowo nabiera w jej ustach dziwnie miłego wyrazu. Łapczywie połyka wodę. Staruszka trzymając kubek śpiewnie przygaduje:

— Pij, miłaj, woda daje siłę. Wszystko na wodzie stoi.

— Gdzie ja jestem, matko?

— Jakto, gdzie? W Kirylinie, w szpitalu, a gdzieżby?

— Daleko stąd do Wierchnierieczęńska?

Staruszka wyciera ręcznikiem pot z mojej twarzy.

— Eh, a to ci machnął... Do Wierchnierieczęńska będzie stąd z tysiąc wiorst, nie mniej. Masz tam może rodzinę?

— Niby tak...

Staruszka współczująco cmoka zwiędłymi wargami.

— Daleko...

Obliczam: jeżeli nie zbłądziliśmy, to znajduję się gdzieś w pół drogi do Szacka. Sześćset kilometrów to niedużo na dwa miesiące tęsknoty w tajdze. Przekłeta gorączka! Zawsze podkrada się do mnie w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Nikoła Patefon zginął, jestem tego pewien. Pał go diabli, to jest jego nagroda. Ale czyżby to był koniec? Gdybyż tylko uratować nogi! A jeżeli nie uda się? Wszystko jedno, w każdym razie pójdę. Choćbym miał własne gardło przegryźć zębami — ale pójdę. Lepiej już tam, w tajdze.

W korytarzu słychać kobiece kroki. Zamykam oczy. Cały zamieniam się w słuch. Szept zaczyna znowu czarować nad moją głową.

— No, jak tam?

— Odtaja... Budził się, pytał gdzie jest. Coś jakby był z Wierchnierieczęńska.

— Co robić, co robić, Trofimowna? Sama nie wiem. Z rejonem nie ma połączenia, a zamieć zanosi się jeszcze na trzy dni. A człowiek tu ledwie żyw — Boże!

— Może by kto psami się wybrał?

— Kto się wybierze? W taką zawieruchę można tylko na sabat do czarownic jeździć.

— Umrzeć może, albo nogi stracić — jeszcze gorzej. Wygląda, że ma rodzinę. Wiek w sam raz.

— Choć płacz, a trzeba czekać. Z Barbarą też już trzeci dzień się męczę.

— Nie może urodzić?

— Tęga baba — a tu masz tobie...

— To nic, gdyby był słabowity, od razu by wyskoczył. Więc widocznie będzie po ojcu.

— Ojciec prawie nocuje pod drzwiami.

— Będziesz miała jeszcze jednego kandydata na nocleg.

— Kto taki?

— A no, nasz Mikołaj.

— Przecie nie wzięli ślubu.

— Teraz już taka moda.

— Oj, młodzież, młodzież...

Cichymi, jakby bez czucia, słowami kołące do mojej duszy obce, ledwie dla mnie zrozumiałe życie.

IV

...Nie lubię tańców, więcej nawet — nienawidzę ich. Są poważne powody mojej wrogości do tańców, mianowicie — chcę spać. Co wieczór, od siódmej do pierwszej w nocy, szorują pary podeszwami, a dęta orkiestra nade mną układa dla nich — ze szczęku, stuku i wycia — rozdzierające duszę melodie. Przewracam się z boku na bok na swoim legowisku pod platformą do tańca — i w żaden sposób nie mogę zasnąć. Niech będzie przeklęty kto pierwszy zamerdał tyłkiem w takt muzyki. Ja chcę spać, nieludzko chcę spać. Jak im się nie sprzykrzy? Co to właściwie za przyjemność kręcić się z jednego końca platformy na drugi, wczepiwszy się w siebie we dwoje? Zwykle ciężki, duszny sen ogarnia mnie od razu, za jednym zamachem. A zaledwie słońce zacznie przenikać przez wąskie szpary, wypęlam ze swej kryjówki i biegnę do morza, które rozciąga się przede mną jak ogromny, lecz dobroduszny i jakby nic nie ważący dziwotwór. Czuję się mały i uśmierzony: dosypiam do rana pod szemranie jasno-zielonej wody. Sny moje o świcie są skrzydlate, zupełnie inne niż nocne, lekkie i szybkie.

Dzień mój zaczyna się na dworcu kolejowym. Machając nad głową zwojem sznura wybiegam do pociągu o 7-ej, „tyfliskiego”.

— *Wiss unda musza? Wiss unda musza?*¹.

Następnie punkt o ósmej jestem już przy bramie piekarza-chałupnika Dadiko Szomija, posępnego Mingrelca z ogoloną głową i mięsistą, włochatą pierśią pod rozpiętą kurtką. Pomagam mu roznosić kramiki do trzech pobliskich szkół. O 12-ej te same kramiki przenoszę na plażę, a wieczorem do parku. Szomija płaci mi za tę pracę trzy ruble, a przy tym zapewnia bezpieczeństwo podając mnie za dalekiego krewniaka. Na szczęście jestem opalony na czarno i od dawna mówię po gruzińsku. W przerwach zaopatruję się na targu w żywność. Tam, w rynnie przechowuję laskę z gwoździem na końcu. Uzbrojony w nią spaceruję ze znużoną miną wzdłuż straganów z owocami. Dla niedoświadczonego oka wszystko wygląda zupełnie naturalnie: chłopak spaceruje z laseczką. Ale niech tylko straganiarz zagapi się nieco, moja laska wpija się jak jastrząb w zawczasu upatrzone jabłko, pomidor lub kawałek mięsa. Gdzieś w zacisznym kącie rynku sprzedaję zdobycz biednym staruszkom, dożywającym swoje stulecie za emerytalne ruble. Do końca dnia zbierze się u mnie około czerwońca, albo nawet więcej.

Staż mojego bezdomnego życia jest niewielki. Upłynęło zaledwie półtora roku odkąd po raz ostatni widziałem światła Jużnogorska nad nasypem. Ale w swojej włóczęgowskiej, bezprawnej wolności jestem już do pewnego stopnia szanowany za stałość moich zarobków i umiejętność wymykania się obławom. Odczuwam sam swoją przewagę nad światem bezdomnych, ale staram się jej niczym nie okazywać — bo byliby mnie pobili. Moje rytmiczne życie naruszane jest jedynie przez ostre ataki febry, której nabawiłem się już w pierwszych miesiącach pobytu na południu. Zazwyczaj w południe przychodzi zdradliwa słabość w nogach i dreszcze. Jest to dla mnie sygnał odwrotu. Idę wtedy na brzeg morza i obłożwszy się gorącym żwirem odpoczywam leżąc. Trzęsą mną wtedy drobne malaryczne dreszcze. Żwir piecze tylko skórę, ale nie ogrzewa i nie uspakaja. Mniej więcej po dwóch godzinach atak mija i tylko zwiotczenie całego ciała przypomina o nim aż do wieczora.

Wieczorem przekradam się, omijając miejsca oświetlone, do swego pomieszczenia. Tam, pod estradą, oddzielony od świata drewnianą przegrodą, czuję się udzielnym księciem. Marzę wciąż o tym samym — o wysokim brzegu oceanu, uwieńczonym trze-

1. Po gruzińsku: „Komu potrzeba robotnika?”.

ma palmami. Gdyby tylko nie ta dęta orkiestra nad głową! Jakże ja nie lubię tych tańców! Więcej nawet — nienawidzę ich!

V

Zamieć wciąż rozdmuchuje mroźne stopy śniegu na szybach okna, zasłoniętego siatkową firanką. Wydaje mi się, że zeszywniałem w bandażach jak martwy i że żyje tylko drobna moja część — mózg. Obok mnie nie ma nikogo. Ale drzwi na korytarz są otwarte i stamtąd dochodzą do mnie głosy. Do jednego z nich już się przyzwyczailem — jest on wysoki, śpiewny. Drugi głos — młody, załamujący się, słyszę po raz pierwszy. To głos męski.

Pierwszy głos:

— Mówiłeś mi to już sto razy, a wczoraj przesiedziałeś w czytelni niemal do nocy... Jeszcze ją odprowadziłeś... Powiesz, że nieprawda?

Drugi głos:

— Dziwna jesteś, Halka. Przecież ja jestem społecznik, a Skorikowa — to nowy u nas człowiek, w dodatku z miasta. Jeśli jej nie wprowadzić w krąg działania stanie się małoduszna, ucieknie. Przy tym ona jest jakaś... nietutejsza...

— Jeżeli wszystkich będziesz wprowadzać w „krąg działania” — to ja sama stanę się nietutejsza.

— Mówię ci, pobierzmy się.

— Jakiś ty uprzejmy! Czy w ten sposób można oświadczać się? Raz, dwa — i gotowe. Ech, ty...

— A cóż? W naszych czasach wszystko trzeba robić bez zwłoki, bez zbytecznych ceremonii. Mówię ci: choćby jutro.

— Właśnie, popędzę bez przytomności! Widzicie, jaki bohater!

— Znowu zaczynasz powtarzać w kółko... A jak tam z nim?

— Bez Iwana Antonycza zemrze. Ma proces zapalny, trzyma się tylko narkotykami. Inaczej krzyczałby bez ustanku.

— Dźwigałem go i dźwigałem, a on sobie zemrze. Tak oto, Mikołaju, synu Piotra. Wiś — dla narodu, a tu będziemy patrzeć spokojnie jak człowiek na naszych oczach umiera...

Śmiać mi się chce! Patrzcie go! Żółtodzioby struś. Samolubstwo podbudowuje humanistycznymi zasadami. Sam, oczywiście, nie pójdzie, wszak on „organizuje naród”. Będzie tu siedział i

dziewczyne obmacywał... Gdybyś wiedział, chłopie, kogo ratujesz to byś o 40 wiorst to miejsce ominął!

Puszczam zeza w stronę korytarza. Chłopak stoi, oparty plecami o ścianę, wysoki, rozczochrany, z bezwolnym płaskim podbródkiem, i mocno targa tasiemkę niedbale narzuconego na plecy szlafroka.

— Pogadam z chłopakami. Jeżeli będą się bali — pójdę sam.

Ach, jak od razu zmienia się głos dziewczyny! Ani śladu poprzedniego, udanego lekceważenia. Nie patrząc nawet, czuję, jak wszystko w niej do najmniejszego nerwu drży.

— Koleńka, na miłość Boską, nie wariuj! Kto w taką niepogodę chodzi tajgą?

— Rozumiesz nie po ludzku. Człowiek umiera — rozumiesz!

Chłopak przekonuje wyraźnie nie dziewczynę, lecz swój własny strach. Jednak przysłuchuję się chciwie rozmowie — czym to się skończy? Strach mnie ogarnia nie przed śmiercią, lecz przed perspektywą — jak się wyrażała staruszka — utraty nóg. Śmierć mi jest obojętna. Widocznie mój organizm jest prymitywny. Nasz poczytny powieściopisarz „Ziama” wyjaśnił mi w więzieniu, że tylko prymitywne organizmy nie boją się śmierci i dlatego wyżywają w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach. Tak, ja też wielokrotnie wychodziłem cało kiedy inni umierali. Ot, choćby na południu, albo tam, w niewoli! Lecz zostać bez nóg! Przecie nie jestem robakiem, nie mogę żyć jedną połową. Jeżeli już mam się zaliczyć do prymitywów, to tylko do stonogi, bo ja muszę umieć biegać... Rozmowa w korytarzu cichnie i niemal traci sens.

On:

— Rozumiesz?

Ona:

— Rozumiem

On:

— Tak, trzeba, Halu.

Ona:

— Tak trzeba, Kola.

On:

— Nie ma nikogo innego, Halu.

Ona:

— Nie ma nikogo innego, Kola.

To tak jak nawołujące się w górach echo. Zasypiam pod jego daleki cichy grzmot. Ale, u diabła, ostatnie co odczuwam to uraza. Uraza, ale do czego i do kogo?

VI

...W poprzednich dniach rozpoznawałem swoje pomieszczenie po znanych zapachach zbutwiełego listowia, zleżałych szmat, gnijących desek. Dziś mój węch nie dopisuje. Z kilkoma włóczęgami wyładowywałem dziś pewnemu obrotnemu przedsiębiorcy cement na stacji i nos mój mocno zakleił się lepkiem pyłem. Była to piekielna robota: włączymy we dwóch do wagonu, wyrzucamy równo po 15 łopat i od razu wyskakujemy. Przed nocą wszyscy walimy się z nóg, ale za to każdy stał się posiadaczem całej fortuny: po 30 rubli na głowę. Najadamy się na koszt gospodarza do syta. Po północy wszyscy idą szukać wódki, a ja wlokę się do domu niezmiernie rad z siebie. Takie szczęście jeszcze mi się nigdy nie trafiło. Tańce już dawno się skończyły. Odszukuję dwie ukryte deski, odsuwam je. Namacuję po ciemku swoje legowisko i cofam rękę: tam jest ktoś. A ten „ktoś” sennie i po pijanemu mamrocze:

— Kładź się, nie skrzywdzę.

W skroniach zaczynają mi wściekle stukać młoteczki. Nigdy nie znałem kobiety. W dzieciństwie była ta z warkoczami. Nosiłem jej tornister i dzieliłem się jabłkami w przerwie między lekcjami. Potem została tylko smutna bajka o trzech wiekowych palmach. Co prawda, włóczędzy w moim wieku chwalili się nieraz przy mnie swoimi miłosnymi przygodami, opowiadali szczegóły. Sam często widziałem jak starsze bezdomne dziewczyny wychodziły ze złodziejami w pomrokę nad brzeg Rioni. Ale co mnie to wszystkim obchodziło?

Słyszę przeciągłe ziewnięcie, powiało na mnie wyziewem wódki.

— No cóż ty? Może brzydzisz się?

Wilgotne ręce szperają po mnie po ciemku, proszą, wołają. Odpycham, ledwie dysząc, lecz nieprzeparta siła zalewa duszę. I oto zawrotne ciepło wdziera się we mnie, a z nim słowa niemal bez sensu, straszne, jak szmery leśne w nocy, czułe i nieśmiałe jak poranna mgiełka na morzu...

Z rana obudziła mnie. Staram się nie patrzeć w jej stronę i ponuro mruczę:

— Czego chcesz?

Śmieje się pobłaźliwie:

— Ech ty, na pewno po raz pierwszy! Na pewno po raz pierwszy, już ja to wiem.

— Stul pysk.

— Myślałby kto, co za księżę! Powiedziałyby dziękuję. Ja przecież po pijanemu...

Na oko ma lat 15, może 16, ale już pierwsze zmarszczki dwoma linijkami pokazują się koło oczu. A oczy ma duże, szare, z wewnątrz świecące jasnym i dobrym światłem. Niemal nieprawdopodobnie wyglądają one na chudziutkiej, obciągniętej szarą skórą twarzy. Coś mi się w nich widzi... Może dzieciństwo?

Moja sąsiadka zabiera się do czesania. Promień słońca przez szparę w deskach pada na jej zarzuconą w górę rękę. Błada skóra przy łokciu prześwieca, widzę pod nią wszystkie żyłki. Do serca napływa fala nieznaney mi wdzięczności.

— Dlaczego ty tak oto, co?

W jej odpowiedzi jest wciąż ten sam gorzki uśmieszek:

— To nic, przyzwyczaisz się! Co tam! Ech, żeby tak wypić na otrzeźwienie! Masz co do jedzenia?

Rozkładałam przed nią placki z kukurydzy, pomidory, sól.

— I pijesz...

— Pies nawet ze smutku wyje, a ja jestem przecie niby człowiek.

— Idź do kolonii.

— Byłam.

— Bujasz...

Dziewczyna grozi podniesioną do góry małą, brudną piąstką. Patrząc wciąż na nią. Znowu coś dalekiego, dawnego, tajemnego drgnęło we mnie lekko i zaraz ucichło. Ostroimi jak u wiewiórki zębami nadgryza jabłko, podgarnia pod siebie nogi tak, że kolana jej dotykają mojego ramienia i zaczyna mówić szybko, z trudem łapiąc oddech:

— Posłuchaj, wczoraj byłam z jednym. Widocznie złodziej, ale z tych czystych: taki elegancik. Nazywa się Albert Iwanycz. Jak już było po wszystkim proponował mi interes. Powiada, że mu potrzebne są takie szczupłe jak ja. Pewnie domowy złodziej. Możesz, powiada, przychodzić we dwoje, czy we troje. Wtedy od razu pomyślałam o tobie. Przecie znam ciebie i twoją norę od dawna. Już wiosną zauważyłam ciebie. Ty jesteś bardzo niepodobny do wszystkich. Nie kradniesz i zawsze chodzisz samopas. Ja też lubię chodzić z rana na morze. Albert Iwanowicz kazał teraz przychodzić za ciemna, dał adres. Chodź ze mną, co? Jak zrobię się złodziejką, to przynajmniej nie każdy będzie naprzykrzać się. Pójdziemy?

— Nie, niepotrzebny mi taki interes. Dość mam własnego.

— A jak w zimie?

— Jaka tu zima! Tu w ogóle nie ma zimy. Przezimuję i pod

sceną. Nawet będzie tam lepiej. Przesną tańczyć i obław będzie mniej.

— Przecie zimą trudniej zarobić... Nie chcesz ze mną, to nie będę ci dokuczać. Gdyby tak jaka bliska dusza była ze mną.

— Dziwaczka jesteś, jaka ze mnie bliska dusza dla ciebie?

Uśmiecha się.

— Teraz już bliska.

— Nie, nie potrzebuję takiego interesu.

Z jej oczu patrzy niemal psi smutek.

— Ale może on nawet nie jest złodziejem. Nie wiadomo przecie co to za interes. Powiada, że ubierze, obuje. Pij, powiada, jedz — a ja nie chcę. I mieszkanie!

Niechętnie poddają się.

— No dobrze, zobaczymy.

Rozświała się taką radością, że każdą swoją najmniejszą kroplą krwi wyczuwam jaką straszną krzywdę jej wyrządzili.

Miasto rankiem wygląda jak splot skośnych cieniów i słońca. Morze kołysze się wprost nad przybrzeżnymi dachami i wydaje się, że dyszy. Jest jeszcze pusto. Wychodzimy z nią na pusty brzeg, kładziemy się na chłodnym jeszcze żwirze, a na dobrym niebie stada lekkich obłoków pływają nad naszymi głowami. Patrzę na słoneczny miraż na horyzoncie, ale nie widzę już za nim ani wysokiego brzegu z trzema palmami, ani smutnej twarzy zastygłej w wyczekiwaniu. Bajki muszą się kiedyś kończyć.

VII

Jak długo spałem? Godzinę czy rok? W nogach czuję tępy ból jak po lodowatej wodzie. Dyżuruje przy mnie dziewczyna z wystającymi kośćmi policzkowymi. Z wyczerpaniem spogląda w okno. Co tam widzi, o czym myśli? Poczawszy mój wzrok na sobie wstrząsa się i odwraca ku mnie. Uprzejmy pół-uśmiech spływa z nieco ściągniętej twarzy na obrzmiałe usta.

— Trzymamy się?

Pytanie, oczywiście, konwencjonalne. Cała ona jest myślą w pozaokiennym mroku. Ale mnie w tej chwili liryka nie obchodzi. Muszę wiedzieć prawdę, wiedzieć natychmiast. Pytam umyślnie gburowato, aby z góry zapobiec współczuciu.

— Siostró, czy mi nogi obetną?

Znów wstrząsnęła się i przez chwilę milczy, jakby wnikając w sens pytania. Potem zaczyna mówić szybko i przekonywująco:

— Co też wam chodzi po głowie, drogi towarzyszu. Wszystko będzie dobrze, wszystko, wszystko. Na rano przywiozą Iwana Antonowicza, na pewno przywiozą — i wszystko będzie doskonałe.

Ale ja czuję swoim zwierzęcym instynktem, że przekonuje ona w tej chwili bynajmniej nie mnie, ale kogoś innego, tego tam, za oknem, w tajdze. Mszczę się za to na niej po swojemu:

— To wszystko kłamstwo, siostró!

Cel osiągnięty. Zaskoczona dziewczyna opuszcza na podłogę przygotowany dla mnie termometr i podskakuje. Jej ostry podbródek drży lekko. A gęste, mętne łezki płyną po smagłych policzkach. Opuściwszy głowę na piersi, biegnie prawie ku drzwiom. Tylko kawałki termometru trzeszczą pod podeszwami jej miękkich pantofli.

Po chwili przychodzi Sima. Przedtem poznawałem ją po głosie i po krokach, teraz nareszcie widzę jej twarz. Jest to tęga kobieta po trzydziestce, z małymi ostrymi szparkami oczu na obrzmiałej twarzy. Dalibóg, sądząc po głosie wydawała mi się znacznie bardziej ponętna. Oczekuję reprimendy ze spokojem człowieka, który gwizdże sobie na wszystko. Ale Sima, ulokowawszy się jakoś na stołku, informuje poufnie:

— Wy jej wybaczcie, szanowni. Młoda jeszcze, nie ma doświadczenia. Przy tym zdenerwowana, bo jej narzeczony poszedł z psami do rejonu po naszego lekarza Iwana Antonowicza. W taką zawieruchę nikt z nas tam nie chodzi. A ona przecież w czwartym miesiącu... Nie bierzcie więc jej tego za złe. Mam tu dla was pigułkę na sen, szanowni. Śpijcie, sen przynosi dobrą radę. O, tak, dobrze, szanowni. Pójdę sobie, bo serce mi jakoś dziś nie dopisuje... To widocznie z tej pogody.

Sima odchodzi, wolno posuwając swoje niekształtne nogi w filcowych pantoflach. Dziewczyna z wystającymi policzkami przychodzi na palcach z powrotem na swoje miejsce. Myśli że śpię i siada w milczeniu przy łóżku. Widzę spod na wpół spuszczonej powiek, jak jej oczy znów zwracają się ku jednemu punktowi, ku oknu. Cała jak gdyby leci poprzez mrok i śnieg, tam ku niemu. Ach, ty głupie dziecko z wystającymi policzkami, i za co, u diabła, ja ciebie tak...

VIII

...Dziwną ma twarz ten Albert Iwanowicz: ostra, kredowego koloru, aż do podbródka obramowana rudymi baczkami. Trudno

określić ile ma lat. Raz można mu dać 40, kiedy indziej 60. Gdy się uśmiecha, śmieje się, lub nawet zalewa się śmiechem, wydaje się, że biorą w tym udział tylko mięśnie jego twarzy, a on sam, jego ciało i oczy są spazmatycznie napięte jak u kota przed skokiem.

W mroku nie widzę Alberta Iwanowicza, czuję jednak na sobie jego wzrok, od którego za każdym razem bolą mnie obrzydliwie kolana. Nigdy nie przypuszczałem, aby człowiek mógł mieć taką władzę nad drugim. Jak w koszmarze sennym: dogania cię coś straszego, a ty nie jesteś w stanie poruszyć ani ręką ani nogą. Lecz ze snu budzisz się, a tu już trzeci rok nie mogę uciec od tego strachu. Przez trzy lata, gdy tylko pomyślę o ucieczce, oczy jego przykuwają mnie do miejsca.

Jedyne pytanie, które zadałem mu w dniu kiedyśmy się poznali, było pierwszym i ostatnim. Odpowiadając, Albert Iwanowicz krótko, po swojemu, uśmiechnął się:

— Kto jestem? Dziwak z ciebie. Jestem ahtystą cyhkowym. Czy byłeś w cyhku? Widziałeś kuglahza? Jestem właśnie takim kuglahzem. Mogę wyjąć z pustego cylindha wszystko czego zaphagnie ciehpiąca dusza, poczynając od khólিকা do jedwabnych pończoch. Zhozum więc, phzyjacielu, że ci się powiodło, a twojej damie — podwójnie.

Odtąd nie pytam, tylko słucham. Wszystko — jego sposób mówienia, szyderczy i niedbały, ubranie, nawet ta lekko gardłowa wymowa, odróżniało go od tych, z którymi wypadało mi się dawniej spotykać. Patrzy ludziom prosto w oczy, bez zmruczenia powiek, jak gdyby poprzez powieki. Lecz kto jak kto, ale ja wiem, że mój chlebodawca tymi obojętnymi oczami wodzi, chwytą, zapamiętuje bardzo dużo. W przeciwnym razie nie mógłby żyć: Albert Iwanowicz jest przemytnikiem, „ostatnim Mohikaninem”, jak sam siebie nazywa.

Uczucie bezradności wobec niego wynagradzam sobie ukrytą nienawiścią. Toteż prowadzę rachunek, za który mam nadzieję dostać od Alberta Iwanowicza pełną zapłatę. Mój kredyt zaczyna się od Walki. Owa pamiętna noc nie minęła dla mnie bez śladu. Stale widzę Walkę taką, jak w tamten poranek — szyderczą, przywołującą. Ale Albert Iwanowicz rozkazuje: ona ma być przy nim. A jego decyzja to prawo. Lecz ja tylko poddaję się i nie zapominam. Wystarczy mi, abym przypomniał sobie tamtą jedyną noc, a już zalewa mnie fala szalonej wściekłości. W takich chwilach gotów jestem zabić go. Ale spotykam jego wzrok i w jednej chwili mieszam się, gasnę.

Już od trzech lat chodzę przez granicę. Nie wiem co noszę,

nie obchodzi mnie to. Wie o tym gospodarz; on rozgrywa partię. Chodzenie przez granicę jest niebezpieczne, ale niebardzo skomplikowane. Wieś pograniczna jest podzielona na dwie części, jedna strona nasza, druga turecka. We dnie krewni zwyczajnie odwiedzają się wzajemnie za jednorazowymi przepustkami. W nocy granica jest zamknięta. Ale dla wzajemnych uczuć noc nie jest przeszkodą.

Albert Iwanowicz nie chodzi. Chodzę ja. W razie wpadki grozi mi kolonia poprawcza, a jemu — najwyższy wymiar kary. A gospodarzowi memu, jak widzicie, to nie dogadza. Ja jestem u niego trzeci. W chwilach pijackiej szczerości klepie mnie po błażliwie po ramieniu.

— Ty, Siehioza, masz szczęście; thzymasz się dłużej od innych. Widocznie uhodziłeś się w czepku. W ogóle, mocno przywykłem do ciebie. Umiesz słuchać, a to jest zaleta mądrych. Jeżeli przethzymasz do mojego dnia...

Dzisiaj „dzień” nadszedł. Siedzimy w tej chwili naprzeciwko siebie w piwnicy, niedaleko granicy. Przez trzy lata dom ten był naszą meliną. Właściciel — spekulant z Batumu, Sandro, urządza nam tej nocy ostatnie przejście. Odchodzimy za kordon na zawsze, bezpowrotnie. Siedzimy w milczeniu już drugą godzinę. Nie mamy o czym mówić. Odchodzimy na zawsze, bezpowrotnie.

Trzy lata — to niemały szmat czasu, zwłaszcza dla mnie. W ciągu tych lat nie zdołałem jednak przejrzeć swego pryncypała — kto on jest, po co to robi? To zagadka ponad moje siły. Albert Iwanowicz jest dla mnie od pierwszego spotkania ten sam — straszny i pociągający, jak opuszczony dom.

Rzadko widywałem go wesołego i gadatliwego. Mówi zazwyczaj tylko wtedy gdy jest pod gazem, mówi długo i niezrozumiale.

— Czymże jesteście we wszechświecie? Błaga! Mihaż! Może być hównież, że to co my, śmiehtelnicy, nazywamy wszechświatem, jest tylko jedną cząsteczką czegoś, jakiejś komóhki niepojętego dla nas świata... I nagle — masz tobie! — hewolucja! Po co, na co! Ot, ogłoście władzę sowiecką na całym systemie słonecznym — i co z tego? Phzecieź i tak pozostanę dla siebie wszechświatem, tym bahdziej władzą... Wynoście mi się spod nóg, niewdzięczne bydlaki! Najpierw dhepcą u phogu: „Chleba nie poskąpcie do zimy”, a potem paskudzą w histohyczne wazy Zimowego Pałacu. Ja hozumiem hewolucję, Hobespieh, Konsjehż, noce Konwentu! A tu Waśka i Thyszka, Phow i Nikiszka... tfu!

Potem nachodzi na niego fala pijackiego rozpasania:

— Życie, bhacie, jest piękne tylko w hyzyku, w polocie,

w wiecznym że tak powiem — czadzie huzahskiej hulanki. Życie samo w sobie — to tlen, trzeba więc płonąć a, nie czadzić. Więzienie, bhacie, to tylko przełwa między aktami... spacehek do bufetu... Czy ty, na phzykład, wiesz co to jest Lejb-gwahdia? Zhesztą skąd to możesz wiedzieć, skoho wszyscy twoi phzodkowie z pokolenia w pokolenie — to bydło. Dzięki Bogu, przynajmniej ty, zhządzeniem losu wyjdiesz na człowieka. A w ogóle, idźcie wszyscy do diabła. Walka! Hozbiehaj się! Pij! Żyjemy znowu!...

A tym razem siedzimy i milczymy, siedzimy i milczymy. Wkrótce trzeba będzie wyruszyć. Strach mnie oblatuje, jak wtedy gdy pośrodku stawu kurcz wykrzywi nogi. Nieznośnie gniecie mnie w dołku. Gdyby nie wódka, którą szklanka po szklance nalewa mi Albert Iwanowicz, byłbym na pewno zemdłał jak szczeniak. Ręce mi się tak trzęsą, że rozlewam alkohol. Alkohol nie przynosi zapomnienia, wypełnia tylko głowę ołowianym ciężarem. Na pewno ze sto razy chodziłem tędy tam i z powrotem, ale dziś nie będzie „z powrotem”. Ta świadomość mnie obezwładnia. Znów, jak w dzieciństwie, wydaje mi się, że jestem malutkim, nędznym ziarnkiem piasku, zagubionym wśród ogromnego, obcego świata. Dokąd mnie coś gna? Po co? Chmara myśli, wspomnień, przeczuć skręca się w ustach w gorzką pigułę.

U przeciwnego końca stołu zapłonęła zapałka. Języczek płomienia wydobywa z mroku twarz Alberta Iwanowicza. Zapala papierosa i patrzy na mnie poprzez ogień. Znam jego zwyczaj dopalania zapałki do końca, kiedy chwyta ją za spalony koniec. Zanim zgasła, zobaczyłem że mu palce drżą. Ale może mi się tylko wydawało. Czerwony krążek papierosa to powleka się popiołem, to rozpala się ponownie, jakby oświecał w mroku moje myśli.

- Zjedz coś!
- Nie chce mi się.
- To minie.
- Jakoś mi nieswojo.
- Boisz się?
- Nieswojo, mówię.
- Wiem, to bywa. Za piehwszym hazem zawsze.
- A czy będzie „drugi raz”?
- To od ciebie zależy.
- Nie rozumiem.
- Później zhozumiesz.
- Kiedy?
- Na tamtym bhzegu.
- Co my tam będziemy robić — tam wszyscy obcy.

— Pieniądze, mój bhacie, są najlepszym paszpohtem i najlepszym językiem. Dopóki jesteś ze mną — nie bój się niczego.

W głosie Alberta Iwanowicza nie ma już ostrego, rozkazującego tonu, — odwrotnie — brzmi raczej przekonywująco, a nawet prosząco. Nabieram więc odwagi.

— Do czego więc jestem wam potrzebny, Albercie Iwanowiczu?

Krażek papierosa rozświeca się ostro, lecz zaraz gaśnie.

— Nie hozumiesz, bhacie. Po khótcie wygląda to tak: stahy pihat chce mieć na obczyźnie kawałek żywego mięsa, z któhym choć thochę zżył się. Na ogół — to lihyka, ale będą hównieź i intehesy...

Tu następuje przełom w naszych stosunkach. Gdybyż stary wilk wiedział jaką popełnił pomyłkę! Dopóki byłem trzymany jego wzrokiem na uwięzi, mógł być spokojny: nie wystarczyło mi odwagi aby się zbuntować. Ale teraz, kiedy chwilowa słabość podstawiła mu w mroku nogę, wszechpotężny Albert Iwanowicz ani się obejrzał, jak leżał na obie łopatki.

Ale ja nie śpieszę się, jestem posłuszny i czekam. Słuchać — to zaleta mądrych, tak — zdaje się — uczył Albert Iwanowicz.

Słyszę lekkie kroki. Ktoś ostrożnie otwiera drzwi podsuwając bliżej ku nam kawałek bezgwiezdneho nieba. Z mroku słyhać szept Walki:

— Sandro powiedział że można.

— Ciszej. Głupia! I przymknij drzwi.

Czuję, że z każdą chwilą trzeźwieję. Wiem, na pewno wiem, że w tej chwili Walka, utajona w mroku, patrzy nie w moją stronę, ale w czerwony krażek papierosa, patrzy w ten sam sposób jak wówczas patrzyła na mnie wiernymi jak u psa, błyszczącymi oczami. I dlatego serce napełnia mi złość jak watę wybuchowa mieszanaka. Ogieńnek, rozżarzony po raz ostatni, wachlarzem rozsypuje po stole okruchy iskier.

— Z Bogiem.

Ładujemy z Walką na siebie cały bagaż, jeżeli wierzyć słowom Alberta Iwanowicza — ostatni. Sam on idzie bez bagażu, — dla asekuracji — jak mówi. Wychodzimy gęsiego w duszną, sierpniową noc. Na przodzie Albert Iwanowicz, za nim Walka, za Walką ja. Nic jeszcze nie zdecydowałem, ale wiem na pewno, że za te góry, ciemnymi gromadami stojące przed oczyma, nie pójdę. Nie mam tam nic do roboty. Nie mogę sobie wyobrazić owego „na zawsze”. Na zawsze, bez ziemi, z którą jestem związany każdą kroplą krwi. Na zawsze — bez tych, których jeszcze nie tracę nadziei spotkać. Czyż można pozbawiać siebie ostatniej nadziei?

Nagle wyrasta przed nami na ścieżce sylwetka Sandro.
Uprzedza:

— Przeszli. Następnym razem — za pół godziny. Zdążycie...

I ulatnia się jakby go wcale nie było.

Ruszamy dalej. Rzeczka szmerze w nocy równo, bez plusku. Śliskie, jakby namydłone kamienie wyslizgują się spod nóg. Za radą Alberta Iwanowicza poruszamy się naprzód nie podnosząc nóg, ale posuwając je jak na nartach, ale szum od tego nie jest mniejszy, tylko iść trudniej. Woda wiruje dokoła kostek i zdaje mi się, że nie tylko szmerze, ale wręcz grzmi na całą okolicę. Gdy wreszcie napotykam stopą na pierwszy suchy kamień — słyszę głos Alberta Iwanowicza na przedzie:

— Chwała Bogu, przeszliśmy.

Nie wierzę własnym uszom: wymawia „r” normalnie.

Mówi do mnie:

— Idź naprzód, ja dogonię.

Idę w głąb nocy w milczeniu. Ale po dziesięciu krokach zatrzymuję się. Słuch mój jest wyczulony jak niezagojona rana. Coś ciężkiego spada na przybrzeżny żwir. Domyślam się, że to plecak. Po czym dochodzi mnie stamtąd krótki metalowy dźwięk. I zaraz potem głos:

— Wracaj.

— Jaki, Albercie Iwanowiczu? Przecież przysięgaliście...

— Wracaj, suko!

Walka nie mówi lecz skamle:

— Albercie Iwanowiczu... Albercie Iwanowiczu... Za co? Ja wszak dla was...

— Idźże, ścierwo, nie mam czasu...

Gardłowej wymowy ani śladu!

— Nie wezmą mnie teraz nawet do kolonii — jestem dorosła. Znów na ulicę, Albercie Iwanowiczu!

Rozlega się jej krzyk i w tej chwili decyduję się. Zaczynam działać automatycznie, jak lunatyk. Ręce namacują pod nogami wielki kamień i odwracają go. Leży w wilgotnej ziemi. Chwytam go, podnoszę ponad głowę i przechodzę tak te dziesięć kroków, które oddzielały mnie od Alberta Iwanowicza. Szum rzeki zagłusza moje kroki. Rozróżniam już wyraźnie obie postacie. Ona kłęczy w wodzie. On stoi z podniesioną do uderzenia nogą.

Nasze uderzenia — jego i moje — następują w tej samej chwili. Padając przytłacza sobą Walkę, która szamoce się w wodzie starając się wydostać spod niego i widocznie jeszcze nic nie rozumie. Robię krok ku niej, ale ona nagle szarpnęła się w przeciwną stronę i chytyła za kamień.

— Ścierwo, ach, ścierwo! Z tyłu ludzi bijesz? Ach, ścierwo... Nie podchodź do mnie!...

Obrócona twarzą do mnie odchodzi w mrok powoli, krok za krokiem, powtarzając:

— Ścierwo... Ja ciebie z błota, a ty... Ach, ścierwo!

Czego ja właściwie oczekiwałem od Walki, kiedy podnosiłem kamień na pryncypała — wdzięczności, skruchy, czy uległości?... Chyba nie. Walka krzyknęła i ten jej krzyk rozpałił we mnie, jak iskra, nagromadzoną przez trzy lata wściekłość. A ona teraz krzyczy na mnie: ścierwo. Tak, naturalnie, ścierwo. Ogarnia mnie nagle straszna obojętność. Z mroku dochodzi mnie jeszcze jakieś mamrotanie, ale już nie przysłuchuję się niczemu. Wchodzę do wody i brodzę po niej bez sensu i bez celu. Wszystko mi jedno dokąd iść. Wszystko mi obrzydło. A przede wszystkim obrzydło mi stawianie oporu...

— Stój, kto idzie!

Przedemną wyrasta żołnierz z karabinem — nos zadarty, zupełnie młody. Świta, więc widzę go dokładnie. Widzę nawet błysk w jego oczach — zapewne od bagnetu. Ma pewnie 19 lat. O ile to ja jestem starszy od niego? O sto lat, nie mniej — jeżeli nie więcej. Jeżeli nie więcej...

— Ręce do góry!

Posłusznie podnoszę ręce.

IX

Nigdy nie podejrzewałem, aby w takiej ofiermie jak Sima, mogła ukrywać się tak wielka zřecznořć. Nic dziwnego, że ręce jej wyglądają jak zabawki. KaŹdy kieszonkowy złodziej oddałby Simie pół życia za takie ręce — tym bardziej, że druga połowa życia złodziejowi kieszonkowemu na nic się nie przyda. Wczoraj jeszcze myślałem o opatrunku, jak o ćwiartowaniu żywcem, nie mogę przecie wytrzymać nawet dotknięcia. Ale nagle ręce Simy zaczynają robić nade mną jakieś czary. Staram się nie patrzeć w jej stronę, boję się zobaczyć swoje nogi. Zdaje mi się, że są czarne. Czas leci, a ja wciąż nie czuję bólu. Jedynie przesiąknięty maścią bandaŹ, odlepiając się powoli od skóry przypomina, że opatrunek jest w pełnym toku. A Sima widocznie czaruje dalej i przygaduje:

— Zaraz my tu was ślicznie oporzadzimy. Roboty nie więcej niż na pięć minut. Od ichtiolu będzie wam cieplej i wygodniej. A potem penicylinką zastraszmy ból i sam się rozejdzie... Dobrze, dalibóg, dobrze... A teraz trzeba pocierpieć odrobinę, mój

kochany, tylko odrobinę... Zuch z was, tak, zuch... A ja nawet nie wiem jak wam na imię.

— Sergiusz.

— Oho, Siłowna — zwraca się do stojącej obok staruszki-pielęgniarki, co za pacjent nam się przytrafił, prawdziwy brylant. Obrabiam go i obrabiam, a on znosi, cie-e-erpi. A no, Siłowna, przytrzymaj bandaż, ściśnij, o tak... Teraz prawą nogę... Jeszcze chwileczka, Sierioża, jeszcze minutka... O tak... Podtrzymaj, Siłowna. O, o tak... Skończone. Uf!

Sima wyciera pot z czoła odwróconą dłonią. Z oczu jej promienieje szczerą dumą:

— To nie nogi, to wprost cudo! Teraz one jak w piecu. Ból boi się ciepła, ach jak się boi! Nakryj go, Siłowna.

Rzeczywiście, ból jakby posłuszny zakłęciu, przyczał się. A Sima wciąż jeszcze nie przestaje gadać:

— Nie powiedziałałam wam, zdaje mi się, nowych wiadomości? A jakże — łączność została nawiązana. Iwan Antonycz już w drodze. Iwan Antonycz martwego na nogi postawi... A teraz trzeba coś zjeść. Nie można tak wciąż bez jedzenia...

Próbuję opierać się. Na samo wspomnienie o jedzeniu ogarniają mnie mdłości. Ale Sima macha rękami jak kwoka skrzydłami.

— W ten sposób wy mnie, Sierioża, do grobu wpędzicie. Co powie Iwan Antonycz? Co za porządek w szpitalu, gdzie przez dwa dni pacjent nic nie je? Musicie zjeść, mój kochany. Ja tu zaraz...

Szorując podszewkami Sima wychodzi. Starucha również. Zostają sam. Okna wyglądają jak zamazane gęstą farbą. Po sali szpitalnej szpera wodnistym blaskiem świt. Coraz częściej i dłużej. W przesywającym wyciu wiatru następują przerwy. Wydaje się jakby zawierucha nabierała pełną pierś powietrza zanim je wyrzuci. Firanki w oknie przy każdym nowym porywie wiatru drgają jak z zimna. A silnik spalinowy gdzieś w pobliżu strzela nieprzerwanie w śnieżny mrok...

Tak, ta Sima posypała solą moje najbardziej wrażliwe miejsce... Gdzie mam się skryć przed samym sobą? Przez dwadzieścia lat topię wspomnienia w alkoholu, w złości, zagłuszam je w kurczowej walce o miejsce pod słońcem. Ale co mam zrobić, kiedy zostają z nimi sam na sam? Ogarnia mnie przeszłość, roztapiam się w niej jak blacha w wodzie królewskiej. Po raz drugi w życiu spotykam człowieka, który przypadkiem, a może nawet rozmyślnie, wywabia moją duszę, jak ślimaka ze skorupy i zmusza ją więc się z bólu...

Stara Siłowna wnosi uroczyście, jak nagrodę na wyścigach, misę z dymiącą zupą. Staruszka uśmiecha się, głębokie zmarszczki

dokoła jej oczu zbiegają się w harmonijki. Jedyne dwa zęby są triumfalnie odsłonięte.

— Spróbuj-no naszej zupy. W Wierchnierieczeńsku takiej nie robią. Gdzie tam waszym do niej. Język połkniesz, taka dobra. To zupa rybna, ze sterletu.

Staruszka zaczyna mnie karmić łyżką. Połykam gęsty, gorący wywar nie czując ani zapachu ani smaku. Ale mocne, łagodzące ciepło rozchodzi się po mnie i przestaję już się opierać. A staruszka wciąż częstuje.

— Jedz, miłaj, napełnij brzuch. Takiej zupy przecie u was w Wierchnierieczeńsku nie gotują? Nie gotują, prawda?

Tym razem nie potrzebuję udawać i zgadzam się z nią.

— Nie gotują.

— Simoczka postarała się dla ciebie. Ona to sama dobroć. Tylko dla niej samej dobroci nie staje... Ech...

— Tak, chyba dobra...

— I-i-i, chłopcze, „chyba dobra”... nie znasz naszej Simy. To prawdziwy doktor, tylko dyplomu jej brakuje. Przywiózł ją do nas Iwan Antonycz z frontu. Ilu ludzi ona tam wypielegnowała! I więcej sercem niż rękami. Co miała — rozdała ludziom sama ledwie dyszy. Patrz teraz: powstała przy piecu i położyła się. Szkodzi jej stanie przy piecu. Bo też to robota nie dla niej. Ale ona — nie, wciąż „sama” i „sama”. U nas w okręgu, uważasz, są trzy siedmioklasowe szkoły, a wszyscy uczniowie to chrześniacy Simy, ona wszystkich na świat przyjmowała.

Okrywam się w jednej chwili ratunkowym pancerzem. Dostyc mam tego głupiego rozrzewniania się. Przecie ci ludzie nie wiedzą kim jestem. Niech by tylko dowiedzieli się całej prawdy, a bez wahania przestąpią przeze mnie, nie będą się nawet wzdragać żeby mnie zmiażdżyć. Na razie muszę grać z nimi w ciuciubabkę. Byle tylko uratować nogi. Zwycięża ten, kto ma mniej złudzeń. Czy nie tak, Ziama? Tu mogę im dać sto punktów fora. Ale jak poczuje ziemię pod nogami przestąpię nawet przez dziesiątki takich. Moim celem jest Szack. Tam jest konspiracyjny adres, tam legowisko i tam odpoczynek.

Jedzenie i ciepło robią swoje — chce mi się spać. Zamykam oczy i cieniutka niteczka oddzielająca jawę od sennego widzenia podsuwa się do gardła jak ostrze brzytwy, z dawno zapomnianym pytaniem: „Oskarżasz ludzi, a czy żyłeś między ludźmi?”

W uniesieniu krzyczę bezdźwięcznie, miętosząc i zagłuszając wyrwyjące się z pamięci słowa: „Nie przekonuj mnie, Siemion Siemionowicz, na miłość boską, nie przekonuj! I bez twojej agitacji krew ścina się w żyłach!...”

A starucha wdycha bez przerwy:

— E-e-e-ch!...

Idziemy na zachód. Raczej, prowadzą nas na zachód. Jesteśmy kolumną jeńców wojennych. Idziemy etapami, od obozu do obozu. Przed każdym nowym etapem jest nas mniej. Nawet sam Pan Bóg nie wie na pewno gdzie jest koniec naszej podróży. W przeciwnym razie, czy to wszystko nie obrzydłoby mu? Idziemy po sześciu w szeregu. Szóstki starają się nie rozpaść i odnawiają się tylko na skutek strat. Widać że to pęd do tego, do czego się przywykło, co jest wspólne, co żyje w ludziach do ostatniej chwili.

Naszemu szeregowi niezbyt się powodzi, ubytek ma duży. Ale pozostali uporczywie trzymają się razem. Jest nas właściwie trzech: ja, mój sąsiad Siemion Siemionowicz i wuj Wania, stale zajmujący trzecie miejsce od skraju. Wuję Wanię bolą oczy. Jego ciężkie, obrzękłe powieki są stale opuszczone, jak u drzemiącej kury. Jak chce cokolwiek zobaczyć musi zadzierać głowę do góry, dzięki czemu wydaje się patrzącemu z boku jakby był zarozumiały. W rzeczywistości zaś wuj Wania to człowiek łatwy w pożyciu, nawet nieśmiały. Na noclegach i popasach kładzie się na plecach, wyciąga ręce wzdłuż nóg, jak na baczność i tak nieruchomo leży aż do wymarszu. Idzie również w milczeniu, jakoś nienaturalnie, ostrożnie, jakby bał się roztluc siebie samego. Wydaje mi się, że niesie on w sobie jakiś ogromny ciężar, dla którego nazwy nawet słów jeszcze nie wymyślono.

Po mojej prawej stronie kroczy Siemion Siemionowicz, kuśnierz moskiewski, niewysoki, jakby spleciony z żył i arterii. Nie rozumiem w jaki sposób się trzyma. Ma otwartą ranę pod dolnym żebrem, na prędcie zatkaną podkoszulkiem. Dniem i nocą marzy o ucieczce. W drodze wciąż gryzie paznokieć dużego palca, coś oblicza, rozważa, przymierza. Uważam go za dziwaka. Co za korzyść z ucieczki? Niech się biją, chwytają się za gardła. Osobiście nie ruszę palcem w tej bójce. Trzy mamry już mnie czegoś nauczyły. Pal ich diabli! Ale Siemion Siemionowicz swoim namiętym uporem mimowoli budzi we mnie szacunek.

Poznaliśmy się z nim jeszcze tam, w Łozowej, kiedy nas wyładowano z wagonów. Od razu za miastem w czarnym obozie, którym jest zwykła obora byłej kołchoźnej farmy, otoczona drutem kolczastym, zaczyna się „czystka”. Wybierają Żydów i politrucków. Rozstrzeliwują na miejscu, o 300 metrów od obozu, przy porzuconych okopach. Z początku trochę straszno, ale stopniowo przyzwyczajamy się do tego. Wkrótce nikt nie zwraca uwagi na wystrzały i krzyki. Trzeba myśleć o sobie — to praktyczniej.

Po obozie kręcą się pierwsi informatorzy — ochotnicy. Rozpoznają oni „elementy niepożądane”, a w toku tej roboty okradają kogo się da. Szczególnie gorliwy jest jeden szczupły, niski z rozplaszczonym, jakby przełamanym nosem. Miota się ten donosiciel jak szczur pomiędzy leżącymi, przewraca na wznak żołnierzy, którzy zaryli się nosem w ziemię.

— Czego nos chowasz, co? Żyd pewnie, co? Komisarz, co? Swołocz.

Widzę jak po długich bezskutecznych poszukiwaniach natyka się wreszcie na zdobyc i z radości aż piszczy.

— Wpadłeś, komisarska mordo, co? Sprzedaliście Rosję, a?

Kręci się jak giez dokoła wysokiego rudego jeńca w podartej trykotowej koszulce. Tamten milczy oparłszy się plecami o ścianę szopy i nisko opuściwszy głowę. W jego zgarbionej postaci jest tyle rozpaczliwego zmęczenia i obojętności, że zdawałoby się nie wstrząsnie się i nie poruszy, choćby w tej chwili niebo runęło na niego.

A ten obskakuje go, podtyka mu pod nos zeschnięty brudny kułak i wciąż zwraca się do jeńców, jakby szukając u nich zrozumienia.

— Patrzcie no, chłopcy, plutonowy... I ja mu podlegałem, co? Krew ze mnie pił, co? Sprzedali Rosję, prawda?

Wszyscy milczą, hamując się z trudem. Durnie, jakby nie rozumieli... Co też ta szuja może mieć do Rosji? Naprawdę durnie.

Ten aż trzęsie się ze złości. Małe oczka wpijają się ostro w jeńca. Podskakuje i bije rudego na odlew w twarz. Pomiędzy ustami a podbródkiem uderzonego od razu pojawia się cienka struga, ale nie mówi ani słowa i odwracając głowę marszczy się żałośnie.

Jest mi wszystko jedno, ale mierzi mnie ten typek ze spłaszczonym nosem. Spotykałem takich jeszcze przedtem. Takim jest wszystko jedno co i kogo sprzedają — byle żyć.

Wołam do niego:

— Ty gadzie błotny, pełnij tutaj, mam ci coś powiedzieć.

Na rybich ustach pojawia się przymilny uśmiezek oznaczający, że widać poznaje swojego po głosie. Podchodzi, staje koło mnie rozstawiwszy nogi w chromowych wyraźnie cudzych butach.

— Witaj, draniu. Kiedy cię zwolnili?

Nie wstając uderzam go piętą w pachwinę.

— Masz tu mój adres, plugawa mordo i informację o zwolnieniu się. Zajdź jak zateśkniesz.

Przez chwilę krztusząc się i skowycząc przebiera nogami po ziemi, po czym odpełza na stronę i znika.

Za mną rozlega się suchy śmiech pomieszany z kaszlem.

— Nie boisz się?

Odwracam się ku mówiącemu. Szare, przymrużone jakby od ostrego światła oczy patrzą na mnie trochę drwiąco, a zarazem jakoś bardzo poważnie.

— Nie.

Rzeczywiście, nie mam czego bać się. Z punktu widzenia esesowskiego moja biografia jest poza wszelką krytyką. To pluwane bydło nie ośmieli się napaskudzić na mnie, wie z kim ma do czynienia.

— Gdzie odbywałeś służbę?

— A ty kto — sędzia śledczy?

— Nie ciskaj się. Może mieszkaliśmy w tych samych stronach.

— Jakoś ja ciebie, bratku, w swojej stronie nie widziałem.

— Źle patrzyłeś.

— Dalstroj...?

— Tak.

— A ile?

— Siedem lat. A ty?

— Dwa lata.

— Aha, złodziej.

— Złodziej. A ty, stary, widocznie za cudze grzechy siódmką odsiadywałeś?

— 58. Punkt jedenasty.

— Rozumiem.

— Co rozumiesz?

— Wszystko rozumiem.

— Nic ty widać, bracie, nie rozumiesz. Wzięli mnie, jeśli chcesz, nieprzytomnego, inaczej bym bez życia się nie dał. Popatrz.

Sąsiad podniósł koszulkę. Podkoszulek, zastępujący bandaż, skurczył się od zaskrzepłej krwi. Cmokam współczująco:

— Tak...

Mówię do niego:

— Na ogół wy, polityczni, zawsze z fanaberiami...

— Tak myślisz?

— Już ja tam wiem.

— Źle wiesz.

— Napatrzyłem się.

— Nie z tymi ludźmi trzymałeś.

— A cóż — ludzie. Ludzie jednakowi, zgraja łotrów.

— Ładne, bracie, masz pojęcie o ludziach...

— Swołocz.

— Więc ja też swołocz?

— Ty też.

— Jeżeli wszyscy, to czemu ująłeś się za dowódcą?

— Ja nie za niego. Po prostu ta podła mordą nie podoba mi się.

Długo jeszcze wymyślamy sobie bez złości. Później, w drodze, nieraz wracamy do tej rozmowy. Wobec tego kuśnierza wypadają mi z rąk moje atuty. Jego życie nie tylko nie jest lepsze, ale nawet trudniejsze. Ostre, jak uderzenie żelaznego drąga słowami, usuwa mi grunt spod nóg.

— Ludzi obwiniasz? A czy ty żyłeś wśród ludzi? Każdą hołotę masz za ludzi? Ten twój Albert Iwanycz, to po prostu syfilytyk spośród niedobitego oficerstwa. Nie radzisz sobie z władzą? Dozorcę więziennego bierzesz za sowiecką władzę? Ja też odbębniłem swoje i wiem, że to nie słodko. Znaleźli się jednak ludzie, którzy nawet po siedmiu latach odnaleźli mnie na krańcach ziemi, rozpatrzyli sprawę, uniewinnili. Żadna ze mnie wielkość — zwykły kuśnierz. A więc są ludzie, a więc istnieje prawda. Pytasz dlaczego poszedłem na ochotnika? Dlatego poszedłem, że swoją ziemię czuję pod nogami.

Słyszałem w ciągu swego życia dosyć takiego gadania. Słowa ludzkie — to tak jak pióra. Ale co jest pod nimi? Słowa kuśnierza są jak gdyby dotykalne, wydaje się że można wziąć je w rękę, bo je potwierdza prawda jego własnego życia. Ze złością nagromadzoną w ciągu lat mego wilczego istnienia odgradzam się od tych słów.

Na postojach wuj Wania lokuje się zawsze w pobliżu nas. Leżąc z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami uważnie przysłuchuje się naszym rozmowom. Od czasu do czasu — zwykle w najgorętszych chwilach sporu, spod jego nabrzękniętych powiek wyslizguje się uśmiech, z którego łatwo domyślić się, że wuj Wania nie wierzy nam obu, ani mnie, ani Siemionowi Siemionowiczowi. Być może ma on jakąś własną prawdę, którą oszczędza dla siebie. A może życie wyznacza każdemu w chwili urodzin własną jego prawdę?

Prowadzą nas od obozu do obozu po dymiących drogach, poprzez piekło lipcowych południ. Drogi osiadają nam na zębach chrzęszczącym kurzem — aż dreszcze przechodzą po plecach, drogi wyrrywają się z naszych płuc wraz z suchym, rozdzierającym kaszlem. Idziemy mimo niskich, jakby przez złe lata uduszonych siół i wsi, a kobiety patrzą za nami — czarne, smutne, milczące jak kamienie grobowe.

Jedzenie i picie stawiają nam na skraju dróg. Często już z daleka widzimy beczkę z wodą, a obok niej węzełki, jak różnopióre

ptaki. Wiemy na pewno, że nikt nic z tego nie dostanie, ale każdy z nas w myśli rozwiązuje te węzłki, dotyka żywność, spożywa ją. Najważniejsze — to woda. Wszystkie myśli w głowie skupiają się na tej jednej: pić! Co bym dał w tej chwili za łyk wody! Pragnienie jest tak silne, że czasami wydaje mi się, że jestem suszoną rybą wywieszoną na słońcu. Gdy tylko czoło kolumny zrówna się z beczką, chropowatą od upału ciszę przerywa automatyczny terkot. Dziesiątki par oczu skierowują się chciwie ku cienkim strugom bijącej ze ścian beczki iskrzącej się wody. Woda leje się na drogę, a liczne szczeliny, rozpadliny w gorącej ziemi niemal w mgnieniu oka ją pochłaniają. W ciągu kilku minut słychać bezładne człapanie setek bosych nóg po kurzu — i ten najbardziej spokojny szmer wody...

Przestrzeliwuje beczkę „łyisy”. Tak nazywamy starszego wiekiem, chudego podoficera, zadziwiająco podobnego do indyka. Sztynna szyja, z dużą, wciąż ruszającą się grdyką, wąskie jajkowane czoło, wysunięte naprzód łuki oczodołów, spod których oczy śmieją się spokojnie i dobrodusznie. Nigdy nie krzyczy i nie wszczyna bójki. On tylko strzela, strzela z dokładnością Niemca wykonującego codzienną pracę. Bodaj połowa ubytku ludzkiego przypada na niego.

Trącam lekko łokciem kuśnierza wskazując na „łysego”:

— Popatrz, amatorze prawdy, to też człowiek.

Kuśnierz, nie odwracając głowy odcina się przez zęby:

— Pomnóż lepiej węzłki przy drodze przez te baby, które je zbierały po całej wsi i również dla ciebie, głupca, niosły...

Na tyłach kolumny słychać automatyczną serię — jeszcze ktoś zostaje na drodze. A my idziemy dalej, na zachód.

Nagle ktoś głucho wyrzuca z głębi piersi:

— Chłopcy! Chmura!

Wszystkie głowy zwracają się w tę stronę, gdzie znad horyzontu wypełza na srebrzysty widnokrąg granatowo-czarna powłoka burzy. Każdy ma w oczach pytanie: dociągnie, czy przejdzie bokiem? Z początku deszcz droczy się. Pryśnie po kurzu drobnym śrutem, sparzy wodnymi iskrami wygarbowane przez upał twarze i znów cicho, tylko serce wściekle bije w nadziei. Potem wirowaty wicher skręca kurz wzdłuż drogi, a za nim hucząca spadzista ulewa z ukosa smaga kolumnę. Podstawiamy pod nią głowy, oczy i usta, gotowi jesteśmy utonąć w niej. Siemion Siemionowicz zrzuca z siebie napęczniałą bluzę.

— Podstawiaj dłonie, Sieriega!

Wyciska mi w garście wmieszane w błoto i krew ziemi lipcowe niebo. Krztusząc się piję to niebo. Wuj Wania też bez pośpiechu wyżyma z ręki do ręki brzeg koszuli i jak pies zlizuje

wilgoć z dłoni. Jedyne w kątach ust łysego Niemca, miarowo krocącego z boku, pojawiają się posępne wgłębienia: deszczu nie można rozstrzelać.

Nocujemy pod ulewą, ciasno przytuleni do siebie. Z rana trzęsie mną znajomy lekki dreszcz. Staram się przekonać siebie, że to z chłodu, że do południa minie, ale skurcz w policzkach i kwaskowaty smak w ustach stawiają już diagnozę — to febra. W mojej obecnej sytuacji każda, nawet najdrobniejsza choroba jest równoznaczna zagładzie. A to jest malaria. Gdy nam każą ruszać, wiem już na pewno że daleko nie zajdę. Wszystko rozpływa się w kołyszącym się mirażu, przedmioty, droga, ludzie. Siemion Siemionowicz targa mnie z niepokojem.

— Co tobie, Sergiuszu? Ściśnij szczęki i marsz. Eh, bracie, z tobą całkiem źle...

— Malaria.

— Tak. Słuchaj chłopcze. Czy nigdy nie siadałeś do metra po pijanemu? W ogóle sprawa prosta: trzymaj się mocniej na nogach, aby ten łyсы czort nie wziął ciebie na muszkę. Będę cię podpierał. Najważniejsze żeby dojść do następnego noclegu, a tam odtajesz. No, ruszamy.

Idę ledwie wlokąc nogi, które zdają się z ołowiu. W głowie ciężki szum, a w oczach kręgi, kręgi, kręgi... Mnożą się, nawlekają jeden na drugi, wybuchają tęczowymi plamami, rozpadają się ciężkim gradem. Siemion Siemionowicz ostrożnie podpira mnie z boku kościstym ramieniem. To daje mi więcej niż wszystkie słowa dotąd przez niego wypowiedziane.

Pragnienie, przekłete pragnienie... do płuc nasypało mi gorących węgli, jak do samowaru. Żrący ogień pali od wewnątrz, Żąda wody i wody. Przesuwam suchy język po wargach:

— Pić!

Głos Siemiona Siemionowicza brzmi jak spod poduszki:

— Trochę cierpliwości, Sieriega. Gdy zmienią tego łysego psa, spróbuję namoczyć bluzę w rowie. Na razie — nie można!

Ale ja powtarzam wciąż to jedno, jedyne słowo:

— Pić! pić! pić!...

Nagle Siemion Siemionowicz odsuwa się ode mnie:

— Zaczekaj. Zbierz siły, idź prosto. Wydaje mi się że łyсы na tę stronę przeszedł.

W następnej sekundzie krótka seria tuż pod moim uchem przywraca mi na chwilę pełną przytomność. Widzę jak Siemion Siemionowicz, podcięty, niezgrabnie pada najpierw na jedno kolano, potem na łokieć, wreszcie waląc się na plecy spełza do rowu. Pamięć znów we mnie gaśnie.

W jaki sposób udało mi się przetrwać jeszcze jeden dzień drogi — sam nie wiem.

Przychodzę do siebie w nocy. Czarne jak atrament niebo oklejone nie migoczącymi gwiazdami. Śmiejąc się głośno, konwojenci rozmawiają ze sobą. Obok mnie, zawsze tak samo wyciągnąwszy ręce wzdłuż ciała, leży wuj Wania. Patrzą na mnie pytająco martwe półksiężycy jego gałek ocznych. Mówi szybko szeleszcząc słowami:

— Jak najmniej ruchu, jak najmniej emocji. Prawo zachowania energii...

Chce mi się nagle krzyknąć mu do samej jego głębi coś ogłuszającego, przeraźliwego, lecz nie ma we mnie w tej chwili ani jednego słowa — nawet najbardziej obelżywego.

XI

Pierwsze moje wrażenie po obudzeniu się — to słońce, dużo słońca. Zimowe — ostre i oślepiające, wlewa się w odtajale wykroje okien, wyświecając swymi przeszywającymi potokami niezliczone mnóstwo małych gwiazdek.

Sala szpitalna pusta, ale w korytarzu peroruje przeziębiony, zachrypnięty bas:

— Simoczka, najważniejsze to jak najwięcej gorącej wody. Muszę ogrzać ręce. Takie jak teraz, to czort wie co, jak szkielety. Kiedy jego tu przywieziono?

— Przedwczoraj. Mikołaj natrafił na niego w tajdze.

— Gdyby można było wiedzieć, jak długo tam przeleżał. Temperatura?

— Z rana 38,2,

— Myślisz, że gangrena?

— Według mnie — typowa, Iwan Iwanowicz. Zacerwienienie, fluktuacja. I gorączka.

— Skarży się?

— Milczy. Wytrzymały. Pytał tylko czy nogi mu odetną.

— Ból przecie piekielny. Skąd on jest?

— Dokumentów przy nim nie było. Pewnie z ekspedycji.

— To zresztą na razie nieważne. Czy je?

— Ledwie, ledwie...

— To jasne. Przygotowujcie, Simoczko, wszystko co potrzeba. Spróbujemy zrobić z chłopca pierwszorzędnego tancerza.

— Daj Boże.

Słyszę kroki, coraz bliżej i bliżej — sprężyste, rytmiczne. Udaję śpiącego. Podłoga na sali skrzypi. Ktoś lekko siada na stołku obok mnie. Duże zimne palce wciąż jeszcze przesiąknięte śnieżycą, biorą mnie za przegub dłoni. Słyszę własny puls. Od siedzącego przy mnie człowieka wieje tytoniem i baranicą. Rozchylam rzęsy i widzę przez nie tęgiego, ospowatego mężczyznę, lat 35-u, w narzuconym na spłowiałą kurtkę lekarskim kitlu. Obserwuje w skupieniu sekundnik na kieszonkowym zegarku. Pod popękaną skórą na twarzy lekko występują tępe kości policzkowe. Taki jesteś, Iwanie Antonowiczu! Doktor chowa zegarek i obrzuca mnie chwytnym, oceniającym wzrokiem:

— Nie śpisz?

Otwieram oczy.

— Nie śpię.

— Boli?

— Będziecie krajać?

— Będę.

— Zupełnie?

— Zobaczymy.

— Odjąć nie pozwolę.

— Boisz się?

— W dzieciństwie oduczyłem się! Ale lepiej do śmietnika niż bez nóg.

— Umiesz tańczyć?

— Zdarzało się.

— A więc jeszcze się zdarzy.

Iwan Antonowicz wstaje, jak niedźwiedź — szeroki, krępy, z podatnymi do śmiechu iskierkami w skośnych oczach.

— No, zawiąż nerwy w węzełek. Zaraz ruszymy.

Doktor wychodzi.

— Sima, czy prędko?

— Pięć minut, Iwanie Antonowiczu.

Słyszę jak trzaskają wejściowe drzwi. Ledwie odczuwalny podmuch świeżego powietrza dochodzi do mnie. Za nim zaraz okrzyk:

— Iwanie Antonowiczu, nie spotkaliście?

Bas doktora zniża się do maksimum.

— Nie spotkaliśmy, Halu.

— Może rozminęliście się?

— Zapewne rozminęliście się.

— Jechaliście Wilczą Celką?

— Tak, Wilczą, Halu.

— Przecie on też tą drogą...

— Haleńko miła, wiesz sama, że tajga to nie Irkucki prospekt.

Głos Simy jak gdyby podsumowuje smutny dialog:

— Siłowna, przynoś wodę!

Z dalekiej głębi korytarza, jak z drugiego świata, dochodzi głos staruszki:

— W ten sekund.

— Przygotowujcie chorego, Sima.

Udziela mi się nagle spokojna pewność tego chrypliwego głosu. Zaczynam wierzyć, że wszystko odbędzie się pomyślnie — i trafię ostatecznie do Szacka. Aby o niczym nie myśleć, zamykam oczy i zaczynam liczyć: „Raz, dwa, trzy...”. Doliczywszy do setki zaczynam od początku: „Raz, dwa, trzy...”. Ale oto podnoszą mnie z ciepłego miejsca i przekładają na twarde i chłodne. Jak przez sen słyszę szept:

— Ostrożnie, Siłowna, podchwyc lewą. Tak. Nakryj go.

— Lekki jakiś...

— Skóra i kości.

„Dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden”. Wiozą mnie dokądś...

Potem zatrzymujemy się i nade mną zawisa chrypliwe pytanie:

— Zaraz zaczniemy, słyszysz?

Kiwam głową w milczeniu, licząc w dalszym ciągu: „czterdzieści siedem, czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć...”. Ostatnie co słyszę, to przerywana jak apel, rozmowa:

— Gotowe?

— Gotowe.

— Maszę.

— Proszę.

— Narkoza.

— Daję.

„Dziewięćdziesiąt trzy... dziewięćdziesiąt cztery... dziewięćdziesiąt pięć...”.

XII

...Pociąg jakby miał czkawkę, podskakuje na spojeniach szyn. Oszklony kwadrat nocy, w którym odbija się niespokojny ludzki zlepek, jest potwornie gęsty i tylko z tej nieczęstej czkawki kół można domyślić się, że pociąg jest w ruchu. Nad drzwiami prze-

działu miga dygocące światło latarki konduktora. W jej niepewnym blasku twarze wyglądają szare i złudne. Leżę pod ławką, głowę do przejścia, ściśnięty ze wszystkich stron ciałami i tobołami. Nade mną — majaczące kołowanie jęków, szeptów, połajanek. Jedno słowo krótkie i proste jak uderzenie batoga krąży po wagonie. Odmienia się ono na wszelkie sposoby — z goryczą, z zadumą, bądź z mściwą nadzieją. Słowo to płacze, wzdycha, chrypie po pijacku i namiętnie chichoce. Przerywa ono oddech i powleka dziąsła kwaskowatą śliną. Znam to słowo od dziecka, ale nigdy przedtem nie miało ono tyle znaczenia:

— Chleb.

— Chleb.

— Susza.

— Ciężka będzie wiosna.

— Przetrzymamy.

— Bieda biedę pogania. Wojnę przeżyliśmy, a napotkaliśmy głód.

— Najważniejsza rzecz teraz — nie poddać się panice.

W kącie znów o czym innym:

— Ciągnij.

— Dobra.

— Złego nie trzymamy.

Mimowoli wyciągam szyję. Od razu, na widok dwóch jedzących, kwas głodowy w ustach wywołuje skurcz kości policzkowych. Jedzą ukradkiem, strzygąc po złodziejsku oczami na wszystkie strony. Siedzący naprzeciw mnie ma twarz jakby pokrytą wilgocią, z rzadką bródką, niedbale rozrzuconą po obwisłych policzkach. Zdaje się, że on nawet nie odgryza, lecz miękko i bezdźwięcznie zagarnia cały kawał chleba zwiotczalnymi, starczymi ustami. Nie mogę już oderwać od nich oczu. Chleb przyciąga do siebie, panuje nade mną. Twardy, obgryziony wędnącymi ustami chleb. Wzrok nasz spotyka się. Powoli spuszczają się na podłogę nogi w onucach, spiętych w kostkach szpilkami. Obrzydliwy smród zastałego potu bije w nos. W głowie mi się kręci i wszystko przed oczami zaczyna wirować jednostajnie i mętnie.

Pośpieszny szept urywanymi, jak u pijaka, słowami, wpada mi wprost do uszu:

— Posuń się... Na, masz, jedz. Zawijaj, nie bój się, nie kradziony. Dokąd jedziesz? No, jedz, jedz... Zaczekam. Masz jeszcze siły?...

— A co mi z niej, z tej siły?

— Moja w tym głowa, a twoje ręce. Kocioł wspólny. Nie zginiemy.

— Co ci po mnie?

- Pomożesz, podeprzesz.
- Do paskarstwa ja nie majster.
- Twoja rzecz tylko brać więcej i nieść dalej.
- A pójdziesz...
- No, jeżeli z honorem, to ssij sobie łapę.

W tej chwili z przeciwnego końca wagonu jak lekki podmuch dolatuje do mnie ostrzegający szmer:

- Milicja, milicja.

I tak jak przedtem chleb, tak teraz to słowo idzie z ust do ust we wszelkich odmianach. Urywany oddech u mego ucha zamiera. Przez wagon, wprost ku mnie, — widzę najwyraźniej ze swego miejsca, niedbale przestępując przez ciała i worki, kroczy człowiek. Wydaje się olbrzymem w tej mieszaninie pokręconych ciał.

Wszystko w nim wydaje się ogromne i władcze — od kroków do szerokiej twarzy z wielkimi oczami. W jednej ręce niesie naftową latarnię, którą oświetla ciemne kąty, drugą rękę trzyma na futerale rewolweru. Na chwilę człowiek ten zasłania sobą górne światło i nagle wyrasta przed moimi oczami but wsadzony w mokry kalosz. Potem światło latarni zaczyna rosnać i rosnać.

— Kto tam, wyłaź na świat boży! Mój sąsiad wydobywa się pierwszy, chrząkając i klnąc po cichu. Głos nad głową brzmi nieprzyjaznym szyderstwem:

— A — a... Jak się masz? Znamy się, nieprawdaż? Eh, Chiżniak, Chiżniak, ile ty masz ciotek! W ten sposób można cały Związek Sowiecki obrabować — na przekarmienie ciotek. Aha, widzę, że zaopatrzyłeś się też w robotnika. Podróżujesz, rzecz można, z pełnym personelem. Ale i robotniczek, oho! Proszę... niezły, niezły. Kupiec ma dobre oko. Witam. Dawno on z tobą?

Szybko wtrącam:

— Ja sam.

Patrząc na mnie olbrzym mruży swe wypukłe oczy, które jakby igrają w świetle latarni.

Jest starszy ode mnie o cztery lata, najwyżej pięć!

— I skądże to?

Czuje, że człowiek ten mocno wpiera się nogami w ziemię. Ogarnia mnie zuchwała chęć powiedzenia mu czegoś szczególnego, ażeby zrozumiał i przekazał mi, choćby wzrokiem czy ruchem, małą cząstkę swej siły i pewności siebie. Ale nieposłuszne usta układają tylko krótko:

— Z niewoli.

Wypukłe oczy gasną. Już innym tonem, na wpeł ze złością, na wpeł ze zmieszaniem mówi, lekko popychając mnie przed sobą:

— Dobrze, pójdziesz z nami, rozpatrzymy. Aguriejew, pro-

wadź tego... A nie miotaj się ty, Chiżniak, ze swoimi rupieciami. One ci się już na nic nie przydadzą. Starszyna z zadartym nosem i sennymi rybimi oczyma wyprowadza mnie na platformę wagonu i obejrawszy się za siebie otwiera drzwi na zewnątrz:

— Skacz, chłopcze.

— Po co?

— Wiesz, jak teraz takich jak ty witają. Skacz, inaczej trafisz do wyrębu lasu...

Wewnętrznie sprzeciwiam się jeszcze. Wydaje mi się, że gdy zostanę, to człowiek w butach z kaloszami wniknie w moje boleści, w moje miotania się, zdoła pomóc mi wydostać się z chaosu w którym kręcę się od tyłu bezmiernie długich lat. Wbrew całemu memu życiowemu doświadczeniu wierzę mu...

Ale starszyna wciąż popycha mnie ku drzwiom, aż wydostawszy się na stopnie skaczę w noc i hucząca ziemia leci na moje spotkanie.

XIII

Budzę się, bo ktoś monotonicznie mruczy nade mną. Siłowna siedzi na swoim zwykłym miejscu. Pod obwódka okularów czerwienieje koniec jej nosa, podobnego do kawałka pumeksu. Starszuszka trzyma w rękach zapisaną po obu stronach kartkę zeszytu. Łącząc starannie wymykające się wciąż słowa porusza zwiędłymi ustami:

— ...a na ostatku zawiadamiamy, że wysłaliśmy ci 300 rubli gotówką. Kup sobie według swego gustu jakiś prezent na święta. Kłaniają ci się żona moja Niura i syn Stieпка. Pozostają kochający was syn Piotr. Zupełnie zapomniałem ci napisać, że jestem teraz majstrem i wkrótce będziemy mieli mieszkanie...

Próbuję ostrożnie poruszyć nogami i momentalnie z wybuchem radości uświadamiam sobie — nogi są całe! A więc będę mógł jeszcze chodzić własnymi nogami po tym świecie. Przenika mnie uczucie zawrotnej lekkości. Wierząc i jednocześnie nie dowierzając swemu szczęściu pytam starszkę:

— Zdaje mi się, że mam nogi, matko?

— Masz, masz je, miłaj. Jakże by inaczej? Iwan Antonowicz w swojej robocie nie chybi. Zapraszają go do Nowosybirsk, proponują pensję profesorską i mieszkanie, ale on nie chce. A po

wczorajszej podróży dostał gorączki. Pomyśleć tylko — 40 wiorst w taką zawieruchę!

— A ta, Sima, czy jak jej?...

— Sima naturalnie przy nim.

— Czy mają dzieci?

— O tym, miłaj, trzeba by opowiedzieć całą historię. Oni przecie nie żyją ze sobą. Naturalnie, Sima chciałaby tego całą duszą, ale przecież nasz Iwan Antonowicz jest żonaty! Żona jego ma własne rachuby i nie przyjeżdża. A on, uważasz, blisko dwanaście lat jest z nami. Sima kocha go jeszcze od czasów frontu, ale ona taka niezdecydowana. Serca ma tyle, że mogłaby nim obdzielić trzydzieści trzy królowny, ale z urodą gorzej...

— Nie wiesz, czy długo mam leżeć?

— Nic ci do tego, leż i nabieraj ciała. Nie masz się dokąd śpieszyć. Jaki z ciebie teraz robotnik? A jeżeli kogoś gdzieś trzeba zawiadomić — to zawsze można. Rodzinę, czy tam gdzie pracujesz...

— Nie, nie trzeba — tymczasem.

— Hardy jesteś. A mój Piet'ka o wszystkim pisze, i o zmar-twienu i o radości. Znów przysłał list polecony. Jest rybakiem w Murmańsku. U nas w rodzinie wszyscy rybacy, z ojca na syna. Udała mi się synowa, dwóch wnuków urodziła. Piszą, że pieniądze wysłali. Nie to ważne, że pieniądze, ale że nie zapomnieli. Nie uwierzysz może, że jak czasem długo nie ma listów, to wybieram stare i na nowo czytam. A każdy — to prawdziwa piosenka...

Płyną śpiewne słowa jak korowód i usypiają mnie jak kołysanka. Moje myśli są już daleko od tego pokoju z zaśnieżonymi oknami za firankami z siatki. Zaczynają się dnie, kiedy każda minuta spokoju musi być poświęcona trzeźwemu, chłodnemu obrachunkowi. Przed przyszlą podróżą trzeba rozważyć wszystko, do najdrobniejszych szczegółów. Wydostać się niepostrzeżenie zimą z sioła w głębi tajgi jest rzeczą prawie niemożliwą. Ale właśnie w tym „prawie” muszę znaleźć szczelinę. Znajdę ją i wydostanę się! Wystarczy mi na to jedna wietrzna noc. Moja odzież jest tu gdzieś, w szpitalu. Narty znajdują się w każdej izbie. A więc potrzebny jest tylko wiatr, tylko wiatr...

Jednakże, rzecz dziwna, obok myśli o bliskiej wolności pojawia się raz po raz jakieś niejasne niezadowolenie z siebie, jak gdyby, tak jak ten krzywonogi z niewoli, nie wiedzieć za co plunął komuś w duszę. Wciąż gdzieś tam błądzi ten rozwichrzony chłopiec, który pojechał psami do rejonu po doktora. Przewyciężając senność usiłuję zapytać staruchę o tego chłopca, ale senność podchwytuje pytanie w pół drogi.

Nie mogę nie wysiąść na tej stacji. Wsiadam więc wbrew wszystkim prawidłom włóczęgowskiego plemienia i wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi. Stoję na stacyjnej platformie, poznając i nie poznając rodzimego Jużnogorska. To już nie tamten przedwojenny Jużnogorsk. Poprzez szeleszczące akacje przedziera się ku mnie wylotowymi ulicami nowe miasto z nowymi domami, nowymi barwami i nowymi zapachami. Błądę do zmroku nieznanymi ulicami próbując odnaleźć jakieś ślady dzieciństwa, wpatruję się w spotykane twarze. Ale skrzyżowania ulic rozbiegają się w różne strony ulicami pozbawionymi jakichkolwiek własnych oznak. Dopiero dochodząc do Chitrowego stawu napotykam maleńką wysepkę przeszłości. Tak samo jak tyle lat temu stoi na brzegu, prawie przyrośnięty do wody gładką ścianą ogromnego fabrycznego gmachu, wrosły głęboko w ziemię, kulawy na wszystkie cztery rogi, dom starego Guriana Nawiedzonego. Nieraz ratował mnie dach tego domu od pomsty i krzywdy. Stary mieszkał samotnie na uboczu i całymi dniami wykrawywał z porzuconych szczap rozmaite zabawki dla nas, podmiejskich malców.

Długo stukam w znajome drzwi. Otwiera je rośła starucha z wielkimi ustami, w zabrudzonym fartuchu. Silny kuchenny zapach bije mi w nos. Starucha, wycierając fartuchem zatłuszczone palce, patrzy na mnie pytająco spłowiałymi oczami.

— Kto tu mieszka teraz?

— Jakto kto? — starucha ogląda mnie podejrzliwie od stóp do głów. — My mieszkamy, Kaszkinowie.

— Od dawna?

— A odkąd Gurian Nawiedzony zmarł to i mieszkamy.

— Taaak...

— A wy kto, może krewniak? Jeżeli tak, to my mamy i dokument kupna i zezwolenie miejskiego sowietu.

Oddalając się słyszę za sobą:

— Włóczą się różni...

Potem podłożywszy dłonie pod głowę i nie myśląc o niczym leżę długo na trawie pod stacyjnym nasypem. Wydaje mi się teraz naprawdę, że dzieciństwo to był sen. Nie zostawiło ono na świecie żadnych śladów, a więc chyba nigdy go nie było.

Wyrywa mnie z odrętwienia głośny sygnał parowozu. Nade mną posuwa się, powoli nabierając szybkości, towarowy pociąg. Pędzę w górę po nasypie, chwytam za poręczę przechodzącej mimo platformy z hamulcem, podciągam się i stoję twarzą w

twarz z piegowatym chłopcem lat dwunastu, który rozlokował się wygodnie na cienkim sienniku.

Chłopak odgryzając ze smakiem kawał chleba, gościnnie odsuwa się:

— Siadaj, miejsca starczy.

— Więc nie przepędzisz mnie?

Przełamuje chleb i podaje mi połowę.

— Daleko jedziesz?

— Zdaje się, że nie mam już dokąd.

— Może jedziemy w tę samą stronę?

— A ty dokąd?

Chłopak napełniając usta miękkim chlebem sepleni:

— Na Angarę. Słyszałeś o niej? Mam tam ojca, od urodzenia go nie widziałem. Matka mówi że przepadł. A ja wiem że gdzie wszyscy tam i on. A na Angarę — wszyscy...

— Daleką masz drogę, chłopcze, daleką.

— Dostanę się. A na miejscu pójdę do naczelnika i zapytam: gdzie tu pracuje Pał Pałycz Gorobcow. Tak się mój ojciec nazywa. A ja jestem Sergiusz Pałycz.

Chłopak mówi w dalszym ciągu gorąco, z przekonaniem i zawile, a ja w żaden sposób nie mogę połknąć ostrego kawałka, który ugrzązł mi w gardle. O czym właściwie myślę teraz? Czy nasz biedny język ludzki może to określić? Zatapiam wszystkie pięć palców w jasnej czuprynie chłopca.

— Ech, Sieriega, Seriega, narwiesz się ty na swego Alberta Iwanowicza. Będziesz miał wtedy swoją Angarę.

Chłopak milknie czujnie wsłuchując się w sens tych słów. Potem marszczy czoło w zamyśleniu:

— Nie narwę się.

Pociąg zwalnia biego. Ku torowi zaczynają zbiegać się idące na wskroś uliczki wieczorowego sioła i stacyjne zabudowania. Powinieniem zejść z pociągu wcześniej aby uniknąć straży transportu.

— A teraz, chłopcze, siedź cicho i milcz, a ja póki pociąg będzie stał postaram się o jedzenie. Do Angary, ach, jak jeszcze daleko!

Chłopiec porozumiewawczo mruga do mnie.

W biegu wyskakuję w mrok przydrożnych zarośli. Dostaję się na drogę i podchodzę do stacji od strony sioła. Plac przed stacją jest pusty, tylko na oświetlonych schodach przed wejściem do stacji stoi wąsaty milicjant. Cofać się za późno, wąsacz na pewno mnie widzi. Starając się iść jak najbardziej pewnym krokiem kieruję się do otwartego sklepiku. Rozmawiając ze sprzedawczynią czuję na sobie chwytny, oceniający wzrok. Milicjant ma

mnie na oku. Żądam kolejno tego i owego odwlekając nieuniknione. Podczernione brwi szczerwanej sprzedawczyni podnoszą się do góry — co za klient! Kiedy obładowany różnym jadem decyduję się nareszcie obrócić się, milicjant jest już o pięć kroków ode mnie. Robi obojętny wyraz twarzy i tylko z ukosa popatruje w moją stronę. Oj, niedobrze popatruje! Teraz o wszystkim decydują sekundy. Robię krok naprzód. Wyschnięte wargi układają pierwsze słowa, które przychodzą do głowy.

— Słuchajcie, sierżant, tam chłopak jedzie na hamulcu. Zdejm go stamtąd bo zginie.

Wąsacz w odpowiedzi salutuje:

— Gdzie?

Obliczam: o wiele łatwiej jest uciec tam, w ciemności, pomiędzy wagonami niż tu na otwartym miejscu. Idziemy wzdłuż toru kolejowego. Łapię co pewien czas krótkie badawcze spojrzenia milicjanta. Pod wagonami poruszają się światełka kontrolerów pozostawiając po sobie lekki metaliczny stuk. Zatrzymuję się przy wagonie z platformą dla hamulca: „To tu”.

Sierżant zapala kieszonkową latarkę.

— Wstawaj, drogi towarzyszu, przyjechaliśmy!

Chłopak mruży oczy od skierowanego ku sobie ostrego światła, po czym milcząc wstaje i posłusznie schodzi za sierżantem. Przez chwilę wzrok jego zatrzymuje się na mnie, po czym wyrzuca z siebie szeptem, już nie z dziecinnym gniewem i pogardą:

— Ech, ty...

Jestem zaskoczony i zmieszany. Z rąk mi wylatują i toczą się po ziemi obwarzanki, pieczywo, cukierki. Sierżant znów salutuje:

— Proszę was, obywatelu, pójść również ze mną dla spisania protokołu.

Chcę opanować sytuację i staram się odpowiadać spokojnie i do rzeczy.

— Towarzyszu sierżancie, mnie pilno, nie mam czasu, miejcie to na uwadze (inaczej nie odcepnię się od niego).

Wolno mija nas pusta lora. Chwytam za ściankę i całym ciałem przerzucam się na drugą stronę lory.

— Stój, stój, bo strzelam!

Za mną słychać jakby pukanie dziecinnych pukawek — strzelają. Biegnę nurkując pod wagony ku światłom za torem. Nagle ktoś ciężko nawala mi się na plecy i chwyta mnie za kark. Dusząc się chrypię:

— Puszczaj, czorcie, sam pójdę.

Sen ucieka ode mnie, lecz nie otwieram powiek. Słuch zastępuje mi teraz wzrok. Łapię każde niebacznie uronione słowo i odkładam je w pamięci jak skąpiec monetę. W każdym z tych słów może się ukrywać i zguba i ratunek i punkt orientacyjny i ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem i dobra wieść. Przy tym boję się pozwolić sobie na oderwanie się...

Teraz słyszę, jak w korytarzu naprzeciw moich drzwi Sima przekonuje płaczącą Halę.

— W twojej sytuacji, kochanie, nie można się tak roztkliwiać. Musisz teraz myśleć nie tylko o sobie...

— Ależ czy ja o sobie!

— Przecie on nie szpilka, ale człowiek, znajdą go. Cały okręg przetrząsa tajgę na jeleniach, helikoptery poszły w ruch, a ty drzesz się nad nim jak nad nieboszczykiem. Myślisz, że płaczem pomożesz? Twój Mikołaj siedzi w tej chwili w jakimś zimowym schronisku przy piecu i uśmiecha się pod wąsem.

— Ja przecież jemu nawet nie powiedziałam...

— I dobrze zrobiłaś, jak wróci będzie podwójna radość. A ja będę chrestną matką. No, no, dosyć już, głuptasku... Idź, posiedź przy chorym. Trzeba mu będzie wkrótce dawać rozczyn soli.

Słychać jak Sima ciężko stąpając idzie w głąb korytarza. Dziewczyna o policzkach z wystającymi kośćmi siada na stołku przy mnie. Czuję na sobie jej wzrok, uporczywy, badawczy i wrogi. Jeżeli jednak dawniej wszelka wrogość, skąd by nie pochodziła, napotykała we mnie głuchy mur nienawiści, to teraz trapię się, czuję się jak szuler uciekający od długu karcianego. Cała moja filozofia jest teraz jak gdyby podważona i trzeszczy od góry do dołu. Obstępują mnie twarze, twarze i twarze. Widzę je spotkane na ostrych zakrętach życia — milicjanta z wylupiastymi oczami w nocy kiedy aresztowano ojca; Siemiona Siemionowicza; Sieriożkę z platformy z hamulcem; młodego człowieka z rozwichrzoną głową imieniem Mikołaj, który poszedł w zawieruchę; służbę szpitalną... Przez całe życie byłem z nimi w konflikcie. Zmieniać teraz — za późno. Życie już przeżyte. Nie sposób przebiec je myślą na nowo. Odejdę, odejdę, a jeżeli będzie trzeba przestąpię przez nich wszystkich. A dziewczyna wciąż nie zdejmuje wzroku ze mnie i jakby odgaduje moje myśli. Nie wytrzymuję:

— Ja go nie prosiłem.

— Ale co też wy...

— Nie prosiłem. Słyszysz? Nie patrz na mnie, nie lubię kiedy na mnie patrzą.

— Dobrze, nie będę, tylko uspokójcie się.

— Po co mnie uspokajasz, po co? Sam się uspokoje. Wyjdź, rozumiesz?

— Czy ja jestem winna?

— Nie chcę, rozumiesz? Chcę spać, rozumiesz? Wyjdź, mówię, rozumiesz?

Dziewczyna zrywa się i biegnie do drzwi oglądając się ze strachem. A ja wciąż krzyczę, krzyczę, krzyczę.

XVI

...Wrzucam w gasnące ognisko kłoc suchego modrzewia. Rój iskiei leci w mrok tajgowej nocy. Spod kłoca, po zeschniętej korce zaczynają wypęłzać języki ognia. Ciemność rozsnuwa się odsłaniając korzenie pobliskich drzew i Patefona śpiącego na kaftanie. Ziama siedzi naprzeciwko wetknięszy podbródek między ostre kolana. Żółte diabełki ognia skaczą w jego źrenicach. Wiem o czym myśli. Zrozumiałem to dziś, kiedy w poszukiwaniu brodu przez odnogę rzeki wyszliśmy na jej brzeg. Ziama patrzył na sioło rozpostarte po tamtej stronie z taką tęsknotą, z takim pragnieniem ciepła, że nie zostało mi żadnej wątpliwości: przestraszył się i dalej nie pójdzie. Po co ja się z nim związałem?...

W kolonii szanują Ziamę za łatwość w pożyciu i dar opowiadania powieści własnego pomysłu. Zgadza się z nim w zamiłowaniu do książek. Ja przeczytałem niemało, można nawet powiedzieć — bardzo dużo, jeśli się weźmie pod uwagę mój tryb życia. Co prawda, czytam książki jedynie przez ciekawość. Ciekawie jest obserwować cudze życie, nawet jeśli się nie wierzy w to wszystko co jest napisane. Każda książka jest o czym innym, każda ma swoją rację. A w życiu wszystko jest znacznie prostsze. Po co mu piękne słowa? Według mnie, całe życie można zmieścić w najprostszej formule: „Kurczę również chce żyć”.

Ziama, przeciwnie, odnosi się do książek jak wierzący do świętych relikwii. Dla niego książka — to przewodnik po zagmatwanym labiryncie życia. Jest cały nadziany ideami. Porównuje jego duszę z głąbem kapusty, każdy liść — to idea.

— Rozumiesz — mówi on. Dobra książka wchłania w siebie doświadczenie całego pokolenia. Dzięki książkom ludzkość rozwija się w progresji geometrycznej. Ty, mój drogi, masz czysto użytkowy stosunek do książek. Lepiej już wcale nie czytać.

Od pierwszych dni pobytu w kolonii zaczynam przygotowywać się do ucieczki. Przede wszystkim przyglądam się otoczeniu,

wyszukuję towarzysza. Potrzebny mi jest człowiek, dla którego nie ma nic świętego. Długo robię przegląd jednego po drugim, moich sąsiadów z baraku. Ale dokoła mnie ludek raczej małostkowy, krzykliwy, nie budzący zaufania. Wreszcie wybieram krępiego stołecznego zbója, Nikołą Patefona, niskiego, krępego chłopca z psimi szczękami. Patefon jest tępy, ponury, a najważniejsze — sam na świecie jak palec. To dla mnie bardzo ważne — nie ma nic do stracenia. A bez towarzysza w tajdze nie sposób. Tajga nie dla samotników. Przekonałem się o tym jeszcze w czasie swego pierwszego odsiadkiwania. Z Nikołą dogadujemy się od razu. Tylko mocno ściska szczęki i krótko cedzi przez zęby:

— Dobrze.

W nocy przed ucieczką podtacza się do mnie Ziama.

— Weź mnie, Sergiuszku, wiem przecie że idziesz. Nie milcz, nie milcz, weź... Nie mogę dłużej...

— Oszalałeś?

— Jeżeli sam zostanę, zwariuję.

Gdzieś w głębi nagle zadrżała od dawna zamilkła strunka. Od krótkiego i dobrego jej dźwięku wpływa do duszy ciepło wdzięczności do niepozornego i tak już do mnie przywiązanego farmazona Ziama. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że jest mi niepotrzebny w tej podróży, że będzie tylko dużym i niebezpiecznym obciążeniem, a jednak wyduszam z siebie:

— Jeżeli w drodze piśniesz choć słowo — zrobię z tobą koniec.

Ręka Ziama odszukuje w ciemnościach mój łokieć, czuję jej słaby, ale wdzięczny uścisk.

...Ogień znów słabnie. Podsuwam znów ku niemu zwęglony pniak modrzewia. Ziama zasłania dłonią twarz od iskier. Pytam cicho:

— O czym myślisz, Ziama?

— Co?

— Pytam, o czym myślisz?

— Ot tak... Przypomniała mi się matka. Pracuje w szkole jako zamiataczka... Trudno jej...

— Daj spokój.

— Zawsze mówiła: Ziama, źle skończysz. A moja mama to bardzo rozsądna kobieta,

— Mniej rozmyślaj, Ziama, mniej rozmyślaj. Myślenie to w ogóle zbytek, a w tajdze tym bardziej.

— Nie mogę nie myśleć. Widocznie tak już jestem stworzony. To śmieszne, ale nie mogę nie myśleć. Czyżby ludzie mogli żyć i nie myśleć, co?

— Ty Ziama, zaczynasz mi działać na nerwy. Zdarza się, że i

prostacy mają nerwy. Nie lubię czarnej magii do poduszki. Kładź się spać — to pewniejsze.

— Wiesz, nie chce mi się spać. Nie wiem co mi jest, ale spać nie chcę.

— Zazdroszczę ci. Dziwne, że ja nigdy nigdzie nie byłem. Przez całe życie fałszowałem ludziom dokumenty, a sam musiałem mieć prawdziwy. Mam chorą matkę, więc nie ma gdzie się podziać — zawsze się jest na oczach milicji.

— Kładź się spać, Ziama. Będzie dość czasu pomyśleć o mamie. Dziś ruszamy raniutko. Trzeba się śpieszyć, żeby śnieg nie złapał. Kładź się.

— Dobrze, będę spał. Spróbuję. Nie wiem, co prawda, co z tego wyjdzie.

Ziama otula się w marynarski kaftan, kładzie się na boku i zasypiając mamrocze:

— Nie, ja rzeczywiście źle skończę.

Zasypia prawie natychmiast, założywszy po dziecinnemu dłoń nie pomiędzy kolana. Jest to jego ostatni sen. Nie mam innego wyjścia. Jeżeli pozwolić mu odejść, chcąc czy nie chcąc naprowadzi kogoś na nasz trop. Muszę wybierać: ja albo on. Nie trzeba mi było wiązać się z nim. Nie wiadomo dlaczego myślałem, że starczy mu sił żeby dotrzeć do miejsca, z którego umówiliśmy się, żeby rozejść się w różne strony. Tak, to jego ostatni sen. Ale patrząc na żywą ludzką bryłę zawiniętą w stebnowany kaftan nie mogę w żaden sposób pokonać w sobie uczucia obrzydliwej słabości rąk.

Z lekka trącam Ziamę. Przewraca się długo z boku na bok mamrocząc coś pod nosem. Potem unosi się na łokciu i mówi sennie:

— Czy to ty, Sergiuszu.

Nie mogę na niego patrzeć. Wstaję i odwracam się do niego plecami.

— Wstawaj, idziemy.

Pytanie Ziama jest ciche i trwożliwe:

— Dokąd, Sergiuszu? Przecie jeszcze noc?

— Wstawaj, mówię. A kaftan zostaw, on ci już niepotrzebny. Za moimi plecami słychać szelest. Ziama wstaje.

— Dlaczego, Sergiuszu. Ja przecież...

Przedzieramy się przez mrok naprzeciw wiatrowi od Jenisieja. Prowadzę go do rzeki, jak dziecko, tuż przy ramieniu.

— Nie trzeba, Sergiuszu. Moja mama bardzo, bardzo chora. Ma kamienie.

— Nie nudź, ciemięgo, nie pytam ciebie o nic.

Niedaleko od brzegu mówię do niego:

— Idź naprzód.

Nie widzę jego twarzy, ale ze straszliwie podnieconego szeptu wyobrażam sobie co się z nim dzieje. I nagle czuję, że tego nie zrobię, nie znajdę w sobie dość siły, aby to zrobić. Ze złości na swoją słabość mówię do niego z nienawiścią:

— Idź-że, gadzie.

— Sergiuszu!

— Ruszaj!

Urywane kroki milkną gdzieś przede mną.

Gdy wracam Patefon już siedzi w kucki na kaftanie Ziamy i mrużąc oczy patrzy w ogień. Jego psie szczęki poruszają się miarowo — Patefon je. Mlaskając językiem pyta:

— Zatkaleś?

— Milcz.

W głosie Patefona brzmi ton pojednawczy i usprawiedliwiający:

— Rozumiem — znam to po sobie. Nie słodko potem na duszy.

Wpadam we wściekłość:

— Milcz, świnio. Co ty wiesz o duszy! Ty gadzie, szumowino! Jeszcze jedno słowo, a wykończę cię na czysto...

Patefon milknie.

Budzę się z dreszczem. Trzęsie mnie. Nie próbuję oszukiwać siebie. Wszystko jest jasne. Gorączka nawala się znów na mnie. Otulam się kaftanem. Twarz Patefona w świetle pochmurnego dnia jesiennego wygląda jeszcze bardziej ponura i płaska niż zazwyczaj. Patrzy na mnie wyczekująco:

— Zachorowałeś?

— Głustwo, zaraz ruszymy.

Próbuję wstać, ale jasna wyżyna bije mnie w oczy, a tajga wywraca na wznak. Głowa jest jak ogromna kula wypełniona dzwięczącym piaskiem.

— Pójdiesz sam?

— W tobie jakaś zaraza.

— Sam nie dojdiesz. W pojedynkę w tajdze koniec.

— Pójdę, jeszcze na dwoje babka wróżyła. A tu obaj pomrzemy. I jeść już nie ma co.

— Podlec ty, Patefon.

— Jak wszyscy.

— To prawda.

— Ty byś przecie też poszedł.

— Poszedłbym.

— No, widzisz...

— Dobrze, idź.

— Zostawię ci kaftan Ziamy, może przyjdiesz do siebie...

Nakrywam się kaftanem razem z głową. Patefon odejdzie. Odejdzie na swoją zgubę, nie utrzymam go. Tu już działa instynkt. Zresztą, na jego miejscu zrobiłbym to samo. Oczywiście może mnie dokończyć żeby zabrać moje graty. Ale nie odważy się, ulęknie się, nawet nie mnie, Siergieja Cariewa, lecz mojej przeszłości.

Teraz jedno tylko zdecyduje o wszystkim: dogoni mnie tu śnieg, czy nie dogoni. Zamykam oczy i czuję jak od strony brzegu uwieńczonego trzema palmami idzie na mnie fala majaczenia.

Wracam do przytomności obok wystygłej kupy popiołu. Nie ma już ani Patefona ani kaftana Ziamy. Patefon jednak zabrał go ze sobą. Obojętnie spoglądam na niebo, po którym płyną jakby szczątki starych żagli, a poprzez częste przerwy między nimi patrzą z wysoka zimne gwiazdy. Bardzo zimne gwiazdy.

XVII

Budzi mnie krzyk przerwany zatrzaśnięciem drzwi w końcu korytarza. Ogłusza mnie w jednej chwili ciężka, napięta cisza. Ta cisza odcina mnie od życia jak szklana pokrywa. W tej ciszy mieści się ostre przeczucie nieszczęścia.

Wołam głośno:

— Siostro!

Nikt nie odpowiada.

— Siostro!

Nie ma odpowiedzi. Cisza staje się nie do wytrzymania. Opieram się dłońmi o podłogę i wyczerpany się spelzam z łóżka. Czołgając się od łóżka do drzwi wypelzam na korytarz. Cisza wypędza mnie za próg. Pchając głową otwieram pokryte szronem drzwi. W mgnieniu oka rześiste światło oślepia mi oczy. Stopniowo na śnieżno-białym tle zaczynają zarysowywać się przedmioty, drzewa, ludzie. Widzę czarne figurki ludzkie dokoła idącego naprzeciw psiego zaprzęgu. Śnieg ogłuszająco skrzypi pod podszewkami. Na równi z saniami, co chwila zapadając w śnieg po kolana, idzie z gołą głową pielęgniarka z twarzą o wystających kościach policzkowych. Idzie nie widząc nic dokoła. Patrzy na coś co leży w saniach. Nie płacze, nie krzyczy, tylko bez przerwy patrzy na to co leży w saniach.

Cisza zdaje się mówić: wiem co tam leży w saniach. Nie chcę

więcej słyszeć tej ciszy, nie mogę już znieść jej przenikliwego ryku. Krzyczę, krzyczę z bólu, z krzywdy, z czegoś takiego na co nie ma nazwy.

— A-a-a-a...

Czyjeś ręce podchwytyją mnie i troskliwie niosą do ciepła. Nie otwieram oczu, boję się spojrzeć w ich twarze. Ale każde słowo które wymawiam, wali się jak ciężki kamień z moich pleców:

— Uciekłem z więzienia... Nazywam się — Cariew... Siergiej Cariew... Siergiej Aleksiejewicz.

Władimir MAKSIMOW

(Przełożył: Kazimierz OKULICZ)

PRZEŻYTE

W tej dokumentarnej powieści odzwierciadlającej okres od listopada 1950 do kwietnia 1951 roku, nie ma zmyślonych osób, okoliczności i wypadków. Wprowadziłem tu ludzi z ich prawdziwymi nazwiskami z wyjątkiem kilku, których nazwisk pamięć nie zachowała. Z ludźmi tymi zetknęła mnie gorzka dola w latach kultu osoby Stalina.

Niektóre z osób, występujących w powieści, przedwcześnie i tragicznie rozstały się z życiem, unosząc w duszach wierność partii i ojczyźnie. Większości przywrócono cześć i potwornie sponiewierane imię i ci są obecnie z nami w pracy dla pomyślności komunizmu. Spotykają się w powieści i tacy, o których nie mogę powiedzieć dobrego słowa. Niech się sami postawią przed sądem własnego sumienia.

Głównym zadaniem, które starałem się wypełnić — było wykazanie, że prawdziwi komuniści, choćby byli poddani najcięższym doświadczeniom — pozostaną komunistami.

Do ostatniej godziny naszego życia zachowamy w sercach głęboką wdzięczność dla partii, Lenina, jej Centralnego Komitetu i dla Nikity Siergiejewicza Chruszczowa za przywrócenia leninowskiej prawdy.

Nie mogłem nie napisać tej książki. Podyktowało mi ją samo życie.

Na punkcie przejściowym

A więc syberyjskie mrozy! Do czterdziestu dopędza... Zima obecna oszukała wszystkie kalendarze i pojawiła się w Tajszezie bardzo wcześnie, według własnej woli. No, ale Bóg z nią, z zimą, tędy przecież jej droga, tutaj przecież jej cel. Tylko po co ja tu jestem?....

Przekład z mies. „Zwieszda”, Leningrad, marzec 1963.

Cały ranek znów nosiliśmy deski i układaliśmy je w sągi. Deski ciężkie, zaśnieżone. Z braku przyzwyczajenia i w dodatku po roku więzienia, łamie w rękach i ramionach, nogi zaczynają drżeć. Cały czas trzeba być w ruchu. Zatrzymasz się: łajanie i pogróżki. Jesteśmy w jednym ze starych obozów, o surowym reżymie, stworzonych w r. 1949. Wschodnia Syberia, mroźny Irkucki Kraj. A ja w paletku o watowanej podszewce i okrągłej, fokowej czapeczce. Czuję się jak rozebrany. Oblatani mieszkańcy obozów zapewniają, że na punkcie przejściowym to jeszcze szczęście, kiwać można. A posłają na wyrąb lasu — tam się dopiero dowiesz po czemu kęs aresztanckiego chlebusia.

Nad horyzontem w chłodnej mgłę wisiła purpurowa kula słońca. Powietrze było ciemno-błękitne. Z kominów sterczały długie słupy białego dymu. Śnieg skrzypiał pod nogami tak, jakby się gniotło szkło.

Wmawiam w siebie całą mocą: „Nie poddawaj się rozpacz. Dostałeś się do nieznanego kraju, na samo dno przepaści, gdzie panuje chłodna zima, gdzie wokół ciebie nie ma ludzi, a tylko zarysy figur ludzkich. Ci, którym tutaj podlegasz, nie słyszą twojego głosu, ani bicia twego serca. Mniemają, że są silni, a obawiają się każdego twego kroku. Tutaj zewsząd czyha na ciebie śmierć. Nie daj się zabijać, broń się”.

Od czasu do czasu prowadzono nas do baraku, aby się ogrzać. Zbierała się tam dobra setka mężczyzn. Zaduch, woń stęchlizny. Pięć górnych nar zajmowali chorzy i inwalidzi. Reszta — na podłodze... Przyniesiono baniak z wrzątkiem. Oczywiście bez zaparzenia herbatą. Ale i to dobre! Blaspany kubek, rozpalony od wrzątku, ale zdrętwiałe palce nie czują. Raczylimy się tą „herbatą”, wśród niebieskiego dymu machorki, jakieś dziesięć minut. I znów deski.

Zbliżył się niski ospowaty dozorca, o przezwisku Haczyk, w grubym kożuszku, dobrego gatunku filcówkach, a mimo to kurczył się z mrozu. Kiwnął na mnie palcem, odwołał na stronę.

— Literat? Prawda? — Przyjrzał mi się niedowierzająco.

— Wpadłeś na cały termin?

— Nie. Dziesięć lat.

Haczyk ni to szczerze, ni to z szyderstwem rzucił: „Szczęściarz”...

A następnie już tonem prowadzącego śledztwo:

— Osądzony przez trybunał?

— Nie...

— Oszkalowałaś się?

— Nie.

— No cóż, na „nie” i sąd nie poradzi. Jest za to „specjalne Kolegium” — obojętnie zauważył Haczyk. Chwilę pomilczał.

— A paletko to rzadziutkie, co? Dawno cię wzięli?

— Pierwszego listopada 1949 roku.

— Zielony...

— Równy rok. Dzisiaj.

— No, patrzaj. Wygląda na to, że z powinszowaniem więziennego dnia urodzin — a głośno: Tazzczyć tam, tazzczyć dzia-dzia! Opowieści potem będziemy pisać.

Odszedł, waląc futrzanymi rękawicami jedną o drugą.

Dalej nosiłem deski. Stawały się coraz cięższe i cięższe. Rozdarła się rękawica i wylazły dwa palce; mróz je natychmiast chwycił w kleszcze. Zwinąłem palce w kułak i naciągnąłem rękawicę. Zauważył to Haczyk. Podbiegł ku nam i kazał mnie i memu kompanowi rzucić deski. Po czym, jakbyśmy w czymś zawinili, wrzasnął: „A no, za mną! Entelegencja”.

Wszyscy, i my również, zdecydowaliśmy: karcer. Tymczasem Haczyk zaprowadził nas do kuchni. Para. Wilgoć. Drażniący zapach smażonej cebuli. Przygotowują dla zwierzchnictwa obozu. Koło płyty kuchennej kucharz, ubrany według przepisów. Brudno-biały czepek, takąż kurtka, a za pasem ścierka. Miesza w kotle warzączwią. Haczyk naprzód do niego:

— Rozumiesz, byłem pod gazem... Kapciuch, cholera, gdzieś się zapodział. Dajno jako pożyczkę — bezzwrotną — paczkę machorki, co?

Kucharz przywykł, że dozorczy naciągają. Powiesił czerpak przy płycie i zniknął w śpizarnce. Wrócił:

— Pal władzuchno!

Haczyk zasunął paczkę machorki co najgłębiej w kieszeń watowanych spodni. Rzucił okiem na kupę kartofli w kącie. Przemarznięte. Zmarszczył się. Odwrócił się do nas:

— Żeby mi to wszystko obrać. Sprawdź. A nie, to wygnam za zonę na ogólne roboty... — I do kucharza:

— Potem nakarmisz ich do pełnego kałduna.

Wydało mi się, że wychodząc, uśmiechnął się. Pomyślałem: — Oto jeden z tych skazanych aby być człowiekiem-psem. Ale cóż... nawet i złe psy czasem merdają ogonami...

Towarzysz mój — zadziwiająco małomówny. W ciągu czterech dni, które jesteśmy razem na etapie, udało mi się z trudem wydobyć z niego, że jest inżynierem budowlanym, rodem z Permu; skazano go za uwielbianie techniki zagranicznej. Siedział trzy lata w ITEL¹, a teraz dostał się do OZIERŁAGU, dokąd zsyłają

1. ITEL — poprawczy obóz robót przymusowych o złagodnym reżymie.

skazanych według paragrafu 58 Kodeksu Karnego. Ma na sobie półkożuszek i czapkę z nausznikami. Nieustannie dymi samosiejką; nawet nocą.

Jedliśmy słodkawe, różowe kartofle. Inżynier, opustoszywszy całą miskę, powiedział do kucharza: „Dziękuję” — a do mnie: „Co za paskudztwo”. I więcej już przez resztę dnia — ani słowa.

Czy mu nie ciężko milczeć? A może tak lepiej? Może milczenie jest lżejsze dla tego, kto sam sobie nie wierzy? Bo ja przecież chciałbym krzyczeć, żeby wszyscy słyszeli, żeby słyszeli wszystko... Jakimż milczkami zrobiliśmy się, czyż naprawdę nikt nigdy niczego się nie dowie?

Notatnik mój — w głowie. Jak jednak dokładnie pamięta się to, co zaszło w czasach odległych, a to, co się zdarzyło miesiąc, rok temu zadziwiająco szybko zaciera się. Wyślizguje mi się pewna linijka. Trzeba ją odtworzyć. Wbić w mózg na zawsze.

Było to po pierwszym listopada 1949 roku. Ja — po aresztowaniu — w boksie. Czekam odprowadzenia do celi. Wchodzi porucznik i daje do podpisania protokołu rewizji. Niczego nie zabrano. Tylko fotografie. Przypominam sobie: na stole stała fotografia: Lenin w okularach w szelongu czyta rękopis. Odbitkę tę ze swoim podpisem podarowała mi w roku 1940 Lidia Aleksandrowna Fotijewa, sekretarz Lenina... Pytam z niepokojem: „A fotografia Lenina?”. Porucznik odpowiada z naciskiem: „Takich fotografii nie zabieramy”. Mówię: „Dziękuję... a więc Lenin w domu!”. Twarz porucznika kurczy się, chwytą podpisany protokoł i wyskakuje z mojej klatki.

Przed samym sygnałem na koniec dnia przyprowadzono do baraku Niemca. Wybiedzony, siwy, o typowo profesorskim wyglądzie i rasowych rysach. Przedstawił się: „Główny chirurg Berlina” — i czegoś dodał „Chiromanta”. Rozesłał na podłodze palto podbite futrem, położył się, wyciągnął i w mgnieniu oka zasnął.

Wieczorem w przeddzień święta

Ciągle jeszcze jesteśmy na punkcie przesyłkowym. Mróz zelżał. Po obiedzie padał śnieg wielkimi płatami. Zupełnie zalepił okna baraku. Szyby w śnieżnych iskrach.

Przy drzwiach okrągłaka roztasował się Niemiec. Wyciągnęło się do niego dziesiątki dłoni. Niemiec wszystkim przepowiadał rychłą wolność i długie życie. Honorarium pobierał tylko w cukrze.

Do mnie przysiadł się Mitia — student Moskiewskiego Instytutu Górniczego. Okrągła twarz, dobre dziecięce oczy. Rodem z

Kantemirowki, Woronieńskiej Obłasti. Komsomoł posłał go na naukę. Odprowadzał go cały kołchoz. Pysznił się swoim Mitią. Był na pierwszym roku. Ze szczęścia dostawał zawrotu głowy.

Do łagru dostał się przez głupotę. Zdarzyło się, że zaszedł do piekarni. Kupił bułeczkę. Ciepła, apetyczna, wspaniała. Natychmiast więc ją rozłamał — a w środku okurek! Podniósł gwałt: „To wy taki chleb sprzedajecie w stolicy? Za ludzi nas nie macie”. Zazaądał książki zażaleń. Minął tydzień. Na październikowej wieczorynce w Instytucie tańczył ze swą ukochaną dziewczyną. Nie dali dokończyć tańca. Dostał dziesięć lat za antysowiecką agitację w piekarni.

Przysiadł się, trzymając w ręku kartkę papieru i powiada: — Napisałem wiersz... Przeczytam, można?

Czytał cicho, nerwowo, gryzł wargi. Czytał o dziewczynie, której nawet nie zdążył ani razu pocałować. O metro, którym nie zdążył się najeździć, o dwóch biletach na operę „Iwan Susanin”, które mu zabrano przy rewizji... Przeczytał i pyta:

— Koślawo... Co?

Wiersze były naiwne, uczniowskie.

— Doskonale — powiedziałem — pisz!

— Pozwolą?

— Nawet jeśli nie pozwolą — pisz!

— Dziękuję.

Inżynier słuchał, ściskając palcami policzki. Kiwał się, jak przy bólu zębów i nagle zaczął mówić... Słowa wyrwały mu się z jakichś najgłębszych pokładów długo tajone... zależałe... zdławione.

W tym życiu... bardzo kochałem... swoją rodzinę... Przed samą wysyłką tutaj otrzymałem list. Córeczka. Dziewięć lat... Lusia... Nie... dziesięć... Tak, tak, już dziesięć... Pisze: „tatuńciu... ty w niewoli u Niemców czy u naszych..?!”

Wybuchnął nienaturalnym śmiechem. Zakaszłał się. Kaszłał długo. Zerwał okulary. Zzółkłymi od samosiejki palcami przecierał szkła.

— Nie mogę jej odpowiedzieć... prędko. — Założył okulary i przywarł plecami do ściany. — Tam... w ITŁ pisaliśmy często. Tutaj... nas mogą... każdego dnia... A my tylko dwa... — wystawił dwa palce — dwa listy na rok... My przecież „element specjalny”

Głęboko westchnął. Zmęczył się takim nadmiarem słów. Skręcił, zapalił. Żółte światło lampy padało na jego zastygłe oblicze. ostro rysując podbródek.

Dały się słyszeć smętne uderzenia młotkiem o szynę. Hasło końca dnia. Do baraku wszedł pleczysty chłop, starszy dozorca.

Razem z nim wdarł się do baraku lodowaty wichur. Starszy wywołał siedmiu i zabrał ich ze sobą.

Do BUR'a² — wyjaśnił inżynier — zawsze pod święto izolują terrorystów. We mnie także usiłowali wmówić terror... tyś przecież, mówili, chciał zabić Stalina... nie wmówili.

Za drzwiami szcęk żelaza. Na noc — pod zamek. Urządzamy się na podłodze. Gasimy światło. Wpijam się wzrokiem w ciemność. Po jedenastu miesiącach więzienia, gdzie w celi elektryczne światło pali się dzień i noc, ciemność obecna — odpoczynek.

Czyjś spłoszony głos.

— Bracia! Jutro trzydziesta rocznica rewolucji październikowej!

W odpowiedzi — cisza. Ktoś westchnął głęboko. I znów cisza. Każdy myśli o swoim.

Przypomina mi się... Rok temu znajdowałem się w więzieniu, gdzie osadzano tych pod śledztwem. Za grubymi żelaznymi drzwiami, w których klucz obracał się z tak przerażającym zgrzytem, że aż ciarki szły po człowieku. Nad oknem drewniana tarcza-daszek. Widać było zaledwie wążutki skrawek nieba. I nagle na tym skrawku rankiem szóstego listopada — czerwony sztandar. Czerwony Sztandar na dachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Dnia tego cela milczała. Trzydziestu dwóch oniemiałych ludzi!

Myśl przerzuciło do pokoju Wiery. Obecnie w Moskwie jest godzina czwarta. Niezadługo uroczyste posiedzenie w Wielkim Teatrze. Wiera będzie siedzieć przy głośniku, słuchać sprawozdania i myśleć o mnie: dokąd mnie uwieziono, czy żyję?

A w ogóle, co się dzieje na świecie? Cały rok — ani gazet, ani radia. Tylko pogłoski i plotki: wojna w Korei, umowa przyjaźni z Chinami... w Moskwie na leninowskich górach buduje się wysokościowiec dla Moskiewskiego Głównego Uniwersalnego Magazynu-sklepu. Nic nie wiedzieć — to najstraszniejsza kara! A ot, jeżeli jutro, na święto, nagle uwolnią, całkiem uwolnią? Właśnie, tak „nagle”. Przecież przez długie miesiące od wyroku wiele wody upłynęło... Prokurator już przecież zbadał moją sprawę, zorientował się... śledztwo było prowadzone w sposób występny. Protest, wezwania samolotem do Moskwy, śledztwo na nowo... Wszystko jasne! I ja na wolności! Cóż, przecież realna myśl.

Inżynier leżał na plecach, palił. Cicho zapytałem:

— Czy wzywają stąd na rewizję sprawy, śledztwa?

Nie zaraz odpowiedział. W ciemnościach rozjarzył się ognik papierosa. Po czym — głucho: „to zdarza się... Wezwą i lat siedzenia dołożą”.

2. BUR — barak o zaostrozonym reżymie.

W drzwiach z hukiem spadła zasuwa. Dyżurny alarmująco krzyknął, tak krzyczą ludzie, gdy ujrzą płomień pożaru:

— Szmooon!³.

Gwałtowny ruch, tumult i klątwy na skrzypiących narach. Inżynier zerwał się. On wie, co to znaczy.

— Obowiązkowo przed świętem. Ot swołocz!

Światło błysnęło. Na progu cztery kozuchy z naramiennikami.

— Wstaać!... wasza mać!... Rozwiązać toboły!

Grupami zapędzali do kąta. Kto zdążył naciągnąć spodnie, dobrze, a kto nie — w kalesonach. Wywracali worki, rozrzucali bieliznę, suchary, kawałki cukru, fotografie rodzinne. Wysypywali tytoń z kapciuchów, zapalki z pudełek. Mieszali kawałkiem kija w kubie z odchodami. Szperali po narach i pod narami. Walonkami, które już zdążyły odtajać deptali po rzeczach. A wszystko — w milczeniu. Nawet z przyjemnością. Moim workiem zawładnęła Haczyk. Zapusił w głąb łapsko, zazezował ku mnie i nogą odepchnął worek. Zaczął bebeszyć worek inżyniera.

Niczego zakazanego kozuchy nie odkryły. Tylko Miti zabrano wiersze. Wywalili się za drzwi. Po co im wiersze?

Barak wyglądał jak „barachołka”. Powoli, dłużej niż godzinę, zbieraliśmy rzeczy. Zebraliśmy. Siedliśmy, milczymy. Krzątał się tylko niespokojnie pewien łysy, cały w zmarszczkach staruch. Podszedł do mnie zakłopotany:

— Czego tam, dziadziu?

— Gdzieś mój kapciuch zaszmonali.

— A ty skąd?

— Spod Moskwy.

— Krajan.

— Nawet bardzo dobry... taki z czerwonymi kwiatuśkami... ciemniutki... Czyżby zwędzili?

— Wyrok duży?

— Starczy... Cierpię za władzę sowiecką.

— Jak to tak?

— O-cho-cho... A zapalić masz?

Inżynier wysypał staruchowi na stwardniałą dłoń szczyptę tytoniu, dał papierek — wążutki skrawek gazety. Staruch siadł w kuczki, jak to bywało u siebie na wsi, na przyźbie, skręcił papierosa, zapalił i zaczął mówić, pełen niezrozumienia, niespokojny:

— Jak to się przygodziło, w głowie się nie mieści.

„Podczas święta pierwszego maja jakoś zgubiłem się z siostrą. A sam, rozumiesz, trochę wypiwszy. Patrzę, a na budynku rady wiejskiej zamiast czerwonego sztandaru, gałgan jakiś się trzepocze. Ani koloru, ani wyglądu. Ach — myślę sobie — wy,

3. Szmon — nagła rewizja, nalot.

psie syny! Cóż to się dzieje? Władzę sowiecką ponizacie? Migiem tedy leżę na ganek, stamtąd na obudowę i — zerwałem to — szmatę znaczy. No i powiedz, towarzyszu, słusznie postąpiłem, czy nie? Sztandar — to ono coś takiego powinno być, aby pod tym i umrzeć nie było straszno. Nie szmatka wyleniała, towarzyszu, a? Nie szmatka wyleniała!? A mnie — dziesięć roków!”.

Z trudem podniósł się i westchnął.

— Rozmaite to kołowanie w życiu bywa... A więzienia, jak mogiła: dla każdego miejsce się znajdzie... — Staruch ruszył ramionami. — Ale umierać za nic, nie zgadzam się! Ja towarzyszowi Stalinowi wszystko czyściutko opiszę. Już on tam połapie się — kto ma słuszość, a kto jest winien... A tymczasem, chociaż i stary, na obozowego robociarza się nadaję. Dla robót ciesielskich nawet plany mogę robić.

Odszedł na środek baraku. Wylazł na chwiejący się stołek i zwrócił się do wszystkich, jak z trybuny:

— Towarzysze więźniowie! Proszę, znaczy się, u kogo mój kapciuch się znalazł... z czerwonymi kwiatuskami... stanowczo proszę zwrócić. Pamiątka od staruchy.

W baraku tymczasem zrobiło się gwaro. Nikt starucha nie słuchał. Machnął beznadziejnie ręką, zszedł ze stołka i zaczął gramolić się na nary.

Powoli wszyscy się uspokoili. Zgasili światło. Powzdychali, przycichli, zachrapali. Inżynier kręcił się, kaszłał, palił. Wreszcie wstał, podszedł do okna. W okno patrzyła samotnie elektryczna lampka. Na zaśnieżonym szkle pełgały w jej blasku tęczowe iskry. Tym mocniej smutek ciążył na sercu.

Zasnąłem pod koniec nocy. Przyśnił mi się łysy staruch, zalał na dach Ministerstwa Bezpieczeństwa i zerwał czerwony sztandar.

Południe, 9 listopada

Ostatnie dwa dni mieliśmy święto. Nie wypędzano nas na roboty. Karmiono lepiej. W porannej bałandzie pływały kawaleczki słoniny. Do obiadu dano nam po jednym pierożku z kartoflami i dodano trochę oleju lnianego do „szrapnela”, jak więźniowie nazywali jęczmienną kaszę.

Inżynier wczoraj wieczorem podarował staruchowi skórzany kapciuch. Staruch aż całować się lazał... Rankiem ja i Mitia byliśmy dyżurnymi w baraku. Wynieśliśmy kibel na uginających się drągach, poleliśmy wrzątkiem podłogę i szorowaliśmy ją skrobaczkami.

W południe przyszedł pisarczyk transportowy. Oznajmił nam, że pojutrze wszystkich specjalistów roześlą do odpowiednich wytwórni, a resztę na wyrąb lasu. Siadł przy stole, aby zewidencjonować zawody więźniów. Powstał zgiełk nie do opisania. Każdy starał się podbić swoją cenę. Jako pierwszy zapisał się staruch na roboty ciesielskie.

Pisarczyk — młodzik lat dwudziestu pięciu. W obozie siedem lat. Urządzony. Taki z tych, o których nie możesz powiedzieć nic złego, dopóki go nie poznasz. W paletku moskiewskiego typu z futrzanym kołnierzem i czapce z białego zajęczego futerka z długimi aż do ramion nausznikami. Mówić spokojnie już nie umiał. Oduczył się. Wrzeszczał, urywał w pół słowa. Na więźniów patrzył z wysoka, jakby on jeden tutaj był niewinny, a oni wszyscy „faszyści” sprawiedliwie zdemaskowani. Notatki robił ołówkiem na cieniutkiej deszczulce, którą nosił pod pachą.

Inżynier radził mi, abym zapisał się, jako kierownik działalności artystycznej.

— Alboż tacy są potrzebni? — zdumiałem się.

— Potrzebni. Powiedz, żeś artysta, reżyser. Poślą do fabryki remontu samochodów. Jest tam sformowana kultbrygada z więźniów. Pojedziemy razem, bo ja mam tam przydział do budowy oddziałów fabrycznych. A prócz tego zabaczysz tam Lidię Rusłanową. Mówi się, że pewnego razu kierownictwo obozu postanowiło urządzić sobie koncert Rusłanowej — boć to przecież znana artystka. Rozchyliła się kurtyna. Rusłanowa wyszła, stanęła przy rampie. Milczy. Głos z pierwszego rzędu: „Rusłanowa, czemu nie śpiewasz?”. A ona na to: „Nie widzę tutaj moich towarzyszów niedoli. Dopóki ich nie sprowadzicie, nie będę śpiewać”.

Inżynier nerwowo potarł zapałkę, zapalił. Kilkakrotnie ciągnął się dymem.

„Zaszeptali między sobą: co robić? Wsadzić do BUR’u — koncert się nie odbędzie. Dali więc polecenie sprowadzenia robotników. A ci już zlegli spać. Niemal za nogi pościągano ich z nar i stu chłopów usadzono w ostatnich rzędach. I Rusłanowa zaśpiewała. Ach, jak śpiewała tego wieczoru! Władzy nie wolno okłaskiwać artystów-zeków⁴, a tu stało się coś niezwykłego. Oficerowie, dozorczy (o więźniach-robotnikach nie ma co mówić) tak bili brawa, że powiadają, ledwie ją zwolnili... ze sceny, oczywiście, nie z obozu. — No... zrozumiano? Jazda... zapisujcie się.

Przepchnąłem się do stołu pisarczyka. Wysłuchał, popatrzył uważnie na moją okrągłą karakułową czapkę, jakby ją oceniał, postukał kościstymi palcami po stole i powiada:

4. Zek — określenie więźnia w żargonie łagru.

— Wymigiwać się chcesz, tatu? Pojedziesz piłować drzewo. Kropka. Artystów mamy dość i bez ciebie.

Wróciłem na swoje miejsce z uczuciem, jakby mi plunięto w twarz. Postanowiłem nigdzie się nie urządzać. Pojadę na wyrąb lasu jak i inni. Inżyniera wzburzyło:

— Entuzjazm przyszłego nieboszczyka! Toż ty, drogi przyjacielu w mig się tam wykończysz. A powinieneś żyć a żyć. Czegoś się tutaj znalazł? Odpokutować za swoje winy? Tedy zgłoś się do kamieniołomów... Po kiego diabła opierałeś się na śledztwie przez cały rok? Trzeba było podpisać całą tam wymyśloną bzdurę i na cmentarz! Przynajmniej nie ciągnąłbyś etapami na Syberię, nie czerpałbyś dzbanem z oceanu wszystkich cierpień... A przecież nie... nie poddałeś się...!

Podszedł do mnie blisko i zaczął mówić zduszonym szeptem:

— Tedy zachowaj i tutaj ducha oporu... jeżeli wierzysz... Ja, na przykład, wierzę. Tutaj także idzie walka. Tak, skryta, straszna, ale walka. Nie myśl, że w obozie siedzą tylko ofiary bezprawia. Są między nami prawdziwi nikczemnicy. Okrutnych mamy tu wrogów. Dowiedzą się, żeś komunista... Dawaj baczenie, oglądaj się na boki...

Pomilczawszy chwilę, inżynier zapytał, jakby między innymi: W szachy grasz? Bardzo dobrze, że grasz. Tedy wiadome ci jest, że czasami zdaje się nam: mat nieunikniony. Ale... napięcie myśli, obrachunek, ruch koniem, albo roszcza, albo z piona hetman i... życie wygrane. Ty, oczywiście rozumiesz się na alegorii.

Pisarzyk zaszeregował już wszystkich „speców”. Przeszedł się po baraku. Obejrzał jeszcze raz nas wszystkich razem i każdego z osobna i wrzasnął:

— Wszystkie zdechlaki i inni tam, jutrzejsi umarlacy, raniem do sanczasti, na Izbę Chorych. I zniknął za drzwiami.

Inżynier zapytał, czy nie mam czegoś w rodzaju: ślepej kiszki, ruptury, wrzodów. Kiedy dowiedział się, że mam rupturę, kazał mi dać słowo, że jutro pójde do doktora.

— Koniecznie trzeba zoperować. U nas w jednym z obozów wskutek zacisku jelita grubego w związku z rupturą, dwóch pojechało do skrzynek. A zresztą w szpitalu można spotkać interesujących ludzi.

Z trzaskiem otwały się drzwi baraku. Na progu wyrosła postać ludzka w palcie typu moskiewskiego, futrzanej czapce i czarnych, wysokich wołokowych butach. Wygląd zwierchniczny. Jedno oko przymknięte, nad drugim brew silnie podniesiona. Śniade oblicze, ostre kości policzkowe. Wywrzasnął moje nazwisko. Serce we mnie zamarło. Wrzasnął powtórnie, nalegająco:

— Na wartownię z rzeczami!

Chwyliłem worek, zacząłem czemuś wpychać weń czapkę. Czulem to, pragnąłem tego! Gdzie inżynier, gdzie Mitia? Trzeba się pożegnać... A inżynier już wiąże mój tłumok, wzrusza ramionami, niczego nie rozumie. Mitia stoi obok, oczy rozproszone zupełnie, coś do mnie mówi, czego ja nie słyszę. A głos ode drzwi popędza:

— Prędeż, prędeż! W łachach się zaplątał!

Zagarniam worek. „Żegnajcie towarzysze!”. Rzucam się ku drzwiom. I nagle słyszę: Wróć!

Człowiek w wołokowych butach zaśmiał się: „Alem was rozegrał...”.

Upuściłem worek. Rzuciłem się w tył od tego człowieka, jak od widma. A on przepaszajaco wyjaśnia:

— Jestem Maliukajew. Lekarz ze Stalingradu. Dowiedziałem się, że jesteście tutaj na punkcie przejściowym... Widziałem wasze sztuki, czytałem felietony... Pamiętam, że wy — człowiek z humorem, tedy i ja... Witam... — Wyciągnął rękę.

W baraku śmiech. Poprzez hałas hucznego śmiechu słyszę gniewny głos inżyniera: „Ależ okrutny z was człowiek!”.

Ze wzburzenia nie mogę nic powiedzieć. Osunąłem się na worek. Maliukajew chwycił mnie za łokieć, podniósł.

— Na miłość Boską, przebaczcie... winienem...! Chodźcie do mnie do sąsiedniego baraku. Ugoszczę was mocną herbatą, domową?

Herbata była mocna, aromatyczna, słodka. Ale kubek drżał mi w ręku.

Na drugi dzień

Gdy tylko wstał szary zimowy poranek, powlokłem się do Izby Chorych. Wszedłem do jasno oświetlonego domku. Na ścianie zwierciadło. Ażem się wzdrygnął. Po raz pierwszy od czasu aresztowania widzę siebie w lustrze. Zapadłe oczy, obwisłe policzki, tylko nos sterczy. Szczecina wyrosła. Dwa tygodnie nas nie golili.

Z przedpokoju drzwi do lekarza. Białe ściany, białe taborety, biały tapczan, biała szafa... Wszystko białe, osłepiające. Poczulem się jak obcy, który tu znalazł się przypadkiem. Nad stołem pochylała się kobieta z naramiennikami kapitana służby zdrowia. Twarz młoda. Uprzedzono mnie, że kapitan Kozłowa surowa, nieustępliwa, stanowcza.

Więc — spytała, nie podnosząc głowy.

Wyjaśniłem o co chodzi. Czy nie można by mi zrobić pasa?

Spojrzała zdziwiona: „Co zrobić”?

— Pas, bardzo proszę, towarzyszeko Kozłowa!

Ona ostro: Ja ci nie towarzyszka... I nie Kozłowa!

— Przepraszam... obywatelko doktorze.

— Pasa mu się zachciało! A może ty myślisz, że mamy tu także warsztat modnych męskich kapeluszy?

Wstała, nałożyła biały chałat, ułożyła mnie na tapczanie, obejrzała mnie.

— Czemu to przywieźliście do nas swoją rupturę?

— A wy spytajcie mnie, czemu mnie tutaj przywieziono?

— Wszyscyście tutaj niewinni — przerwała ostro.

— Pojedziesz do centralnego szpitala. Tam operują nie gorzej niż w Moskwie. Stamtąd na wyrąb lasu... Nazwisko? Imię? Imię ojca? Rok urodzenia? Paragraf, z którego skazany? Na jak długo? Kiedy termin kary się kończy?... Możecie iść!

W drzwiach spotkałem wczorajszego pisarczyka.

— Do szpitala-grobowca ci się zachciało, artysto! Jedź, jedź. Siedzi tam jeden profesor, wspaniale trupy kraje! — Zachichotał i szmyrgnął do Izby Chorych.

Przez cały dzień odsyłali etapy: na wyrąb lasu... na wyrąb lasu... Tylko siedmiu dostało się do cegielni. Jechali uradowani, do przemysłu, pod dach, a nie w las na mróz.

W naszym baraku tłusty młodzieniec-mołdawianin, cierpiący według jego zapewnień na elephantiasis, zapisał się wczoraj jako kucharz. A dziś, dowiedziawszy się, że zsyłają go do lasu, urządził przedstawienie. Leżał na górnych narach z opuchniętą sino-fioletową nogą i wył z bólu. Kiedy dozorca prowadził go do karceru, młodzian wrzeszczał na całą zonę: „Mamusiu, ratuj mnie, mamusiu!”.

Mitia odjechał rąbać las. Na pożegnanie wyrecytował mi z pamięci swój wierszowany felieton „Ch. W.” o wypadku na śledztwie.

A było tak. Śledczy pokazał mu teczkę z jego sprawą. Na okładce były litery „Ch. W.” (*chranit' wieczno* — przechowywać na zawsze). Spytał czy wie, jaki jest sens tych liter. Mitia prostodusznie odpowiedział: Wiem, *Christos Woskres* (Chrystus zmarł i wskrzesił). Śledczy roześmiał się i powiada: „Chuj Ciebie, a nie Chrystus wskrzesi”. Mitia uśmiechnął się i spokojnie odparował. Wtedy byłoby „Ch.T.” a jest „Ch. W.”, a więc nie chuj mnie a chuj wam”. Śledczy się wściekł i zagnał Mitię do karceru, gdzie przez trzy dni nie dawano mu ani pić, ani jeść, ani spać. Felieton kończył się słowami: „Nie sądzę, abym był prorokiem, ale jest tu aluzja do śledczego”.

Sąsiada mego, permianina, wyznaczono do fabryki. Chodzi-

liśmy tam i z powrotem po krótkiej, wydeptanej ścieżynce koło wartowni. Mróz zelżał, ale wiał wicher. Po niebie szybko i nisko płynęły szare ponure obłoki. Postawiliśmy kołnierze, ręce zasunęliśmy w rękawy (obrzydło trzymanie szcepionych palców za plecami) i po raz pierwszy rozmawialiśmy bez świadków.

„Dwa lata spędziłem na budowie pod Permem — opowiadał inżynier. Czasami tak pochłaniała mnie praca, że zapomniałem, gdzie jestem. Pewnego razu zapamiętałem się do tego stopnia, że napisałem artykuł do okręgowej gazety „Gwiazda”. Na naszym odcinku była skandaliczna gospodarka transportem i materiałem. Poprosiłem jednego pracownika z wolnego najmu, aby wrzucił mój list do skrzynki pocztowej. W redakcji do głowy im nie przyszło, że artykuł mógł nadesłać zek. Wydrukowali. Kiedym zobaczył, przeraziłem się: tytuł, podtytuł i dużymi literami nazwisko.

Wezwał mnie naczelnik obozu. Rozwrzeszczał się: „Od jakiego to czasu pojawili się w łagrze korespondenci-zeki⁵? Przez kogoś, nędzniku, posłał ten artykuł? Gadaj! Przez kogoś ty pode mnie minę podłożył?”. No — pomyślałem — teraz mnie zgnoi w areszcie karnym. Oczywiście odmówiłem podania nazwiska mego dobrego pocztyliona. Naczelnik gwałtował, gwałtował i puścił mnie do baraku. Niezadługo przyszło honorarium. Jasne jest, że mi go nie dali. Ważne jest to, że po moim artykule wszystkie nieporządki zostały uchylone. Mnie zapisano tylko naruszenie obowiązków obozowych. Niewątpliwie redaktor za swą omyłkę miał poważne przykrości. Czyż jednak mogłem inaczej postąpić? Przecież komunistą jestem”!

Do inżyniera podbiegł pisarczyk. „Na wartownię, konwój przybył”!

Na pożegnanie inżynier mnie objął:

— No życzę... Ale pamiętaj, cokolwiek by się z tobą stało, nie poddawaj się!

W drzwiach wartowni odwrócił się i pomachał do mnie ręką.

Pod wieczór zebrali etap do szpitala: szesnastu ludzi. Jedni jechali po życie, inni — po śmierć. Wśród nas znalazł się i Maliukajew. Wszystkim nam dodawał odwagi; każdemu obiecywał oddzielną koję, nawet chleb sitkowy, ba, mleko. Twierdził, że powiozą nas sanitarnym wagonem, a leczyć nas będą byli kremłowscy lekarze.

Milcząc, zaniepokojeni gromadziliśmy się koło wartowni. Wiercił się jedynie Maliukajew. Podszedł porucznik. W rękę

5. Zek-korespondent — korespondent więzień.

nasze obozowe paszporty-formularze. Znowu: Imię, imię ojca, rok urodzenia, paragraf kodeksu karnego, na ile lat, kiedy kara się kończy?

W czasie apelu dopełży nas słuchy, że ktoś tam nie wytrzymał napięcia i powiesił się w ustępie. Kto — nie dowiedziałem się. Otwarto wrota.

— Ej tam — krzyknął dowódca konwoju. — Uprzedzam — wyjście z szeregu będzie uważane za próbę ucieczki. Strzelać będziemy bez uprzedzenia. Zrozumieli wszyscy? Krokiem marsz!

Poszliśmy, powlekliśmy się w nieznane.

Wagon sanitarny okazał się wagonem bydłowym. Wpędzono nas w dwie wąziutkie zagrody, za kratę: ani sięść, ani obrócić się. A po środku wagonu — przestwór. Tlił się ogieniek w żelaznym piecyku. Na pudle z dykty latarnia, „nietoperz”, rzucała wiązki światła. Wokół pudła siedziało trzech konwojentów — z automatami. Grzebali w naszych dokumentach, wykrzykiwali bez potrzeby nasze nazwiska, wszystkie szydlawie przekręcając i złośliwie wysmiewali się z nas. Nie zwracaliśmy uwagi. Jakby tu najprędzej wyciągnąć się na koi.

Pociąg szedł wolno, z natężeniem huczał parowóz. Rozhulała się zamieć. Dmuchało przez szczeliny. Tuliliśmy się do siebie, przestępując z nogi na nogę. Maliukajew jął się opowiadania anegdot. Starszy konwojent usłyszał, zrobił kilka kroków ku kracie: Chichooo! Zaprzestać świństwa... Mat' waszu...!

Zgodnie ryknęliśmy śmiechem.

Śmiech ludzi za kratą, nieoczekiwany, jak śmiech nieboszczyków, przeraził konwojenta. Burcząc coś pod nosem, cofnął się.

W końcu pociąg, gwałtownie szarpnąwszy, stanął.

— Przyjechaliśmy — obwieścił starszy.

Zastukały zamki przegród.

— Wychodzić pojedynczo!

Znalazłem się pierwszy przy wyjściu razem z człowiekiem z obandażowaną głową.

Dwóch żołnierzy klnąc ordynarnie, z trudem odsuwało przymarznięte drzwi wagonu. W twarz uderzył suchy, mroźny śnieg. Zamieć w dole, w górze i po bokach, ciemność kompletna. Na mgnienie zabłyśły z boku iskry parowozu i zgasły.

— Gdzie drabinka? — spytałem.

— Ot, masz drabinkę: — Silne uderzenie w plecy i poleciałem w dół... zapadłem się, całkowicie zagrzebany w zaspie śniegu. Śnieg pozalażił za palto, do rękawów, za kołnierz. Wydało mi się, że leżę sam jeden pośród ogromnej białej pustyni. Zastukały koła odjeżdżającego pociągu. Błysnęła myśl: „Zaraz zastrzelą!”. Zerwałem się. Szczekanie psów, wrzaski konwojentów, wycie za-

mieci, gwizd parowozu — wszystko to złało się w jakiś jeden, przerażający lament.

Obok w zaspie ktoś jęczał: „Och, serce, serce!”.

Gdzieś, bardzo blisko rozległa się komenda: „Wstaawaaj!”. Człowiek w zaspie ani drgnął. Pomogłem mu stanąć na nogi. Śnieg zalepił choremu twarz, opatrunek zsunął się z głowy i wisiał jednym końcem na ramieniu. Ten sam głos: „Zebraliście wszystkich spadochroniarzy?!”. A więc w ten sam sposób wyładowali z pociągu i pozostałych. A gdzie rękawica? Czyżbym zgubił rękawicę?

Przedemną zza śnieżnej mgły wyrósł kozuch z owczarkiem na smyczy.

— Czego się tu kołujesz?

— Zgubiłem rękawicę.

— Aj-aj-aj! zamarzył biedaczyna. Ot, posadzę cię zaraz gołym zadkiem na śniegu, natychmiast się rozgrzejesz.

Pies szczeknął, zaskomlił.

— Ustawić się w piątki!

Obok mnie stanął Maliukajew.

— Ej, naczelniczku! — krzyknął zuchwale. — A może by tak narty?

— Masz narty.

Konwojent pchnął doktora kolbą karabinu.

Maliukajew zachwiał się, zmilczał, tylko wściekłość zabłysła mu w oczach.

Świszczała, piekliła się zamieć. Przeciągle ujadły psy. Doniosło znajome:... „Strzelać będziemy bez uprzedzenia”.

Westchnąłem ciężko i przywidziało mi się, że westchnęła również cała, wichrem omiatana pustynia.

Ruszyliśmy, zamieć wyła. Ślizgaliśmy się, zapadali w zasy, podnosiliśmy się i znów w zasy. Nie opuszczała mnie myśl: Rękawicy nie ma... nie ma rękawicy. Przeszukałem kieszenie — nie ma. Zgubiłem — gamoń!

Wzbiły się rakiety — jedna, druga, trzecia. Blask ich wyrwał z huczącej ciemności szesnaście zgiętych postaci. Konwój sprawdzał, czy wszyscy w szeregu. Rakiety kilka sekund jarzyły się nad nami i zgasły. Znów — jak na ekranie — zaciemnienie. Z tyłu, z boków, jak uderzenia knuta: „Podciągaj — tam, podciągaj!”.

Wybrnęliśmy na szosę. Szliśmy w kierunku mętnego blasku latarni. Wreszcie wrota wartowni. Stanęliśmy. Psy zamilkły, zlewały, zmęczone.

Na ganek wartowni wszedł oficer.

Z wieży strażniczej wyciągnął się wielometrowy, oślepiający miecz reflektora, przeciął kurzawę zamieci, ześliznął się po naszych

szeregach i utknął na domku wartowni i twarzy oficera. Ten zsunął czapkę na oczy. Wicher usiłował wyrwać mu z rąk nasze formularze, prosił je śniegiem.

Zaczęło się nudne, szczepliwe sprawdzanie. Pod czapką oficera odznaczały się tylko wąsy, sumiaste czarne wąsy. Patrzyłem na niego i widziałem tylko wąsy... tylko i jedynie wąsy. Do uszu pchały się zupełnie inne słowa i mieszały się z tymi, które wykrzykiwał oficer. Zupełnie inne: „Towarzysze... bracia i siostry, zwracam się do was przyjaciele moi... Paragraf? ile lat, kiedy kara się kończy?”...

Trzęsła mną gorączka. Z trudem odpowiedziałem na pytania oficera. Nie zdawałem sobie sprawy, dokąd nas prowadzono. W oczach biały chaos zawiei i... czarne wąsy. Przyszedłem do siebie dopiero w łaźni, kiedy ktoś chlusnął na mnie gorącą wodą ze skopka.

Umyliśmy się, oddaliśmy swoje rzeczy gospodarczemu — krępemu, powolnemu, obojętnemu człowiekowi, byłemu moskiewskiemu adwokatowi Rezinkowowi. Litościwie oddał nam, jeśli ktoś poprosił, domowe łapcie, resztę zabrał. Nago ustawiliśmy się przy drzwiach Izby przyjęć, niezgrabnie drepzcząc w miejscu, kurczyliśmy się, było bardzo zimno. Wszystkim z ust buchała para. Jedynie Maliukajew podtańcowywał.

— No, jak tam poborowi? — dopytywał się. Oto i szpital, czego milczycie? Z radości dech wam w gardzielach zaparło?

Przyszła moja kolej. Stałem przed stolikiem, przykrytym prześcieradłem. Za nim siedzieli w białych kitlach: kobieta (twarz o wyrazie młodzieńczej czupurności, zadarty nosek, na głowie związana ciepła chustka) i dwaj lekarze-zeki.

Wszyscy troje zaczęli mnie oglądać. Kobieta zapytała:

— Od jak dawna macie tę rupturę?

— Od urodzenia.

— Zaoszczędziliście ją dla nas?

— Los.

— Nie do pozazdrosczenia wasz los.

— Zgadzam się.

— Będziemy operować.

— Zgadzam się.

Milczała chwilę, zajrzała do mego formularza.

— Dramaturg? Nie tego rodzaju sztuki zapewne pisałeś?

— Między innymi oskarżono mnie o to, że inscenizowałem powieść ANNA KARENINA w celu propagandy ziemiańsko-szlacheckiego sposobu życia.

Lekarze-zeki uśmiechnęli się.

Ona wstała, podeszła do mnie, przyłożyła stetoskop do piersi.

— Bajki opowiadacie... Proszę oddychać... normalnie.

Wysłuchała serca, płuc i zwróciła się do kolegów:

— Na oddział czystej chirurgii.

W przedpokoju łaźni ubrałem się w wypraną obozową bieleznię, wsunąłem stopy w dziurawe walonki. Starszy sanitariusz Sławko (z Zachodniej Ukrainy), wysoki, jedno oko silnie zezuje, wręczył mi chałat szpitalny:

— Idziemy.

— Jak to, idziemy? Tam zamieć, mróz.

— Całego kramu pięćdziesiąt metrów.

— Wystarczy, zaziębienie pewne.

Podszedł dozorca. Oczki kłujące, szydercze...

— Prawami tu wojujesz, faszysto? Nuże, natychmiast za sanitariuszem!

Odmówiłem stanowczo. Nie pójdę na Wydział rozebrany.

— Widzisz go, jaki? Zaraz zaraportuję kapitanowi Pieriepiełkiniej. Już ci tu damy...

Poszedł. Po pięciu minutach wrócił z kozuchem w ręce. Rzucił go na ławkę...

— Na, masz, pan moskiewski...



Na siódmym wydziale przyjął mnie dyżurny felczer Misza — przystojny, krępy młodzian. Zaprowadził mnie na czwartą salę nowoprzybyłych pacjentów. Korytarz lśnił się: wyszorowana podłoga, zasłony z merli na oknach, pokojowe kwiaty w doniczkach na drewnianych podstawkach. Czy naprawdę będę mógł się za chwilę położyć? Co za szczęście! Okazuje się, że i tutaj może być własne maleńkie szczęście.

Przekroczyłem próg sali i... osłupiałem. Na dwóch niziutkich narach leżało szczerze do siebie przytulonych — na tym samym boku wszyscy — czterdziestu mężczyzn. A powietrze? Raczej żadnego powietrza. Misza poradził mi, abym wcisnął się między dwóch chorych i ryknął, jak grom komendę: „Obróć się!”

Wszyscy równocześnie, jak nakręcane lalki, przewrócili się na drugi bok z jękami, pokaszliwaniami i... spali dalej.

Masz tu oddzielną koję. Jakim złośliwym kpiarzem był Malukajew!

Misza spytał: „Wy moskwich? Bardzo przyjemnie. Mamy tu wielu moskwichów. Na Wydziale doktora Kagałowskiego — a on także wasz — z Kremlówki — leży przewodniczący Sądu Moskiewskiego, profesor katedry prawa cywilnego, Wolfson... Godzinę temu był u mnie generał Wojciechowski, oczywiście był

generał. Znacie go niewątpliwie... No jakże, przecież znany kołczakowiec. Tuchaczewski walczył przeciwko niemu podczas wojny cywilnej. Przybiegł tedy do mnie po strzykawkę i powiada: Stan Wolfsona beznadziejny... Żal... Ginie wielki uczony... Tu się można zadusić... Przejdźmy na korytarz”...

Na korytarzu Misza dalej udzielał mi informacji.

„Na trasę przywieźli także i waszą brać literacką: dwóch z Leningradu: Czetwierikow i Dymitriewskij. A teraz i wy... Możecie już stworzyć kółko literackie”. — uśmiechnął się smutnie.

„Idźcie, połóżcie się. Na pewno zmęczeni jesteście drogą. A na mnie pora, aby zrobić zastrzyk jednemu tutaj podlecowi — własowiec. I nie zdycha taki”.

Misza wyprowadził mnie zupełnie z równowagi i poszedł. Wróciłem na salę, oparłem się plecami o gorący piec i tak przeszedłem do rana.

Rankiem wielu nowych ubrali w kozuchy i walonki i pognali do lasu, do mroźnej tajgi, aby przygotowali drzewo na opał dla szpitala.

Położyłem się na zwolnione miejsce i nie to że zasnąłem a po prostu zapadłem, tylko już nie w zaspę śnieżną, a w jakąś pożadaną, obezwładniającą niepamięć.

W szpitalu

Trzeciego dnia położono mnie na sali piątej, przedoperacyjnej — i rzeczywiście — na oddzielnej drewnianej koji. Była długa i wąska. Poduszka nabita trocinami, a materac — grubszymi strużynami. Powłóczka i prześcieradło — szarawe, koc — ciemny z grubej wełny. Po więzieniu, po podłodze baraku i gołych narach, łoże takie wyglądało całkiem komfortowo. Obok koji stała szafka nocna na dwie osoby, a na niej dwa emaliowane kubki. Okna zasłonięte tiulową firanką.

Prócz mnie — na sali leżały jeszcze cztery osoby. Na koji pod oknem leżał własowiec, któremu Misza podczas pierwszej mojej nocy w szpitalu, piekląc się, robił zastrzyki. Nieduży, ociężały chłop, ze szramą na policzku, z oczami, które jakby nieustannie coś wypatrywały. Obok niego — maleńki, kulawy Chińczyk, Wania, który wszystkich nieustannie zapewniał, że już nigdy w życiu nie będzie szpiegować, kłął Czang Kai-szeka: „Swuoołocz!” i starannie, pod kierunkiem felczera Miszy studiował według podręcznika rosyjską gramatykę. Naprzeciw niego mordował się od raka, który zjadał mu żołądek, Ukrainiec, Tkaczenko. Twarz miał ciemną i gęste kosmate brwi. Nie mówił nic, tylko jęczał. Był

jeszcze na sali moskwicz, Topilin, pianista. Topilina nie pędzono na ogólne roboty, oszczędzano jego palce. Doskonale dawał sobie radę z obowiązkami obozowego felczera.

Obiecał mnie operować Mikołaj Dimitriewicz Florinskij, starszy chirurg. Wychudły, w okularach, zawsze w porządku, dniem i nocą nie opuszczał Oddziału, tutaj jadał obiady, tutaj spał. W pokoju ordynatora leżały zwinięte w rulon jakieś wykresy, nad którymi ślęczał często aż do rannej pobudki, jeśli na rano nie były przewidziane operacje.

Zdarzyło się, że Florinskij zaszedł kiedyś do naszej sali i zaczął dzielić się ze mną swoimi troskami. Opowiadał, że trzeba dokonywać ciężkich operacji. A chorzy zazwyczaj wymizerowani, przeczuleni, z chorobami serca, bardzo ciężko znoszą interwencję noża.

Wiele wypadków raka... Często przywożą z robót w lesie ludzi z otwartymi złamaniami rąk i nóg. Męczą się nieraz po kilka miesięcy. Ale, oto on zaprojektował nową konstrukcję szyny, ułatwiającej szybsze zrastanie się złamań.

„Bardzo ciekawa rzecz — opowiadał Mikołaj Dymitriewicz — przy okazji pokażę wam, popatrzysz, a nuż opiszesz” — uśmiechnął się. „Wynalazek mój odesłano do Moskwy. Sądzę, że się zainteresują. Może się przydać całemu krajowi. Jeśli zaaprobowują, tedy, być może, częściowo choćby zmniejszą karę. A mam odsiedzieć dwadzieścia pięć lat — całą wieczność! Serce może jeszcze wytrzyma, a dusza nie. Dla niej lekarstwa nie znajdziesz”.

Teraz byłem spokojny, znalazłem się w rękach, na których można było polegać. Tymczasem w przeddzień operacji Florinskij nagle powiedział mi, że pragnie mnie operować kapitan Pieriepielkina.

— Ta sama, która przyjmowała nasz etap — przypomniałem zaniepokojony.

— Tak, tak. Ale proszę się nie niepokoić. Zapewniam, że ona to doskonale robi. Ja będę asystował.

Pieriepielkina pracowała pewnie, spokojnie, nawet podzartowując.

Bardzo drogie były jej żywe, jakże ludzkie oczy. Po operacji Mikołaj Dymitriewicz stwierdził:

— Dobrze, bardzo dobrze. Tylko cóż, jedwabiu nie ma, ale to nic, zaszyjemy nicią z końskiego włosia, bardzo mocna.

Misza odwiózł mnie na wózku na nowy, szósty oddział. Byłem tam trzeci. Jako czwartego przywieźli Tkaczenkę. Wycięto mu trzy-czwarte żołądka. Leżał z nieruchomym, prawie martwym obliczem. Mniej więcej w godzinę przyszła Pieriepielkina. Sprawdziła puls Tkaczenki i wyszła zachmurzona. W dwa dni

potem, późnym wieczorem, ku naszemu ogólnemu zdumieniu, zjawiła się na sali. W rękę niosła szklankę z rżniętego szkła z ciemno-czerwonym płynem. Szczelnie zamknęła za sobą drzwi, siadła obok Tkaczenki i zaczęła go karmić łyżeczką. Przełknęła dwa razy i pokręciła głową.

— Tkaczenko, to kisiel, sama przygotowałam, w domu. Jedz.

Popatrzył na nią okrągłymi, niemymi oczyma, przeciągnął żółtymi węzłowatymi palcami po jej ręce i odwrócił się do ściany. Pieriepielkina postawiła szklankę na nocnej szafce i wyszła.

Tkaczenko bredził. Przez cały wieczór i całą noc mamrotał:

— *Wyszni, czorni wyszni... Marynko zirwy meni wyszeńku... oś, na tij giłoczci... proszu tiebia, Marynko, zirwi...*

Po zastrzykach cichł na krótko, a potem znów: *Wyszni... czerni wyszni.*

Przed samym świtem ucichł zupełnie, umarł. Głowa odrzucona wstecz, a szklane już oczy zdawały się dalej patrzeć na gałąź z czarnymi wiśniami.

Trupa wyniesiono do morgi. Zabrano koję. A szklanka z kisiem z suszonych czarnych jagód została na nocnej szafce. Nikt po nią ręki nie wyciągnął. Wszyscy na pewno widzieli w myślach, jak Pieriepielkina idzie do domu, jak gotuje kisiel dla obcego jej człowieka, dla więźnia, z którym nie ma prawa rozmawiać, nazywać go po imieniu i poświęcać mu więcej uwagi, niż na to pozwala regulamin obozowy... A oto wraca do szpitala, chociaż po służbie tak jej, jak i wszystkim zakontraktowanym pracownikom, zabronione jest wchodzenie do zony. Na wartowni, kryjąc szklankę z kisiem pod połą swego kapitańskiego szynela, wywalcza sobie przepustkę na oddział...

Przyszedł Saszka w białej czapeczce (nosi ją z powagą i solidnością lekarza), wziął szklankę i pyta:

— Może kto chce?

Poobracał szklankę w rękę, stał chwilę w zadumie i znów tonem pytania:

— A spodziewam się, że doktora... Klaudię Pieriepielkinę, nie wydacie? Jeśli ktoś słowo uroni, zarzęń!



Nocą zaszedł na salę dyżurny felczer, Konokotin. Wszyscy spali. Mnie trapiła bezsenność. Przysiadł się na brzegu koji.

— Dobrze mi jest znane wasze nazwisko. Powiedzcie czy to nie wasz krewny był sekretarzem Centralnego Komitetu Partii Białorusi dla spraw propagandy?

— Tak, to mój stryjeczny brat.

Konokotin, poruszony zerwał się.

— A więc to wasz brat? Wasyl Władimirowicz? Pracowałem z nim w dziale prasowym. Gdzie on obecnie? w jakim obozie?

— Rozstrzelali... w styczniu trzydziestego dziewiątego roku...

Konokotin zaczął biegać po sali, zatrzymał się przy oknie, jakby oglądał mroźne błyski na sosenkach na szybach, i znów podszedł do mnie.

Wyjął z kieszeni cytrynowe cukierki.

— Częstujcie się... Dostałem w przesyłce... Znów usiadł na brzegu koji.

— Dobrze, bardzo dobrze go pamiętam... Bolszewik od piętnastego roku. Za co.

— Nie mam pojęcia... Wiem tylko, że coś nie układało się między nim i Kaganowiczem... A z wynurzeń mego własnego śledczego dowiedziałem się, że Wasia rzucił w śledczego kałamarnem.

— Tak... — w zamyśleniu ciągnął Konokotin. — On był właśnie taki. Nie znosił żadnego kłamstwa, niesprawiedliwości, najmniejszych odchyłeń od leninowskiej linii.

Konokotin zaczął coś z trudem sobie przypominać.

— W zeszłym roku... Tak, w zeszłym roku słyszałem od jednego artysty-zeka... Siedział z waszym bratem w łagrach na Pieczorze... A więc jego... tedy... rozstrzelali po powtórny śledztwie?... Oczywiście... Pracowali tam obaj w kuźni przy młotach, żyli zaś w ziemiance...

Pewnej nocy Wasyla obudziło coś nieoczekiwanego i wprost dzikiego. Artysta siedział na ziemi i śpiewał: „Wśród hucznego balu przypadkiem”. Wasyl, któremu obca była jakakolwiek sentymentalność, chwycił się za głowę, wypadł z ziemianki, przytulił się do sosny i spazmatycznie zapłakał...

Zrobiło mi się nieswojo od tego opowiadania. Przerwałem więc Konokotinowi i pytam:

— A wy, Oriest Mikołajewicz, za co?

Błada, chuda twarz Konokotina, z lekko wypukłymi oczyma i delikatnym zaostrzonym nosem, stężała:

— I tak już nie możecie spać...

— Oriest Mikołajewiczu, słyszałem już takie rzeczy i takie już widziałem... A przecież i tak nie zasnę.

Konokotin zaczął głucho mówić.

„Zabiłem samego siebie... Tak, samego siebie — powtórzył. — Nie wierzycie? Ja również nie wierzę... Oskarżono mnie o to, że jako bym, korzystając z zewnętrznego podobieństwa do

starego bolszewika i politycznego robotnika, Oriesta Konokotina zamordował go i przywłaszczył sobie jego dokumenty. Żadnych dowodów ani świadectw, że ja jestem prawdziwym Konokotinem nie brano pod uwagę. Dla komedii odszukano zwiędłą staruszkę, moją niańkę... Ta początkowo zeznała, że mnie ktoś zabił, ale kiedy zobaczyła mnie podczas konfrontacji, wykrzyknęła: Oriestuszka. Staruchę wygnali, a mnie zasądziła za terror na lat dwadzieścia pięć...”.

Podszedł do chorego, który zaczął jęczeć, zmienił mu kompres. Wrócił.

„Mnóstwo, mnóstwo tragedii ludzkich. Są tutaj ludzie... na samą myśl, że oni są więźniami, ogarnia przerażenie. Gdyby nie moja wiara w partię, żyć by nie warto... Jest tu na jedenastym oddziale Todorskiej, Aleksander Iwanowicz! Komunistą z osiemnastego roku! W czasie wojny cywilnej był kombrigom, komdiwom, komkorem⁶”.

— Przepraszam... Todorskiej? Czyżby autor znanej książki pod tytułem: „Rok z karabinem i pługiem”?...

— Ten sam... Lenin o nim pisał, mówił na XI Zjeździe Partii. Lenin, to dla Todorskiego życie, którego nikt mu nie może odebrać.

— Naczelnik Akademii Lotniczej, czterokrotny kawaler Orderu Czerwonego Sztandaru! Pojmujecie to?! — krzyczał Konokotin, zapominając, że chorzy śpią. — A teraz ma na plecach piętno: SZ 551!

Konokotin wyrznął kułakiem w szafkę nocną. Zachłysnął się gniewem. Potem, już spokojniej ciągnął dalej:

„Straszne, straszne! W trzydziestym ósmym rozstrzelano jego żonę... Wielki inżynier-chemik, projektowała i pomagała budować zakłady chemiczne w Dzierżyńsku... Już przed samą rewolucją była w naszych szeregach... Wybrano ją na stanowisko sekretarza Związku Młodzieży przy Moskiewskim Komitecie Partii. Brata Todorskiego również rozstrzelali... naczelnika Głównego Zarządu Przemysłu Chemicznego, Iwana Iwanowicza... A i Aleksander przeszedł męki śmiertelne... wszystkie więzienne kręgi piekła... Dziw, że w ogóle ocalał... Sam wszystko opowie... Poprawiajcie się zatem, zaznajomię was... Dobrze by było, gdybyście w obsłudze naszego obozu zostali przygłupkiem...”.

— Co? Przygłupkiem? Jakim przygłupkiem? — zdumiałem się.

— Jakby tu powiedzieć, zająknął się Konokotin. Przygłupkiem nazywają w łagrze tych więźniów, którzy pełnią prace gos-

6. Kombrig, komdiw, komkor — dowódca brygady, dowódca dywizji, dowódca korpusu — stopnie generalskie w Czerwonej Armii.

podarcze lub kancelaryjne. Są zeki, którzy uważają, że przygłupki, to specjalnie uprzywilejowani donosiciele i podlizusy... To nieprawda! Oczywiście, trafiają się i tacy. A w zasadzie — przygłupek — to wiecie co? Oto mądry więzień przy głupim naczelniku!

Roześmiał się.

— Tak, ale naczelnik głupiec — zauważyłem — to najbardziej niebezpieczny z głupców.

— Słusznie! Tym niemniej mądry może w łagrze wiele zrobić dla ulżenia doli pozostałych. I wiele robi. Tu zaś, w szpitalu, dołąd spływają strumienie żywych ludzi ze wszystkich obozowych punktów trasy, to bardzo ważne.

Konokotina odwołał zaniepokojony Sławko. W sąsiedniej sali umierał inżynier, autor książki o technice łączności. Przesłano mu tę książkę z Moskwy, nie rozstawał się z nią, trzymając pod poduszką.



Podczas porannego obchodu Pieriepielkina spytała, jak się czuję. Odpowiedziałem zapytaniem:

— Obywatelu Doktorze, dlaczego jest tak mało takich, jak wy?

Zmarszczyła brwi i sucho, oficjalnie:

— Są jakieś prośby?

— Żona nie wie, gdzie jestem...

— Sanitariusz, dajcie mu arkusz papieru i ołówek. A wy... zwróćcie się z prośbą do naczelnika szpitala, majora Rabinowicza, że po więzieniu... Ile czasu byliście pod śledztwem?

— Jedenaście miesięcy. Och, jakież one były...

— To mnie nie interesuje. Otóż napiszcie, że następnie dostaliście się do szpitala i proście, aby żonie waszej podano wasz tymczasowy adres...

— Was wkrótce wyślą... Ja oddam — schwytawszy się jednak na jakiejś myśli, zająknęła się. — Chociaż lepiej będzie, jeśli odnieście sanitariusz.

Doktor wypisała tym, którzy byli po operacji po dwieście gramów mleka i porcji sitkowego chleba (jednak Maliukajew nie był już takim skończonym kłamcą!) i, odchodząc, po raz pierwszy powiedziała do wszystkich „Do widzenia”.

Nazajutrz do sali wbiegł szybko Sławka i, jak na alarm, zerwał mnie z koji.

— KUM wzywa, szybko! (Kum'em nazywali więźniowie głównych naczelników bezpieczeństwa na łagiernych punktach).

— Przecież ja mam jeszcze szwy!

— Tu nie wolność! Ubieraj się!

Przez zonę prowadził mnie dyżurny KUM'a, wysoki zek o podługowatym, zastygłym w jakimś zdumieniu obliczu. Szumiąco mi w głowie z osłabienia i od świeżego mroźnego powietrza.

Dyżurny prowadził mnie pod rękę i wypowiadał tylko jedno słowo: „Trzymaj się”. Wypowiadał je co dziesięć sekund, jednakowym tonem, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Oto robot — pomyślałem. Niewidzialna ręka naciska w nim jeden jedyny guzik, innych nie rusza i ten doskonale wypracowany mechanizm rozwiera żelazne szczęki i wypycha tylko jeden dźwięk: Trzymaj się, trzymaj!

W „chytrym domku” jak nazywają zeki stojącą po środku zony chałupkę — silnie pachniało wodą kolońską. Świeżo ogolony młody brunet, major służby bezpieczeństwa, wskazawszy mi krzesło rzekł:

— Możecie napisać do żony... Zaraz, tutaj...

Położył przede mną arkusz pocztowego papieru, kopertę, obsadkę z piórem, przysunął kałamarz.

Myśli plątały się, pióro potykało. Linie gdzieś uciekały. Nie wiedziałem, co można pisać, a czego nie; pytać nie chciałem. Pisałem więc jak ją kocham, że na pewno znów będziemy razem, że nowy rok spotykam rześko z głęboką wiarą w triumf prawdy. Wierzę i spodziewam się — pisałem — że powrócę do swojej pracy, że to, co przeżywamy będzie nam się wydawać ciężkim majaczeniem sennym, jakim mnie się wydaje obecnie.

Major przeczytał napisane i sakrastycznie się uśmiechnął.

— Macie nadzieję? — i tonem całkowicie odbierającym nadzieję dodał — miejcie.

Zawołał dyżurnego. „Odprowadź go na Oddział” — a do mnie: „list wysłę”.

Komkor i inni

Zaczął się rok nowy. Mrozy trwały. Okna sali obrosły grubą powłoką lodu. Woda kapała na podłogę. Sławka dwoił się i troił: zawieszał przy parapetach okiennych butelki i bańki, po dziesięć razy na dzień przecierał podłogę, z kąta w kąt przesuwiał kwiaty, przecierał każdy liść (a swoją drogą przypominają dom), dniem i nocą przyjmował odmrożonych, przysnienionych na wyrębie lasu zeków, wynosił do morgi jednego za drugim tych, którzy „zwolnili się przedterminowo”.

A u mnie, wkrótce po operacji ujawniła się fistuła. Powiadam do Florińskiego:

— A tak zapewnialiście, że Pieriepielkina zrobi wszystko doskonale.

On przymrużył oczy i odparł wieloznacząco:

— Wszystko też było zrobione doskonale... dotrzymasz u nas do wiosny. Penicyliny nie ma. A sprowadzać jej z domu... nie należy.

Nie udało mi się jednak leżeć w łóżku... Wezwano mnie do głównego lekarza, Barinowa.

Niepochlebłą sławą cieszył się Barinow na całej trasie. On to właśnie kiedyś powiedział o sobie: „Naprzód jestem czekistą, potem dopiero lekarzem”. Od takiego nie było co oczekiwać współczucia. Niziutki, twarz wyprana z wyrazu, oczy złe, ostry smagający głos — zewnętrznie jakoś przypominał powiatowego naczelnika straży pożarnej. Obejrzał mnie bardzo dokładnie, coś tam poburczał pod nosem, i powiada:

— Nie prędko się zagoi... No, ale nie ma co leżeć w łóżku... trzeba pracować.

Przeniesiono mnie do baraku dla ozdrowieńców i mianowano statystykiem w kancelarii lekarskiej i bibliotekarzem w KW CZ⁷. Przyszyto mi na plecach i na prawym kolanie białe szmaty: Stałem się człowiekiem-numerem: AR-775.

Biblioteka była ubożuchna: dwieście starych książek. Dziwne było, że znajdowała się również w pewnej — małej — ilości literatura polityczna. Major służby bezpieczeństwa uprzedził mnie jednak, że mogę ją wydawać zekom tylko za jego każdorazowym zezwoleniem. Zrobiwszy katalog, obszedłem wszystkie baraki i oddziały szpitala, pytając kto i jakie książki chce czytać.

Wtedy właśnie spotkałem się z Todorskim. U Oriesta Mikolajewicza w tzw. laboratorium terapii tkanek. Laboratorium mieściło się w ziemiance z dachem z sitowia. Prowadziły do niej drzwi, skrzywione, skrzypiące. Można było wejść przez nie tylko zginając się we troje. Tutaj Konokotin opracowywał w termostacie macice, dostarczane przez klinikę położniczą w Tajszezie. Pracował, zdominując o wszystkim, jakby w natchnieniu. Koledzy nazwali go „Artystą macicy”. Naczynie z gotowym materiałem niósł na Odział dumnie, uroczyście, na wyciągniętych rękach, z podniesioną głową, krocząc wolno. Chorzy, widząc taką procesję, mieli zwyczaj mówić: „popatrz, ojciec Oriest święte dary niesie!”.

W laboratorium stale palił się piec, zbudowany z cegieł, z metalową płytą. Utrzymywana była stała temperatura. Na tych,

7. KW CZ — Wydział kulturalno-wychowawczy.

którzy zachodzili do Oriesta Mikołajewicza, czekała zawsze „prawdziwa herbata”.

Pewnego wieczora zaszedłem i ja. Za stołem kancelaryjnym obok Konokotina siedział nad parującym kubkiem Todorskiej. Wstał — wysoki, barczysty, ciągle jeszcze o wojskowej postawie, przywitał się i rzekł:

— Siadajcie, towarzyszu, z nami.

Mówił spokojnie, choć wyczuwało się we wszystkim duże znękanie; wspominając coś, długo nie odejmował warg od kubka z herbatą, po czym znów zaczynał opowiadać — cicho, wyraźnie.

Todorskiego aresztowano jesienią trzydziestego ósmego roku. Zarzucano mu, że jest członkiem wojskowo-faszystowskiego spisku, szkodnikiem, potencjalnym terrorystą. Oszołomiony, doprowadzony na śledztwie do zaćmienia umysłowego „uznał swoją winę”. Kiedy jednak przyszedł do siebie, odwołał wszystkie poprzednie zeznania. Szesnaście razy przesłuchiwali go śledczy Małyszew, Kuzowliw i Kozakiewicz. Z najwyższą wściekłością usiłowali wydobyc od niego ponowne „przyznanie się”. Wytrwał.

W maju trzydziestego dziewiątego roku sądziło go kolegium wojskowe. Ani przewodniczący kolegium, Aleksiejew, ani członkowie, Dietistow i Suslin, nie zdołali go złamać. Zasądzono go na 15 lat zamknięcia w łagrach, następnie pozbawienie wszystkich praw obywatelskich na lat pięć, odebranie zasłużonego w bojach o władzę sowiecką stopnia komkora i konfiskatę mienia.

— Kiedy po wyroku — mówił Todorskiej — przewieziono mnie do więzienia w Butyrkach, współwięźniowie serdecznie mnie witali, a i ja sam byłem tak szczęśliwy, jak bym się wyrwał z duszącej pętli! Potem zawieziono mnie na Północ... byłem tragarzem na przystani w Kotłasie, kopaczem przy budowie szosy koło Uchty; kopałem ziemię ze wspaniałymi ludźmi: akademikiem-mikrobiologiem, Pawłem Feliksowiczem Zdradowskim i inżynierem-elektrykiem, Trunowym Eugeniuszem Ignatjewem. Ciężko było na sercu. Czyż naprawdę wszyscy uważają mnie za wroga? Nagle otrzymuję list, ot strzępek zapisanego papieru; od przyjaciółki mojej żony, Marii Grigoriewny Gabriłowej! Pracowała wtedy w Baku razem z Kirowem, w sekretariacie partii... Inżynier-chemik, jak moja żona... Pisała mi: Drogi Aleksieju Iwanowiczu, trzymaj się mężnie, błagam, trzymaj się! I dalej—co niosło radość ogromną, ale i strach: Towarzyszu wierz, wszędzie jeszcze gwiazda upajającego szczęścia, Rosja zbudzi się ze snu i na szczątkach autokracji napiszą nasze imiona! Byłem oszołomiony: znalazła mnie Gabriłowa! Po co? Przecież to dla niej niebezpieczne... List ten trzymałem w ręku jako dowód nieśmiertelności komunistów!... Tych prawdziwych...

Poprosił Konokotina o jeszcze jeden kubek herbaty, mocniejszej — i dalej snuł wspomnienia.

Latem przerzucano ich z Uchty do Tajsztetu... Szedł długi, nieskończenie długi eszelon towarowy, z zamkami, zakratowanymi oknami... Na postojach, na stacjach podchodzili ludzie do naszych wagonów i nie zwracając uwagi na wrzaski i groźby konwojentów, podawali nam przez okna cukier, papierosy, chleb... Na pewnej węzłowej stacji — pamiętam — rozładowywano pociąg wojskowy. Żołnierze, dowiedziawszy się, że wiozą więźniów, rzucili się do naszego pociągu, odepchnęli konwój i wpychali nam tytoń, zapalki, wyciągali do nas pieniądze, swoje żołdackie kopiejski!

Narodu nie oszukasz, naród prawdę czuje!

Konokotin znów nalał herbaty i wysypał z woreczka resztki przesyłki — białe suchary.

— Nie uwierzycie — ciągnął dalej Todorskiej — a zdarzały się i takie wypadki... W baraku na setnym kilometrze od Tajsztetu — pracowałem tam jako sanitariusz przy Izbie Chorych na dwadzieścia łóżek — powstał spór na temat władzy sowieckiej. Zapaliłem się i wygłosiłem cały odczyt w obronie naszej władzy.

Kucharz-zek zapytał.

— Tak ty niby wszystko wiesz, wszystko wyjaśniłeś, jakbyś na półkach poukładał. Powiedz tedy: w Korei mamy wojnę? — kto zwycięży?! Nasi — odpowiedziałem twardo. Kucharz zaśmiał się: „Jużes ty całkiem zwariował, Aleksandrze Iwanowiczu”! Kucharza podtrzymał jeden z byłych białych oficerów.

— Zdziwiający naród. Toż Todorskiej — dosłownie jak karaś, jak Boga kocham! Smażą go na patelni aż dym idzie, a on krzyczy: Ach, jak ładnie pachnie!

O całej dyskusji doniesiono widać do kierownika zaopatrzenia Bogdanowa. Przychodzi do mnie i powiada:

— Todorskiej, może byś tak pewną rzecz zrobił, co?

— Co takiego, obywatelu naczelniku?

Po pewnym wahaniu prosi:

— Przeegzaminuj mnie z Historii Partii. Muszę zdawać egzamin. Boję się, że zleję.

Przeegzaminowałem go. Widocznie opowiedział o tym naczelnikowi służby zdrowia, podporucznikowi Bieriezencewowi. Ten również przyszedł:

— Todorskiej! Czy moglibyście dla mnie zrobić konspekt z Historii Partii? Nie zapomnieliście jeszcze?

— Pamiętam, obywatelu Naczelniku, ale muszę mieć książkę.

— Będzie, tylko, sza! żeby nikt... Albo wyślę się tam, gdzie nie trzeba. Rozumiesz?

Przyniósł książkę. Pracowałem w tajemnicy w intendenturze

Izby Chorych. Co zacznę — ktoś wchodzi. Ja książkę do szuflady. Widzę, że tak dalej nie da rady. Trzeba pracować nocami. A w Izbie Chorych mieszkał doktor-zek. Kiedy szedł spać — ja za konpekt... i przysłuchuję się, czy doktor nie wstał, czy nie robi obchodu na Izbie Chorych, co czynił dość często. Wywąchał to moje nocne czuwanie. Podkraść się kiedyś nocą. Zasyczał mi do uszu: „Wiem, co ty robisz nocami — donosy piszesz”.

Bieriezencewa nie wydałem. Nie dlatego, że był zwierzchnikiem, a dlatego, że samemu chciało się czytać i rozmyślać o partii.

— Jakże ten Bieriezencew zachował się potem?

— Słuchajże, słuchaj, towarzyszu. Bardzo mi był wdzięczny i dziękował. Przyniósł ogromnego kota i powiada: „Jadę na urlop. Oddaję ci Muškę pod opiekę. Ucieknie — łeb urwę!”.

Zaskrzypiały drzwi. Do ziemianki wszedł, garbiąc się naczelnik straży obozowej, Kuźnik.

— A wy tu co? Konspiracyjne zebranie? — spytał groźnie, rozglądając się po kątach. I zaczął grzać ręce nad kuchenną płytą.

— Herbatką się zabawiamy — powiedział w charakterze wyjaśnienia Konokotin, demonstracyjnie z trzaskiem gryząc suchara. — A może by tak do towarzystwa?

Kuźnik nie odpowiedział i stojąc nad kuchnią zaczął filozofować.

— Gdyby was nie pilnować, dawno byście wszyscy zwiali... Czasami nie jest tak źle i niebezpiecznie wyrządzać ludziom zło, niż czynić im wiele dobrego. — Zwrócił się do Todorskiego:

— Żeby mi zona była wyczyszczona, ot tak! — podniósł kułak z odstawionym kciukiem. — Każdą ścieżynkę osobiście sprawdzę. — Popatrzył na zegarek: — Po wieczornym apelu, nie zasiadywać tutaj.

Zajrzał do kątów, pod stół i wyszedł, pełen podejrzliwości, nędzny człowieczek.

— Psi obowiązek! I psie stanowisko — rzekł Todorski. — My, więźniowie, to dla nich po prostu manekiny w kaftanach. A gdy nagle spod kaftana wyjrzy człowiek — ślepią im wyłażą. Zeszłego roku przyjeżdżał tutaj naczelnik całej grupy łagrów OZIERŁAGU, pułkownik Jewstingniejew. Idzie przez zonę, a ja zamiętam. Stałem na baczność, przyciskając miotłę do ramienia, jak karabin. Zatrzymał się:

— Były żołnierz, co?

— Tak jest.

— Gdzie służyłeś?

— W Moskwie.

— Moskwa wielka, więc gdzie?

— W Komisariacie Obrony ZSRR.
— Coś tam robił?
— Byłem Naczelnikiem Zarządu Wyższych Szkół Wojskowych.

— Miałeś stopień wojskowy — nie dał dokończyć.
— Tak jest. Komkor robotniczo-chłopskiej Czerwonej Armii.
— Jakieś przestępstwo popełnił?
— W niczym nie zawiniłem.
— Jakto nie winien? Przecież ciebie zapewne skazał sąd?
— Tak jest. Wojenne kolegium.
— Jakaś dostał karę?
— Piętnaście lat!
— No, proszę! A powiadasz — nie winien.
Popatrzyłem mu w oczy. Odwrócił się.
— Zamiataj.

Pułkownik gwałtownie zawrócił i oddalił się.

Rozległy się uderzenia młotka o szynę. Konokotin zdecydował że zanocuje w laboratorium, gdzie stał tapczan i materac z kocem, a myśmy wyszli. Na niebie świecił samotnie blady księżyc. Na słupach lampki elektryczne. Po kolei na każdej z czterech wież strażniczych wstawał oślepiający reflektor, przebiegał po strefie zakazanej, troskliwie ją obmacywał i zaczepiwszy o krawędź ciemnego nieba, chował się, gasł.

Uściskawszy sobie dłonie, rozeszliśmy się. Todorskiej na Oddział szpitala, ja do baraku.

Ledwie zacząłem się rozbierać, gdy przyszedł dyżurny Naczelnika szpitala, Żydkow. Był ministrem kolei w burżuazyjnej Łotwie, a w łotewskiej ZSRR — głównym inżynierem Zarządu kolei żelaznych. Żydkow zwracał na siebie uwagę swoją patriarchalną siwą brodą, którą pozwolono mu nosić. Wśród ostrzyżonych do czysta, bezwąsych i bezbrodych zeków stanowił bardzo barwną postać. Mieszkał w pokoju przyjęć majora Rabinowicza, spał na kanapie i nazywał naczelnika: major-człowiek, co znaczyło człowiek ludzki (w łagrze dodatek „człowiek” miał znaczenie najwyższego uznania czegokolwiek i kogokolwiek: chleb ludzki, zupa ludzka, mróz ludzki, naczelnik ludzki itp.).

— Przepraszam, że niepokoję — zwrócił się do mnie Żydkow — proszę do naczelnika.

Wezwanie późnym wieczorem do naczelnika nie zapowiadało niczego radosnego. Nie takie jest wezwanie, gdy mają kogoś zwolnić. W czasie, gdy się ubierał, Żydkow mówił, gładząc sobie brodę i mrugając krótkimi rzęsami:

— Major zresztą uprzedził mnie, że gdybyście spali już, nie niepokoić, polecieć stawić się jutro... rano.

W maleńkim gabinecie naczelnika szpitala paliła się jasno stołowa lampa. Major czytał gazetę. Gdy wszedł ten nie odrywając oczu od gazety, rzucił: „Siadźcie”. Stałem dalej. Odłożywszy gazetę, wstał, przeszedł się po gabinecie i znów wezwał mnie, aby siadł. Dziwne było uczucie pogrążania się w głębokim fotelu.

Major zaczął wypytywać się o moją sprawę: jak długo trwało śledztwo, gdzie pracowałem do czasu aresztowania. Oповідаłem obszernie, z przejęciem. Wysłuchał mnie do końca i rzekł: „Jeśli wszystko, co mówicie, odpowiada prawdzie, tedy...

— W moim położeniu nie można mówić nieprawdy — zauważyłem.

— Tedy możecie prawie na pewno liczyć na powtórne rozpatrzenie sprawy. No, a tymczasem pracujecie u nas. Oto, jaką mam prośbę — wyjął z szuflady książkę. — Doskonałą powieść napisał Kozakiewicz: „Wiosna na Odrze”. Spróbujcie zrobić z tego adaptację sceniczną dla naszego tutaj, amatorskiego kółka, co?

Radość rozproszonych myśli kazała mi milczeć.

— Trudność polega na tym, że nie będzie się można obejść bez żeńskiej roli. Ale jest wyjście. Niezadługo przyjdzie do szpitala Oleg Baranow, więzień. Nawet nie będzie trzeba go charakteryzować. Nałoży sukienkę, kaftanik — i... wykapana dwudziestoletnia ostrzyżona dziewczyna. Tą okolicznością nie potrzebujecie się więc turbować. Zamknijcie się w KWCZ i piszcie. Dam polecenie, aby was tymczasem nie odciągano na inne roboty, z wyjątkiem, oczywiście, kancelaryjnych.

Wszystko to odczułem jako zadatek wolności, która nagle zajrzała mi do oczu.

Żydkow, zamykając za mną drzwi, porozumiewawczo, radośnie mrugnął:

— A major-człowiek.

Etapy, etapy

Kancelaria lekarska urządzona była w dwupokojowym domu o szerokich, niskich, prawie nad samą ziemią, oknach. W przedpokoju za grubo ciosanym stołem z desek, siedział introliigator, Tołokonnikow, zgarbiony starzec o młodych i porywczych ruchach. Pachniał machorką, klejem i przypalonymi sucharami, które suszył tutaj w bardzo mocno napalonym ruskim piecu. Tołokonnikow oprawiał foliały z historiami chorób, aktami sekcji pośmiertnych i innymi medycznymi dokumentami. Z przedpokoju jedne drzwi prowadziły do gabinetu Barinowa, drugie

— do pokoju naczelnika kancelarii (ten pokój zwykle był pusty, bowiem wszystkie roboty za naczelnika wykonywali więźniowie, a on zjawiał się tylko dla podpisywania papierków).

Każdego ranka w gabinecie Barinowa zbierali się lekarze na odprawę. Barinow wysłuchiwał raportów, czasami milczał, czasami kłął, po czym szedł do morgi na sekcję kolejnych trupów. Zagaądał następnie do jednego, drugiego oddziału szpitala, „podciągał” tam felczerów i sanitariuszy i aż do następnego dnia zniknął, jeśli nie zestawiano kolejnego etapu, tzn. wysyłki chorych ze szpitala.

Dziś również koło dziesiątej zaczęli przychodzić lekarze. Jako pierwszy wbiegł Maliukajew. Na plecach miał naciągnięty wielki płat białego materiału z grubo wyrysowanym numerem obozowym. Umyślnie, wyzywająco naciągnął takie prześcieradło, jak twierdził „z podtekstem”.

Oparł się półleżąc o barierę i zakomunikował nam:

— Słyszeliście, jaka operetka miała miejsce w szpitalu w Bratsku? To nie „plota” nie! Tamtejszy lekarz naczelny, Peterfalwi — znam go, ukończył wydział medyczny w Wiedniu — okazał się, proszę sobie wyobrazić, biskupem! Członkiem zakonu jakichś tam „miłosiernych braci”. Od razu go więc z lekarskiej ambony — kolanem w zadek — i na kontrolera do jedenastej kolumny! Cudne są twoje sprawy, o Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego!

Westchnął komicznie i zniknął za drzwiami gabinetu.

Razem przyszli, mówiący półszepcetem okulista Tołkaczew (pracował w Odessie z akademikiem Fiłatowem) i gruby, zachmurzony patolog-anatom, profesor Zajewłozin (również z Odessy, był burmistrzem przy Niemcach). Zajewłozyn, rozplątując ciepły szary szalik, ściśle przylegający mu do szyi, spytał:

— Ile?

— Trzy, Michale Mikołajowiczu, wszyscy z gruźliczego.

— Doskonale, jest robótka!

I, wypuczywszy przed sobą brzuch, skierował się do gabinetu.

Do przedpokoju wskoczył hałaśliwy, wiecznie się dokądś spieszący, Kagałowicz „poborca daniny sprawiedliwości”, jak nazywano w szpitalu doktora, za jego nieustraszoną obronę chorych zeków, za co niejednokrotnie musiał płacić odsiadaniem w więziennym karcerze. Kagałowicz ze wzburzeniem oświadczył, że przesyłkę z Moskwy przetrzymali biurokraci na Newelskim oddziale poczty i w rezultacie wszystko zatechło.

Przyszła Pieriepiełkina w futrze i ciepłej chustce. Naramieniki jej zdjęto (nikt nam, oczywiście nie powiedział dlaczego, ale

myśmy wszyscy rozumieli, że za „niezgodny z przepisami stosunek do więźniów”). Zostawiono ją jednak w szpitalu, jako zakontraktowanego chirurga. Milcząc skinęła nam głową i siadła w samych drzwiach gabinetu.

Pojawił się, zawsze ze wszystkich i ze wszystkiego niezadowolony, laryngolog, Jermakow. Zastukał w sieniach butem-protezą, Polak Baczyński (pisze w łagrze dysertację o nadwrażliwości). Pochód zamknął skórnik, Kamieniew, o chorobliwie pucółowatej twarzy, i Mikołaj Dymitriewicz Florinski.

Zaraz za nimi przyszedł i Barinow, zacierając zmarznięte ręce.

— Wszyscy się zebrali?

— Tak jest.

— Ależ napaliliście tutaj! To wszystko Tołokonnikow, suchary swoje piecze... Zabraniam! Drzewa w szpitalu nie ma!

W momencie, gdy zaczęła się odprawa, zjawił się pisarz transportowy, Jurka (moskwicz, instruktor wychowania fizycznego). Kaftan na nim, jak niezgrabne pudło, czapka — tyłem do przodu.

— Żyjecie jeszcze, staruszkowie moi? Ja też żyw. Witam, witam!

Przywitał się.

— Dowiedziałem się, żeście, tając obawy, zatęsknili za mną.

— Masz stary, bierz!

Położył na stole długi arkusz papieru, pogroził nam przygryzając koniuszek wskazującego palca (co znaczyło: tylko bez nerwów) i zrejterował natychmiast.

Był to kolejny spis wysyłki chorych ze szpitala. Na razie jeszcze trzymany w tajemnicy. Wśród wysyłanych na wyrąb lasu był i Maliukajew. Nie było wątpliwości, że naczelnik bezpieczeństwa i Kuźnik postanowili pozbyć się uszczypliwego i stale naruszającego ustalony reżym doktora. Barinow go nie wybroni. Dla niego przecież wszystko jedno: choćby wszystkich lekarzy wysłać na wyrąb lasu a chorych do morgi. Maliukajew ze swymi wrzodami i gruźlicą nie wytrzyma długo na robotach w zimowe chłody.

Odprawa się skończyła i wszyscy, głośno rozmawiając, rozchodzili się. Barinow zatrzymał się czegoś w gabinecie. Odwołałem na bok Maliukajewa.

— Musicie zachorować. I to tu, natychmiast, nie ruszając się z miejsca.

Maliukajew zmienił się na twarzy. „Kuźnik” — wycedził przez zęby. W drzwiach pojawił się Barinow. Maliukajew zgiął się w pół, zajęczał.

— Co wam jest?

— Przeklęty wrzód... obywatelu majorze.

— Więc czegoż ty głupcze ciągniesz to, jak gumę. Operować się trzeba... Zapisać go na pierwszy oddział!

Barinow wyszedł, niczego nie zrozumiał. Maliukajew rozjaśnił się i powiada:

— Żeby lepiej pożyć, trzeba umieć oszukiwać zwierzchników.

W pół godziny potem leżał już na szpitalnej koji.

A w kancelarii zaczęło się tasowanie ludzi, przeznaczonych do wysyłki.

W sieni i w przedpokoju tłoczyli się, siedzieli w kucki, podpierali ściany — ludzie najrozmaitsi, o różnym sposobie myślenia, różnojęzyczni — ale wszyscy pośepni. Odziani w porwane czapy, brudne dziurawe kaftany, bezsensowne, jakby dla słońi buty, zszyte ze starych opon samochodowych, i ściągnięte kawałkami sznurków. Reznikow, zgodnie ze wskazówkami wyrachowanego kierownika zaopatrzenia, starał się ubrać wysyłanych ze szpitala w najbardziej wyselekcjonowane łachy.

Wpadł Jurka, sprawdził, czy wszyscy przyszli, wściekł się, zobaczywszy jednego z zawiązanym policzkiem:

— Ząbki rozboleły? Banderowska twoja mordą! Hiob męczennik!

Jurka zaraportował majorowi, że ludzie się zesзли i wybiegli.

Barinow jednoosobowo określał kategorię zdolności do pracy: Pierwsza — inwalida zdolny do pracy, druga — niezdolny. Wywoływał pojedynczo. Oglądał dziąsła, obmacywał tyłki, słuchał (a raczej udawał, że słucha) serca, płuc. Po czym, milcząc, pokazywał mi jeden lub dwa palce, bądź krótko, ostro wykrzykiwał: „Prrac... Nie prrac...” (ja zaś zapisywałem te kategorie do formularzy). Głównymi przesłankami dla Barinowa nie był stan płuc czy serca, a paragraf i wymiar kary.

— Naa-stępnym! — rozlegał się jak świst knuta głos Barinowa. Zeki robierali się do pasa i trwożliwie a nawet ze strachem, niektórzy zaś z rozpaczą wchodzili do gabinetu, jakby po nowy wyrok.

Kolejnym był starzec, lat siedemdziesięciu, półgłuchy. Obejrzał pokój, przeżegnał się szerokim gestem w stronę kwiatów w kącie pokoju i nagle, jak podcięty, rąbnął na kolana, wyciągając przed siebie ręce:

— Nie mooo-gęęę... obywatelu... nie odsyłaj!

— Wstawać! — wrzasnął Barinow.

Starzec podniósł się ze stękaniem. Nogi i ręce mu drżały.

— Paragraf?

— Czego?

- Paragraf — pytam.
- Szpion!
- Zdejmuj koszulę — nie wiesz jaki jest porządek?

Starzec obnażył suche zapadłe piersi. Major przycisnął do nich stetoskop.

- Z zachodu?
- A?!
- Ot, głuszec!
- Kara?
- Dziesięć.
- Oddychaj!
- Nie ma... czym... Obywatelu doktorze... majorze...
- Ubieraj się! — Milcząc pokazał mi dwa palce
- Naa-stępny!

Do gabinetu, trzymając się za oddrzwia wkroczył człowiek, a raczej coś na podobieństwo widma człowieka, z którego został zaledwie szkielet. Stożkowata głowa obwiązana była brudno-zielonym szalikiem. Oczy zapadłe, ale jeszcze patrzące z głębokich jam... wgrzyzająco.

— Maa...am r...e...z...o..l...u...c...ję.

Mówił, rozciągając sylaby i litery, jakby głucho gubiąc pudowe słowa. Wyciągnął kartkę, wyrwaną z zeszytu... palce krótkie, woskowe...

— Jaka tam znów rezolucja — zmarszczył się Barinow — i przebiegł oczyma po papierze.

— Pro-szę... wła-dzy.. aby zo-sta-wić mnie... w szpi-ta-lu, po-zo-sta-ją-cym pod wa-szym kie-ro-wnic-twem! Na pe-wno u-mrę. Rak!

— Zapisać do szpitala na oddział ósmy — Barinow rzucił podanie na stół. Na papierze widniała zamaszysta rezolucja majora Rabinowicza: Zostawić!

- Dawno siedzisz?
- Sto lat... i mo-że... jesz-cze... o-stat-nią... noc.
- Co to masz na głowie?

— Ani... na... gło-wie, ani... w... gło-wie... nie mam nic,

— Na jakim stanowisku byłeś przedtem?

— Czło-nek ko-le-gium... Cz.K. za-stęp-ca Mien-żyń-skie-go... byłem. Po-seł w... Chi-nach... byłem. Czy mogę... o-dejść?

Barinow powiercił wskazującym palcem w skroni, abym to widział i krzyknął:

— Naa-stępny!

Przepuściwszy w drzwiach wolno wychodzącego starca, wlaźło do gabinetu chłoptasko w średnim wieku. Łeb do sufitu...

na piersiach tatuaż: półlitrowa butelka i wianuszkciem koło niej napis: Na księżycu wódki nie ma.

Barinow zajrzał do formularza dryblasza.

— Więzienie bezterminowe. Katorżnik. Za księżycem tęsknisz?

— Tak, zobaczę — wyję.

— Widać, żeś dużo w życiu narozrabiał?

— Szoferowałem na „duszegubkie”.

— Dużoś ludzi wykończył?

Dryblas wyszczerzył zęby:

— Coś mało. Trzeba było więcej.

Barinow zacisnął pięści, krew uderzyła mu do twarzy. Ja zaś pomyślałem przerażony:

— Z kim my tutaj?

Wszedł dozorca.

— Czy można, towarzyszu majorze?

Nie mogłem oczom uwierzyć: Haczyk! Nie poznał mnie.

— Przywiozłem tu pewnego cwaniaka z przesyłkowego punktu. Skierowany do was.

Barinow popatrzył i odłożył dokument na bok...

— Powiedzcie porucznikowi Kuźnikowi... tego mordercę do czasu wysyłki stąd — do karceru!

— Tak jest, towarzyszu majorze! — Haczyk zasalutował.

— Idziemy! — Haczyk zabrał dryblasza.

Za drzwiami rozległo się: „Czy wolno”?

Do gabinetu wszedł karłowaty człowieczek, w cywilnym palcie, z futrzaną czapką w ręku.

— Przybyłem do waszej dyspozycji, obywatelu naczelnego lekarzu.

— Nazwisko?

— Panikow... Paweł Aleksiejewicz.. Lekarz.

— Tak, tak. Dokumenty mam... Chirurg?

— Chirurg. Pracowałem z Bakuliewym.

— Aż tak? Paragraf? Kara?

— Pięćdziesiąty ósmy, punkt dziesiąty... Dziesięć lat obozów specjalnych...

— Tak, tak... Jakimż to sposobem, Pawle Aleksiejewiczu, dotoczyliście się aż tutaj?

— Niewłaściwa diagnoza, obywatelu główny.

Barinow spođe łba popatrzył na niego.

— Hm!... znaczny błąd?

— Tak, błąd... przede wszystkim mój własny błąd... Prowadziłem partyjną robotę w Pierwszym Instytucie Medycznym... Pojechałem do kołchozów... Nieporządki potworne... wołająca o

pomstę do nieba niesprawiedliwość... O tym wszystkim napisałem do Stalina... Rozumiałem, że szczerść, że ta otwartość z głębi serca płynąca... Oto... właściwie... wszystko.

— Ja tu dla was ani sędzia ani prokurator... Proszę iść do baraku lekarzy-więźniów.

Prace komisyjne zakończyły się o siódmej. Do etapu wyznaczono dwudziestu ludzi... Ale już po kolacji pisarz transportowy przyniósł dokumenty nowoprzybyłych na komisję: trzydziestu żywych i trzydziesty pierwszy — martwy. Załączony akt głosił, że został zastrzelony przez konwój przy próbie ucieczki.

— Jakoś coraz częstsze stały się takie akty — rzekłem. A główne jest to, że „uciekają” tacy, którzy, sądząc z historii choroby, nie byli w stanie chodzić. Czy takie ucieczki nie są po prostu prowokacją?

Jurka zapalił, a potem półgłosem:

— Alboż nie wiesz, że konwojenci są premiovani za czujność?

— Ej, stary, kończ jak najprędzej wszystkie formalności z etapem i wracaj do baraku. Przed snem będę wam dzisiaj deklamował Jesienina. A tobie, tu, awansem, chcesz?

Siadł na taborecie, zarzucił nogę na nogę i zaczął:

*Ja wiem, że czas — nawet kamień skruszy.
I ty, starcze, także kiedyś zrozumiesz,
Że wprzegając do sań najlepszego nawet konia
Do kraju dalekiego tylko kości dowieziesz.*

Jurka deklamował, ja słuchałem i nagle zauważyłem na formularzu znajome mi nazwisko: Rom! Jakub Moisiejewicz! Mój więzienny przyjaciel... Pół roku w jednej celi...

— Jurka, czy ostatnio przysłanych rozwieziono już po oddziałach szpitala?

— Nie przerywaj! no, naprawdę, jakiś ty... W łaźni jeszcze...

Porwałem z wieszaka kozuch i wypadłem z kancelarii. Jakub Rom! Jeden z pierwszych naczelników Oddziałów Politycznych MTS (motorowo-traktorowych stacji). Odznaczony za pracę na wsi orderem Lenina! Z jaką dumą mówił o tym w więzieniu. A jak znęcali się nad nim prowadzący śledztwo... Co raz sadzali do karceru... Razem urządzaliśmy głodówkę... Od więziennej strawy pogorszył się u Roma stan jego wrzodów żołądka, pojawiły się

krwotoki gardlane... Zwrócił się z prośbą, aby za jego pieniądze kupiono mu świeżego twarogu... Sledczy oświadczył: „Przyznasz się — dostaniesz nawet śmietany”. Wtedy Rom uzyskał widzenie u naczelnika więzienia w Butyrkach. Ten najłaskawiej zezwolił na sprzedaż mu kilograma. Było nas czterech w celi... Każdego poczęstował.

Dwaj sanitariusze nieśli pod górę na noszach człowieka, okrytego kocem. Zatrzymałem ich koło latarni. Odkryłem koc. On! Nachyliłem się: Jakubie Moisiejewiczu!

Spod obozowej czapy patrzyły na mnie zmęczone, bezbarwne oczy. Na wargach wykwitnął smutny uśmiech.

— Co z tobą? — jakże niezgrabnie, niepotrzebnie zapytałem.

— Znowu krew — dał się słyszeć słaby głos.

Roma zaniesiono na Oddział piąty. Przypomniałem sobie, że w bibliotece jest powieść jego żony, Igumnowej. Pobiegłem do KWCZ. Tam właśnie odbywała się próba „Wiosny nad Odrą”. Na scenie rozlegał się cienki głos Olega Baranowa. Przeprosiłem, że nie mogę być na próbie, otworzyłem bibliotekę. A oto powieść Igumnowej: „Pochód Markizetowy”. Śpiesznie udałem się na piąty Oddział.

Rom leżał z otwartymi oczami na koji. Na sali panował półmrok. Pachniało silnie jodoformem.

— Jakubie Moisiejewiczu, patrz!

Odwrócił ku mnie głowę, zobaczył książkę, uniósł się, wyrwał mi ją z rąk i nagle zaśmiał się:

— Nieprawda!

Zbliżył książkę do oczu.

— Tani, Tani książeczka... — Ze wzruszenia tracił oddech.

— Witaj, Tatiano Siergiejewna! Oto spotkaliśmy się, spotkaliśmy się... Jak długo można nie oddawać, tej książeczki — zapytał z niepokojem.

— Trzymaj, jak długo zechcesz.

Ostrzeżenia, podania, listy

„Chytry domek” pośrodku szpitalnej zony był dla wszystkich bielmem na oczach. Wzywano tam dniem i nocą, chorych i zdrowych, takich, którzy tylko co przybyli i dawno zasiedziały. Nikomu nie dawano spokoju. Zeki szli do domku strwożeni. Wiedzieli, że z rozmowy z naczelnikiem bezpieczeństwa nie można oczekiwać niczego dobrego. Zwymyśla nie wiadomo za co (wtedy gotuj się do najbliższego etapu), zacznie badać cię w sprawie czło-

wieka, o którym już dawno zapomniał, i nic ci nie będzie wierzył. Biada ludziom o słabych charakterach! Nieszczęścia i cierpienia tam zadawane, są o wiele mniejsze od tych, jakie oni sami sobie zadają swoimi niepokojami i obawami.

Pewnego jasnego mroźnego dnia zaszedł znany wąskolicy robot także do Todorskiego, na jedenasty Oddział (Aleksander Iwanowicz miał egzemę na prawej nodze). Powiedział tylko: „Ubieraj się!”: wszystko było zrozumiałe.

Todorski wszedł do naczelnika.

— Obywatelu naczelniku! Więzień Todorski stawia się na wasze wezwanie.

Naczelnik grzecznie zaproponował Todorskiemu krzesło. Todorski usiadł — i papierosa — Todorski odmówił. Sam więc długo zapalał, gasił zapalki. Potem tonem bardzo niezadowolonym powiada:

— Doniosło się do mnie, że w rozmowach z innymi więźniami nazywacie się komunistą?

— To prawda.

Naczelnik nie oczekiwał tak szybkiego przyznania się.

— Cóż wy za komunista? Wy więzień. Skazał was przecież sąd sowiecki.

— Obywatelu Naczelniku! Powinno wam być wiadome, że na śledztwie i na sądzie nie uznałem się winnym. I w rzeczywistości w niczym wobec władzy sowieckiej nie zawiniłem. Dla tego też byłem i nadal jestem komunistą.

— Dobrze. — Major zdusił w popielniczkę tylko co zapalony papierosa, pomilczał chwilę i powiada:

— A ty może myślisz, że w łagrze lubią komunistów? Mamy tutaj kryminalistów, hitlerowskich popychli no i najbardziej zaciekle faszystów. Oni wam kiedyś łeb zedrą z ramion za to, żeś komunista.

— Rad byłbym... Wiedziałbym, że nie na próżno ginę.

Major wstał, gwałtownie odsunął krzesło. Podniósł się także i Todorski.

— Jak noga?

— Pokornie dziękuję. Lepiej.

— Zależałeś się w szpitalu... Idź.

O tej wizycie opowiedział mi Todorski, gdy tego samego dnia zaszedł do niego z prośbą, aby przeczytał moje podanie do Generalnego Prokuratora.

Rozważywszy sytuację, zdecydowaliśmy, że naczelnik zamierza wyznaczyć Todorskiego do wysyłki ze szpitala.

— Wtedy i ja z tobą, Aleksandrze Iwanowiczu!

— Nie wyprzedzajcie wypadków, towarzyszu... Jeszcze bę-

dziecie musieli morze łyżką pić. Wiesz, jak mówią wśród ludu? Co komu sążone, to go nie minie! Daj swoje podanie.

Uważnie przeczytał osiemnaście bitych stronic gęstego tekstu. Zaaprobował, ale poradził tekst rozbić na podrozdziały.

— Trochę długie... Nie zechcą czytać... A gdy będą podrozdziały — forma dość niezwykła — może zwrócić uwagę.

Wpisaliśmy osiem podtytułów. Zaniósłem podanie do Oddziału specjalnego. Szedłem podwórzem, przykrytym posiniałym niebem. Naokoło parkan z kolczastego drutu. Po niebie płynął obłok, samotny, żółto-bury. Oświetlony chłodnym słońcem, rozstrzępiony, szeroki. Ze smutkiem pomyślałem: ach, żeby tak, jak w bajce: za włosy, pod niebiosą i na tym obłoku do domu.

W Oddziale specjalnym — kolejka ludzi z podaniami. Więzień Iljin, zgarbiony, młody człowiek w pospolitych okularach, w czapie zsuniętej na ciemę, nie zdejmował jej nawet w bardzo ogrzonym pomieszczeniu — przyjmował podania i ni to żartem, ni to serio, uprzedzał:

— Uważaj, dodadzą ci.

— Kiedy przychodzą odpowiedzi?

— Po trzech miesiącach, jak z działą wypalił.

— Czy nie trzeba, aby się nie zależało, wysłać prędzej? — spytałem podając swoje. Iljin potrzymał je w rękę, jak gdyby ważył:

— Niczego sobie... Radzę przekazać tę mowę obrończą wprost przez naczelnika szpitala. Oszczędzaj czas.

Poszedłem do domku naczelnika. W przedpokoju minister mył podłogę: zawiął spodnie, nałożył kalosze i wściekle walił szwabą o mokrą podłogę.

— Bądźcie łaskawi nie wchodzić — rzekł, zobaczywszy mnie. Wyprostował się, siwa broda zadarła się do góry.

— Major pojechał do Tajszetu. Wróci nocą. A wy czego? Podanie? Możecie doręczyć. Jutro rano przeczyta i odeśle. Major człowiek.

Odstawił szwabę i otarłszy ręce o spodnie, wziął podanie, zdjął kalosze i na bosaka, stąpając na palcach zaniósł na stół naczelnika.

Teraz trzy miesiące, z dnia na dzień, będę żył nadzieją. A nadzieja, choć czasami bardzo zwodnicza, czyni jednak życie lżejszym.

W drodze powrotnej zaszedłem na Oddział drugi szpitala, do starego komunisty, Drabkina. W latach trzydziestych był członkiem biura obwodowego Woronieńskiego Komitetu Partii, zarządzał Wydziałem przemysłowo-transportowym. Na taką samą robotę posłano go do Saratowa. Drabkin cierpiał na chroniczny corot-

naris i przed dwoma tygodniami przywieziono go do szpitala w stanie bardzo ciężkim.

Długie lata więzienia poderwały zdrowie tego człowieka, tak niegdyś mocnego i pełnego radości życia.

Siedział przy nocnej szafce i adresował kopertę.

— Bardzo dobrze, żeś wpadł — zwrócił się do mnie z ożywieniem. — Nie wiesz, a ja w odległej przeszłości byłem technikiem dentystycznym. W domu przechowało się, prawda niezbyt okazałe, ale wszystko, co niezbędne dla skromnego gabinetu technika dentystycznego. Rabinowicz pozwolił sprowadzić. Właśnie chcę wysłać list do żony, za recepisem zwrotnym. Domagam się przysłania instrumentów. Wyślij przez KWZ — i jeśli można jeszcze dzisiaj.

— Czy ty pisałeś do Stalina? — spytałem.

— A ty?

— Napisałem do generalnego prokuratora. Odmówi — napiszę do Rady Najwyższej. A gdy i tam odmówią — wtedy dopiero zwrócę się do Stalina. Ostatnia instancja.

— Pisałem — powiedział w zamyśleniu Drabkin.

— I co?

— Nie odpowiedział.

— Może... nie doszło?

— Doszło... wiem, że doszło. Wieriejkis też do niego pisał. Nawet Wieriejkisowi, Józefowi Michajłowiczowi pierwszemu sekretarzowi Chabarowskiego Komitetu Krajowego, członkowi Centralnego Komitetu Partii nie odpowiedział. A ten pisał i pisał i... zwariował. Opowiadał mi jeden człowiek, który siedział z Wieriejkiszem w jednej celi... Józef Michajłowicz podpisywał protokoły badania i śmiał się, podpisywał i śmiał się śmiechem szalonego...

Rozmowę naszą przerwał artysta malarz, Emir Małajew. Z krymskich Tatarów. Na wygląd — chory na żółtaczkę: twarz żółta, oczy żółte, wytrzeszczone. Wszyscy wiedzieli, że Emir jest narkomanem. I jakoś uchytrza się żeby zdobywać narkotyki w potrzebnej mu ilości. Dziwiono się, jak on to robi i w dodatku bezkarnie. Sekret w gruncie rzeczy był prosty. Emir malował obrazy dla naczelników i ci wzamian za to patrzyli przez palce na jego narkomanię, co mu ułatwiało pogoń za morfiną. Dostał się do szpitala jeszcze w tym czasie, gdy szpital należał do ITŁ, przywykł do wszystkich, wszyscy przywykli do niego. Niedawno ta „nietykalność etapowa” umocniła się ostatecznie: w ciągu pięciu dni na specjalny rozkaz namalował olejny portret Stalina dla OZIERŁAGU — i zaśluszył sobie na wielkie pochwały zwierzchników.

— Szukam cię po całym szpitalu — mówił zafrasowany, stając w drzwiach. Ganiaj do KWCZ. Jest dla ciebie poczta.

Pomknąłem, jak na skrzydłach. Wpadłem zdyszany. Inspektor KWCZ, porucznik Lichoszerstow, rudawy o tępawym wyglądzie, wyciągnął do mnie paczkę kopert, widokówek i banderolowanych przesyłek.

— Czytania starczy na miesiąc — rzekł z pogardą dla mojej buchającej na zewnątrz radości.

Siedemnaście listów od razu! Gazety! Pognałem do baraku, rozsegregowałem pocztę według dat. Wiera! Kochana! Pisze po dwa listy dziennie! Czytam list za listem, czytam z łapczywością wygłodzonego za ciepłym bliskim słowem i, zdaje mi się, że słyszę głos żony, że ją widzę. A oto i fotografia. Mój Boże, postarzała... Ale ze mną i to jedynie dla mnie ważne... Ona wie i wierzy, być może tylko ona jedna wierzy, że w niczym nie zawiniłem...

Fotografia była maleńka, paszportowa. Napatrzywszy się, zawiąłem ją w strzępek materiału, zawiązałem nicią i na szyję... pod koszulę.

Nieoczekiwane i oczekiwane

Wypadki zachodziły jeden na drugi. Obozowe „ploty” coraz częściej sprawdzały się.

Majora Rabinowicza, czego zresztą należało oczekiwać, zdjęto za „łagodność”, co określono jako „brak charakteru”. Na jego miejsce, na naczelnika szpitala wyznaczono majora Jefremowa, człowieka nowego, nieznanego nikomu. Więźniom wyznaczono płace (o tym już dawno się mówiło). Powiedziano mi, że moja stawka miesięczna wynosić będzie dwieście rubli. Sto będą mi potrącać za „pensjonat”, sto będą wypłacać do ręki. Obecnie więc stąd będę mógł pomagać Wierze. Ale kiedy zaczną wypłacać nikt nie wiedział. Zawiadomiono nas, że w łagrze zostanie otwarty sklepik, zaczną sprzedawać produkty za gotówkę, ale według spisów, nie wszystkim i na różne sumy (swoista forma kar i oddziaływania).

Bardzo na czasie znalazło się na moim rachunku dwieście rubli. Wiera sprzedała jakieś rzeczy i wysłała mi zapomogę na dożywianie. Sama, na pewno została bez kopiejki. I wreszcie jeszcze jeden ewenement: do obozu zjechało objazdowe kino. Obiecują seans raz na miesiąc. Dzisiaj przywieziono filmy: „Oni mają Ojczyznę” i „Kobiety Chin”.

Co jednak stanie się jutro, pojutrze, trudno było zgadnąć.

W zonie zrodziły się dwie „ploty”. Pierwsza, że jedzie do nas rządowa komisja dla przeprowadzenia rewizji spraw i że „dziiesiąty punkt” przeniosą na reżym ITŁ. Druga — szpital się zamyka i wszystkich „przygłupków” wywiozą na Kołymę.

Po obiedzie pognano nas do łaźni, choć trzy dni temu myliśmy się. Łaźnię napalono pośpiesznie, źle. Rozbieraliśmy się powoli, niechętnie. Było zimno. Wpakował się i Haczyk (przeniesiono go do szpitala, jako dozorcę). Zaszedł do umywalni, dla czegoś policzył skopki. Wrócił do przedpokoju łaźni. Wyciągnął z kieszeni kapciuch „z czerwonymi kwiatuśkami”, skręcił „kozią nóżkę”. Pogroził:

— Kto się ubierze w bieliznę wolnego — na golasa do wartowni i z powrotem.

Zauważył u mnie na szyi strzępek materiału, podskoczył.. Nie zdążyłem się cofnąć, gdy gwałtownie szarpnął nim.

— Obywatelu Haczyk! — krzyknąłem w trwodze i... opamiętałem się.

Ale było już za późno. Słowo nie wróbel...

Wokół wszyscy prysnęli.

— Jaki ja haczyk — zakipiał gniewem. — A ty się pilnuj! Jak zahaczę twój język pisarza, do nowych pędów brzoźowych popamiętasz.

Rozwinął strzępek, wpił się oczyma w fotografię. Przycichł.

— Zona? — Tak. — Siwa? — Tak. — Przepraszam — zwrócił mi fotografię i, wcisnąwszy głowę w ramiona, wyszedł.

Wieczorem obie dotychczasowe „ploty” zgaszone zostały niezwykłym obwieszczeniem, które lotem błyskawicy obleciało szpital: więźniom, którzy mają pieniądze na rachunkach osobistych, zezwala się na dokonanie subskrypcji na pożyczkę państwową. Subskrypcję przyjmuje się w KWCZ.

Ja biegiem do klubu. Tam za stołem, przykrytym czerwonym bawełnianym materiałem, siedzieli Lichoszerstow i Kuźnik. Przed nimi leżały spisy. Na ścianie widniało świeżo wymalowane hasło: „Pożyczka wzmacnia potęgę naszej Ojczyzny”.

Poszedłem do stołu.

— Naprawdę można?

Lichoszerstow zaglądnął do spisu.

— Proszę, na ile?

— Na sto rubli.

Koło stołu gromadzili się już medycy, robotnicy, obsługa. Każdy, położywszy swój podpis na spisie subskrypcyjnym, dziękował za pozwolenie. Pytali: „Czy i kiedy dostaniemy obligacje”?

— Obligacje będą przechowywane w Finansowym Wydziale OZIERŁAGU — wyjaśniał Lichoszerstow. — Numery serii i obli-

gacji wkrótce podamy do wiadomości. Wygrane będą wypłacone.

Przybiegli dyżurni z oddziałów szpitalnych:

— Co robić? Chorzy domagają się, aby i od nich przyjęto subskrypcję.

— Tych, którzy mogą chodzić, ubierzemy — zarządził Kuźnik. — Do leżących pošlemy Emira i bibliotekarza.

Przez całe zaśnieżone podwórze pociągnęły do KWCZ czerniejące sznurki chorych w kozuchach, spod których wyglądały krótkie obozowe spodnie, albo wprost kalessony.

Wśród chorych przeprowadziliśmy z Emirem subskrypcję w jakąś godzinę. Na spisach subskrypcyjnych figurowało około dwustu nazwisk. Nie subskrybowali, ale też im nie proponowano, banderowcy, włosowcy i hitlerowscy najmici.

Na siódmym Oddziale powstał zatarg. Jeden z chorych, który nie miał na rachunku pieniędzy, żądał kategorycznie, aby go zapisano na pięćdziesiąt rubli. Zapewniał, że pieniądze wysłała mu córka, i że on je wkrótce otrzyma. Tego, oczywiście, nie można było zrobić. Wtedy zaczął walić szcudłem o podłogę. „Skargę do Moskwy podam, taka wasza mać! Czym ja gorszy od innych? Ja nie faszysta, jak człowiek sowiecki!

Jaki jednak był stosunek subskrypcji do tego wszystkiego, co denerwująco narastało w zonie? Zdecydowaliśmy, że po prostu zbieg okoliczności.

Na dodatek, przed samą wieczorną pobudką, wezwano nas wszystkich do kina, na seans. I w czasie, gdy dawano film, w szpitalu urządzono powszechny szmon. Zepsuli nastrój świąteczny zupełnie. Zryli wszystkie baraki, oddziały szpitala, zrywali chorych z łóżek, przewracali i trzęśli materace, rewidowali najdokładniej szafki nocne, szafy z instrumentami lekarskimi.

Zagadka pogłębiała się z każdą godziną.



Nocą obudził mnie Haczyk. Łagodnym głosem powiedział:

— Idź-no, tato, na Oddział drugi. Pozwalam, czegoś chce cię widzieć felczer.

Zrozumiałem o co chodzi. Umierał Drabkin... Leżał na plecach, oczy zmętniałe — i szeptał: „wszystko... wszystko... wszystko...!”

Milcząc siadłem u wezglowia. O czym rozmawiać, co powiedzieć? Na sali nikt nie spał. Wszyscy patrzyli, jak odchodził jeden z nich.

Ruchem brwi przywołał mnie. Uklęknąłem obok koji, zbliżyłem twarz do jego białego znękanego oblicza.

— Że...gnaj! — wymamrotał z trudem.

I nagle jego nieruchome ręce poruszyły się, ożyły. Chwycił mnie za szyję i jeszcze bliżej przyciągnął do siebie.

— A Stalin... Stalin... zachrypiął.

I w tej chwili oczy jego stanęły, dziko wykrzywiły się usta, ręce ześliznęły się z moich ramion i upadły na kolę, jak odrąbane.

W dwa dni później szedłem wczesnym rankiem do kancelarii. Drogą, prowadzącą do wartowni wlokła się szronem pokryta szkapina, zaprzężona do niskich, płaskich sań. Na saniach stała trumna z nieociosanych desek. Na pokrywie trumny siedział żołnierz, trzymając lejce, z automatem na plecach, i papierosem w ustach. Wieziono trupa Drabkina. Wieziono na cmentarz, który wyrósł na wzgórzu za szpitalem. Przybędzie jeszcze jedna bezimienna mogiła — pomyślałem — pod tym szarym niebem. Przez pewien czas będzie sterczał na niej ku niebu kawałek deseczki — a na deseczce numer obozowy zmarłego.

Za saniami, za trumną komunisty Drabkina, przypadkowo szedł człowiek, zajęty swoimi myślami. Szedł za jakąś swoją sprawą, opierając się na kij. Był to dyżurny, były białogwardyjski generał Wojciechowski.

Jakże okrutny, jak straszny w swojej nieoczekiwanej wymowie obraz.



W dwa dni potem męcząca wszystkich zagadka została wyjaśniona, a plotkarze pohańbieni. Do szpitala przybyła komisja OZIERŁAGU z pułkownikiem Jewstigniejewem na czele. Przybyła nie dla zaliczenia obozu do ITŁ, nie dla wysyłki kogokolwiek na Kołymę — a po prostu jako kolejna inspekcja.

Dzień wydawał się ciepły. Powolutku zaczynał tajać śnieg. Na strzechach pojawiły się pierwsze sople. Dzwoniły spadające krople. Czuło się — idzie wiosna. Pułkownik w otoczeniu oficerów i z nowym naczelnikiem szpitala, chodził w rozpiętym szynelu i zsuniętej na bakier karakułowej papasze. Obszedł wszystkie budynki szpitalne, baraki i zatrzymał się przed klubem — długą szopą pochyloną na bok.

— Trzeba będzie odremontować — zwrócił się do Lichoszerstowa. — Przedstawcie kosztorys... A obecnie wezwijcie Tordorskiego.

Lichoszerstow mnie przekazał rozkaz pułkownika.

Aleksander Iwanowicz pracował jako młodszy sanitariusz

w przesyłkowym baraku szpitala. Stąd co rano wysyłano na roboty ogólne, za zonę, ludzi wypisanych ze szpitala i czekających odesłania dalej, czekających na etap. Bardzo często ludzie wracali stąd na koje szpitalne. Wypisywano ludzi pośpiesznie, aby wypisać, aby wykonać plan po linii sanitarnej. Todorski był odpowiedzialny za czystość pomieszczeń, za pranie, reperacje i wydawał bieliznę do łaźni robotnikom. Zastałem go przy grzebaniu w stosie bielizny.

— Aleksandrze Iwanowiczu, pułkownik wzywa!

Todorski schował bieliznę do magazynu, nałożył watowany kaftan, sprawdził, czy numer na plecach w porządku i ciężko westchnął.

— Przypomniał sobie pułkownik... Ha... cóż... pójdźmy... Wątpliwe jednak czy z Nazaretu może przyjść coś rozsądnego. Ruszył krokiem żołnierskim, ale z pewnym lękiem.

Pułkownik i otaczający go oficerowie patrzyli, jak zbliżał się ku nim sowiecki generał, Naczelnik Akademii Lotniczej, młodszy sanitariusz obozowego baraku.

A on szedł, nie tracąc nic z żołnierskiej postawy i żołnierskiego kroku. Zatrzymał się, wyprężył się na „baczność”.

— Obywatelu pułkownika, więzień Todorski przybył na rozkaz.

— No... jak tam sprawy?

— Pokornie dziękuję.

— Ileś już odsiedział?

— Trzydzieści lat?

— Ile zostało?

— Dwa lata.

— Dociągniesz do końca?

— Być może, dociągnę, jeśli tu zostanę.

— A więc, tu dobrze?

— Etapy są ciężkie, obywatelu pułkownika, przerzucanie...

Pułkownik potakująco skinął głową.

— Towarzyszu Jefremow, czy Todorski wypełnia przepisy obozowego reżymu?

— Nie ma żadnych uwag — odpowiedział naczelnik Jefremow.

— No to bardzo dobrze! Tedy zostaniesz tutaj, Todorski!

— Pokornie dziękuję.

— Bez mojej zgody, towarzyszu Jefremow, nigdzie go nie odsyłać.

— Wedle rozkazu, towarzyszu naczelniku!

Jewstigniejew zdjął rękawiczkę z prawej ręki, popatrzył na otaczających go oficerów i naciągnął rękawiczkę z powrotem.

— Do widzenia, Todorskij.

— Mam zaszczyt pożegnać, obywatelu naczelniku!

Pułkownik skierował się w stronę wartowni.

Todorskij powstał chwilę, popatrzył w ślad za oddalającym się naczelnikiem i powoli, w zadumie, już nie żołnierskim krokiem, poszedł z powrotem do baraku.

Przed brzaskiem

Minął jeszcze jeden miesiąc z setki tych, które mi były wyznaczone do odcierpienia.

Jakoś tak, wieczorkiem, przed samą pobudką, zajrzał do mnie do biblioteki — Todorskij.

— Dajcie mi, towarzyszu, na jakieś dwa dni „Historię Partii”.

— Do baraku?... nie radzę Aleksandrze Iwanowiczu. Upakować się przed naczelnikiem bezpieczeństwa? Nie warto drażnić gęsi...

— Możliwe, że macie rację. Chciałem być poczytać o XI Zjeździe Partii. No, dobrze już... nie ważne...

— Pozwólcie więc, poczytamy tutaj.

Sięgnąłem na półkę po 33 tom dzieł Lenina. Todorskij zdumiał się i ucieszył.

— Macie leninowskie tomy?

— Lichoszerstow przywiózł z Tajszetu... Pozwolili.

— Czytaj — rzekł ponaglająco.

Wolno czytałem słowa Włodzimierza Iljicza ze sprawozdania, składanego CK Partii na XI Zjeździe WKP(b).

„Pragnąłbym przytoczyć jeden cytat z książeczki Aleksandra Todorskiego. Książeczka została wydana w Wiesjegońsku (Jest takie powiatowe miasto w Twerskiej gubernii) i wyszła w pierwszą rocznicę sowieckiej rewolucji w Rosji, 7 listopada 1918 roku, w czasach więc, które już dawno, dawno minęły. Ten wiesjegoński towarzysz jest, jak się zdaje członkiem partii...”

Po policzku Todorskiego spłynęła gruba łza. Nie wstydził się jej.

Przeczytaliśmy leninowskie sprawozdanie i znów stronicę o Todorskim, nie zauważając uciekających godzin.

Szarpnięto drzwi. Wszedł Haczyk.

— A wy tu co? kontrrewolucję robicie? Toż mnie za was na sto dwa posadzą! Skoro świtać będzie, a oni... Rozejść się — krzyknął po sierżancku. — Jutro z rana — a toż już dzisiaj — wyganiamy całą obsługę na wyręb lasu.

Szliśmy z Todorskim⁸ przez słabo oświetlone podwórze. Noc była ciemna. Gwiazdy kryły się za chmurami, które całkowicie zaciągnęły niebo. Majaczyły się nam zapachy wiosennych rozkwitających pąków brzoszowych, śniła się zielona trawa — choć nic z tego ani w powietrzu, ani na ziemi nie było. Po prostu majaczyło się. Kwiecień przecież!

Smuga reflektora wyskoczyła z wieży wartowniczej, przebiegła po strefie zakazanej tam i z powrotem, zatrzymała się na drucie kolczastym, werżnęła się w stronę, schwytała nasze postacie, oświetliła je, oslepiła i uciekła z powrotem na wieżę.

Noc stała się jeszcze ciemniejsza, jak to zwykle bywa przed brzaskiem.

Borys DIAKOW

(Przełożył Zdzisław MIŁOSZEWSKI)

8. Aleksander Iwanowicz Todorski, gen.-lejtenant rezerwy, przebywa obecnie w Moskwie i prowadzi działalność literacko-społeczną.

LUDZIE NIE SĄ ANIOŁAMI

I

Siny zmierzch nadciągał nad Kochanówkę. W oknach białych, przykrytych omszonymi strzechami chat, drgały jeszcze gorące odbłaski zachodu, ale z siwych łąpuchów, skupionych przy zgrzybiałym płocie o połamanych żebrach, spoza kłuni zbudowanej z okrągłaków, już mrok podkładał się złodziejskim krokiem. Śliwowy sad za ogrodem, który jeszcze nie zdążył zazielenić się, za dnia świecący w promieniach słońca szronem białego kwiecia, teraz nabrał rumieńców i jakby przykucnął. Brzęczenie pszczół przycichło.

Siedmioletni Pawełek czuł się samotny i opuszczony. Wsparł się łokciami na burym, popękany parapacie i przez otwarte okno leniwie obserwował niewielkiego jastrzębia, który wisiął w gasnącym błękitnie nieba, szybko poruszając ostrymi skrzydłami. Gdy jastrząb coś wypatrzył w sadzie i kamieniem spadł w roziskrzoną kibel, Pawełek przez jakiś czas wytrzeszczał zdumione piwne oczy na śliwy, które nagle nabrały tajemniczych cech, a potem jak zawsze otarł nos sztywnym mankietem rękawa i przeniósł wzrok na Karka.

Karko to stary koń, nie wiadomo w jaki sposób trzymający się życia. Stał na trawiastym podwórku przed chatą, przywiązany do wozu i, odkrywając od czasu do czasu jedyne oko, sennie poruszał aksamitnymi wargami, przy których wisiął strzępek siana.

Pawełek skurczył się. Za jego plecami — pusty, niesprzątnięty pokój. Ubite, dawno niezamiatane klepisko, od którego ciągnęło zapachem gliny i bydłowego łąjna; nad nieprzykrytym obrusem dębowym stołem — obrazy świętych w lepkiem brzęczeniu much, między oknami — poczerniałe od starości półki na gliniane miski... Pawełek czuł plecami pustkę chaty i lękał się czarnej paszczy niezamkniętego pieca. Piec był wysoki i pojemny, zajmował prawie

Przekład z mies. „Newa”, Leningrad, grudzień 1962.

połowę izby i spoglądał w Pawełkowy kark pustymi oczodołami niewielkich wgłębień na zapałki, sól i różny drobny sprzęt kuchenny.

Chłopiec jeszcze bardziej wychylił się z okna, żeby choć troszeczkę zbliżyć się do Karka — jedyne go żywego stworzenia w obejściu, jedyne go rozmówcy, i wciągnął ostry zapach dziegciu, ciągnący od wozu. Koń jakby zrozumiał stan Pawełka, skierował nań z ukosa nieruchome, liliowe, po ludzku smutne oko i machnął łbem, przy czym siano wypadło pomiędzy miękkich, aksamitnych warg.

— Hy-hy — Pawełek roześmiał się nie wiadomo czemu i kiwnął ręką ku koniowi.

I zaraz zamilkł, załkniiony. Przypomniał sobie, że piec nie jest zasunięty, wyobraził jego tajemnicze, groźne wnętrze i z nadzieją spojrział ponad wrota ku ulicy. Dlaczego ojciec na wraca tak długo?

— Tato... tato... — Pawełek zaczął kwęczeć żalonym głosem.

Obrócił się, ze strachem spojrział na czarną paszczę pieca i bez namysłu, przywarłszy brzuchem do parapetu, przerzucił bosc nożyny na zewnątrz. Ześliznął się po ścianie ku przyzbie i skoczył ku wozowi, strząsając białą glinę z koszulinki.

Wdrapał się na wóz po dyszlu, poleżał chwilę na wyschniętym, pozbawionym wszelkiego aromatu, zeszlórocznym sianie. Potem uchwycił Karkę za grzywę i przyciągnął go do siebie.

— No, Karko, no! — zawołał basem, naśladowując głos ojca.

Koń leniwie przestawił nogi i przysunął się do wozu. Pawełek natychmiast rozsiadł się na jego ciepłym, szerokim grzbiecie, ostro pachnącym potem. Poczul się samodzielny i pewny siebie. Rozweselonym, a nawet odważnym spojrzeniem objął całe obejście, kilkakrotnie uderzył piętami po miękkich bokach Karka, i już rozbudzona wyobraźnia Pawełka poniosła go w niepowstrzymanym galopie.

Ślepy na jedno oko Karko jak gdyby nie spostrzegał chwackiego jeźdźca; nawet przestał poruszać wargami i, pochyliwszy łeb, zapadł w słodką drzemkę.

W międzyczasie Pawełek znalazł zajęcie: dojrzał, że na białej płamie na szyi Karka pozostały ślady smoły i ostrymi paznokciami z kocią żalobą zaczął starannie czyścić każdy włoszek.



Jeszcze tamtej jesieni ojciec Pawełka, Płaton Gordiejewicz Jarczuk, zasmarował smołą białą plamę na szyi konia. Po co?

O, Pawełek doskonale pamięta tę początkowo przykrą dla niego, a potem radosną historię.

Pawełkowi wydawało się, że obecność Karka w obejściu jest tak samo niewątpliwa i konieczna, jak drzwi i okna w domu, jak studnia za wrotami. Odkąd Pawełek pamięta siebie, również pamięta Karka. I zawsze koń był ślepy na jedno oko, zawsze od jego wroniej maści odbijała biała plama na szyi.

I oto coraz częściej w domu zaczęto mówić, że już czas kupić nowego konia: Karko jest stary, ślepy, ludzie się z jego powodu wyśmiewają. Ubiegłej jesieni, gdy zapracowany w ciągu lata wóz stanął pod okapem, któregoś ranka Pawełek wykrył, że miejsce Karka przy żłobie jest puste. W pośpiechu rzucił się do matki, która gniewnie wstawiała garnki do pieca, ujrzał jej zapłakane oczy i o nic już nie pytał. Wyszedł na podwórko, wdrapał się na starą, wysoką jak topola, gruszę, z tych jakie można spotkać tylko na Winniczyźnie, i długi czas patrzył ponad dachy kochanowskich chat, wyglądających z góry jak ule, na drogę idącą garbami poprzez opustoszałe pola do miasteczka Woroncówki, na kręcącą się ku dalekim lasom rzeczkę Bużankę. Zazwyczaj Pawełek lubił, siedząc na szczycie gruszy, śpiewać piosenki i spoglądać w przyzywające go, tajemnicze, sine oddale, i marzyć o tym, jakby to było dobrze mieć skrzydła i polecieć gdzieś bardzo daleko, ot, choćby tam, gdzie w niebo wparł się komin cukrowni, i usiąść na tym kominie i żeby choć raz jeden splunąć stamtąd na dół i przekonać się jak długo płwocina będzie opadać ku ziemi.

Ale tamtego poranka Pawełek nie miał chęci ani na śpiewy, ani na latanie. Niebo, do którego było tak blisko, wydawało się zimne, niechętne. Skądś napłynęła pajęczyna i zaczęła natrętnie lepić się do twarzy. Nawet przypadkowo zachowana wśród zwռzonego jesienią listowia, zielona, mokra od rosy gruszka, podobna do wykrzywionego ogórka, nie nęciła swoim smakiem jak zazwyczaj.

Wieczorem ojciec wrócił z jarmarku bez Karka. Uzde powiesił w sieniach na gwoździu, wszedł do izby, przeżegnał się przed obrazami świętych i siadł za stołem...

Ale dziecko szybko zapomina o swoim nieszczęściu. W następną niedzielę Pawełek z niecierpliwością wyczekiwał na ojca, który poszedł na jarmark, żeby kupić nowego konia. Nareszcie — jakaż radość! Koń, także karej maści, wysoki i niezwykle piękny, wchodzi na podwórze. Matka wybiegła z chałupy i, wycierając ręce fartuchem, spojrzała na ojca, stąpającego dumnie, ale jakby nieco w zmieszaniu. Dobry koń! Co prawda, i u tego z okiem coś jakby niezupełnie...

Gdy tylko ojciec zarzucił koniowi uzde na szyję, ten zarżał ra-

dośnie, pewny siebie podszedł do koryta, napił się wody, po czym z tą samą pewnością skierował się do żłobu. Matka spojrzała na ojca w zdumieniu, machnęła ręką, zatrzymała konia. Pawełek pierwszy spostrzegł na szyi zasmarowaną smołą białą plamę i wrzasnął radośnie:

— To nasz Karko, nasz! Karko! Karko powrócił do domu!

Ojciec rozłożył ręce i gniewnie wyjaśnił matce:

— Tyle na jarmarku tych koni. Kupisz jakiego diabła, będziesz potem płakać. A ten — pracowity, sam zna drogę do domu... Choćbyś gdzie popił kiedy, sam dowiezie.

— I za te same pieniądze? — śmiejąc się oczami, zapytała matka.

Zmartwiony ojciec podrapał się po karku.

— Trzy ruble przepłaciłem...



Pawełek oderwał się od wspomnień i dopiero teraz zauważył że wyczyścił na glanc plamę na szyi Karka. Spróbował wytrzeć o koszulę palce zbrudzone smołą, i zaczął wpatrywać się w jeszcze dobrze niewyjeżdżoną, nierówną drogę, przecinającą pastwisko, a następnie skracającą poza zacienione podwórko wujka Kuźmy.

Dlaczego ojciec tak długo nie powraca?

Zgasły barwy nad dalekim, posępnym lasem, w którym schowało się słońce. Wiśniowy sad, widniejący za pustym, zorany ogrodem zamienił się w mglisty obłok. Zza listowia gruszy, która tego roku nie zakwitła, wyrzwał sierp księżycy, wyblakły i chudy.

Dlaczego ojciec nie przychodzi?!

— Ta-a-to-o-oo...

Aż do łez weszła żalność nad samym sobą. Nikogo nie obchodzi, że Pawełek boi się być sam, gdy z wszystkich zakątków obejścia skradają się ciemności, a razem z nimi idzie przerażenie. Nawet w koniu już nie widział pewnej obrony.

Mamusia... Pawełek nie ma mamusi i nie ma takiego życia, jakie mają inni chłopcy.

Mama umarła w zimie. Umarła na zawsze... Nie, Pawełek nie może uwierzyć, że już nigdy więcej nie ujrzy swojej mamy. Jakże tak bez matuli? I czy to możliwe, żeby mama przez tyle czasu nie wiedziała, czy z Pawełkiem nie stało się coś złego?

Ożył w pamięci ów zimowy, niezrozumiały wieczór. Pawełek leżał na pryczy, zwinięty w kłębek, z bosymi nogami owiniętymi ojcowskim kozuchem, i z ciekawością śledził wielką czarną muchę, która nie wiedząc w jaki sposób zjawiła się w izbie w zimie. Mucha łąziła po lampie, stojącej na glinianym dzbanie przekreślonym dnem

do góry, tłukła się o gorące, zakopcone szkielek i z wściekłym brzękiem odlatywała gdzieś do ciemnego kąta. Ale wkrótce powracała i znowu krążyła nad lampą...

Pod przeciwległą ścianą izby, na drewnianym łóżku leżała matka. Pawełek słyszał jej ciężki, trudny oddech.

W chałupie był także ojciec i starsza siostra Pawełka, Juhyna.

Przed kilku laty Juhyna wydała się za Ignaca, rumianego parobka z czarnym wąsem, który, gdy przestępował próg domu, łamał się niemal wpół, żeby nie rąbnąć głową w futrynę. A jak zacznie wciągać na siebie kozuch, to aż trzeszczy na jego szerokich barach. Właśnie ten Ignac zabrał Juhynę z Kochanówki do Charytoniewskiego chutoru, tam gdzie pod trzema wysokimi topolami usadowiła się jego obszerna chałupa.

Przed dwoma dniami Juhyna przyszła odwiedzić matkę i zatrzymała się w domu. Teraz gospodarowała przy piecu, niewielka, piersista, z warkoczem kasztanowych włosów na głowie. Pawełek zauważył, że ramiona Juhyny coraz to drgają jakby w lęku przed poczwarnym, ciągle zmieniającym swój kształt cieniem, który poruszał się po ścianach, z rzadka wpełzając, gwałtownie przełamany, na sufit: to ojciec chodził po izbie, posępny i przygnębiony.

Juhyna zagrzmiała żelazną zasłonę pieca. Skrzypnęło łóżko, matka ocknęła się.

— Juzia — rozległ się jej słaby głos, bardziej podobny do jęku. — Zbliź się do mnie, córeczko... Trzeba pożegnać się...

Juhyna zamarła przy piecu, jak gdyby słowa matki były zwrócone nie do niej. Stała chwilę w bezruchu, potem wolno zwróciła się ku łóżku; światło lampy padło na jej bladą, jakoś obcą twarz o rozszerzonych, nieruchomych oczach i rozchylone, drgające usta. Powolnym, nieśmiałym krokiem podeszła do matki i, jakby jej kto podciął nogi, padła na kolana, zakrywając twarz dłońmi.

— Juhyna — powiedziała matka cichym, surowym głosem.

Pawełek zobaczył, że spod świty, którą była przykryta, wydostaje chudą, żółtą rękę i kładzie ją na pochylonej głowie Juhyny. Juhyna przyłgnęła twarzą do piersi matki, ramiona trzęsły się.

W oczach u Pawełka zrobiło się czemuś gorąco, coś go ścisnęło mocno za gardło. Żeby nie rozplakać się, zrzucił z nóg poć kozucha i ześliznął się na chłodne klepisko. Niezauważony przez nikogo, wymknął się do sieni, zamknął za sobą drzwi. Zatrzymał się, przysłuchiwał się niezrozumiałej rozmowie w izbie, podniósł parzącą mroźną zasuwę i otworzył drzwi na podwórze.

Do sieni wpadł snop zimnego i bladego światła księżyca. Zasnieżone obejście skrzyżło, jakby je ktoś wysypał drobno zmielonymi gwiazdami. Nie czując, że mu na mrozie drętwieją gołe nożyny i ciepło znika pod koszulą. Pawełek stał na progu z zarzuconą

do tyłu głową i patrzył w czarne niebo, straszące swoją zimną głębią. Zdawało się, że było ono podkute tysiącami złotych gwoździ, których większe i mniejsze główki tajemniczo migotały. Pawełek przyjrzał się księżycowi i po raz pierwszy zauważył że wygląda jak twarz hożej i bardzo dobrej młódki: tam śmiejące się oczy, tu nos, uśmiechnięte usta. Dlaczego jej tak wesoło, jeśli jemu, Pawełkowi, zbiera się na płacz?

Zimny dreszcz przebiegł po ramionach; nie przestając patrzeć wyzywająco w twarz dobrej młódki, Pawełek załatwił się, spojrział na śnieg przed progiem, który stał się porowaty jak gąbka, i niechętnie wrócił do izby.

— Pawełku, nie powinieneś wychodzić bosy na mróz — powiedziała matka dobrze mu znanym, surowym głosem.

Chłopcu wydało się, że matce jest lepiej. Idąc w stronę pieca, z nadzieją popatrzył ku łóżku i zatrzymał się. Matka spoglądała oczami, ciemnymi jak niebo, które widział przed chwilą. Twarz miała podobną do księżycowej.

— Zbliź się — uśmiechnęła się ustami, bladymi jak światło księżycy. Od tego uśmiechu Pawełkowi znowu zrobiło się gorąco w oczach, trudno było oddychać i nogi nie były w stanie uczynić ani kroku. Jakby z bardzo daleka dolatywał do niego głos matki:

— Syneczku... Jąbym ci nieba przychyliła, gdybym mogła... Rośnij beze mnie... Kto wie, może znajdziesz szczęście w życiu... Chodź bliżej, przeżegnam cię...

— Nie strasz go, Maryna — ochryplym i niezwykajnie cichym głosem odezwał się ojciec. — Podrośnie, sam zrozumie...

Trzęsąc się od duszącego go szlochu, Pawełek wgramolił się w pośpiechu na piec, gdzie suszono proso przed odwiezieniem go do łuszczarni.

Zakopał zziębnięte nogi głęboko w proso i ucichł, jakby go przywalił jakiś wielki ciężar.

Głos matki znowu osłabł, stał się przerywany. O coś prosiła ojca. Pawełek słyszał poszczególne słowa, że ktoś tam powinien ożenić się, ale nie szukać żony, tylko matki dla syna. Sens tych słów nie docierał do niego, w jego głowie bardziej wyraziście dźwięczały poprzednio wypowiedziane matczyne słowa: „Syneczku mój, jąbym ci nieba przychyliła, gdybym mogła”...

Zobaczył, jak matka przychyła mu nieba — z gwiazdami, z księżycem. Pawełek zwinnie wdrapał się na niebo, usiadł na samym brzegu, zwiesił nogi i zamarł w zachwycie. Na dole widniała ojczysta Kochanówka, jej dobrze znane ulice, sady przy chatach. A w samym środku wsi, na placu, biegali chłopcy, podskakiwali, machali do niego rękami, coś krzyczeli...

Nad ranem obudził Pawełka czyjś płacz, głośno rozbrzmie-

wający w izbie. Przez jakiś czas przysłuchiwał się wyjącemu głosowi obcej kobiety, patrząc bezmyślnie na pożółkły sufit z bielojnej gliny. Trzeba było wstawać, wyrzucić z pieca na izbę. Co się tam dzieje? Ale ciało było ze strachu jak kawał drewna, dławiło przecucie czegoś strasznego. Małeńkie serduszko dziecka dygotało od przeraźliwych, mrozących krew wrzasków, po brzegi wypełniających dom. Zachłystywał się nimi, czując, że i w nim już coś krzyczy we wnętrznościach i że za chwilę zacznie wyć na cały głos.

Zaraz zajrzała do niego Juhyna i Pawełek zobaczył jej spuchniętą twarz z sinymi podkówkami pod oczami.

— Pawełku — zawołała na niego obcym, schrypniętym głosem. — Wstawaj, Pawełku, nasza matusia pomarli.

Kiedy zlął z pieca, tłum kobiet wypełniających izbę znowu uderzył w lament. Ciotka Olana, stryjeczna siostra matki, przycisnęła jego głowę aż do bólu i zaczęła zawodzić:

— Sierotko ty nasza, nieszczęśliwa! Takie to małe, nierozumne, gdzież ty się teraz podziejiesz na białym świecie? Kto za tobą dopatrzy, kto cię wyżywi?

Zobaczył matkę... Było przerażające i niezrozumiałe, że leżała nie na łóżku, a na stole, w żółtej trumnie, przybranej białymi kwiatami z papieru. Dlaczego na stole?

Zbliżył się i patrzył na matkę. Była niepodobna do siebie, obca i obojętna na to, że Pawełek stoi obok. Potem chłopiec spostrzegł wczorajszą muchę. Tego także nie rozumiał: wczorajszy wieczór, kiedy jeszcze żyła mamusia, wydawał się już taki odległy, minął tak dawno, a tymczasem mucha... jest i... lata...

Mucha krążyła nad trumną, potem usiadła na białym papierowym kwiatku i wydało się, że jest jeszcze większa i bardziej czarna. Pawełek nachmurzył się i gniewnie patrzył na muchę. Miał chęć ją przepędzić, ale wstydził się ludzi. Nagle mucha, jak gdyby sama domyśliła się, że należy usunąć się, wzbijała się w powietrze i poleciała ku drzwiom. Pawełek przekreślił głowę, odprowadzając ją spojrzeniem, i dopiero teraz zauważył, że w izbie jest tyle światek i kożuchów: to przybyli z sąsiednich wsi wujowie i ciotki, którzy przedtem zjawiali się w Kochanówce tylko na wielkie święta. Z Charytoniewskiego chutoru przyjechał Ignac — mąż Juhyny.

Gdy Pawełka wyprowadzono na podwórko, wszystko dokoła także wyglądało świątecznie: mnóstwo sań, konie pod daszkiem, gromada chłopaków i wrota rozwarte na oścież. I białutko — gdzie nie spojrzysz. Biała ziemia, białe niebo, białe drzewa, opuszone szronem, białe czapy na dachach. Dalsze budynki wydawały się dziwnie śmieszne, przyziemne; ich przywalone śniegiem strzechy zlewały się z białym niebem, niewidzialne dla oka.

Starsi chłopcy wyciągnęli z podwórza lekkie sanie, na których

w jednego konia przyjechał Ignac, i wozili na nich Pawełka wzdłuż ulicy, bo to przecież jemu umarła matka. Więc Pawełkiem owdąnęło całkowicie poczucie świątecznej radości, swawolnej zabawy...

Jakże dawno to było! Ile odtąd minęło przydługich zimowych dni! Ale mamusi nie ma. Pawełek już nie jest malcem, wie co to znaczy śmierć. Dziadek Gordiej także dawno umarł i to na zawsze. Matusia także umarła na zawsze. Tak mówią. Pawełek też mówi. Czyż jednak można tyle dni przeżyć bez mamy? Więc czekał. Nie, to nie on, to coś w nim czekało, wierzyło, przyzywało. I gdyby mama nagle przyszła (przecież powiadają, że martwi przychodzą), wcale by się nie przestraszył. Dlaczego bać się matusi?

Karko przestąpił z nogi na nogę, strzygnął uszami i cicho zarżał, płosząc niewesołe rozmyślenia Pawełka. Zobaczył ojca idącego ulicą. Nagle zapragnął, żeby ojciec szedł jak najdłużej. Przecież Pawełek dopiero zaczynał marzyć, jak to będzie, jak spotka mamusię, gdyby przyszła.

Karko znowu zarżał, witając gospodarza.

Śpiewnie zaskrzypiała furtka i w podwórko wszedł Płaton Gordiejewicz Jarczuk, mężczyzna po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, w zakurzonych butach i starej marynareczce na koszuli z samodziałowego płótna. Okrągła, z miedzianym połyskiem bródka i jeszcze bardziej rude, zwisające wąsy nadawały jego twarzy wyraz przystojności i powagi, podczas gdy kłujące, szydercze oczy, po młodzieńczemu żywe, skrzyły się siwymi iskierkami i pozwalały domyślać się, że człowiek ten rozmyśla o takich ziemskich sprawach, jakie, jakby się mogło zdawać, nie powinny niepokoić osoby w tym wieku, zmordowanej katorżniczą, chłopską pracą.

— Ej, kozacze, gdzie tak pędzisz? — podkreślając ton zdziwienia zapytał syna Płaton Gordiejewicz i zdjął wiadro, wiszące na sęku gruszy, żeby napić Karka.

— Nigdzie nie pędzę... — chlipnął nosem obrażony Pawełek. — Boję się...

Pobrzękując wiadrem, Płaton Gordiejewicz wyszedł za wrota, do studni, i, nabierając wody, odezwał się z daleka niskim basem:

— Czego się, głuptasku, boisz? Przecież jesteś odważny chłopak...

— Diabła się boję.

— Diabła? — zdziwił się Płaton Gordiejewicz, stawiając wiadro z wodą przed koniem. — To, braciszku, niedobrze, jak już przed diabłem zaczynasz mieć pietra. Myślałem, że tylko jedna ciotka Olana diabłów uważa... No, to wobec tego zakurzymy — dodał, wyciągając kapciuch.

— Przestałem już kurzyć — statecznie odpowiedział Pawełek; bardzo lubił na żarty ojca odpowiadać również żartami.

— Już przestałeś? — zadowolenie odbiło się w uśmiechniętych oczach Płatona Gordiejewicza, że syn daje takie bystre odpowiedzi. — Ale gorząc to chyba jeszcze ciągniesz?

— Tato nigdzie już nie pójdzie? Boję się... — znowu zaczął kwęczyć Pawełek.

— Ale nudzisz! — uchylił się od odpowiedzi ojciec. — Co ja tu z tobą mam robić?

Wziął Pawełka pod pachy, zdjął z Karka i posadził na sianie.

— Wiesz co, Pawełku, czas już żebyśmy się poženili... Chciałbyś się ożenić?

— Nie wiem. — Pawełek cały zamienił się w słuch.

— Jakto — nie wiesz... Nie mogę przecież załatwiać takich ważnych spraw bez ciebie. Z kim chciałbyś się ożenić: — z wdową, czy z panną?

— Z panną — Pawełek pociągnął nosem.

— Sprawiedliwie powiadasz — Platon Gordiejewicz był wyraźnie zadowolony. — Wobec tego ożenię się z jaką wdową, a ciebie ożenię... No, z którą by ciebie ożenić? Z Wierą Jewgrafową?

— Nie-ee, bić będzie! — Pawełek poruszył się na sianie i ściągnął ramionka, jakby go przeszył dreszcz. — Wczoraj w jej chałupie wybiłem okno kamieniem.

— Ech ty, durny łbie! Któż to szyby kamieniami tłucze? No, to w takim razie pošemy swatów... do kogo by tu pošłać?

Dalszy ciąg rozmowy odbywał się już w izbie, przy zapalonej, naftowej lampie. Czerpali zsiadłe mleko z glinianej miski, zagryzali razowcem.

— No, a jak ty się, Pawle Płatonowiczu, zapatrujesz na Baśkę?

— U-u... — pokręcił głową Pawełek; pełne usta chleba i kwaśnego mleka uniemożliwiały mu większą wymowność.

— Nie przypadła do serca?

— U-hu... — Pawełkowi wydało się, że słyszy piskliwy głos Baśki, gdy zwołuje kury, i zmarszczył nos z wyraźną niechęcią.

— Przebierny z ciebie parobek — pokiwał głową Platon Gordiejewicz. — Wdałeś się we mnie. Ja też, braciszku, nie mogę znaleźć we wsi odpowiedniej baby. Wszystkie pyskate... plotkarki... Dobrego barszczu uwarzyć nie potrafią. Przyjdzie pošazać po sąsiednich wsiach... A ty w tym czasie przyjrzyj się dziewczętom, a nuż która w oko ci wpadnie. Dobra?

— Dobra.

— No, to sprawa ubita. Ja ożenię się pierwszy... Póki jesteś za kawalera, potrzebna ci matka, prawda?

Pawełek przestał żuć i podniósł oczy na ojca.

— Ciężko nam bez matysi... Chciałbyś mieć matysię?

Pawełek nie zadążył odpowiedzieć. Ktoś gwałtownie załomotał we wrota, rozległ się męski głos:

— Płaton! Czas na zebranie!

— Już — odpowiedział Płaton Gordiejewicz, wysuwając głowę za okno. — A jak ździebłko zmitrzę, to i beze mnie chleb upieczecie.

Pawełek położył na stole okrągłą drewnianą łyżkę, odsunął pajdę razowca i ze strachem spojrział na ojca. Ten zatrzasnął okno, za którym ciemność wydawała się czarna i lepka jak dziegieć, rzucił z ukosa spojrzenie na Pawełka, westchnął. Usiadł na przy-czy, wyciągnął rękę z łyżką do kwaśnego mleka, ale natychmiast oparł łyżkę o brzeg misy.

— Wiesz, co to jest TWUZ¹ — niespodziewanie zagadnął syna.

— Nie-ee... — Pawełek pokręcił głową i ciężko odsapnął.

— Ja też dobrze nie wiem. Tyle tylko, że wszystkie miedze na polach diabli wezmą. Bydło ponoć także przyjdzie trzymać na jednej oborze. — Płaton Gordiejewicz zamilkł, zamyślił się, wbił oczy w ciemny kąt. Spojrzenie zrobiło się nagle złe. Potem westchnął i mówił dalej: — A bydło też ma swój pomysłuńek. Powiedzmy, nasz Karko... Sprzedałem go w obce ręce i po nocach nie mogłem spać. Toż on, biedaczyna, tęsknił za mną, za moim głosem, nawet za moim batem... Jakże go znowu wywiode z obejścia? Na to więc wychodzi, Pawełku, że tak czy owak musisz tu zostać sam. Pójdę na zebranie.

Spostrzegłszy, że oczy synka zrobiły się dzikie i wypełniły się łzami, Płaton Gordiejewicz chrząknął, jakby w poczuciu winy, mocno ściągnął krzaczaste, wypłowiałe brwi i zagrzmiał udanym śmiechem:

— O-o... Pawełku! Przecie do żeniaczki się zabierałeś — i płaczesz!

— Boję się... — Jasne, wielkie jak groch łyzy złościły na brudnej twarzyczce dziecka wilgotne bruzdy. — Tato, weźcie mnie ze so-oo-bą...

— Pawełku... No... Toż jesteś odważny, niczego się nie boisz.

— Boję się! — zaryczał Pawełek na cały głos. Już zdążył uchwycić w głosie ojca ton niepewności.

— Ależ ty jesteś! — zmartwiony Płaton Gordiejewicz zmarszczył twarz, w zakłopotaniu trąc czoło pokręconymi paluchami. Nagle coś sobie przypomniał, oczy ożywiły się, zaśmiały. — No, cóż, widać, wypadnie uzbroić ciebie karabinem. Prawdziwym!

Pawełek płakał teraz z przerwami. Sciszając głos na umyślnie,

1. TWUZ — Towarzystwo do wspólnej uprawy ziemi.

żeby lepiej słyszeć słowa ojca, i patrząc na niego z ukosa spojrzeniem płonącym ciekawością.

— Przestań płakać! Żaden czort ani szatan nie będzie miał do ciebie dostępu, jak zobaczy, że u ciebie w rękach bojowa broń. Zaraz zobaczysz.

Płaton Gordiejewicz drobnymi kroczkami wybiegł z izby do sieni, pochylając do przodu, jak byk, ciemną, żylastą szyję. Pawełek usłyszał, jak z hałasem przystawia drabinę, jak skrzypią nad głową belki pułapu, i dziwił się odwadze ojca, że nie bał się w nocy leżeć na strych. Pożądliwa ciekawość całkowicie zapanowała nad chłopcem. Umilkł, starannie ocierając łzy szorstkim rękawem.

Ojciec wrócił do izby z fuzją w rękach. Prawdziwą, jak najprawdziwszą! Nieduża, o dwóch lufach, z dwoma kurkami z czarwonej miedzi, zakurzona, opleciona pajęczyną i właśnie dlatego jeszcze bardziej tajemnicza i pożądana.

— Masz, trzymaj! — ojciec odwiódł kurki i trzasnął nimi jednocześnie.

Pawełek drżącymi rękami uchwycił drogocenny przedmiot.

— Tylko żeby żadne obce oko nie dojrzało! — pouczał Pawełka Płaton Gordiejewicz. — Wiesz, co robią za przechowywanie broni? Nie wiesz? Więzienie, braciszku. Tyś w więzieniu jeszcze nie siedział? No, to dzięki Bogu. To jest, bracie, taka dziura z żelaznymi kratami. Powiadają ludzie, że tylko mały skrawek nieba z niej widać...

Już dawno ojciec poszedł na zebranie, a Pawełek, siedząc na pryczy, aż do nieprzytomności trząsał kurkami niebywalej fuzyjki, po kolei biorąc na cel garneczki, miski, obrazy Świętej Bogarodzicy, proroka Eliasza, portret Tarasa Szewczenki. I niczego się teraz już nie bał!

II

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw zagrody Płatona, mieszkał Zacharko Dubczak. O nazwisko „Dubczak” Zacharko wystarał się po rewolucji. Przedtem figurował we wszystkich papierach jako Zacharko Łowibłoch. I chociaż w gubernialnej gazecie wydrukowano ogłoszenie, że „włościanin Łowibłoch Zachariusz Siemionowicz, mieszkający we wsi Kochanówka, w Braclawskim powiecie, w Podolskiej Gubernii, zmienia nazwisko na Dubczaka”, krajanie w dalszym ciągu nazywali go Łowibłochem.

Zacharko jest niewysokiego wzrostu, ale mocny, tęgi jak pniak

jak gdyby go zrobiono z samych sęków. Już dochodzi do pięćdziesiątki, a każdego konia może wziąć na przednie nogi i podnieść go jak szczeniaka.

Zacharko ma dwóch żonatych synów i córkę na wydaniu. Wszyscy mieszkają w jednej chacie, w jednej rodzinie, na tym samym gospodarstwie. Piękne gospodarstwo ma Zacharko: dwaście dziesięcin ziemi, parę koni i parę byków, dwie krowy. Ale jeśli to rozdzielić według członków rodziny, nie wypadnie za wiele. Przecież trzy rodziny między czterema ścianami się gnieźdzą. U każdego syna po dwoje dzieciaków.

Przeludniona chałupa Dubczaków-Łowibłochów słynęła w Kochanówce z tego, że nigdzie z takich szumem jak tu, nie obchodzono Wielkanocy, Bożego Narodzenia, czy Świętej Trójcy. Lubiono tu ucztować wesoło, na całego, a jak doszło do pieśni, to z takim rykiem, że aż w sąsiedniej wiosce psy zaczynały naszczekiwać.

Ale huczne święta w tym domu nie przynosiły szkody gospodarstwu. Zacharko potrafił liczyć każdy grosz, wiedział, co gdzie kupić i jak sprzedać. I nikomu ze swoich nie pozwalał próżnować ani jednego powszedniego dnia. W zimie zgadzał się razem z synami do wyřębu lasu, albo na dorywczą pracę w cukrowni. Gdy tylko zniknął śnieg, już wywoził gnój na pole. Przed dwoma laty nigdzie nie obrodziły cukrowe buraki, z wyjątkiem Zacharkowego pola. Tuż po przeredzaniu buraków przyszły ulewne deszcze, a potem słońce tak przygrzało, że ziemia powlekała się błyszczącą korą. I znowu przyszedł deszcz. Na polach pokazały się srebrzyste szyby kałuży. Ziemia nie pochłaniała wody. Buraki ginęły. Ale z Zacharki nie taki człowiek, żeby poddać się nieszczęściu. Wyprowadził na pole całą rodzinę: żonę, synów, córkę, dwie synowe, małych wnuków. Każdemu dał do rąk ostro zaciosany kij i kazał przetykać kałuże, żeby woda wsiąkała w ziemię. I nigdzie później buraki nie zazieleniły się tak bujnie i równo, jak u niego.

Z roku na rok gospodarstwo Zacharka stawało coraz mocniej na nogi. Ale on sam zaczynał wyraźnie nawalać, już nie był takim wesołym zawadiaką, jak dawniej. Jeszcze przed pięciu laty, kiedy Zacharko wracał z jarmarku w Woroncówce, już z daleka jego śpiew zawiadamiał Kochanówkę o powrocie. Wiejska dzieciarnia na wyścigi pędziła przed sioło na spotkanie wujka Łowibłocha, wiedząc, że jeśli drze się na całe gardło — „Czarnomorzec, matysiu...!”, to na pewno jego bezdenne kieszenie wypchane są cukierkami, pachnącymi landrynkami w różnych kolorach.

Na widok chłopaków, otaczających wóz, Zacharko mrużył chytre, wąskie oczy, hojnie rozrzucał w pył drogi landrynki,

jak gdyby siał groch, i zanosił się uszczęśliwionym, pijackim śmiechem.

— Częstujcie się, chłopczyki! Wujek Zacharko zabawia się!
— I następna garść landrynek, lecąc jak grad, wzniecała na drodze obłóczki kurzu.

Któregoś dnia Zacharko wrócił z jarmarku wyjątkowo ożywiony. Powodem tego ożywienia była przypadkowa rozmowa z pewnym starym kowalem z sąsiedniego miasteczka Woronowicy. Kowal zapewniał Zacharkę, że pomagał w konstruowaniu pierwszego aeroplanu samemu Możajskiemu, który wówczas mieszkał w Woronowicy, i że widział, jak ten aeroplan uniósł się z Hańskiego pola nad ziemią.

Tegoż dnia Zacharko sprzedał z dobrym zyskiem starego wołu i z tej radości wypił ponad miarę. Już przed wjazdem do wsi, obdzielając chłopaków cukierkami, oznajmił im wesoło a tajemniczo:

— Chłopięta-sokolęta! Dzisiaj wujek Zacharko poleci na jęwroplanie w gościnę do Pana Boga!

W Kochanówce zawsze z niecierpliwością oczekiwano kolejnego zabawnego wybryku Zacharka. Więc rozniesiona przez chłopaków wiadomość o przygotowującej się wizycie w niebie zgromadziła, jak to było do przewidzenia, tłum ciekawskich przy obejściu Zacharka.

A ten w międzyczasie już zmajstrował „samolot” i laż na dach swojej chałupy, ciągnąc aparat za sobą. Było to wielkie koryto, w którym pojono bydło przy studni. U dna i u góry Zacharko przymocował dwie szerokie, cienkie deski, mające udawać skrzydła, a zamiast sterów uwiązał zwyczajne lejce z postronków.

— Nie płacz, głupia! — krzyczał z dachu do zawodzącej w izbie Halźbiety, przeklinającej na czym świat stoi męża-pijanicę.
— Zaraz Zachariusz Dubczak poleci do Pana Boga i poprosi Go o czarke niebiańskiej gorzałki.

A na ulicy, przed zagrodą, ludzi moc, jakby to było wesele. Tak jakby naprawdę spodziewano się cudu. Ludzie śmieli się, poślizliwie żartowali, dawali wesołe rady rozochoczonemu Zacharce.

Wreszcie wszystko było gotowe do „lotu”. Koryto ustawione na szczycie dachu. W korycie rozsiadł się Zacharko ze zręcznością skoczka na linie i zwrócił się do tłumu z przemówieniem.

— Obywatele! Kto za wiele nagrzeszył, niech zaraz te grzechy dostarczy. Wszystkie grzechy zawiozę do nieba, żeby tam zapisałi! Filipie, i ty tutaj? Przyznawaj się, że z bandosów skórę zdzierasz! Nie chcesz? Jeszcze pożałujesz! Niech się przyzna ten, który na polu u Płatona Jarczuka ukradł kopę żyta! Bóg jest miłosierny!

Tu koryto zachwiało się i przestraszony Zacharko umilkł. Przeczekał, aż wiatr uspokoił się i ciągnął dalej:

— Za chwilę Zachariusz Dubczak pociągnie za prawy lejc i wyleci pod chmury! Żegnajcie, dobrzy ludzie!

Położył znak krzyża, wziął w ręce lejce, rozhuśtał koryto i... z hukiem poleciał na dół.

Koryto sztorcem wbiło się w ziemię, Zacharko z niego wypadł, podniósł się, otrząsnął i tak zarżał, jak gdyby zostawił w durniach tych wszystkich co zbiegli się przy jego obejściu.

— Nie za ten lejc pociągnę, psiachmac jego była! — ciągle śmiejąc się, wyjaśnił przyczynę kraksy. — Trza było ciągać za prawy, a ja za lewy...

Ale już od przeszło roku Zacharko zupełnie przestał pić. Na ten temat różne wieści chodziły po Kochanówce. Jedni utrzymywali, że żona Zacharki, Halźbieta, dała mu na wytrzeźwienie do wypicia, według recepty znachorki Olany, gorzałkę zmieszaną z potem siwego konia, i że jakoby tę gorzałkę Halźbieta kupiła za dydki, które przez trzy dni trzymała w lesie pod końską czaszką. Inni uważali, że Zacharko pożegnał się z flachą po tym, jak w białej gorączce trafił do szpitala. Na poprzednie święta Bożego Narodzenia Zacharko został na noc w sąsiedniej wsi u swego krewniaka. Krewniak ułożył nieprzytomnego od gorzały Zacharkę na piecu, nie wzięwszy pod uwagę, że palono w nim przez cały dzień, więc był dobrze rozpalony. A tu na domiar wszystkiego Zacharko, nie zdając sobie z niczego sprawy, wybił nogami szybę w oknie, wychodzącym na ogród, i wystawił je na trzaskający mróz. Za jednym zamachem nasz Zacharko przypalił sobie żywot i odmroził nogi.



Dawno już jak koguty piałły na północ, a zebranie w klubie wciąż trwało. Wydawało się, że wszystko już zostało omówione. Przedstawiciel ośrodka rejonowego, łatwy na ostre słowo mężczyzna w niebieskim, wojskowego kroju ubraniu, przekonał mieszkańców Kochanówki, że najrozsądniej będzie, jeśli do przyszłej wiosny zorganizują się w Towarzystwie do Wspólnej Uprawy Ziemi. Do wiosny było jeszcze daleko, więc wieśniacy hucznie potakiwali, zgodnie kiwali głowami, mając w głębi duszy nadzieję, że do założenia tego TWUZ-u nigdy nie dojdzie.

Ale kiedy Leleko (tak nazywał się przedstawiciel rejonowego ośrodka) oświadczył, że najbliższego lata trzeba będzie utworzyć społeczne zasoby nasion, poprosił o głos Zacharko Dubczak. Nie chciał wejść na podium, gdzie za stołem, przykrytym czer-

wonym materiałem, siedziało przydium, stanął w przejściu między rzędami ławek i, obrzucając chytrym, śmiejącym się spojrzeniem znajome twarze chłopów, zaczął mówić:

— Wszystkie baby pouciekały do dom, to będę gadał bez krępacji...

Na sali rozległ się śmiech, bo wszyscy wiedzieli, że i przy kobietach Zacharko nie fatyguje się dobieraniem delikatnych słów.

— Mam ja dwoje sąsiadów, Lewkę i Hapkę — mówił dalej Zacharko. — Na zebranie nie przyszli z tego samego powodu, z jakiego siedzą coraz to bez żarcia — że są lenie z kaprawymi ślepiami. No, więc ta Hapka często lata do mojej Halźbiety i prosi się: „Dajcież, ciotucho, ździebko skórki z połcia. Lewko wbił sobie drzazgę w piętę, a nie ma jej czym rozmięczyć”. A u tego Lewki czy Leńki, jak go tam nazywają, pięta niczym końskie kopyto: młotkiem gwoźdźnia w nią nie wbijesz... Myślicie, tej Hapce skórka od słoniny potrzebna? Myśli, a nuż przy tej skórcie będzie trochę słoniny, żeby było na zaprawę do barszczu. U Lewka w komorze tyle że smród od myszy, co zdechły z głodu, niczego więcej nie uświadczysz. Ogród zarósł zielskiem tak, że już, na Boga przysięgam, wilcy tam mają swoje legowisko! Mają te dwie dziesięciny roli, to ją oddają w dzierżawę. Pracować się leniom nie chce. Lewko, mać jego taka była, siedzi cały dzień z wędkami nad rzeczką i przygląda się pływakom, jak kot mysiej dziurze... W zimie z pieca nie złączą i bachory próbują majstrować, a te że nie głupie, nie chcą rodzić się u takich gołodupców. To ja was, drodzy obywatele, zapytuję: po kiego diabła potrzebne mi takie towarzystwo, do którego będą należeć Lewka z Hapką i wielu innych leni jak i tamci, że to nimi Pan Bóg Kochanówki nie obszedł?

Szmer podniecenia przeszedł po sali. Z różnych kątów dolaływały aprobujące okrzyki.

Zacharko przeczekał aż hałas ucichnie i doszedł do konkluzji.

— We własnym gospodarstwie jużem sklecił takie towarzystwo wspólnej pracy. Dwóch synów z rodzinami, moja baba, córka i ja. Jeśli kto ma życzenie, to go przyjmę, ale żeby miał tyleż roli, bydła i inwentarza, co u mnie. A co do pracy, to szkoda gadać po próżnicy! Tyle każę pracować, ile i sam! — Po czym Zacharko wrócił na swoje miejsce. Szła za nim wrzawa mnóstwa chłopskich głosów.

Podniósł się Płaton Gordiejewicz. Sala ucichła — kochanowczycy szanowali Płatona Jarczuka jako człowieka rozsądnego i doświadczonego.

— Zacharko Siemionowicz — zaczął Płaton — wypowiedział tu czystą i sprawiedliwą prawdę. A prawda — nie dym, w oczy

nie kole. Tedy pozwólcie i mnie wypowiedzieć prawdę, choć to może niejednemu zaświerzbi od niej w nosie. Sowiecka władza nikogo przy podziale ziemi nie pominęła. Miara była sprawiedliwa: według tego ilu w rodzinie. Ale jakże to się zdarzyło, że jedni, na tyłuż morgach, wzbogacili się, a inni i po dzisiejszy dzień biedota, z głodu aż spuchnięci na gębach? Nima tu żadnego sekretu! Cała rzecz w tym, w czyje ręce trafiła ziemia. Jeden chłop — gospodarz. A inny nima nic z gospodarza. Zdarza się, trzymasz konie przy tym samym żłobie, korce owsa im zadajesz, ale jak zaczniesz orać — jeden koń z siły wychodzi, pług ciągnie, zaś drugi postronki wlecze po ziemi...

— O czym wy mówicie, Płatonie Gordiejewiczu? — siedzący w prezydium przedstawiciel rejonowego ośrodka mówił cichym głosem i z gorzkim wyrzutem.

Płaton zaciął się. Zdziwił się, że nieznanemu mu człowiekowi nazwał go po imieniu i ojca imię także znał. Zmieszał się — Leleko patrzył na niego z przykrością, jak na bezrozumnego dzieciaka.

— Wybaczcie, przerwę wam tylko na jedną chwilkę. — Leleko podniósł się za stołem i objął ucichłych ludzi spojrzeniem pełnym wyrzutu. Miał zwyczajną twarz, szerokie czoło całe w zmarszczkach, gesta pajęczyna takich samych zmarszczek przy oczach. Pewny siebie spokój zwracał uwagę i wzbudzał przychylność. — Nie znam chłopskiej biedy równie dobrze, jak wy. Jestem robotnik. Partia wysłała mnie na wieś, żebym wam pomagał budować nowe życie. A niełatwo mi pomagać. Nie rozumiem was, towarzyszu Jarczuk. Powiadacie, że jeden chłop jest gospodarz, a drugi — nie. To prawda. Między nami też są robotnicy, co mają złote ręce, a są i tacy, co ledwie wykonują plan. Więc tych robotników, co zostają w tyle, wysyłamy na przeszkolenie do przodujących. A u was na co wychodzi? Zachariusz Siemionowicz Dubczak obmyślił, jak uratować buraki. Dobrze obmyślił. I potajemnie wyprowadził swoją rodzinę na pole. A co gdyby tak wyłożył wszystkim chłopom, jak trzeba zlikwidować kałuże? No, to teraz widzicie dlaczego, wyjąwszy gospodarstwo Dubczaka, wszystkie gospodarstwa, i to nie tylko w Kochanówce, poniosły stratę, bo buraki przepadły.

I jeszcze dwa słowa. Wy, Płatonie Gordiejewiczu, tłumaczycie sobie, że to niezaradność wtrąciła w biedę wiele rodzin. Czy zapomnieliście, że w Kochanówce mamy wiele wdów, których mężowie ponieśli śmierć za sowiecką władzę, za tę samą władzę, co nie tylko ziemię wam dała! Czemu więc chcecie trzymać się od nich osobno? Pewnie, słabe są ich gospodarstwa. Taka rodzina s e l k o r a Aleksego Reszetniaka, w bestialski sposób zamordowanego przez wrogów, także według was nie nadaje się do

TWUZ-u? To uboga rodzina... Pomyślcie i o tej biedocie, co otrzymała ziemię ale nie miała pociągowej siły, ba, nieraz nie miała pługu, ani brony... Czy łatwo im było stanąć na nogach? Cóż mi na to wszystko odpowiecie, towarzyszu Jarczuk? I co mi odpowiecie na takie pytanie: kto z chłopów szedł ręką w rękę z proletariatem w czasie rewolucji? Czy nie biedota? Kto pierwszy obok robotników stanął pod sztandarami Czerwonej Armii? A o tym co robiły komitety biedniackie na wsi po rewolucji, też zapomnieliście? Do tego stopnia was zaślepiła kułacka agitacja?

Leleko wbił w Płatona Gordiejewicza oczekujące, oburzone spojrzenie i usiadł na swoim miejscu. Płaton zmieszał się. Nie wiedział co odpowiedzieć robotnikowi. Bezradnie i gniewnie spojrział na Zacharkę, który w zmieszaniu spuścił oczy. A na sali — cisza aż dzwoni. Zdawało się, że ludzie przestali oddychać.

Płaton odkaszlnął, spojrział jak zbity pies na Leleko i zaczął mówić, z trudem dobierając słowa:

— Po co zaraz tak? „Kułacka agitacja”... „zaślepiła”... Wychodzi na to, żeśmy tu z Zacharką głupstw napletli. Zapomnieliśmy, że przed rewolucją obydwaj z biedy świeciliśmy gołymi tyłkami... Pewnie, wielu dzisiaj będę klepie nie z własnej winy. Ja nie przeciw, żeby taką biedotę przyjmować do towarzystwa. I Zacharko też, pewnie, nie przeciw.

— Pewnie, że nie... — odpowiedział stropiony Zacharko.

Zebrańnię skończyło się uchwaleniem postanowienia: zorganizować w Kochanówce TWUZ i po żniwach zacząć zbierać zboże do społecznego zasobu.



Płaton Gordiejewicz wracał do domu razem z Zacharką. Była to nocna godzina, gdy w drzemiącej ciszy ciemność stopniowo szarała, przechodząc w barwę popiołu. Kurz miękko mlaskał pod stopami. Milczeli, mając to samo na myśli. Płaton czuł się nieswojo, że w tak nieprzemyślany sposób wystąpił na zebraniu i że, gdy była mowa o chłopskim życiu, tak go zawstydził człowiek, który, jakby się mogło zdawać, tego życia w ogóle nie zna.

Zegnając się, Zacharko powiedział:

— Łebski chłop z tego robociarza, mać jego taka była! Ale do TWUZ-u to ja i tak nie pójdę.

— Ta-aak... — nieokreślonym tonem stęknął Płaton.

Zacharko skrzywnął furtką, potem szcześnie klamką drzwi do chałupy. Płaton usiadł na ławeczce przy swoim obejściu. Palił, rozmyślał o zebraniu i słuchał jak nad głową w listowiu jesionów ćwierkają cykady.

W kuchennym oknie chaty Zacharka paliło się światło. Było widać, jak Halźbieta krząta się koło stolika, za którym siedział Zacharko i coś mówił, spoglądając na żonę.

W sercu Płatona poruszyła się zazdrość: dobrze się powodzi sąsiadowi. A on sam... nawet do chałupy iść nie ma chęci...

Zbliżał się świt. Gwiazdy gasły na niebie.

III

Pawełek obudził się późno. Okna były zasłonięte płóciennymi płachtami. Jedna była dziurawa i przez otwór, jak przez obiektyw aparatu fotograficznego, do izby wpadał promień światła, rozszepiając się naprzeciw pryczy na białej ścianie i tworząc na niej prawdziwe „cudo”. Ściana, niby matowa szyba chwytała malowniczą projekcję części podwórza i bramy. Oto przekuśtykała nogami do góry kaczka; za wrotami poruszył się od poddmuchu wiatru obrócony ku dołowi wierzchołek jesionu... Pawełek wytrzeszczał oczy na te dziwa, starając się ogarnąć swoim rozumkiem jego przyczyny. W pewnej chwili dojrzał, że otworzyła się furtka, a w niej wisząc głowami na dół Sierioga i Michaś — rówieśnicy i przyjaciela Pawełka.

Chłopiec zeskokczył z pryczy, ściągnął płachtę z okna i mocno zmrużył oczy przed światłem, które chlusnęło do izby rozpalonym, oslepiającym potokiem. Jak na hasło, przy piecu radośnie zabręczały muchy.

Kiedy otworzył oczy, pierwsze co zobaczył... fuzja! Od razu przypomniał sobie wczorajszy wieczór. Zapiszczał z radości. Ledwie powstrzymując się, żeby od razu nie wyskoczyć na ulicę i nie wypalić z dwururki jednocześnie do Sieriogi i Michasia, rozejrzał się dokoła. Na stole stała miska z kwaśnym mlekiem i leżała pajda chleba. Ale nie czas na jedzenie! W pośpiechu nakrył mleko i chleb ręcznikiem, schwycił fuzję i buchnął w drzwi.



Tymczasem Płaton Gordiejewicz Jarczuk wracał już z sąsiedniej wsi — Łopuszany, od czasu do czasu popędzając leniwie stąpającego Karka. Na wozie, wyścielonym słomą i przykrytym wzorzystym płótnem, siedziała obok Płatona niemłoda już kobieta, w białej w groszki chusteczce na głowie. Spod jej staromodnego żakietu wyglądała koszula, haftowana na piersi, świętecznie połyskiwały czerwone paciorki ciężkiego naszyjnika.

Kobieta patrzyła przed siebie przestraszonymi, jakby nic nie widzącymi oczami, a na jej cierpiętniczo zaciśniętych ustach widniał równie wystraszony uśmiech, zwrócony ku jakimś myślom, zarazem radosnym i trwożnym. Widać, kobieta, która dość zaznała w życiu wdowieńskiego smutku, nie mogła jeszcze uwierzyć, że znowu zaświeciło dla niej jasne słońce, że obok czuje ramię swego męża, jedzie na własnym wozie, jedzie do własnej chałupy, gdzie oczekuje ją chłopiec imieniem Pawełek, a ona ma stać się dla niego matką. Czy to aby naprawdę? Czy też może tylko przyjemny sen, jeden z wielu, ach, jakże wielu snów, nawiedzających ją po długich, ciężkich nocach osieroconej wdowy?

Milczeli w zmieszaniu, że tak się zwyczajnie stało to wszystko. Płaton Gordiejewicz przyjechał do zmurszałej chaty, zabił deskami okna i drzwi, włożył na wóz lekki węzełek z przyodziewkiem, przeżegnał się i powiedział:

— Jazda, całą resztę potem przewieziemy...

Wesoło dudniły koła. Wesoło podnosiły się ich śladem kłęby kurzu. Po obu stronach drogi rozrzuciły się wąskie zagony poletek; jedne z nich radowały wzrok wilgotną zielenią młodych pędów, na innych martwo mienił się zabronowany czarnoziem. Tylko na wszystkich miedzach jednakowo tkwiła szczecina błękitnawego piołunu i lebiody. A nad wszystkim szeroko rozlana, aromatyczna, ciepła topiel, błogosławiona jasność i niemilknąca pieśń skowronka, niewidocznego w niebieskim oceanie nieba.

Płaton Gordiejewicz wpatrywał się w kwitnące sady, zalewające białymi, wzdętymi falami niedaleką już Kochanówkę, wciągał w siebie przepojone wiosenną wilgocią, odurzające powietrze i rozmyślał nad tym, że już mu na szósty krzyżyk idzie, a wypadło wieść do domu drugą żonę... Wszystko z powodu Pawelka. Rośnie synek jak dziczka, bez macierzyńskiego dozoru, jak ta bylina przydrożna. A i dom bez gospodyni, niczym ziemia bez wiosny...

Już i Kochanówka. Płaton Gordiejewicz pragnął jak najszybciej wjechać w swoje obejście: nie lubił babskich spojrzeń, ozwionych kpiącą i bezwstydną ciekawością.

Ale droga, jakby na umyślnie zaczęła podrzucać wóz na wybojach, głośniejsz zagadały koła i spod wszystkich wrót odpowiedziało im radosne naszczekiwanie psów.

Już z daleka Płaton Gordiejewicz spostrzegł tłum dzieciaków przed zagrodą. Domyślił się, że to Pawełek wyniósł fuzijkę na ulicę. Szarpnął lejcamy, szybciej popędził Karka.

Gdy podjechał do obejścia, dzieci rozleciały się spłoszonym stadem i pędem przez ulicę. Tylko Pawełek pozostał z całym samozaparcem, wciąż z fuzją w rękach, patrząc w oczy ojca bacznym, pełnym poczucia winy spojrzeniem.

— Otwieraj wrota, kozacze! — uśmiechnął się pod wąsem Płaton.

Pawełek z całą gotowością rzucił się ku wrotom, wparł się wąskimi ramionami w chropowate deski. Podszedł ojciec i w dwóch otworzyli wrota na oścież.

Pawełek czekał na karę, ale w oczach ojca nie było złości. Nie spiesząc się, Płaton Gordiejewicz wyprzągnął konia i zwrócił się do synka:

— No Pawełku, prowadź do chałupy naszą nową matusię.

Chłopiec już sam domyślił się, co za kobietę przywiózł ojciec. Patrzył na nią zupełnie zagubiony, z rozczarowaniem i wyraźną wrogością. Cóż znowu za mamusia? Nie podobna do mamusi, ani-ani!

Ojciec go przynaglił.

— Zaproś do chaty. Mów: mamusiu, chodźmy do chaty.

— Chodźmy do chaty — nieśmiało powtórzył Pawełek.

W tej samej chwili zgrzytnęła furtka, popchnięta zdecydowanym ruchem i na podwórkę weszli przewodniczący rady wiejskiej i dzielnicowy milicjant. Przewodniczący patrzył na Płatona Gordiejewicza oczami, przerażonymi nie wiadomo z jakiego powodu i boleściwie marszczył młodą wyglądającą, dokładnie wygoloną twarz. Milicjant zaś, surowo ściągnąwszy cienie, wypłowił brwi i wymachując służbową torbą, rzeczowo obejrzał obejście, aż zatrzymał wzrok na Pawełku, który instynktownie schował fuzję za plecami.

— Pokaż-no!

Pawełek nie ruszył się z miejsca. Podszedł ojciec, wziął fuzję i wyciągnął ją do milicjanta. Ten podrzucił broń na rękę, próbując wagę, i z ukosa rzucił kpiące spojrzenie na przewodniczącego rady. Potem zaczął ciekawie oglądać fuzję. Nagle nasrozył się, dostrzegłszy na części odtylcowej wybity numer i zarysy carskiego herbu.

— A więc jednak, towarzyszu Jarczuk, rzeczywiście ukrywamy broń?

Dalszy ciąg rozmowy odbywał się w gmachu wiejskiej Rady, w pustym, zimnym pokoju z gołymi ścianami. Milicjant ułożył się za stołem prezydyjnym i spisywał protokół. Od czerwonej satyny, pokrywającej stół, padał na jego twarz purpurowy refleks.

— Od jak dawna ukrywacie broń? — badał milicjant siedzącego naprzeciw Płatona Gordiejewicza.

— Od trzech lat. — Stary Jarczuk jadownicie uśmiechnął się pod wąsem.

— Skądżeście ją wzięli?

— Pewien zacny człowiek podarował.

— Kto?

— Nie powiem.

— Powiecie. U nas wszyscy mówią... Wiedzieliście, że nie wolno posiadać broni bez specjalnego pozwolenia?

— Coś tam słyszałem, że niby jest takie prawo. Ale widzieć, tom go nigdy nie widywał. — Płaton wzruszył ramionami i z miną winowajcy popatrzył na przewodniczącego wiejskiej rady, który milcząc spacerował po pokoju i dymił śmierdzącą kozio-nóżką.

— A więc nie zaprzeczacie, że ukrywaliście broń przed so-wiecką władzą?

— Nie, nie zaprzeczam. Na strychu chowałem, w słomie.

Milicjant bez większego pośpiechu zapisywał zeznania Pła-tona Gordiejewicza, przechylając głowę na dół jak kura i zezując na arkusz papieru, wyrwany z jakiejś starej księgi rachunkowej.

— Obywatelu Jarczuk, podpiszcie protokół — powiedział wreszcie z westchnieniem, prostując plecy, i rzucił przewodniczą-cemu rady wiejskiej spojrzenie pełne wyrzutu, jakby chciał przez to powiedzieć: „Widzisz jakie to rzeczy dzieją się u ciebie pod nosem, towarzyszu przewodniczący!”

Płaton Gordiejewicz podniósł się ze stołka, zastękał, złapał się za krzyże i podszedł do stołu.

— Pokornie upraszam, towarzyszu milicjancie... To niby te-raz jak? Do więzienia, znaczy się?

Milicjant rozłożył ręce i ze współczuciem popatrzył na zaroś-niętą twarz Płatona.

— Tedy więzienie... — Płaton Gordiejewicz chrząknął i wziął pióro do ręki. — A ja — gwałtownie, tak że zazgrzytała stalówka, przekreślił dwiema liniami kartkę z protokołem — do więzienia nie chcę!

Zdumiony policjant odrzucił się całym ciałem na oparcie krze-sła, które żałośnie zaskrzypiało.

— Nie chcę do więzienia! — kpiąc już w żywe oczy, ze stłumionym śmiechem powtórzył Płaton Gordiejewicz. Ostrożnie położył pióro na stole, wziął fuzję i ze złością uderzył nią o kolano.

Fuzja złamała się z suchym trzaskiem. Zaskoczeni przedsta-wiciele władzy zobaczyli, że obydwie lufy zrobione były z wydrą-żonych gałęzi bzu, tak umiejętnie obtoczonych i opalonych na ogniu, że najlepsze oko nie mogłoby zauważyć imitacji.

Na jakiś czas w pokoju zaległa głucha cisza. I natychmiast odezwał się gwałtowny, gruby śmiech, tak grzmiący, że aż szyby zadzwoniły w oknach. To przewodniczący wiejskiej rady chwycił się za brzuch, jęcząc i skręcając się od śmiechu.

— To dlaczegoście, towarzyszu Jarczuk, tyle czasu durnia udawali? — rozeźlił się milicjant, ale zaraz i on zatoczył się od śmiechu, piskliwego, jak u baby.

Nawet na myśl nie przyszło Płatonowi Gordiejewiczowi, że z czasem ta połamana zabawka, udająca broń, „wystrzeli” i porani go boleśnie.

IV

Stefan wyszedł z Kochanówki wieczorem, wyszedł, aby nigdy więcej nie powrócić.

Kukułka na pożegnanie bez przerwy kuła w lewadach, które dopiero co przeszumiały nad jego głową swoim koronkowym listowiem, wilgotnym i beztrosko młodzieńczym. Czego chce ta zawsze niespokojna siwopióra przepowiadaczka? Czy swoim ptaśczęcym głosem nawoływała Stefana, żeby wrócił do ojczystej chaty? Czy też może chciała ubłagać wieczorne słońce, aby nie chyliło się ku zachodowi.

Czerwone, oślepiające słońce nieuchronnie staczało się ku horyzontowi. Nad niepojęcie odległym skrajem ziemi słońce bojaźliwie zanurzyło się w szerokim całunie jasno-popielatych obłoków, podpaliło je i rozpuściło się w olbrzymim płomieniu milczącego pożaru. Długo jeszcze konający płomień zachodu dosięgał najdalszych kresów ziemi, rozpląwał się w przestrzeni, co chwila rozpluskując coraz mniej barw. I wszystko zgasło. Ziemia poczerniała, jak gdyby zwęglona, zaczęła sączyć liliowy zmierzch.

W piersi Stefana w dalszym ciągu palił się płomień, który, zapewne, nigdy nie miał zgasnąć.

Lewady zostały daleko za nim, ale wciąż dobiegał, przygłuszony odległością niepocieszony głos kukułki.

Dokąd-że idziesz, Stefanie? Co cię zmusiło do opuszczenia rodzinnego domu, do opuszczenia w nieutulonym smutku starej, samotnej matki? Przecież nikt ciebie nie oczekuje w obcych stronach, nikt ci nie obiecuje tam szczęścia...



Stefan Hryhorenko zdobył sobie w Kochanówce sławę cudacznego chłopaka. Zawsze zajmowały go zagadnienia, które innym nawet na myśl nie przychodziły.

„Dlaczego pomidory są czerwone, zaś ogórki — zielone?”
„W jaki sposób jagnię zawsze znajdzie swoją matkę, chociaż w kierdlu są tysiące owiec?” „Dlaczego kiedy deszcz pada, niezawsze wyskakują bańki na kałużach?” „Dlaczego ziemię nazywają ziemią, a niebo niebem?”

— Uważaj-no, chłopcze — niejednokrotnie ostrzegano Stefana — żebyś kręcika nie dostał.

W lecie, podobnie jak większość parobków w jego wieku, Stefan często jeździł na nocne pastwisko. Zgodnie z ustalonym zwyczajem, spędzali za wsią tabun koni i po gorącej sprzeczce wybierali najdzielniejszych jeźdźców, którzy wyskakiwali z tabunu i galopem kierowali się ku łąkom. Podnieceni młodzieńczą ambicją, pastuchowie zawzięcie dobijali się pierwszeństwa. Ale najczęściej zwyciężał Stefan dzięki jednemu koniowi w gospodarstwie — zwawemu źrebcowi, który nazywał się Gniadosz.

Któregoś dnia stefanowego Gniadosza prześcignęła ryza kobyła ze stajni Olany — znanej w całym powiecie bogaczki. Najbardziej chłopców zmartwiło, że kobyły dosiadł nie Nazar, syn Olany, lecz najmłodsza córka, Chrysta. Zdawało się, że tylko jeden Stefan nie czuł się dotknięty tym wydarzeniem i w odpowiedzi na kpiny kolegów, którzy szydzili z niego, że dał się Chrystcie prześcignąć, uśmiechał się w zakłopotaniu.

Obecność Chrysty na nocnym pastwisku naruszyła ustalony tryb zachowania się pastuchów. Tej nocy nikt przy ognisku nie opowiadał ordynarnych bajek i nie kłął w matkę, choć gadania było co niemiara: aż do północy chłopcy rywalizowali w dowcipach, wystawiając jeden drugiego na śmiech. Tylko Stefan milczał, leżąc na świtce i bez przerwy wpatrywał się w bezdenną głębię nieba, obsypanego gwiazdami jak szronem.

— Cóżes tam wypatrzył, Stefanie? — prześmiewnie pytała Chrysta.

— Nie bądź leniem i popatrz sama — odpowiedział Stefan.

Chrysta roześmiała się pobłaźliwie, rozścieliła obok Stefana pikowany kubrak i położyła się na plecach. Zdumieni chłopcy także pozadzierali głowy do góry i zaczęli wpatrywać się w czarną wysokość, od której ciągnęło chłodem. Na dłuższy czas przy ognisku zapanowała cisza. Sami nie zdając sobie z tego sprawy, pastuchowie poddali się urokowi majestatycznego widowiska: z tajemniczej głębi wszechświat spoglądał na ziemię tysiącami gwiazd.

— Straszno... — wyrzuciła z siebie szeptem Chrysta.

Nagle rozległ się podniecony głos Stefana. Cichym, śpiewnym głosem zaczął recytować wiersze, nie wiadomo przez kogo zanesione do głuchej podolskiej wioski.

*Porwę cię z sobą i nawzajem
wzniesiemy się nad świat, nad czas,
gdzie ziemia gwiazdą się wydaje,
a ziemią każda z jasnych gwiazd...*

Stefan zamilkł. A dokoła wydawało się, że nikt nie oddycha, jak gdyby lękał się spłoszyć czarodziejski nastrój.

— Tyś sam wymyślił to wierszowanie? — po dłuższym milczeniu zapytała Chrysta załamującym się głosem.

— Nie wiem...

— Jakto nie wiesz?

— Milcz...

— Dlaczego mam milczeć?

— Patrz w niebo...

Wszyscy chłopcy po kolei układali się na plecach. Znowu zapanaowała naprężona cisza, przerywana jedynie miarowym chrzęstem trawy pod zębami pasących się koni.

— Czujecie? — cichym, tajemniczym głosem zapytał Stefan.

— Co? — przestraszona Chrysta szczęknęła zębami.

— Jak ziemia leci?

— Prawda — po dręczącej pauzie szepnęła Chrysta. — Gwiazdy odpływają na bok. — I ze strachu uchwyciła rękę Stefana gorącą dłonią.

Przez długi jeszcze czas żaden głos nie odezwał się u pastuszego ogniska. Być może, po raz pierwszy w życiu ci synowie ziemi zadumali się nad przemijaniem ludzkiego bytu, próbując wniknąć nie obciążonym wiedzą umysłem w niełatwy sens nieskończoności. A gdy znów zaczęto mówić, już nie było słyhać żartów, ani zjadliwych kpin. Ustalili kolejność wartowania i, podrzuciwszy do ognia zbutwiały wierzbowych karczcy, ułożyli się do snu.

Obok Stefana kręciła się na swoim kubraku Chrysta, wzdychała i coś tam szeptała sama do siebie. Na pół drzemiący Stefan dosłyszał kilka słów:

...A ziemią każda z jasnych gwiazd...



Stefana zbudziło wrażenie, że czegoś mu brakuje. Otworzył oczy i na tle świecącego nieba zobaczył Chrystę. Dziewczyna stała przy zagasłym ognisku i słodko przeciągała się, szeroko rozkładając ramiona. Stefan zdał sobie sprawę, że nawet przez sen czuł jej obecność przy sobie.

Chrysta ściągnęła z głowy chustkę i zwinnymi palcami rozplotła długi, sprężysty warkocz, jasno-żółty, jak jaskrawy kwiat

słonecznika. Zaczęła go pleść na nowo, ale kubrak, który miała na sobie, przeszkadzał, więc go zdjęła. Kubrak upadł u jej bosych, silnych, zaczerwienionych od zimnej rosy nóg. Uplatała włosy, wysoko podnosząc ostre dziewicze piersi i spoglądając w zamyśleniu na niebo zalane czerwienią, jak to bywa przed wschodem słońca.

Stefanowi wydało się, że po raz pierwszy widzi Chrystę — jakąś urodziwą na inny, wyjątkowy sposób, milczącą i tajemniczą. Rysy twarzy, nieco osmalonej wiatrem i słońcem, odznaczały się zupełnie nie chłopską delikatnością. Pyszne, wysmukłe ciało, giętkie, o płynnych ruchach, zdradzających opanowany charakter. Przed Stefanem stała inna Chrysta, już nie podlotek, jakim dotąd mu wydawała się.

Obróciła się i pochwyciła spojrzenie Stefana.

— Wstawaj, Stefek. Czas do domu.

Na łagodny i śpiewny głos Chrysty serce słodko drgnęło u Stefana.

— Dziś niedziela, nie ma pośpiechu. — Skoczył na równe nogi, rozprężył się i rozejrzał dokoła.

Ciężka rosa drzemała na łące. Lecz oto zza dalekiego pasma czarnego lasu wyrzało słońce i po siwej rosie prześliznął się chłodny jeszcze promień; natychmiast na trawie rozjarzyły się miliony skier. Każda kropla rosy rozświeciła się od środka. Wydawało się, że, dotknięte promieniem, krople rosy dzwonią jak złote dzwoneczki. W tej samej chwili, od dalekich lewad, otulających Kochanówkę, odezwało się wyraziste nawoływanie kukułki, jakby oznajmijając, że jest w posiadaniu jeszcze jednej tajemnicy, której istnienia ani Stefan ani Chrysta na razie jeszcze nie domyślali się.

Drżąc na porannym chłodzie, Stefan odszukał oczami wśród pasących się koni swojego Gniadosza i poszedł ku niemu, czując w sercu jakąś niewyjaśnioną, rozdygotaną radość.

— Stefek, przyjdź wieczorem na zabawę! — krzyknęła wyzywająco za nim Chrysta.

Zdziwiony Stefan zwrócił się ku dziewczynie, popatrzył w jej żywe, niespokojne oczy i roześmiał się z cicha.



Po wieczorach Kochanówka zawsze bywała okręcona wieńcami pieśni. Ale najbardziej rozkwiecały się one i najdźwięczniej dzwoniły po świętach; przerzucały się z ulicy na ulicę z nadzwyczajnym zapałem a tak harmonijnie, jak gdyby kierowała nimi ręka niewidzialnego dyrygenta.

W te świąteczne wieczory cała wieś wychodziła na ulice. Lu-

dzie zbierali się u przyzb, rajcowali, gryźli ziarnka słonecznika. Słuchali pieśni i zgadywali, która to dziewczucha tak wysoko wyciąga melodię.

Dziewczęta szły na zabawę, obwieszone strojnym przyodziewkiem i ozdobami, niczym dawni rycerze bojową zbroją. Każda wkładała po trzy, cztery kwieciste spódnice, obszyte z dołu koronkami, wypuszczając rąbek jednej spod drugiej. Dokoła spódnic pyszniła się duża chusta o niesłychanie jaskrawych kolorach, a na tym jeszcze płócienny fartuch, haftowany w kwiaty. Na lnianych koszulach też widniał bogaty haft, dostosowany kolorem do aksamitnego stanika — czerwień, zieleń, czerń i błękit. I naszyjniki! Po kilka sznurów z ciężkich, karminowych paciorków. Do tego wszystkiego dochodził wspaniały wianek z kwiatów na głowie, zaś z wianka spływała kaskada wstążek we wszystkich odcieniach tęczy.

W owych czasach moda nakazywała nosić buciki z cholewkami z chromowej skóry, gęsto sznurowane i na grubym, wysokim obcasie. I koniecznie, jako dowód dobrobytu, gumowe kalosze, nawet gdy lipiec był w pełnej kanikule.

Wyłącznie dziewczęta z bogatych rodzin niekiedy zdobywały się na odwagę i wkładały na siebie mniej przyodziewku, jakby rzucając wyzwanie społecznej opinii, która i tak nie ośmieli się ich osądzić.

Tego wielkanocnego wieczora Chrysta przysłała na zabawę ubrana znacznie lżej od innych dziewcząt. Może właśnie dlatego, gdy na wiejskim placu chłopcy i dziewczęta bawili się w grę „trzeci odpada”, Chrysta tak szybko, z takim szczęśliwym, hucznym śmiechem biegła w korowodzie par i nikt nie był w stanie jej dogonić. Za każdym razem, po obiegnięciu koła, stawiała ku zdziwieniu wszystkich albo przed Stefanem, albo przed dziewczyną, która szła z nim w parze. Stefan robił to samo, ale był blady i milczący. Widać, serce mu powiadało, że w złej chwili i na gorzkie nieszczęście zakochał się w Chrystcie — córce tajemniczej i znanej z mądrości Olany.



Rodzina Stefana Hryhorenki ani równać się mogła z Olaną. Jej mąż, Tryfon, który w 1919-ym roku poszedł do petlurowskiej bandy, zginął bez wieści, i oto już od sześciu lat Olana prowadziła ogromne gospodarstwo z dwudziestu dziesięcin ornej ziemi, działki leśnej, a do tego sześć par koni i dwie pary byków, mnóstwo owiec, nierogacizny, dwie krowy. Dom Olany stał osobno, otoczony z trzech stron łąkiem rzeczki Bużanki, pośrodku olbrzymiego ogrodu. Murowanka, składająca się z pięciu izb,

spoglądała na Kochanówkę oknami o rzeźbionych futrynach, wymalowanych na biało olejną farbą, otaczały ją wysmukłe jesiony, a całość jakoś przypominała stary szpital powiatowy.

Miała też Olana własną młockarnię, zaprzęganą w konie, siewnik i sortownik. Chętnie też wypożyczała chłopom swoje maszyny na odrobek.

Sławna była ze swej umiejętności lekowania ludzi i bywała przy pomocy ziół, potrafiła zamawiać chorobę, taczając jajkiem, i zaklinać od zimnicy i urocznego oka modlitwą i tajemnym słowem.

A już jaka przychylna i uważna była Olana dla każdego — drugiej takiej nie znajdziesz! Dowie się, że dziecko urodziło się we wsi, zaraz biegnie do położnicy i zanosí jej kwartę miodu i pełny podódek jabłek. Wtedy długo w chałupie nowonarodzonego słychać śpiewnie przeciągły, słodziutki głos Olany.

— No, i chwała Bogu, o, chwała Bogu! Pod dobrym znakiem urodził się chłopczyzna. Żebyś go tylko strzegła przed cygańskim spojrzeniem, a będzie rósł zdrowiuteńki, rodzicom na radość, wrogom ku zawiści. Jego będzie szczęście i bogactwo w życiu, jeśli tylko rodziciele potrafi poważać i modlić się do Pana Boga...

Tak to pięknie śpiewała ciotka Olana, aż wszystkich domowników ssało w dołku z radości, że przybył rodzinie nowy członek, którego czekał taki zadziwiający los. Wydawało się, że od tych słów jaśniej robi się w chałupie zaś Olana już zbierała się z powrotem mówiąc przy pożegnaniu:

— Jedz mój miodek, kochaneńka, jedz jabłuszka. Od tego krew się oczyszcza, mleko w piersiach wzbiera i synaczek wielkiej siły dostanie. Te jabłuszka to antonówki, z jabłoni, co na skraju sadu stoi i pierwsza wzejście słonka spotyka. Święta jabłonka! W jesieni, jak sad dojrzeje, przyjdź na owocobranie, odwdzięczysz się tej jabłonce. Synaczka też przyniesz ze sobą. Niech się anyżu nadyszy — jest u mnie jeszcze inna jabłonka, z anyżowym zapachem. Potem w zimie żadne zaziębienie nie będzie dzieciakowi straszne. Ale żeby pożytek był i dla ciebie i dla dzieciaczka, pracujesz w moim sadzie jakiś tydzień...

Odprowadzano Olanę aż za wrota i kłaniano się jej aż do pasa.

Albo zdarzy się, chworość padnie na krowę. Olana już jest przy niej. W całym podwórku rozlegają się jej zawodzenia.

— Nieszczęśliwe ty Boże stworzenie, daru mowy pozbawione, jakże to diabli ci nadali, żeby ci się w żywocie jazowe zióło z burkunem złączyło?!

Po czym gniewnie pokrzykiwała na przestraszonych i zakłopotanych gospodarzy:

— Czego w miejscu stoicie? Ratować trzeba bydłatko! Zaraz

wody zagrzejcie! I niech kto do mego domu poleci po poświęcane nasienie konopi!

Odpedzała precz ciekawych, klękała obok krowy i zaczynała szeptać tylko jej znane modlitwy.

A gdy woda już była zagrzana, konopiane nasienie podsmażone i roztarte, Olana własnoręcznie mieszała poidło w szafliku, kładła nad nim znak krzyża, dorzucała jakichś ziół i zadawała bydłęciu.

Odchodziła z zagrody zmęczona, milcząca, ale bez żadnego uczucia dumy z powodu spełnionego obowiązku. Że niby tak właśnie powinno być. Gospodarzom, którzy przy pożegnaniu próbowali całować jej ręce, dawała poufne rady, jak mają doglądać chorej krowy, i mówiła pobłaźliwie:

— Bóg da, wyzdrowieje... To by było dobrze jakbyście starszego syna do mnie przysłali. Niech pokręci się koło zdrowego bydła i pomoże gnój wywieźć na pole. Mnie to nie potrzebne, tylko dobrym duchom, co się żywiolą opiekują.

Zdarzało się, że po takim lekowaniu Olany krowa zdychała.

— Bóg dał, Bóg wziął — boleściwie wyjaśniała przyczynę nieszczęścia i proponowała pieniężną pożyczkę na kupienie drugiej krowy.

Olana nigdy nie odmawiała kochanowczanom, gdy potrzebowali pomocy: ani pieniędzy, ani ziarna, ani mąki, ani koni dla zorania roli. Miód z jej pasieki uważano za uzdrawiający i przychodzono po niego do Olany, jakby to było lekarstwo.

Naturalnie — inaczej przecież być nie powinno — prowadziła dokładny wykaz swoich dłużników. Ale żadnych procentów nie brała. Pokornie, niemal uniżenie prosiła, żeby dłużnik po oddaniu długu, przepracował te jakieś dziesięć dni na jej polu w czasie żniw, albo, żeby wymłócił kopę czy dwie w jej stodole. I wychodziło na to, że wieś przez okrągły rok pracowała dla Olany i nadto było jej wdzięczna za zadziwiająco dobroć i niebywałą uczynność.

Olana — to kobieta dorodna, o zycyliwej twarzy, o szczerych, szeroko rozwartych, ciemnych oczach, litościwie zaglądnących do najdalszego zakątka ludzkiego serca. Była już po pięćdziesiątce, ale wyglądała na znacznie młodszą, policzki miała rumiane, a w smolistych, czarnych włosach ani jednej srebrnej nici.

Wyglądało na to, że Chrysta odziedziczyła po matce całą jej urodę, ale do tego dołożyła swoją łagodną młodzieńczość, wesołe usposobienie i dobroć czułego serca.

I oto Chrysta zakochała się... Zakochała się po raz pierwszy w życiu. A przecież żyje jednak już szmat czasu: całe dziewiętnaście lat.

Jakież to szczęście bez przerwy rozmyślać o Stefanie! Stefek... Stefanek... Ledwie obudzi się — serce natychmiast, „puk-puk” przypomina o nim w słodkim przestachu. Czymkolwiek by się nie zajęła, Stefan z nią stale — w sercu, na myśli, w westchnieniach, w śmiechu wybuchającym ni stąd ni zowąd. Zadziwiająco, jakże Chrysta mogła przedtem żyć bez tego! Cały czas tylko ona jedna i nic więcej, a teraz — ona i Stefan.

A tu już zima i na wiosnę Stefan przyśle swatów. To nic że biedak. Jakoś wyżyją! Byle by matka zgodziła się. Matka przecież kocha swoją najmłodszą córkę. Nie będzie się przeciwieć, nie zechce unieszczęśliwić Chrysty!

Więc tylko czekała na okazję, żeby pomówić z matką na temat swego zamążpójścia. Matka wciąż jakoś nie domyślała się, że Chrysta jest zakochana!

Olana dobrze wiedziała o wszystkim. Ale nie było w jej zwyczaju stawiać się córce sztorcem. Któregoś dnia, już pod koniec zimy, kiedy Stefan pojechał na wyrąb lasu, Olana powiedziała do Chrysty:

— Córeczko, skocz-no do Hryhorynczychy i zanieś jej dzbanek miodu. Słyszałam — babcia niedomaga.

Chrysta zalała się rumieńcem do tego stopnia, że aż łzy wystąpiły jej na oczach.

— Nie czerwień się tak, córuchno, przed ludźmi rumieńcem się nie zasłonisz — smutnie, z lekkim wyrzutem powiedziała Olana i poszła po miód do komory.

Chrysta ubrała się i, paląc się ze wstydu, pobiegła na drugi koniec wsi, gdzie mieszkał Stefan.

Wróciła stamtąd przygnębiona, całkiem zagubiona.

— No, jak tam u Hryhorynczychy? — zapytała Olana z udaną obojętnością.

— Oj, mamusiu, aż strach... — wyszeptały na siłę wyschnięte wargi Chrysty.

— Dlaczego strach?

— Chałupa ciasna... Połowę izby zajmuje tkacki warsztat. Zamiast podłogi czarne klepisko. Okienka takie — kot ledwie przelizie.

— Nic nie poradzisz — westchnęła Olana. — Ciemna biedota. Tylko z tego żyją, ile stara płótna utka dla ludzi.

— A ziemi ile mają?

— Stefan się jeszcze przed tobą nie pochwalił? Jedna dziesięcina, a i to sama glina... Tak że pierogami obżerać się nie będziecie.

— Matka, a wy nam roli nie dacie?

— Akurat! Takich co by się do cudzej ziemi przyżenili, nie brakuje! I to lepszych od twojego Stefana! Ty, Chrysta, miej po-

myślunek. Braci masz. Ziemia do nich należy. Twojego ino tyła, co w skrzyni. No, krowinę dodam, trochę dydków. Ale na bogaczy was nie wyprowadzę, tego się nie spodziewajcie.

— Mamo, to jakże my żyć będziemy?

— W biedzie. Pracować będziesz od świtu do zmierzchu, każdy grosz liczyć, za kawałkiem chleba oglądać się. A tyś co myślała? W kochaniu też trzeba mieć rozum.

— Moje kochanie rozumne...

— Hale, jakie tam rozumne, jakieś serca na postronku utrzymać nie potrafiła! Młode serce rwie się do urody, jak głupie szczenię do dzieci. To trza było, córuchno, wiedzieć, kiedy można szczeniakowi popuścić, a kiedy nie można. Można było serce uchować dla takiego jak i ty, a nie iść do gołodupca, a do tego głupkowatego...

— Mateńko... toż on mądry, dobry... Matka, co mam robić? — Chrysta rozpląkała się gorzko.

— Sama powiesz! — spokojnie oświadczyła Olana. — Gwałtu ci zadawać nie będę. Nie brak ludzi uczciwych, co swatów chcą przysyłać.

— Wy Ołeksę macie na myśli?

— A kogóż by innego? Gospodarski syn, nie durny, mocny chłop, bez dziobów na gębie. Będziecie żyli w dostatku.

— To już się pierwszej powieszę!

— Na wszystko jest wola Boska. A jak kto ma rozum, to się od gorączki nie wiesz.

Chrysta uciekła do swojej izdebki, zamknęła się. Przepląkała cały dzień i noc, a na rano pokazała się matce na oczy cała poczerwiała, wychudła. Uśmiechnęła się żałośnie, jak dziecko przepraszające za popełnioną winę, i nie swoim, zgrubiałym głosem powiedziała:

— Matko, poślijcie w las, żeby Stefan przyszedł. Co on powie, tak zrobię...

Ale Olana знаła się na rzeczy. Stefan nie wrócił z lasu aż do samej Wielkanocnej Niedzieli. A kiedy wrócił, jego Chrysta już była wyswatana Ołeksie Jakimence, starszemu synowi Filipa, bogatego gospodarza z Kochanówki.

Dowiedział się Stefan o swoim nieszczęściu i wyniosło go w świat.

Poza starą matką, miał w Kochanówce tylko wuja, Płatona Gordiejewicza Jarczuka. Stefan nie przyznał się przed Płatonem, że opuszcza wieś. Tyle że na pożegnanie wpadł do jego chałupy i przyniósł ze sobą niewielką dwururkę, którą sam zmajstrował dla rozrywki podczas długich zimowych wieczorów.

— W podarunku dla Pawełka — powiedział Stefan do zaskozonego wuja, szukając spojrzeniem pięcioletniego krewniaka.

Ale Pawełka nie było w izbie. Płaton Gordiejewicz wziął w ręce dwururkę i chrząknął zdziwiony na widok kunsztownej roboty.

— Ta-ak — nie zdobył się na nic więcej. — Za mały jeszcze Pawełek, żeby takie zabawki mieć... — Więc schował fuzję na strychu.

V

— Uciekła! — triumfujący Pawełek z radością informował ojca, gdy ten wrócił z wiejskiej Rady.

— Kto uciekł?

— A ta! No, niby mamusia! Powiada, że myśmy są bandyty! — Pawełek aż podskoczył z wielkiego zadowolenia.

— Bandyty?

— O właśnie, bandyty! Powiada — niech się pierwszej ta chałupa spali, zanim ona bandyckim bękartom będzie usługiwać.

— Bękartom?

— Acha, A co to takiego — bękart?

Płaton Gordiejewicz zaśmiał się tak dziwnie, że Pawełek przestraszył się i zamilkł. Doskonale wiedział, co zapowiada ten ojcowski śmiech.

Na wszelki wypadek odszedł od ojca jak najdalej. Trwożnie zerkał na Płatona Gordiejewicza, który stał koło wozu, milcząc, dyminił machorką na uwiązanego Karka i rozmyślał w widocznym napięciu. Pod wąsami, w opuszczonych kącikach ust czaił się zły uśmiech, a z oczu spod kosmatych brwi wylewała się niemal namacalna, coraz bardziej wzrastająca wściekłość.

Pokiwawszy głową do jakichś myśli, Płaton Gordiejewicz raz jeszcze zaciągnął się gryzącym dymem, szmyrgnął niedopałek pod gruszę i zaczął odwiązywać Karka.

Ciągnąc uzdę, wyprowadził konia za bramę, przepuścił go i rzucił się pierśią na ostro sterczący grzbiet. Pawełek aż zachichotał, tak zabawnie ojciec podrzucił tyłek i prawą nogę, żeby wsiąść na konia. Karko jakby odczuł nastawienie gospodarza. Poderwał łeb, zadarł ogon i, uderzony brutalnie obcasami po bokach, popędził z niezwykłą dla niego szybkością.

Płaton Gordiejewicz dogonił uciekinierkę już niedaleko od wsi Łopuszany. Smagnięta płomieniem przerażenia, kobieta spoj-

rzała w mroczną twarz jeźdźca unoszącego bat nad głową, i rzuciła się precz z drogi. Świszczące uderzenie przygrzało ją przez plecy. Z chrapliwym wyciem pobiegła do wsi na przełaj, przez wyciętą lewadę. Za nią szedł spazmatyczny chichot Płatona Gordiejewicza i drapieżny świst bata.

Oślepiiony wściekłością, stary Jarczuk zabawił się zbyt długo. Nie zauważył, że łopuszańscy chłopci, którzy bronowali opodal swoje pola, dosiedli koni. Czterech bosych, brodatych jeźdźców otoczyło rozjuszonego Płatona Gordiejewicza i, nie próbując nawet zorientować się o co chodzi, dokonało doraźnej i sprawiedliwej rozprawy.

Ledwie żywego gospodarza przyniósł do domu wierny Karoko. Pokryty pręgami, okrwawiony, Jarczuk niemal dusił się od bezsilnej wściekłości.

W taki to sposób Pawełek stracił swoją drugą matkę i, mało brakowało, byłby utracił swego ojca.

VI

Nie ma to jak nienasycona kobieca ciekawość! Ale Pawełkowi to odpowiada. Coraz to zdarza się że woła go do swojej chałupy któraś z litościwych sąsiadek, Ksenia albo Motria, Pałaszka albo Fieńka — i zaczyna rozpytywać, co i jak. Pawełek dłubie palcem w nosie, zezuje mocno zainteresowanym spojrzeniem ku półce, na której przestygają pierogi albo pszenne kołaczki, i milczy. O czym tu opowiadać? Owa, wielka mi rzecz, że trzecia z kolei mamusia też długo miejsca w domu nie zagrzała! Pawełek wcale jej nie żałuje.

Nareszcie sąsiadka pcha mu do ręki spory kawałek gorącego pieroga, więc Pawełek niechętnie zaczyna odpowiadać na pytania. Zresztą nawet mu się podobało, że zmuszał baby do wydawania różnych och i ach, do rozkładania rąk i żegnania się szerokim znakiem krzyża. Podobało się, że tak go żałowały, głaskały po niestrzyżonej głowie i wzdychały.

Pawełkowi także było bardzo żal samego siebie. Ale czemu? — przecież naprawdę był rad, kiedy ojciec wyrzucił z domu trzecią mamusię, wdowę Jewdochę, zaraz na drugi dzień po jej sprowadzeniu.

Nazajutrz Jewdocha podawała obiad — najpierw barszcz w głębokiej, glinianej misie. Siorbali go w milczeniu szerniałymi od starości drewnianymi łyżkami, aż zaczęły chrobotać o dno miski.

Mama poszła wyciągać z pieca jaglaną kaszę i wtedy Płaton Gordiejewicz zaszeptał do Pawelka:

— Nasza nieboszczka matusia lepszy barszcz warzyła... Prawda?

— Uhu. — Pawełek starannie oblizywał łyżkę.

Los Jewdochy był już przesądzony. Zjedli leciutko przydymioną kaszę. Kiedy Jewdocha zmyła naczynia, rozstawiła je pod piecem i na półce, i zamiotła klepisko, Płaton Gordiejewicz otworzył skrzynię, odciął od grubej sztuki dziesięć łokci płótna, które bieliła jeszcze nieboszczka gospodyni, zwinął je i, podając Jewdosze, powiedział:

— Weź i... nie miej mi za złe. Dla nas ty nie jesteś zdatna.

Jewdocha stała jak słup soli pośrodku izby, z płótnem w rękach, gdy ojciec już zaprzęgał Karka, aby ją odwieźć do wdowiego domu, z powrotem do Hałuszników.

Czwarta mamusia umiała uwarzyć smaczny barszcz i kaszę, którą Pawełek tak wbijał, że mu aż za uszami trzeszczało. A w ogóle wykazała, że jest dobrą gospodynią. Po kilku dniach jej pobytu chałupy nie można było poznać — wydawało się, że ściany rozsunęły się i przybyło światła; wszystko aż świeciło się czystością. Gdy upiekła chleb, ten, stygnąc na ławie, wydawał z siebie taki sycony zapach i aromat, jak gdyby sam dobrobyt nabrał zapachu i na zawsze osiedlił się w domu Jarczuka.

Ale już coś zanadto chodziła dokoła Pawelka. Na dworze gorąc, a Barbara — bo tak się nazywała czwarta mamusia — aż gdacze: „Zapnij się, moje złotko, a nuż się przeziebiesz, chłopczyku mój kochany”. Po dobrym obiedzie zawsze pytała: „Może jesteś głodny? Czym by tu jeszcze ciebie nakarmić?”. Albo jeszcze gorzej: „Miej baczenie, do studni nie wpadnij” — chociaż Pawełek nie miał najmniejszej chęci na wpadanie do studni. Nie głupi!

Aby uniknąć tej przesadnej troskliwości nowej mamusi, starał się przez cały dzień nie zjawiać ani w chałupie, ani na podwórku.

Zaś Płaton Gordiejewicz łąził po zagrodzie milczący, nasępiony, jakby dzień mu się wydał mroczną nocą. Jego ukryte myśli też były, widać, mroczne.

Pawełek nie mógł sobie zdać sprawy z tego, że ojciec kochał go wyjątkowo, cierpiąc i męcząc się. To był syn, który urodził się, gdy Płaton dochodził do pięćdziesiątki. Stary Jarczuk aż skręcał się, aż serce mu mdało na myśl, że może umrzeć w nagły sposób, a wtedy Pawełek zostanie na świecie sam jeden i będzie tułać się wśród obcych ludzi, obojętnych na sierocą dolę.

Tak właśnie kilka lat temu wywróżyła mu Cyganka. Wprawdzie nie wierzył worożychom, ale i tak strach przycałił się w du-

szy. Zapamiętał dobrze słowa wróżbiarki ustrojonej kwiecistą chustą i czerwonymi naszyjnikami: „Zonę pochowasz — z czarno-
włosą się nie żeń. Szukaj swego losu w obcych krajach, w jasnych
oczach. Do sześćdziesiątki dojdiesz — śmierci się wystrzegaj, po-
myśl o synu, co się począł z twojej krwi. Ciężka wypadnie mu
dola...”

Kiedy Płaton Gordiejewicz wyobrażał sobie Pawełka o gło-
dzie, boso, w łachmanach, wlokącego się z biczyskiem w rękach
przez cudze pole, za cudzym stadem, serce podchodziło mu do
gardła i w oczach paliły łzy. Albo też przywidywał mu się mały sy-
nek śpiący gdzieś w sieni cudzej chałupy, na kupie worków, po-
piskujący z zimna i głodu, jak bezdomne szczenię... Toż sam Pła-
ton Gordiejewicz miał właśnie takie straszne dzieciństwo...

Szukał więc stary Jarczuk takiej nowej matki dla Pawełka,
która byłaby w stanie dać mu nie udaną, lecz prawdziwą miłość
macierzyńską, a w razie gdyby, nie daj, Panie Boże, stało się, co
się staje z każdym starym człowiekiem, żeby nie wypędziła dzie-
ciaka z domu, ani nie porzuciła samego. Płaton żywił jeszcze piękn-
iejsze nadzieje. Marzyło mu się, że Pawełek skończy szkołę, po-
tem pójdzie na naukę do miasta, aż stanie się człowiekiem i zdo-
będzie stanowisko w życiu jak najdalej od ciężkiej, chłopskiej
pracy.

Oto dlaczego Płaton Gordiejewicz był tak bardzo wymagają-
cy w stosunku do każdej kolejnej wdowy, którą wybierał na
matkę dla Pawełka, choć innym jego wymagania mogły się wy-
dawać całkowicie zwariowane.

Wybór był, rzeczywiście, niemały. Zarówno w Kochanówce,
jak w okolicznych siołach, jak i na całej Ukrainie klepała biedę
niejedna, och, niejedna wdowa. Niektóre biedowały od czasów
wojny rosyjsko-japońskiej, od tych przeklętych lat, gdy tysiące żoł-
nierzy rosyjskiego cesarstwa padły na sopkach Mandżurii. Inne
straciły mężów podczas wojny imperialistycznej. Jeszcze inne zo-
stały wdowami w wojnie domowej, która porwała swoim huraga-
nem bodaj że wszystkich mężczyzn tego kraju.

Życie szło, lata miały zabiżniały się serdeczne rany. Pogo-
dziły się wdowy ze swoim gorzkim losem, zapomniały o wszy-
stkim w ciężkiej pracy, w trosce o dzieci, o ich wyżywienie. Ale
któż nie odczuwa zwykłych ludzkich dążeń? Któż nie czyha na
szczęście? Więc także i wdowy oczekiwały go w najbardziej ukry-
tych marzeniach. Kto wie? Różne przecież rzeczy zdarzają się na
tym świecie!

A już najbardziej na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i inne
święta, kiedy można wyprostować grzbiet i dać wypoczynek rękom,
posiedzieć chwilę za stołem przykrytym białym obrusem, taka

wdowa najsilniej odczuwała swoją kobiecą samotność i nieraz zdawało się jej — zaraz wydarzy się cud, właśnie tego świątecznego dnia, jeżeli nie teraz, to na następne Boże Narodzenie, musi zajrzeć do jej domu gospodarskie oko mężczyzny, a ona pochyli wtedy z kobiecą pokorą głowę przed nim, przed swoim mężem... Więc serce tłukło się w piersi, drżało i przyzywało swe szczęście...

Niejedna kochanowiecka wdówka spuszczała nieposłuszne oczy przy spotkaniu z Płatonem Gordiejewiczem, gdy owdowiał; pozdrowiała go śpiewnie i czule, pokornie i z szacunkiem. Ale stary Jarczuk jakby ogłuchł na wołanie tych wdowich głosów. Zdecydował raz na zawsze: nie ma dla niego pary w ojczyściej Kochanówce. Nawet nie chodziło o rady Cyganichy. Pawełek potrzebuje matki, która by aż do końca życia pozostała w domu Jarczuka, żeby chłopiec nie musiał po śmierci ojca przenosić się do siostry Juhyny, obarczonej licznym potomstwem i mieszkającej na Char-toniewskim chutorze.

Płaton bał się, żeby jego nieletni syn nie został najmitą choćby nawet u krewniaków.

Czarne myśli zagnieździły się w głowie Płatona Gordiejewicza. Choć taki uważny, ostrożny, umiejący cenić majątek zdobyty ciężką chłopską pracą, dał sobie słowo: gdy tylko przywiezie do chałupy wdowę, którą Paweł pokocha i zacznie uważać za własną matkę, zaraz po kryjomu podpali jej dom, spali go, żeby wdowa, nawet po śmierci Jarczuka, nie miała dokąd powracać.

W Kochanówce było sporo wdów, które całkowicie odpowiadały Płatonowi, a do tego były bezdzietne. Niestety, ich domy sąsiadowały z chałupami Jarczuków, licznych krewniaków Płatona Gordiejewicza.

Wobec tego przywoził wdowy z sąsiednich wsi. Przywoził i pilnie przypatrywał się, śledził z ukosa ruchy Pawełka, starał się sprawić, żeby ufne serduszko dziecka przywiązało się do nowej matki.

Ale serce dziecka nie łatwo daje się oszukać, gdy chodzi o najważniejsze sprawy. Tego właśnie Płaton Gordiejewicz nie był w stanie zrozumieć. Wydało mu się, że Barbara, która zaczęła gospodarować w jego domu, stanie się prawdziwą matką dla chłopca. Taka przecież uważająca, tyle troski o chłopca w jej głosie! Zrozpaczony Jarczuk okrutnie sprzął Pawełka pasem za to, że nie chciał Barbary nazywać matką. Nazwał ją tak, ale tylko jeden raz, przez łyżę. I chociaż pasek zawsze wisiał na widocznym miejscu, koło drzwi, chłopiec tak starał się urządzać, żeby w ogóle nie zwracać się do Barbary, albo przy zwracaniu się, nie używać drogiego dlań słowa „mamusia”.

Któregoś dnia Płaton Gordiejewicz znowu chwycił za rzemień.

Pawełek nie uciekał, powstrzymując łzy. I właśnie stary Jarczuk zauważył z jaką odrazą drgnęły ramiona Barbary, kiedy u Pawełka coś zabłyśło pod nosem i chłopiec, rozpowszechnionym zwyczajem wszystkich wsiowych dzieci, wytarł nos sztywnym rękawem.

Pawełek nawet nie podejrzewał, że w ten sposób rozstrzygnął się los Barbary. Nagle ojciec machnął na niego ręką, rzucił pasek za pryczę i powiedział jakby nic się nie stało:

— Barbara, weź no trochę grochu i namocz. Jutro przecież niedziela, trza pierogi piec.

Barbara wzięła sito i postawiła stołek przy piecu, żeby po stołku dostać się do suszącego się grochu.

— E-e, nie-ee... — Płaton Gordiejewicz odsunął stołek. — Ty bez niego dostań się na piec.

— Ty co, Płatonie, zdurniałeś? — błagalnie powiedziała Barbara.

— Nie potrafisz wleźć na piec bez stołka? — z radosnym zdumieniem wystękał Płaton Gordiejewicz i odetchnął z widoczną ulgą.

— Nie potrafie!

— Nie potrafisz? Nawet tak nie potrafisz? — Kryjąc pod wąsami szelmowski uśmiech, wsadził stopę w dolny otwór, chwycił dłońią za górny i już był na piecu.

— Ja nie koza, żeby skikać! — Barbara zacisnęła wargi i obraziła się.

— Czemużeś tego nie powiedziała wcześniej? — Płaton Gordiejewicz siedział na piecu i kiwał głową z udanym smutkiem.

Kiedy ojciec wreszcie zeskoczył na podłogę, otworzył skrzynię i zaczął odmierzać płótno, Pawełek poweselał i sam z całą gotowością pobiegł, by wyprowadzić Karka ze stajni. Nie miał wątpliwości, że za chwilę Barbara będzie ładować się na wóz.

Wkrótce w domu zjawiała się piąta mamusia, potem szósta... Pawełek przyglądał się z trwogą, jak ta szósta wytrzymuje z powodzeniem wszystkie egzaminy, urządzone jej przez ojca. Został ostatni egzamin — włożenie na piec po groch — i z nim Pawełek łączył największe nadzieje.

Nareszcie przyszła chwila. Ojciec usiadł na jedynym w izbie stołku i zażądał, żeby następnego dnia były pierogi z grochem.

Pawełek cały naprężył się w gotowości, by biec do stajni i wyprowadzać konia, ale szósta mama, nawet nie oglądając się za stołkiem, żwawo wydostała się na piec i zaczęła zgarniać groch do sita.

Pawełek aż sapnął ze zmartwienia i gniewnie odwrócił się ku oknu. Ale zaraz usłyszał głos z pieca:

— Płatonie, przysuń-no stołek, bo zlecę.

— A bez stołka zleźć nie potrafisz? — nadstawił ucha ojciec. Szóstą mamusię spotkał los wszystkich poprzednich, krótkotrwałych gospodyń w jarczukowej chałupie.

VII

Gdyby tak kochanowieckim kobietom dać władzę, to by na pewno nawet dzieci rodzić kazały swoim chłopom. Takie to z nich uparte i złe ziółka! Każda z nich w biały dzień potrafi przekonać męża, że to głęboka noc, a ten zawierzy, nawet położy się spać.

Chłopi kochanowieccy postanowili założyć Towarzystwo do wspólnej uprawy ziemi, ale zapomnieli zapytać swoich żonek o zgodę. I od tego całego TWUZ-a nie zostało ani konia ani wozu. Wiecowali przez całą zimę, naradzali się, przygotowywali ziarno i inwentarz na zasiewy, a na wiosnę, bodaj-że za sprawą Olany, wybuchnął babski bunt i większość członków TWUZ-a, ci zwłaszcza, którzy mieli własne konie, wyszła, każdy jeden osobno, na swoje pole. Wiejscy komsomolcy zwoływali zebrania i chodzili od chałupy do chałupy, przemawiając chłopom do rozsądku, ale już było po niewczasie.

Przyszło lato i nadleciała wieść, że na przyszłą wiosnę założony będzie w Kochanówce kołchoz.

Ludzie słyszeli już różne rzeczy o tych kołchozach. Baby z przesadnym przerażeniem opowiadały jedna drugiej o komunie, że to wszystkich zmuszą do mieszkania w jednym olbrzymim domu, jako jedna rodzina. Że dzieci w tej komunie będą niczyje i że trzeba je będzie po narodzeniu kłaść nie do kołyski, lecz w bydlęce żłoby. Bogatsi chłopci śmieli się szyderczo, uważając, że z kołchozem stanie się akurat to samo, co z TWUZ-em.

Ale niedawno przyjechało z cukrowni trzech robotników, dawniejszych chłopów. Na wiejskim zebraniu gorąco przekonywali, że w gromadzie o wiele łatwiej kupować maszyny i pracować na roli, osiągać lepsze zbiory i w razie posuchy ratować się przed głodem. Udowodniali, dlaczego jest zyskownie uspołecznić siłę pociągową i stworzyć jeden zapas siewny. Mówili, że praca w kołchozie nie będzie taka ciężka jak w jednostkowym gospodarstwie, obiecywali, że zaopiekują się kołchozem i będą pomagać przy mechanizacji.

Ci z kochanowieckich, którzy w zimie chodzili pracować w cukrowni, przysłuchiwali się gadkom fabrycznych gości z pilnym zaufaniem. Inni, pewniejsi własnych gospodarskich sił, milczeli,

albo z całą szczerością oświadcza, że dadzą sobie rady poza kołchozem.

Płaton Gordiejewicz Jarczuk postanowił, że przeczeka. Niechta inni spróbują, niech zobaczą, jak to w tym kołchozie — gorąco czy zimno. Spieszyć się nie ma po co, tym bardziej, że wstąpienie do kołchozu to sprawa dobrowolna. A wreszcie zanim co, musi znaleźć dla chałupy odpowiednią gospodynię.

Chociaż przed sobą miał jeszcze całą jesień i zimę, na wszelki wypadek poszedł poradzić się u mądrej i ostrożnej Olany.

Ledwie przestąpił próg bogatego domu, ujrzał gospodynię stojącą przed Sieriożą, jednolatkiem Pawełka. Chłopiec siedział na stołku, a Olana, szepcząc coś niezrozumiałego, taczała kurze jajko po jego kudłatej głowie. Z boku, na samym brzeżku krzesła siedziała matka Sierioży, Charytyna, i przyglądała się z nabożeństwem zabiegom Olany. Kobieta jeszcze nie była stara, ale twarz miała poszarzałą i wycieńczoną.

Na pozdrowienie Płatona Olana milcząco kiwnęła głową i wskazała mu jakimś jakby nieobecny spojrzeniem długą ławkę z rzeźbionym oparciem. Płaton rozsiadł się. Olana rozbiła jajka do szklanki, dołała z butelki święconej wody i zaczęła oglądać szklankę pod światło.

— A czemużeś, chłopcze kochany, spał na wilgotnej ziemi? — zapytała łagodnie Sieriożę. Pokazała palcem na pływające w szklance żółtko, na przezroczyste strzępki białka i wyjaśniła: — Tu drzewo, a tu, dzieciaczku nierozumny, sam śpisz na trawie.

— Na pewno pod gruszą zasnął, szubienicznik! — powiedziała Charytyna, błysnąwszy na Sieriożę gniewnym spojrzeniem. — Teraz kłopotcz się przy nim. Kaszle, cały żarem objęty...

— Wola Boska na wszystko... To grzech na dzieci pomstować. Zrób tak: wieczorem zaparz lipowego kwiatu, niech się chłopczyk napije wywaru, i otul go dobrze na noc kożuchem.

— Tak i zrobię, jak mówicie, Olana... Panie Boże zapłać!

— A chłopczyka to już czas do roboty zapędzić. Cielęta mógłby już pasać — odpowiedziała Olana.

— Za mały jeszcze, niech póki co bawi się na ulicy.

— Ulica niczego dobrego nie nauczy. Zbierają się nierozumni malcy, do cudzych sadów wkradają się, drzewka obłamują. Powiedz-no, chłopcze, zakradałeś się do mojego sadu?

— N-nie... — trwożnie odpowiedział Sierioża, chowając przed nią oczy.

— To i dobrze, moje złotko. A jeśli będziesz miał ochotę na jabłka — przychodź, ugoszczę. Szkodować nie będę. I na Boże Narodzenie przyjdź, kolendy pośpiewać. Będą cukierki, orzechy... Dobry pastuszek z ciebie będzie, roztropny.

Kiedy Charytyna z Sieriogą poszły, Olana, jakby dopiero teraz dojrzała Płatona Gordiejewicza, rozgdakała się na całego:

— Witaj, głąbie wdowieński! Rada cię widzę i rada posłucham. Z czymś przyszedł: z dobrym czy złym? Ech, Płatonie, Płatonie! Pana Boga się nie boisz. O nikim inszym we wsi nie gadają, ino o tobie. Bają ludzie, że częściej baby zmieniasz, niż Cygan konie. Jakże to tak można? Pan Bóg wszystko widzi, wszystko w pamięci przechowuje. A zanim sprawa dotrze na Jego Sąd, już teraz ludzie surowo cię osądzają.

— Nie o tym gadka — pochmurnie odpowiedział Płaton. — Ty byś mi, Olano, lepiej powiedziała, co z tymi kołchozami. Twój Pan Bóg co ci o tym mówi?

— Płatonie tylko Pana Boga nadaremnie nie wzywaj! Bo ci odbierze rozum do reszty.

— Sama wiesz, że wszelka władza pochodzi od Boga. A władza niedługo zażąda żeby do kołchozu się zapisywać. Ty co na to?

Olana zamrugała wielkimi, głęboko osadzonymi oczami i ciężko westchnęła, jak gdyby dawała znak, że przebacza Płatonowi Gordiejewiczowi jego lekkomyślną gadaninę.

— Nie zapominaj — powiedziała w zadumie — że władza — to ludzie. A ludzi diabeł zawsze na manowce sprowadza. Te wasze kołchozy — to od diabła.

— Radzisz nie zapisywać się?

— Własnego sumienia zapytaj. Pszeniczkę radziłabym ci schować jak najdalej. To przecież twoja krwawica. Zaraz po omłotach połowę zbioru schowaj na czarną godzinę.

Olana milczała przez chwilę, powiodła po Płatonie Gordiejewiczu pytającym, badawczym spojrzeniem, uśmiechnęła się, podnosząc grube brwi:

— Do żeniaczki się pali! Ty byś przynajmniej brodę skrócił.

— Ale, to wtedy same młódki na szyję będą skakać — roześmiał się Płaton.

— Akurat byś się tego przestraszył... Czemu to po cudzych wsiach uganiaasz? Mało to bab w Kochanówce?

— Nie mam sumienia kochanowieckich przepędzać.

— A po co przepędzać?

— Co zrobić — rozłożył ręce Płaton. — Nijak dobrej gospodyni dobrać nie mogę.

— A może ja bym ci się nadała? — ni to poważnie, ni to kpiąco zapytała Olana, patrząc mu prosto w oczy.

— Ty do mego chomąta nie pasujesz — zażartował Płaton — nie tej maści...

Zamierzał jeszcze coś dodać, ale w tej chwili do izby wszedł młodszy syn Olany, dwudziestoletni Nazar.

— Z dobrym dniem — pozdrowił żwawo, rzucając czapkę na ławkę.

VIII

Płaton Gordiejewicz posłuchał rady Olany i zaczął szykować skrytkę na pszenicę. Pomysł był mało skomplikowany: zbudować drugą ścianę na zewnątrz szopy. Do takiego zakamarka, sze-rokiego na pół metra, można byłoby zsypać roczne plony w ca-łości.

Pracował po nocach, przy naftowej lampce, by nie zwracać uwagi sąsiadów i unikać pytań Pawełka. Ale zawsze czujne spoj-rzenia wsi zajęte były nie gospodarskimi, lecz rodzinnymi sprawa-mi Jarczuka.

Pewnej soboty dłużej niż zazwyczaj zatrzymał się w szopie, więc w niedzielę obudził się późno, gdy słońce stało już wysoko na niebie.

Jeszcze dobrze nie rozcmychany i otępiały od długotrwałego śpi-ku, Płaton wyszedł na próg, zmrużył oczy przed rozjarzonym światłem. Zaraz też doleciał od bramy chóralny babski śmiech. Zaśmiewały się na umór, piskliwie, z całego serca. Na ulicy zoba-czył cały batalion bab, tłoczących się z pustymi wiadrami. Onie-miał ze zdziwienia... Przyszła do głowy głupia myśl: „Może wylazł na podwórze bez portek?”. Sprawdzał w popłochu, powodując tym nowy wybuch śmiechu.

— Coście tu na jarmark przylazły? — uśmiechając się głup-kowato, by ukryć zmieszanie, zapytał Płaton Gordiejewicz i zbliżył się ku wrotom.

— Na starego ogiera przyszłyśmy popatrzeć — odpowie-działa drwiąco w imieniu wszystkich Ksenia — wysoka młódka z białą chustką na głowie.

— Jakiego ogiera? — zdumiał się Płaton. — Co za ogier?

— Ino ślepią przetrzyjcie! Czytajcie, co za napis na chałupie!

Płaton Gordiejewicz obrócił się i zdrętwiał. Wzdłuż białej ściany, poniżej okien, od rogu aż do samych drzwi biegł napis z łokciowych, niezgrabnych liter, chlapniętych dziegciem: „W tej chałupie mieszka stary ogier”.

Pociemniało mu w oczach od tych grubych, tłustych, ocieka-jących dziegciem słów. Poczul, że płonie mu twarz, że w skro-niach biją dźwięczne spize, a serce ogarnia niemy chłód. Takie

pohańbienie na stare lata! Toż dziegciem zwyczajnie smarują wrota i ściany u nierządnych dziwek.

Za nim — przygniatająca cisza. Kobiety umilkły, oczekując, co też powie Płaton Gordiejewicz.

Wreszcie zwrócił się ku nim — już spokojny, ze złym uśmiechem pod wąsem. Wyjął z kieszeni kapciuch i nie spiesząc się zaczął skręcać kozią nóżkę. Odezwał się szydyczko:

— Nie wiedziałem, kobitki, żeście takie... Usłyszały o ogierze i zaraz zleciały się...

Baby odpowiedziały zawstydzonym chichotem.

— No, to chodźcie do chałupy! — ciągnął dalej Płaton Gordiejewicz. — Ale nie wszystkie naraz... Po kolejce! Która chce pierwsza?

Jakby je wiatrem zdmuchnęło! Ze śmiechem i wrzaskiem, pluając i klnąc, rzuciły się całą gromadą do studni. Płaton poszukał w sieni łopaty i z zawziętością zabrał się do zeskrobywania dziegcia, który głęboko wżarł się w ścianę.

— Która to larwa — zastanawiał się w rozjuszeniu — mogła zrobić?

Nie miał najmniejszej wątpliwości, że piętno hańby zostało nałożone na jego chałupę za sprawę którejś z zagniewanych kochanowieckich wdów. Ale której? Która to mogła nie pożałować na takie głupstwo całego wiaderka dziegciu? I nagle ukłął go domysł: „Olana!”

Im dłużej Płaton Gordiejewicz rozmyślał nad tą sprawą, tym bardziej upewniał się w myśli, że to Olana nasłała na niego któregoś ze swoich komorników. Zupełnie inaczej zabrzmiały teraz słowa Olany, rzucone niby żartem, czy nie nadałaby mu się na żonę.

— Chce mnie na drogę rozumu sprowadzić, stara ropucha! — myślał ze złością. — Już ja ciebie sprowadzę...!

Ale Olana nie miała z tym nic wspólnego. Płaton Gordiejewicz nie domyślał się, że ubiegłej nocy gospodarowali w jego obejściu chłopaki z Jarowienek, których upiła i nasłała do Kochanówki wdowa Barbara — czwarta z kolei, nieudana macocha Pawełka.

Ciągle czując gęsty zapach dziegciu, Płaton Gordiejewicz kończył już zeskrobywać resztki czarnych plam na ścianie, gdy od ulicy zawołał na niego czyjś wesoły, basowy głos:

— Panie Boże wspomagaj, wuju Płatonie!

Okrutny gniew z nową siłą smagnął po sercu Płatona Gordiejewicza. Odwrócił się gwałtownie, przygotowany, aby na kpiny odpowiedzieć ostrym słowem, i zobaczył przed wrotami olbrzymiego, szerokiego w ramiona chłopca, z młodą twarzą, tak opaloną,

że wydawała się czarna. Znajome, śmiejące się oczy pod nawisłymi brwiami, te same białe zęby, wyszczerzone w uśmiechu. Spod kapelusza wymknęło się nieposłuszne pasmo ciemnych, kędzierzawych włosów. Toż to Stefan!

— Stefanie Prokopowiczu! Cóż to, z nieba spadłeś? No, chodźże prędzej, bo jąkać się zaczę! Kogo jak kogo, ale ciebie nie oczekiwałem!

Stefan z radosnym pośpiechem otworzył furtkę i przewalając się z nogi na nogę, jak niedźwiedź, w olbrzymich buciorach, wielkimi krokami podszedł do Płatona. Długo ściskali sobie dłonie, jakby chcieli w te uściski włożyć całe ciepło wzajemnej sympatii, aż zmieszani tą niemęską wylewnością, zaczęli cicho śmiać się, nie wiedząc od czego rozpocząć rozmowę.

— Gdzieś przepadał przez tyle lat? — z wesołym zdziwieniem zapytał Płaton Gordiejewicz.

— Długo by, wuju, rozpowiadać... A wy czemu ścianę szorujecie?

— A bo to — zakłopotany Płaton podrapał się po karku — jakieś ściervo dziegciem ochlapało.

— Cóż to, po pijanemu widać pomylili — zdziwił się Stefan.

— Nie inaczej... Ale nic, już ja ją, cholere, harapnikiem jeszcze lepiej chlapnę... Opowiadaj-że, gdzieś się podziewał!

IX

Myślał Stefan, że nie przeżyje zdrady Chrysty. A jeśli już zginąć z tęsknoty, to nie na oczach rodzinnej wsi. Nie chciał ludzkiej litości i zresztą wstydził się swej bezsilności. To dlatego poszedł hen, w światy, aż nad samą Wołgę, na Saratowszczyznę, dokąd, jak mawiano w Kochanówce, w dawnych czasach przenosiło się na wolne ziemie wielu Ukraińców.

Osiedlił się we wsi, Aleksiejewskoję, które go uderzyło solidnością swoich ciosanych domów i szerokością drzemiących ulic, zarośniętych błękitną murawą. Spodobało się Stefanowi, że do wsi półkolem podchodził las, dzwoniący ptasim szczebiotem, przypierając ku gumnom i ogrodom nieśmiałą, spokojną rzeczkę. Bałandynkę. Z drugiej strony wsi rozrzuciły się mokre łąki, na wiosnę oznajmiające się jaskrawym krzykiem różnokolorowych kwiatów. Za łąkami wznosiły się garby starych kurhanów, które przysiadły pod wiatrami i ciężarem stuleci, a jeszcze dalej aż po sam widnokrąg płaszczyły się zorane pola. Mocna ziemia — zupełnie jak na

Ukrainie: zatkniesz w nią dyszel — wyrośnie z niego drabinasty wóz.

Także pod innymi względami przypominała ta wieś ojczystą Ukrainę: słodką zamiecią kwitnących sadów na wiosnę, dźwięcznymi pieśniami dziewcząt, nużącym trudem wieśniaków, zwłaszcza w żniwa, szalonymi wichrami marcowego przedwiośnia, cerkiewnymi dzwonami na Zmartwychwstanie Pańskie. Ludzie tam mieszkający także uczciwi, przyjemni, z dobrym sercem. Co prawda zdarzali się także, inni, jak i w Kochanówce: nieużyci, o sercach kamiennych. Często potrafili ukrywać się za słodkim uśmiechem i słowami udanej zyczliwości. Zdarzyło się Stefanowi, że uwierzył takiemu uśmiechowi i takiemu słowu. Zgodził się za komornika do najbogatszego chłopca, Daniły Zubowa, wszystkie siły z siebie żyłował, mocując się z ziemią, ale lata szły i Stefan w żaden sposób nie mógł zaoszczędzić nieco grosza, aby zdobyć się na kupno choćby małego spłachetka własnego gruntu.



...Słyszał kiedyś Stefan taką historię, że bardzo już dawno temu w żyłach ludzi płynęła biała krew. I przelewano rzeki tej krwi w okrutnej walce o lepsze miejsce pod słońcem i wypełniła ta krew wszystkie ziemskie naczynia. Ale oburzona ziemia nie chciała już przyjmować białej krwi i równie oburzone słońce nie chciało jej wysysać. Wówczas ta biała krew, przepelniająca po brzegi wszystkie ziemskie naczynia zamieniła się w stada białych gołębi, białych mew i białych łabędzi. Z potężnym wołaniem wzbily się te ptaki w zwyz i skierowały się ku słońcu. Tak długo leciały ku wielkiej życiodajnej gwiazdzie, aż wreszcie spłonęły w jej płomiennym oddechu. Prochy białych ptaków opadły na ziemię białym śniegiem, ostudziły gorące ludzkie głowy i zmusiły spojrzeć na samych siebie mądrymi, rozjaśnionymi oczami.

I wówczas to człowiek pracy ukradł Wieczności ideę o powszechnej równości i braterstwie. Przez wiele wieków nosił tę ideę w swoim sercu, w swojej białej krwi. Ale na ziemi działały czarne moce, które ogniem i mieczem dążyły do złamania ducha wolności w człowieku i do pozbawienia go idei o braterstwie i równości. Wówczas ludzka krew, nadal płynąca jak rzeki, spieniła się i zamieniła w czerwoną. Więc w tejże chwili czerwień stała się głosem, który nieustannie przyzywał ludzi do buntu przeciw złym mocom i przypominał, że skradziona Wieczności idea o braterstwie i równości powinna stać się żywym ciałem. Nic tego głosu nie było w stanie zagłuszyć.

Czarne moce zaczęły przesłaniać słońce, żeby człowiek nie

mógł oglądać czerwieni, i ogłuszać go niewolniczą pracą nad siły, aby nie słyszał głosu wolności. Wówczas ludzkość wydała wielkich synów, obdarzając ich mądrością uzbieraną w sercach wielu pokoleń. Wielcy synowie człowieczego rodu, wychowani przy brzęku mieczów i jękach nieszczęśliwych braci, zapłodnili swoim geniuszem ideę o wolności i braterstwie, skradzioną przez dawnych przodków Wieczności, i wskazali w jaki sposób zamienić powierzchnię ziemi na szczęśliwy przybytek ludzkości. Całe kontynenty zatrzęsły się od triumfalnego wołania rewolucji, zatrzeszały ciężące im monarsze trony...

Pierwszymi, którzy zdobyli wolność i braterstwo, byli mieszkańcy krainy Lenina...

Mijały lata. Lud uwolniony od więzów budował nowe życie, w którym miało zabraknąć miejsca dla najgorszego zła — niesprawiedliwości. Ale niesprawiedliwość wciąż istniała. Po wsiach i osiedlach wciąż jeszcze mieszkali bogaci i biedni, szczęśliwi i nieszczęśliwi. Więc aby zabić niesprawiedliwość, ludzie postanowili obalić kamienne ściany, oddzielające głód od nadmiaru.

Zaczęto wykarczowywać z korzeniami kułackie gniazda — jaszczurcze plemię mroku, usiłujące zająć miejsce wypędzonych przez rewolucję obszarników.

Stefan chodził po wsi pijany od szczęścia. Sprawiedliwość przysła... Pokazał władzom, gdzie Daniła Zubow ukrył zboże, a sam zapisał się do kołchozu. Stało się tak, jak gdyby ziemia zbliżyła się do nieba i rozwidniło się dokoła; Stefan czuł się tak, jak gdyby włożył mocne obuwie na strudzone, zziębnięte stopy, przedtem skazane na chodzenie na bosaka. Dawniej ciążyło i dławilo nieosiągalne marzenie: zdobyć dostatek. Teraz Stefan poczuł się nareszcie bogaczem.

A jednak lęk wkradał się do serca. Owszem, nowe życie zapuszczało we wsi głębokie korzenie, ale gałęzie jego zieleniły się nieśmiało. Wykończono w Aleksiejewskim kułaków, ale kołchoz wciąż jeszcze nie mógł podnieść się i chodził jakby na czworakach. Średniacy nie spieszyli się z uspołecznieniem swoich gospodarstw: trudno im było rozstać się z dobytkiem, na którego posiadanie składały się dziesiątki lat pracy, niedostatku, nieraz poderwanego zdrowia.

Wtedy zaczęły się dziać niepojęte rzeczy...

„Nie chcesz wstępować do kołchozu? To płac podatek w gotówce albo w naturze! Zapłaciłeś? Płac następny podatek! Nie masz czym płacić? Straciłeś obywatelskie prawa i wynos się precz ze wsi!”

Wielu upartych średniaków zaliczono do kułaków i w imię świętej sprawy, rozkułaczano ich niesprawiedliwie.

Gdybyż ziemia mogła przemówić, ta sama ziemia, która bez ludzkich rąk dziczeje i traci macierzyńską siłę...! Należało na czas rozbudzić uśpioną mądrość. Ale mądrość zapadła w drzemkę, więc zaorywali nieszczęście, a sieli nędzę. „Cóż z tego wyrośnie?”.

Nad szerokim morzem włościństwa wstawał pogodny świt, ale morze to, opanowane duchem szaleńczego rebeliantstwa, stało się coraz płytsze, pokazywało mielizny. To samo stało się w Aleksiejewskiem. Nad niejedną zagrodą zawisła niema cisza. Okna chałup rozpaczliwie patrzyły na świat spod desek przybitych na krzyż. Liczne rodziny, wystraszone rozkułaczaniem, potajemnie opuszczały wygrzane gniazda i, porzuciwszy rolnictwo na zawsze, przenosiły się do nadwołżańskich miast.

Stefana ogarniał lęk. Nie o niego samego, o ziemię, która zostawała bez roboczych rąk, lęk o daleką Kochanówkę. Wiedział, że na Ukrainie dopiero teraz rozpoczęła się kolektywizacja. A nuż w jego ojczystej wsi ludzie uprą się, nie zechcą iść do kołchozu, niby te głupie cielęta, które trzeba przemocą ciągnąć do krowiego cycka?

Przedstawił sobie w wyobraźni Chrystę, jak ją razem z dziećmi wywożą na nieznany, zimny Sybir...

Dziwne, a jednak miłość do Chrysty, nieugasła w ciągu tych lat, sprowadziła go z powrotem do Kochanówki.

Dowiedział się od ludzi, że Chrysta żyje z Ołeksą w spokoju i zgodzie. Nie chcieli mieszkać ze starym Filipem, zbudowali własny dom na skraju wsi, mieli zasobne gospodarstwo. Chrysta urodziła Ołeksie dwie córki — Toškę i Ołę — i kochała je jakąś niesamowitą, niemal zwierzęcą miłością. Sąsiedzi Ołeksy w głowy zachodzili ze zdziwienia, widząc, że jego kobieta zachowuje się wobec dzieci jak nawiedzona. Nieraz zaczyna pieścić, całować, ścisnąć — istna wariatka. Ileż to razy Ołeksa musiał na siłę odbierać Chrystę lamentujące ze strachu dziewczynki.

Któregoś dnia skatowała prawie na śmierć chłopaka z sąsiedztwa, który skrzywdził na ulicy starszą córeczkę, Tosię. A kiedy indziej, gdy dziecko pokłuło się kolcem młodej śliwy, co rosła pod oknem chaty, ścięła drzewko w najwyższej wściekłości.

Można było dojść do wniosku, że Chrysta w ogóle nigdy nie kochała Stefana. Ten mimo wszystko postanowił uprzedzić ją i Ołeksę o zbliżającym się nieszczęściu.



Hojne słońce spadało na ziemię rozpalonym złotem, które w zetknięciu z listowiem jesionów, rozpluskiwało gorejące plamy po

podwórzu jarczukowej zagrody. Płaton Gordiejewicz i Stefan siedzieli w cieniu szopy na poczerniałym od wieku kłocu i prowadzili powolną pogwarke. Słuchając gorzkiego opowiadania Stefana, Płaton wypuszczał dymek z koziej nóżki, hałaśliwie wzdychał, postękiwał, gniewnie klął w matkę, albo też mlaskał językiem, jeśli Stefan mówił o wydarzeniach, które radowały chłopską duszę Płatona.

— Znaczy, jak byś kręcił, nic nie wykręcisz, inszej drogi jak do kołchozu nie ma — powiedział Płaton Gordiejewicz, jakby podsumowywał usłyszane słowa.

— Nie inaczej, wuju Płatonie — odpowiedział Stefan z całym przekonaniem człowieka dobrze uświadomionego.

— A co, myślisz, że Olanę także przyjąłby do kołchozu?

— Dlaczegożby... jeżeli tylko zdąży rozdać przedtem swoje gospodarstwo...

— Młody z ciebie chłop, Stefanie... Po kiego diabła mi taki kołchoz, w którym razem ze mną będą tacy, jak Olana, Filip, Łysaki... ci, co mają ziemi więcej niż cała reszta kochanowieckich chłopów? A co do Filipa, ten raczej udusi się, zanim zacznie pracować razem ze swymi dawnymi parobkami!

— Pies z nimi tańcował — z Olaną i z Filipem! — gniewnie zawołał Stefan, a potem, nie odrywając spojrzenia od ziemi, powiedział takim głosem, jakby się poczuwał do winy — Chrysty mi szkoda...

Płaton zmilczał, starając się nie przydawać większego znaczenia ostatnim słowom Stefana. Znowu zabrał głos.

— Pewnie, wszyscy mogą pójść do kołchozu. Sprzedadzą bydło na jarmarku, także samo gospodarstwo, pieniądze zakopią w ziemi, zboże schowają, a potem, kto to wie, może zapiszą się do kołchozu. Jeno nie po to, żeby go na nogi postawić. Już tam bogacze tak wszystko zrobią, żeby się pokazało, że żadnego od tych kołchozów pożytku.

— Nic nie pomoże! — Stefan śmiał się złośliwie. — Wyłamiemy im rogi!

— Ano, spróbuj, przechytryć Olanę. Ona jak ten kot: jakbyś nie rzucił, zawsze upadnie na cztery łapy. — Płaton Gordiejewicz rzucił przyjazne spojrzenie na Stefana, strząsnął uśmiech spod wąsów i zapytał: — Co, powiadasz, Chrysty ci szkoda?

Stefan ciężko westchnął, chciał coś powiedzieć, ale Płaton mu przeszkodził:

— Ołeksy, myślę, nie będą rozkułaczać. Gospodarstwo ma, jak się patrzy, ale przecież nie kułackie. Parobków do roboty nie wynajmuje... Pewnie, można by, gdyby co, uprzędzić...

— To już zróbcie dobry uczynek, wuju Płatonie!

Stefan już zamierzał odejść, gdy przed wrotami jarczukowego

obejścia zatrzymał się jeździec na srokatym, młodym wałachu; chłopak był boso, mógł mieć jakieś dwanaście lat. Mocno zakłopotany, odezwał się piskliwym, na pół dziewczęcym głosem:

— Mnie by potrzeba... Płaton Jarczuk tu mieszka?

— A co, może z Berezny? — Płaton Gordiejewicz nagle podniecił się i podniósł się z kłoca.

— Acha...

— To mnie szukasz. Czego tam?

Powstrzymując rozgrzanego wałacha uzdą z niewyprawionego rzemienia, chłopiec wypalił jednym ciągiem:

— Ciotka Hanna już gotowa. Nakazywała, co byście po nią przyjechali jeszcze dzisiaj.

Płaton Gordiejewicz zrobił kwaśną minę, rzucił wzrokiem na swoją chałupę, oszpeconą rudymi śladami po dziegiu, i odpowiedział:

— Dobra... Powiedz, że przyjadę.

Chłopak na miejscu zawinął wałachem, który, kręcąc łbem, poszedł w skok środkiem ulicy, zostawiając za sobą obłoczek kurzu.

Aby uprzedzić pytania Stefana, Płaton Gordiejewicz wyjaśnił:

— Naraili mi tu jedną wdowę z Berezna. Od miesiąca jej przedkładam... Zgodę dała, ale na przenosiny nijak się nie mogła zebrać...

— Jużem się pomiarkował w czym sprawa — Stefan śmiał się, połyskując białymi, zdrowymi zębami. — Tylko że wasza chałupa cosik do wesela nie pasuje. — Kiwnął w kierunku na obłupioną ścianę.

— Jakież tam wesele! — skrzywił się Płaton. — A chałupę to już przymuszę pobielić tego, którego dziegiem ją ochlapała.

Płaton Gordiejewicz pospiesznie pożegnał się ze zdumionym Stefanem i poszedł budzić śpiącego Pawełka.

X

W kuchni u Olany wisiał w powietrzu ciepły, zawieszisty zapach wódki. Olana siedziała zgarbiona na niskim stołku i, pogrążona w trwożnym zamyśleniu, pchała w dolny otwór pieca pęczki słomy. Zapalały się powoli, ostre języki ognia leniwie lizały czarne dno wmurowanego w piec żeliwnego kotła z zaczynem. Od przykrywki kotła, oklejonej ciastem, prowadziła ku beczce z zimną wodą rura w kształcie serpentyny. Przy samym dnie beczki rura przebijała ją na wylot; do podstawionej butelki cieniutką stróżką spływał samogon.

Od przydługiego siedzenia Olanę łątało w krzyżach. Za nią bezsenna noc, wiele przecież trzeba napędzić samogonu, chociaż Olana nie miała zamiaru urządzać synowi Nazarowi zbyt hałaśliwego i wyzywająco bogatego wesela.

Nazar mógłby jeszcze śmiało z rok ze dwa pochodzić za kawalera, ale Olana postanowiła, że go ożeni najbliższej jesieni. Trzeba było rozdrobnić gospodarstwo, dzielić ziemię, sprzedawać bydło. Olana otrzymała list z Charkowa, od starszego syna Iwana. Iwan zaszedł wysoko: skończył w ubiegłym roku Instytut Spółdzielczy w Kijowie i pracował obecnie jako inspektor spółdzielczego związku. Już kilka razy przeczytała ten list i coraz to do niego powracała. Nie wiadomo było, o kogo syn bardziej się lęka — o siebie samego, czy o matkę? Przykazuje, żeby jak najszybciej ożenić Nazara i wydzielić mu morgi na samodzielne gospodarstwo; woły i połowę koni sprzedać, parobków odprawić. A gdy tylko w Kochanówce ogłoszą o organizowaniu kołchozu, zapisać się do niego w pierwszej kolejce i innych namawiać na to samo. „Nie daj, Boże — pisał Iwan — jeśli stwierdzą, że jestem synem kułaczki. Was zapędzą na Sołowieckie Wyspy, a mnie wykopią z Partii”.

Ołana pewnie nie posłuchałaby syna, gdyby nie to, że taką samą radę dał jej jeszcze jeden człowiek. Nie wiedziała ani jak się nazywa, ani gdzie przebywa! Po raz pierwszy zjawił się w jej domu przed sześcioma laty.

Była jesień, dokuczliwa, deszczem przerywana mgłą. Którejś głuchej nocy zbudziło Olanę rozwścieczone ujadanie psa. Ktoś dobijał się do wrót. Po chwili mocny mężczyzna o smągłej, cygańskiej twarzy zdejmował z siebie w izbie deszczowy płaszcz z brezentu. Olanę uderzyły czarne, przenikliwe oczy nieznajomego, w których błyskało coś zarazem rozumnego i strasznego.

Przybysz kazał jej zasłonić okna. Potem usiadł za stołem i takim tonem, jakby tu był gospodarzem, zażądał jedzenia i picia. Ołana o nic nie pytała, serce jej szeptało, że człowiek ten przybył nie przypadkowo. Spostrzegłszy z jakim niezadowoleniem nocny gość rzucił wzrokiem na Nazara, który właśnie się zbudził, Olana domyśliła się, że czeka ją jakaś ważna, sekretna rozmowa. Kazała więc Nazarowi, żeby przeniósł się do sąsiedniego pokoju.

Kiedy na stole zjawiły się miski z jedzeniem i karafka nalewki z samogonu na porzeczkach, mężczyzna wyciągnął z zanadru kopertę i podał Ołanie.

Na kopercie dojrzała znany jej, niezgrabny charakter pisma i omal nie zemdląta. List był od jej męża, który w 1919 roku poszedł z Petlurowcami i od tego czasu przepadł bez śladu.

Z listu Olana dowiedziała się, że jej Tryfon żyje, że jest zdrow, przebywa w Polsce i szykuje się na „wyzwolicielską wyprawę” na Ukrainę. Pisał także, że jakaś Ukraińska Narodowa Rada żąda od rodaków finansowej pomocy. Olana musi tej pomocy użyzyć — zarówno Radzie jak i mężowi. Nie wiedziała, że w kącie komory, pod podłogą, ukryty jest gliniany dzban ze złotem, zagrabionym przez Tryfona u bogatych Żydów z miasteczek. Mąż nakazywał Olanie, żeby wykopała dzban i złoto wręczyła oddawcy listu.

Ołana nie wykonała rozkazu męża: wydała tylko połowę złota. Ale po roku znajomy już wysłaniec znowu przybył z Polski; Tryfon żądał drugiej połowy skarbu. Trzeba było oddać...

Szły męczące, długie lata wyczekiwania, lata życia utajonego jak u leśnego zwierza. Nadzieja, podtrzymująca siły, nikła coraz bardziej. Już zaczynała zapominać o Tryfonie. I nagle w same żniwa, w krótką sierpniową noc, przed obejściem Olany zatrzymała się jednokonna bryczka. Zjawił się ten sam mężczyzna, postarzały, nabrzmiały na twarzy; jedynie czarne oczy zachowały dawną żywość i przenikliwość.

Nie przywiózł listu od Tryfona; powiedział, że granicę bardzo trudno teraz przechodzić, a w razie wpadki i gdyby list dostał się w ręce GPU, Ołanie nie uszłoby to na sucho. Ogarnął ją strach. Wypytywała o męża. Do samego rana słuchała opowiadań przybysza.

Opowiadał bardzo długo. Nagle zadał niespodziewane pytanie: czy słyszała cokolwiek o starych, podziemnych przejściach, ciągnących się rzekomo pod Kochanówką i pod sąsiednim lasem? Oczywiście, Olana słyszała, że jakieś podziemne korytarze istnieją. Kiedyś w ogrodzie Zacharki Łowibłocha osunęła się ziemia podczas przeorywki i do powstałej dziury omal nie wleciał koń. Przez całą wiosnę Zacharko zasypywał potem tę dziurę. Jeszcze wcześniej małe chłopaki rozkopały w leśnej gęstwinie obsypującą się piwnicę, przez którą przedostały się do podziemnego przejścia. Ale zaszli nim niedaleko: gasły świece, brakowało powietrza, a zresztą chłopcy bali się jadowitych żmij, których była tam podobno olbrzymia ilość.

Nocny gość prosił o możliwie najdokładniejsze dane o tych przejściach, a następnie dał radę, dotyczącą najważniejszej sprawy: gospodarstwo puścić z wiatrem, wstąpić do kołchozu i pociągnąć swoim przykładem wszystkich kochanowieckich bogaczy. Ale postępować tak, żeby po roku nie zostało w kołchozie ani jednego konia, ani jednej pary byków. Zboże palić na pniu i w kopach. Niech wybuchnie głód. Niech nastąpi chłopski bunt. Wówczas zagrańca przyjdzie z pomocą. Wojsko Ukraińskiej Rady Narodowej

wej już czeka w pogotowiu. Tryfon w tej armii ma rangę pułkownika.

Ołana już przejrzała nocnego gościa na przestrzzał. W pewnej chwili wygadał się, że Tryfon zachorował na gruźlicę. Zrozumiała, że jeszcze czegoś nie dopowiada; nie pomagała mu groźna mądrość, ukryta w oczach, cofał spojrzenie pod jej badawczym i czujnym wzrokiem. Rankiem gość poczuł w głowie wypity samogon, zaczął popłakiwać, gniewnie mówił o ciężkim życiu Ukraińców na obczyźnie. Czarna zawiść panoszy się wśród nich, zwierzęce okrucieństwo, brak wzajemnego współczucia. Gryzą się między sobą, tarantule w słoju. I to wszystko na oczach u Polaków... A ci skąd mają wiedzieć, że prawdziwa Ukraina jest zupełnie inna? No, więc wypada, że z winy różnych wyrzutków uczciwi ludzie spoglądają niechętnie na ukraiński naród.

Potem podniósł się ciężko, podszedł do niej, tchnął w twarz smrodem samogonu, brutalnie obłąpił i pociągnął ku łóżku. Odpychała go bezradnie, a on szeptał namiętnie do ucha, żeby pluła na Tryfona, żeby go nie czekała, bo nie lepszy od innych, a i niewiele mu życia pozostało na tym świecie. Dodał jeszcze, że wręczone złoto poszło z dymem w warszawskich i krakowskich knajpach.

Od czasu owej wizyty Ołana utraciła spokój. Poczuli się osamotniona, jak nigdy dotąd, poczuła się skazana na niewesoły, szary los. Kiedyś sądziła, że szczęście polega na bogactwie. Kąpie się w tym bogactwie, ale szczęście wciąż nie ma... Ach, gdybyż spojrzenie pozostawiało ślady! Ile razy spoglądała błagalnie na surową ikonę w płynnych błyskach lampki, ile czasu stała przed nią na kolanach, ile złożyła pokłonów aż do samej ziemi! Farba zesza z desek podłogi na tym miejscu... Duch w Ołanie osłabł, spłycało w niej wszystko. Bogactwo nie przyniosło szczęścia. A przecież tyle tego szczęścia dokoła...

Zaraz w bliskim sąsiedztwie mieszka Dymitr Szewczuk. Jakże Ołana lubi słuchać dzwicznego klekotu młotów, dobiegającego z kuźni. Dzwonią, a ona słyszy w tym dzwonienu jakieś radośnie ożywione słowa, niekiedy kpiące, przynoszące nadzieję. Dymitr ma trzech młodych synów. Ileż tam oni zarabiają? Grosze! Krowę mają starożytną, dawno by już trzeba sprowadzić inną, ale środków na to nie ma. I mimo wszystko szczęście mieszka w chałupie kowala. Ołanie aż oczy nabiegają łzami, gdy widzi, jak w każdą sobotę zasmarowana, okopcona rodzina Szewczuków idzie do łaźni przy cukrowni. Idą chłopcy ulicą za ojcem, połyskują ślepiami, szczerzą w uśmiechach białe zęby — zadowoleni są z siebie i z własnego życia. A kiedy wracają do domu, kowalicha spotyka ich przed wrotami i woła do chałupy, by siedli za stołem, na którym już parują

gotowane pierogi, stygnie chłódnik i czerwieni się karafka ze śliwowicą. Szczęśliwa ta kowalicha... Wiele dokoła szczęśliwych, tylko ją, Olanę, wyminął dobry los. A przecież nie taka już stara...

W Olanie budziła się jej niby to uśpiona kobiecość. Myśl o mężczyźnie budziła w jej sercu trwogę i smutek w nie mniejszym stopniu, niż zbliżające się niebezpieczeństwo, grożące jej rodzinie, jej majątkowi, niebezpieczeństwo powstania kołchozu w Kochanówce.

W niczym nie naruszając poprzedniego trybu swego życia, Olana już żyła czym innym, zupełnie innymi sprawami. Postanowiła, że na jesień ożeni Nazara i przepisze na niego połowę gospodarstwa. Trzeba było jeszcze znaleźć odpowiednie przeznaczenie dla zboża z nowego żniwa i zmniejszyć bydło w oborach do połowy. I ostatnia sprawa — wyjść za Płatona Jarczuka.

Spodobał się Olanie swoją statecznością, gruntownym podejściem do wszystkiego, chwytliwym chłopskim rozsądkiem. Temu warto będzie przekazać część ziemi i chudoby. Jeżeli zdąży zrobić to wszystko przed zimą, Olana stanie się średniacką posiadaczką jak większość gospodarzy we wsi.

Olana miała nadzieję, że Płaton zrozumiał jej przymówkę. I pewnie zastanawia się teraz, przeżuwa usłyszane, dojrzewa do postanowienia. No, nic, porozmawia z nim jeszcze raz-drugi, dojrzeje chłopsko ostatecznie. Toż jej czarne brwi jeszcze nie poszarzały, nie spłowiła rumieniec, oczy blasku nie zatraciły. A i głos nadal przenika serdeczne ciepło, a gdy trzeba, podstępna figlarność, łatwo przełamująca przegrody obcości. No, i na jej bogactwo też się niejeden zagapi...

Bogactwo... Co tam jest pochowane, w tych podziemnych przejściach, że zagraniczni goście tak się nimi ciekawią? Przypomniała sobie, jak w dwudziestym roku do Kochanówki wdarł się oddział polskich ułanów. Przez całe pół dnia żołnierze wymierzali ogrody pod lasem, oglądali jakieś mapy, kłuli ziemię długimi, żelaznymi prętami. Pod wieczór Polacy oddalili się pośpiesznym kłusem: do wsi weszli czerwoni.

Skrzypnęły drzwi od kuchni i spłoszyły rozmyślenia Olany. Zadzźwięczały wiadra. To Chrysta ze świeżą wodą.

Samogon pędzili potajemnie. Czasy nastały niepewne, nawet parobkom nie można zawierzyć. To dlatego Chrysta zostawiła dzieci na opiece Ołeksy i przez całą noc pracowała w matczynej chałupie.

Olana wsadziła w otwór piecowy jeszcze jeden pęczek słomy, podniosła się ze stołka i skopkiem od mleka zaczęła czerpać z beczki z rurą zagrzaną wodę.

— Mamo, a to Płaton ledwie co do nas zaglądał... — śpiew-

nym, głębokim głosem powiedziała Chrysta, przechylając wiadro dnem do góry nad parującą beczką.

— Po co?! — Olana drgnęła, pytając spoglądając na zaokrągloną, lecz wciąż jeszcze pociągającą twarz córki.

— Nie wiem. Wystrojony, w nowych butach, wygolony. Jechał dokądśi wozem i zatrzymał się czemuś przed naszymi wrotami.

— Dlaczegoś mnie nie zawołała?! — klasnęła w dłonie Olana.

— Powiedziałam mu, że nie ma was w domu...

— A on co?

— Powiada, z ważną rozmową do was przychodzi.

„No, nareszcie” — pomyślała radośnie Olana, chowając przed córką mimowolny uśmiech.

Chrysta poprawiła złocisty warkocz, który wysunął się spod białej chustki, i mówiła dalej:

— Dziwny on jakiś. Nic tylko młóci biczyskiem po trawie i powtarza: powiedz matce, żeby przyszła i wybieliła moją chałupę z zewnątrz... O małym wiadra w studni nie utopiła! Pytam: „Czemuż to moja matka?” — a on odpowiada: „Będzie wiedziała dlaczego...”. To ja do niego: „Może komornicę przysłać?” — a on nic, tylko się śmieje: „Nie, nikt tak dobrze, jak twoja matka, nie wybieli...”.

Ku wielkiemu zdziwieniu Chrysty, Olana zostawiła ją przy aparacie do pędzenia samogonu, a sama wzięła dzban z miodem i wyszła z domu.

XI

— Pawełku, syneczku kochany, a dokąd to tata pojechali? — wypytywała Pawełka Olana.

— A bo ja wiem dokąd — odpowiedział Pawełek, poządliwie zezując ku dzbanowi, który Olana postawiła na środku stołu i przykryła zatłuszczonym ręcznikiem. Nad dzbanem rojem unosiły się muchy, wypełniając izbę nieustannym brzęczeniem.

Ze snu Pawełek dobrze nie zapamiętał, co mówił mu ojciec przed odjazdem. Przyglądał się ze zdziwieniem Olanie, jak ta, po zagrzaniu wody w czarnym saganie postawionym na trójnogu, starannie zmywała naczynia.

„Musi, nowa matka” — skombinował wreszcie Pawełek. Cekał niecierpliwie kiedy wreszcie każe mu usiąść za stołem i przy-

piąć się do dzbana, tak rozpaczliwie pachnącego wonią kwitnącej gryki.

Ale Olana nie mogła w takiej chwili zwracać uwagi na Pawełka. Po obejrzeniu okaleczonej ściany, po której jakby kto pługiem przejechał, spostrzegłszy na przyzbie kawałki gliny ubabranej dziegciem, domyśliła się, co się stało, ale ani rusz nie mogła pojąć, dlaczego Płaton nie powiedział najważniejszej rzeczy, tylko wezwał ją do bielienia ściany i wyjechał nie wiadomo dokąd. Ciężył jej dziwny lęk. Nie mogła zdecydować się, żeby wyjść na podwórze i na ludzkich oczach zabrać się do roboty, która nabierała teraz jakiegoś niezwykłego znaczenia.

Pawełka dręczyła niecierpliwość. Dziwiąc się niedomyślności Olany, wziął z półki talerz i łyżkę, i demonstracyjnie podszedł do stołu. Położył koło dzbana pół pajdy czerstwego chleba.

Olana nagle zaniepokoiła się.

— A co, pewnie jeść ci się chce, złotko moje najdroższe?

— Uhu... — z gotowością kiwnął głową Pawełek.

— Czymże ja ciebie nakarmię, syneczku? Zaraz zajrzę do pieca, zobaczę, co ci tam tato uwarzyli...

Tu już Pawełek nie wytrzymał, utkwił spojrzenie gdzieś w kącie i wypalił z rozpaczą:

— Mamusiu, miodu chcę!

Olana zamieniła się słup. Twarz jakby odmłodziła, ciemne oczy spoglądały na chłopca z radosnym zdumieniem.

— Mamusią mnie nazwałeś? — powiedziała szeptem, żeby się upewnić.

Pawełek milczał.

— Tato kazali ci nazywać mnie matką? — Olana starała się zajrzeć chłopcu w oczy, ale ten nie ośmielił się ich podnieść.

Zresztą było mu już wszystko jedno, więc odważnie spojrział na Olanę i z widoczną ulgą zełgał:

— A właśnie, tato! Kazali was nazywać mamusią...

Olana odetchnęła z ulgą, poczuła, jak po całym ciele rozlewa się cicha radość.

Pawełek siedział za stołem, maczał chleb w miodzie rozlanym na talerzu, i wciągając jego czystą, upajającą woń, sapał i nawet pokwikiwał z wielkiego zadowolenia. Od czasu do czasu spoglądał w okno, za którym Olana mieszała żółtą glinę, dosypując do niej owsianych plewów. Potem zwinnymi, silnymi rękami zaczęła oblepiać poszarpaną powierzchnię ściany.

Pawełek opędzał się od much, racząc się miodem, coraz to szedł do wiadra stojącego na ławie, żeby zapić wodą nadmiar aromatycznej słodyczy. Gdy wreszcie syty i zmęczony jedzeniem,

wyszedł z chaty, patrząc promiennymi, uszczęśliwionymi oczami, Olana już rozrabiła w korycie białą glinę.

— Pawełek, syneczku — poprosiła — poszukaj no szczotki...

Chłopiec statecznie udał się do komory, odszukał szczotkę, zrobioną z siwej ostnicy i wyniósł ją na podwórko. Potem wziął łopatę i zachęcany przesadnymi pochwałami Olany, zaczął zgarniać z przyzby okruczy gliny poplamionej dziegciem.

Do wieczora ściany chałupy Jarczuka świeciły w słońcu prawdziwie niepokalaną białością. Olana wyczyściła szczotkę, oparła ją o pleciony płot, żeby wyschła, obmyła ręce i właśnie w tej chwili przed wrota zajechał wóz, załadowany różnymi węzłkami i drewnianą skrzynią pomalowaną w białe i czerwone kwiaty na czarnym tle. Na tym wszystkim siedziała niemłoda już kobieta w białej chustce, a obok niej chudziutka dziewczynka o przestraszonych oczach. Płaton Gordiejewicz otworzył wrota na oścież i, trzymając konia przy pysku, prowadził go na podwórze.

Płaton obrzucił spojrzeniem czysto wybieloną chatę, roześmiał się z zadowoleniem i zwrócił się do Olany, struchlałej u progu:

— Ano, tak to już dużo lepiej... — i natychmiast zaciął się. Uderzyły go oczy Olany, płonące jakimś niesamowitym blaskiem, i twarz, tak bardzo pobladła, że wydawała się błękitną.

Pawełek nieoczekiwanie uderzył we wrzask, aż wszyscy się wzdrygnęli.

— Tatu! A my już mamy nową matusię! — chłopiec podbiegł do Olany, kurczowo chwycił się jej dłoni. — Matusiu, chodźmy do chałupy! Matulu!

Płaton Gordiejewicz stał na środku podwórka, całkowicie zagubiony, nie będąc w stanie pojąć, co tu się właściwie stało. Potem z żalną miną mimowolnego winowajcy obejrzał się na kobietę siedzącą na wozie i, zwracając się do Pawełka, zażartował niezręcznie:

— O cóż ty, ścierwo, ożeniłeś ojca jak mnie nie było?!

Pawełek zmarszczył twarz w bolesnym grymasie, oderwał się od Olany i nagle pobiegł za róg chałupy. Olana nie wyrzekła ani słowa i powoli poszła precz z obejścia, wciąż patrząc przed siebie niesamowitymi, nic nie widzącymi oczami.

Zza rogu chałupy doleciał zwierzęcy ryk. To Pawełek, który zjadł za dużo miodu, kurczył się w boleściach i gwałtownie wymiotował.

XII

Dobiegało kresu pracowite chłopskie lato. Wraz z jego dogorywaniem ochryple i zadzierzyscie piały młode kogutki — te same, co na wiosnę wykluły się z jaj i, zdumione, po raz pierwszy spojrzwały na oślepiający świat, dla nich jeszcze zimny i nieprzytulny. A któż nie wie, że nieprzyjemny dla ucha śpiew młodych kogutków, którym nawet ogony jeszcze nie urosły, to głos jesieni, przynoszącej zgaszone barwy, bujne i zimne rosy nad ranem, leniwie snujące się mgły i niebo niekiedy takie, że gdy na nie spojrzysz, zaraz ziąb ogarnia ci duszę i chciałbyś jak najszybciej pod dach, do chałupy, w przytulne ciepło.

Ale Pawełka dom nie pociągał. W ciągu swego sierocego osamotnienia, jakże krótkiego w zestawieniu z ludzkim życiem, już przywykł dawać sobie radę sam z myślami i zagadnieniami, które powstawały w jego zielonej jeszcze głowie. A poza tym Pawełek uważał, że po zjawieniu się Nastki, córki siódmej z kolei matki, dziewczyny wyłupiastej, kłótlivej i zawistnej w domu zrobiło się ciasno i niespokojnie.

Pawełek leżał w szopie na sianie. Schował się tam przed Nastką, wciągał w siebie przyniesione wraz z sianem, odurzające, gorzkawe zapachy łąki i przez porwaną wiatrem strzechę spoglądał na niebo. Pełzły po nim grzywiaste chmury, mroczne, złowieszcze, napęczniałe zimnem. Poprzez chmury widać było błękit, którego głębia napawała chłopca lękiem.

Pawełek był zły. Przysłuchiwał się miarowym uderzeniom cepa, głucho rozlegającym się w śpichrzu, gdzie ojciec młócił jęczmień. Delikatnie obmacywał palcami czoło, na którym wyskoczył guz, wielki jak włoski orzech. Przed chwilą Pawełek założył się z przekorną Nastką, że potrafi wymłócić przynajmniej jeden snop jęczmienia, i kiedy ojciec wyszedł ze śpichrza, żeby zakurzyć skrzeta, przygrzał się cepem po głowie.

Guz robił się coraz większy, palił żywym ogniem, a gdzieś całkiem niedaleko, w obejściu rozlegał się zjadliwy chichot Nastki. Pawełek czuł się bardzo nieszczęśliwy... Nie powodzi mu się w tym życiu. I pomyśleć, że wszystko mogłoby się ułożyć tak cudownie! W ciągu zimy we wsi powstaje kołchoz. Tato także zamierował wstąpić do niego. Wujek Filip, bogaty i najbardziej znający się człowiek w całej Kochanówce, tak ciekawie rozpowiadał o wielkim baraku, w którym będą mieszkać, niby jedna rodzina, wszyscy kołchoźnicy, że Pawełkowi aż dech zapierało z

radości. Dlaczego ci dorosli w żaden sposób nie potrafią zrozumieć cudownego życia w takim baraku? Pawełek już by nie musiał wysiadywać długimi wieczorami w pustej chałupie... Cóż weselszego, niż spanie na wspólnych narach z przyjaciółmi, wsio-wymi chłopakami?! To by dopiero było wymarzone życie!

I wszystko się zawało. Zamiast rajskiego życia — guz na czole i ta sekutnica Nastka we wspólnej chałupie. A kto zawinił? Tatko zawinił. Dowiedział się od wujka Filipa o tym baraku, co go podobno rejonowa władza zamierza zbudować za Diabelskim Jarem, w tym samym miejscu, gdzie czarownice zwykły poszukiwać szatańskiego ziela, i powiedział, żeby się do tego kołchozu zapisywali Cyganie. A on na razie nic w nim nie ma do roboty. Teraz głupi ludzie wyśmiewają się z tatki. Pawełek osobiście słyszał, jak ciotka Charytyna, żona Kuźmy Hrycja, trzepała jęzorem, że Płaton obawia się wspólnego życia w baraku — spania z babami na narach obawia się. A cóż w tym straszego? Więc tatko rozeźlił się i powiedział, że jakby co, to niech kobiety mają przed nim stracha. Przywiózł z Berezny wdowę Hannę z tą wyłupiastą Nastką. Teraz rzemienny pas znowu wisi w izbie na widocznym miejscu, znowu tatko żąda, żeby Pawełek obcą babę nazywał matulą... Pawełek wolałby Olanę: u tej przynajmniej tyle miodu, że byś całą studnię wypełnił. Co prawda, po wypiciu połowy dzbana miodu, Pawełek chorował przez dwa dni i nie miał teraz zbyt wielkiej chęci na słodycze. Tak czy owak, zgodziłby się nazywać Olanę swoją matką, a tej zawsze rozgniewanej baby, co przyjechała z Nastką — za nic tak nazywać nie będzie.

Śpiwny i przenikliwy kobiecy głos zaczął wzywać kury ku drzwiom i przerwał rozmyślenia Pawełka:

— Cip-cip-cip-cip... Cipi-cipi-cip-cip-ci-iip...

Ten sam głos zwrócił się do Nastki, gniewny i rozkazujący:

— Nastusia! Wołaj-no Pawła na obiad!

— A juści! Kiej się schował, Pawełek niby! — Nastka odpowiedziała piskliwym śmiechem, który rozlegał się tuż koło szopy. — Przygrzał se cepem po łbie, to tera ma boja!

— Ja mu się schowam! Do stołu aby zaraz! Tatula wołaj, bo barszcz wystygnie! — Pawełek usłyszał trzask gwałtownie zamkniętych drzwi.

— A bodaj ci skisł ten barszcz! A bodaj ci się kasza przypaliła! — chłopiec słał straszliwe klątwy w najwyższej zaciekłości. — A bodaj byś na piec wyleźć bez stołka nie potrafiła!

Już od dawna w śpichrze ucihły uderzenia cepa, a Pawełek wciąż myślał jakie tu jeszcze nieszczęścia przywołać na głowę swojej siódmej matki i żeby ojciec także i ją przepędził z chałupy.

Nagle przypomniał sobie, że Nastka ma zwyczaj wybierać łyżką z barszczu wszystkie skwarki i pospiesznie ześliznął się z siana na ziemię.

Otworzył drzwi do izby i serce radośnie drgnęło: usłyszał słowa ojca, który posyłał Hannę po groch suszący się na piecu. Hanna zdjęła z gwoźdźcia wiszące na sianie sito, podeszła do ojca, który siedział na stołku przy stole i spokojnie powiedziała:

— Ano, stary, jazda sam po groch! Tylko mi bez wyłożenia po stołku!

— Że niby co? — Płaton Gordiejewicz podniósł na Hannę zdumione oczy.

— Jeno zaraz, bo barszcz wystygnie! — Hanna chwyciła Płatona mocną, żylastą dłonią za kołnierz koszuli, bez wysiłku podniosła ze stołka i tak popchnęła w kierunku pieca, że chłop zaczepił nogą o żelazny garnczek i z hukiem poleciał na podłogę.

— Matulu! — wrzasnął przerażony Pawełek. — Matulu, nie bijta taty!

Hanna gwałtownie obróciła się ku Pawełkowi. Ciemne, surowe brwi nad piwnymi, nieco drwiącymi oczami, podskoczyły jak gdyby przestraszone.

— Chryste Nazareński! — klasnęła w dłonie. — A co ten poganin ze sobą nie nawyrabia! Popatrzta-no, ludzie, na niego. Jakiego to guza na łbie się dorobił! — Hanna ściągnęła z wahałka ściennego zegara kawałek ołowiu, rozsiadła się wygodnie na stołku i przyciągnęła Pawełka ku sobie. — A toż tak ślepie se możesz powybijająć! — Przyłożyła ołów do siniaka.

— Matusiu, mnie nic a nic nie boli — usprawiedliwiał się Pawełek, wstydliwie odpychając kolana Hanny. — Całkiem nie boli! No-o, matulu, puście!

Płaton Gordiejewicz wylazł na piec i, milcząc, nagarniał groch do sita.

Nastka chichotała za stołem, zwinnie wyławiając łyżką skwarki z barszczu.

XIII

Zima jak gdyby stroniła od ludzkich oczu. We dnie ciutko drzemała pod jaskrawym słońcem, błękitniejąca i skrzęca śniegiem, w którym aż po kolana grzęzły czarne drzewa i białe chaty, a niemal całkowicie znikły ulice i płoty. Dopiero w nocy, gdy wieś usypiała, zima zaczynała głośno oddychać dźwięcznym,

mroźnym powietrzem. Gwałtownie pędziły poszarpane chmury, przesłaniając całe niebo, odrywał się od nich wicher, zlatywał ku ziemi, z wściekłością kręcił śniegiem, ciskał nim w okna chałup, grzmocił o ściany, żałośnie wył w kominach.

Stefan ledwie wrócił do domu, podjadł tłuczonych kartofli i zsiadłego mleka, zdmuchnął lampę i położył się na wąskim, skrzypiącym łożku. Wiatr jeszcze mocniej zaskowytał za oknem, jakby błagając, żeby go puścili do izby, Stefanowi, wsłuchanemu w ten skowyt, wydawało się, że pod świtką, którą przykrył się, jest wyjątkowo ciepło i przytulnie.

Stara matka przewracała się na piecu i ciężko wzdychała. Również do Stefana sen nie przychodził. Noce stały się niespokojne, odkąd wybrano go członkiem Rady wiejskiej. Ileż to myśli przychodzi do głowy, gdy tak leżysz, z oczami wbitymi w mroczny sufit! Więc i teraz rozmyślał nad tym, że przyszedł już czas do wyrwania z korzeniami kułackiego nasienia. Tego dnia posiedzenie Rady, z udziałem aktywistów z biedoty, trwało aż do późnej nocy. Do spisu tych, którzy mieli być rozkułaczeni w pierwszej kolejce, wciągnięto Olanę i Filipa.

Jutro Stefan wraz z grupą komsomolców pójdzie rozkułaczyć Filipa. Leży i myśli o Filipie, tajemniczym, czarnobrodym chłopie, którego maleńkie, zielonkawe oczka zawsze spoglądają na świat tak chytrze i z jakąś łaskawą pobłażliwością. Te oczy umieszczone są na pomarszczonej, różowej twarzy, blisko jedno koło drugiego, otoczone siecią niebieskawych żyłek, a czasem wydaje się że wygląda z nich nie Filip, lecz ktoś zupełnie inny. Zdarza się nieraz — rozmawia z sąsiadem, współczuje jego biedzie, wzdycha, ze smutkiem kiwa głową, ale w oczach chowają się zimne iskierki obojętności, ale oczy uciekają na stronę, jak gdyby lękały się wzruszyć w spotkaniu z czymś udręczonym spojrzaniem. Ludzie uznawali rozum Filipa, ale zarazem odgadywali w nim złego człowieka. Może właśnie dlatego o pomoc zwracano się zazwyczaj nie do niego, lecz do Olany i innych bogaczy.

Stefan przypomniał sobie pewien dzień, gdy był jeszcze małym chłopcem. Było to w niedzielę Wielkanocną. Przez zieleńjące pastwisko, na którym dzieciarnia grała w palanta, szedł podpity Filip, połyskując cholewami chromowych butów.

— Ano, chłopcy, prędej do mnie! — zawołał bogacz, nakręcając na palec frędzle jedwabnego pasa, włożonego na czerwoną, satynową koszulę.

Gromada bosonogich chłopaków rzuciła się z najwyższą ciekawością do Filipa.

— Lubicie cukierki? — zapytał Filip, zapuszczając ręką w kieszeń nowej marynarki.

— Lubimy! — odkrzyknęli wesoło chłopcy, nie ukrywając łapczywości, połyskującej w oczach.

— Ja także lubię... — Widać było, że dłoń Filipa zagarnia coś w kieszeni. — To chcecie cukierków?

— Chcemy!

— Ja też chcę! — Filip roześmiał się z satysfakcją, wyjął z kieszeni kapciuch z machorką, zapalił i poszedł dalej.

Zawiedzeni chłopcy patrzyli w jego ślad wściekłymi jak u zwierząt oczami. Stefan pamięta, że schylił się po kamień, ale rzucić go nie ośmielił się. A należało to zrobić. Cóż by to znaczyło dla Filipa, choćby z racji Wielkiej Niedzieli, poczęstować chłopców i dziewczynki cukierkami i piernikami. Toż bogaty jak ciotka Olana, ale widać, skąpiradło, jak żaden inny chłop w Kochanówce. Nie na próżno nieboszyk ojciec Stefana mawiał, że gdyby chciwość przybrała nagle ludzkie oblicze, miałaby dokładne podobieństwo z Filipem Jakimienką.

Ale któregoś dnia chciwość wylazła Filipowi bokiem. Może było to nie zupełnie tak, jak opowiadał Kuźma Hrycaj, znany kochanowiecki gawędziarz i pijanica, który, pomimo swej parciej biedy, utrzymuje przyjazne stosunki z Filipem, a nawet nazywa go kumem, chociaż bez żadnych podstaw. Historię tę znali wszyscy, poszła więc w świat jako jeszcze jedna wesoła anegdota. W okresie swoich wędrówek po Saratowszczyźnie, Stefan niejednokrotnie śmieszył przyjaciół, opowiadając im o przygodzie Filipa, a potem znowu słyszał z innych ust tę samą historię, ale już przyprawioną dobrą porcją zmyślenia.

Jeżeli wierzyć Kuźmie, przydarzyło się tak.

W Woroncówce na jarmarku spotykają się bogaty Filip i ubogi Kuźma.

— No, kumie, co będziemy kupować? — zapytał Filip kpiąco, wiedząc, że w kieszeni u Kuźmy nie ma nic, oprócz dziur.

— A tak ciągle koniom się przyglądam — wymijająco odpowiedział Kuźma.

— No i co?

— O mało nie kupiłem dobrego wałacha, aż tu jak spojrzę na jałowicę — aż mi serce podeszło do gardła! Co za jałowka! Rasowa, odkarmiona. Za rok będzie nie krowa, jeno studnia z mlekiem.

— To czemuś nie kupił? — W głosie Filipa już nie było drwiny. Spojrzał ku wozom z podniesionymi do góry dyszlami, przy których stały na uwięzi krowy, jałowki i byki. Filip poszedł na jarmark właśnie po to, aby kupić dobrą jałowkę.

— Maść mi nie odpowiada — wykręcał się Kuźma. — Ruda... W moim gospodarstwie rude bydło nie trzyma się... Taka już wróżba.

Filip wiedział, że poza parą świń i jedną kozą, Kuźma nigdy w życiu nie miał żadnego bydła. Ale udał, że wierzy, i powiedział:

— Pokaż-no, gdzie ta jałoweczka. A nuż kupię.

— Będzie poczęstunek na przybicie rąk?

— Musowo. Jeno pomóż przy targowaniu.

Zbliżał się już wieczór, gdy Filip i Kuźma powracali do Kochanówki. Obydwaj nieźle popili, twarze mieli czerwone, zadowolone. Filip prowadził na postronku kupioną jałowicę, która rzeczywiście była rzadkiej rasy.

Kuźma coraz to oglądał się na jałowkę, przyglądał się jej zazdrośnie i w zachwycie mlaskał językiem.

— Co, podoba się? — chichotał zadowolony z siebie Filip.

— Dobra będzie z niej krowa.

Jałowka zwolniła kroku i poza nią, na zakurzonym trakcie, została ścieżka z parujących, ciemno-zielonych placków.

Filip zatrzymał się, wbił w Kuźmę śmiejące się kpiarsko oczy i powiedział:

— Darowałbym ci tę jałowkę, czy jak?

— Ty mi jej nie darujesz... Łacniej się obwieszisz!

— A to czemu? Ty przecie niby kumem jesteś! Mam prawo raz w życiu coś dobrego uczynić? Mam! Ale warunkowo.

— Warunkowo? — Kuźma niedowierzająco nadstawił ucha.

— Zjedz te krowie placki i jałowka należy do ciebie.

— A nie łiesz? — z twarzy Kuźmy uciekła ostatnia kropla krwi.

— Jak Pana Boga kocham!

— Ukłęknij i przysięgaj na świętą ziemię!

— Na co zechcesz przysięgnę. Na własne dzieci. — Filip ukląkł, dławiąc się od powstrzymanego śmiechu.

— Ech, żeby tak przedtem chociaż jedną szklaneczkę gorzały! — Kuźma westchnął, wyciągnął zza cholewy drewnianą łyżkę i poważnie rozsiadł się pośrodku drogi.

Filip skręcał się ze śmiechu, obserwując kuma. Ale wkrótce przestał się śmiać, przestraszone oczy zaokrągliły się. Kuźma pracował z całym poświęceniem.

Mimo jednak że Kuźma był zdolny do wszystkiego, byle by tylko zdobyć jałowicę, dał rady ledwie połowie tych krowich placków. Spojrzał udręczonymi oczami na Filipa, dostrzegł jego przeżalenie, roześmiał się resztkami sił.

— Co, kumie, szkodujesz jałówki? Jeżeli tak szkodujesz, to siadaj zamiast mnie, dojesz drugą połowę, a ja ci oddam jałówkę.

Filip nie powiedział ani słowa, usiadł na drodze, wziął od Kuźmy jego łyżkę...

Po jakimś czasie obydwa znowu wędrowali do Kochanówki. Nic się nie zmieniło. Filip prowadził jałówkę na postronku. Szli milcząc, całkowicie otrzeźwieni i niecierpliwicy się, żeby tylko jak najprędzej odczepić się jeden od drugiego.

Następnego dnia Kuźma przechodził koło zagrody Filipa i dojrzał go, wlokącego się powoli ku oborom. Filip szedł, przytrzymując się opłotków, twarz miał tak pobladłą, że aż szarą, pod oczami nabrzmiały duże worki.

— Cóżżeś, kumie, tak zzieleniał? — zapytał Kuźma ironicznie.

Filip zatrzymał się, popatrzył na Kuźmę, jakby go nie poznał. Coś jakby cień uśmiechu przemknęło przez jego oczy, ale odpowiedział całkiem poważnie:

— Wiesz, kumie, wczoraj razem z tym łajnem zjarłem co-sik niedobrego — czy to muchę, czy inną zarazę. Rzygałem przez całą noc....

Kiedy ta historia rozeszła się po całym okolicznym świecie, Kuźma nie raz przysięgał się na wszystkich świętych, że na drodze do Woroncówki może pokazać miejsce, na którym tak bardzo cierpiał, starając się zarobić na jałówkę.

A teraz Stefan rozmyślał i zastanawiał się, jak też zachowa się Filip, kiedy z jego podwórza zaczną wyprowadzać byki i konie, krowy i jałowice. Jakże będzie się męczyć, rozstając się z dobytkiem, zgromadzonym przez tyle długich lat. Zaś grunty Filipa, obszerny dom, mocne gospodarskie budynki, ogród — wszystko to stanie się jutro własnością kołchozu, a raczej już się stało; pozostaje tylko wypędzić Filipa wraz z rodziną ze wsi, rozliczyć się z komornikami i odprawić ich do własnych domów, opisać majątek i ułożyć akt urzędowy, potwierdzający to, co się stało...

XIV

Z samego rana, zanim jeszcze Stefan zdążył się ogolić, do jego chałupy wpadła zadyszana Chrysta. Wiał od niej świeży mróz. Policzki rumiane od zimna i podniecenia, rozszerzone źrenice, niewyraźna, rwąca się co chwilę mowa... To było pierwsze jego

spotkanie z Chrystą, pierwsze od tamtych dalekich wieczorów, wypełnionych zachwytem pijanego szczęścia.

Po powrocie z Saratowszczyzny, Stefan niejednokrotnie widywał Chrystę, ale zawsze z daleka. Chrysta również go widziała. Ale bali się zejść, popatrzeć jedno drugiemu w oczy, nie wiedzieli, co sobie powiedzieć. Chrysta czuła, że nigdy nie zgładzi swojej winy przed Stefanem, ale nie chciała, nie mogła zdać sobie sprawy, ani przed nim, ani przed samą sobą, czy w jej sercu jeszcze pozostało to gorące uczucie, którym tak szczerze go darzyła podczas dawnych spotkań, na pół zapomnianych, przywidujących się jak we śnie. Uczucie zapewne pozostało, jak pozostał męczący i zarazem słodki ból pierwszej miłości. Tyle, że złagodził go czas, przesłoniła miłość do dzieci i przywiązanie do dobrego, dbającego o nią Ołeksę...

Stefan kochał ją jak dawniej... Kochał tamtą, dawną Chrystę, którą zachował w swoim sercu, kochał bez żadnej nadziei, bez żadnego sensu, rozumiejąc, że młode lata mijają na próżno, że nadaremnie marnuje swoje siły duchowe, wskrzeszając w pamięci niepowrotną przeszłość. Ale nie mógł nad sobą zapanować. Tylko ta przeszłość dawała mu szczęście i łagodziła ostry ból w piersi, gdy rozum przypominał, że wiosna przychodzi po wiosnie i nie ma ich zbyt wiele w życiu człowieka.

I oto Chrysta stoi przed nim, w rozpiętym półkożuszku, w przekręconej na bok kraciastej chustce na głowie. Oczy błyszczały nie wiadomo z radości, że go widzi, czy od cierpienia i goryczy.

— Stefan... Stefku... — z wysiłkiem wyszeptaly jej wargi. Chrysta zamilkła, dostrzegłszy, że matka Stefana zakręciła się po izbie i nakładała świtkę, żeby zejść do piwnicy po kartofle.

Gdy stara Hryhorencycha zatrzasnęła za sobą drzwi, Chrysta ściągnęła chustkę z głowy i przyłgnęła twarzą do piersi Stefana. Jej żółte włosy pachniały buraczanym kwasem.

— Stefek... — zaniosiła się szlochem. — Moja вина... I twoja także... Dlaczegoś na czas nie przyjechał? Matka mnie gryzła, żyć nie dawała...

— Po coś przyszła? — zapytał Stefan, opanowując wzruszenie i czując, że wargi ma suche i pod sercem zaczyna palić nieznośne gorąco.

— Stefciu, ty jesteś dobry — szepotała Chrysta. Podniosła głowę i wpatrzyła się w niego błagającym spojrzeniem. — Stefan, pomożesz nam, prawda? Uratuj matkę! Nie żyć mi bez niej...

— Chrysta, co mi tu gadasz po próżnicy! — Stefanowi wydawało się, że oszaleje. Odsunął się od Chrysty, posadził ją na ławie, podszedł do stołu po machorkę. — Nie mogę ci pomóc...

— Patrz! — spiesząc się, Chrysta wyciągnęła z zanadrsa

zmiętą kartkę papieru. — Byle byś pierwszy podpisał, wszyscy inni także podpiszą.

— Co to jest?

— Żeby mojej matki i mego świekra, Filipa, ze wsi nie wyprzedzali. Niechta zabierają cały dobytek. Po cóż ich mają wysyłać na skraj świata? — Chrysta mówiła, płacząc się, jak gdyby lękając się każdej chwili zwłoki. — Powiadają, że jeżeli cała gromada za nimi zaręczy, to ich nigdzie zsyłać nie będą.

— Uspokój się, Chrysta! — Stefan szukał właściwych słów. Obawiał się, żeby ta rozmowa z Chrystą nie wypadła zbyt sztywno, a jednocześnie nie chciał zdradzić się z tym, co się z nim działo w owej chwili, gdy stała przed nim, wyjątkowo urodziwa w swym podnieceniu, bezradna i godna litości, i wpatrywała się w niego błagalnymi oczami. — Nic tu nie pomoże... Tak trzeba... Sprawiedliwie traktują kułaków. Wszystko sprawiedliwie...

Nie potrafił użyć innych słów, a ona wciąż wpatrywała się w jego twarz szeroko rozwartymi oczami, starając się uchwycić instynktem serca — czy Stefan mówi prawdę, czy bierze pomstę za zdradę, za to, że zadała mu tyle cierpienia.

Stefan już opanował się i odzyskał mowę.

— Chrysta, posłuchaj... Toż ja ci złego nie życzę. Powiedz swojemu Ołeksie, żeby zapisał się do kołchozu, bo jak nie, to i z wami będzie to samo. Przecie wy oboje z kułackich rodzin...

— Zły! Aleś zły! — wyjęczała Chrysta, narzuciła chustkę na głowę bezradnym ruchem i powoli ruszyła ku wyjściu.

Tego dnia w Kochanówce stały się rzeczy nieuniknione. Cała własność pięciu kułackich rodzin została skonfiskowana, zaś same rodziny załadowane na wozy i odesłane do Woroncówki, skąd miały powędrować do najdalszych prowincji kraju.

Po raz pierwszy w swojej historii Kochanówka przekonała się, że bogactwo nie posiada żadnej siły. Zaś kułacy poznali, że we własnej wsi byli obcymi ludźmi. Nawet Olana, zagubiona i cicha, nie potrafiła znaleźć słów, aby przy ładowaniu się na wóz pożegnać się z krewniakami i krajanami. Dojrzała, że w oczach większości ludzi nie było ani jednej cieplejszej isierki, ani cienia współczucia. Ta niechęć wstrząsnęła nią w nie mniejszym stopniu, niż utrata majątku. I dopiero już wyjeżdżając ze wsi, Olana jak gdyby przysłała do siebie, zaczęła zawodzić w nieutulonym żalu, rzucać się w historycznych krzykach.

Tak oto zaczął się nakręcać niekończący się film nowych czasów.

XV

Stefanowi wydawało się, że z każdym miesiącem widnokrąg otwiera się coraz szerzej przed jego wzrokiem, i już widział zbliżającą się, promienną przyszłość Kochanówki — syte, przyjemne znużenie w niedzielę, kipiąca, twórcza praca w powszednie dni. Byle by tylko czym prędzej dokończyć kolektywizacji!

Ale wielu średniaków rozumowało całkiem inaczej. Mój grunt! Moja miedza! Co za miedzą — to obce. Na twoim własnym gruncie nikt cię skrzywdzić nie może. Masz prawo zarzącać cudzą kurę, jeżeli wlała do twojego ogrodu. Mój dom, moje obejście, moje konie... Tu wszędzie obecne są duchy przodków.

Jedno krótkie słowo „ m o j e ”. Jakąż moc posiada nad człowiekiem!

Stefan przypomniał sobie zebranie, na którym po raz pierwszy zapytano wprost, bez ogródek: „Kto zapisuje się do wspólnoty?” — i przypomniał prostoduszne pytania Chtomy Zawółki.



A bez tych pytań Chtoma w żaden sposób obejść się nie mógł. Toż właściwy sens chłopskiego istnienia polega na posiadaniu ziemi i jej uprawianiu, aby rodziła zboże. Ale miłość do ziemi i jej płodnej siły nie jest bynajmniej platoniczna. Ani też nazbyt wyrachowana. Tu rachunek jest prosty: chłop musi mieć na wyżywienie, przyodziewek i odłożyć na czarną godzinę. Cała reszta, wszystko co wdziera się do chłopskiego życia, musi być podporządkowane temu rachunkowi. Nawet strach przed Bogiem. Jeśli zgrzeszysz, Pan Bóg ukarze cię chorobą, nieurodzajem, pomorem na bydło... Przyjdzie nędza i głód. A więc należy wystrzeżać się grzechu i zanosić modły do nieba.

Wydawałoby się, po co żyć na tej ziemi, jeśli życie nie przynosi żadnej radości? Otóż w tym to i rzecz, że chłopskie życie nie jest pozbawione radości. Jakże bogate w różnorodne wrażenia jest dzieciństwo na wsi! Bardzo wczesnie chłopskie dzieci poznają największy cud na tej ziemi — przebudzenie się przyrody. Jednocześnie jak gdyby i same dzieci budziły się do życia: ciesząc się śniegiem tającym po raz pierwszy, pierwszej trawce pod oknem, pierwszej niedojrzałej, lecz z przyjemnością rozgryzionej jagódce, pierwszemu jajku skradzionemu z ptasiego

gniazda. Kwitnąca radość dzieciństwa odsuwa na drugi plan ubogie życie rodziny.

Potem przychodzi wczesne wdrożenie się do pracy i uczucie dumy w małym człowieku, gdy po raz pierwszy dosiadł konia, albo wziął w ręce biczysko... Gdybyż była zachowana proporcja... Nierzadko nadmierna praca potrafi pogłębić dzieciństwo. Wówczas dziecko zaczyna karmić się marzeniami.

A gdy przychodzi wiek młodzieńczy, a wraz z nim pierwsza miłość, kiedy wieś staje się nie tylko miejscem zamieszkania, lecz rozśpiewaną stolicą całego świata — wówczas radosne szczęście przelewa się przez brzegi.

A jeszcze później radość zaczyna mrocznieć pod suszącym wiatrem nieustających trosk. Troski przychodzą, gdy odchodzi młodość. Trzeba brać na siebie obowiązki gospodarza, żywić i odziewać rodzinę, trzeba wszystkimi siłami bronić się przed biedą. Jedną już tylko pozostaje radość, wspólna wszystkim chłopom: nadzieja rychłego wzbogacenia się. Jest to nadzieja nie pozbawiona grzesznych cech. Rodzona siostra drapieżnego zwierzęcia, któremu na imię ambicja. Gdy tylko chłop potrafi na stałe zabezpieczyć się przed biedą, natychmiast budzi się w nim ten drapieżny zwierz. A jeśli nie potrafi, jeśli chłop nadal musi zmagać się z czarną nędzą, to i tak ten okrutny drapieżnik nie przestaje czaić się na dnie chłopskiego serca. Zdarza się i tak, że im bardziej pomiatają chłopem z racji jego nędzy i ciemnoty, tym głębsza staje się przepaść jego ambicji i pychy. Wystarczy, aby jakiś szczęśliwy przypadek czy sukces zamącił drzemającą topiel, a wtedy...

Chtoma Zawołoka był najbiedniejszym chłopem w całej Kochanówce. Aż do rewolucji jego rodzice żyli w takiej śmierdzącej biedzie, że każde dziecko przychodzące na świat traktowane było w rodzinie jako dopust Boży.



Już we wczesnej młodości wągrowatą gębę Chtomy Zawołoki, ozdobioną wielkim nochalem, pocięły we wszystkich kierunkach grube, głębokie zmarszczki. Już po dojściu do czterdziestki wyglądał na starego dziada, tyle, że została mu młoda postawa, pewne siebie ruchy i wypełniające jamę ustną duże zęby, poźółkłe od tabaki-samosiejki. Usta Chtoma ma ogromne, ruchliwe; gdy się zaśmieje, wydaje się, że jedno ucho spogląda na drugie, zaś nochal aż do zębów dostaje. Co prawda, Choma śmiał się niezmiernie rzadko. Zawsze łąził z nachmurzonymi brwiami i grubymi

wargami zwiniętymi w ryjek, jak u małpy. Marszczyły się przy tym, jak ściągnięty sznurkiem kapciuch do tytoniu.

Chtoma ożenił się już po trzydziestce. Wziął takąż brzydulę, jak on sam, od dawna siejącą staropanieńską rutkę córkę za możnego gospodarza, Hrycia Mandźuły. Hryć, uradowany, że narreszcie pozbywa się starej pannicy, obdarzył ją szczerze posagiem — wydzielił sporą parcelę gruntu, dodał krowę i dwuletniego źrebca.

A po swoim ojcu, starym wdowcu, Chtoma odziedziczył, aby tę starą chałupinę i kawałek ogrodu.

Zabrał się Chtoma do gospodarki. Nigdy w jego domu nie było białego chleba, nie zadźwięczała pieśń, nie zawitał pod strzechę dostatek. Pracował razem z żoną, na razie jeszcze bezdzietną, w nocy i w dzień. Oszczędzał nawet na butach i chadzał na bosaka od wiosennych rozlewów do pierwszy przymrozków. Po kilku latach zbił trochę grosza, dokupił jeszcze jednego konia i stopniowo jego gospodarstwo zaczęło stawać na silnych nogach.

Najadł się biedy przez całe swoje życie. Co go najbardziej bolało, to ludzka pogarda. We wsi nawet ułożono różne o nim porzekadła: „Bidny, jak Chtoma Zawołoka”, ale „Czupiradło jak trzy Chtomy do kupy”... Toteż niczego tak bardzo nie pragnął, jak żeby „móc utrzcć ludziom nosa”, wzbogacić się i udowodnić, że jest niegorszy od innych. Więc wyłaził ze skóry, żeby tego dopiąć.

O niczym innym bardziej potajemnie nie marzył, jak tylko, żeby kupić nowy wóz, ale nie zwyczajny, jak u większości kochanowieckich chłopów, lecz z żelaznymi osiami, z dźwięcznymi tarczami, żeby oddzielały luśnie od kół także okutych żelazem. Żeby jak popędzisz konie, wprzęgnięte w taki wóz, większą ulicą, nawet najbogatsi gospodarze zielenieli z zazdrości. Długi czas zbierał pieniądze, odkładając po każdym jarmarku ruble i półrubłówki. Aż wreszcie zebrał całe dziewięć czerwieńców. To już wystarczało na zakupienie nowego wozu!

Ale nie tak łatwo rozstać się z uciulanymi pieniędzmi. Wydawało się Chtomie, że nigdy w życiu nie był jeszcze taki bogaty i niezależny. Pieniądze miał w pamięci bez przerwy, ziemia trzymała się jego stóp mocniej niż kiedykolwiek. Chodząc, pysznił się niczym paw, a na brzydkiej twarzy coraz to zjawiał się tajemniczy uśmiech.

A z kupnem wozu wciąż zwlekał.

Którejś nocy Chtoma zbudził i przeraził całą rodzinę, wrzeszcząc w niebogłoso „Gwałtu! Rety!”. Przyśniło mu się, że spadł złoty deszcz. Wszyscy ludzie, oprócz niego, nabierali po worku

czerwieńców, więc nawet we śnie zdał sobie sprawę, że teraz już nie kupi wozu za te nędzne, nie mające żadnej wartości dziewięćdziesiąt rubli.

Był to najstraszniejszy sen w życiu Chtomy. W najbliższy targowy dzień powrócił do Kochanówki na swoim „żelaznym” wozie.

Ledwie zdołał nacieszyć serce tym kosztownym nabytkiem, ledwie zaczął sycić słuch dźwięcznym dzwonieniem tarcz przy luśniach, gdy rozniosła się wieść o kołchozie.

Na pierwsze zebranie Chtoma przyszedł z ciekawości. Sam z góry zdecydował, że do żadnego kołchozu nie wstąpi.

Tak się złożyło, że Zawołokę wybrano do prezydium. To Zacharko Łowibłoch dla zabawy podał jego nazwisko i zaraz wytłumaczył sąsiadom, że jeżeli Chtoma ze swoim szkaradnym pyskiem usiądzie na podium i będzie stamtąd patrzeć na ludzi, to nikt ze strachu nie ośmieli się hałasować ani ćmić machorki.

Chtoma ani się domyślał, że siedzenie w prezydium to prawdziwa męczarnia. Najpierw nie dawało mu spokoju spojrzenie Łowibłocha, raz zdziwione, kiedy indziej kpiące albo ośmielające. Chtoma oglądał całego siebie ze strachem, zaciskał między kolanami ogromne, nieposłuszne graby i błagalnie spoglądał na Zacharkę. Potem wydawało mu się, że nie tylko jeden Łowibłoch łechce go wzrokiem, ale cała liczna gromada, wypełniająca klub, zwraca uwagę wyłącznie na niego i kpi sobie w żywe oczy. Na prostackiej, spalonej na brąz twarzy Zawołoki widniał żaloszny uśmiech, jakby przepraszał obecnych za samo swoje istnienie.

Wreszcie Chtoma przyzwyczyił się i zapomniał o ludziach. Ściągnął wargi w ryjek i, mrugając bez przerwy oczami, słuchał z wysileniem, co mówią o kołchozie. Zaczął chwytac swoim praktycznym chłopskim rozumem, że owszem, taka wspólnota to rzeczywiście rzecz korzystna i można okazać się stratnym, jeżeli zostaniesz na boczk... I znowu Chtoma cierpiał na widoku u wszystkich, wysilając pomysłu. Wyrzec się z dobrej woli nie tylko własnej ziemi, ale także „żelaznego” wozu, koni, pługa i brony — toż to nie żarty! Chtoma nie domyślał się, że te bolesne deliberacje przejawiają się straszliwymi minami na jego i tak już szkaradnej twarzy. Oczy z przerażenia robiły mu się okrągłe, poruszał grubymi wargami i potrząsał głową, jak gdyby oganiał się przed muchami... Na sali już rozlegał się powstrzymywany śmiech.

Gdy przyszedł czas na zadawanie pytań, Chtoma wstał i, purpurowy ze wstydu, jękając się, zapytał Lelekę, znanego już kochanowieckim chłopom, przedstawiciela rejonowego ośrodka:

— Dopraszam się łaski, cobyście mi, na ten przykład odpowiedzieli... Do wspólnoty to ja bym ta może się i zapisał. Ale wozu i koni oddać to nie mogę. Trzymać będę w objęciu i pracować nimi na kołchoz. Tak można?

— Nie, tak nie można — spokojnie odpowiedział Leleko. — Cała pociągowa siła i środki transportowe przechodzą w rozporządzenie kierownictwa wspólnoty.

— Jakże to? — Chtoma tak wyszczerzył zęby w uśmiechu, że aż uszy zajrzały mu do gęby. — Znaczny, że na moim wozie będzie rozjeżdżać każdy, kto tylko zechce?

— Nie ten, co zechce, a ten, któremu dadzą polecenie — cierpliwie wyjaśniał Leleko. — I nie rozjeżdżać, tylko pracować na kołchoz.

— Co to, to nie — Chtoma zatrząsał głową, oczy aż pociemniały z gniewu, a usta tak się wydłużyły, jak gdyby zamierzał zagwizdać.

Cała sala roześmiała się jak jeden mąż.

— Czego się śmiejeta?! — Chtoma nie wracał na swoje swoje miejsce i stał, z wściekłością bijąc w tłum rozszerzonymi żenicami.

Migotliwe cienie od lampy padały na twarz Zawołoki; wydawała się jeszcze bardziej nieprzyjemna niż zazwyczaj. Niejednego ukłuło w sercu: taka pokraka na chrzcinach to zła wróżba dla noworodka, na trudne i nieszczęśliwe życie.

— Czego się śmiejeta?! — Chtoma głośno powtórzył swoje pytanie, chociaż sala zamilkła, jakby przestraszona. — Na ten przykład, ty, Ołeksia, oddasz do wspólnoty konie, uprzęż i grunty?

— Dalej się zobaczy — wymijająco odpowiedział Ołeksia Jakimenko, mąż Chrysty.

— Obwiesz się prędeż, zanim oddasz. Już ja ciebie znam... A ty, Szewczuk! Powiedz, Dymitrze, przekażesz swoją kuchnię kołchozowi?

Dymitr Szewczuk uciekł za młodu z domu razem z Cyganami, co przechodzili przez wieś, wałęsał się z nimi przez kilka lat i wyuczył się od nich kowalskiego fachu. Po powrocie do Kochanówki zbudował szopę, zmajstrował palenisko, ustawił na dębowym kłocu kowadło i zaczął zaludniać okolicę dźwiękliwym odgłosem młotów.

Nie odpowiedział Dymitr na zapytanie Chtomy. Zmilczał.

Chtoma chciał dalej zadawać innym podchwytliwe pytania, ale Leleko go powstrzymał:

— Towarzyszu Zawołoka, to nie należy do porządku zebrania.

— To niech nie należy! — wykrzyknął Chtoma. — A koni i wozu i tak nie oddam!

Wiele przeżyli chłopci zgodnie z zasadami swojej nieskomplikowanej arytmetyki — ziemia, zboże, przyodziewek — przeżyli wśród drobnych, ale żyły wyciągających trosk o dom i obejście, przeżyli w ciemnocie, w strachu przed Bogiem i władzą, bez tej radości, która daje wielkość człowiekowi, aż wreszcie przyszła nowa epoka, zrodzona z wichru Października. A potem przyszedł kołchoz.

Kołchoz — zwykłe, powszednie, niemal urzędowe słowo. Ale, kto wie, może gdy człowiek po raz pierwszy nazwał niebieską planetę Słońcem, nazwa ta również nie była przyjemna dla ucha? Możliwe. A jednak człowiek wiedział, że słońce grzeje, daje życie i światło. A także wypala ziemię, jeśli zabraknie jej wody...

I cóż przyniosą kołchozy? Czy obecnie, wraz z ich przyjsciem, nie zabraknie tych ożywczych wód, które będą w stanie obudzić nowe życie ludowych sił, dotychczas skutych starym obyczajem? Czy uda się wyrwać chłopów z zamkniętego kręgu ich jednostajnego życia, wyłącznie wypełnionego troską o przetrwanie na tym świecie?

Stefan wierzył, że to się uda. Wystarczy rozumu i wystarczy siły! Dopiero w kołchozie chłop poczuje się człowiekiem zrównanym z innymi i potrzebnym innym ludziom. Teraz dopiero rozszerzy swoje horyzonty od granic własnego podwórka do granic wielkiego państwa.

Ale co robić z uporem ludzi, którzy grzęzną w ciemnocie? Niektórzy kochanowieccy chłopci wpili się w swoją ziemię, jak kleszcze, i trzymają się urojonego dobytku, bojąc się kołchozu jak diabła.

Stefan był oburzony. Właśnie mianowano go przewodniczącym wiejskiej Rady, stał się już członkiem partii. Coraz częściej jeździł do ośrodka rejonu na zebrania i narady, musiał czytać dzienniki i broszury, zanim przemówił do kochanowieckich chłopów i to wszystko zmuszało go do odpowiedzialności za nich, a jednocześnie wywyższało go nad ludźmi w jego własnych oczach. Teraz już przyzwyczał się do ostrego postępowania. Wzywał do biura wiejskiej rady takiego Ołeksę Jakimenkę albo Zacharkę Łowibłocha i, trzasnąwszy pięścią w stół, żądał od nich zapłacenia karnego podatku, jeśli nie zapiszą się do kołchozu. Stefan nauczył się innego niż dawniej rozumowania. Teraz i ro-

zum i serce mówiły mu, że kołchozy to nie tylko dobrodziejstwo dla chłopów, ale również nowy etap rewolucji, nowy olbrzymi krok ku społecznej przebudowie państwa. A konkretnie tak: bez kolektywnej gospodarki państwo nie utrzyma armii i nie postawi na nogi ciężkiego przemysłu, który wymaga zakupienia wielu rzeczy u kapitalistów za zboże. A jeśli nie — to koniec ze wszystkimi! „Hydra kapitalizmu” zniszczy sowiecką władzę.

Stefan bardzo często rozmyślał na temat tej złowieszczej „hydry”. Wydawało mu się, że tam, zagranicą, wszystko jest inne — i ziemia i niebo i drzewa. Obcy, niezrozumiały świat, który zagraża ojczystemu, miłemu i drogiemu światu. Serce w nim ścisnęło się na samą myśl, że „zagranica” może zwalić się któregoś dnia na ojczystą ziemię i przyduścić ją swoim ohydny cielskiem. Przywidływały mu się zimne ślepie i zachłanne ręce burżujów. Poszedłby chętnie nawet na męki, byle by nie doszło do żadnej zmiany tu, gdzie wszystko jest takie kochane i zwyczajne, gdzie nawet cierpienie wydaje się konieczne i nieuniknione.

Najważniejsze, że Stefan Hryhorenko, pierwszy kochanowiecki komunista, pojął, że nadeszła wielka chwila narodzenia nowego chłopca, wyleczonego z chciwości i nieszlachetnej chęci zysku. Stefan wierzył, że ten nowy człowiek narodzi się jeśli nie jutro, to pojutrze, ale narodzi się na pewno, zaś on, Stefan, będzie niby jakiś akuszer przy położu. Ale trzeba się spieszyć.

Gdy więc z rejonowego ośrodka przyszło wezwanie: nadać ostrzejsze tempo kolektywizacji i w tygodniowym terminie rozkułaczyć najbardziej zajadłych przeciwników kołchozu, Stefan pomyślał z bólem serca tylko o Chryście. Jej Ołeksę figurował na pierwszym miejscu na liście zamożniejszych średniaków. Po nim Zacharko Dubczak, Chtoma Zawołoka... Nic nie poradzisz! Gdzie las rąbią, tam trzaski lecą. A chociaż ludzie nie są trzaskami, chociaż chłopci-średniacy, jeśli wziąć pod uwagę ich liczbę i możliwość lepszej uprawy roli, stanowią jakby stos pacierzowy wiejskiej gromady, Stefan był przekonany, że nie ma innego sposobu.



Spełniła się czarna wróżba Chtomy Zawołoki... Ołeksę Jakimenko nie wytrzymał: kiedy przyszli go rozkułaczyć, zamknął się w śpichrzu i powiesił się. Stefan nic nie wiedział o tym wydarzeniu. Właśnie siedział w domu Wiejskiej Rady i rozmawiał z przedstawicielem krajoznawczego muzeum w Winnicy, który dopiero co przyjechał do Kochanówki. Łysy człowieczek w binoklach, w pomiętym, płóciennym ubraniu, udowadniał Stefanowi,

że pod Kochanówką znajdują się podziemne przejścia i piwnice, które pańszczyźniani chłopcy wykopali za niepamiętnych czasów. Jeśli znalezione w archiwach dokumenty mówią prawdę, w podziemiach tych powinna znajdować się stara broń i w ogóle przedmioty, posiadające wartość z naukowego punktu widzenia. Przedstawiciel muzeum prosił, żeby zwołać do domu Rady najstarszych mieszkańców. Może któryś z nich będzie wiedział w jaki sposób i gdzie można dostać się do tych podziemi.

Opowiadanie pracownika muzeum mocno zaciekało Stefana. Nie byle co: rodzinna Kochanówka posiada takie interesujące dzieje, w jej ziemi kryją się takie nadzwyczajne tajemnice.

A jednocześnie męczyło go pytanie: „Co też dzieje się teraz w zagrodzie Chrysty?”. Wydawało mu się nie do wiary, że i Chrystę i jej dzieci wywiozą ze wsi razem z Ołeksą — i to już na zawsze. „Może to i lepiej? Zapomnę o Chryście...” — poruszyła się nikczemna myśl.

Nagle z hałasem otworzyły się drzwi. Na progu stała Chrysta: na twarzy ani kropli krwi, oczy pociemniałe, palące jak u żmii, w rękach — siekiera.

— Co, podkopałeś się pod nas, jadowita gadzino? — Chrysta mówiła jakimś strasznym, nie swoim głosem. — Wpędziłeś go na stryczek? To idź teraz za nim!

Podniosła siekiere i z prawdziwie zwierzęcym, przerażającym wyciem rzuciła się ku stołowi, za którym siedział Stefan i wysłannik muzeum.

Jeszcze chwila, a stałaby się rzecz nie do naprawienia. Ale chłopcy, którzy gonili Chrystę od samego jej domu, zdążyli wbiec i schwycić ją za ramiona. W czasie krótkiego szamotania się zrobiło się niedobrze pracownikowi muzealnemu z Winnicy. Jak się potem okazało, był on chory na serce. Na widok siekiery w rękach rozjuszonyj kobiety, stracił przytomność i zwałił się na podłogę. Odwieziono go do rejonowego szpitala i wkrótce wśród codziennych trosk zapomniano i o nim i o podziemnych lochach, na których rzekomo stoi Kochanówka.

Chrystę i jej dwie córeczki pozostawiono w zagrodzie. Pochowała Ołeksę i odtąd jej życie potoczyło się spokojnie i bezbarwnie, jak to zwykle u wdowy.

XVI

Niejedna z kochanowieckich piękności wzdychała do Stefana. I nie dziwota — chłopak był przystojny, krzepki, z czarną,

kędzierzawą czupryną, rumianą twarzą i piwnymi oczami, spoglądającymi na ludzi z życzliwością, która nieodmiennie budzi przyjazny odzew. Co prawda, wysokie stanowisko Stefana uniemożliwiało dziewczętom otwarcie wyjawiać swoje uczucia. Ale co zuchwalsze zawsze znajdowały okazję, by zaczepić go jędrnym słowem, albo zwrócić na siebie uwagę zbyt głośnym śmiechem, za wysoką nutą w śpiewie, czy nawet łobuzerskim mrużeniem oczu, obliczonym na skuszenie Stefana.

Ale jego serce nie reagowało na te zaczepki.

W rok po samobójczej śmierci Ołeksy Stefan oświadczył matce, że zamierza ożenić się z Chrystą.

— Bój się Boga, synku! — przeżegnała się z przerażeniem stara Hryhorenczycha. — Cudze dzieci chcesz chować?!

— Tu nie chodzi o dzieci... — odpowiedział niezadowolony Stefan.

— Stefek... — matka rozpląkała się. — Boga się bój i nade mną się ulituj. Miałam nadzieję, że rodzone wnuki będą piastować...

— Piastowanie wnuków to rozrywka. A mnie już czas rodzinę zakładać.

— Dawno już czas! A czy to mało we wsi ładnych dziewuch?

Stefan popatrzył na matkę z żalością i poczuciem winy. Czy był w stanie wyjaśnić jej to wszystko? Przez tyle lat nie zdołał pokonać tęsknoty do Chrysty, tyle lat żył w przygnębieniu i jakby zaczadzony. Jakby mu w piersi serce spaliło się na popiół.

Po owym dniu, kiedy Chrysta rzuciła się na niego z siekierą, Stefan nabrał nadziei, że ta nierozumna miłość nareszcie przestanie go dręczyć, że wreszcie serce uwolni się od niej na zawsze. Przecież nie można odpowiadać miłością na okrutną nienawiść.

Ale któregoś dnia Chrysta dopadła Stefana, kiedy przechodził koło jej zagrody. Zakutana, jak stara baba, chociaż było to w lecie, w czarną, wełnianą chustę, Chrysta stała na progu chałupy. Gdy ujrzała Stefana, zawołała na niego jakże znanym i bliskim głosem, budzącym stare cierpienie.

— Stefek, zaczekaj-no chwilkę!

— Jakiż tam znowu Stefek? — niepewnie uśmiechając się, odpowiedział Stefan, zatrzymując się przed bramą i nie śmiejąc spojrzeć w oczy zbliżającej się Chrysty, jak gdyby obawiał się, że jeśli na nią popatrzy, natychmiast swoim spojrzeniem rozwali rozdzielającą ich lodowatą przegrodę.

— Stefkiem dla mnie byłeś i Stefkiem zostałeś — odpowiedziała Chrysta śpiewnym i jak gdyby pobłażliwym tonem.

Popatrzył na nią z wyrzutem i po raz pierwszy zauważył, że minione lata prawie nie zostawiły na jej twarzy żadnego śladu. Zaledwie kilka zmarszczek zebrało się w kącikach wielkich, przepaścistych oczu. I nagle to, że Chrysta jest jak dawniej młoda i piękna, nie wiadomo dlaczego, wprawiło go w gniew.

— Nie zajrzałyś do chałupy? — z wyzywającym uśmiechem zagadnęła go Chrysta.

— A siekierę już przygotowałaś? — W głosie Stefana odezwała się wyraźna wrogość.

I natychmiast pożałował swoich słów. Rumieniec spłynął z policzków Chrysty, usta zdrząły i z pociemniałych oczu sypnęły się wielkie łzy. Nie powiedziała ani słowa, gwałtownie odwróciła się i pobiegła ku domowi z taką lekkością, jak gdyby była młodą dziewczyną. Trzasnęła drzwiami tak mocno, że aż z najbliższego okna wyleciała szyba i, spadając na przyzbę, dźwięcznie rozbiła się na drobne kawałki.

Stefan odszedł od chałupy Chrysty z ciężkim sercem. Zamiast rozwidnić się, w jego sercu zebrała się jeszcze głębsza ciemność. Czuł, że stoi na samym brzegu przepaści i gotów jest rzucić się w nią z jakąś ponurą radością.

Bodaj że nigdy dotąd nie było mu tak ciężko. Nawet w chwilach najbardziej gorącej pracy myśl o Chrystie była tuż przy nim, odsuwając wszystkie inne myśli. Więc w końcu powziął decyzję. Którejś głuchej nocy i w najwyższym uniesieniu, rad, że czyni sam sobie na przekór, zastukał do jej drzwi.

I oto teraz ta ciężka rozmowa z matką...

— Matulu, już mam dwadzieścia siedem lat — przekonywał ją Stefan. — Za stary jestem, żeby szukać młodej dziewczyny.

— Stary — powiadasz, aleś rozumu nie nabrał. Akurat tobie się żenić!

— Ożenię się z Chrystą. To moje ostatnie słowo!

Hryhorenczycha popatrzyła na syna trwożnymi, cierpiącymi oczami i powiedziała surowo:

— A tu masz moje ostatnie słowo: ożenisz się z Chrystą dopiero po mojej śmierci.

XVII

Kuźma Hrycaj znany był w Kochanówce z tego, że cierpiał na tajemniczą, niezwykłą a straszną chorobę — był lunaty-

kiem. Tak go we wsi nazywano: Kuźma Lunatyk. Niejednokrotnie sąsiedzi widzieli, jak w jasne, księżycowe noce Kuźma bosy, w samych gatkach wyłaził na strzechę swojej chałupy i wolno błędził po szczycie, albo stał nieruchomo na skraju dachu, wyraźnie widniejąc jaśniejszą plamą na połyskliwym tle wygwieżdzonego nieba.

Kuźma wiele razy nie bez ukrytej dumy wyjaśniał chłopom:

— Nie wolno mnie w takich razach niepokoić — ani żadnym słowem, ani, Boże broń, kamieniem. Zbudzę się, to ze strachu zaraz dam dęba, albo zlecę łbem na dół i skręcę kark.

Czterdziestoletni Kuźma miał prawdziwie czartowskie oblicze. Aż do oczu był zarośnięty czarnymi, kędzierzawymi kudłami i można go było śmiało wziąć za jakiegoś zgrzybiałego, leśnego stwora.

Chałupa Kuźmy Lunatyka znajdowała się niedaleko zagrody Płatonu Jarczuka, na brzegu rzeczki Bużanki. Chłop był niebiedny i nieźle mu się żyło z żoną Charytyną, albo Kuźmichą, jak ją nazywano we wsi, i z synkiem Sieriogą. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie ta fatalna dolegliwość, na którą nie mieli lekarstwa ani doktorzy, ani baby zajmujące się znachorstwem.

Któregoś dnia Kuźma mocno podpił, co mu się dość często zdarzało, i poszedł do sklepu nie tyle po zakupy, ile żeby zrobić jakąś drakę. Była niedziela, na ganku domu siedziało kilku chłopów, ćmiąc skręty z machorki i leniwie pogadując. A wśród nich Andron Jarczuk. W czasie wojny imperialistycznej był on na froncie sanitariuszem i odtąd uzyskał w Kochanówce sławę znawcy medycyny.

Andron Jarczuk wyróżniał się wśród innych chłopów tym, że golił się w każdą sobotę, a w dni świąteczne ubierał się prawie po miejsku, chociaż dość ubogo. Był wysoki, postawny, nie lubił dużo mówić. W szorstkiej lecz nie chłopskiej twarzy widniał jakiś ukryty smutek, a w rozumnym, chwytnym spojrzeniu nieco przygłuszona świadomość osobistej wartości.

Kuźma zbliżył się do ganku, przywitał się, podając rękę każdemu z osobna, a tylko jednego Androna obszedł z lekceważeniem i zauważył jadowitym tonem:

— Doktorom to ja ręki nie podaję. Tyle z nich pożytku co z zeszłorocznego śniegu.

Wśród chłopów rozległy się niechętnie głosy. Andron zapytał drwiąco:

— I w czymże ja tobie, Kuźmo Iwanowiczu, nie dogodziłem?

— Sam wiesz. Jak długo mam łązić po dachach, niczym

nie przymierzając parszywy kocur? Dlaczego twoja medycyna nie pędzi potrzebnych lekarstw z różnych traw, czy tam gadów?

— A czyś ty kiedykolwiek przyszedł do mnie po lekarstwo? — zdziwił się Andron.

Kuźma ździebko otrzeźwiał i wytrzeszczył mętne oczy na rozmówcę.

— Masz takie lekarstwo?

— Lekarstwa nie ma, ale można wymyślić sposób na twoją dolegliwość. Przyślij do mnie swoją żonę.

— Żonę? A niby po co ci moja kobieta?

— Opowiem jej, jak to choróbsko z ciebie wypędzić...

Kuźma wyspał się po pijaństwie, ale już następnego dnia zapomniał o tej rozmowie. Za to Charytyna dowiedziała się o niej od ludzi i natychmiast pobiegła do Androna.

Ten dał jej niezmiernie prostą radę:

— Na noc rozściel przed progiem mokry worek albo płótno. Jak Kuźmę choroba chwyci, wyjdzie z chałupy, to nastąpi na mokre i zaraz się zbudzi.

Charytyna w ogóle nie wiedziała jak wywdzięczyć się Andronowi. Kuźma, nareszcie wyleczony z lunatyzmu, do tego stopnia uwierzył w mądrość Androna, że coraz to prosił go o rady, nie mające nic wspólnego z medycyną.

Kuźma nie spieszył się z zapisaniem do kołchozu. Zdarza się, zawoła go Stefan Hryhorenko do Wiejskiej Rady i powiada:

— Kuźmo Iwanowiczu, wygląda na to, żeście gospodarz we wsi znaczny... Poważają was wszyscy...

— Ano, niby tak — chętnie zgadzał się Kuźma.

— Pocziwy, robotny — ciągnął dalej Stefan. — Ale kury waszą świadomość rozdziobały.

— A ty co... o kołchozie gadkę chcesz trzymać?

— A niby jak? Kolektywizacja się kończy, a ty do niej zadkiem się obracasz. — Stefan zaczynał szczegółowo, ze znajomością rzeczy, wyjaśniać Kuźmie jakie to rozkosze oczekują go w kołchozie i jakie czekają nieszczęścia, jeśli zostanie na gospodarce indywidualnej.

Kuźma cierpliwie słuchał, wiercił się na stołku i odpowiadał zawsze tym samym, niezmiennym zdaniem:

— Sąsiedzie kochany, toż ja całym sercem za kołchozem, a ot tylko kobieta sobie nie życzy...

Stefan znowu próbował przekonywać Kuźmę, ale, widząc, że wszystkie jego wysiłki idą na marne, proponował mu, żeby usiadł w kącie na ławie i przemyślał wszystko jeszcze raz od samego początku.

Po dwóch-trzech godzinach przypominał sobie o istnieniu Kuźmy.

— No, jak, namyśliliście się?

— Dawno już namyśliłem się, ale kobieta nie chce.

— To pomyślcie jeszcze raz, Kuźmo Iwanowiczu.

— Sąsiedzie, toż robota na mnie czeka!

— A Charytyna to co? — Stefan udawał, że się dziwi. — Jak taka mądra, to niech całą robotę odwala!

Kuźma przesiedział w ten sposób w Wiejskiej Radzie niejeden długi wieczór.

Kiedyś w jego obecności wszedł do biura przedstawiciel rejonowego ośrodka — wysoki mężczyzna o szczupłej twarzy i czarnych sterczących włosach. Cisnął podniszczoną, wypchaną teczkę na stół, zza którego Stefan podniósł się z pośpiechem, i zaczął nerwowo spacerować po pokoju. Wreszcie zatrzymał się przed stołem i, patrząc szarymi zmęczonymi oczami prosto w twarz Stefana, powiedział:

— Cóż ty, Hryhorenko, sobie myślisz? Twoja Kochanówka okrywa hańbą cały rejon! Dlaczego sabotażystów, którzy unie-
możliwiają dokończenie kolektywizacji, nie posyłasz do więzie-
nia? Czy też pragniesz pozbyć się legitymacji partyjnej i sam
pójść za kraty?

Przerażony śmiertelnie Kuźma wyskoczył niepostrzeżenie za drzwi.

Kiedy po dwóch dniach Stefan ponownie wezwał go do Rady, Kuźma ledwie przestąpiwszy próg, wypalił z samozaparciem i pełną gotowością:

— Zapisuję się do kołchozu!

Ale kobieta Kuźmy, Charytyna, w dalszym ciągu nie chciała ani słuchać o kołchozie. Kuźma prowadzi swoją kobyłę do kołchoźniczej stajni, a Charytyna natychmiast chwytą za uzdę i zabiera konia z powrotem do chałupy. Kochanówka przez cały tydzień zabawiała się na koszt tej rywalizacji między Kuźmą i Charytyną.

Wreszcie Kuźma nie wytrzymał, poszedł po radę do Androna Jarczuka.

— Radź co mam robić, bo Charytynę zabiję i sam siebie zatłukę.

— Sprzedaj konia, kup innego i prosto z targu zaprowadź do stajni, żeby Charytyna go nie obejrzała — poradził mądry Andron.

Kuźma tak też i zrobił. Charytyna rozpacziała, nadaremnie poszukując swojej kobyły wśród kołchoźniczych koni. Kuźma milczał, cierpliwie znosząc przekleństwa i wymysły żony.

Charytyna przebaczyła Kuźmie dopiero w jesieni, gdy za

przepracowane dniówki przywiózł z kołchozu tyle zboża, ile nie zbierali nigdy ze swoich dwóch hektarów nawet w latach największego urodzaju.

Jednak następny rok przyniósł rozczarowanie: kołchoźnicy z zebranego zboża otrzymali jedynie niewielki „zadatek” na poczet zarobku i nie doczekali się zasadniczego rozliczenia. Kochanówce wyznaczono dodatkowe zadanie w dziedzinie państwowego skupu zboża, aby pokryć niedobór, jaki powstał w sąsiednich wsiach, gdzie zboża nie obrodziły.

Mogłoby wydać się dziwne, że wkrótce potem Kuźmę Hrycja ponownie nawiedziła jego dawna choroba. Sąsiedzi znowu dostrzegali białą postać stojącą na szczycie chałupy Hrycja. Coraz częściej ludzie spotykali Kuźmę wałęsającego się wśród opłotków w samej bieliźnie i w przerażeniu uciekali od niego.

Proces chorobowy wyraźnie zaostrzał się. Zdarzało się teraz, że nawet w nocy pozbawione księżycy Kuźma zjawiał się w najmniej spodziewanym miejscu. Kiedyś zaczął spacerować przy stogu kołchoźniczego siana i napędził takiego stracha stróżowi, że ten z wrzaskiem uciekł do chałupy. Rankiem wyszło na jaw, że ktoś zabrał ze sobą kilka wiązek siana.

Aż zdarzyło, że brygadier złapał Kuźmę przy kołchoźniczym śpichrze. Kuźma załadował cały worek pszennego ziarna, przeznaczonego na siew, wziął go na plecy i poszedł w kierunku swego obejścia. Brygadier krzyknął na Kuźmę, ale później sam był nierad, że to uczynił. Kuźma rzucił na drodze worek ze zbożem i podniósł taki potworny wrzask, że kochanowieckie psy nie mogły uspokoić się aż do rana. Kuźma przewrócił się na grzbiet, oczy mu stanęły w ślup, zaczął młócić bosymi nogami o ziemię, jak postrzelony koń. Potem dostał ciężkiej febry i przez trzy dni leżał w chałupie nieprzytomny.

Ludzie we wsi kpili i opowiadali sobie, że niby Charytyna, jak dojrzała, że w szopie brakuje siana, zaś w sąsiedkach ziarna, to umyślnie zapomina położyć przed progiem chałupy mokry worek.

W krótkim czasie w Kochanówce zjawił się jeszcze jeden lunatyk — olbrzymi wzrostem Juhym, syn wdowy Semenichy. Dwie noce pod rząd stał jak bocian w jednych gatkach na dachu swojego śpichrza, a trzeciej nocy już błędził z wiadrem w ręku po kołchoźniczej pasiece.

Kochanówce zagroziła epidemia lunatyizmu, więc Wiejska Rada musiała zabrać się do tych lunatyków. Tym bardziej, że wypadki kradzieży kołchoźniczego zboża, jarzyn, siana i koni czyny stawały się coraz częstsze.

XVIII

Stara Hryhorenczycha zlitowała się nad swoim synem. Nasłuchiwała się plotek o nim i o Chryście, zobaczyła, że Stefan całkowicie odstręczył się od domu i ponuro zamknął się w sobie, i powiedziała mu któregoś dnia:

— A żeń się, Antychryście, żeby cię kolka sparła!

Stefan właśnie siedział przy stole i siorbał zielony, zaprawiony mlekiem barszcz z młodej pokrzywy i szczawiu. Po usłyszeniu matczynych słów podniósł kędzierzawą głowę i w jego piwnych oczach, osłoniętych brwiami jak smoła, zapaliła się niepewna radość. Matka — cała wyschnięta, połamana — hałasowała przy piecu żelaznymi garnkami, jak gdyby to nie ona wypowiedziała słowa, które zrzuciły z serca Stefana dławiący głąz.

— Z Chrystą? — zapytał, żeby się upewnić, sam nie wierząc zasłyszonym słowom.

— A z kim? Bierz wyjeżdżoną kobyłę, jakieś żadnej młodej klaczce nie potrafił założyć chomąta! Idź, nicponiu, na katorgę, idź, dawaj żyć cudzym bachorom!

— Matko — śmiał się z cicha Stefan — jakaż to katorga, jeżeli dobrowolna?

— Tylko żebyś wesele po ludzku wyprawił: ślub weźmiesz w cerkwi.

Stefan chrząknął, zakrztusił się barszczem, zaniósł się kaszlem. Odłożył łyżkę, zastanawiając się, jakby tu matce wszystko wytłumaczyć, nie obrażając jej jednocześnie. Podniósł się, wyszedł zza stołu, sięgając kędzierzawym czubem do bielonego pułapu. Właśnie matka niosła porcję parującej pszennej kaszy. Stefan objął ją ostrożnie za chude, pochylone ramiona. Przez okienko, przyćmione jak bielmo, upadł na talerz promień słońca i kasha poczęła świecić jak bursztyn.

— Matko — powiedział Stefan przymilnie. — Nie mogę ja do cerkwi...

— A Pana Boga obrażać możesz? Już i tak więcej na tobie grzechów, niż pcheł na parszywym kociaku.

— Jakież tam grzechy? Grzech — to źle postępować, ludzi krzywdzić, niesprawiedliwie żyć. Dla mnie Bóg, matko — to moje sumienie. A jak co złe, sumienie nie wybaczy. — Stefan wziął z rąk matki miskę z kaszą i postawił ją na stole. Znowu zwrócił się ku niej, wpatrzył się w dobrze znaną, kochaną twarz, pokrytą ciemnymi zmarszczkami. Oczy matki patrzyły z

miłością i bezsilnym wyrzutem, suche, pokręcone od pracy dłonie targały bezradnie fartuch.

Ostre uczucie litości przeszło serce Stefana. Cóż miał jeszcze powiedzieć tej matce, która przez całe życie nie odrywa ramię od ciężkiej pracy, modli się, pości, nie skarżąc się, odbiera uderzenia złego losu? Ileż tych nieszczęść doświadczyła w swym życiu! Ile dzieci pochowała, nie doczekała się męża, który nie powrócił z wojny domowej... Zawsze troski, praca, łyzy... I ani odrobiny szczęścia. Jakiegoż jeszcze piekła obawia się na tamtym świecie?

Stefan uśmiechnął się z zakłopotaniem i powiedział, wracając do stołu:

— Matka, zgadzam się na ślub. Ale żeby się odbyło u nas w chałupie... I żebyście wy — zamiast popa. Także okna zasłonimy... Jaką modlitwę odmówicie, wysłucham, wszystko zrobię, co przykażecie...

— Panie Boże, racz przebaczyć temu ciemnemu durniowi!
— Hryhorencyha przeżegnała się w stronę ikony, przed którą pełgała mała lampka, westchnęła i zaczęła sprzątać ze stołu.

Parząc sobie usta, Stefan kończył jeść kaszę. Wiedział, że matka jeszcze coś powie, i czekał cierpliwie.

— Nie chcesz ślubu — powiedziała Hryhorencyha — to i wesele ci potrzebne, jak dziura w moście. Pobierzcie się po cichu i życie po ludzku.

— No, pewnie! — ucieszył się Stefan. — Jakie tam wesele! Wypijemy ćwiartkę gorzałki z wami, z wujem Płatonem, jeszcze z dwoma albo trzema krewniakami — i po weselisku...



W tydzień po tym, jak Stefan i Chrysta zarejestrowali swoje małżeństwo i zamieszkali w domu Chrysty, stara Hrehorencyha umarła. W ciągu dwóch dni nikt o tym nie wiedział, aż wreszcie sąsiadom uprzykrzył się nieustający kwik wygłodniałego wieprzka zamkniętego w chlewie.

Stefan pochował matkę, zabił deskami okna starej, wrosniętej w ziemię chałupki, zamknął drzwi na wielką kłódkę. Nie domyślał się nawet, że już wkrótce przyjdzie mu odrywać deski i otwierać kłódkę z klucza...

Wszystko to stało się zaraz po schwyтaniu przez brygadiera Kuźmy Lunatyka przy kołchoźniczym składzie, z workiem skradzionego zboża. Stefan wezwał Kuźmę na rozmowę.

Wystraszony Kuźma siedział na stołku, miał czapkę w dło-

niach i spoglądał na Stefana, spacerującego po pokoju, jak leśny diabeł z gęstwiny porastających jego głębę ciemnych kudłów.

— Przecież to jest zwykłe złodziejstwo — oburzał się Stefan. — Oddamy sprawę do sądu.

— Bój-że się Boga, kochany sąsiedzie! — błagalnie zawołał Kuźma. — Nic nie wiem, niczego nie pamiętam. Takie już to moje przekłete choróbsko — robi ze mną, co zechce. Zobaczysz zboże — ściąga, zobaczy siano — każe brać siano. A własnym rozumem ja nad tą chorobą nie panuję!

— A jak ci choroba każe człowieka zacukać?

— To zacukam! Jak Boga miłego kocham, zacukam! I nie ma ze mnie żadnej odpowiedzialności. Niech doktorzy odpowiadają.

— To tym bardziej trzeba was za kratki posadzić jako niebezpieczny element.

— Za kratki? Mnie? — Kuźmę nagle poderwało. — Nawet kułaków-krwiopijców wypuszczają na wolność! Czy to może ty sam dla krewniaczki się wystarać? I mnie na jej miejsce chcesz wsadzić?

Zdumiony Stefan skamieniał na środku pokoju.

— Jakoś was nie mogę wyrozumieć, Kuźmo Iwanowiczu... DUBY SMALONE opowiadanie.

— O teściowej, Olanie, gadam. Cóż to, nie wiesz jeszcze, że razem z Chrystą nabożeństwo żałobne po Ołeksie odprawiają. Dną się obydwie, jakby z nich diabły skórę obdzierały.

Po chwili Stefan pędził do domu. Ani wiedział co o tym myśleć. Czy Olana uciekła? Czy może ją zwolnili? Jakże mu, komuniście przewodniczącemu Rady, mieszkać teraz pod jednym dachem z kułaczką? Przecież nawet tego mu nie wybaczone, że ożenił się z kułacką córką. Wkrótce wezwą go do biura rejonowego komitetu i na pewno przepędzą ze stanowiska przewodniczącego.

Zbliżył się do obejścia, objął spojrzeniem biały dom w zieleni wiśniowego sadu, wrota zbite z desek, na których widniały, jak łyzy, grube krople żółtej smoły, i nagle ogarnęło go gniewne uczucie obcości. I nawet o Chrystie pomyślał jak o obcym człowieku, choć jeszcze tegoż samego ranka, przed odejściem do Rady, do szaleństwa, jak młodzik, całował jej gorące, bezwstydnie zachłanne usta i obejmował tak, że aż trzaskało jej w ramionach.

Chrysta dojrzała Stefana przez otwarte okno i wybiegła na podwórko. Jej warkocz o kolorze dojrzałej pszenicy rozwichrzył się, wielkie oczy świeciły się wilgotnym, radosnym blaskiem, cała wyglądała tak, jakby zagubiła się w nagłym szczęściu. Stefan

rozzłościł się jeszcze bardziej. Ale Chrysta, uniesiona radością, nie była w stanie zauważyć nastroju męża.

— Stefek — zapytała przerywanym głosem — już wiesz?

— Wiem...

— Stefan, matka nie może przecież mieszkać z nami. Matka zgadza się!

— Na co się zgadza? — Stefan poczuł, że cała jego złość minęła bez śladu. Patrzył na żonę z mimowolnym zachwytem.

— Zgadza się, żeby mieszkać oddzielnie!

Wyszła z chaty Olana, postarzała o przeszło dwa lata, ze srebrnymi nitkami siwizny w smolistych włosach. Spojrzała na Stefana ze smutną życzliwością i z ukrytą trwogą.

Stefan odruchowo spojrzał na ulicę — czy ktoś nie obserwuje jego spotkania z teściową. Olana zrozumiała sens tego spojrzenia i znikła w sieni. Stefan poszedł za nią.

Olana czekała na środku izby.

— No, cóż, miły zięciu, czyś mi rad czy nie, jestem z powrotem... Pozwól, niech cię pobłogosławię na długie i szczęśliwe życie z moją córką. — Zbliżyła się o krok, przeżegnała Stefana, zimnymi, wychudłymi dłońmi ujęła jego głowę, przyciągnęła do siebie i pocałowała w czoło.

— No, po cóż to...? — opierając się z lekka, powiedział Stefan, nieco zmieszany.

— Aż po dziś dzień nie wiedziała ja — mówiła Olana, pokazując na gromadkę dzieciaków, przycichłych w kącie izby — że sierotami zostały, a tyś, daj ci, Panie Boże, zdrowia, takie zacne serce wykazał. Aż do samej śmierci będę modlić się za ciebie i pokutować za grzech mój ciężki, zem się wtedy twemu ożenkowi z Chrystą przeciwiała... Och, ciemnota nasza nierozumna, grzechy nasze, nieszczęścia nasze...

— Lepiej byście opowiedzieli, jak was uwolnili — Stefan przerwał Olanie gburowatym głosem, zrobił kilka niezręcznych kroków po izbie. — Papiery pokażcie. Bądź co bądź przecież jestem władza...

— Tu są papiery! — Chrysta, która dotąd stała w drzwiach, skoczyła do stołu.

Stefan usiadł pod oknem, nie spiesząc się, oglądał dokumenty. Wszystko było w porządku. Biorąc pod uwagę wiek i stan zdrowia, Olanie pozwolono zamieszkać w rodzinnej wsi, ale z pozbawieniem praw wyborczych i bez zwrotu skonfiskowanego majątku.

„Rzadki wypadek” — pomyślał Stefan. — „Pozafowali babę”. Podniósł pytający wzrok na Olanę:

— Gdzie mieszkać zamierzacie?

Olana milczała, zrażona gburowatym zachowaniem się zięcia. Chrysta pospieszyła z pomocą.

— Stefek, przecież twoja chałupa pustką stoi...

— Zgoda. — Stefan machnął ręką i po raz pierwszy na jego twarzy ukazał się dobry, łagodny uśmiech, w którym było coś jakby poczucie winy.

XIX

Każda wieś o każdej porze roku posiada swoje własne, odrębne oblicze. Zmienia się ono zależnie od tego, czy wyczuwa się świadomość sytości, czy rozwijają się zwykłe przygotowania do siewnych prac i przyszłych żniw, czy też niepokoi chłopskie serca niedobór żywności i paszy i kładzie się na nich ciężki cień przeczuwanego nieszczęścia. A wtedy w każdej wsi pojawiają się szczególne oznaki — jawne, lub tylko odgadywane — i żadna z nich nie ujdzie bystremu spojrzeniu.

Wczesna jesień 1932-go roku była w Kochanówce całkiem nie podobna do innych uprzednich jesieni. Ciężkie głowy dyń nie zwieszały się z chróścianych płotów na ulicę, na ścieżkach nie znalazłeś opadniętych jabłek i gruszek, na działkach przy chałupach nie można było dostrzec kłosów zboża, porzuconych dla domowego ptactwa, z kominów nie biły dymy o ciepłym zapachu pędzonego samogonu. I zabrakło jeszcze wielu innych oznak, zazwyczaj świadczących o nienaruszonym trybie chłopskiego życia, o spokojnym oczekiwaniu zimy, drzemiącej w dobrobycie.

Kiepski urodzaj zebrał kochanowiecki kołchoz w tegoroczne żniwa. Już skończyły się omłoty zboża, a plan dostaw był daleki od wykonania. Ludzie powracali z pracy z ponurymi minami. Ten i ów rozglądał się dokoła z lękiem, bo pod połą, albo na dnie próżnych dwojaków niósł ukradzione na klepisku ziarno. Nic tak chłopą nie przeraża, jak świadomość bezradności w obliczu zbliżającej się głodnej zimy...

Wczoraj za lewadami skoszono kołchoźniczą hreczkę, a już dzisiejszym rankiem na wilgotnych pokosach widać było z daleka duże łysiny.



Przez cały dzień Płaton Gordiejewicz ciosał belki na podwórku domu, dawniej należącego do Olany, a dziś stanowiącego

własność kołchozu. Chodziło o przygotowanie materiału na budowę nowej obory. Płatona po tej całodzienniej pracy łamało w krzyżu. Skończył i szedł powolutku do domu, gdy z otwartego okna Wiejskiej Rady zawołał go Stefan.

W gabinecie Stefana siedział przy stole młodziutki milicjant o zaróżowionych policzkach. Niebieska drelichowa bluza ściągnięta była nowym szerokim pasem, na piersi krzyżowały się dwa rzemienie, podtrzymujące z prawej strony błyszczący żółtą skórą futerał z wielkim naganem, zaś z lewej — dobrze naładowaną, służbową torbę. Widać było, że milicjant jest niesłychanie zadowolony ze swego groźnego wyglądu i z wrażenia, jakie wywiera na ludzi.

Płaton Gordiejewicz pozdrowił milicjanta z powściągliwym szacunkiem i nieco zaskoczony zapytał Stefana:

— Pociście wołali, Stefanie Prokopowiczu?

— Potrzebujemy waszej pomocy.

— I cóż to za pomoc?

— Do naszych lunatyków czas by się zabrać. Ale są także inne chytrusy. Kradną, co im wlezie pod rękę.

— Prawda to. Niedobrze się dzieje. — Płaton Gordiejewicz westchnął i spojrzał na milicjanta, nie decydując się, czy ma powiedzieć to wszystko, co w nim wezbrało. Zdecydował się. — Są ludzie tacy — są inni. Czyste sumienie — jeśli do gęby nie ma co włożyć — na tym świecie ich nie utrzyma.

— Jakże to rozumieć? — milicjant włączył się do rozmowy. Głos miał młodzieńczy, załamujący się, z intencją, by mówić basem.

— Jak rozumieć? — Młodzieńczy wiek milicjanta drażnił, nie wiadomo czemu Płatona Gordiejewicza. — Wy, towarzyszu, na ten przykład otrzymujecie na kartki chleb i inne produkty. Pensję też otrzymujecie co miesiąc, także państwowe umundowanie... A jak by wam to wszystko wzięli i odebrali... Jak też się zachowacie?

— Kraść nie będę. — Milicjant podniósł się z chrzęstem nowych rzemieni, przespacerował się po pokoju. — I nie może tego być, coście mówili.

— A właśnie! — Ucieszył się nie wiadomo czemu Płaton. — U was nie, a u nas może być. Zebrali chłopci do kupy ziemięmatkę, zginają na niej grzbiety od wiosny do jesieni, przyszły nowe zbiory i co dostali z nich? Fige!

— Jak kołchoz wykona plan dostaw, to otrzymacie — z całą pewnością siebie oświadczył milicjant, zatrzymując się przed Płatonem Gordiejewiczem.

— Otrzymamy? — zapytał Płaton. — Jeżeli planu nie

zmniejszą, zostaniemy bez ziarna na zasiewy. Nie głupi — także rachować potrafimy.

— Wuju Płatonie — wtrącił się do rozmowy Stefan. — A czy to dobrze, że kołchoz rozkradają?

— Nie mówię, że dobrze. Zapewnij ludzi, że każdy otrzyma zboże i ile za dniówkę, to może i kraść przestaną.

— Tacyście pewni? — Stefan popatrzył na Płatona Gordiejewicza z dobrodusznym uśmiechem. — A pamiętacie, jak przed siedmiu laty ktoś zabrał wam z pola całą kopę pszenicy?

— Toż nie powiadam, że nie ma u nas złodziejaków...

— O tym właśnie cała gadka. Teraz po nocach tu i ówdzie warty stawiamy... — Stefan pochwycił ostrzegające spojrzenie milicjanta i zaraz mu wyjaśnił: — Towarzysz Jarczuk — człowiek pewny. Tak więc warty, znaczy się stawiamy, zasadzki ni-by... Chciałem i was, wuju Płatonie, poprosić o pomoc.

— A cóż ja, Stefanie Prokopowiczu! Komsomolców posy-laj, to dla nich zabawa.

— Komsomolcy już są zmobilizowani. A wybyście mogli przejść się w nocy po lewadach. Jak zobaczycie którego, że coś niesie, przyuważcie i dajcie znać do Rady...

— Zwolnijcie mnie od tego, Stefanie Prokopowiczu, to nie dla mnie zajęcie...

Milicjant odprowadził Płatona Gordiejewicza niezadowolonym, pełnym wyrzutu spojrzeniem. Nawet gdy Jarczuk wrócił do domu, jeszcze czuł na sobie to ciężkie spojrzenie. Może właśnie dlatego nie imał się go sen. Przewracał się na skrzypiącej pryczy, myślał, że niepotrzebnie zaniedbał zasiać części ogrodu jęczmieniem albo żytem — byłby dla rodziny chleb i kasza przynajmniej do połowy zimy; obliczał, ile też będzie ziemniaków, które źle obrodziły, a przy tym połowę ich wykopali jeszcze w lecie.

Pawełek, śpiący na piecu, zawołał na krowę. Nawet we śnie nie zapominał o swoich obowiązkach pastucha.

— E-e-eee... dokąd polazłaś? — westchnął, cmoknął parę razy wargami i znowu wrzasnął: — A żebyś zdechła, zaraz!

Płaton Gordiejewicz roześmiał się bezdźwięcznie i nagle postanowił: „Trzeba jednak obejść lewady...”.

Po chwili szedł ledwie dostrzegalną ścieżką, prowadzącą przez ogrody za wieś. Dał sprężysty wietrzyk i pod jego podmuchem krzaki na miedzy huštały się i szeptały między sobą po złodziejsku. Gdzieś bardzo wysoko, przez nieskończoność gwiezdnych dziedzin szybował księżyc, coraz to przesłaniany przez poszarpane obłoki. Od czasu do czasu księżyc — wciąż jeszcze napęczniały promiennym ciepłem, jak w lecie — spoglądał na zie-

mię, rozpraszając tajemnicze mroki ogrodów i przydając niedalekim lewadam jakiś wdzięk zasmuconej urody.

Płaton Gordiejewicz postanowił pójść na dawną lewadę Stefana, za którą leżała w pokosach świeżo skoszona hreczka. Minał ogrody i skręcił ku bielejącej wśród sadu chałupie, w której obecnie mieszkała Olana. Należało obejść zagrodę i wyjść na wąską drogę, przecinającą lewady i wiodącą ku polom.

Chałupka Stefana, w której znalazła schronienie Olana, sennie spoglądała na przechodzącego Płatona czarnymi oknami. Ale cóż to? Płaton Gordiejewicz zauważył, że z jednego okienka przebiła się cieniutka smuga światła.

— „Nie inaczej, jeno samogon pędzi, stara lisica” — uśmiechnął się Jarczuk i, stanąwszy pod ciemnym krzakiem kaliny, pociągnął nosem.

Ale nie — słodowego zapachu nie poczuł.

W tej chwili księżyc wyjrzał zza chmur i kiedy Płaton przeskoczył przez rów na drogę, dojrzał jeźdźca, zatrzymującego konia u niedomkniętych wrót. Jeździec zszedł z konia i cicho przemówił do kobiety, która wynurzyła się z głębi obejścia.

Płatona Gordiejewicza ogarnął dziwny niepokój. Zrobił krok naprzód i przykucnął w rowie.

— Wszyscy się zebrali? — mężczyzna mówił ochrypniętym głosem.

— A ilu czekasz? — odpowiedział niezadowolony głos Olany.

— Dwóch.

— To wszyscy.

— Z koniem co mam zrobić?

— Pod daszek... Czego chcecie ode mnie? — głos Olany jak gdyby prosił o litość. — Z jednego nieszczęścia wylazłam, drugie na kark walicie...

— Nasi ludzie ciebie wyciągnęli z nieszczęścia. Znaczy, że jesteś potrzebna...

Rozmowa trwała nadal, ale Płaton Gordiejewicz już nie był w stanie odróżnić poszczególnych słów. Pochwycił ostatnie, gdy mężczyzna już wchodził do chałupy.

— Żebyś tu pilnowała... — Zazgrzytała rdzawa zasuwa w drzwiach od sieni.

„Nie pierwszy raz, wie co i jak...” — pomyślał Płaton Gordiejewicz, nie będąc jeszcze w stanie pojąć znaczenia podpatrzonej sceny. Rozumiał tylko, że należy natychmiast zawiadomić Stefana.

Olana bała się. Dotychczas była pewna, że o powrocie do Kochanówki zadecydowały złote czerwonce, których garść, ukrytą

w bochenku razowca, zabrała ze sobą. A teraz ten wałęsający się Petlurowiec powiada, że to jego ludzie pomogli. Nie, to nieprawda! A jeżeli jednak prawda? Czemu jej potrzebują? Lękała się, a jednocześnie powstała w niej nadzieja, że wkrótce będzie mogła wrócić do własnego domu i zająć od sąsiadów rachunku z rozkradzionego dobytku. Przypomni im wtedy wszystko, nawet te lodowate spojrzenia, który mroziły jej serce, gdy wyjeżdżała ze wsi. Ale czego ci przybysze chcą od niej? Żeby im pozwalała urządzać w chałupie swoje zebrania? Żeby opowiadała o nastrojach wśród chłopów? Żeby rozprowadzała przez zaufanych różne bujdy — a jedna bardziej przerażająca od drugiej... Przecież wszystko to robi. I chyba niczym to nie grozi jej obecnemu, pozbawionemu wszelkiej radości życiu. Niełatwo znaleźć właściciela zgubionego na drodze groszaka, jeszcze trudniej wywachać, kto puszcza na wiatr różne wieści, albo poucza młode dziewczuchy jak z kołchoźniczego gumna wnosić zboże do domu. Na kradzionym długo nie wyżyją, ale za to za przepracowane dniówki otrzymają figę...

Dobrze by było dowiedzieć się, co też mają w zanadru ci ludzie, kryjący się przed światłem dziennym. Wiedząc, o co chodzi, może pozbyłaby się trwogi. A jeżeli stanie się na odwrót? Jeżeli dowie się, że stoi na samym skraju przepaści? Tym mocniej kusiło ją, żeby zbliżyć się do zaciemnionego okna, w którym przezornie zostawiła otwarty lufcik.

Bojaźliwie rozejrzała się dokoła. Czarny mrok szczelnie wypełniał całe obejście, księżyc ponownie zabłąkał się w chmurach.

Olana wiedziała, że we wsi podpatrują ze wszystkich stron, że zły traf może tu sprowadzić jakiegoś zapóźnionego pijaka, ten zobaczy ją przyklejoną do ściany pod własnym oknem i poweźmie podejrzenie. A jednak zdecydowała się. Prześliznęła się jak cień pod okapem, przeszła wzdłuż ściany i przywarła przy czarnym oknie.

Jej stary znajomy mówił głucho dudniącym głosem:

— Różne mieliśmy nadzieje: a to że trockistom uda się sabotażowa robota, a to, że nasi ludzie, którzy przedostali się do sowieckiego aparatu... Ale póki co nie ma żadnych widoków. Prawda, głód coraz większy. Gdyby doszło do rozruchów, to już dobrze. Ale nie ma żadnej gwarancji. Chłopi po prostu uciekają do miast, gdzie na gwałt potrzebna jest robocza siła...

Olana oprzytomniała, odsunęła się od okna, zajrzała za róg chaty i, nieco uspokojona, znowu podeszła pod lufcik. Obawiała się, że tamci w izbie usłyszą głośnie bicie jej serca, czują jak dyszy w koldrę, przesłaniającą okno. Słyszać było ciągle ten sam, dobrze jej znany głos.

— ...Nie ma już sposobu. Nie można żywić się polską jałmużną, obietnicami Skoropadskiego i ochłapami, które z berlińskiego stołu rzuca bat'ko Konowalec. Obrzydło! Przecież wszyscy mamy rodziny! No, więc postanowiliśmy, że trzeba ratować się, jak który potrafi.

Połtawiec-Ostranica wywiedział się od Polaków, że w tych podziemnych przejściach są schowki ze złotem. To właśnie tu, między Tywrowem i Obodnem, rzucała się na wszystkie strony armia generała Kołyski, otoczona przez wojska rosyjskie, które tłumiły polskie powstanie. Kołysko obawiał się, że wojskowa kasa i złoto zdobyte w carskich bankach, dostaną się w ręce naszego generała Szeremietjewa, i rozkazał schować wszystko w podziemiach. Tak mi się widzi, że bracia Sobańscy, hrabia Rzewuski i inni miejscowi ziemianie, którzy brali udział w powstaniu, także skorzystali z tych podziemi. Krótko mówiąc, warto zaryzykować. Za pierwszym razem przeszkodził nam głupi wypadek. Trzeba spróbować ponownie. W Radzie Wiejskiej tak właśnie macie mówić: muzeum, powiecie, zainteresowało się, jakiego pochodzenia są te podziemne przejścia, i liczy na to, że można będzie znaleźć broń i sztandary armii Kołyski, która razem z armią generała Dwernickiego usiłowała uwolnić Polskę spod ucisku rosyjskiego caratu. Najważniejsze — stwierdzić, gdzie są tajne wejścia do lochów. Jeżeli okaże się, że na terenie czyjejś działki, to można będzie wejść w porozumienie z tym gospodarzem. A z pomocą złota zatkamy gębę każdemu.

Przyrzekam, że znaleziony skarb podzielimy między sobą sprawiedliwie, na równe części. Potem każdy zbierze manatki i da drapaką dokąd zechce, chociażby zagranicę. A Skoropadskij i Konowalec niech szukają głupców gdzie indziej. Ani mi się śni ponownie nadstawiać łeb pod kule straży granicznej....

Serce Olany nagle załomotało i jak gdyby oberwało się. Poczuli, że za plecami ktoś stoi, obróciła się i krzyknęła. Przed nią stał jej zięć, Stefan, wysoki, aż olbrzymi, przerażający w nocnym mroku, z palcem ostrzegawczo przyłożonym do ust. W izbie usłyszeli okrzyk Olany, zamilkli, światło zgasło, ktoś zerwał kołdrę z okna.

Stefan zobaczył w lufciku czyjąś bladą twarz i, już nie kryjąc się, powiedział spokojnie, z cichym chichotem:

— Obywatele, chałupa jest otoczona ze wszystkich stron. Otwórzcie drzwi i przygotujcie dokumenty.

W tejże chwili w lufciku huknęła wystrzał — ostry, ogłuszający i natychmiast wszystkie kochanowieckie psy odpowiedziały na niego wściekłym szczekaniem.

Kula trafiła Olanę w potylicę, błyskawicznie przecinając wszystkie jej trudne rozrachunki z tym życiem.

Stefan rzucił się za narożnik. Milicjant, który stał stał pod jesionem, trzykrotnie wygarnął w okno z nagana.

Dwaj, którzy pozostali przy życiu, poddali się.

XX

Nic tak nie trwoży serca rolnika, jak wiosna. Wyczekują na nią z drzeniem, wiedząc, że marzec, kwiecień i maj nie zawsze zachowują się przyjaźnie w stosunku do siebie. Jeden drugiego albo ogrzewa nadmiernym ciepłem, albo podstępnie wyziębia chłodem...

W Kochanówce, z pokolenia na pokolenie przechodzi przypowieść o wiosnie. Że niby w starodawnych czasach zdarzyło się co następuje: marzec zaprosił kwietnia do siebie w gościnę. Kwiecień ucieszył się i pojechał. Ale marzec był nieszczerym gospodarzem. Jak tylko usłyszał, że daleko za górami turkocze wóz kwietnia, zaraz zakręcił śniegiem, wzniecił trzaskające mrozy. Rad nie rad, musiał kwiecień wracać do domu.

Następnego roku kwiecień postanowił pojechać do marca na saniach. Ledwie doleciało skrzywienie płóz, marzec roztopił śniegi, kazał wylać rzekom. Znowu kwiecień wrócił do domu jak niepyszny.

Aż wreszcie spotkał się kwiecień z majem. Żali się przed sąsiadem, że w żaden sposób nie może trafić do marca w gościnę. Więc maj mu powiada: „Nie bądź durniem, weź ze sobą w drogę wóz, sanie i łódkę”.

Doczekał się kwiecień następnego roku, załadował wóz na sanie, na wozie umieścił łódź i pojechał.

Marzec usłyszał, że gość znowu jedzie do niego na saniach — roztopił śniegi. Kwiecień ściągnął wóz, załadował na niego sanie, na nich łódź i pojechał dalej. A tu marzec jeszcze cieplejszym wiatrem dmucha: lody pękły na rzekach, mosty wszystkie zniesione, parowy pozalwane wodą. Ale kwiecień nic sobie z tego nie robi: na łódce zwałił się do marca w gościnę.

Marzec zadziwił się. „A któż to ciebie nauczył, jak masz do mnie dojechać?”. „Mój sąsiad — maj” — odpowiedział kwiecień. Marzec zachmurzył się i odtąd skończyła się jego przyjaźń

z kwietniem i majem. Oto dlatego tak często marcowe chłody nawiedzają kwiecień i maj.

W owym roku ziemia na Winniczyźnie już w marcu strząsnęła z siebie śniegi, obmyła się w swawolnych, rozśpiewanych strumieniach, opiała się ich nurtem i, podchmielona, ucięła sobie drzemkę na słońcu. Na zacichłą, uspokojoną ziemię wkroczyła wiosna, wyprzedzając kwiecień, który zazwyczaj wysuwał się przed nią.

Słońce przygrzewało z przyjrzystego nieba całą mocą. Nad Kochanówką, nad opływającą ją rzeczką Bużanką, nad szerokimi przestrzeniami kołchoźniczych pól płynęło ciepłe powietrze, przeniknięte gorzkawą wonią nabrzmiałych wiśniowych pączków. W lewadach usłyszano po raz pierwszy miłosny zew kukułki. Na łąkach rozłocili się krzykliwie wczesne jaskry. Wydawało się, że jeśli jeszcze dzień albo dwa słońce będzie nadal przygrzewać, wiosna zapanuje i porozwiesza wszędzie swe triumfalne zielone stroje.

Nieoczekiwanie, właśnie wtedy, gdy kwiecień szeroko otworzył drzwi na przyjęcie maja, wiosna znikła. Jak gdyby zostawiła w dalekich krajach swój dziewiczy posąg i popędziła po niego na łeb na szyję. Natychmiast z rozbójniczym świstem nadleciał zimny, marcowy wiatr, z okrutną zawziętością wypędzając ze wszystkich zakątków wstydlive ciepło kwietniowego słońca. Dniem i nocą szalał w pijackiej swawoli, jak gdyby cieszył się nieobecnością wiosny, gospodyni tej ziemi.

Stada wron miotały się nad polami z panicznym wrzaskiem, wyłamując skrzydła na rwącym powietrzu. W kochanowieckich ogrodach i lewadach obnażone gałęzie drzew skręcały się na wietrze, wyciągając się błagalnie ku słońcu. Niedaleki las jęczał spazmatycznie. Wyziębiona wiatrem ziemia zastygła nie zdążywszy przesłonić swojej nagości.

Nie ma równie żałosnego widowiska, jak pustka obnażonych pól. Jare zboża jeszcze nie wzeszły, zaś wilgotna zieleń ozimín, jakże przerzedzonych i wątłych, nie mogła pokonać czerni zeszlorocznej podorywki.

Kochanowiccy starcy wzdychali i jęczeli. W ich zmęczonych, wyblakłych oczach, które przywykły już do wszystkiego, czaiła się troska i trwoga. Rolnicy cierpieli tak samo jak ziemia, pokorna i bezsilna, z dnia na dzień coraz bardziej wysuszona, popękana, brunatna z braku wilgoci. Groźnie zapowiadał się neurodzaj,

tym straszniejszy, że już w roku ubiegłym głód nawiedził Ko-chanówkę.

Głód... Czarne, przeraźliwe słowo, mrozące każde serce. Kto nigdy nie doświadczył głodu, nie jest w stanie sobie wyobrazić, ile pociąga za sobą ludzkich cierpień. Nic straszniejszego dla mężczyzny — głowy rodziny, jak świadomość własnej bezsilności na widok żony, błagającej go przerażonym spojrzeniem o pokarm dla dzieci. Nic straszniejszego dla matki, jak wygląd wycieńczonych, otępiałych, głodnych dzieci, nie znających nawet śmiechu.

Gdybyż tylko jeden tydzień, miesiąc... Ale oto już od wielu miesięcy w większości kochanowieckich rodzin nie ma niczego do postawienia na stole. Sąsiedzi dokładnie wymiecione, puste piwnice, ani jednej kury na podwórzach. Zjedzono nawet nasiona cukrowych buraków.

Nikt jeszcze w życiu nigdy niczego tak nie pożądał, jak oni nadejścia wiosny. Czekali, aż mróz popuści i ziemia odtaje, a wtedy można będzie przekopać ogrody, oddane zeszłego roku pod kartofliska. A nuż znajdzie się gdzieś w ziemi choćby jeden ziemniak. Przemarznięty w ciągu zimy, zachowuje w sobie jakąś odrobinę krochmalu. Czekali, kiedy ożyje kora na lipach, napęcznią pierwsze pączki. A potem zjawi się młoda pokrzywa, lebioda, szczaw, różne zioła. Żywili nadzieję, że przyroda choć w drobnym stopniu przyjdzie człowiekowi z pomocą.

Ale wiosna nagle cofnęła się...

Pierwsi z głodu umierali mężczyźni. Potem dzieci. Po nich kobiety. Niektórzy przed zgonem tracili zmysły, przestawali być ludźmi.

Całkiem niedawno Płaton Gordiejewicz zobaczył rzecz, od której aż włosy stanęły mu dęba pod czapką.

We wsi rozeszła się wiadomość, jakoby w Winnicy założono sklep o dziwacznej nazwie „Torgsin”. Można tam było wymienić srebro i złoto na chleb, mąkę, kaszę i cukier. Płaton od razu przypomniał sobie o swoich trzech krzyżach Świętego Jerzego, zdobytych przez niego w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. Kiedy indziej za nic nie rozstałby się z tymi odznaczeniami bojowymi, które wręczył mu w Port-Arturze sławny generał Kondratienko. Ale teraz trzeba było ratować od głodowej śmierci Pawełka i Nastkę.

Hanna, już od sześciu lat gospodarująca w chałupie Jarczuka, wydobyła z obrazu Świętego Jerzego Zwycięzcy pudełeczko z krzyżami i troskliwie złożyła je na stole.

— Wymień na kaszę. Pan Bóg przebaczy — powiedziała wargami, w których nie było ani kropli krwi.

Płaton Gordiejewicz zdał sobie sprawę, że papiery, świadczące iż krzyże są jego własnością, zagubiły się gdzieś już od dawna. „A nuż zażądają?”. Postanowił więc iść do Wiejskiej Rady, do Stefana, aby ten wypisał odpowiedni papierek i przybił na nim pieczętkę.

Ale w biurze zastał jedynie sekretarza — młodego chłopaka, w wieku siedemnastu lat, spuchniętego z głodu.

— Stefana Prokopowicza jeszcze tu nie było — obojętnym głosem powiedział sekretarz, na chwilę podnosząc znad papierzysk żółtą twarz, obrzękłą jak u baby.

Stefan pozostał nadal przewodniczącym Rady, choć już po ożenku z Chrystą miał podać się do dymisji. Widocznie, w rejonowym ośrodku wzięto pod uwagę, że to pod jego kierownictwem ubiegłej jesieni schwytano w Kochanówce dwóch ważnych ptaszków o żółto-błękitnym upierzeniu — w kolorach sztandaru ukraińskich nacjonalistów-„niepodległościowców”.

„Ciekawe też jak ich zanosło do Kochanówki i w jaki sposób zwąchała się z nimi nieboszczka Olana?” — medytował Płaton Gordiejewicz, kierując się do Stefanowej zagrody.

Serce mu się ścisnęło, kiedy wszedł w podwórko i zobaczył dwie córeczki Chrysty — Tosię i Olę. Siedziały na przyzbie, okutane w dziurawe wełniane chustki i patrzyły na Płatona dziwnie starczymi oczami, w których zamieszkała rezygnacja umierających istot. Twarzyczki miały wychudłe, żółte jak wosk.

Starsza, Tosia — to wierna kopia Chrysty. Zmarszczki na wychudłej twarzy uderzająco zwiększały jej podobieństwo do matki. Wydawało się, że przed Płatonem Gordiejewiczem siedziała sama Chrysta, tyle że oglądana przez pomniejszające szkiełko. Zaś Ola odziedziczyła twarz po nieboszczyku Ołeksie.

„Stefanowej chałupy też głód nie ominął” — pomyślał ze smutkiem Płaton Gordiejewicz i zapytał:

— Jest kto w domu?

Tosia zwróciła olbrzymie oczyska ku bramie i po chwili odpowiedziała:

— Matula poszli po wodę...

— A tatko?

— Tatko Stefan śpią. Matula przykazywała co by do chałupy nie wchodzić.

Ale Płaton wszedł do izby. Z miejsca uderzyło go stęchłe powietrze, przesycone jakimś prząsnym, pobudzającym do nudności zapachem. Na czysto wyskrobanym, niczym nie przykrytym stole leżała siekiera i przerobiony ze starej kosy krzywy nóż, jakim zazwyczaj ćwiartują wieprzowe tusze.

Stefana nie było ani na łóżku, ani na pryczy. Płaton zajrzał

do kuchni. Stefan mógł spać na piecu, albo na jego przybudówce. Zobaczył go wciśniętego w kąt przy samej ścianie. Był przykryty płótnem razem z głową.

— Z dobrym dniem, Stefanie Prokopowiczu! — odezwał się niskim basem Płaton, przemagając zakłopotanie, że wypadło mu budzić przedstawiciela władzy.

Stefan nie odpowiadał.

— Stefanie, czas już wstawać! Płaton Gordiejewicz poszedł bliżej i zaczął ciągnąć go za piętę.

Doszedł go ledwie dosłyszalny jęk. Dopiero teraz Płaton zobaczył, że ściana jest obryzgana krwią a na płótnie także widnieją krwawe plamy.

Smagnięty przerażeniem, ściągnął płótno w popłochu. Stefan leżał plecami do góry, z zakrwawioną głową. Obok — zakrwawiony młotek.

— Wo-ody... — wyjęczał Stefan.

Wody w izbie nie było. Płaton Gordiejewicz wyskoczył na podwórze.

Od furtki szła w kierunku domu Chrysta z pełnym wiadrzem. Była w ostatnim miesiącu ciąży. Patrzyła pod nogi i śpiewała jakimś nieprawdopodobnie cieniutkim, jęklwym głosem:

*Pada deszcz, szumi deszcz,
nocka zdjęta niepogodą...
A i któż mnie młodziuteńką
odprowadzi dzisiaj do dom...*

Ujrawszy Płatona Gordiejewicza, rzuciła wiadro, wychlustrując wodę. Rzuciła się ku przyzbie, na której siedziały dzieci, rozczapierzyła ramiona, jak kwoka skrzydła, osłoniła córki całą sobą.

— Nie dam! — wrzasnęła ohydny, histerycznym głosem.

— Wszystko zabierajcie, ale dziewczynek nie dam!

— Bóg miłosierny z tobą, Chrystyna! — wybełkotał Płaton.

Nagle Chrysta poznała go. Wyprostowała się, uśmiechnęła się z zakłopotaniem, jak gdyby ją schwytano na gorącym uczynku. Ileż w tym uśmiechu było żalu, pokory, czegoś, co nie poddaje się żadnemu wyjaśnieniu...! Płatona Gordiejewicza zatkało w gardle.

— Stefana może szukacie? — niewinnym, miękkim głosem spytała Chrysta. — Nie szukajcie... Poszedł szukać chleba dla moich córeczek... Nie prędko wróci.

Płaton porwał za wiadro i pobiegł ku studni.

Tego samego dnia Stefana odstawiono z rozbitą czaszką do rejonowego szpitala. Chrystę, która postradała zmysły, Płaton Gordiejewicz i Andron Jarczuk odwieźli końmi do Winnicy, do kliniki psychiatrycznej.

XXI

Płaton Gordiejewicz wrócił z Winnicy w dwa dni później. Zmęczony, ale zadowolony, troskliwie położył na stole torbę z jęczmienną kaszą. Prawdziwe bogactwo za trzy krzyże Świętego Jerzego!

Nie tracąc słów, Hanna wzniciła ogień w kuchence, którą Płaton Gordiejewicz wymurował przy piecu przed trzema laty, wprawił w nią blachę i zasuwkę.

Wkrótce woda zaczęła kipieć w żelaznym saganie.

— Ech, żeby tak choć tę kropelkę omasty — westchnęła Hanna, starannie przepłukując kaszę, przed zasypaniem na wodę.

— A cóż-to, w bodni nie ma słoniny? — smutnie zażartował Płaton Gordiejewicz. Żeby trochę odpocząć, wyciągnął się na pryczy, zwiesiwszy na zewnątrz nogi w wysokich butach.

— A to idź, odkraj kawałek! — roześmiała się z przymusem Hanna.

— Zara odkraję! — ku najwyższemu zdumieniu Pawełka i Nastki, przezuwających koło pryczy jęczmienne krupki, Płaton poszedł do komory.

— Tu masz omastę! — wesoło, tym razem już bez udawania, zawołał Płaton, wciągając do izby *bodnię* — szeroką, przypłaszczoną drewnianą dzieżę, w której w ciągu kilkudziesięciu lat przechowywano słoninę wielu świńskich pokoleń.

Hanna ze strachem popatrzyła na męża. A ten wziął siekiere, zamachnął się i silnie uderzył obuchem po dzieży, która głośno zadudniła.

— Przestań — krzyknęła Hanna.

Ale Płaton znowu machnął siekiereą, żelazne obręcze spadły na ubitą podłogę i bodnia dźwięcznie rozsypała się na klepki.

— Tak miarkuję, że trza zaczynać od dna — rzeczowo powiedział Płaton, patrząc na oszołomionych domowników śmiejącymi się oczami.

Starannie poskładał klepki na ławie, podniósł okrągłe dno, obmył wrzątkiem zewnętrzną stronę i zaczął łupać siekiereą na drobne szczapki.

Hanna nareszcie zrozumiała, o co chodzi Płatonowi, przyniosła z podwórza podłużny kamień i obmywała go pospiesznie.

Płaton układał przesycone tłuszczem szczapki w pustym saganie, potem przycisnął je kamieniem i powiedział, zadowolony:

— A teraz zalej wodą i gotuj aż do zwycięskiego końca.

Siedząc na piecu, Pawełek i Nastka wyciągali długie, wychudłe szyje, śledząc głodnym spojrzeniem, co się dzieje w saganu. Płaton i Hanna stali przy pryczy. Woda kotłowała się, coraz to wyskakiwały na niej gorące pęcherzyki, rozpalona blacha gniewnie syczała, gdy padały na nią gotujące się bryzgi.

— Musi się drzewo rozmiękczyć — pouczająco powtarzał Płaton Gordiejewicz. — Nie może tak być, żeby tłuszczu nie puściło.

Wreszcie saganek zdjęli z blachy i postawili na przypiecku.

Naftowa lampa, postawiona na brzegu pieca, dobrze oświetlała zmętniałą wodę w saganu, ale na jej powierzchni nie było ani kropelki tłuszczu.

Pawełek i Nastka z pochylonymi główkami, w natężeniu wpatrywali się w saganek. Płaton i Hanna milczeli przy przypiecku.

Nagle na wodzie ukazał się pęcherzyk i nawet jak gdyby podskoczył nad powierzchnią. I natychmiast rozpląnął się w okrągły kształt złotego słoneczka.

Wszyscy roześmieli się. Pawełek i Nastka — z zachwytem, Płaton i Hanna — powściągliwie, wyrozumiale.

Jeszcze jeden pęcherzyk i jeszcze...

Zachłystując się radością i przerywając jedno drugiemu, Pawełek i Nastka liczyli na głos:

— Pięć! Sześć! Dziesięć! Trzydzieści!

Coraz więcej takich złotych słoneczek pływało w saganu. Potem zaczęły zlewać się ze sobą. Zetknie się jeden krążek z drugim, patrzysz, a tu już na ich miejscu tylko jedno słoneczko, ale już większe.

Nareszcie wszystkie krążki połączyły się w jeden wielki krąg, który pokrył całą powierzchnię wody. Odbijało się w nim światło lampy i rzeczywiście był podobny do prawdziwego, wielkiego, świątecznego słońca, od którego rozchodziło się dokoła najprawdziwsze ciepło.

Hanna zebrała tłuszcz drewnianą łyżką i wlała go do drugiego saganka, gdzie gotowała się kasza.

Nigdy jeszcze w domu Jarczuka nie wieczerzano z takim smakiem, jak tego wieczoru, nigdy jeszcze nie kładziono się do snu z uczuciem takiej błogiej sytości.

Jak i poprzednich dni, ranek był po jesiennemu zimny. Przeszywający wiatr gniewnie szumiał wśród sprężystych gałęzi jesionów, sprawujących wartę przy jarczukowej zagrodzie.

Płaton Gordiejewicz wyszedł z chałupy, zżymnął się od chłodu i zatrzymał się na środku opustoszałego podwórka. Mocniej ściągnął pasek na swetrze, głębiej nasunął na czoło baranicę — trzeba było iść do brygadiera po zlecenia robocze. I nagle przypomniał sobie sen minionej nocy...

Przyśniło się Płatonowi Gordiejewiczowi, że niby stoi na znajomym polu, ciągnącym się aż po skraj lasu. A dokoła bujne łąny zielonego jeszcze żyta. Między lasem i drogą, niby jakiś szmaragdowy kobierzec, ścieliło się pole, marszcząc się pod oddechem wiatru niczym powierzchnia wody. Każde źdźbło huśtało się na wietrze, kłaniając się Płatonowi po przycielsku i pochylało się ku jego bosym stopom, jakby chciało ich dotknąć na znak wdzięczności. Nagle żyto zaczęło rosnać w oczach, coraz wyżej i wyżej nad ziemią. — Już wilgotna zieleń dotyka kolan, już Płaton do pasa pławi się w zielonym rozlewie. Serce jego drży z wielkiej radości: ziemia darowała mu ciężki grzech... Ale żyto coraz wyżej i wyżej wspina się ku niebu. Starego chwyta strach: już dawno łąn powinienby wykłósić się, ale kłosów nie widać... Poprzez żyto już nie dostrzeżesz ani lasu, ani drogi. Jeszcze trochę i zielony namiot zamknął się nad głową, przesłaniając niebo. Coraz ciężiej Płatonowi oddychać i nagle, lodowaciejąc z przerażenia, zrozumiał, że wcale nie znajduje się w zbożu, lecz na dnie głębokiej, zielonej topieli. Ręce i nogi odmawiają mu posłuszeństwa, nie chcą wynieść go na powierzchnię... Zaczyna pić bez przerwy mętną, zieloną wodę...

„Na jaką wróżbę taki sen?” — pomyślał Płaton Gordiejewicz i poczuł w piersi coś dławiącego, trwożnego. Nie po raz pierwszy nawiedzało go to uczucie od tego czasu, gdy okradł pole, które przywidziało mu się dzisiaj we śnie.

Stało się to w jesieni, kiedy siał żyto pod lasem. Z dwóch otrzymanych na składzie worków zdezynfektowanego ziarna Płaton wyspał do siewnika tylko jeden, a drugi zakopał w ziemi, oznaczywszy to miejsce kamieniem. Poganiał konie i z trwogą spoglądał w stronę wsi: bał się — a nuż zleci mu na łeb brygadier i zauważy, że konie ciągną po polu prawie pusty siewnik... Toż Kuźma Lunatyk powędrował na całe siedem lat do obozu

pracy poprawczej. A Juhym? Surowo sądzą za kradzież kołchoźniczego dobytku...

W nocy wykopał worek i zaniósł do domu. Przez długi czas Hanna starannie przemywała ziarno, wygotowywała we wrzątku, moczyła. Ale szpitalny zapach formaliny na długo zamieszkał w chałupie i cała rodzina aż do wiosny chodziła z opuchniętymi od trucizny nogami, pokrytymi sinymi obrzękami.

Odtąd ani na chwilę nie opuszczała Płaton niespokojna myśl o polu, które skazał na bezpłodność. Ciągnęło go ku sobie, przyzywało, aby przychodził i patrzył na czarne grudy ziemi, wśród których tu i ówdzie widniały sieroce, osamotnione kielki.

Późną jesienią, zanim pierwsze mrozy ścięły ziemię, Jarczuk nie raz chodził na zasiane pole z ukrytą nadzieją, że stał się cud i że już wzeszło gęste zielone runo. Ale pole ziało nieodmiennie głęboką czernią i stanowiło dla oczu rolnika jak gdyby niemy wyrzut z racji popełnionego przestępstwa.

Płaton Gordiejewicz czuł się tak, jakby skrzywdził dziecko, albo popełnił jakiś hańbiący czyn, który nigdy nie da spokoju sumieniu. Ale nie żałował swego uczynku. Zrabowane zboże uratowało rodzinę od głodowej śmierci. A pole przecież nie należy do niego — do kołchozu! Żniwo z tego pola nie pójdzie do jego komory ani do komory kołchozu. Póki co, chłop bardziej wierzy własnemu doświadczeniu, niż słowom, wypowiedzanym na gromadzkich zebraniach przez Stefana Hryhorenkę, wiejskich aktywistów i przedstawicieli rejonowego ośrodka. W zeszłym roku cały zbiór zabrano prosto z gumna, prosto od młockarni do składów na stacji. Wysłańcy rejonowego ośrodka nie odchodzili od młócki ani na krok, sumiennie wykonując nakazy kierownictwa. Zwiększała się liczba oznaczająca ilość ton zboża dostarczonego państwu i jednocześnie topniały nadzieje chłopów, że otrzymają choćby część zebranego żniwa. Ci, którzy powinni byli pamiętać o wszystkim, jakoś zapominali, że rolnik to także część składowa państwa, że kołchoz potrzebuje zapasu ziarna na siewy, że w przyszłym roku państwo również będzie potrzebowało zboża.

A jednak w głębi serca Płaton Gordiejewicz litował się nad okradzioną ziemią. A do tego jeszcze ten przeraźliwy sen... I ciągle jeszcze czepiał się nadziei, że może jednak oziminy weszły, że może owies który tam rósł łośńskiego roku, wysypał trochę ziarna i obudzi się teraz do życia.

Zapominając, że czas iść do pracy, Płaton Gordiejewicz wybrał w drewnitni sękaty kijaszek i przez ogrody udał się ku lasowi, który ciemnym pasmem widniał za wsią.

Stanął nad rowem, zarośniętym drobnymi krzakami, na samym skraju lasu, i patrzył na pole, lekko przygarbione pod wia-

trem, myśląc o nim jakby chodziło o żywą istotę. Było nieme, przynębione i wydawało się, iż cierpi, że jego płodna moc macierzyńska przepada nadaremnie, bo zbliżającego się lata nie zaznami bujnym łanem zboża.

Tak, cudy w życiu rolnika nie zdarzają się.

Płaton Gordiejewicz zaczął myśleć, jak też wypadną żniwa. Stary chłop dobrze znał swoją wieś i jej mieszkańców. Wielu z nich poszło do kołchozu z bojaźni, inni ze strachu, że ich rozkułaczą, choć byli tylko średniakami. Ale wszyscy liczyli na to, że życie zmieni się na lepsze. Właśnie na lepsze! A stało się coś całkiem niezrozumiałego: rolników zostawiono bez zboża. Tak, tak, masz orać, siał, żąć, młócić, a za swoją ciężką pracę otrzymasz zamiast ziarna, pierwsze czy tam dziesiąte miejsce na liście rejonowego sprawozdania z kontraktacji zboża.

Naturalnie, Płaton wszystko rozumie. Każdy przecież wie, że chłopci mają wielkiego brata — klasę robotniczą, bez której już nie to, że maszyn czy tam perkalu, ale nawet jednego gwoźdźdza nie będziesz miał w gospodarstwie. Trzeba robotnikom dać chleb i omastę do chleba. A znowu żołnierzy Czerwonej Armii, chłopskich synów, którzy bronią państwa, także nie będziesz trzymać na głodowych racjach. Co tu gadać — dużo potrzeba zboża. Bez niego nie zbudujesz warsztatów, fabryk i kopalń. Ale czy jest takie prawo, żeby zarazem rujnować wieś? Czy można prowadzić olbrzymie gospodarstwo, nie dbając o to, co stanie się w jutrzejszym dniu?

Widzi się, że nie pozwolą ludzie dojrzeć młodemu zbożu. Znajdą się tacy, którzy potajemnie będą ścinać nożycami ledwie napęczniałe kłosa, podobnie jak czyjaś nierozumna ręka podcięła wiązę kochanowieckich ludzi w kołchozy. Wielu straciło nadzieję na otrzymanie ziarna za przepracowane dniówki, więc nawet i to zboże, które zdąży dojrzeć pod czujnym okiem połowych, rozkradną do połowy podczas młócki. Nikt nie chce puchnąć z głodu.

Ciężka trwoga opanowała serce Płatona Gordiejewicza. Coś niedobrego dzieje się na jasnym świecie. A tu jeszcze nęka myśl o niedalekiej starości. Nie takich starych lat pragnął całe życie.

Myślał o sobie i zdawał sobie sprawę z prawdziwie fizycznym bólem, że niewiele mu zostało z życia, że lata mijają coraz szybciej, nie tak jak w dzieciństwie, gdy każdy przeżyty dzień wydawał się wiecznością.

Tak, ostatnie dziesiątki lat przeleciały, jakby chodziło o dni. I mimo wszystko, gdy zagładasz w przyszłość, każdy przyobiecany rok wydaje się długim i na sercu robi się spokojniej i radośniej. Ale jeśli wiosna się spóźnia i ziemia nie wróży urodzaju,

jeżeli rankiem nad domami nie snują się z kominów dymy, świadczące o sytym dostatku, wydaje ci się, że nic tu po tobie, żeś niepotrzebnym nędzarzem w tym życiu.



Płaton Gordiejewicz nie miał chęci ani wracać do domu, ani iść na kołchoźnicze stajnie, przy których wałęsają się konie, chude jak szkielety, a niczym im w ich głodnym nieszczęściu nie pomożesz.

Skierował się do lasu i długo po nim błądził. Wisiała ponura cisza, tylko pod nogami blaszany chrzęst zeszłorocznego listowia i ostry szelest uwiędłych liści na gałęziach młodej dębi-ny. Milczy las, pozbawiony ptasiego hałasu i niepokojnego, przeciągłego szumu, jaki wydaje żywe listowie.

Płaton Gordiejewicz stukał od czasu do czasu swoim sękatym kijem po pniu graba albo jesiona, przysłuchując się głuchym dźwiękom, i odgadywał, że w korzeniach drzewa już obudziło się życie, że już do góry zaczynają piąć się zniecierpliwione soki. Już wkrótce ożywią pień i dadzą sprężystość gałęziom.

Zeszłoroczne liście, szare, tu i ówdzie świecące połyskiem miedzi, mocno przywarły do ziemi, jakby pragnęły zagrozić sobą drogę młodej roślinności. Bystry wzrok Płatona z daleka dostrzegł mrówkę, gdy przebiegała przez burą warstwę listowia. To znaczy, że ciepłe dni nie za siedmioma górami.

Stary usiadł na pieńku, wyciągnął kapciuch z tytoniem i zakurzył, chociaż palić mu się nie chciało. Rzucił płonąca zapalkę — suchy listek zajął się i zaczął skręcać się w ogniu. Obejrzawszy się dokoła po złodziejsku, jak mały chłopak — czy aby nie ma w pobliżu gajowego — Jarczuk zgarnął trochę listowia na kupkę. Natychmiast wywinął się z niej gęsty, gryzący dym. Tknięty ciepłym zapachem dymu, w którym kryły się różne zapachy ziemi, Płaton odrzucił cygarkę i chciwie wdychał te zapachy, dziwiąc się, dlaczego go tak niepokoją.

Kiedy ognisko zgasło, Płatonowi Gordiejewiczowi zachciało się nagle wstać i iść nie wiadomo dokąd, załatwić jakąś ważną, niecierpiącą zwłoki sprawę. Ale gdzie właściwie ma iść i jaką sprawę załatwiać?

Wsparł się o pobliską grabinę, wstał i, zadarłszy głowę, patrzył na szczyt drzewa.

— Rośniesz? — powiedział jakby z wyrzutem. — Ku niebu się ciągniesz, a i tak w ziemi zgnijesz...

Przeciągnął dłonią po młodym, prężnym pędzie, wyrastającym ze zgrubienia pnia i ni stąd ni zowąd pomyślał o Pawełku.

Od razu przypomniał, co ma do zrobienia. Już dawno czas na spalenie chałupy Hanny. Najbliższej nocy trzeba pójść do Be-rezny spalić. Żeby jak już przyjdzie Płatonowi rozstawać się ze światem Bożym, mieć całkowitą pewność, że Hanna z jego domu nie odejdzie, nie zostawi Pawełka, już podrośniętego, ale jeszcze nierozumnego dzieciaka, na samotną, sierocą dolę.

A więc dziś. W nocy...

Płaton Gordiejewicz wrócił do domu przed samym wieczorem, głodny, zziębnięty, opanowany przez trwożne myśli.

Przy nieprzykrytym stole ujrzał Pawełka i Nastkę. Przed nimi gliniana miska, zaś w misce pieczone gawronie jajka — pożółkłe i popękane w gorącym popiele.

Pawełek przypomniał sobie, że kiedyś ojciec sprzął go za podebranie jaj z jaskółczego gniazda. Przestał obierać skorupkę i wbił w stół tępe spojrzenie. Ale Płaton Gordiejewicz nawet go nie zwymyślał. Podszedł do półki, zdjął dzban z wywarem z prętów malin i wiśni. Wciągnął w płuca aromatyczną, gorzkawą woń i napił się prosto z dzbana. Popatrzył na ucichłe dzieci.

— W lesie nazbierałeś? — zapytał Pawełka.

Odpowiedzi nie dosłyszał. W piersi go kolnęło jakby rozpaloną igłą. Złapał się za serce i usiadł na pryczy. Ból w piersi rozszerzał się, jakby rozlewało się coś gorącego, ale tracił na ostrości.

Pochwyił przestraszone spojrzenia Pawełka i Nastki i powiedział spokojnie:

— To nic, to przejdzie... Przystawcie stołek do pryczy.

Zdjął swetr i buty, po stołku włożył na przypiecek, a stamtąd na piec. Odwiecznym ludowym zwyczajem przywarł całą piersią do gorących cegieł, wierząc, że ciepło wypędza każdą chorobę.

W głowie roilo się od ciężkich myśli. Dlaczego człowiek tak krótko gości na tej ziemi? Przecież jeszcze nie doszedł do sześćdziesiątki... Jeszcze czuje w sobie krzepę, ale serce już zaczyna kapitulować, zawiadamia, że czas załatwić ostatecznie wszystkie swoje życiowe sprawy.

Pragnął zapaść w sen, żeby wreszcie ustał ten ból w piersi, żeby znikła trwoga. Zaczął przypominać wszystkich chłopów we wsi, którym zmarło się w ostatnich latach. W myśli przebierał całą Kochanówkę, ulicę po ulicy, dom po domu.

„Sazon w zeszłym roku przeniósł się na tamten świat — mój rówieśnik. Jawtuch z głodu... Filipa rozkułaczyli i zesłali na

Sołówki — dobrze mu tak! Filimona ścięte drzewo w lesie przyduśiło... Zacharkę Łowibłocha rozkułaczyli i zesłali... Nieśluszenie rozkułaczyli... Chtomę Zawołokę także nieśluszenie, taki z niego był kułak, jak i ze mnie...”

Pomyślał o Filipie Jakimence. Jakie też jego wielebność kukuryku na Sołówkach odstawił? Znalazł tam głupszych od siebie, żeby krew z nich ssać, czy nie? Takiego żaden diabeł nie weźmie, zawsze wykręci się... A czy partyjnego, Aloszkę Reszetniaka, zabili w dwudziestym piątym nie z poduszczenia Jakimenki? I spalili chałupy trzech aktywistów... Ręka Filipa w tym była, nie inaczej, skoro dowodów nie znaleziono...

„Jedno szkoda, że Ihnat Sołohub nie dożył do kolektywizacji. Za tym to się Sołówki musiały stęsknić!”. Płaton Gordiejewicz młode swoje lata spędził jako komornik w zagrodzie Sołohuba; dotąd jeszcze, jak sobie przypomni, plecy go śwędzą. Nie raz, nie dwa przemierzył je harap Ihnata.

„Ilu też gospodarzy rozkułaczono sprawiedliwie, a ilu po próżnicy? — Zaczął obliczać. — Pięć gospodarstw — jak nie wymierzaj — kułackie. Dwa inne — niby tak i niby nie: co prawda, bogacze, ale pracowali własnymi rękami, najmitów nie brali... A ilu niesprawiedliwie? Zacharko Łowibłoch — to jeden, Chtoma Zawołoka — to drugi, kowal Dmytro — to trzeci... — liczył i liczył... — Dziewięciu gospodarzy! I u każdego rodziny — od pięciu do ośmiu osób. Trochę jakby za wiele! A na całej Ukrainie ile takich? A w Rosji? Wielki kraj — Rosja”.

Płaton Gordiejewicz starał się wyobrazić sobie olbrzymi tłum ludzi — mężczyzn, kobiet i dzieci — których, jego zdaniem nieśluszenie, wyrwano z wygrzanych, rodzinnych miejsc i zapędzono gdzieś na skraj świata, Ogarnął go strach. Ileż zdruzgotanych serc! Małe dzieci podrosną, powrócą z dalekich stron i przez całe życie będą wstydzic się swoich rodziców, wypierać się, ukrywać...

Jakże tak mogło się stać? Czy to nie głupota zaliczać między kułaków chłopów, mających doświadczenie, wiedzących jak zmusić ziemię, żeby dawała stukrotny urodzaj, pracujących od świtu do zachodu? Teraz by się przydali przywódcom biedoty do pomocy, jak dyszlowe konie u wozu...

Dlaczego tak się stało? Powiedzmy, że w Kochanówce Stefan wściekł się, a i jego pomocniki z ubogich aktywistów nie potrafili rozumować po gospodarsku. A w innych wsiach? Czy prawdę powiadają, że rejonowe władze z góry wyznaczały, ile gospodarstw trzeba rozkułaczyć w każdej wsi? Wygląda na to, że prawdę...

Już po kolektywizacji rozniosła się wieść, że nieśluszenie roz-

kułaczeni będą mogli powrócić. Jeżeli tak, to dlaczego zwlekają?

Płaton Gordiejewicz myślał z wyteżeniem, jak gdyby chciał kogoś przekonać, że należy odesłać z powrotem rolników, niepotrzebnie oderwanych od ziemi, a najważniejsze — wprowadzić porządek z dostawami zboża przez kołchozy. Czytał gdzieś rozsądne uwagi, że gospodarstwo w kołchozach powinno być prowadzone na zasadzie materialnego zainteresowania kołchoźników i entuzjazmu, a nie na zasadzie entuzjazmu bez materialnego zainteresowania.

Niespokojne jest serce. To dlatego czuje się niepewnie, krzesze iskry, parzące pierś starego Jarczuka. Serce nie znosi nieprawdy...

A jakże z chałupą Hanny? Czy postąpi sprawiedliwie, jeśli ją spali? Toż i ta chałupa stała się ciężką pracą...

Niełatwo żyć na tym świecie, jeżeli sumienie coraz to przypiera cię do muru i z wyrzutem zagląda ci do duszy.

XXIII

Wylegiwał się Płaton na tym piecu jeszcze dzień, jeszcze dwa. A gdy ból w piersi ostatecznie minął, zlął na przypiecek, potem na podłogę, zaczął rozprostowywać trzeszczące kości. Zauważył, że okna w chałupie są rozwarłe na oścież. Do izby wpływał wilgotny zapach ziemi i gorzki aromat ogrodu zmrzonego przez słońce. Wysunął głowę przez okno, obrzucił spojrzeniem ogród, który ruszył ze wszystkich stron ku chałupie. Przekonał się, że gałęzie wiśniowych drzew już napęczniały pączkami i że te otworzą się lada chwilę i wybuchną białym kwieciem. Gałęzie wiśniowe pieszczotliwie dotykały ścian, starannie zaczesywały dolne brzegi słomianej strzechy i, zdawało się, śledzą, co też dzieje się w chałupie. Jarczuk zrozumiał: to wiosna powróciła naprawdę.

Pierwsza myśl jaka przyszła do głowy: „A co z polem?”. Znowu zabołało pod sercem... Wzdychając i pojękując, zaczął ubierać się z pośpiechem, żeby jak najszybciej pójść pod las i spojrzeć na oziminy. A nuż zazieleniły się wraz z powrotem wiosny? Płaton zgodziłby się na natychmiastową śmierć, byle przedtem zobaczyć żywy, zielony łąn...

Żeby w ciągu roboczego dnia nie włączyć nikomu na oczy, obchodził z daleka przez lewady, a potem brzegiem Bużanki. Od strony strome go jaru wszedł w las i stwierdził z radosnym zdumieniem, jak bardzo wszystko w nim zmieniło się w ciągu tych

paru dni. Gęsta, jaskrawo-zielona mgiełka otulała gałęzie drzew. Wydawało się, że to świeże, wilgotne listowie, które ledwie przyszło na świat, nie może mieć nic wspólnego z czarnymi pniami grabów. Powieje wiatr i rozmiecie to delikatne, zielone przywidzenie. Ale jeśli nie patrzeć w głąb lasu, lecz ku górze, łatwo zauważyć, że na gałęziach drzew nie żadna zielona mgiełka, lecz gęsto wyrastające, zaostrome, żółto-zielone listki, podobne do skrzydełek majowych chrząszczów. Te młode listki jeszcze nie ograniczały spojrzenia, zostawiając mu całą błękitną przestrzeń na przestrzzał. Ale leśne podszycie, gęstniejące bez żadnego ładu ani składu, miejscami tak zbite, że nie można było przez nie przejść, bujnie zieleniało, bo już zdążyło spić soki ziemi, zanim to uczyniły wysokie drzewa.

Właśnie tak widział las Płaton Gordiejewicz, gdy usiadł na znanym mu pieńku, żeby zakurzyć i nieco odłożyć nieprzyjemne spotkanie z wiadomym polem. Czuł na plecach słoneczne ciepło, ale już nie cieszył się, jak dawniej, że jeszcze jedna wiosna w jego życiu zbudziła ziemię.

Wreszcie zdecydował się; jak złodziej, skradał się ku skrajowi lasu, za którym znajdowało się to fatalne pole. Wyminał lisie jamy, przeciął ledwie dostrzegalną leśną drogę, przeszedł przez brzezinkę. Dojrzał nasyp przy rowie, gęsto zarośniętym krzewami. Z głośno bijącym sercem Jarczuk podszedł do nasypu i przez gęstwą spojrzął na znajome pole. Spojrzął i zdrętwiał: czerniało, jak dawniej, ale jakąś inną, odnowioną czernią. I ani żdźbła zieleni! Znikły nawet te suchotnicze pędy, które weszły jeszcze ubiegłej jesieni...

Wydało się Płatonowi, że ogląda to wszystko w ciężkim śnie. Drapiąc ręce w krzakach, przedarł się do rowu i niezgrabnie, po starczemu, przeskoczył na drugą stronę. Przyjrzał się, zobaczył świeżo zabronowaną rolę, dostrzegł gromadę gawronów, swobodnie spacerujących w niedalekiej odległości i zrozumiał wszystko: ponownie zasiali pole...

Płaton Gordiejewicz wracał do wsi, ale na sercu nie było mu lżej.

XXIV

Kochanowiecka szkoła początkowa mieściła się w dużym domu, zbudowanym z gliny. Ta rozłożysta lepianka pod wyszarzałą od starości strzechą przytuliła się tuż koło cerkwi do wy-

sokiego brzegu rzeczki Bużanki. Dom tonął w białym zalewie kwitnących akacji i patrzył na świat oknami rozwartymi na oścież. Leciął z nich taki dziecinny harmider, że kawki mieszkające na dzwonicy z panicznym krzykiem miały się nad cerkwią, nie śmiejąc zbliżyć się do własnych gniazd.

Tego słonecznego, wiosennego dnia uczniowie przybyli do szkoły bez podręczników i zeszytów, przybyli, aby pożegnać się z nią na całe lato. To właśnie dlatego tak głośno huczała kipiąca, niepowstrzymana radość dzieciarni.

Stosunkowo najciszej było tylko w czwartej klasie. Tu stacecznie siedzieli dwunasto- i trzynastoletni chłopcy i dziewczynki — osoby, jak im samym się wydawało, całkiem już samodzielne, mające poza sobą cztery lata nauki, długie jak wieczność. Wydawało się nie do wiary, że już na zawsze rozstają się ze swoją pierwszą szkołą, że terkoczący głos dzwonka zabrzmiał dla nich dziś na pożegnanie. Może dlatego absolwenci z czwartej klasy co raz to rzucali zamyślane spojrzenia na kolegów, na sfatygowaną tablicę — świadka ich nie zawsze zwycięskich pojedynków z gramatyką i arytmetyką — i w inny sposób, niż zazwyczaj, spoglądali na ławki, gęsto pokrajane nożami i poplamione atramentem. Było tak, jak gdyby w klasie wisiała niejasna jeszcze świadomość, że gdy przestąpią próg szkoły, utracą na zawsze coś niezmiernie ważnego i kochanego. Rozsypie się pierwsze koleżeńskie braterstwo, pojawią się nowe troski, przed każdym otworzy się nowa droga, nieznaną i trudną. Jedni zapiszą się do siedmioletniej szkoły przy cukrowni i poczynając od jesieni będą codziennie chodzić pięć kilometrów za wieś; inni pójdą do pracy w rodzinie i w kołchozie.

Pawełek i Nastka znajdowali się wśród abiturientów czwartej klasy. Pawełek, który w ciągu tych lat wyrósł na wysokiego, kanciastego wyrostka, siedział na ostatniej ławce; Nastka, zawsze wiercząca się i nieuważająca na lekcjach, zajmowała pierwszą ławkę.

W tej chwili Nastka zachowywała się spokojnie, jak nigdy. Siedziała obok swej przyjaciółki, maleńkiej jak wróbelek Gafijki, i z ciekawością przyglądała się Sieriodze, który wylaźił ze skóry, żeby rozbawić klasę. Sierioga — to syn Kuźmy Lunatyka. Niby najprawdziwszy akrobata, stał na rękach przed tablicą i kawałkiem kredy, zaciśniętym między palcami bosej, pokrytej zaschniętym błotem stopy, usiłował nagryzmolić słowo „Proszę” — przydomek nauczyciela Iwana Nikitycza Kulidy. Wszyscy śmiali się, patrząc na nadaremne wysiłki Sieriody i na opadnięte nogawki jego płóciennych portek ufarbowanych bżowym sokiem.

— Idzie Proszę! — krzyknął ktoś przeraźliwie, trzaskając drzwiami.

Sierioga przekręcił się na nogi zwinnie jak małpa i z takim pośpiechem rzucił się do swojej ławki, że nawet zapomniał zetrzeć z tablicy nagryzłone kulfony.

Iwan Nikitycz wszedł powoli do klasy. Był chudy, niski, na ruchliwej twarzy mocno występowały kości policzkowe. Obrzucił wesołym, młodym spojrzeniem ucichłych uczniów, obciągnął na sobie wyszywaną białą koszulę, na której widniał jedwabny pas z frędzlami i, nie spiesząc się usiadł za stołem.

Przydomek „Proszę” stał się drugim imieniem Iwana Nikitycza. Przed czterema laty, gdy nauczyciel Kulida zjawił się w szkole, oświadczył ówczesnym pierwszorzecznikom, że jeśli ktoś w czasie lekcji chce zadać jakieś pytanie, najpierw powinien podnieść rękę i powiedzieć „Proszę!”.

I tak już zostało. „Proszę! Nie mogę rozwiązać zadania”. — „Proszę! Sierioga pcha się!”. — „Proszę! Czy mogę wyjść z klasy?”.

Z biegiem czasu uczniowie zapomnieli, jak nazywa się ich nauczyciel. Niektórzy nawet uwierzyli, że „Proszę” — to jego prawdziwe imię. Wprawdzie dziwaczne, niezwykłe, ale przecież i sam nauczyciel — to nie zwykły człowiek, lecz ucieleśnienie nieprześcignionego rozumu i wszystko ogarniającej wiedzy.

Pawelek zawsze obserwował Proszę spode łba, zachwycając się że nauczyciel samym tylko spojrzeniem potrafi panować nad tą gromadą dziewcząt i chłopaków, skłonnych do stawania okoniem. Ile mądrości kryło się pod wysokim czołem Proszę! Pawelek sądził, że nie ma takiej rzeczy na świecie, o której nauczyciel nie wiedziałby absolutnie wszystkiego. Marzył więc, że i on kiedyś będzie taki sam. Przyjdzie jeszcze czas, że i jego, jak Proszę, wioskowi starcy będą pozdrawiać z całym szacunkiem.

Głos Iwana Nikitycza przerwał ambitne rozmyślenia Pawelka.

— A więc tak, drodzy przyjaciele — powiedział z udaną wesołością, wyraźnie starając się ukryć wzruszenie. — Przyszedł wreszcie ten dzień i odtąd będziecie mnie nazywać swoim byłym nauczycielem, a ja was — moimi byłymi uczniami.

Iwan Nikitycz zamilkł. Wpatrywał się w twarze dzieci, blade, niemal przezroczyste od stałego niedojadania.

Westchnął i mówił dalej:

— Zawsze marzyłem o tym, że niektórzy z was zostaną inżynierami, nauczycielami, lotnikami... Przecież każdy z was chce stać się kimś w przyszłości...

Iwan Nikitycz potoczył śmiejącym się spojrzeniem po kla-

sie i zatrzymał wzrok na Nastce, która w tej chwili właśnie coś szeptała do Gafijki.

— Ty, Nastka, kim byś chciała być? — zapytał nauczyciel.

Nastka zmieszała się i otworzyła szeroko wielkie, niezwykle niebieskie oczy, nie widząc, co ma odpowiedzieć.

— Ona chce być mamusią! — tragicznym szeptem, ale tak że wszyscy usłyszeli, powiedział Sierioga.

Cała klasa ryknęła wielkim śmiechem. Sierioga także wesoło zarżał, ale zaraz zawstydził się, zamilkł, z nosa wyskoczyła mu zdradziecka bańka, puścił w ruch rękaw koszuli.

Nastka śmiała się razem z innymi. Obróciła się ku Sieriodze i przewracając całkiem jak dorosła niebieskimi oczyskami, zapytała z niewinną minką:

— A cóż w tym złego? Podrosnę trochę, wydam się za Sieriożkę i zostanę mamusią. Sierioga wprawdzie dziobaty na gębie, ale za to robi wszystko, co dziewczęta mu każą.

Sieriogi nikt dotąd nie potrafił zbić z pantałyku, ale tym razem nie mógł znieść ogólnego wybuchu śmiechu swoich rówieśników. Sam nie wiedząc czemu zapłonęły ogniem piegowate policzki i uszy wielkie jak pierogi, rzucił się z ławki ku otwartemu oknu, jednym zamachem wyskoczył do szkolnego sadu, który nie miał ogrodzenia, i smagany gonącym go śmiechem, puścił się jak wariat zбочem prowadzącym do Bużanki.

Iwan Nikitycz z trudem uspokoił dzieciarnię, z żalem spojrział na okno, przez które uciekł Sierioga, i prowadził dalej swe przemówienie:

— Kochani przyjaciele, wszyscy wy jesteście pionierami nowego życia, młodymi kontynuatorami leninowskiej myśli. W szkolnej rodzinie i w pionierskiej organizacji nauczyliście się podporządkowywać ogólnym interesom, nauczyliście się koleżeństwa, przejęliście się patriotyczną miłością do ojczyzny. Będą wam zazdrościć chłopskie dzieci wszystkich innych krajów, bowiem przed wami otwierają się szerokie drogi, prowadzące ku wspaniałemu życiu. Czeka was nauka, czeka was praca. Ale kimkolwiek każdy z was chciałby zostać — agronomem, lekarzem, nauczycielem, traktorzystą — pamiętajcie, że jest jeszcze jedna szkoła, której nie wolno pomijać. To Komsomol...

Pawełek słuchał Iwana Nikitycza i myślał o sobie. Urodził się w dziewiętnastym roku, gdy na Ukrainie jeszcze trwała walka o sowiecką władzę, ale wydawało mu się, że żyje na tym białym świecie od niepamiętnych czasów. Przypomniawszy sobie swój pierwszy dzień w szkole — jakże dawno to było! Przypomniawszy pionierski krawat. Siostra Juhyna, która wydała się na Charytoniewski chutor, podarowała mu w dniu wielkiego święta sze-

roki jedwabny pas czerwonego koloru. Pawełek sam wykrajał z niego i obrębił krawat. Niewielu chłopców w szkole mogło pochwalić się taką wspaniałością. Co prawda, ta wspaniałość kosztowała go później bardzo drogo.

Pawełek w żaden sposób nie mógł doczekać się wiosny. Tak bardzo pragnął przespacerować się po wsi bez zwierzchniego odzienia, żeby wszyscy obejrzeni jego czerwony krawat. Nareszcie śnieg poczerniał, stał się porowaty, zaśpiewały pierwsze strumienie, ziemia zaparowała pod słońcem tam, gdzie spłynęły śniegi. Pawełek pobiegł do szkoły bez okrycia. Najpierw spotkał Kuźmę Lunatyka. Pawełek, napęczniały dumą aż po brzegi, zezował w kierunku Kuźmy, żeby sprawdzić, jakie też wrażenie wywarł na nim ten wspaniały krawat. Tak był opanowany radosnym wzruszeniem, że nawet zapomniał rzucić pod adresem Kuźmy „Dzień dobry”, co w Kochanówce uchodziło za nieprzystojność wręcz niewybaczalną.

Kuźma, zarośnięty gęstą szczecina aż po same oczy, szedł sobie swoją drogą i dymił ze skręta pod nosem, nie zwracając na Pawełka najmniejszej nawet uwagi.

— A co, z dobrym dniem nie pozdrowisz? — niespodziewanie zapytał Kuźma, zatrzymując się, kiedy się już rozminęli. — Psi twoje uważanie zjedli? Tak was w szkole uczą, żeby starszych nie szanować?

Pawełek spalił się ze wstydu i nie wiedział co odpowiedzieć. Wreszcie Kuźma zauważył jego krawat.

— A ta czerwona chustka po kiego?!

— To jest pionierski krawat! — wybuchnął Pawełek.

— Krawat? Cha-cha! A ty co, smarki nim wycierasz? — I śmiejąc się poszedł dalej, nie czekając na odpowiedź.

Pawełek dobrze nie pamiętał, jak to się stało. Nie mógł darować obrazy, więc schwycił nie całkiem jeszcze odtajałą grudę ziemi i kropnął nią w Kuźmę. Ten dostał grudą po potylicy. Wobec takiego zuchwalstwa, Kuźma rzucił się z wrzaskiem w pogoń za Pawełkiem. Ale dogonić nie mógł i poszedł na skargę, do nauczyciela.

Pawełek aż do wieczora wałęsał się nad brzegiem Bużanki, nie śmiejąc ani iść do szkoły, ani powracać do domu. Był lekko ubrany i następnego dnia położył się na zapalenie płuc.

Chorował ciężko i długo. Musiał zostać na drugi rok w trzeciej klasie i potem uczyć się razem z Nastką.

Teraz Pawełek myślał o komsomolcach. Przypomniał sobie, jak do wtóru wrzasków i przekleństw wszystkich bab, zrzucali dzwony cerkiewne, jak wyświęcali za wsi kułaków, jak pilnowali kołchoźniczych żniw; przypomniał zimowe wieczory, kiedy w

gmachu wiejskiej Rady były przedstawienia, albo śpiewał chór. Tej wiosny cała szkoła na wezwanie komsomolców zbierała na buraczanych plantacjach szkodliwe robaki, zwane ryjkowcami... Tak, nie ma co gadać — Pawełek zostanie komsomolcem.

Iwan Nikitycz mówił o tym, że trudności związane z przebudową wsi, już zostały przezwyciężone, mówił o wielkich osiągnięciach w Związku Sowieckim. W wyobraźni Pawełka wstawały bajeczne budowle Magnitogorska i Kuzniecka, Azowstali i Zaporożstali, zarysowywały się niekończące się kolumny traktorów, samochodów, kombajnów, elektrowozów, czołgów. Raziło słuch dziwaczne słowo „bluming”, zadziwiła gigantyczna tama, która przegrodziła Dniepr, aby zmusić wodę do obracania jakichś tam potężnych turbin. Wszędzie potrzebne są umiejętnie ręce, światłe głowy, gorące serca. Więc mają dokąd skierować się marzenia Pawełka, Nastki i wszystkich tych chłopców i dziewcząt, słuchających nauczyciela z zapartym tchem.

A kiedy Proszę zaczął mówić o sowieckich samolotach, serce Pawełka zaczęło bić tak mocno, jak gdyby chciało nadążyć za marzeniem, które unosiło go w błękitne przestworza nieba. Tak, koniecznie musi zostać lotnikiem! Koniecznie musi wykształcić się na lotnika!

Iwan Nikitycz skończył pożegnalne przemówienie i rozdał wszystkim świadectwa ukończenia szkoły początkowej.

Po raz ostatni w korytarzu zatrąkotał dzwonek.

Kiedy gwarna gromada chłopców i dziewcząt wysypała się na szkolne podwórko i zaczęła rozplływać się na ścieżkach, prowadzących do wsi, Pawełek przypomniał sobie Sieriozę. Poszukał spojrzeniem Nastki; trzeba było trzymać się jej z bliska. Już tam na pewno Sieriożę wymyślił jakiś sposób, żeby odkuć się na niej.

Na wszelki wypadek wyłamał kijaszek z krzaku bzu. Pawełek nie liczył na zwycięstwo w walce w mocnym Sieriożę, ale dla Nastki trzeba było zaryzykować — bądź co bądź siostra, chociaż tylko przyrodnia. Odważnie ściskając w dłoni wyłamany kij, trwożnie spoglądał na wysoką lebiodę i na gęstwinę sadów, gdzie mógł zacząć się w zasadzce Sieriożę, zawsze podstępny i bezlitosny.

Śmiech Nastki zawsze szalenie podobał się Pawełkowi. Było tak, jak gdyby w jej niezbyt głośnym chichotaniu dzwięczały srebrzyste dzwoneczki. Ich dźwięk rozlegał się przyjemnym, a jednocześnie budzącym jakąś trwogę echem w jego sercu, wprawiał w zachwyt i zmuszał do patrzenia na Nastkę bez przerwy. O, właśnie, już słycać wesołe dzwoneczki. Pawełek obejrzał się na ich głos i zobaczył, że Nastka przygląda się maleńkiej gromadce kacząt. Podobne do złocistych kuleczek, kacząta wypłynęły na

nurt niedużego strumienia. Kwoka biegła w panice na brzegu i przyzywała kacząt swoim kurzym językiem.

Pawełkowi zrobiło się żal biednej kwoki. Szybko podwinął nogawki i ofiarnie wlaźł do wody, wojowniczo wymachując prętem. Kacząt z piskiem rzuciły się ku kwoce. Pawełek wyszedł na brzeg, opłukał nogi, odwinął z powrotem nogawki, spojrzał ku Nastce i nagle zamarł. Przed dziewczynką stał Sierioğa i coś do niej mówił; Nastka słuchała w milczeniu. I zaraz wesołym, przelewającym się trelem zaniósł się wesołe dzwoneczki — Nastka zaśmiewała się tak, że Pawełek poczuł chłód w piersi. Zobaczył, że Nastka idzie ostrożnie po żerdkach przerzuconych przez strumień, a Sierioğa chłapie obok nogami po wodzie, przytrzymując dziewczynkę za rękę. Przeszli przez strumień i z głośnym śmiechem pobiegli w górę zbocza, które swym stromym barkiem podierał szeroką wiejską ulicę.

Oboje znikli za zakrętem. Pawełek wolno włókł się ich śladem, usiłując przekonać samego siebie, że gwizdzie na Nastkę, na Sierioğę, i że nic go nie obchodzi dzwoneczki rozbrzmiewające w nastczynym śmiechu.



Przed wieczorem Pawełek rąbał siekierą chrust nagromadzony w drewni i słuchał rozmowy między ojcem i matką. Ojciec rozwiesił na plecionym płocie ledwie tylko podniszczoną świtkę z rudej owczej wełny i szukał pcheł między szwami, zaś matka siedziała w izbie przy otwartym oknie i łatała porwane na łokciach rękawy pawełkowej koszuli.

— Poszedłbyś, Płatonie, do Berezny i naprawił dach mojej chałupy... Ile razy mam ci przypominać? — W głosie Hanny przebijało lekkie rozdrażnienie.

— Potrzebna ci ta chałupa, jak diabłu łapcie! — Płaton Gordiejewicz mówił ostro i gniewnie. — Sprzedaj budę i po krzyku!

— A bo to kupi kto? Ileż to domów głód wymorzył, że pustką stoją...

— No, to rozwalić ją. Będzie drzewo na opał!

Hanna milczała chwilę, odgryzła nitkę i powiedziała, chichocząc:

— W brodzie już ci hreczka zakwitła, a we łbie niezorany ugór... Toż dzieciaki podrastają! Za pięć-sześć lat trza będzie Nastkę za mąż wydawać. Wtedy chałupa jak znalazł.

Zdziwiony Pawełek wyprostował się, rozejrzał się po obejściu za Nastką. Ale akurat gdzieś się zapodziała. Nie wiadomo

czemu przypomniał sobie Sierioę i wesołe dzwoneczki w nastczynym śmiechu. Zamachnął się z całej siły i wbił siekierę w wyszczerbioną kłodę do rąbania drew. Poszedł do sadu. Nagle przysła gwałtowna chęć na niedojrzałe jabłko, takie kwaśne, żeby aż łzy posypały się z oczu.

Na samym skraju rośło drzewo orzechowe. Pawełek dobrze pamięta ów dzień, w którym nieboszczka matula sadziła to drzewo z jego pomocą. „Na twoje szczęście, Pawełku...” — powiedziała matka. W ciągu lat orzech rozrósł się, rozrzucił szeroko konary. Wśród wielkich, majestatycznych liści widniało mnóstwo zielonych kuleczek, skupionych przy gałęziach w gromadkach — po trzy kulki, po cztery... Szczodrze obrodziły orzechy w tym roku.

Staął jak wryty. Przywiązane postronkiem do pnia, pod orzechem stało cielę. Obok niego Nastka. Dziewczynka karmiła cielaka młodymi chwastami.

— Czemuś do orzecha przywiązała? — rzucił się na nią Pawełek.

— A tobie co do tego? — wyzywająco odpowiedziała Nastka.

— Odwiąż!

— Zawsze go tu przywiązuję.

— Odwiąż! — Pawełek chwycił leżący na ścieżce pręt i chlasnął nim po gołych nogach Nastki.

Nastka krzyknęła, kucnęła, otulając nogi spódniczną i zaniósła się głośnym, piskliwym płaczem. Pawełek w jakimś zapamiętaniu ogrzał ją jeszcze dwa razy po plecach i pobiegł gdzie oczy poniosą.

Bez celu wałęsał się po lewadach, nad którymi zapadał już zmierzch. Długo stał nad mrowiskiem, które wydawało się jakimś karzełkowatym Mont Blanc’iem, obserwując, jak we wszystkich kierunkach snują się ofiarnie rudzi pracownicy, jak ciągną, pochwycawszy drapieżnymi szczypcami, suche pręciki, słomki, drobne grudki gliny — materiał budowlany na dom dla niezliczonego mrówczego rodu.

Pawełek przypomniał sobie, że miał chęć na kwaśne jabłko. Urwał gałązkę młodej lipy, oczyścił ją z listowia, zdarł korę, po czym czysty, biały kijek wetknął w środek mrowiska. Po kilku chwilach patyk jak gdyby ożył, pokryła go ruda, drgająca masa mrówek, gryząc drzewo z wściekłością. Pawełek nieco przeczekał, wyrwał patyk z mrowiska, otrząsnął z mrówek i z przyjemnością zaczął ssać ostro pachnący mrówczy kwas, od którego aż cierpło w szczękach.

Obok przeszła Chrysta, niosąc wiązanekę drew. Pawełek

odprowadził ją ciekawym spojrzeniem. Odkąd Chrysta wróciła ze szpitala dla nerwowo chorych i przywiozła ze sobą urodzonego tam chłopczyka, pierwszego syna Stefana, Pawełek widywał ją często. Nie mógł zauważyć, żeby różniła się czymkolwiek od tej dawnej Chrysty sprzed wypadku, ale wiedział, że różnie o tym mówiono. Opowiadano, że zrobiła się odludkiem, że często skarży się na bóle głowy, i Stefan musi jej pomagać w gospodarstwie. Co do Stefana, ten przeleżał w szpitalu cały miesiąc i wrócił całkowicie wyleczony.

Chrysta znikła za zakrętem ścieżki. Pawełek skierował się na skraj lewad, by sprawdzić jaka będzie jutro pogoda, co w jego pastuszym życiu miało poważne znaczenie. Jeżeli słońce nie zachodzi za chmurami, jeżeli niebo na widnokregu jest czyste, znaczy to, że jutro będzie słoneczny dzień.

Zachodnie niebo zapowiadało pogodę. Ale co tam pogoda! Gorzej z powrotem do domu! Co powie Nastka? A macocha? Ojciec też go na pewno nie pochwali. Więc zwlekał, wahał się wśród drzew i krzaków, zupełnie jak te włóczęgi trzmiel. Mimo że już zaczynał gęstnieć zielonkawy zmierzch, trzmiel wciąż wypełniały lewady swoim basowym buczeniem, przelatując z kwiatu na kwiat i siadając niekiedy dla odpoczynku na jakiś suchy zeszloroczny liść, czy po prostu na trawie.

Pawełek postanowił zapolować na trzmiel. Po mrówczym kwasie czuł w krtani ostrą gorycz. A przecież każdy trzmiel ma w sobie malutki pęcherzyk z miodem — wielkości wiśniowej pestki. Wystarczy trzepnąć trzmiela czapką i już zdobyłeś miód. Tylko trzeba ostrożnie rozerwać takiego włóczęgę z czarnego aksamitu, żeby nie dotknąć odwłoku pomarańczowej barwy, gdzie kryje się ruchliwe, jadowite żądło.

Z właściwą jego wiekowi, nierozsądną chciwością Pawełek zaczął biegać po lewady i tłuc trzmiel. Gorzki smak w ustach już znikł, pokonany przez miodną słodycz, ale by dobrze posmakować miodu, trzeba było zdobyć wiele takich trzmielowych pęcherzyków.

I tu zdarzyło się nieszczęście. Pęcherzyk w ostatnim trzmielu był tak bardzo napęczniały, że, zdawało się, dotknij go palcem, natychmiast pęknie. W takim wypadku chłopcy zwykli wygrzebywać pęcherzyk z brzuszka końcem języka. Niestety, tym razem ostrożność zawiodła Pawełka. Ledwie zbliżył rozdartego trzmiela do wysuniętego języka, natychmiast odniósł takie wrażenie, jakby go ktoś przygrzał po głowie młotem kowalskim: od straszego bólu iskry posypały się z oczu, a potem wzrok pokryła mroczna zasłona, w której miały się na wszystkie strony ogni-

ste kręgi. Pawełek upadł na trawę i zaczął dusić się od od spazmatycznego krzyku.

Po jakiejś chwili zdołał nieco oswoić się z bólem, który wprawdzie nie ucichł, ale stał się bardziej jednostajny i skoncentrował się w języku. Wydawało mu się, że usta ma wypchane żarzącymi się węgielkami, które nie pozwalały poruszać się językowi. Żeby chociaż jeden łyk zimnej wody, żeby zagasić ten ogień! Pawełek puścił się całą siłą nóg do domu. Gdy przebiegał przez swój ogród, czuł, że język już nie mieści się w ustach. Gdyby Pawełek miał tego dnia katar, byłby się udusił.

Obejście tonęło w granatowym półmroku, ale światła w oknach chałupy jeszcze nie było widać. Pomyślał o Nastce, która na pewno przywita go wrogim, obrażonym spojrzeniem. A tatko, a macocha? Jak gdyby na własne usprawiedliwienie, Pawełek chciał powiedzieć: „Trzmiel uciął mnie w język” — ale zdołał tylko zabczeć przez nos coś niewyraźnego... Ból i strach gnały go do izby.

Gdy wszedł i zobaczył, co się dzieje, natychmiast zapomniał o własnym cierpieniu. Ojciec właśnie wyszedł z kuchni, niosąc zapaloną, ale bez szkieleka, lampę. Koło stołu siedziała na stołku obnażona do pasa Nastka i szlochała, przyciskając do piersi zmiętą bluzeczkę. Na jej chudych ramionach, przechodzących w ostro zaznaczone obojczyki, widniały dwie różowe pręgi — ślady po uderzeniach prętem. Hanna stała obok Nastki.

Usłyszawszy skrzypienie drzwi, Hanna podrzuciła do góry czarne półkola brwi, surowo spojrzała na Pawełka i powiedziała:

— Ano, chodź tu, Pawle Płatonowiczu, przyjrzyj się, coś narobił. Jest już siła w rączkach, jest, można i do pługa się zabierać...

Płaton Gordiejewicz przesunął lampę koło ramion Nastki, postawił na stole i obrócił się ku drzwiom. Pawełkowi wydało się, że oczy ojca zbieleły, a usta drgają pod rudymi węsami. Ciągle milcząc, Jarczuk zdjął ramię z gwoździa, chwycił Pawełka za rękę i szarpnął nim ku sobie. Pawełek stracił władzę w ciele ze strachu i wstydu. Chciał powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że niechcący tak silnie uderzył Nastkę, ale z jego ust wydobyło się tylko żałosne, urywane wycie...

Rozjuszony Jarczuk prał z całej mocy, z wysokiego rozmachu. Ból był taki, że Pawełek od razu stracił oddech i jak gdyby zapadł się w kipiącą płomieniem otchłań.

Kiedy przyszedł do siebie, usłyszał wrzaski Nastki i Hanny. Macocha silnymi rękami wypychała ojca do kuchni, wyrывała mu ramię i krzyczała:

— Wściekłeś się, rudy diable, czy jak? Sami się podarli, sami się pogodzą!

— Kiedy mnie wcale nie boli! — wtórowała jej Nastka, starając się usprawiedliwić Pawełka. — Ja tylko byczka do orzechy przywiązałam...

Wolny już od ojcowskiej ręki, Pawełek skoczył ku drzwiom. Wyleciał do sieni, uderzył w mroku o drabinę, narobił hałasu i już był na podwórku. Szlochając, poszedł do szopy, wygramolił się na samą górę, na siano i, wciągając w ciemności gorzko pachnący pył, zdrętwiał sam jeden z szarpiącym nim bólem, z ciężką krzywdą, ze złymi myślami.

Chciał umrzeć, żeby nazajutrz ojciec wszystkiego pożałował, żeby macocha i Nastka ryczały ile zechcą nad jego trumną...

Po jakimś czasie usłyszał, że ktoś trzasnął drzwiami od chałupy. Przy szopie rozległy się kroki ojcowskie pokaszliwanie. Zaszleściło siano pod stopami.

— Weż-no, Paweł, świtkę — spokojnie powiedział ojciec. Rzucona z dołu świtka z szelestem upadła na nogi Pawełka.

— Czy to tak można? — ton głosu był jakby przepraszący. — Poznaczyłeś dziewczynkę pręgami... Ona nawet oddać ci nie może, przecieżeś chłopak! Mnie byś też mógł pożałować. Cóż ty myślisz, przyjemnie mi patrzeć, jak wy się między sobą tłuczecie?

Pawełek nie odzywał się. Ojciec podreptał nieco koło szopy, westchnął i wrócił do chałupy.



Przez sen, w głębi nocy, Pawełek zdał sobie sprawę, że to Nastka budzi go i szarpie.

— Wstawaj zaraz! Wstawaj, Pawełku!

Chciał zapytać, co się stało, ale nie mógł: ból wprawdzie ucichł, ale język był wciąż spuchnięty i ledwie poruszał się w ustach.

— Tatkę zabierają! — przez łyzy oznajmiła Nastka. — W chałupie pełno milicji!

Z przeczuciem czegoś strasznego, Pawełek zwinnie ześliznął się z siana i, jak gdyby bojąc się spóźnić, pobiegł podwórkiem ku domowi, którego wszystkie okna były oświetlone. Biegnąc, zauważył, że wrota są rozwarte, a przy nich stoi wóz, zaprzężony w parę koni.

Po wejściu do izby najpierw zobaczył młodego milicjanta, o różowych policzkach, przepasanego na krzyż rzemieniami. Futerał na rewolwer był rozpięty, milicjant trzymał dłoń obok, na

żółtym, szerokim pasie. Stał przy progu i przyglądał się, jak Płaton Gordiejewicz pomaga Hannie układać bieliznę w torbie. Na pryczy siedział Stefan, wbił spojrzenie w podłogę i milcząc, palił papierosa. Prócz nich w izbie byli jeszcze jacyś ludzie, ale Pawełek nie zwrócił na nich uwagi. Wystraszony, odszedł od milicjanta bliżej do okna i skierował zmieszane, pytające spojrzenie na ojca.

— No, Pawełek, teraz ty będziesz gospodarzem — powiedział ojciec głosem jakby winowajcy, siląc się na wesołość, i popatrzył na syna. — Widzisz, zapotrzebowali mnie...

Stefanowi wypadł z palców niedopałek. Wstał z pryczy i przydeptał go butem.

— Obejdzie się — powiedział. — Tu wyszło jakieś nieporozumienie.

Płaton Gordiejewicz obwiązał torbę postronkiem i zaczął żegnać się — bez pocałunków, bez objęć, jak gdyby miał być nieobecny przez jeden dzień.

— Przyślę adres, pisz o wszystkim, co w domu — powiedział do Pawełka.

„Dobrze” — chciał powiedzieć Pawełek, ale zamiast tego wygęgał przez nos jakieś: — O-o-e...

Wszyscy spojrzeli na Pawełka ze zdumieniem, a w oczach u Płatona Gordiejewicza błysnęła trwoga. Widząc przestraszoną twarz ojca, Pawełek szybko wyciągnął z szuflady stołu zeszyt i ołówek, i na czystej kartce drżącą ręką wypisał koślawe litery: „Wczoraj trzmiel strzyknął mi miodem na język”. Gdy Stefan wziął kartkę do ręki i głośno przeczytał wypisane zdanie, Pawełek pokazał wszystkim czerwony, spuchnięty język.

Rozległ się niewesoły śmiech.

— No, żegnaj, Pawełku... Do zobaczenia. — Płaton Gordiejewicz obrzucił izbę gospodarskim spojrzeniem i skierował się ku drzwiom.

Nie wiedział ani on ani nikt, czy kiedykolwiek to spotkanie się odbędzie...

XXV

— Powiedźcie-no, obywatelu Jarczuk, to wy zawiadomiliście władze zeszłej jesieni, że w domu u kułaczki Olany Basok zebrali się jacyś podejrzeni osobnicy...

— Prawda, była taka sprawa — potwierdził Płaton Gor-

diejewicz, czujnie wpatrując się w szczupłą, szarą twarz śledczego, który siedział naprzeciw za stołem.

— A z jakich to powodów wałęsaliście się w nocy w pobliżu domu Olany Basok?

— Przewodniczący wiejskiej rady prosił, żebym rzucił wzrokiem na pokosy hreczki...

— Nieprawda, obywatelu Jarczuk. Wyście wtedy odmówili prośbie przewodniczącego, towarzysza Hryhorenki.

— Odmówiłem, a potem zem się namyślił.

— Namyśliliście się? No, powiedzmy, że tak... A w jaki sposób dowiedzieliście się, że ludzie, którzy zebrali się u Olany Basok to niebezpieczni wrogowie sowieckiej władzy?

Nie wiedząc co odpowiedzieć, Płaton Gordiejewicz wzruszył ramionami, pomyślał, przypominając sobie wydarzenia owej nocy. Ten, co przyjechał konno, zapytał Olany, czy już wszyscy zebrali się i kazał jej pilnować na podwórzu.

— I jakże to, że was nie dostrzegli?

— Ciemno było. Księżyc wlał za chmurę.

— Naturalnie, widzieliście potem aresztowanych?

— Widziałem, jak ich przyprowadzili do wiejskiej rady.

— Którego z nich, kiedy i gdzie spotykaliście przedtem?

— Żadnego. Wszystko ludzie nieznanome.

— A czy wiedzieliście, że jeden z nich przyszedł do Związku Sowieckiego zza granicy?

— Nie, nie wiedziałem. Skąd miałem wiedzieć?

— A jak sądzicie, dlaczego ci ludzie zebrali się właśnie w Kochanówce?

— Nie wiem. Może to przyjaciele Tryfona, męża Olany, któren poszedł razem z Petlurą.

Zmęczone oczy śledczego wierciły aż do dna i Płaton Gordiejewicz poczuł się nagle tak, jak gdyby rzeczywiście zawinił. Bał się, że śledczy to zauważy i gubił się coraz bardziej.

„Może, doszli do tego, żem ściągnął z pola worek żyta?” — przeleciała nonsensowna myśl.

Śledczy bodaj domyślił się, w jakim stanie znajduje się Płaton Gordiejewicz, zrobiło mu się go żal i wsadził oczy w leżącą na stole, otwartą teczkę z papierami. Zapytał, nie podnosząc głowy:

— W jakim stopniu byliście w carskiej armii?

— W stopniu szeregowca.

— Za co otrzymaliście trzy krzyże Świętego Jerzego?

— Na zwiady chodziłem, no, i...

— Odważnie i walecznie biliście się za cara? — śledczy znowu zaczął patrzeć w twarz Płatona Gordiejewicza.

— Co tu car ma do rzeczy? Sprawa żołnierska... kazali chodzić na zwiady, tośmy chodzili...

— A jakie macie przygotowanie wojskowe?

— Przygotowanie? Zwyczajne, żołnierskie.

— W takim razie jak to się stało, żeście zgodzili się zostać atamanem oddziału powstańców? — Śledczy wpatrywał się przenikliwie w oczy Płatona Gordiejewicza.

— Że niby co? Jakiego oddziału?

— No, Jarczuk, wystarczy! — Śledczy trzasnął ręką po stole, roześmiał się jakby z politowaniem. — Wszystko dobrze wiemy... Tu macie papier, obsadkę i pióro. Piszcie: kiedy, jak i od kogo otrzymaliście zadanie sformowania oddziału. Musicie wymienić nazwiska wszystkich, którychście zwerbowali! A potem porozmawiamy o powodach, które was skłoniły do wydania przywódców, którzy zebrali się na naradzie. Oczywiście, to pomniejszy waszą winę. Jeśli przyznacie się do wszystkiego, władza sowiecka weźmie to pod uwagę...

Płaton Gordiejewicz w żaden sposób nie mógł zrozumieć sensu usłyszanych słów. Zrozumiał tylko jedno: śledczy nic nie wie o skradzionym życie. A cała reszta... Roześmiał się z widoczną ulgą.

— Chyba nie ma drugiego Płatona Jarczuka na świecie, ale wyście mnie z kimś innym pomylili. Ataman. Oddział. Powstańcy... To mi się nawet we śnie nie przywidywało.

— Obywatelu Jarczuk! — Śledczy skrzywił się z widoczną przykrością i podniósł się za stołem. — Nie przystoi wam, starszemu człowiekowi, strugać z siebie wariata. Sprawa jest bardzo poważna. Wicie równie dobrze, jak ja, że wrogowie władzy sowieckiej zamierzali tej wiosny wykorzystać trudności, spowodowane nieurodzajem, i sprowokować chłopów do buntu. Nie jesteście ostatnim ogniwem w tej sprawie. Jesteśmy w posiadaniu dowodów. Potem wam pokażemy. A teraz opiszcie wszystko tak jak było. Dopóki nie złożycie zeznań, nie wyjdziecie z tego gabinetu. Jak już napiszecie, dajcie znać przez wartownika.

Śledczy wyszedł. Drzwi zostawił otwarte. Przy drzwiach zaraz stanął milicjant.

— Obywatelu aresztancie, przesiądźcie się na kanapę — rozkazał po jakimś czasie milicjant, widząc, że Płaton Gordiejewicz nie bierze do ręki obsadki z piórem.

Płaton posłusznie podniósł się z krzesła i usiadł na miękkiej, obitej czarną dermatyną kanapie.

I tak zaczęły dłużyć się dni i noce, zlewające się w jedno-
stajny łańcuch cierpienia i dręczących myśli, ciężkich, natykają-
cych się co chwilę na zagadnienia nie do rozstrzygnięcia. Niby
przedmioty w ciasnym worku, Jarczuk przebierał w pamięci wszy-
stkie zapomniane wydarzenia swego życia. Myślał nawet o tym,
czego sam nie pamiętał, tylko usłyszał od innych. Wiele biedy
i smutku wydarzyło się w tym jednym życiu. Jeśli wymieszać
biedę ze szczęściem i spróbować jaki ma smak, słodczyz ani po-
czujesz — sama najgorsza gorycz.

Rósł i wychowywał się w Kochanówce, bez ojca i bez matki.
Wyrósł krzepki, zbity w sobie, jak młody dąb na polu, gdzie
wiatry nie oszczędzają, zginają, łamιά nie dają zmiłowania ani
mrozy, ani gorący, przepalający listowie oddech słońca. Wyrósł
na przekór wszelkiej niedoli i niepowodzeniom.

Nie było go jeszcze na świecie, gdy ojciec, Gordiej Jarczuk,
poszedł w dalekie strony szukać zarobku i zostawił żonę z dwoj-
giem dzieci w straszliwej nędzy. Wrócił po trzech latach, chory,
wybity z sił. Przez całe trzy lata Gordiej pracował w kopalni
miedzi Amerykanina Hoovera. Dorobił się tam gruźlicy i garści
złota.

Wrócił do domu i zajął się gospodarstwem. Zaoszczędzo-
nych pieniędzy wystarczyło, żeby odnowić chałupę, kupić parę
koni i wziąć w dzierżawę kawałek ziemi. Minął rok, dwa, w gos-
podarstwie zjawiała się krowa, świnię, kilka pszczelich uli. Ale
Gordiejowi to nie wystarczało. Zawzięta, nieludzka chciwość
owładnęła każdą myślą młodego gospodarza. Rubel po rublu
oszczędzał pieniądze, z zawiścią spoglądał na kułackie morgi, na
las należący do państwa. Rodzina, jak zawsze dotychczas, głodo-
wała, żywiąc się czarnym chlebem z otrębami i nieokraszonymi
ziemniakami. Gordiej, chociaż chory na suchoty, nie pozwalał
sobie nawet na kubek mleka. Wszystko szło na sprzedaż, na za-
oszczędzenie pieniędzy...

Wnętrze chaty Jarczuków wyglądało zupełnie jak kuźnia:
zakopcona, prawie bez sprzętu. Nagie ściany z gliny, ikony w
kącie, niczym nieprzykryty stół, długa ława wzdłuż stołu i twar-
de nary między piecem i ścianą — to wszystko, co było w chału-
pie, jeśli nie liczyć pół tuzina olbrzymich czarnych saganów na
ubitej podłodze, w których przyrządzano kartofle i buraki cu-
krowe dla bydła.

Żona Gordieja, maleńka, pokorna Jewdocha, krzątała się po
gospodarsku i ze strachem spoglądała na milkliwego, zawsze
gniewnego męża. Jewdosze zawsze wydawało się, że w oczach
Gordieja pokazują się drapieżne i złowieszcze przebliski szaleń-
stwa. Gordiej stale o czymś myślał. Czy o bogactwie, które ani

rusz nie chciało iść do jego rąk, czy o wilgotnym, duszącym mroku kopalni amerykańskiej koncesji, gdzie ludzie rosyjscy, niczym skazańcy, kuli kilofami przez szesnaście godzin na dobę, bez odpoczynku, bez powietrza. A iluż z nich, nikomu nie znanych pracowników, pozostało na wieki wieczne w tych cuchnących podziemiach?

Suchy kaszel rozrywał piersi Gordieja. Rozglądał się na wszystkie strony, jak zaszczute zwierzę, jak gdyby bał się, że koścista ręka śmierci chwyci go za gardło, zanim zdoła postawić na nogi swoje gospodarstwo. W takich chwilach Jewdocha starała się zaprowadzić swoje dwie małe córeczki, Olę i Grunię, do sąsiadów, a sama chowała się w najdalszy kąt obejścia — byle jak najdalej od spojrzenia Gordieja, od jego ślepej, nienawistnej złości.

Po nieurodzajnym roku przysłała mroźna i głodna zima. Szkarlatyna zabrała obydwie córeczki Jarczuków: Olę i Grunię. Ciężkie nieszczęście widocznie odkryło Jewdosze oczy i rozwiązało jej język. Po raz pierwszy w małżeńskim życiu z Gordiejem śmiało stanęła przed nim i wypowiedziała wszystko, co w męce przemyślała przez długie lata: mówiła mu o jego nieludzkiej chciwości, o ich bezmyślnym życiu. Zarzuciła mężowi śmierć dwojga dzieci.

Gordiej wysłuchał wszystko i poszedł precz ze zwieszoną głową.

Zaczął pić na umór. Wracał do domu po nocach, pijany, i zaczynał znęcać się nad żoną, odbijając sobie na niej wszystkie życiowe niepowodzenia. Jewdocha nie wytrzymała, osłabł w niej rozum, przestała poznawać ludzi i odróżniać dzień od nocy.

Sąsiedzi i krewniacy próbowali wstydić Gordieja. Wziął się trochę w karby, przestał chodzić do karczmy, ale rozum nie chciał wrócić do Jewdochy. Cichutka, zagubiona, wałęsała się po wsi i rozpytywała ludzi, czy ktoś nie widział jej córeczek — Oli i Gruni. Bezbrzeżny smutek sączył się z jej ciemnych oczu.

Po niedługim czasie Jewdocha urodziła syna. Dali mu imię Płatona. Wyglądało na to, że trzymając w rękach maleństwo, okutane w pieluski, żona Gordieja zaczęła patrzeć na świat z rozeznaniami. Ale to było tylko chwilowe.

W chałupie Jarczuków zjawiła się młoda, krzepka dziewczucha, Kyłyna. Gordiej kazał jej doglądać gospodarki, dziecka, chorej Jewdochy, pomagać w domowych pracach. On sam pracował na wydzierzawionym kawałku ziemi, zaś w zimie chadzał na wyrąb lasu.

Mały syn rosł i, przypatrując się, Gordiej także jak gdyby powracał do życia. Na jego pomarszczonej twarzy zjawiał się od

czasu do czasu uśmiech, coraz częściej słyhać było w chałupie jego zachrypnięty głos.

W lecie, gdy Gordiej i Kyłyna zajęci byli pracą, zwariowana Jewdocha brała dwuletniego Płatonka za rękę i szła z nim w lewady, w pole, albo do lasu. Któregoś dnia poszła z synkiem z rana i nie wróciła do wieczora. Gordiej rzucił wściekłe spojrzenie na Kyłynę, że niedopatrzyła, i poszedł na poszukiwania. Przez całą noc okrążał wieś, łąził brzegiem Bużanki, kilka razy wracał do domu, ale żony i syna nie znalazł. Dopiero następnego dnia trafił na nich na odległych łąkach. Jewdocha i mały Płaton spali pod stogiem siana.

Gordiej rzucił się na żonę jak dzikie zwierzę. I gdyby przypadkowo w pobliżu nie było ludzi, pewnie skończyłoby się nieszczęściem. Ale i tak nieszczęście zdarzyło się. Jewdochę trzeba było przywieźć do domu na wozie.

Rozłożona paraliżem, nie podniosła się już więcej.

Gordiej zarządził, żeby żonie nie dawać jedzenia. Po co taka ma żyć? Kyłyna, mając tajną nadzieję, że zostanie gospodynią w tym domu, gorliwie wykonywała rozkaz. Minął miesiąc, drugi, Jewdocha leżała na łóżku, wciąż wpatrywała się bezmyślnie w pułap, albo zwracała wilgotne oczy ku małemu Płatonowi, który krzątał się obok na pryczy.

Gordiej i Kyłyna wpadli w przerażenie. Dłużej niż zazwyczaj zatrzymywali się rankiem i wieczorem przed ikonami w kącie, gorliwiej szepcząc modlitwy.

Jewdocha przeżyła tak jeszcze prawie rok. Ale nie było tu żadnego cudu. Nawet teraz Płaton Gordiejewicz nie potrafiłby wyjaśnić, w jaki sposób, mając zaledwie trzy lata, mógł pochwycić sens zwierzęcego prawa, jakim żyła wówczas jego rodzina. A jednak pochwycił swym niedojrzałym rozumkiem i zdobył się na protest. Przez wiele miesięcy karmił potajemnie matkę, kradnąc z saganów gotowane ziemniaki i buraki cukrowe, przygotowane dla bydła.

Potem zabrakło Jewdochy. Wkrótce po niej gruźlica zabrała Gordieja. Płaton, jako czteroletni sierota został na opiece przebiegłego stryja Włosa, ojcowego brata.

Nieco później Płaton zaczął pracować jako najemnik u kuta, Ihnata Sołohuba, i tam zaznał gorzkiej doli komornika. Potem ożenił się z Maryną, takąż nędzarką, jak on sam, doprowadził do porządku ojcowską chałupę, po niedługim czasie zbudował nową, wydzierżawił u tegoż Sołohuba niewielki kawałek ziemi.

Lata szły. Została za nim żołnierka, zablizniły się rany, otrzymane pod Mukdenem. Podrastały dzieci. Ale bieda nie

chciała opuszczać domu Jarczuków. Cudza ziemia karmiła ich niczym wredna macocha.

Potem zagrzmiała burza Październikowej rewolucji, rozjaśniła los pracującego ludu zorzą szczęścia. Ubodzy chłopci zdobyli wolność, ziemię i prawo do korzystania z owoców swojej pracy. Naród zrzucił ciężar nędzy, wyprostował się i zwrócił twarzą ku słońcu. Ileż to razy usiłowano zasłonić to słońce na Ukrainie! Centralna Rada i hetman Skoropadskij, niemieccy interwenci i burżuazyjno-kułacki Dyrektoriat. Petlura i Denikin, biali Polacy i kułackie bandy. Ale za każdym razem chłopska biedota zwracała się sercem i spojrzeniem ku Północy, gdzie wielki, nieśmiertelny Lenin, wzmacniając panowanie zasad nowego życia, wykuwał przyszłość ojczyzny. Słowa Lenina dochodziły do najbardziej zabitych ukraińskich wsi. Tysiące chłopów dosiadały koni, brały w ręce szable, albo widły i szły na obronę prawdy. Płaton Jarczuk nie należał wśród nich do ostatnich.

Złe lata spłynęły z nurtem czasu. Uspokoili się ziemia. Budowało się nowe życie, przychodziły nowe powikłania, ale takiego nieszczęścia, jakie teraz zwałało się na jego stare barki, Płaton jeszcze nie zaznał. Oskarżano go, że jest wrogiem samego siebie, swoich własnych dzieci, własnej wsi, wrogiem tej leninowskiej prawdy, za którą byłby zdolny przegryźć gardło takiemu na przykład kułakowi, jak Ihnat Sołohub.

I oto teraz zmuszają go od wielu dni siedzieć na tej czarnej kanapie, bez snu i prawie bez jedzenia. Już nawet stracił możliwość rozumowania, już nie rozeznawał się w czasie... Tylko męczący szum w głowie, ostry nie do wytrzymania ból w krzyżu i ognista wilgoć pod pośladkami; wydawało się, że czarną dermatynę kanapy rozżarzył niewidzialny płomień. Od siedzenia przyszły gwałtowne ataki hemoroidalne i uda Płatona spływały krwią.

— Dlaczego to wszystko? Wiele było takich „dlaczego”...

Skądże Płaton Gordiejewicz mógł wiedzieć, że przed jego aresztowaniem, na tej samej kanapie siedział przez wiele długich dni i nocy inny człowiek, którego oskarżono o jeszcze cięższe przestępstwa i żądano wydania współników. Być może, człowiek ten miał złe, czarne serce. A może podobnie jak Płaton, był niewinny. Złożył zeznania, żeby skończyć z torturą. Nieuczciwym palcem wskazał na szereg niewinnych ludzi, między innymi na Płatona.

I tak oto stało się, że do Płatona Jarczuka przywiązano niewidzialną nitkę, idącą od owych obcych przybyszów, których dzięki jego własnej pomocy zatrzymano w Kochanówce. Ci obcy ludzie, o których schwyтaniu natychmiast zawiadomiono odpowiednie władze, nie zdążyli złożyć na miejscu żadnych zeznań i od

razu zostali przewiezieni do Kijowa. A stamtąd przyszedł rozkaz: przeprowadzić dokładne śledztwo, szukać ludzi mających powiązania z ukraińskimi emigrantami w Polsce, brać pod uwagę każdego, który mógłby mieć cokolwiek wspólnego ze Skoropadskim, Dyrektoriatem, Denikinym albo Petlurą...

XXVI

To już prawie tydzień, odkąd Płaton Gordiejewicz nie zaznał snu. Coraz to spokojny, władczy okrzyk od drzwi: „Obywatelu, nie wolno spać!” — zmuszał go do siedzenia z otwartymi, nic nie widzącymi oczami. Więc siedział ze spojrzeniem wbitym w jakąś pustkę, przysłuchiwał się dziwnemu piskowi, świrdującemu mu uszy, tępemu szumowi w głowie, jakimś głosem, krzykom, oddzielnym zdaniom, nawiedzającym jego znużoną wyobraźnię. I samemu chciało się krzyczeć — dzikim głosem, aż do utraty sił...

Chwilami Płaton tracił przytomność, przestawał zdawać sobie sprawę z własnego istnienia. Oto nagle zapada się w jakiś miękki, bezdźwięczny mrok. Znikło bicie dzwonów w głowie, rozwiął się ból szarpiący ciało, krążące dokoła głosy odleciały gdzieś bardzo daleko. Potem złączyły się w całość, w mowę, przypominającą przeciągły jęk, straszną i niezrozumiałą, a jednak Płaton rozpoznawał w niej swoje własne, palące myśli. Skądże się wzięły? Skąd się wzięła ich tajemnicza harmonijność i ważkie znaczenie? Czy może z najprostszych słów, zrodzonych ze strasznego cierpienia? Oto one, te szarpiące duszę słowa!

— Płatonie-ee, słyszysz mnie? Wiem — słyszysz... To ja... twoja matka... Nie, nie nieboszczka Jewdocha... To ja — ziemia. Ziemia mówi do ciebie, mówi w imieniu pola, któreś skrzywdził ubiegłej jesieni. Przebaczyłam ci, Płatonie... Każda kochająca matka przebacza swemu synowi, jeżeli wie, że ten ma dobre serce. A ty masz dobre serce, prawda, Płatonie?

Słyszałeś o legendzie o białej krwi, która za dawnych czasów płynęła w ludzkich żyłach? Wiem, że słyszałeś, znasz ją... Na wiele tysięcy lat zanim krew ludzka stała się czerwona, nie wyróżniałam człowieka spośród istot żyjących pod słońcem i skąpo obdzielałam go ziemskimi owocami. Ale z czasem przekonałam się, że w człowieku tkwi ukryte dobro. Zaś z dobra zawsze rodzi się dobro. Obdarzyłam serce człowieka Mądrością i usynowiłam go. Stał się Człowiekiem — synem Ziemi... Liczne są moje dzieci

— wszystkie plemiona i narody: białe, żółte i czarne... To wszystko twoi ziemscy bracia z tej samej krwi. Ty przecież stanowisz część świata, zaś pole przez ciebie skrzywdzone, stanowi część ziemi. Pamiętaj: jesteś częścią świata i kto pozbawi ciebie życia, ten okradnie świat, jakżeś ty okradł ziemię, a wtedy bezgraniczny smutek wypełnia serce matczyne...

Płatonie, słuchaj mnie pilnie... W twoim narodzie dojrzewa nieszczęście. Wasz władca zobaczył promień słońca i wyobraził sobie, że słońce już zamieszkało w jego duszy. Gdzie pozorne słońce, tam i pozorne ciepło. Duszę waszego władcy ogrzewa mania nieomyślności, wykarmiona przez pochlebstwo jednych i milczenie innych, sparaliżowanych przez strach przed śmiercią. Nie będąc w stanie zrozumieć skomplikowanych spraw ludu, tonący we wszetecznej rozwiąźłości, wasz władca stał się bezlitosny jak śmierć i sieje na ziemi nieszczęście...

Oto twój rozjaśniony umysł zbliży się ku moim słowom i jeśli jest ci przeznaczone, że wyjdiesz za żelazne bramy więzienia i staniesz bosymi stopami na mojej miękkiej glebie, masz krzyczeć tak, aby wszyscy usłyszeli:

„Pamiętajcie: nie można powstrzymać wystrzelonej kuli; pamiętajcie: kto zabija niewinnego, ten zuboża świat, sieje smutek wśród ludzi i sprawia, iż martwizna skuwa jakiś, choćby niewielki skrawek ziemi. Niech się nikt nie próbuje pocieszać, że pamięć o człowieku nie jest wieczna. Należy zdać sobie sprawę, że cierpienie macierzyńskie trwa wiekuiście...”

Czyjaś ręka dotknęła ramienia Płatona Gordiejewicza. Głos rozpląnął się w dzwoniącym huku, który znowu wypełnił ciężką głowę. Płaton z trudnością rozpoznał znajomą twarz śledczego, ale natychmiast zamiast niej ukazała się żółta, porowata plama.

— Towarzyszu Jarczuk, czy zamierzacie złożyć zeznania? — słowa padały na ciemię gdzieś spod sufitu, sprawiając silny ból.

Płaton Gordiejewicz potrząsnął głową, żeby pozbyć się tego bólu, i niezdarnym językiem wypowiedział dziwne zdanie, które zdążyło utkwąć w jego uszach:

— ...Pamięć o człowieku nie trwa wiecznie, ale cierpienie macierzyńskie jest wiekuiście...

Potem gdzieś go prowadzono, pozwolono położyć się na czymś twardym, co mu sprawiło przyjemność. Dokoła przepływały plamy zarośniętych twarzy. Nie chciało się o niczym myśleć. Zamknął oczy, że zapada się w jakąś czarną puszystą przepaść.

Płaton nie widział, ile dni przespał, nie budząc się ani na chwilę. Gdy się wreszcie zbudził, usłyszał ludzką mowę i śmiech. Czyjś znajomy głos niespiesznie opowiadał:

— Powiadam jej, żeby więcej jak dwie szklanki dziennie nie brała, bo pozdychamy przed wiosną. Ledwie ostatnie pół worka mąki zostało. A ta wiedźma zgarnia więcej. Któregoś dnia, widzę — kluski ugniata. Obsztorcowałem ją od góry do dołu i zacząłem wydawać mąkę według własnej miary. Nie pomaga. Jakbym worka nie zawiązał, doberze się i znowu mąkę podiwania. Złapałem raz, nadarłem jej kudłów i powiadam: złapię jeszcze raz, to ci kudły do reszty obedrę. Ale dla pewności stawiam na mące pieczętkę. Jaką? Najzwyczajniejszą: zdejmuję portki i mocno pieczętuję mąkę gołym zadkiem. No, myślę, choć to i grzech, ale teraz cholera ci w bok, więcej mąki nie uświadczysz... Rzeczywiście przez trzy dni taką rzadką lurę gotowała, że się kichy kleiły. No, nic, tylko poidło dla cieląt. Ale potem widzę: znowu kluchy w garnku pływają. — Brałaś — powiadam, mąkę? Nie — odpowiada — nie brałam. Przecieżś opieczętowałam... Lecę do komory, patrzę prawidłowo, mąka opieczętowana. Ale przyjrzałem się lepiej... Acha... Pieczęć niby tak, wygląda że moja, ale herb całkiem nie mój. Nie mój herb!

Głos opowiadającego utonął w hucznym śmiechu. Płaton otworzył oczy. Zobaczył obszerną celę więzienną i chłopów z zarośniętymi twarzami, siedzących na drewnianych narach. Nie brakowało wśród nich znajomych z sąsiednich wsi.

Drzwi otwarły się z hałasem i wszyscy ucichli. Weszło dwóch strażników z chlebem i dwoma kotłami; w jednym — zupa, w drugim — jaglana kasza.

Płaton Gordiejewicz dostał pół miski polewki i kawałeczek chleba.

— To wszystko? — zapytał przysadzistego dozorcę o czerwonej twarzy.

— Wszystko — odpowiedział krótko strażnik.

W nocy, gdy już cela zasnęła, na nary do Płatona przysiadł się znajomy chłop z Berezny.

— Jarczuk — powiedział szeptem — nie skazuj siebie na mordęgę. Pisz wszystko co każą, bo nie wytrzymasz. Myśmy też na początku upierali się, a potem złożyliśmy zeznania.

— Przecież niczym nie zawiniłem.

— A myślisz, że my jesteśmy winni?

— Toż to śmierć.

— Niech raz będzie koniec... Przynajmniej bez męki.

— A co mam pisać? Śledczy żąda, żebym wskazał współników.

— A to nie masz wrogów we wsi? Ich wszystkich wypisz i po krzyku! Musowo... A jeżeli dojdzie do sądu, to wszystkiego się wyprzesz.

Po trzech dniach Płatona znowu zaprowadzono na śledztwo. Ten sam gabinet, ta sama czarna kanapa.

— No jak — zapytał śledczy — będziemy rozmawiać?

— Będziemy — zdecydowanie odpowiedział Płaton. Przyznaję się do wszystkiego, tylko mam jedną prośbę.

— Jaką?

— Córkę mam, zamężną, Juhynę. Na chutorze mieszka. Chcę, żeby do mojej chałupy przeniosła się z rodziną. Żeby mój synek przy niej został. Boję się, że macocha go porzuci samego.

— Siadajcie i piszcie list do córki.

— Poślecie?

— Daję słowo...

Płaton Gordiejewicz napisał krótki list do Juhyny, a potem przystąpił do składania zeznań.

Niezgrabne linijki zaczęły wypełniać białą kartkę papieru. Wszystko, od początku do końca, było nieprawdą. Płaton pisał, ogarnięty gorączkową wściekłością, podniecając swoją niezbyt bogatą fantazję i pisząc, wyładowywał swój gniew, nie wiadomo na kogo. Przypomniawszy sobie, że za czasów petlurowszczyzny w okolicach Winnicy operowała banda atamana Matiuszenki. Płaton nawet nie wiedział, czy Matiuszenko jeszcze żyje, ale napisał, że niedawno widział się z nim w lesie koło Kochanówki i otrzymał zadanie utworzenia bojowego oddziału z setki pewnych ludzi.

Ale na kogo wskazać jako na współsprawców? Płaton postanowił, że nie wymieni nikogo z tych, którym byłoby niełatwo usprawiedliwić się. Jeśli już ma popełnić grzech, to żeby nie był śmiertelny, jeśli z musu popełnia niktzemność, to tak, żeby mu nie uwierzono, żeby wiadomi ludzie musieli zastanowić się i domyśleć, iż podejrzliwość bez podstaw stanowi rozsądek tchórzny.

Ale niktzemność pozostaje niktzemnością. Niczym jej nie usprawiedliwisz, w żaden sposób nie przekonasz swego serca, żeś postąpił właściwie, wplątując niewinnych ludzi w nieszczęścia. A jednak innego wyjścia nie znalazł. Wypisał na kartce nazwiska tych, którzy pierwsi wstąpili do kołchozu i byli w Kochanówce filarami nowego, odradzającego się życia. Chyba tam na górze nie uwierzą, że to właśnie oni są wrogami!

Wszedł śledczy, który przedtem zabrał list do Juhyny. Usiadł za stołem i powiedział do Płatona Gordiejewicza:

— O mało bym zapomniał — mamy informacje, żeście przechowywali broń. Napiszcie także i o tym.

Płaton Gordiejewicz podniósł na niego zdziczałe oczy i boleśnie uśmiechnął się. Po raz pierwszy pomyślał, że śledczy musi być złym człowiekiem, który swoją własną psychologię przykładą do cudzego życia i postępowania. Najwidoczniej, każdy, kto trafił

w jego ręce, z góry jest uznany za zbrodniarza i kłamcę. Pozostaje jedynie uzasadnić to rzeczowo...

Z sercem wypełnionym gniewem, uczuciem bezsilności wobec dziającej się krzywdy, dopisał na dole kartki:

„Również przyznaję się, że przechowywałem broń, którą milicja skonfiskowała przy końcu 1927 roku” — i z wściekłością złożył pod tym zamaszty podpis.

XXVII

W więziennej celi czas się nie liczy. Godziny liczą się tylko uderzeniami serca uwięzionego człowieka. Nieskończenie długo ciągnie się szara monotonna przedza czasu...

Dwa lata przesiedział Płaton Gordiejewicz w więzieniu. Niewiele zdarzyło się w tym czasie. Wkrótce po złożeniu kłamliwych zeznań zobaczył w czasie spaceru na więziennym podwórku powstanieckich chłopów, których rzekomo zwerbował do powstańczego oddziału. Jak i inni aresztanci chodzili milcząc w kółko, z rękami założonymi za plecy, patrząc sobie pod nogi, na kamienny bruk.

Płaton Gordiejewicz bał się, żeby który nie spojrzął mu w oczy...

Po jakimś czasie znów wezwano go na badanie. Spokój śledczego zadziwił Płatona. Jakimś zwykłym, bezbarwnym głosem, bez cienia wyrzutu, śledczy powiedział:

— Cóż to, obywatelu Jarczuk, niewinnych ludzi do więzienia żeście wpakowali? Oczerniliście najlepszych kołchoźników.

Płaton Gordiejewicz wściekł się.

— To wy, obywatelu śledczy, żeście ich wpakowali! — Głos Płatona aż zachrypnął z niepohamowanego gniewu. — Moimi rękami ich wpakowaliście. I moimi własnymi rękami kazaliście mnie samemu stryczek na szyję założyć... To czego nie ciągniecie?

Śledczy pobłażliwie uśmiechnął się i, nie spiesząc się zaczął coś pisać na czystej kartce papieru. Położył kartkę przed Płatonem i powiedział:

— Proszę stwierdzić, że cofacie poprzednie zeznania.

Nie czytając tekstu, Płaton Gordiejewicz podpisał, ledwie powstrzymując trzęsący nim dreszcz.

Na następnym spacerze już nie spotkał na więziennym podwórku swoich krajanów.

A więc dwa lata poza nim. Przez te dwa lata kilka badań,

które nie dały żadnego wyniku i jeden list z domu. Płaton dowiedział się z listu, że córka Juhyna przeniosła się z całą rodziną do Kochanówki i zamieszkała w jego chałupie. Ale Hanna i Nastka nie wróciły do Berezny — siedzą w małym pokoiku, a z nimi Pawełek.

Wczoraj odbyła się rozmowa ze śledczym — zdaje się, już ostatnia.

— Jarczuk — zapytał śledczy — powiedzcie uczciwie, cóż to, za świętego się uważacie?

— Jakbym był święty, to by się do mnie modlono...

— Zrozumcie moją sytuację: przez dwa lata przetrzymałem was w więzieniu, a żadnych dowodów na oskarżenie nie ma. Przecież muszę jakoś uzasadnić przesiedziany czas... Przyznajcie się do czegokolwiek!

— Do czego?

— Do czego chcecie. Każdy człowiek ma jakieś winy....

Płaton Gordiejewicz zastanowił się, z niemym wyrzutem popatrzył na chude, znużone oblicze śledczego i powiedział:

— Ukradłem w kołchozie worek siewnego ziarna.

— Podpiszcie...

XXVIII

Juhyna dobrze się poczuła w starym, ojcowskim domu. Wydała się stąd za mąż w dwudziestym trzecim, gdy niewiele jej brakowało do osiemnastu lat, a wróciła z czterema synami, jak gdyby do własnej młodości powróciła.

Może właśnie dlatego w długie zimowe wieczory jarczukowa chałupa tak często dzwoni pieśniami i ogólnym śmiechem, podczas gdy z zamarzniętych okien nikłe światło sączy się na zaśniewane podwórko. Wieczorami Juhyna zwykła siadywać w dużej izbie za maszyną do szycia. Nikt jej nie uczył sztuki krawieckiej, ale potrafiła uszyć wszystko, co jej i rodzinie było potrzebne. Za niewielką opłatą brała robotę od sąsiadów.

Pedałowa maszyna do szycia stała obok stołu, nad którym wisiała duża lampa naftowa. Przy stole zazwyczaj siedzieli, odrabiając lekcje, Pawełek i Nastka, oraz dwaj starsi, już uczący się w szkole, chłopcy Juhyny: Piotruś i Tomasz. Młodszy synowie — Jura i Tarasek bawili się lalkami na pryczy.

Ihnata, męża Juhyny, po wieczorach w domu nigdy nie

było. W zimie pracował w cukrowni na nocnej zmianie i wracał do chałupy dopiero o świtanu.

Niekiedy Hanna także wychodziła ze swojej izdebki. Siadała na ławce z kądzielą i wrzecionem w rękach i przędła, przyglądając się temu, co działo się w izbie, i niekiedy włączając się do ogólnej zabawy.

Zazwyczaj zaczynało wieczór od żartów z trzyletniego Taraska. Tarasek jeszcze nie zdążył wydobrzeć po minionym okresie głodowym — miał wielką, słabowitą brzuszynę, tak wielką, że ilekroć chłopczyk potykał się i przewracał, trudno mu było wstać na równe nogi. Tarasek chodził jak kaczką, bardzo powoli, płącząc się w długiej, aż do pięt, koszuli, którą nazywano sukienką.

Właśnie przetoczył się przez próg, niby beczułka; przyszedł razem z Tomkiem z komory, dokąd przyprowadzono krowę, tuż-tuż mającą się ocielić, aby ją uchronić przed srogim mrozem.

— Tarasek — zapytała Juhyna, zatrzymując maszynę do szycia — a co, cielątka jeszcze nie ma?

— Jeszcze nie ma — piskliwym głosem odpowiedział Tarasek.

— A co krowa robi?

— Nażarła się i siedzi.

— Siedzi? — Juhynie już zbierało się na głośny śmiech. —

I jakże to ona siedzi?

— Złożyła łapy i siedzi...

— Łapy? Przecież krowa nie ma łap, tylko nogi!

Chałupa trzęsa się wielkim śmiechem. Wydawało się, że nawet lampa, wisząca nad stołem, radośnie mruga do śmiejących się. Gdy ucichł śmiech, Piotruś, który chodził już do drugiej klasy, a teraz ślęczał nad książką, nagle zapytał Juhynę:

— Matulu, a czy to prawda, że ziemia jest okrągła jak jabłko i że na drugiej stronie mieszkają Amerykańce?

— Prawda! — Nastka wyprzedziła Juhynę z odpowiedzią.

— To jakże one tam chodzą? — zdziwił się Piotruś. —

Jak te muchy po suficie? Do góry nogami?

Nastka zaczęła wyjaśniać Piotrusiowi, ale Juhyna natychmiast jej przerwała. Roześmiała się młodo i dźwięcznie, po czym powiedziała:

— Tak nie może być, żeby Amerykańce chodziły nogami do góry.

— A to jak? — nie poddawał się Piotruś.

— Jeszcze przed rewolucją — odpowiedziała Juhyna — nasz kum, Hałahan wyjechał pracować do Ameryki. To potem napisał do nas list, że pracuje na takiej fabryce, co to wyrabia szelki dla chłopów. To po kiego diabła byłyby tym Amerykań-

com potrzebne szelki, gdyby chodzili nogami do góry? Toż przez łeb portki takiemu nie opadną!

I znowu śmiech wypełnia izbę i lampa wesoło pomrukuje pod sufitem.

Juhyna zaraża wszystkich swoim śmiechem. Śmiejąc się, polyskuje ładnymi, białymi zębami i odrzuca do tyłu głowę, okręconą grubym warkoczem o kolorze dojrzałych kasztanów. Juhyna ma młodą twarz, z dołeczkami na policzkach i duże piwne oczy, w których zawsze czają się diabełki figlarnych iskierek.

Na chwilę w izbie nastaje cisza. Pawełek ściąga brwi nad zeszycem, rozwiązując trudne zadanie. Co prawda, w rodzinie już go nazywają Pawłem, przecież już dorosły chłopak, skończył szesnaście lat, niedługo wyjdzie z siódmej klasy. Nastka także wyrosła... Zdawało się, jeszcze wczoraj była płacziwą dziewczuszką z dwoma mysimi ogonkami na plecach. A teraz patrzy na wszystkich z jakąś dziwną pobłażliwością w głębi ogromnych, niebieskich oczu — zdaje sobie sprawę z własnej urody i rozumu. Ale jak dawniej w jej śmiechu rozbrzmiewają srebrne dzwoneczki, jak dawniej skłonna jest do swawoli i zadzierzysta.

Maszyna do szycie miarowo postukuje. Do wtóru maszynie Juhyna rozpoczyna piosenkę. Głos ma łagodny, wysoki, o delikatnych modulacjach.

*...Wieczór na dworze, nocka się zbliża,
wyjdź na głos serca, dziewczyno chyba...*

Piotruś i Tomasz natychmiast włączają się do śpiewu, za nimi Jurek. Nawet mały Tarasek stara się utrafić i powtórzyć na czas ostatnie słowa każdej zwrotki. Chłopcy śpiewają cienkimi, po dziewczynisku zawodzącymi głosami, ale żaden z nich nie przerywa swego zajęcia.

*Nocka gwiazdami niebo okryła,
wyjdź do mnie szybciej, dziewczyno miła...*

Nastka spogląda prześmiewnie na chłopaków. Piotruś podchwytuje jej spojrzenie i milknie zawstydzony. Żeby naprawić swoją niezręczność, Nastka także zaczyna śpiewać — robi się umyślnie bardzo poważna. Głos ma czysty, równy, gruchający jak u gołębiczy.

*Pozwól mi zajrzeć w twe jasne oczy,
poczuć przy ustach woń twych warkoczy,
patrzeć na liczko, na białe ręce
i objąć giętkie ciało dziewczęce...*

Tylko Paweł nie śpiewał. W ogóle w obecności Nastki bywał nieśmiały i milczący. Hanna również nie śpiewała. Jedną ręką szarpiąc rozpuszczone włókna konopi, drugą ręką umiejętnie kręciła wrzecionem, koło którego okręcały się coraz nowe pasma przędzy.

Posępne myśli opanowują Hannę. To już trzeci rok, odkąd arestowali Płatona, trzeci rok od sprowadzenia się do domu Juhyny i jej licznej rodziny. Hanna tu teraz ani gościem, ani gospodynią. Rozumiała, że należałoby wracać do Berezny, do starej na pół rozwalonej chałupy. Ale to łatwo powiedzieć — należy wracać. Nastka w ogóle ani słyszeć o tym nie chce: przyzwyczaiła się do Kochanówki, ma już grono przyjaciółek, a i serce Pawła też, jak się zdaje, po stronie Hanny i Nastki, chociaż kocha siostrę Juhynę, a już jej synków to z całej duszy.

A najważniejsze: jak się teraz w Bereznie ludziom na oczy pokazać? Grunty okrajane aż po same podwórko, ogród wycięty...

Tliła się jeszcze nadzieja, że Płaton wróci i wszystko się zmieni. Chyba nie będą starego człowieka trzymać w więzieniu przez całe życie. Toż nie zarznął nikogo, nie zamordował.

A w izbie już rozlegała się inna pieśń, tak przeciągła i smutna, że Hannę aż chwytало za gardło.

*A najgorzej w życiu
niezależnej sierocie:
nikt jej nie przygarnie,
ni matka ni ociec.*

Wydawało się, że to jakaś sieroca dusza płacze i zawodzi, a jej smutne, nieśmiało wypowiedane słowa rwą serce na kawały...

*Nikt jej nie przygarnie
w to czarne nieszczęście,
ino ten przygarnie,
co chce brać w zamęcie...*

Hanna spoglądała zamglonymi oczami na Nastkę. Czy to nie nad Nastką właśnie i nie nad nią samą, nad Hanną, nad jej gorzką wdowieńską dolą płacze i zawodzi ta pieśń? Ale Nastka ma oczy suche. Oparłszy podbródek o piąstkę tak maleńką, jakby nie była stworzona do chłopskiej pracy, Nastka wymawiała słowa wyraźnie i przeciągle, niemal nie poruszając wargami. Było tak, jak gdyby pieśń rodziła się sama z siebie, a wszyscy w izbie tylko słuchali, powstrzymując oddech.

Hanna przeniosła wzrok na Pawła. O czym on myśli, z

głową nisko pochyloną nad książką? Czy może chowa oczy, wypełnione łzami?

Nie, Pawełek myśli o swoich własnych sprawach. Pieśń jakby go odgradziła od reszty domowników. Nie słucha, utonął w rozmarzonym niebycie.

W jesieni przyjechał do Kochanówki na urlop syn Androna Jarczuka, Hryszka. Grzegorz skończył szkołę lotniczą i został myśliwskim pilotem. Pawełek widzi w wyobraźni, jak Grzegorz idzie wiejską ulicą: w skrzypiących, chromowych butach, wyczyszczonych na jaskrawy glanc, w umundurowaniu z niebieskiego sukna — galife i frencz — a na błękitnych naszywkach frencza po dwa kwadraciki połyskują czerwoną emalią... Lejtnant! To ci słowo! Nietutejsze... Lejtenant... A dokoła trzeszczą płoty, skrzypią furtki, trzaskają drzwi — wszyscy spieszą się, żeby obejrzeć tego Hryszkę, a on z szacunkiem powiada każdemu „Dzień dobry!” i przykłada prawą rękę do czapki ze złotą odznaką nad błyszczącym daszkiem. Poniektóre dziewczęta tak oczy wypatrywały na Hryszkę, że aż czołami szyby powyduszały!

Ten Hryszka Jarczuk jest teraz gdzieś na Dalekim Wschodzie. Lata... To ci nie żart: gdzieś wysoko w niebie lata Hryszka z Kochanówki! A nazywa się Jarczuk, tak samo jak Paweł...

Nie, to nie Hryszka, to Paweł Jarczuk siedzi za sterami stalowego ptaka. Serce zamiera od upajającego zachwytu. Każda komórka jego ciała szaleje z radości: Paweł czuje gwałtowność pędu, posłuszeństwo pokornej maszyny...

Oto widzi daleko w dole Kochanówkę w zakolu rzeczki Bużanki, jak w srebrnej podkowie, rozróżnia znajome ulice. Tam w ogrodzie rodzinny dom a koło domu stoi Nastka i macha ręką ku niebu. Paweł przechyla samolot na skrzydło i zaczyna krążyć nad Kochanówką. Coraz więcej ludzi wybiega na ulice. Ale Paweł nie jest sam jeden: obok niego jego pomocnik, drugi pilot. Oddaje mu stery a sam staje na skrzydle samolotu. Prąd powietrza popycha go, chce zrzucić, ale on stoi, czeka, aż samolot znajdzie się tuż nad placem przed wiejską radą. Jeszcze chwila, Paweł leci na dół, szarpie pierścień spadochronu na piersi i ląduje w samym środku placu. Ludzie biegną ku niemu, ale nikt go nie poznaje, gdyż jest w lotniczym kombinezonie i w hełmie z okularami. Powolutku zdejmuje hełm, poważnie wszystkich pozdrawia. Słyszy okrzyki zdumienia. Nastka patrzy na niego oczami, wypełnionymi szczęściem; obok niej stoi Sierioga, zielony z zazdrości. Nastka rzuca się do Pawła, chwyta go za rękę i prowadzi do domu. Naprzeciw wybiega z obejścia ojciec i idzie w pośpiechu na spotkanie...

Ta myśl o ojcu wyrwała Pawła z objęć marzenia i przywróciła rzeczywistości. Znajduje się w znajomej izbie. Do świadomości

przedostały się smutne słowa pieśni, niby kołysanka śpiewana do snu...

*Oj, przyleciały gąski
z dalekiego kraju...
Oj, zamąciły wodę
na cichym Dunaju...*

Paweł spał bardzo źle tej nocy. Ciągłe myślał, że nigdy nie zdobędzie szczęścia, jeżeli nie zostanie lotnikiem. Wiosna już nie za dziewiątą górą, ostatnia sztubacka wiosna. Będzie miał za sobą siedem lat średniej szkoły — to wystarczy, by dostać się do szkoły lotnictwa. Jeden kłopot — za młody: do właściwego wieku brakuje mu roku, nawet nieco mniej niż roku. Niedawno skończył szesnaście, ale w chwili zgłoszenia się do lotniczej szkoły trzeba mieć siedemnaście.

Cała nadzieja w Stefanie Hryhorence. Bądź co bądź jest jego kuzynem. Czyżby nie zechciał wydać z wiejskiej rady świadectwa, że Paweł już skończył siedemnaście? Ze chce! Paweł wyrósł ponad swój wiek i przegonił wszystkich swoich rówieśników.

Długi czas nie mógł zasnąć, poddając się trwożnym myślom i radosnej nadziei, że uda mu się wydostać ze wsi w świat swego marzenia, daleki tajemniczy świat, który w niczym nie przypomina chłopskiego bytu, tak bardzo jednostajnego, powtarzającego z roku na rok te same obawy i troski, łączące się z ziemią, ze zbiorami i z całą resztą, stanowiącą o chłopskim życiu.

O zamaznięte szyby okien tłuł się zwariowany wiatr. Paweł poczuł dreszcz, gdy sobie przypomniał, że jutro trzeba podnieść się jeszcze o mroku i iść razem z Nastką do cukrowni, przy której znajdowała się ich szkoła. Droga prowadziła przez pięć kilometrów, lasem, okrytym szronem i zamiecionym śniegiem, i polem, okrytym mroźną mgłą.

XXIX

Gdy któregoś wiosennego ranka Paweł zbierał się do szkoły, Juhyna wywołała go na podwórko, obejrzała się dokoła i powiedziała półgłosem:

— Słuchaj, Pawle, jużby czas macochę i Nastkę wygryźć z chałupy.

— Niby czemu? — Paweł patrzył na siostrę z mieszaniną zdziwienia i zatajonej wrogości.

— Cóż ty, niedorostka udajesz? Nie widzisz, że dwom gospodyniom w jednym domu i w jednym ogrodzie za ciasno? Mają swoją chałupę, to niechta se pójda!

Paweł nie wiedział, co odpowiedzieć Juhynie, i w skupieniu patrzył sobie pod nogi.

— Cóżeci tak gębę zatkało? Może Nastki żałujesz? Durnys! Tyle ci Nastka potrzebna, co krowiemu ogonowi zwierciadło!

— Nikogo nie żałuję — odpowiedział pośępnie Paweł. — Tyle że podręczniki mamy te same... A co tatko powiedzą, jak wrócą do domu?

— Toż tatko pisali w liście, żebym się przeniosła do Kochanówki, razem z Pawełkiem żeby być, a Hanna to już wedle woli...

— Z własnej woli nie zechce.

— Zechce! Jeno musisz mi pomóc. — Juhyna mrugnęła porozumiewawczo i wesoło.

— Niby w czym pomóc?

— Jak Hanna zaśnie, utnij nożyczkami, żeby nie zauważyła koniec warkocza. Małe ździebko....

Pawłowi wydało się, że siostra żartuje.

— Po cóż to?

— To już moja sprawa — tajemniczo odpowiedziała Juhyna i znowu zaśmiała się całą szeroką twarzą.

— Nie wykręcaj się! Powiedz!

— No więc... Tom się poradziła starej Sazonichy. Zaczaruje ten kawałek warkocza i Hanna z własnej woli odejdzie z chałupy.

— Łże ta twoja Sazonicha! Głupoty opowiadasz!

— Łże a może nie łże! W jesieni wściekły pies pokaleczył krowę Charytyny-lunatyczki, to Sazonicha też „nałgała”, ale krowę wylekowała.

— To całkiem inna sprawa — odpowiedział Paweł.

Był świadkiem, jak Sazonicha leczyła krowę Charytyny. Najpierw napoiła krowę jakimś zieleń, a po jakimś czasie, kiedy pod jęzorem bydłęcia zjawiły się białe pęcherzyki, zwane „szczeniaczkami”, stara wydusiła z nich malutkie, ledwie zrodzone czerwce i wyjaśniła, że to właśnie one, jeśli krowa je połknie już wyklute z pęcherzyków, powodują wściekliznę.

— A i nie wiadomo, czy aby ten pies był wściekły — zakonkludował wątpiącym głosem Paweł.

Sennie skrzypnęły drzwi i na podwórko wybiegła Nastka, już gotowa do szkoły.

— Czemu się guzdrzesz? — W jednej ręce Nastka trzymała książki i zeszyty, związane szpagatem, drugą ręką poprawiała chustkę na głowie. Domyśliła się, że Juhyna miała z Pawłem jakąś tajną gadkę, i badawczo spojrzała na chłopca, niechętnie wyginając łuki cienkich, czarnych brwi. Z dumną miną ruszyła ku bramie, za którą już niecierpliw się dryblasowaty Sierioła, czekując na Nastkę i Pawła.

Chłopiec rzucił się do chałupy i po chwili już gonił za Nastką i Sieriołą.

— A nie zapomnij com ci przykazała! — władczo krzyknęła za nim Juhyna.

Hanna wyszła z chałupy. Popatrzyła za oddalającymi się sztabakami. Zwróciła się niezbyt uprzejmym tonem do Juhyny:

— Kto ma kury karmić, ty czy ja?

— Obejdzie się bez ciebie — zimno odpowiedziała Juhyna i poszła w kierunku kurnika.

Niesnaski w domu Jarcuków zaczęły się już od dawna. Zabiera się Juhyna do prania bielizny Pawła, a Hanna od razu do niej: „Dlaczego ty? Przecie ja jestem jego matką!”. Przyjdą przyjaciółki do Nastki, siadają za stołem w dużej izbie, żeby wspólnie odrabiać lekcje, a Juhyna w kuchni już przymawia Hannie: „Pełny dom własnych dzieci, a tu jeszcze cudze dochodzą...”.

Nie raz nie dwa mąż Juhyny, Ihnat, pokrzykiwał na kobiety gromkim basem:

— Ejże, a zamknijcie się! Też macie o co się pieklić!

Z Ihnata chłop z czerwoną gębą, z czarnym wąsem i oczami jak rozpalona smoła. Wysoki, szeroki w barach, z łapami jak łopaty, znany był we wsi z tego, że ma siłę byka, a gdy zdarzy się okazja, potrafi za jednym razem wypić wiadro gorzały i zagryźć, jeśli nie całym prosiakiem, to w każdym razie setką kiszonych ogórków. Gdy Ihnat w jakiejś sprawie szedł daleko za wieś, brał na plecy worek z ziemią, o wadze jakiegoś korca, a do ręki żelazny łom. „Nie umiem chodzić bez ciężaru — skromnie wyjaśniał, gdy z niego żartowano, że dziwak. — A jak coś niesiesz na plecach, to i krok równiejszy”. I wymachiwał żelaznym łomem jak zwykłym kijkiem.

Wczesną wiosną cukrownia stawała i wtedy Ihnat zaczynał pracować w kołchozie i nadażał z robotą tak, że przez wiosnę i lato potrafił odrobić tyle dniówek, co inny przez cały rok.

Zazwyczaj Ihnat nie jest skory do rozmowy, ale na niedawnym zebraniu kołchoźników zadziwił wszystkich. Poprosił o głos i wystąpił w taki sposób, że wzburzyła się cała wieś.

— Miarkuję na ten przykład — mówił Ihnat, z ciężkim trudem dobierając słowa — że jak któren w kołchozie robotny jak

kot napłakał, to mu, psia jego kość, trza działkę przy domu odciąć aż po samą przyzbę!

Protestująca wrzawa przeszła przez zebranie. Ihnat poczerwieniał, wbił w ludzi oczy czarne jak smoła i, nie wysilając się, krzyknął tak, jakby wypalił z armaty:

— Ano, ciszej tam!

Zaskoczona sala zamilkła.

— Czego syczyta, jak te rozjuszone gąski? Nie spodobało się? Pewnie, psia wasza mać, ogródeczek przy chałupie zawdy poratuje! Jak w kołchozie kiepsko się dzieje, to każdy jeden tyłek w garść i do własnego sadu. A jakby tych sadów nie było, to by każdy miał nadzieję w tym kołchozie i pracowałby dla niego jak diabeł! I nie pozwoliliby naród, żeby się jeden łeb o kołchoźnicze żniwa rozbijał! A tak poniektóre wychodzą na robotę, jakby na pańskie, jak za dawnych czasów. Ani to kołchoźniki, ani gospodarze, ino na ten przykład zwykłe leniwe bandosy!

Mówić Ihnatowi w dalszym ciągu już nie pozwolono. Baby podniosły taki gwałt, że musiał usiąść. Jego własna Juhyna krzyknęła, że rozległo się po całej sali:

— Czeka-j-no, jak wrócimy to chałupy, to ja ci pokażę i sad i pańszczyznę!

W domu Hanna pierwsza zaczęła rozmowę.

— No, jakże, Ihnat, można tak nierozważnie? — powiedziała z wyrzutem. — Gospodarstwo bez ogrodu i sadu to jakby chłop bez butów i portek.

— Robociarze nie gorsi od nas, a jakoś żyją bez sadów! — niepewnie odciął się Ihnat.

— One zwyczajne, żeby w murowankach mieszkać i światła nie widzieć — nie poddawała się Hanna. — A nam, ciemnym chłopom, potrzebna ziemia przy chałupie, żeby było na czym bosą nogą stanąć i ozdobić obejście, jak które potrafi...

— Dlatego wasze babskie nasienie połowę czasu w sadzie traci, a buraków na polu to spod chwastów ani dojrzysz!

— A tobyśta chłopcy też mogły wyjść z siekaczami do buraków, nie? — Hanna widocznie zamierzała rozpocząć dłuższą rozmowę, ale Juhyna jej przeszkodziła. Zwracając się do męża, powiedziała ze źle ukrytą kpina:

— Mało ci, Ihnat, że ci moją gadką dopiekam, to jeszcze inszych musisz słuchać. Chłopom zawdy na pożytek wychodzi, jak im cudze baby rozum do łba łopatą kładą.

Potem Juhyna zwróciła się do Hanny:

— Pan Bóg widzi, że Ihnat urwie się i pójdzie w pioruny, jak we dwójkę zaczniemy na karku mu siadać. Ma już znosić swoją własną kobietę, to ta mu wystarczy za inne!

Hanna nie słuchała Juhyny do końca i szybko znikła w swojej izdebce.

Wreszcie zwady między dwiema gospodyniami zaostrzyły się do tego stopnia, że już obydwom stało się nie do wytrzymania. A że Juhyna nic sama nie zdołała wymyślić, to poszła po radę do babki Sazonichy, która została w Kochanówce znachorką, gdy zabrakło nieboszczki Olany.



Paweł ciągle myślał o tym, co mu powiedziała Juhyna, że powinien uciąć koniec warkocza swojej macosze. Śmieszyło go to i zarazem budziło smutek. Miał wielką ochotę na rozmowę z Nastką, na taką rozmowę, jakiej jeszcze nigdy z nią nie prowadził. Jedyna dobra okazja do tego była po lekcjach, w drodze powrotnej do domu.

Ale jak zawsze, do Nastki przyczepił się Sierioga. Ledwie wyszli ze szkoły, Sierioga wziął książki Nastki i niósł je ostrożnie razem ze swoimi.

Pawłowi zrobiło się przykro. Że też nigdy nie wpadł na pomysł, żeby wziąć Nastczyne książki, chociaż tyle już czasu chodzą razem do szkoły!

Twardo ubita w glinie ścieżka prowadziła wzdłuż pełnego wodorostów stawu, który ciągnął się od fabryki aż do samego lasu. Uczniowie szli ścieżką przerywanym łańcuchem — po dwoje, po troje — gadając o najrozmaitszych sprawach, popychając się i śmiejąc. Najweselsze to chwile w sztubackim życiu, gdy się powraca ze szkoły do domu.

Paweł szedł z tyłu za Nastką i Sieriogą i zastanawiał się, jak i kiedy zacząć rozmowę. Drażniła go obecność Sierioży. Był to wielki, szczupły dryblas; ze zniszczonych, przykrótkich nogawic sterczały białe łydki, zdarte buciki z braku skarpetek nosił na gołych stopach. Kusa marynareczka, która niejedno już widziała, wypłowiwała czapczyzna, ledwie trzymająca się na dawno niestrzyżonej głowie. I co też Nastka w nim widzi? Sierioga ma piegowatą twarz, nos zaróżowiony w zimie i w lecie, maleńkie, chytre oczka, otoczone bezbarwnymi rzęsami. Tylko tyle, że Sierioga jest chłopcem zuchwałym, gotowym na wszystko, odważnie wdaje się w każdą bójkę, nie boi się nawet chłopców ze starszych klas.

W szkole zauważono już dawno, że Sierioga czuje sympatię do Nastki. Ale wystawić go na kpiny to nie takie łatwe — od razu puszcza pięści w ruch. A przy tym Nastka nie daje powodów do kpin — wszystkich chłopców traktuje jednakowo, z nie-

co pobłażliwą uprzejmością i wyższością. A jednak naiwne i wstydlive zalecanki Sierioży sprawiały jej widocznie przyjemność.

Właśnie Sierioża opowiadał Nastce z ożywieniem, jak to on, ryzykując własnym życiem, przedostał się przez staw koło fabryki po topniejącym już lodzie.

Paweł nie mógł znieść tego samochwalstwa i wtrącił się do rozmowy.

— Co ty, Nastka, go słuchasz! — powiedział szyderczym wesołym tonem, chociaż wcale nie czuł się wesoło. — Lunatyk łże jak ten pies!

Sierioża nigdy nikomu nie wybaczał, jeśli go drażniono odziedziczonym po ojcu przezwiskiem „lunatyk”. Słowa Pawła dotknęły go do żywego. Gwałtownie odwrócił się ku niemu popatrzył zbiegającymi od gniewu oczami. Potem spokojnie położył na ścieżce swoje i nastczyne książki, wsadził ręce w kieszenie spodni i zbliżył się do Pawła.

— Ty czego wyzywasz? — z pogroźką zasyczał Sierioża przez cienkie wargi. — Ano, odszczekaj coś powiedział: Bo jak nie...

— A jak nie, to co?... — Paweł także położył swoje książki na ziemi i spojrzął, żeby sprawdzić, jak daleko odeszli inni uczniowie; nie miał chęci bić się z Sieriożą przy licznych świadkach: wiedział, że na pewno mu nie poradzi.

— Jak nie, to ci po pysku nakładę! Nie będę uważał, żeś Nastce krewniakiem!

Nastka stała z boku i z wesołym zaciekawieniem przyglądała się wyrostkom.

— Spróbuj, nakładź! — Paweł także wsadził ręce w kieszenie.

— Masz, na początek wystarczy... — Sierioża, nie wyjmując rąk z kieszeni, zręcznie wyrzucił nogę do przodu i boleśnie kopnął Pawła.

I nagle stało się coś niespodziewanego, zarówno dla Sierioży jak dla Nastki. Twarz Pawła skamieniała; podszedł do napastnika jak najbliżej, nagle wyrwał z kieszeni ściśnięte pięści i uderzył Sieriożę z dołu w podbródek. Sierioża wrzasnął z bólu, poleciał do tyłu, ale zaraz przyszedł do siebie. Po chwili obydwaj taczali się po ziemi, nie żałując ciosów jeden drugiemu.

Kiedy wreszcie Sierioża wziął Pawła pod siebie i w rozwścieczeniu zaczął tłuc jego głową o ścieżkę, do bijących się nagle podleciała Nastka.

— Przestań! — zajazgotała i, wczepiwszy ręce w szorstkie włosy Sierioży, zaczęła ciągnąć z całej siły.

Sierioża krzyknął, puścił Pawła, próbował wyrwać się z

nastczynych rąk. Pawłowi tylko tego było trzeba. Zerwał się z ziemi i całym sobą znowu zwałił się na przeciwnika.

To chyba po raz pierwszy w swoim życiu Sierioğa niestawnie umykał z pola walki. Zalany łzami, rozmazywał krew po twarzy i rzucał straszliwe przekleństwa i pogróżki pod adresem Pawła i Nastki.

Samotna chmura nagle przesłoniła słońce. Na ziemię upadły gęste, grube krople przelotnego deszczu.

— Biegnijmy do dębu! — zaproponowała Nastka.

Czarny stuletni dąb stał jeszcze w zeszłorocznym listowiu, rudym, dzwoniącym jak blacha pod ciosami kropel. Zrzuci martwe liście dopiero po pierwszej burzy wiosennej i wystroi się w zieleń na nowo. Dokoła dębu zgromadziły się tłumnie gęste, przysadziste krzaki głógów.

Paweł i Nastka, zadyszani biegiem, usiedli wygodnie na jednym z obnażonych, grubych korzeni. Nastka poszukała w młodej trawie, zerwała szeroki liść babki i ostrożnie przykleiła go na podrapanym czole Pawła.

— Ale z was durne zabijaki! — powiedziała gderliwie i zarazem łagodnie. — Czego się z nim pożarł?

Odpowiedzi nie było. Szum zeszłorocznego listowia ucichł nad głową: chmura przeniosła się wraz z deszczem na drugi brzeg stawu. Znowu zaświeciło słońce. Ale nie mieli chęci opuszczać schroniska pod dębem. Paweł patrzył prosto w oczy Nastki, wielkie, błyszczące, niezwykle niebieskie, i nie opuszczał spojrzenia. Zmieszana Nastka roześmiała się.

— Czego ślepią wytrzeszczasz?

Paweł poczuł, że policzki mu płoną. Spuścił wzrok i zapytał cichutko:

— Nastuś, Sierioğa ci się podoba?

— A czemu miałyby się nie podobać? Tyle że leń skończony, uczy się kiepsko.

— No, z ciebie w nauce też żadna przodownica.

— Tyś za to przykładny, że na ołtarzu można postawić! — Nastka zaniósła się śmiechem, znowu zadźwięczały srebrne dzwoneczki, aż Pawłowi ciepło zrobiło się w dołku.

Rozmowa nie wychodziła, a przecież Paweł miał tyle do powiedzenia! Ale to niełatwo — tak od razu powiedzieć, że ją kocha... Jak potem Nastce spojrzeć w oczy? I dlaczego akurat dzisiaj ma jej to powiedzieć? I czy w ogóle należy mówić? Przecież Nastka tak już się do niego przyzwyczaiła, że, zdaje się, nawet nie uważa za chłopaka, obchodzi się z nim jak z każdą przyjaciółką...

— Nastka — znowu odezwał się Paweł — dlaczego wtrącałaś się do naszej bójki?

— Bałam się, że cię mocno zbije.

— Dlaczegoś się bała?

— No, bo Sierioga starszy od ciebie i silniejszy.

— Tylko dlatego?

— Cóż się tak rozpytujesz? — w głosie Nastki zabrzmiało udane oburzenie.

— Nie obrażaj się... Muszę ci powiedzieć, że...

— Że co? — Nastka starała się nie zdradzić z ciekawością, ale nastawiła uszu.

— Powiedz, a jakbyśmy nie mieszkali w jednej chałupie, to byś też się na Sieriozę rzuciła?

— Ale! Co by mi na tym zależało!

Jednak ton kokieterii w głosie i śmiejące się oczy zaprzeczały słowom Nastki, więc Paweł prowadził dalej rozmowę.

— To znaczy, że ja ci się... nie podobam?

Smągnęła go uważnym spojrzeniem, zamyśliła się na jedną chwilę, znowu zadzwięczały w śmiech wesołe dzwoneczki. Zerwała się na nogi, pociągnęła Pawła za rękę.

— Jazda do domu! Widzisz go, jak jezor rozpuścił! Jeszcze my niedorośle, a już takie gadki rozprowadzasz...

— Nastka, nie udawaj — Paweł ściągnął brwi i mówił teraz surowym głosem. — Jeszczem ci nic nie powiedział.

— Kiedyś później mi powiesz, Pawełku, bo jak nie, matuli się poskarżę. Toż moim braciszkiem jesteś!

— A ja się obawiam, że niezadługo obcymi dla siebie będziemy. Pójdziecie precz z naszej chałupy.

— Dlaczego?! — Nastka spojrzała na niego przestraszonymi oczami.

— Swarzą się ciągiem Juhyna i twoja matka. — I Paweł opowiedział, o co go dziś rano prosiła Juhyna.

Kiedy już weszli w kochanowieckie ulice, Nastka nagle powiedziała tajemniczo, jak do spiskowca:

— Przyobiecaj Juhynie, że obetniesz koniec matczynego warkocza.

— Przecież ja tego nie chcę! — zdziwił się Paweł.

— Ja sama to zrobię.

— Ty?

— Ano! Ale nie warkocz matce, jeno cielęcy ogon w kołchoźniczej oborze. Wybiorę cielaka podobnej maści, a potem niech stara Sazonicha nad tym czaruje.

Oboje roześmieli się wesoło.

Chłop nie ma w zwyczaju zachwycać się pięknnością przyrody. Wszystko mu wydaje się zwyczajne: zarówno zachwycające zbudzenie się dnia, gdy przy wzejściu słońca niebo rozpala się bogactwem kolorów, jak i wiosenny czas, gdy mleczno-białe ogrody zalewa aromat kwitnienia, i płowa mgła nad gubiącymi się w oddaleniu łąkami dojrzewających zbóż... Chłopi przyjmują urodę kraju, w którym żyją i pracują, jak coś, co rozumie się samo przez się, i równie zrozumiała jest cicha, niewypowiadana, często nieświadomiona radość, płynąca z nieustannego kontaktu z urodą tej ziemi.

Ale Stefan Hryhorenko, może dlatego, że na Saratowszczyźnie nie widział inne wschody słońca, inne wiosny, inne krajobrazy, patrzył teraz z zachwytem na tonącą w kwitnących ogrodach Kochanówkę, która po latach głodu obudziła się do nowego życia; patrzył na spokojną, zamyśloną Bużankę, niosącą swoje czyste wody wśród okrytych zielenią brzegów, na jaskrawo czerwone, jeszcze nie rażące oczu słońce, które leniwie i majestatycznie wytaczało się zza widnokregu, roztopiającego się w fiołkowej mgiełce.

Była niedziela, pierwszy dzień świątecznej radości po zakończeniu wiosennego siewu w kochanowieckim kołchozie. Ledwie zasmużył się świt, Stefan poszedł z wędkami na brzeg Bużanki. Rybołówstwo — to stara namiętność Stefana. Porwany wichrem wydarzeń i urzędowymi sprawami w radzie wiejskiej, Hryhorenko od dawna już nie chadzał na ryby. Zresztą, zgodnie z kochanowieckim obyczajem, nie wypada, żeby dorosły człowiek siedział godzinami nad wodą, jak to robią mali chłopcy, i hipnotyzował wzrokiem pływaków od wędkę. A cóż dopiero gdy chodzi o samego przewodniczącego rady wiejskiej! Ale może tym razem go nie potępią... Ludzie zrobili się ostatnio bardziej wyrozumiali — udobruchał ich radosny, choć zarazem trwożny okres wyciekowania na pierwszy majowy deszcz.

Więc Stefan niecierpliwie rozkładał przygotowany od wczoraj sprzęt rybacki, nałożył na haczyki własnej roboty czerwone gnojowe robaki i zarzucił wędkę na wodę. Przypatrzył się, dokąd słaby wietrzyk i łagodny prąd Bużanki zniosą pływaków, po czym wrzucił do rzeczki przynętę — podsmażane słonecznikowe wytłoki, przemieszane z rozgotowanymi ziemniakami.

A za rzeką, za daleką zamgloną ścianą mrocznego lasu wsta-

wało potężne, ogniste światło. Stefan widział, jak delikatna różowa barwa rozlewa się po niebie, odbitym w wodzie, i podniósł oczy ku słońcu. Od rzadkiej olszynki, porastającej łąki za Bużanką, wyciągnęły się długie cienie, zaś łąki, dotychczas drzemiące pod ciężarem siwej rosy, zaiskrzyły się na niezacienionych miejscach miliardami iskier, jakby to był szmaragdowy obrus, haftowany srebrem. Stefan roześmiał się bezdźwięcznym, szczęśliwym śmiechem, odetchnął pełną piersią, jak gdyby zamierzał krzyknąć, i pomyślał, że okradał samego siebie, pozbawiając się radości asystowania przy narodzinach dnia, ot tak, dla samego szczęścia, bez troski o żadne inne sprawy.

Przypomniał sobie o pływakach, które zamarły na wodzie jak nieżywe, i sięgnął po torbę z przynętą. Garść za garścią rzucał do rzeczki pachnące wytloki, pomieszane z kartoflami. Nowa myśl poruszyła serce radością i smutkiem. Jeszcze tkwił w pamięci miniony głód... A obecnie dla rozrywki Stefan rzuca do wody jedzenie, które jeszcze niedawno byłoby uznane za prawdziwy skarb!

O złych czasach zapomina się równie szybko, jak o umarłym cierpieniu. Kochanówka odżyła, ludzie podnieśli głowy. Już od dwóch lat każdy otrzymuje za przepracowaną dniówkę co najmniej dwa kilogramy. Teraz brygadierzy nie muszą już biegać jak zwariowani po ulicach, walić kijami we wrota i, wysilając gardła, wołać kołchoźników do pracy. Idą z własnej woli, gdyż zjawiała się nadzieja: wszyscy otrzymują zapracowane.

Widocznie, taki już ustalony jest porządek, że nowe życie zawsze rodzi się w męczarni. To dlatego nie ma wyższej i bardziej świętej miłości, niż miłość macierzyńska. Ech, żeby też chłopci zdobyli się na taką miłość do kołchozu! Na razie nie ma jej. Jest tylko gorąca chęć uwierzenia, że minionie nieszczęścia wynikły z nieurodzajów i nieudolnej gospodarki.

Ale Stefan wie: przyjdzie czas i ludzie nie będą w stanie wyjść z podziwu, jak też dawniej mogli pojedynczo męczyć się na skrawkach własnej ziemi, jak mogli żyć bez kołchozów, obciążeni niby pańszczyzną mańrolnymi gospodarstwami, od świtu do zmroku gnąc grzbiety przy młócce, w oborze, na polach i łąkach. I to wszystko, by zdobyć jeden kęs chleba... Teraz wielu wydaje się, że to były złote lata, ofiarowane chłopom przez Rewolucję Październikową. W rzeczywistości zaś złoty wiek dopiero przed nimi. Przyjdą takie czasy, że gdyby chłopu miano powiedzieć: „Występuj z kołchozu, bierz ziemię i gospodaruj sam!” — ten wrzasnąłby na całe gardło: „Zlitujcie się! Za jakie grzechy?!”

Ruch pływaka przerwał stefanowe rozmyślenia. Brązowy, podłużny jak cygaro kawałek dębowej kory zakołysał się, popły-

nał na stronę i nagle gwałtownie zniknął pod wodą. Stefan podciął wędziskiem i z radością poczuł na końcu linki ostro wyrwany się ciężar. Stracił już wprawę, więc zamiast podprowadzić złowionego karasia po wodzie, wyciągnął go na powietrze: pod wczesnym słońcem rybka zabłysła jak żywe srebro.

Bywa tak, gdy ryba zaczyna brać raz po razie, że w głowie ani jednej myśli, tylko spokojny zachwyt w sercu, ręce wyteżone w oczekiwaniu i pilna uwaga — kiedy pływak ponownie zniknie pod wodą.

Nigdzie czas nie przemija tak szybko jak na rybach. Zdawało się — ledwie była pierwsza podrywka, a już słońce stało wysoko, rosa na trawie podeschła i niebo było wypełnione olśniewającym błękitem. Co prawda, w wiaderku, stojącym obok Stefana, popluskowało kilkanaście „japończyków” — tak w Kochanówce nazywają białe karasie.

Na ścieżce, wijącej się wzdłuż rzeczki, Stefan usłyszał czyjes lekkie kroki. Tuż za plecami rybaka kroki ucichły.

„Tosia przyniosła śniadanie” — pomyślał Stefan i uśmiechnął się. Chciał obejrzeć się, ale zaraz zrezygnował. Przypomniał sobie słowa Chrysty, rzucone mu wczoraj mimochodem.

— Żebyś się chociaż prędzej zestarzał, diable pstrokaty!

A przedtem jeszcze Chrysta zauważyła przy jakiejś okazji:

— Widziałeś, jakie oczyska Todośka na ciebie wytrzeszcza? Jakbyś nie był dla niej za ojca, ino za kawalira... Ty byś, Stefanie, z nią surowiej... Różgą byś ją kiedy wysmagał...

— Różgą? Niby za co? — zdziwił się Stefan. — Tosia przecież posłuszna, pracowita.

— A tak. Do tego, żeby ciebie posłuchać, zawsze pierwsza. Wczoraj twoją koszulę zacerowała i to jak — sama bym tak nie potrafiła. I co myślisz, że jej kazałam? Z własnej woli zacerowała!

Stefan zdaje sobie sprawę, że gdy wraca do domu i czule rozmawia z Chrystą, jego najstarsza pasierbica, Tosia, robi się opryskliwa i podenerwowana. Wprawdzie dokładnie wykonywuje polecenia matki, ale z jakąś niedość dobrze ukrytą złością. Na każdą prośbę Stefana odpowiada chętnie i cała jakby promienieje. Jej głos staje się łagodny i śpiewny, jak u Chrysty w młodości, a w wielkich siwych oczach iskrzy się radość i oddanie. Również nie uszło uwagi Stefana, że Tosia traktuje swego braciuzka, czteroletniego Waniuszkę, z prawdziwie macierzyńską czułością, dba o niego bardziej niż sama Chrysta, zaś Waniuszka, albo Iwanjo, jak go nazywa Tosia, odwzajemnia się siostrze nadzwyczajnym przywiązaniem. Chodzi śladem Tosi jak psiak

i we wszystkich swoich chłopięcych sprawach zwraca się tylko do niej.

Wczorajszego wieczoru Stefan, szykując przybory rybackie, zwrócił się do Tosi z prośbą:

— Skocz-no, Tośka, do komory po makuchy...

— Dziecko-ście sobie znaleźli! Nazywajcie mnie Todośką!
— gniewnie odpowiedziała Tosia. Następnie, jakby sama przestraszyła się własnej opryskliwości, zapytała łagodnie: — Ile makucha wziąć?

— Połowę cegły, ale rozbij ją dokładnie.

Todośce miało się już na trzynasty rok. Była długa, wyrosnięta ponad wiek, o delikatnych rysach twarzy — żalosny szczuplak, który starał się wydać dorosłą osobą, choć wszystko zdradzało, że jest jeszcze dzieckiem. Chętnie bawiła się razem z Iwanjem lalkami z gałganów, przy czym sama miała z tego największą uciechę, biła się o byle co z siostrą Olą, wyłaziła na wierzby po gawronie jaja.

Stefan, domyślając się, że stoi za nim Tosia, udawał iż jej nie słyszy. Cekał — niech odezwie się pierwsza.

Tymczasem ryba przestała brać. Pociągnął łagodny wietrzyk, wzburzył powierzchnię rzeki, zakołysał pływakami. Stefan wyciągnął rękę ku torbie z przynętą i niechęć odwrócił głowę. Przekonał się ze zdziwieniem, że to nie była Tosia. O trzy kroki, na samym skraju urwiska stał Pawełek. Miał na sobie stare, wypłowiałe portki, wyrzuczone łatami na kolanach, znoszoną koszulę z niebieskiego perkalu w białe paski i słomiany kapelus. Był na bosaka, ale z tym wszystkim wyglądał na dorosłego. Może takie wrażenie sprawiały czarne brwi, jak ze smoły, ściągnięte nad piwnymi, zamyślonymi oczami, i smągła opalona twarz, z lekko ciemniejszym puszkciem nad górną wargą.

— Bądźcie zdrowi, Stefanie Prokopowiczu — poważnie powitał Stefana zderzywszy się oczami z jego wzrokiem.

— Bądź zdrow, bratanku! — odpowiedział zaskoczony Stefan. — Cóż tak milczkiem stoisz? Myślałem, że moje dziewczuchy śniadanie przyniosły.

— Bałem się, żeby nie przeszkodzić.

— Nie masz wiadomości od tatki?

— Nie — Paweł zdusił westchnienie.

— Nie udało się chłopu... — Stefan dorzucił przynętę i, wiedząc, że ryba nie zacznie brać od razu, wstał i zaczął skręcać papierosa. Powiedział w zamyśleniu: — Wiesz co, Pawle, tak myślę, że twój tatko musiał tu coś narozrabiać w czasie petlurowszczyzny. Gdyby nie to, nie trzymaliby go za kratami.

— Cóż on mógł nawyrabiać? Nigdy nic nie słyshał ani w domu, ani od ludzi...

— Ludzie mogą nie wiedzieć, a w domu nie musowo o takich rzeczach rozmawiać.

— Przecież Petlurę pamiętasz. Sam powinieneś wiedzieć.

— Wtedy, Pawle, takie sprawy się działy, że nie było sposobu, żeby każdego upilnować.

— Nie, tatko nie byli za Petlurą. On za sowiecką władzę każdemu gardło by przegryzł. Ja już nawet o tym na Kreml napisałem, do samego Stalina.

— Dawno? — zaciekał się Stefan.

— Jeszcze w zimie... Nie odpowiadają.

— Na pewno odpowiedzą. No, pewnie — nie od razu; tam przecież tyle listów przychodzi.

— Stefan, potrzebuję zaświadczenia — powiedział Pawełek bez żadnego związku z poprzednią rozmową.

— Jakiego zaświadczenia?

— Zamiast metryki urodzenia.

— Można. Tylko że wszystkie cerkiewne księgi spaliły się w dwudziestym roku, to zaświadczenie będzie niedokładne co do dnia. Ile masz lat?

— Siedemnaście — zełgał Pawełek, nie mrugnawszy okiem.

— Przyjdź jutro rano do wiejskiej rady.

— Rano nie mogę... Egzamin.

— No, to wieczorem. A po co ci świadectwo?

— Chcę iść do szkoły lotniczej.

— Wojskowej?

— Acha...

Stefan posłał papierosa, mocno zaciągnął się gryzącym dymem, spojrzał na pływaki. Milczał jeszcze kilka chwil, potem powiedział takim tonem, jak gdyby czuł, że jest winny:

— Jużbyś lepiej wybrał inny zawód. Nie poszedłbyś do technicznej szkoły budowlanej?

— Nie, jużem wszystko dobrze obmyślił...

— Tak... obmyślił... W tym nie tylko twoja wola. Do wojskowej szkoły mogą nie przyjąć.

— Przez ojca? — nastroszył się Pawełek.

— Właśnie... Tam surowo przesiewają.

— O tym także do Stalina napisałem.

Stefan smutno roześmiał się. Spostrzegłszy, że jeden z pływaków poszedł pod wodę, skoczył ku wędkom.

Pawełek chciał już iść. Zatrzymało go niespodziewane pytanie Stefana:

— A coś postanowił? Z macochą pójdziesz, czy zostaniesz z Juhyną?

— Że niby dokąd mam iść?

— Jakto dokąd? Twoja macocha sprzedała swoją chałupę w Bereznej i kupiła moją dawną, ojcowską. Dziś przenosiny.

XXXI

Po chwili Paweł pędził jak oszalały wąską ścieżką, kręcącą się wśród gęstych zarośli głógów, kalin i bzów, tłumnie cisnących się ku stromemu brzegowi rzeczki. Zielone ręce gałęzi chłostały go po twarzy, chwytaly za ramiona, jak gdyby pragnęły zatrzymać i zmusić do zastanowienia się dokąd i po co tak biegnie. Przecież sam rozumiał doskonale, że i tak nic się nie odmieni. I czy warto żeby się odmieniło?

Ale czuł żal. Nie, żal to w tym wypadku słowo niewłaściwe. Jakieś ciężkie, mroczne uczucie zdławiło mu pierś, sprawiając że serce skoczyło mu do gardła... Jak postrzelona kuropatwa miało się w spazmach, jakby zachłystując się łzami, które dusiły Pawła.

Dopiero teraz zrozumiał dlaczego macocha wyprawiła się w zeszłym tygodniu do Bereznej i o czym wczorajszego wieczora rozmawiała szeptem z Nastką. Ale dlaczego wszystko w tajemnicy? Przecież nie jest ich wrogiem. Toż nie ukrył przed Nastką, że Juhyna kazała mu uciąć pasmo włosów z warkocza macochy. Toż poszli razem z Nastką do kołchoźniczej obory i skrócili ogon czarnemu cielakowi. Całkiem niedawno Juhyna przyniosła od starej Sezanichy cielęcę kudły, opalone i zawinięte w kartkę z kalendarza z liczbą trzynastcie. Juhyna wywołała Pawła do ogrodu i powiedziała tajemniczo:

— Widzisz — stara zaczarowała... Kazała opalone włosy rozsiać po chałupie i obejściu.

Część zaczarowanych włosów Juhyna przesyłała do innego papierka.

— Rozrzuc je w izbie macochy...

Dla zabawy Paweł dał te włosy do powąchania psu sąsiada. Pies powąchał z całym zaufaniem, a potem zaczął tak kichać, że Paweł i Nastka, która nadbiegła w międzyczasie, aż pokładali się od śmiechu.

„Czyżby Nastka opowiedziała to wszystko matce?” — my-

ślał Paweł z przykrością i poczuciem krzywdy, idąc szybko porośniętym trawą zboczem, prowadzącym od Bużanki do wsi.

Z ulicy spojrzął ku domowi, połyskującemu pod słońcem białością ścian; wydał mu się obcy i nędzny; okna w ciemnych obramowaniach spoglądały na świat z wyrazem nudy i smutku. Wydawało się, że chałupa, wraz z Pawłem, boleśnie żałowała, iż nigdy więcej nie usłyszy wesołych dzwoneczków, dźwięczących w śmiechu Nastki.

Na próg wyszła Juhyna — w rękach miała miotłę i żelazną zasuwę od pieca, na której niosła śmiecie z wyprzątniętej chałupy. Paweł zrozumiał, że Hanna i Nastka już się przenieśli.

Ujrawszy Pawła, Juhyna gniewnie skoczyła na chłopca:

— Kaj się podziewasz? Macocha zabrała cały dobytek nieboszczki matuli — płótno, ręczniki, pierzyny! Na golasa cię zostawiła!

— A co mi tam! — ponuro odburknął Paweł.

— Patrzcie go, jaki dobry! Ty nie potrzebujesz, a mnie by się przydało.

— Juhyna wyrzuciła śmiecie za płot i wskazała na dwóch młodszych chłopców — Taraska i Jurę, którzy bawili się wśród śliw, koło starej, zniszczonej szopy.

— To nie trzeba było oddawać — odpowiedział Paweł.

— A co, bić się z nią miałam? Za warkocze ją ciągać?

Wspomniawszy warkocze Hanny, Juhyna roześmiała się, aż zabłyśły dwa rzędy drobnych, równych zębów.

— A stara Sazonicha pomogła!

— Durna ta twoja Sazonicha!

— Jakże! Sam przecie widzisz — Juhyna z całą pewnością siebie wskazała na otwarte drzwi od sieni, prowadzące do izdebki, gdzie przedtem mieszkały Hanna i Nastka.

— Widzę! — Paweł roześmiał się bez cienia wesołości. — Co twoja Sazonicha podsmażała, to był cielęcy ogon, a nie matczyne warkocz.

— Jakże to?! — zawołała Juhyna w najwyższym zdumieniu.

— A tak! — Paweł opowiedział, jak razem z Nastką oszukał siostrę, podśmiewając się nie bez złośliwej i mściwej satysfakcji.

Juhyna patrzyła na brata oczami szklanymi ze zdumienia, nie będąc w stanie uwierzyć temu, co usłyszała. Ale z wyrazu twarzy Pawła zrozumiała, że mówi prawdę, nagle wypuściła z rąk miotłę i żelazną zasuwę, która upadła z głuchym hukiem, schwyciła się za brzuch i zgięła się w pół. Paweł dawno już nie widział siostry, zanoszącej się takim niepowstrzymanym, niemal

histerycznym śmiechem. Z trudem chwytając oddech i zalewając się się łzami, zaśmiewała się piskliwie, odrzucając głowę, oplecioną grubym warkoczem, do tyłu, albo pochylając się do przodu. Dołki na zaróżowionych policzkach błyszcząły i także śmiały się — wesoło, zaraźliwie.

— A żebyś szczeł! — Juhyna ledwie mogła mówić od śmiechu.

Wtem Paweł zobaczył Nastkę. Szła ulicą obok zagrody, taka bliska i tak wzgardliwie obojętna. Nawet nie spojrzała na dom, w którym przeżyła tyle lat, nie popatrzyła na Pawła. Juhyna śmiała się w dalszym ciągu, a Pawłowi wydawało się, że śmieje się z niego i z Nastki, i śmiech ten ranił go coraz boleśniej.

Kiedy Nastka zniknęła za zakrętem ulicy, Paweł wybiegł z obejścia. Wciąż słyszał za plecami śmiech Juhyny i, nie czując pod sobą nóg, zaczął iść nagraną słońcem ścieżką, po której przed chwilą przeszła Nastka.

Wyszedł na róg ulicy i zobaczył Nastkę całkiem niedaleko — dopiero co minęła zagrodę Kuźmy Lunatyka. Przyspieszył kroku. Nagle zjawił się przed nim Sierioğa. Wychylił się z furtki i stanął na ścieżce, z rękami w kieszeniach, pomrugując do Pawła małeńkimi oczkami w oprawie bezbarwnych rzęs.

Bójka byłaby teraz Pawłowi nie na rękę. Chciał powiedzieć Sieriodze coś pojednawczego, ale ten nagle roześmiał się, nie wykazując najwidoczniej żadnych wojowniczych zamiarów.

— Mój tatulo wrócili — oznajmił głosem, przepojonym najwyższą radością.

Jednocześnie Paweł usłyszał niemal zupełnie zapomniany głos Kuźmy Lunatyka:

— Pawełku! Zajdź-no do domu!

Ujrzał w otwartym oknie znajomą twarz Kuźmy, zarośniętą aż po oczy czarną szczecinę.

— List od twego tatki — poufnie szepnął Sierioğa do Pawełka. — Spotykali się ze sobą na budowie.

I w jednej chwili wszystko, co stało się przedtem, odsunęło się i zapadło w niepamięć.

Tatko! Ile to już lat nie było o nim ani słyhu ani dychu...

XXXII

„Nie kradnij”. „Nie kłam”. „Nie krzywdź młodszego”. „Nie niszczyć ptaków”. „Nie łam drzew”. „Nie klnij”. „Nie rzucaj

kamieniami w okna". „Nie drażnij sąsiedzkich psów". Wiejscy chłopcy uczą się od małego tych i wielu innych norm postępowania. Chłopcy łamią przykazania, aż poczują strach przed nieuniknioną karą za brzydkie narowy, albo też przemówi do nich dojrzewające sumienie.

Sumienie to od samego dzieciństwa i aż do śmierci najsurowszy sędzia człowieka i najważniejszy siewca dobra w ludzkim sercu. Szkoda tylko, że sumienie często występuje w roli dobrego siewcy dopiero wtedy, gdy człowiek zmusi je do zabrania głosu, stając przed nim w charakterze oskarżonego.

Płaton Gordiejewicz Jarczuk ciężko oskarżał się przed własnym sumieniem po okradzeniu pola kołchozu w jesieni 1952-go roku. A gdy po czterech latach przyznał się pod wpływem nagłego porywu przed śledczym do przywłaszczenia worka z siewnym ziarnem, wydawało mu się, że każda kara wypadnie znacznie lżej od cierpień, jakich zaznało jego chłopskie serce. Tym bardziej, że śledczy obiecał dwa lata, przesiedziane niewinnie w więzieniu, zaliczyć na poczet kary.

Śledczy dotrzymał słowa. Obywatelowi Jarczukowi zaliczono te dwa lata. Dwa lata z siedmiu, które otrzymał za kradzież własności kołchozu.

Początkowo wszystko to wydało się Płatonowi Gordiejewiczowi złym snem. Siedem lat w obozie pracy poprawczej! Siedem lat! Przypomniał sobie, że Kuźma Lunatyk zarobił za kradzież taki sam termin. Jakby wiatr ze śniegiem wdarł się do jego serca, jakby pękła w nim jakaś sprężyna. Zrozumiał, że nic już nie pomoże w jego nieszczęściu. Do reszty zostało złamane jego życie, przez nikogo nie zauważone i nikomu — prócz Pawelka — niepotrzebne.

Gdyby można było o wszystkim zapomnieć i zatracić czucie samego siebie... Ale szczęście tego rodzaju nie jest, niestety, ludzkim udziałem. Wszystko widziały oczy Płatona, wszystko zapamiętało jego pęknięte serce. Gryzła tęsknota za Pawelkiem, Kochanówką, ojczystą ziemią...

Długi, niekończący się rok spędził Płaton Gordiejewicz wśród różnorodnej armii więźniów na budowie Białomorskiego kanału. Wiele widziały tam jego oczy. Wiele doświadczył i sam. Nieraz wydawało mu się, że nie starczy sił, by przetrzymać.

Rozglądając się dokoła, w żaden sposób nie mógł pozbyć się gorzkiego, nieprawdziwego przeświadczenia, że to właśnie tu, do tego ponurego kraju lasów i bagien napłynęła większa część narodu, zaludniającego państwo, że to tu — główny ośrodek życia.

Czy zlitowano się nad starością Płatona, czy też udobruchał kogoś swoją pokorą i zgodliwością, dość, że z czasem przydzie-

lono go do ciesielskiej roboty. Odtąd dzień po dniu zbijał taczki, robił uchwyty do łopat i oskardów, strugał styliska, budował baraki, piłował belki na deski.

Potem zrobiono Płatonu Jarczuka dziesiątnikiem. Jego ciesielska dziesiątka składała się z ludzi zniszczonych, chorowitych, nie umiejących trzymać porządku w rękę ani topora ani piły. Cierpliwie uczył ich nieskomplikowanego rzemiosła, uczył bez cienia życzliwości gdyż wiedział: to są prawdziwi wrogowie władzy sowieckiej. W jego dziesiątce znajdowali się byli oficerowie petlurowscy, byli członkowie antypartyjnego, trockisto-zinowiewskiego bloku, syn fabrykanta złapany na sabotażu, ksiądz osądzony za antysowieckie kazania, jubiler który z woreczkiem złota próbował uciec zagranicę. Płaton prawie nigdy nie wdawał się w rozmowy ze swymi podopiecznymi wiedząc, że węgiel jeśli nie pali to czerni. Był jednak wymagający i sprawiedliwy w podziale sucharów i machorki.

Zaś wczesną wiosną Płatonowi Gordiejewiczowi oświadczone, że „biorąc pod uwagę jego posunięty wiek i uczciwą pracę”, zwalnia się go przed terminem, ale... bez prawa powrotu do rodzinnej wsi. Nawet do prowincji, do której należy Kochanówka, zamknięta była przed Płatonem droga powrotna.

W tym samym czasie werbowano z więźniów, którym pokończyły się wyroki, dwutysięczną armię robotniczą. Miała iść gdzieś na południe Ukrainy, na budowę metalurgicznego kombinatu.

I oto Płaton jest już w mieście na południowych stepach. Zresztą miasto było gdzieś daleko, ukryte za lasem dymiących kominów fabrycznych. Płaton, jak i wszyscy, którzy poszli do werbunku, zamieszkał we wspólnym baraku, w osiedlu dla robotników, położonym na północ od miasta. Po stu pięćdziesięciu ludzi w wielkich budach bez sufitu, o ścianach i dachach z plecionek z sitowia, z lekka obrzuconych gliną.

Zycie w baraku nie zamierało ani na chwilę przez całą dobę; zawsze ktoś spał, ktoś jadł, ktoś kogoś szukał, słychać było rozmowy, śpiewy, przekleństwa. Prycze zsunięto szeregami jedno do drugich tak ściśle, że, aby dostać się do środka, trzeba było leżeć na czworakach przez cudze poślanie, niekiedy poprzez śpiących ludzi. Płatonowi nie wolno było mieszkać nigdzie indziej, ponieważ kazano mu podpisać zobowiązanie o „nieopuszczaniu miejsca pracy”.

Zaraz po pierwszym dniu pobytu na nowym miejscu Płaton Gordiejewicz spotkał niespodziewanie krajana z własnej wsi — Kuźmę Lunatyka. Kuźma wracał do domu; pozwolono mu na przedterminowy powrót do rodzinnych stron za „wzorową pracę

i zachowanie". Jeszcze na Białomorskim kanale Płaton stracił zaufanie do poczty, więc skorzystał z okazji i wręczył Kuźmie list do Pawła.

Minęła wiosna, lato, mglista jesień. Przyszła wilgotna zima. Nawiązała się korespondencja z Pawłem, z domu zaczęły przychodzić paczki ze słoniną, piernikami i tytoniem. Płaton poczuł, że wraca do duchowej równowagi. Wiedział już jak płynie życie w Kochanówce, wiedział, że Hanna wyprowadziła się z jego chałupy, cieszył się, że Paweł, po ukończeniu siedmiolatki, idzie do szkoły lotniczej.

Ale przyzwyczać się do nowego miejsca nie mógł; wszystko dla Płatona było dokoła niepojęte i obce. Na ogromnym obszarze, wzdłuż niezliczonych torów kolejowych wznosiły się stosy cegieł, kamieni, żwiru, belek, a dalej szły gmachy w budowie i rusztowania. Spod długich drewnianych dachów, wspartych na słupach, wydobywały się chmury gryzącego wapiennego i cementowego pyłu. Na wysokich pomostach grzmiąły obrabiarki i betoniarki. Między torami, a nawet nad nimi unosiły się ciężkie, poczarne szkielety z uzbrojonego betonu i pajęczyna żelaznych konstrukcji.

Tylko doświadczone około mogło odgadnąć w tym chaosie kamienia i żelaza zarysy przyszłych gmachów fabrycznych i fundamenty pieców hutniczych. Jak mrówki w pogodny dzień po budowie bez przerwy snuli się ludzie. Jedni szli gęsiego z rusztowania na rusztowanie, z piętra na piętro, przenosząc cegły, deski, żelazne pręty. Inni pchali taczki z wapnem i cementem. Jeszcze inni, niemal wisząc w powietrzu, wzmacniali oszalowanie. Byli tacy, którzy jak gdyby tańczyli w olbrzymich gumowych buciskach, ubijając świeży beton. Wielkie drewniane cebry płynęły do góry i na dół. Sypały się kaskady iskier przy elektropawaniu. Wydawało się, że nawet niebo przykute zostało do tej zdębionej, dymiącej i huczącej ziemi stalową pajęczyną kabli i lin, idących w skomplikowanych nieładzie z wysokich, cienkich masztów dźwigów i obrotowych żurawi.

Płaton Gordiejewicz należał do ciesielskiej brygady i pracował raz w kombinacie obróbki drzewa, kiedy indziej w oddziałach cechowych, które już weszły do budowy. Cieszył się, że może swobodnie chodzić po olbrzymim terenie, przypatrywać się w czasie zwykłej ciesielskiej pracy wszystkiemu, co się dzieje dokoła, niespiesznie rozmyślać nad tym, że w tak bardzo różny sposób żyją ludzie na ziemi.

Ale wkrótce zaczął się bać tej swojej „wolności”... Mianowicie, opanował go strach poczynając od dnia, w którym posłano go do oddziału mechanicznego, gdzie trzeba było zbić pomost

pod fundament jakiegoś warsztatu. Kiedy podczas obiadowej przerwy wszedł do oddziału, zobaczył, że właśnie odbywa się robotnicze zebranie. Mnóstwo ludzi, obróconych do Płatona plecami, siedziało na warsztatach i parapetach okien i patrzyło na środek hali, skąd rozlegał się dźwięczny, mocny głos przemawiającego. Płaton wsłuchał się i skamieniał na miejscu.

— Towarzysze, należy mieć na uwadze — grzmiał mówca — że na naszej budowie pracuje ponad dwa tysiące ludzi, którzy przybyli z Białomorskiego kanału! Nie brakuje i różnej swołoczy, która uciekła ze wsi przed kolektywizacją. To na nich stawiają wrogowie! To że u nas zdarzają się przestoje w pracy, nieporządki, uszkodzenia, awarie — świadczy, iż wśród nas uwilił sobie gniazdo trockistowsko-zinowiewowscy agenci i faszystowscy dywersanci! Wraz ze zwycięskimi osiągnięciami socjalizmu, w naszym kraju coraz bardziej rozpala się ostra walka klasowa. Wewnętrzny wróg nie śpi, więc należy patrzeć mu na ręce! Musimy być czujni, musimy wiedzieć, jak oddycha każdy człowiek — od kierownika do zwykłego robotnika, nawet do zwykłej sprzątaczkii! Żeby nie zdarzało się tak, towarzysze, jak na stajni przy budowie pieców hutniczych, gdzie na kierowniczym stanowisku pracował carski inżynier kolejowy, do tego odznaczony przez carski rząd krzyżem Świętego Jerzego. Jedynie czujność umożliwiła zdemaskowanie tego ukrytego wroga!

Płaton Gordiejewicz dostał zawrotu głowy i wyszedł na świeże powietrze. Długo siedział na ławce pod gaśnicą pożarową, zbierając i porządkując myśli. Wydawało mu się, że w sercu znowu pękła mu jakaś sprężyna. Poczłł się winny przed tymi ludźmi — winny, że był na Białomorskim kanale, że na wojnie rosyjsko-japońskiej odznaczył się walecznością, za którą otrzymał nie jeden — jak ów inżynier — lecz trzy krzyże Świętego Jerzego. Gdzieś w papierach jego „sprawy” napisane jest o tych krzyżach... Cóż teraz robić? Jak ma udowodnić, że trockiści i zinowiewcy nigdy nie zyskają w nim pomocnika, że nie ma złych zamiarów, że nie nosi kamienia w zanadrzu?

A może nosi jakiś kamień? Czyż nie było czarnej kanapy i dwuletniego pobytu w więzieniu, gdy w dzień i w nocy dręczył się pytaniem: „Za co?”. Wszystko było. A najgorsze, gdy człowiek pada ofiarą nieszczęśliwego przypadku. Właśnie jemu przytrafił się taki przypadek. Wzięli go za wroga i złem zaczęli zwalczać zło. Potem przyznał się, że postąpił na niekorzyść kołchozu i znowu spadła na niego zła kara. Ale miara zła nie powinna przewyższać możliwości sumienia, bo wtedy może zrodzić się nowe, najstraszniejsze zło — nienawiść, zwłaszcza jeżeli człowiekowi nie starcza mądrego rozeznania, jeżeli nie potrafi przeprowadzić

rozdzielenia między zacięłym, przekraczającym wszelką miarę sędzią śledczym i samym państwem.

Nie, Płaton nie nosi kamienia w zanadrzu. Nie chce być wrogiem tego życia, w którym poczuł się człowiekiem, życia Pawełka, Hanny, Nastki, Juhyny, Stefana, całej Kochanówki, całej Ukrainy, całego kraju... A jeżeli wszystkie zło z tego życia nie zostało wykorzenione, to dlatego, że żyją jeszcze na sowieckiej ziemi ludzie o czarnych sercach, wrogowie, ci, którzy marzą jak tu odebrać Płatonowi ziemię i zrobić z niego niewolnika, zaś Pawełkowi przegrodzić drogę ku jego marzeniom. Przecież on sam wykrył wraże gniazdo w chałupie Olany. Prawda, pomógł przypadek. A jak bez takiego przypadku wejść do duszy człowieka i zobaczyć — jakie u niego wewnątrz: jasne czy ciemne? Więc świszcze nad ludzkimi głowami miecz sprawiedliwości, wypatruje, czyje oczy w jego stalowym blasku zaiskrzają się jak u wilka z czyjego głosu sączy się jad żmii... Ale, widać, nierzadko myli się miecz, jeżeli nawet Płaton, stary człowiek, lęka się, że mogą pomylić dawno zgasły połysk jego krzyży Świętego Jerzego z błyskiem wilczych ślepiów...

A może tak powinno być? Może najwyższa mądrość polega właśnie na tym, że lepiej ściąć dziesięć niewinnych głów, niż nie dopatrzeć jednego wilczego łba? Tak, ale przecież za każdą taką niewinną głową stoją dzieci, żona, bracia, siostry! Jakże im iść później przez życie z kulą w piersi i znamieniem hańby na czole? Nie, Płaton nie da sobie rady z takimi pytaniami. Aż strach bierze, gdy się o tym myśli. Straszno i ciężko robi się na sercu. Jest tak jak gdyby zabłądził w duszącej mgłę i spodziewa się, idąc po omacku, że za chwilę zleci do przepaści...

Następnego dnia w fabrycznej elektrowni ciepłej przydarzyło się nieszczęście. Niedawno zmontowana prądnica turbinowa uległa ciężkiemu uszkodzeniu. Też nocy aresztowano głównego energetyka budowy, kierownika TEC i głównego inżyniera, kierownika zmiany, kierownika hali maszynowej, głównego majstra, maszynistę i jego pomocnika, kilku elektromonterów i tych robotników, którzy przybyli z Białomorskiego kanału i pracowali na budowie elektrowni ciepłej.

Dowiedziawszy się o aresztowaniach, Płaton Gordiejewicz utracił spokój do reszty. Trzeba było coś wymyślić, iść do kogoś i zażądać, żeby go przenieśli do najczarniejszej roboty, do tłuczenia kamieni, noszenia cegieł, kopania ziemi...

Po nieprzespanej od ciężkich myśli nocy Płaton wstał jak zdjęty z krzyża: bolała głowa, ssało pod sercem, łamało w grzbiecie. Zapisał się do lekarza i tegoż dnia poszedł do szpitala. Przeleżał cały tydzień. A gdy go wypisano i wrócił do roboty, dowie-

dział się, że zostały wyjaśnione przyczyny uszkodzenia prądnicy turbinowej: przy gwałtownym obniżeniu napięcia prądu nawalił automatyczny regulator obrotów turbiny.

Płaton nie miał zielonego pojęcia o fabrycznej technice. Interesowało go co innego: jak aresztowani? Dowiedziawszy się, że wśród zwolnionych jest także kilku „białomorców”, nieco uspokoił się, ale nie na długo. Jak lawina zaczęły walić się nowe wydarzenia i w duszy Jarczuka coraz bardziej gęstniała lodowata ciemność.

Był posępny styczniowy dzień trzydziestego siódmego roku. Na ściętej przymrozkiem ziemi prawie nie było widać śniegu. Ciągnęło niezbyt silnym, ale takim wilgotnym, porywistym wiatrem, że Płaton Gordiejewicz marzył i ostro czuł swoją samotność, mimo, że dokoła zwijało się kilkudziesięciu ludzi w takich samych jak on watowanych buszłatach, które na pewno widziały już niejedno. Wyładowywano z kolejowych lor drewniane skrzynie z fabrycznymi częściami. Płaton na miejscu rozbijał skrzynie. Gwoździe ze zgrzytaniem wyskakiwały pod jego łomem, łamały się deski.

Do Płatona Gordiejewicza podszedł kierownik robót, Mamczur, postawny, starszy mężczyzna o siwych skroniach i jeszcze młodej, choć pomarszczonej twarzy. Płaton czuł do niego szacunek za wewnętrzne skupienie, które przejawiało się w spokojnym traktowaniu ludzi i w umiejętności nastawienia każdego człowieka we właściwym kierunku, przy pomocy jednego słowa.

— Jarczuk, trzeba wystawić trybunę na placu przed barakiem komitetu budowy. Rzecz pilna! — powiedział Mamczur.

— Co za trybunę? — zdziwił się Płaton Gordiejewicz.

— Dowiedcie się na miejscu. Będzie ogólnie fabryczny wiec.

Z gorączkowego, szybkiego spojrzenia Mamczura Płaton Gordiejewicz wywnioskował, że stało się coś nadzwyczajnego. Nie wytrzymał i zapytał, starając się nie okazać strachu w swoim głosie:

— Stało się co?

Kierownik robót rozejrzał się na wszystkie strony i krótko odpowiedział:

— Tej nocy znowu wielu pozabierali...

Gdy Płaton Gordiejewicz przy pomocy dwóch innych cieśli skończył zbijać z desek prowizoryczną trybunę, przed barakiem komitetu budowy już kotłowały się tysiące podnieconych ludzi.

Płaton wsiąknął w tłum. Został na wiecu. Przyglądał się nieznanym mu osobom, które wychodziły kolejno na trybunę. Wszyscy na trybunę. Wszyscy wyglądali na zatroskanych, zagubio-

nych w jakichś skomplikowanych myślach. Płaton słuchał o czym rozmawiali robotnicy.

— Głównej władzy jakoś nie widać — mówił młody chłop w pikowanej kurtce, pokazując spojrzeniem na trybunę. Zwrócił się do równie młodego sąsiada: — A ten okularnik co za jeden?

— To przewodniczący zawodowego związku komitetu budowy — usłyszał w odpowiedzi Płaton.

— A w czapce z karakułów co za ptaszek?

— Sekretarz miejskiego komitetu.

— A dlaczego nie ma głównego inżyniera?

— Głównego szurnęli w nocy do NKWD...

Przewodniczący komitetu budowy odkaslnął i, opanowując zdenerwowanie, rozpoczął wiec sprawozdaniem. Płaton wpatrywał się w jego pełną, zaczerwienioną na wietrze twarz, której okulary w rogowej oprawie dodawały powagi, słuchał gniewnych słów i czuł, że gniew zaczyna wzbierać i w nim samym. Niedawny strach wydał mu się nieważny i śmieszny. Przewodniczący komitetu informował, że dzięki czujności oddanych ludzi na fabryce wykryto grupę trockistowsko-zinowiewowskich odszczepieńców, wściekłych wrogów ludu, którzy uprawiali szkodnictwo i szpiegostwo. Wśród unieszkodliwionych wrogów znalazł się główny inżynier zakładu, sekretarz komitetu partii, kierownik montażu, wielu zastępców kierowników działów. Sprawodawca wymieniał coraz to nowe nazwiska. Wiatr podchwytował jego rosnący, gniewny głos i ciskał nim w tłum, zastygły na olbrzymim placu.

Następnie na trybunę wychodzili inni mówcy. Z nienawiścią piętnowali ku wiecznej hańbie nędznych wrogów i wzywali do zdwojonej czujności. Niektórzy od razu występowali z demaskatorskimi oskarżeniami.

— Jeszcze przed poprzednią zmianą — gniewnie oświadczył niski mężczyzna w baranej czapce z nausznikami — majster Sereda nie wydzielił mi betonu. Już wtedy pomyślałem, że to wygląda podejrzanie. A wczoraj dowiedziałem się, że Sereda ukrywa swoje powinowactwo z machnowcem, żonatym z jego cioteczną siostrą!

— Elektromonter Cwirkun ukrył przy zgłoszeniu się do pracy, że jego ojciec należał do cerkiewnego bractwa! — informował następny mówca.

Jeszcze inny demaskował swego byłego kolegę, którego rodzice zostali pozbawieni praw wyborczych za sabotaż w czasie kolektywizacji.

Występowali coraz to inni... Przyzywali... Demaskowali...

Płaton patrzył na sąsiadów i widział jak wielką nienawiścią wzbierają twarze młodych robotników. Wszyscy oni wyrosli podczas rewolucji, o wrogach, usiłujących zdusić sowiecką władzę, tylko słyszeli i czytali w książkach. I nagle dowiedzieli się, że wrogowie ci żyli razem z nimi, ściskali im dłonie, uczyli pracy przy warsztacie, cenili ich za tę pracę, chwalili za pierwsze osiągnięcia... Niełatwo przyjąć taką wiadomość. To tak jakbyś bez trwogi przeszedł ścieżką, a potem obejrzał się i przekonał, że pełno na niej syczących żmij... Gdyby nienawiść miała głos, to głos ten, jak grzmiąca trąba oburzenia, zagłuszyłby natychmiast wszystkie inne odgłosy życia.

I jeszcze coś innego zauważył stary Płaton. Odgadywał na wielu twarzach niepokój i popłoch. Widział strach. Ludzie z lękiem grzebali w swojej pamięci, rozrzedzali jej głębokie pokłady, zastanawiali się, czy nie mają za sobą czegoś takiego, co by mogło rzucić na nich cień podejrzenia. Bo okazuje się, że potrzeba tak niewiele. „Daleki powinowaty — machnowiec? „Ojca wybrali przewodniczącym cerkiewnego bractwa...”. „Rodzice nie chcieli iść do kołchozu...”.

Po zakończonym wiecu w milczeniu rozbierali trybunę. Płaton Gordiejewicz milczał, był zamyślony. Odwalił łomem poręczę, obtarł rękawem pot z czoła i popatrzył na szary, wyludniony plac. Dojrzał, że w pobliżu, do kupy żelaznego złomu, na której ćwierkały wróble, podskakując i przelatując z miejsca na miejsce, skradła się kudłaty, bezdomny kot. Płaton przerwał pracę i przyglądał się z ciekawością. Wróble zauważyły kota i — jakby prysnęło z kałuży — wszystkie razem wleciały ku drutom przewodów. Kot spłaszczony przy ziemi, odprowadził ich zielonym, drapieżnym spojrzeniem.

„Żebyś tak, zwierzaku, skrzydła miał, to by się wróblom dostało...” — pomyślał Płaton bez cienia wesołości. Zaśmiał się krótko. „We śnie kotom pewnikiem śni się, że są latające...”. A na sercu wciąż ciężkie, gniotące uczucie.

Znowu zabrał się do roboty. Nie wiadomo czemu przypomniało się ostatnie lato. Któregoś dnia ukradkiem zerwał z kłombu przed gmachem fabrycznego zarządu białą herbacianą różę. Zdumiony jej łagodnym aromatem, oglądał w zachwyceniu delikatne płatki i nagle dojrzał wśród nich czarnego pająka, wysysającego jakiegoś chrząszczyka... Tak samo i w życiu: dokoła słońce i jasność, a czarne pająki zwijają sobie gniazda w najmniej spodziewanych miejscach.

Ponownie zaczął myśleć o wiecu, o zdemaskowanych wrogach. Ale dlaczego tak gniecie pod sercem? Jakby go napojono trucizną. Dlaczego wciąż przywidują się zmienione od strachu

twarze robotników? Wydawało się, że nawet wiatr, zawodzący nad głową wśród przewodów, przepojony jest ludzkim strachem. Huk desek trybuny pod uderzeniami łomu także napędzał trwogę, jakby uprzedzał o nadchodzącym nieszczęściu.

Płaton Gordiejewicz nagle pomyślał, że jego twarz zapewne także wyrażała strach. Bał się nawet i teraz, chociaż nie poczuwał się do niczego ani przed ludźmi, ani przed własnym sumieniem... Nie poczuwa się do żadnej winy, ale ma za sobą krzyże Świętego Jerzego, ale w zeznaniach pozostało głupie zdanie o przechowywaniu broni, napisane w chwili rozpacz. A ta historia z ludźmi aresztowanymi w domu Olany! Płaton boi się nie o siebie samego, boi się o Pawła, o jego przyszłość, o przyszłość wnuków.

Wyobraził sobie, że to nie on, lecz Pawełek był na dzisiejszym wiecu w tłumie robotników i na trybunę wszedł... kierownik robót Mamczur. Dlaczego właśnie Mamczur? Wyszedł Mamczur i oświadczył, że Paweł Jarczuk jest synem... Tak, na pewno nie jest synem ojca, niewinnego jak anioł... Rozmyślenia Płatona przerwał towarzysz, pracujący z nim zawsze do pary, rosły, zwiny chłop, meblarz z Połtawy.

— Może niepotrzebnie rozbieramy trybunę? — zapytał smutnym głosem, odrywając kolejną deskę z pomostu.

— A żeby ci pypeć na jezorze wyrósł! — z gniewem i trwogą syknął Płaton.

Meblarz wpatrzył się w Płatona pobłaźliwie kpiącym, a jednocześnie jakimś chorobliwym spojrzeniem. Zmilczał chwilę, potem powiedział poufnym tonem:

— Brat do mnie pisał niedawno... z Podola, z Kordyszywki — jest pod Winnicą taka wieś...

— Słyszałem — Płaton zdziwił się, dowiedziawszy się po raz pierwszy, że połtawski meblarz jest jego krajanem. — Kordyszywka to w sąsiednim rejonie...

— No, więc dwieście pięćdziesiąt zagród tam mamy. Co dwudziestego chłopą polityczną policja wzięła za łeb.

— Nieźle posolili — pokiwał głową Płaton.

— I dobrze będzie, jeżeli na tym skończą — ciągnął dalej meblarz. — Wczoraj miałem gadkę z jednym uczonym człowiekiem z obozu więźniów — krewny mojej kobiety, na wolności był za profesora. To on tak wyklada, że areszty każdej władzy są potrzebne, niby w rodzaju lekarstwa. Jest tak jakby strach narodowi szczepili. Żeby ludzie bali się władzy i nie ośmielili się nawet zipnąć, jak się im coś nie spodoba.

— Durny ten twój profesor! — Płaton wyciągnął z kieszeni kapciuch i z jakąś zaciętością zaczął skrecać papierosa. — Jaką mamy władzę? Sowiecką! A co to za władza? W radzie wiejskiej

siedzi mój siostrzeniec, w Winnicy w kooperacji rozporządza także mój krewniak. Rosyjscy carowie, żeby naród trzymać w strachu, specjalne wojsko mieli, Kozaków znaczą się. A teraz w armii co który dowódca, to wczorajszy chłop. Rozumiesz? Broń w rękach u chłopu! I, rozumie się, u robotnika. Sam główny komisarz Obrony Narodowej — zwykły robotnik. No, to kogo mamy się bać? Pewnie, sowiecka władza rządzi przemocą. Czy kto chce, czy nie chce, wszyscy muszą uczyć się, żeby za durnych ciemniaków nie chodzić. Prawo takie jest, żebyś przed władzą nie czapował, do doktorowi nie niósł kury i złotego dukata, kiedy trza do szpitala, i żebyś łapał za kołnierza spekulanta i oddawał milicji, bo siódmą skórę chciał z ciebie zedrzeć. Może jesteś przeciw takiej przemocy? Ja także nie jestem przeciw! Pewnie, władza wymagająca! Zmusza, żeby kołchozy kupowały maszyny, wprowadzały elektryczność, żeby zasiewały pola wedle tego, co nauka powiada. Krótko mówiąc — durny twój profesor! Prawdopodobnie się stało, że go do łagra wpakowali. Widać, wielu takich jak on jeszcze śmierdzi na wolności. To dlatego władze przetrząsają wszystko, czyszczą ziemię ze śmiecia.

— To dlaczego jeżeliś taki mądry i święty, kazali ci podpisać zobowiązanie o nieopuszczaniu miejsca zamieszkania? — meblarz wbił w Płtona kłujące, zielone oczy.

— Widocznie zasłużyłem!

— Ano, widzę i ja, żeś bardzo zadowolony.

— Zadowolony czy nie, a wykuwanie nowego życia to ci nie to samo co żucie fasolki ze słoniną. To nie żarty: odebrali bruchatym burżujom majątki, różne tam fabryki, złoto. Nie wszyscy pouciekali zagranicę. Przyczaili się, czekają, a nuż carski orzeł przyleci z powrotem... I miarkuj, że nie wszyscy czekają ze złożonymi rękami. Jest nad czym mózgownicą poobrać...

— Po gospodarsku trzeba obracać, żeby się w mózgu nie pomieszało — pojednawczo powiedział meblarz, zgadzając się już najwidoczniej ze słowami Płtona.

— A to już insza rozmowa. Więcej ci jeszcze powiem — Płton zatrzymał się, badawczo spojrzął na meblarza i po chwili wahania mówił dalej. — I żeby oprócz rozumu było czyste sumienie... I serce z mądrym rozeznaniem żeby było. Bo to spotkałem jednego śledczego... No, jednym słowem, nie daj, Panie Boże, żeby do NKWD przedostali się ludzie, jak ten twój profesor.

— Pieski on profesor, a nie mój! — rozeźlił się meblarz. — Boję się, że przez takich jak on znowu trzeba będzie trybunę stawiać...

Jakoż słowa meblarza wkrótce spełniły się. Po tygodniu zbijał wraz z Płtonem nową trybunę z grubych, nieociosanych krzywul-

ców. Płaton czuł się tak, jak gdyby zbijał trumnę. Dowiedział się już, że po pierwszym wiecu nie wróciło do pracy wielu brygadierów, robotników i urzędników.

Gęsty tłum szybko zapełniał plac przed barakiem komitetu budowy. Nad milczącymi ludźmi unosiły się niezliczone dymki od papierosów. Wydawało się, że robotnicy zeszli się właśnie tylko po to, by zakurzyć w gromadzie.

Jak i uprzednio. Płaton Gordiejewicz stał w zbitym tłumie. Patrzył bez przerwy na trybunę, dziwiąc się, że nie ma na niej wielu z tych, którzy występowali na pierwszym wiecu: nie ma „okularnika”, nie ma „ptaszka w karakułowej czapce”.

„Czyżby także i ich?” — ukłuło pod sercem bolesne podejrzenie.

Płaton Gordiejewicz nie pomylił się. Usłyszał takie rzeczy, że aż dech w nim zapało. Wystąpił nowy sekretarz komitetu partii, wybrany niedawno na miejsce aresztowanego. Szczupły, o żółtej twarzy, z dobrymi, spokojnymi oczami, zaognionymi od ciężkiego niedosypiania, z orderem Czerwonego Sztandaru, widniejącym na marynarce pod rozpiętą skórzaną kurtką. Nowy sekretarz, zanim zaczął mówić, wpatrywał się jakiś czas badawczo w twarze robotników, zbierając myśli. A potem zagrzmiały ostre, twarde słowa przemówienia, wezbrane palącym gniewem i goryczą.

Tytoniowy dym rozpląnął się w powietrzu nad zdrętwiałym tłumem. Tyle dokoła surowych twarzy, ale jakby jedna tylko wielogłowa istota z burzą uczuć w tysiącach piersi, z wichrem myśli w tysiącach głów. Sekretarz komitetu informował, że wielu spośród tych, którzy przemawiali z tej samej trybuny na poprzednim wiecu, w ich liczbie przewodniczący komitetu budowy i sekretarz miejskiego komitetu, zostało zdemaskowanych jako szpie-dzy faszystowskiego wywiadu. Szkodzili w przemyśle i rzucali oszczerstwa na uczciwych ludzi, domagając się ich zniszczenia...

Po wiecu Płaton Gordiejewicz poszedł na plac budowy, gdzie pracowali „białomorcy”. Między betonowymi słupami, wznoszącymi się w głębokim wykopie, odszukał kierownika robót, Mamczura, i zameldował:

— Trybuny kazano nie rozbierać...

Mamczur milczał wyczekująco, potem posępnie zapytał:

— O czym wicowaliście?

— O tym samym. — Płaton powiedział wszystko, co sły-szał.

— Kto ich wie, wszystko może być... — powiedział Mamczur w zamyśleniu i nagle zamilkł, jakby się potknął. Płaton poczuł w sercu dławiący chłód i pytająco spojrzął w nieprzeniknioną twarz Mamczura.

— Ta-ak — kierownik robót pokiwał głową w przygnębieniu. — Diabli wiedzą co się wyprawia! — I znowu urwał, przestraszony, rzucił badawcze spojrzenie na Płatona Gordiejewicza.

Płaton spuścił oczy, chcąc dać do zrozumienia, że nie dopatrzył się niczego złego w słowach kierownika robót, nawet usmiechnął się, ale wypadło to wszystko bardzo niezręcznie. Kiedy podniósł wzrok na Mamczura, spostrzegł że pomarszczoną twarz kierownika okryła bladość.

Między słupami zamajaczyła postać inżyniera w deszczowym płaszczu z brezentu i Mamczur rzucił się na jego spotkanie, raz jeszcze obrzuciwszy Płatona Gordiejewicza podejrzliwym spojrzeniem.



Wczesny ranek kłębił się w wilgotnej, przesywającej mgle. Zanim Płaton Gordiejewicz dotarł na budowę, buty przemokły na wylot, buszłat nasiąknął wilgocią, a i jego samego przejęło aż do kości. A przecież przed nim długi, roboczy dzień. Gdyby tak kierownik robót zechciał posłać go do jakiegoś oddziału, gdzie nie czuje się zimna i wilgoci...!

Wyglądało na to, że Mamczur domyślił się, czego pragnie stary cieśla.

— Pójdziecie na skład drzewa ładować deski — powiedział przy wyznaczaniu zajęć do Płatona Gordiejewicza. I dodał łagodnie: — Praca lekka i zaciszna.

Płaton Gordiejewicz ze zdziwieniem popatrzył na szarą twarz kierownika, zauważył spuchnięte worki pod jego zaognionymi oczami i westchnął.

Gdy już szedł razem z gromadą robotników na skład drzewa, Mamczur zawołał na niego raz jeszcze.

— Płatonie Gordiejewiczu — mówił kierownik, patrząc sobie pod nogi. — Napisałem podanie żeby wam pozwolono na zmianę miejsca zamieszkania... Częściej byście zaglądali do szpitala, to także powinni wziąć pod uwagę...

— Dziękuję — tylko na to jedno zdobył się Płaton, gdyż żadne słowa nie byłyby w stanie wyrazić tych wszystkich uczuć, które nagle wdarły się do jego serca.

Kierownik Mamczur zrozumiał go doskonale.

Och, jakże się wstydzi Nastka, pisząc list do swego chłopaka. Prawda, Paweł nie zupełnie obcy, ale i nie krewniak. Dziwne — nie krewny, ale tak jakby nim był. A pisać trzeba różne takie rzeczy... Po cóż zadaje pytania, na które dawno już odpowiedziała? Nie odpowiedziała wprost, ale przecież nie głupi, na pewno wszystko zrozumiał...

Nastka siedzi za stołem, pod maleńkim oknem, o ramach szerniałych od starości i częstego czyszczenia naftą. Za tym samym stołem w dawnej chałupie Stefana, gdzie przed czterema laty siedzieli tajemniczy goście Olany. Nastka wspomina minioną jesień, kiedy to Paweł codziennie wybiegał przed wieś w oczekiwaniu na listonosza. Ciągle spodziewał się, że otrzyma zawiadomienie o terminie egzaminów do lotniczej szkoły. Któregoś dnia Nastka także wyszła za wieś, niby do lasu po opał. Żeby Paweł nie domyślił się, wzięła ze sobą grubą sznur na chrust.

Zobaczyła Pawła siedzącego na kamiennym żarnie przy starym, na poły zrujnowanym wiatraku. Nie odrywał wzroku od bezładnej, znudzonej drogi, prowadzącej do miasteczka Woroncowki i, zdawało się, słuchał sennego skrzygu ślepego wiatraka, który podnosił ku niebu szkielety dwóch ocalałych skrzydeł, już obojętnych na podmuchy wiatru.

Paweł zobaczył Nastkę i uśmiechnął się w zakłopotaniu. Wiodocznie nie chciał, żeby Nastka domyśliła się, że oczekuje zawiadomienia o wyjeździe do szkoły z taką dręczącą niecierpliwością. Ale przed Nastką trudno cokolwiek ukryć.

— Czekasz na listonosza? — zapytała z bezlitosną kpina.

— A tak... Dawno nie było wiadomości od tatula.

— Listonosz u siebie w domu. Ziemniaki wykopuje w ogrodzie.

— Naprawdę? Gdybym wiedział, sam był poszedł na pocztę.

— Chodź-no lepiej ze mną do lasu po opał. Takie wietrzy-

sko dziś w nocy huczało! Musiało dużo suchych gałęzi nawalić.

— Chodźmy! — z nieskrywaną radością zgodził się Paweł.

Istotnie, las wyglądał niezwykajnie. Pod nogami mnóstwo suszu i kupy potarganego listowia. Było tak jak gdyby drzewa stoczyły ze sobą okrutną walkę. Pokaleczonych liści było najwięcej na ścieżkach, które jeszcze nie zdążyły zarosnąć trawą i chwastami. Poszarpane wiatrem liście już zaczynały gnicić i w całym lesie aż

dusiło od gęstego zapachu, który przypomniał parową łaźnię i woń brzoźowych miotełek.

Przeszli przez wąty, skrzypiący mostek, wrosnięty w brzegi rudego żabiego strumyczka, poszli w górę ku sosnowemu zagajnikowi i, patrząc pod nogi, maszerowali po ścieżce zasypanej igliwiami. Paweł zapytał Nastkę:

— Będziesz to na mnie czekać, jeśli dostanę się do szkoły?

— Że niby na co czekać? — udała, że nie rozumie.

— Na mnie.

— A po co mam czekać! Zechcesz — przyjedziesz.

— Za mąż się nie wydasz?

— Przyjdzie czas, to się zobaczy. A ile roków tej nauki?

— Trzy lata.

— Ocho!

— Jeżeli kochasz, to będziesz czekać.

— A nie wstyd ci w narzeczeństwo wchodzić tak za młodu?

— Niedługo będę miał osiemnaście.

— A mnie dopiero szesnaście...

— Nastka... — Paweł zatrzymał się, wziął ją za rękę. Nie cofnęła jej, ale z lękiem rozejrzała się dokoła: po lesie chodziły kobiety, zbierając suchy chrust.

— A co takiego? — spojrzała mu prosto w oczy, ze śmiechem, choć wcale jej się na śmiech nie zbierało. Serce miało się na baczności — a nuż Pawełek powie coś przerażającego... Ale to, co powiedział, nie było straszne.

— Jeżeli wyjdiesz za Sierioę, to przyjadę i zabiję cię.

— Ale-e... — groźba rozśmieszyła ją. — To już lepiej nigdzie nie wyjeżdżaj.

— Muszę. Potem wrócę i zabiorę cię ze sobą.

— Akurat matka mnie puści.

— Puści. Żebyś tylko czekała.

— A bo to się doczekam?! Pojedziesz — szukaj potem wiatru w polu.

— Nie wierzysz mi?

Nastce nawet wstyd było wspominać, co stało się potem. Nieoczekiwanie Paweł objął ją i pocałował. Pocałował po raz pierwszy w życiu. Taka niespodzianka! Nawet nie zdążyła go odepchnąć, odwrócić się. A tu obok zatrzeszczała sucha gałąź: na ścieżkę wyszła matka Sieriogi, Charytyna, z wiązką chrustu. Być może, Charytyna niczego w ogóle nie dostrzegła, ale Nastka krzyknęła ze wstydu i strachu, rzuciła się w gęsty zagajnik i pobiegła krzakami prosto na pole. Biegła tak szybko, że Paweł zdołał ją dogonić dopiero u samej wsi...

I właśnie wczoraj Nastka otrzymała od Pawła pierwszy list.

Przyniósł go nie listonosz, lecz Iwan Nikitycz, „Proszę”, jej pierwszy nauczyciel. Już lepiej, żeby to był listonosz. Nie wiedziała, gdzie się podziąć, gdy „Proszę” położył na stole kopertę. A matula, jakby byli niedoroślą, zaraz się przyczepili:

— Przeczytaj co tam pisze nasz Pawełek.

Dobrze, że Iwan Nikitycz się wtrącił:

— List zaadresowany do Naści, to niech ona sama przeczyta dla siebie.

Potem zaczął Nastce wyrzucać, że przestała chodzić do szkoły, wypytywał o przyczyny. Nastka nie odważyła się powiedzieć prawdy. Jakże oskarżać samą siebie?! Nie lubi ślęczyć nad podręcznikami, rozwiązywać trudne zadania. A znowu znaleźć się w klasie na szarym końcu, znaczy być gorszą od wszystkich innych dziewcząt, chociaż jest przecie dużo ładniejsza od wielu. Ale czy to w szkole jest kto w stanie zrozumieć? O, taka Pola Zawołoka wygląda ma odstraszący — nawet psy na nią nie szczekają, boją się. Ale uczy się doskonale i chłopcy całym stadem za nią się włóczą. Zaś Nastka tylko Pawełka i Sieriozę oczarowała. Paweł teraz daleko, a Sieriożka — no, jeden wstyd: cały w piegach jak srocze jajo, a zresztą i on po skończeniu siedmiolatki w domu siedzi. Ale „Proszę” tego wszystkiego nie zrozumie.

Do rozmowy wmieszała się matka. Pokazała nauczycielowi stary tkacki warsztat, który został po starej Hrehorenczysze, i odpowiedziała za Nastkę:

— To jej szkoła. Nauczy się — będzie miała chleb zapewniony na całe życie.

Iwan Nikitycz roześmiał się i, jakby to była lekcja, zaczął wyjaśniać, że ręczny warsztat tkacki wkrótce będzie się nadawać tylko do muzeum. Przyjdzie — mówił — taki czas, w sklepach będzie dość wszelkich materiałów, ludzie zaczną żyć o wiele lepiej i nikt nie zechce nosić ubrania z samodziałowego płótna.

Akurat Nastka mu uwierzyła! Płótno zawsze będzie potrzebne — na obrusy, na płachty, na ręczniki. I czy to który z chłopów wyjdzie w pole w portkach fabrycznego wyrobu? Nigdy w życiu! Płótno trwa dłużej i wypada taniej; to dlatego właśnie w każdym ogrodzie sięją konopie.

Kiedy nauczyciel poszedł, Nastka wybiegła na podwórze, schowała się przy drewnutni i przeczytała list. Potem długo nie wracała do chałupy, bała się matczynych pytań. Ale matula i tak pytali. Czy to można powtórzyć matce wszystko, co napisał Pawełek? Więc zmilczała. A matka jakby przeczytała list, chociaż go schowała pod bluzkę. Najpierw pochwaliła Pawła:

— Dobrze ma serce, łagodne. Z takim całe życie przeżyjesz i smutku nie uświadczysz...

I zaraz dodała:

— Szkoda tylko, że Paweł dla nas to już stracony. Póki nie odzwyczai się od wsi, będzie pisać. A jak się do miejskiego życia wciągnie, zapomni o wszystkim. Póki co, jego serce we wsi zostało. Wyuczy się na lotnika, to już mu wiejska dziewczucha będzie nie do pary... Czy to może być inaczej? Bo to mało w mieście ładnych dziewczyn?

Nastka matce nie wierzy. Paweł nie taki. Nigdy nie oszuka Nastki, nie wyprze się własnych słów. Wszystkie matki są takie same: boją się, czego bać się nie należy.

Ale Nastka ma nieczyste sumienie. Dlaczego od niego stroniła? Po co udawała przed Pawełkiem, że jest jej obojętny? Łatwo było udawać, kiedy stale był na podorędziu. A teraz dziewczyna nie może się doczekać, kiedy zniknie śnieg, żeby pójść do lasu i chociaż postać przez chwilę na najmilejszym mostku, nad tym strumyczkiem pełnym żabiego skrzeku, którądy kiedyś przechodzili, popatrzeć na to miejsce, gdzie ją pocałował... Jak to dobrze, że ludzie mają pamięć... Nastka wszystko pamięta: jak Pawełek ją zbił pewnego razu, jak razem pasali krowy, jak do szkoły chodzili. A Sierioęgę kto za kudły wytargał? Nastka! Ujęła się za swoim Pawełkiem...

Teraz nie będzie więcej udawać i kręcić. Zaraz siądzie i napisze mu całą prawdę. Napisze, że myśli o nim każdej chwili i będzie na niego czekać, jak „słowik wiosny”... Niech się tylko uczy i o nic nie lęka. Nastka potrafi czekać...



Trafiają się takie szczęśliwe dni! Na porannym przeglądzie, szkolna kompania znieruchomiła w dwuszeregu na koszarowym dziedzińcu, sam szef, stary służbista, postawił wszystkim za wzór ucznia Jarczuka, za nienaganny wygląd zewnętrzny. Tegoż dnia przyszedł list od Nastki. I co za list! Nigdy dotąd Nastka nie przesyłała mu pocałunków, a w tym liście, na samym dole pokratkowanej kartki, napisała: „Całuję ciebie, mój ukochany Pawełku, i czekam odpowiedzi radosnej, jak słowik czeka wiosny”. I jeszcze dwa gołąbki narysowała w wianuszku z bławatków. Gołąbki wypadły śmiesznie, bardziej podobne do wron, ale Paweł poczuł się szczęśliwy. Tak bardzo szczęśliwy, że nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o Nastce i o jej liście. Schował go do kieszeni na piersi i co chwila ostrożnie dotykał go dłońią.

Gdyby tak szef kompanii dowiedział się, o czym myśli podczas zając wzorowy uczeń, Jarczuk!

Oto olbrzymia, pełna światła sala, zastawiona niewielkimi stołami. Nad każdym stołem pochyliła się krótko ostrzyżona głowa. Uczniowie samodzielnie studiowali „Regulamin o dyscyplinie w Czerwonej Armii”, robili notatki. Paweł starannie pisał na kartce wyrwanej z zeszytu. Pisał list do Nastki. Od czasu do czasu spoglądał marzycielsko przez okno, z którego widać było w siennej mgłę olbrzymy dalekich gór kaukaskich. Nastka takich gór nie widywała nawet we śnie. Paweł opisywał je w liście. Pisał, że wczoraj szedł z kompanią na poligon, patrzył na góry i wydawało mu się, że idą one obok szeregu w tym samym rytmie... Paweł spoglądał na białe kotary z ciężkiego jedwabiu, spływające wzdłuż okien do samej podłogi. Nastka nigdy nie widziała takich kotar i samej nazwy też nie słyszała. Więc napisał o kotarach... Jaka szkoda, że nie można nic napisać o lotach, o skokach ze spadochronem. Paweł nie miał jeszcze żadnego lotu i skoku spadochronowego, zaś samoloty widział tylko z daleka. Przyjdzie czas — wszystko będzie: i loty i skoki ze spadochronem. Ale ma na sobie prawdziwy, lotniczy mundur. Wojskowa bluza z sukna, a na niej naszywki, błękitne jak poranne niebo, zaś na naszywkach — srebrne śmigła. I buty ma takie, że starczyłoby na chodzenie przez całe dziesięć lat do szkoły. Co tam dużo gadać! Wkrótce Paweł pošle Nastce swoje zdjęcie. Otrzyma je przecież co miesiąc czterdzieści rubli „na utrzymanie”. Minęły już dwa miesiące, odkąd Paweł jest w lotniczej szkole. Już osiemdziesiąt niewydanych rubli leży w jego kieszeni. A i po co ma wydawać pieniądze, jeśli wszystko ma zapłacone? Niezbyt wiele można kupić w szkolnym sklepiku. Ale za miesiąc zaczną wydawać przepustki na miasto, dopiero wtedy Paweł sięgnie do kasy! Każe sobie zrobić zdjęcie na cały wzrost! Nastka musi także zrobić zdjęcie i przysłać mu ją. Prawie wszyscy uczniowie w szkole mają przy sobie zdjęcia dziewcząt, a on nie ma. Nastka nie podarowała mu swego zdjęcia...

Bardzo długi list wyszedł spod pióra Pawła. Przez dwie godziny „samodzielnych studiów” wiele można napisać — o górach, o białych kotarach, o otrzymanym wyróżnieniu, o tym, że na śniadanie i kolację uczniowie otrzymują biały chleb z masłem. Ale to wszystko — między wierszami. Najważniejsze, to co Paweł opowiada Nastce o ich przyszłym życiu, kiedy skończy szkołę. Naturalnie, wyślą go na Daleki Wschód. Wszystkich dobrych lotników tam wysyłają. Nastka także z nim pojedzie, zobaczy nowe kraje, nowych ludzi. Zostanie na zawsze z nim, z Pawłem, który nie wyobraża sobie innego życia, jak tylko trudne i niebezpieczne życie wojskowego lotnika.

Chyba napisał o wszystkim. Zanim zakleił kopertę, przeczytał list jeszcze raz, wyszukując, czy nie ma błędów gramatycznych.

Gramatyki nie tak łatwo się nauczyć. Ale w tej chwili Pawłowi nic nie wydaje się trudne...

Natarczywy dźwięk elektrycznego dzwonka, dobiegający z korytarza, przerwał bieg jego radosnych rozmyślań. Hałas odsuwanych krzesel, szelest papierów. Paweł w pośpiechu zakleił kopertę, napisał adres. Rozległa się głośnie komenda służbowego:

— Koniec zajęć! Wstać! Zbiórka na obiad!

Grupy uczniów zbierały się w kolumnach na wyasfaltowanym podwórku przed główną fasadą szkoły — imponującego trzypiętrowego gmachu z szarej cegły. Zanim stanął w szeregu, Paweł zdążył wrzucić list do skrzynki pocztowej. W drodze do jadalni, gdy jego grupa śpiewała na całe gardło „Taczankę”, Paweł obliczał, ileż też dni list będzie iść do Kochanówki i na kiedy można oczekiwać odpowiedzi.

Paweł w ogóle bardzo lubi obliczać. Niedawno wykalkulował, że z cegieł, z których składają się gmachy szkoły, można by wybudować całe dwie Kochanówki. Dwie murowane Kochanówki, z domami krytymi blachą albo dachówką! A w każdej chałupie drewniana podłoga, elektryczność radio... Pomyśleć, że kiedyś to wszystko stanie się rzeczywistością.

Już po obiedzie. Przy jadalni znowu zbiórka. Niektórzy pomrukują z niezadowoleniem; ta komenda „W dwuszeregu zbiórka!” już im leży na wątrobie. Ale Pawłowi to podoba się. Nowe życie przed nim i wszystko inaczej, niż dawniej. Nawet do koszar, które znajdują się na sto metrów od jadalni, idą dwójkami.

Po obiedzie godzina odpoczynku. Paweł nie jest przyzwyczajony do spania w dzień, ale porządek musi być. Zaraz rozlegnie się komenda i trzeba będzie rozbierać się. I w tej samej chwili usłyszał swoje nazwisko:

— Uczeń Jarczuk! Uczeń Czornych! Szykować się do wyjścia!

To służbowy rozdarł się na całe koszary.

Zdziwiony Paweł pobiegł w jego kierunku. Obok służbowego zobaczył rosnącego czerwonoarmistę w zasmolonym drelichu i z maską gazową, przewieszoną przez ramię.

— Goniec głównego dyżurnego! — przedstawił się czerwonoarmista, dziarsko podrzucając rękę do daszka czapki z niebieskim otokiem. — Macie zameldować się na rozkaz u komendanta szkoły.

Nigdy dotąd Paweł nie mógłby przypuścić, że w tym samym dniu może przyjść do człowieka wielkie szczęście, a potem zaważyć się wszystko i utopić razem z człowiekiem w najgłębszej rozpacz. Nieszczęścia na razie jeszcze nie domyślał się, ale w piersi powiało chłodnym przecuciem, że stało się coś złego.

„Po co mnie wołają?” — myślał w udręce, biegnąc przez asfalt podwórka i po schodach na trzecie piętro dobrze znanego szarego gmachu, gdzie znajdowały się sale wykładowe i kancelaria komendanta szkoły. A za nim, głośno posapując, hałasował wielkimi butami Sasza Czornych, wysoki chłopak o długich nogach, chudy i — jak gdyby chodziło o uzasadnienie nazwiska — czarnowłosa, o posępnych czarnych oczach i smagłej twarzy.

Paweł poznał go jeszcze podczas egzaminów. Dowiedział się, że Czornych urodził się w Bereźnie, wsi sąsiadującej z Kochanówką. To stamtąd ojciec Pawła przywiózł kiedyś macochę Hannę i Nastkę. Chłopcy zaprzyjaźnili się. Sasza był starszy od Pawła o całe cztery lata. W cywilu był szoferem, niejednokrotnie przejeżdżał przez Kochanówkę. Do szkoły przybył z oddziału, w którym odbył służbę wojskową.

W obszernej, pustawej i jakby sennej poczekalni zameldowali kolejno swoje przybycie służbowemu oficerowi, który ukrył zdruzzone ziewnięcie i natychmiast zniknął za ciężkimi, obitymi ciemną dermatyną drzwiami, z tabliczką ze złotymi literami: „Komendant szkoły”. Wrócił po krótkiej chwili.

— Jarczuk, wejdźcie! — powiedział, kiwnąwszy głową w kierunku niedomkniętych drzwi.

Paweł poczuł, że serce w nim urywa się i przestaje bić. Nieco wcześniej powtarzał wiele razy w myśli, jak należy zameldować się komendantowi, ale teraz przekroczył próg i zdrętwiał, przyduszony jakimś ciężarem i jak gdyby oślepiiony nadmiarem światła, błyszczącymi meblami, czerwienią wyścielonego chodnika.

Usłyszał z głębi gabinetu niezbyt donośny, spokojny głos:

— Proszę bliżej, towarzyszu Jarczuk!

Dopiero teraz Paweł dostrzegł siedzącego za stołem pułkownika. Był to siwy człowiek z zacną, okrągłą twarzą i smutnymi oczami, ważnymi jak u dobrego ojca.

Spojrzenie pułkownika dodało Pawłowi otuchy. Na pewniejszych już nogach podszedł do stołu, nabrał oddechu, żeby zameldować się regulaminowo, ale pułkownik powiedział cichym głosem:

— Proszę siadać.

Paweł usiadł na brzeżku miękkiego krzesła i, czując, że kołnierz drelichu dławi mu szyję i na twarzy występują drobne kropelki potu, wbił przestraszone, wyczekujące oczy w tego siwego, wcale nie straszego człowieka. Ale pułkownik, jak gdyby zapomniawszy o Pawle, zajął się czytaniem jakiegoś papieru z niebieskim, zamazanym stemplem w rogu.

Wreszcie podniósł wzrok. Oczy miał łagodne, uważne, z wyrazem nieuchwytnego smutku. Zaczął mówić. Głos pułkownika

był również łagodny, jakby zamyślony i — jak Pawłowi wydało się — podobny do głosu jego pierwszego nauczyciela z Kochanówki, „Proszę”.

— Jarczuk, mam nadzieję, że macie silne nerwy? Musimy porozmawiać ze sobą poważnie, po męsku. Będzie to rozmowa... nieprzyjemna zarówno dla was jak i dla mnie... Zdajecie sobie sprawę, że jesteście jeszcze młodzieńcem i że całe życie jest przed wami?

— Tak jest... zdaję sobie sprawę... — odpowiedział Paweł, nie słysząc własnego głosu.

— Mówię to dlatego — kontynuował pułkownik jakby w zamyśleniu — że nie powinno dla was stanowić dramatu, jeżeli będziecie zmuszeni wybrać sobie inny zawód.

— Dlaczego? — Paweł patrzył na pułkownika, objęty palącym przerażeniem.

— No, bo przecież mnóstwo jest interesujących zawodów — wymijająco odpowiedział pułkownik. — Nauczycielstwo, medycyna, inżynieria, agronomia, elektrotechnika... I wiele innych! A wam zachciało się koniecznie zostać lotnikiem... To nierozsądnie, skoro zważymy, że z waszymi krewnymi nie wszystko jest w porządku.

— Przecież ja o wszystkim napisałem! — Paweł zerwał się z krzesła.

— Siadajcie... Wiem, pisaliście do Moskwy o ojcu, prosiliście o możliwość wstąpienia do szkoły lotniczej. Wasza prośba została uwzględniona. Ale teraz wyszło na jaw, że wszystkiego o ojcu nie napisaliście... A zresztą, najważniejsze jest to, że wśród innych krewnych macie wielu karanych, a niektórzy z nich zostali rozkułaczeni.

— Kłamstwo! — zapalczywie krzyknął Paweł, czując jak lodowacieją mu ręce.

— Niestety, to prawda — powiedział pułkownik, jakby ze współczuciem. — Tu mamy odpowiedź przewodniczącego wiejskiej rady na nasze zapytanie. Być może, jeszcze o tym nie wiecie... Na przykład Andron Jarczuk, który był w armii Denikina, w jakim stopniu pokrewieństwa jest z wami?...

— W żadnym! W naszej wsi połowa chłopów to Jarczukowie.

— Tu napisane, że to wasz chrzestny ojciec.

— Nieprawda!

W oczach pułkownika ukazał się cień wątpliwości.

— A kułaczka Olana Basok? To siostra waszej matki?

— Tak... — Paweł odpowiedział po dłuższej, dręczącej

przerwie. — Cioteczna siostra... — Nigdy przedtem nie zastanawiał się nad tym, że nieboszczka Olana była ich krewniaczką.

— A kowal Dmytro Szewczuk?

— Cioteczny brat ojca... — Pawłowi wydawało się, że otoczyła go czarna, dusząca pustka i głos pułkownika dochodził skądś z daleka, spoza tej pustki.

— A Danyło Jarczuk?

Paweł nie wiedział czy Danyło Jarczuk jest jego krewnym. Czy to mało w Kochanówce różnych ciotecznych, stryjecznych i powinowatych? Jak się mieszka obok, nie myśli się o tych sprawach. Na wsi nie uważają dalekiego pokrewieństwa. Wszyscy mają liczne rodziny. Spróbuj-no, zapamiętaj, jak się tam ułożyły wszystkie rodowody...

Pułkownik jeszcze coś mówił, wymieniał czyjeś imiona. Błysnęło i zaraz zgasło w pamięci nazwisko Stefana... Do Pawła nic już nie docierało. Gdzieś w nim, na samym dnie świadomości, zbierały gorące łzy, ścisnął zęby tak, że prawie zgrzytały, żeby nie rozpląkać się, żeby nie wyrwał się na powietrze straszny krzyk, zwinięty w nim jak sprężyna.

Opanował się i znowu słuchał, jak gdyby mu zależało aż do końca wypić gorycz tych ciężkich chwil.

— Ciężkie rzeczy tu napisano — mówił pułkownik, patrząc posępnym wzrokiem na papier. — Choćby w tym była tylko połowa prawdy, to i tak nie ma żadnego innego wyjścia... Musicie opuścić szkołę.

„Ciężkie rzeczy napisano” — myślał w udręce Paweł. A któż to napisał? Stefan napisał — jego cioteczny brat... Co złego zrobił mu Paweł? Dlaczego pomieszał prawdę ze złośliwym fałszem?

Ale to nie Stefan wypisał ów papier, który leżał przed pułkownikiem. Stefan Hryhorenko był wymieniony w informacji jako krewny Pawła Jarczuka, znajdujący się pod karnym śledztwem. Odpowiedź na zapytanie ze szkoły układał kolega i rywal Pawła — Sierioga, syn Kuźmy Lunatyka. Po przyjsciu nowego przewodniczącego Sierioga został sekretarzem rady wiejskiej.

Pawłowi wydawało się, że to jakiś koszmarny sen. Gdybyż można było przebudzić się! Nie ma już dla niego jutra, nie ma sensu żyć więcej... Jakże powróci do Kochanówki? Co powie Naści?

Przypomniawszy sobie wysłany list i poczuł w gardle dławiący wstyd. Nie, za nic nie pokaże się Nastce na oczy!

Pułkownik rozumiał doskonale stan siedzącego przed nim młodzieńca. Wiedział także, że Paweł nie ma do kogo ani do czego powracać. A tu jeszcze zameldowano, że znajdująca się w

depozycie odzież, w której Paweł Jarczuk przyjechał na egzamin, jest zbyt lekka jak na zimowy czas. Zaś odesłać go do domu w wojskowym mundurze nie może — jeszcze nie przebył w szkole trzech miesięcy, przewidzianych na taki wypadek.

— Towarzyszu Jarczuk — cichym głosem odezwał się pułkownik. — Nie radziłbym wam wracać do domu.

— Toteż ja się nie wybieram...

— W takim razie dokąd?

— Nie wiem...

— Macie osiemnaście lat?

— Niedługo skończę.

— Tak czy owak, za rok, czy za półtora roku pójdziecie odługiwać obowiązek wojskowy.

— Tak jest.

— To lepiej zostańcie od razu, jako ochotnik. Zaliczymy was jako szeregowca do kompanii.

Paweł nie miał przed sobą innego wyboru.

Wyszedł z gabinetu pułkownika jak ostatni nędzarz, zniszczony moralnie. Odebrano Pawłowi marzenie — jedyny jego skarb.

Długo jeszcze stał w pustym korytarzu i przez łzawą mgłę patrzył z okna trzeciego piętra na ćwiczebny plac. Tam inni uczniowie maszerowali, praktykując musztrę. Ale Paweł już nie jest uczniem... Oto przybija krok kompania, która była jego... Maszeruje, jak gdyby nic się nie stało. Miejsce Pawła w szeregu zajął uczeń, który przedtem stał za nim, w drugim szeregu. Nie może być w szeregach nie zajętych miejsc.

Nagle ostro trzasnęły drzwi od poczekalni biura komendanta szkoły. Na korytarz wypadł Sasza Czornych. Po jego ciemnej, ściągniętej skurczem twarzy toczyły się wielkie łzy. Sasza wstydliwie wycierał łzy, rękawem drelichu, głośno szlochał i ten szloch coraz to przechodził w beczące zawodzenie.

Pawła to nagle rozśmieszyło: takie wielkie chłopisko jak Czornych, doświadczony szofer, zanoszą się płaczem, jak małe dziecko.

— Ścierwa! — Sasza podszedł do Pawła i poprzez szlochanie huczał swoim basem. — Przecież zeznałem przed komisją, że ojciec był przez cały tydzień w petlurowskim obozie... Nic nie powiedzieli. A teraz dostali papierek z wiejskiej rady i wyprzedzają na zбитy łeb!

— A czy chociaż prawdę wiejska rada napisała? — zapytał Paweł, nie tyle interesując się sprawą Saszy, co myśląc z gniewem o nikczemnej zdradzie Stefana Hryhorenki.

— W różny sposób można prawdę napisać. Petlura zajął

wieś, spędził wszystkich chłopów na majdanie i kazał wszystkim, którzy mieli konie, wieźć jego bandziorów. Kto nie chciał, temu kulę w łeb. Przecież opowiedziałem przed komisją!

— Wracasz do domu? — głuchym tonem zapytał Paweł.

Sasza przestał łkać, wpatrzył się w Pawła mrocznym, rozwścieczonym spojrzeniem. Odpowiedział poważnie, nawet jakoś uroczyście, podkreślając znacząco każde słowo:

— Wracam! Pojadę i spalę chałupę przewodniczącego rady wiejskiej. Żeby się oduczyl psich obyczajów!

Paweł opowiedział Saszy o swoim nieszczęściu. Potem dodał z żalem:

— Jabym także podpalił...

— Chcesz, podpale za ciebie... — zaofiarował się Sasza, który wciąż przebywał w jakiejś gniewnej ekstazie.

Paweł wykrzywił się, jak gdyby połknął coś kwaśnego.

— Nie wierzysz?! — w oburzeniu ryknął Sasza, pchając się całym sobą na Pawła. — Patrz! — Pokazał kikut odciętego małego palca na lewą rękę. — Sam odciąłem, umyślnie!

— Po co?

— Zmija ucięła młodszego braciszka i... umarł. Tom poszedł do drewnutni, rąbnąłem siekierą po palcu i dałem słowo, że zabiję sto zmij... Zabiłem! Setną przyniosłem, żeby dziadkowi pokazać, a on powiada, że to zwykły wąż. U nas we wsi nieraz niejadowite węże mylą ze zmijami. No, tom zaczął polować na nowo. Przez dwa lata podwajałem rachunek, nawet w nocy chodziłem do lasu z latarnią. A ty wątpisz! Będę przejazdem w Kochanówce, to puszcę czerwonego koguta. Powiedz — komu?!

— Stefanowi Hryhorence...

XXXIV

Pływały nużące oczekiwania. Przedtem Płaton Gordiejewicz bał się wychylenia się w przyszłość. Wolność stała się dla niego jakimś majakiem, czymś szarym, nieokreślonym i dalekim, jak wyjście z niekończącego się, dusznego tunelu. Ale teraz, odkąd Mamczur napisał podanie, wolność mogła zwalić się na niego każdej chwili i bezgranicznie rozradować. Toteż każdy dzień dłużył się obecnie niby rok: wyczekiwać na szczęście zawsze jest najtrudniej...

Szczęście... Dla Płatona polegało ono tylko na tym, żeby znów żyć, jak dawniej. Szczęście — to Pawełek, Kochanówka,

ziemia, kołchoz. I żeby mieć w kieszeni paszport, z herbem pracy na okładce, żeby można było jechać, dokąd zechcesz, a jeżeli nie masz takiej chęci, to żebyś po prostu wiedział, że nie ma dla ciebie zabronionych dróg...

Ludzie, nie znający obecnego życia Płaton, nawet nie domyślali się, jacy są szczęśliwi...

Ale szczęście jest zmienne, jak pogoda. Pochmurne niebo nie jest w stanie odebrać ludziom radości, ale gdy szczęście jest przyćmione, przed człowiekiem otwiera się przepaść cierpienia. Wszystko już Płaton wypróbował na sobie. A ilu ludziom jeszcze przyjdzie doświadczyć, a może nawet wypić jeszcze większy puchar największych nieszczęść. Wrogom — taki los zasłużenie, ale niewinnym... Niewinnych sędzić będzie historia. Będzie ona sędzić i tych, którzy spowodowali nieszczęście niewinnych.

Gdybyż to można było przewidzieć, gdyby można było dzisiejsze życie zmierzyć według życia w przyszłości i z wyżyn tej przyszłości obejrzeć się na dzień dzisiejszy...

A tymczasem życie płynęło jak zazwyczaj.

Trybuna na znajomym placu wciąż stała, zawsze na pogotowiu.

Przechodząc nieraz obok wydziału zaopatrzenia w wodę, Płaton Gordiejewicz często spoglądał z zachwytem na wielkie malowidło na płótnie, rozpostartym na głównej ścianie gmachu. Była na nim uwieczniona scena wizyty złożonej na budowie przez Sergo Ordżonikidze. Oto Sergo wyszedł z samochodu, a przy wejściu do gmachu wita go kierownik metalurgicznego kombinatu, Sosnin — w przeszłości sławny bohater wojny domowej, członek Wojennej Rady armii na Ukrainie. Obok Sosnina wyrysowano postać jego zastępcy, Kuldryma — także bohatera wojny domowej; nieco dalej gromadka robotników, najbardziej znanych na budowie.

Przechodząc wczoraj, Płaton zobaczył, że płótno zostało opuszczone na ziemię i krzątał się przy nim chuderlawy malarz. Siny od zimna, zamalowywał kolorem tła postacie Sosnina, Kuldryna i niektórych robotników. W tym samym czasie odbywał się kolejny wiec. Nowy sekretarz partyjnego komitetu (poprzedniego także aresztowano) przeczytał przed tłumem robotników listę pociągniętych ostatnio do karnej odpowiedzialności. Na czele listy były nazwiska kierownika kombinatu i jego zastępcy. Kolejny mówca, o którym powiedziano, że „osobiście zajął się sprawdzeniem przeszłości aresztowanych obecnie osób”, zawiadomił robotników, zgromadzonych na wiecu, że Sosnin jest synem jednego z największych kapitalistów i że dostał się do partii dzięki oszustwu,

zaś jego zastępcą, Kuldrym — to książe ze starego kurdyjskiego rodu...

A po tygodniu — nowy wiec. Na trybunie stanęli uśmiechnięty „kapalista” Sosnin i „książe” Kuldrym. Sekretarz rejonowego komitetu partii poinformował robotników, że wszystkie oskarżenia, wysunięte przeciw Sosninowi i Kuldrymowi, są nieprawdziwe, zaś oszczercy zostali aresztowani jako wrogowie ludu.

Płaton Gordiejewicz już nie reagował na te nowe wydarzenia. Wydawało mu się, że stoi na samym brzegu przepaści.

W dniu wczorajszym kierownik robót, Mamczur, posłał gromadę „białomorców” do działu pieców hutniczych, żeby przy zasobni węglowej zbudowali pomost. Płaton Jarczuk pracował razem z innymi. Skończył się roboczy dzień i cieśle odeszli do wspólnego baraku, w którym mieszkali. Wkrótce wśród pieców hutniczych rozległ się potężny wybuch. Dopiero po pewnym czasie wyszło na jaw, że oziębniarka paleniska przepaliła się, płynna surowka dostała się do wody, a w konsekwencji nastąpił wybuch, który sparaliżował piec hutniczy na jakiś czas.

Nazajutrz nie zjawił się do pracy kierownik hutniczego oddziału, kierownik hali maszynowej i niektórzy hutnicy. Również zabrakło kierownika robót Mamczura.

Aresztowanie Mamczura wstrząsnęło do reszty Płatonem Gordiejewiczem. Domyślał się, że nastąpiło w związku z tym, że Mamczur posyłał „białomorców” do pracy w hucie. To znaczy, że doborą się także do cieśli. Niezależnie od tego, że wczoraj cieśle byli w hucie, to oni robili pomost pod fundament pieca hutniczego.

Płatonem trząśł niepokonany strach. Jego brygada pracowała tego dnia przy gmachu nowej gazowni, sterczącej ku niebu wielopiętrowym szkieletem. „Białomorcy” dźwigali rury, deski, pale, które dźwigar unosił do góry, to na jedno to drugie piętro, gdzie zwijali się murarze i specjaliści od zakładania rur.

Płaton zginał się pod kolejnym ciężarem, stękał i myślał bez przerwy. Od tych myśli bolało i huczało w skroniach. Ale nie odbiegały daleko, wciąż krążyły lekko przywidującej się „czarnej kanapy”. Wydawało mu się, że za chwilę przypomni sobie coś bardzo ważnego i potrzebnego.

Szedł po nowy ładunek i spoglądał do góry. Zobaczył nad głową zwisające kable linii wysokiego napięcia, a na nich — ciemną gromadkę wróbli. Zdziwił się, że ptaki są takie odporne. Ubiegłej jesieni jakiś chłopak z osiedla ściągał w czasie deszczu latawca i mokrym sznurkiem zawadził o zwisający kabel. Poleciały błękitne, oslepiające iskry, rozległ się trzask, chłopiec przewrócił się, jak gdyby się potknął, i już nie wstał. Płaton oglądał

potem zwłoki, siną twarz, przygryziony język... A wróble siedzą i nic, prowadzą jakieś narady w swojej ptasiej mowie.

I znowu trzeba przejść kilkanaście kroków z ciężarem; tym razem z długą, czarną rurą, twardo wbijającą się w ramię. Od stosu, w którym leżą rury do dźwigu, od dźwigu z powrotem do rur. Skądś z jednego z górnych pięter, od samego rana dolatywała czyjaś błazeńska pieśń — bez sensu, bez początku i końca. Przygasła i znowu nabierała na sile. Właśnie słyhać gęgający, nosowy głos, śpiewający w tanecznym rytmie:

*Był sobie chłop, ale nie miał siebie,
wyciosał sobie
ciesiołkę nieciosaną,
zostawił w domu teścia i byka.
Jak się zabrał teść do orki!
Od jednej ślizgawicy do drugiej...
Orał cały dzień,
zasiał konopie,
a wyrosły mu wierzby...*

Płaton ogarnęła zazdrość, że ktoś potrafi zabawiać się tak głupio, i dla rozrywki zaczął powtarzać w myśli nonsensowne słowa pieśni:

*Był sobie chłop, ale nie miał siebie,
wyciosał sobie
ciesiołkę nieciosaną...*

I nagle ktoś okrzyknął go władcym głosem:
— Jarczuk!

Płaton Gordiejewicz obejrzał się. Mignął mu przed oczami umyślny goniec z komitetu budowy. Umyślny — niski chłopina z rudym wąsem i latającymi oczami na różowej, nie starej jeszcze twarzy — zatrzasnął drzwiczki ciężarówki i szedł ku brygadzie „białomorców”.

— Który to Jarczuk? — zapytał rozkazująco.

Płatonowi Gordiejewiczowi tak zesłały ręce, że musiał rzucić rurę na ziemię.

— To ja! lękliwie odpowiedział ochrypniętym głosem.

— Zbieraj się! Pojedziesz do komitetu, zaraz będzie okazja.
— Umyślny zajrzał do jakiego papierka i znowu wrzeszczeć: — Tyszkiewicz! Który z was Tyszkiewicz?!

„A więc zaczyna się” — z nieoczekiwanym przez siebie samego spokojem pomyślał Płaton i uśmiechnął się boleśnie.

Wyciągnął kapiuch z tytoniem, usiadł na kupie wapniaków pod jedynym, nie świętym jeszcze na terenie budowy dębem. I dopiero kiedy zaczął skręcać papierosa, przekonał się, że tytoń mu wysypuje się z roztrzęsionych rąk.

— Który tu Tyszkiewicz?! — z daleka, poprzez huk betoniarek doleciał raz jeszcze głos umyślnego.

„Taki los...” — westchnął Płaton pokornie.

Zapalił, zaciągnął się i zaraz przypomniał sobie o Pawełku. Niewiele dni temu otrzymał od niego list z Kubańszczyzny. Każda linijka tego listu drgała zachwytem: Pawełek został przyjęty do lotniczej szkoły... Ten list Płaton zostawił w zamkniętym kuferku. Znajdą, przeczytają i zabiją szczęście Pawła, zabiją na całe życie. Podadzą informację o ojcu do szkoły. A choćby nawet nie napisali, nie wiele z tego przyjdzie Pawłowi: toż w każdej ankiecie jest rubryka o rodzicach... Co za czasy nastały? Co się dzieje dokoła? Co?!

Ludzie wyrwali się na siłę ze starego niesprawiedliwego życia i zaczęli budować nowy świat. I sami odnowili się, oczyszczając się od ciemnoty i chciwości. Weszli w nowe życie ci wszyscy, którzy urodzili się i zaczęli myśleć przed Październikiem. A teraz wielu z nich ciągną, żądając jakby dowodu na prawomyślność, dowodu na prawo korzystania z nowego, ich własnymi rękami stworzonego życia. Czy to sprawiedliwie? Czym zawinił Płaton Jarczuk, prosty zwyczajny chłop? Czy tym, że potrafi zbliżyć się całym sercem do ziemi i ludzi, że rozumie szum wiatru i głos ptaka, że zna się na wschodach i zachodach słońca, że umie przewidzieć pogodę w siewny czas? O co go oskarżają?

Wypląnęły z pamięci, przyleciały z daleka słowa, które zapadły mu w serce, wtedy, tam, na czarnej kanapie: „Nie można powstrzymać wystrzelonej kuli... kto zabija niewinnego, ten zuboża świat... sieje smutek wśród ludzi i sprawia, iż martwizna skuwa jakiś choćby niewielki skrawek ziemi. Niech się nikt nie próbuje pocieszać, że pamięć o człowieku nie jest wieczna...”.

Tak, pamięć po człowieku nie trwa wiecznie, ale przyjdzie chwila, gdy ludzie będą się wstydić tego, co się dzieje obecnie. Jednych ogarnie żal i wstyd, innych — przerażenie. Nie, przerażenie ogarnie wszystkich, którzy poznają prawdę i zachowają pamięć. Będą i tacy, którzy zaczną udawać, że niczego nie pamiętają. Przydusi ich lęk o siebie, o własny dobrobyt, o wszystko, co się działo. Może działo się bez rozeznania, na ślepo... Zdarza się przecież takie nieszczęście, kiedy przyjaciela biorą za wroga. Zdarza się. Ale istnieje pewna granica, za którą nawet ślepcy nie mogą szukać usprawiedliwienia, granica za którą staje się oczywiste, że ich dusze są kuse jak zajęcze ogony, serca płytkie jak

orzechowe łupiny, zaś myśli podstrzyżone, wprawione w stalowe ramki niewiary w człowieka. Straszna jest ich zimna, obojętna ślepotą!

A okrucieństwo? Okrucieństwo przecież nie zawsze bywa ślepe. Tym bardziej okrucieństwo w stosunku do rzekomego wroga.

Przyjdzie taki czas kiedy ludzie, odpowiedzialni za okrucieństwo, będą rzucać się we śnie, będzie im przywidywać się, że siedzą na czarnych kanapach, albo w mrocznych piwnicach i za kolczastymi drutami... To sumienie zacznie sprawować nad nimi spóźniony sąd — sąd sprawiedliwy i surowy, ale pozbawiony okrucieństwa.

Wszystko to przyjdzie! Płaton wie, że nastanie czas, gdy czyste sumienie zajrzy jasnymi oczami w duszę każdego człowieka i powie: „Czyń tak, aby tamto nigdy więcej nie powtórzyło się. Czyń! Żyj tak, aby wnucy i prawnicy nie wstydzieli się twego imienia. Tak masz czynić i żyć!”.

Ale Płaton osobiście już nie jest w stanie nic zrobić... Nie, jego obowiązkiem jest coś zrobić. Zrobić tak, żeby Paweł — krew z jego krwi i strzęp jego serca — nie był nazywany „synem wroga ludu” i nie chodził pod wichrem ludzkiej pogardy.

A może Płaton zbyt płytko osądza rzeczywistość? Przecież w każdej wielkiej sprawie mogą znaleźć się niedociągnięcia. Oto buduje się nowy świat, wykuwa się stalowe serce przemysłu, tworzy się nowa wieś. Jakże obejść się bez pomyłek? Ale nie — pomyłka pomyłce nie równa...

Zauważył, że ze zwisającego przewodu sfrunęły wszystkie wróble. Zgodną gromadką uniosły się ku niebu i, sprężyście tnąc powietrze, uniosły się gdzieś w daleki step. Przyjemne mają życie na wietrze i wolności... Jeszcze wczoraj Płaton żywił nadzieję, że wyfrunie na wolność, jak te wróble...

Na ramię zleciał dębowy listek — brązowy, wygięty i sztywny, jakby go wykrajali z cienkiej blachy. Płaton podniósł wzrok na czarne, węzłowate gałęzie drzewa. Dąb przed czasem zrzucił z siebie zeszloroczne listowie, jakby ronił łyżę na niespełnione nadzieje Płatona. Jarczuk patrzył z niemym smutkiem na niebo widniejące poprzez gałęzie, aż z białawych obłoków wyjrzało słońce i oślepiło na chwilę...

Ludzkie oczy nie są w stanie wytrzymać jasnego, otwartego spojrzenia słońca, któremu życie zawdzięcza wszystko, życie zrodzone dla dobra, miłości, szczęścia i urody. Kiedyś Płaton słyszał przypowieść, według której, gdy słońce odchodzi na spoczynek, na ziemi tu i ówdzie rodzi się zło. Więc następnego ranka słońce z przerażeniem spogląda z niezmiernej wysokości na zie-

mię, patrzy w oczy ludziom i ci nie wytrzymują, muszą umykać spojrzeniem. Ale przyjdą czasy, kiedy każdy człowiek będzie w stanie spojrzeć słońcu prosto w oczy. Te czasy nie są zbyt oddalone. Gdy nadejdą, zginą ludzkie przywary, straszliwe błędy i pomyłki, zginie wszelkie zło, wyrządzone świadomie czy mimowoli. Na razie ludzie chowają oczy przed słońcem, bo czy to w wielkich sprawach czy w małych, nawet w najmniej ważnych, wciąż jeszcze nie są aniołami... Niestety, bezgrzeszność ludzka nie rodzi się razem z człowiekiem.

Od strony, w którą poszedł umysłny z komitetu budowy, doleciało trąbienie ciężarówki. Płaton, jak gdyby bał się dokąś spóźnić się, pospiesznie zerwał się na nogi. Na piersi taki ciężar, że serce ledwie się porusza. Czegoś Jarczuk nie domyślał do samego końca. Najważniejsza myśl przelatywała tuż-tuż obok, ale nie dawała się schwytać, uciekała.

Płaton włożył na ramię żelazną rurę i skierował się do wykopu. Doszedł do tego miejsca, gdzie nisko zwisał przewód wysokiego napięcia i podniósł rurę pionowo, jak gdyby zamierzał przełożyć ją na inne ramię... Wiedział, że zaraz stanie się rzecz ostateczna, i bał się, żeby ktoś nie schwytał jego spojrzenia; wszyscy powinni być przekonani, że Płatonowi Jarczukowi wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Zdawało się, że strach przed prawdą dodał sił jego starczym, zdruzgotanym przez pracę rękom.

Z górnego piętra doleciała pieśń:

*Był sobie chłop, ale nie miał siebie,
wyciosał sobie
ciesiołkę nieciosaną...*

To było ostatnie, co usłyszał Płaton Gordiejewicz... Głupie słowa pieśni... Głupia śmierć... Elektryczność wyładowała się z suchym trzaskiem, posypały się kłujące, błękitne iskry, w jednej chwili przecinając życie Płatona.

Na miejsce wypadku zbiegali się ludzie. Zatrzymały się w ruchu betoniarki i kołowroty. Podjechało kilka ciężarówek nalożonych cegłą. Z szoferki pierwszej ciężarówki wyskoczył kierownik robót Mamczur. Z łękiem spojrzął na urwany kabel, który przylutował się do żelaznej rury, objął spojrzeniem ciało, skurczone na ziemi, wzdrygnął się w przerażeniu i zapytał :

— Który to?

— Jarczuk — posępnie odpowiedział meblarz z Poławy, ściągając czapkę z głowy. — Niechący zaczepił o przewód...

Twarz Mamczura skurczyła się, oczy wypełniły się jakimś zwierzęcym smutkiem. Chciał coś powiedzieć, ale zatknął się i

zaniósł krótkim szlochem. Nikt, oprócz Mamczura, nie wiedział, że „ograniczenie miejsca pobytu” zostało zniesione i że Płaton Jarczuk chociażby tego samego dnia mógł jechać do swej rodzinnej Kochanówki.

XXXV

— Mamusiu, pięć latek to dużo? — swawolnie pieszczotliwym głosem zapytywał Chrystę mały Iwanjo. Chłopiec siedział na drewnianej podłodze, bawił się żółtymi główkami cebul, wypełniających rzeszoto, i ze szczenięcym oddaniem wpatrywał się w twarz matki, ozdobioną wielkimi, tajemniczymi oczami. Chrysta, przykucnąwszy na niskiej ławeczce, nie spiesząc się, smutna, przebierała cebule przeznaczone do sadzenia.

— Dużo, bardzo dużo — odpowiedziała synkowi z niewyraźnym uśmiechem.

— Bardzo? To ja już nie jestem maleńki?

— Skądże, ty już jesteś stary dziad.

— Nie-e... nie dziad... Nie kaszlę i brody nie mam.

— Zaczнешz palić — zaraz broda ci wyrośnie...

— A ja palić nie będę.

— Ty moja mądralo! Złotko moje!

Iwanjo wsadził rękę do rzeszota między cebule, cichutko posapywał i o czymś rozmyślał w największym skupieniu. Rzucił spojrzenie raz na matkę, drugi raz na Tosię, która siedziała za stołem i coś starannie pisała, zezując i przechylając głowę na bok po ptaszecemu. Wargi Tosi poruszały się, jak gdyby podpowiadały ręce, trzymającej pióro, jakie słowa należy wypisać w zeszytcie.

— Mamo! — Iwanjo znowu przerwał ciszę. — A po co wyście mnie urodzili?

Tosia parsknęła w kułak, zwróciła głowę do Iwanja, ale widząc uspokajające spojrzenie matki, znowu pochyliła się nad papierem.

Iwanjo skonfudował się śmiechem Tosi, z niezadowoleniem popatrzył na siostrę i powtórzył pytanie:

— Po co, mamusiu?

— Żeby nam było weselej po tym jak tatka zabrali. Ty przecież jesteś teraz jedyny chłop w całej chałupie. — Chrysta przestała uśmiechać się i zwróciła się do Tosi:

— Co ty tam, Todośka, takeś się rozpisala?

— Już skończyłam — odezwała się Todośka, odkładając na stół obsadkę z piórem.

— A o wiejskich nowinach napisałaś?

— Ano!

— No to przeczytaj, coś napisała o nowinach. — Chrysta wyczekująco patrzyła na Tosię.

Tosia ma głos przeciągły i śpiewny, kryją się w nim swawolne, zaczepne tony i gotowość do śmiechu.

— Więc napisałam o tym, co się stało z domem Hanny — powiedziała Tosia i zaczęła czytać: „Przed dwoma tygodniami spaliła się wasza chałupa po ojcu, coście ją sprzedali Hannie, siódmej żonie Płatona Jarczuka. To teraz Hanna i jej Nastka przenoszą się do nowej chałupy, a pomagają im jeden przybłęda-szofer, co się przyplątał do Kochanówki. Cały czarny, podobny do Turka i ludzie powiadają, że ten szofer chce się żenić z Hannową Nastką...

A jeszcze taka nowina: Charytyna-lunaticzka zaniósła Juhynie Płatona bluzkę do uszycia i w jej izbie usiadła na oliwiarce od maszyny do szycia. Teraz nie wychodzi do roboty w kołchozie, tylko brygadierowi pokazuje...”

— Co za głupoty! — przerwała Tosi Chrysta. — Napisz o nowym przewodniczącym wiejskiej rady. Że on sam jest z cudzej wsi, że chodzi w wojskowych spodniach i w butach z chromowej skóry, nie tak jak nasz ojciec chadzał... I o ciężarówce napisz, że ją kołchoz kupił.

— To przecie cały list trzeba na nowo przepisywać! — błagalnie zaprotestowała Tosia.

— A ty mi tu lenia nie udawaj! Może tatko tego pisma w ogóle nie dostanie, bo nam nie odpowiada, ale ty wszystko jedno pisz. Nikt z tych, co ich zabrali razem z tatkiem, na listy nie odpowiada.

Chrysta poczuła, że jej nawijają się łyzy, wzięła rzeszoto z cebulą i wyszła z chałupy.

Dopiero w ogrodzie, przy sadzeniu cebuli, dała upust łzom. Płynęły niepowstrzymanie, a przecież płacze się wtedy, gdy duża krwawi. Wiele już łez wylała Chrysta w swoim życiu.

Najcięższe cierpienie przychodzi z wiosną... Dokoła dokonywał się najwspanialszy cud przyrody: budziła się ziemia, każda gałązka w ogrodzie strząsała z siebie zimowy sen i radośnie wyciągała ku słońcu wezbrane sokiem pączki. Białopienne brzozy, nie spiesząc się, zaplatały zielone warkoczki... Ale nie brakowało w Kochanówce domów, w których zamieszkało nieszczęście: mrocznymi nocami wywieziono z nich gospodarzy nie wiadomo dokąd. Nie ma komu poskarżyć się, bo współczucia nie szukaj. Skoro twego chłopca aresztowali, to znaczy, że zrobił coś złego.

Niewinnych nie ruszają! — tak myśleli ludzie i posepnie stronili od opustoszałych domów.

W głębi duszy Chrysta też była przekonana, że Stefana aresztowali za jakieś przestępstwo. Czy to mało łez polało się w Kochanówce w owym czasie, gdy Stefan był przewodniczący wiejskiej rady? A teraz przyszła kara Boska. Może ukarał Bóg za niesłusznie rozkułaczonych? A może to śmierć Ołeksy, jej pierwszego męża, padła ciężkim grzechem na Stefana i na nią samą, że to bez cerkiewnego błogosławieństwa zgodziła się na powtórne zamężcie?

Więc żałosne cierpienie w piersi Chrysty jest jak roztopione żelazo, niemym krzykiem woła jej ukrzyżowane serce.

Malutki Iwanjo, jak gdyby czuł, kiedy matce jest najciężej, zjawiał się przy niej w takich chwilach, zaglądał w jej dobre oczy i swoim piskliwym, pieszczotliwym głosikiem zadawał pytania, od których ból w piersi natychmiast łagodniał.

Właśnie i teraz Iwanjo przybiegł za nią do ogrodu. Ostrożnie przespacerował się bruzdą oddzielającą grządkę, przykucnął i, badawczo patrząc na Chrystę, zapytał:

— Mamusiu, a kiedym się urodził, wyście co robili?

— Na ciebie, synku, czekałam.

— A gdzie?

— A przed bramą siedziałam i czekałam, kiedy cię zające do kapusty zaniosą.

— To brama wtedy już była?

— Pewnie. Dlaczegożby miało jej nie być!

— I ulica za bramą też była?

— Ulica także była. Wszystko było jak teraz.

— Wszystko było? Mnie nie było, a wszystko już było? — Iwanjo patrzył na matkę nierozumiejącym spojrzeniem.

— Było, synku, było... — Chrysta lekko uśmiechnęła się, dziwując się nigdy niezaspokojonej dziecinnej ciekawości. — Była chałupa, był tatko Stefan, był ogródek przy domu...

Wszystko było... I wszystko jest po dawnemu. Wszystko jest w Kochanówce, tylko nie ma Płatona Jarczuka, z jego czułym sercem, nie ma Zacharki Łowibłocha, który tak znał się na wszelkich rolniczych sprawach, nie ma Chtomy Zawołoki, zakochanego w swoim „żelaznym wozie”, ani Stefana, który marzył o narodzeniu nowej wsi. A poza tym wszystko tak jak było. Jest wielu szczęśliwych, nieszczęśliwych — mniej. Wśród tych nieszczęśliwych liczni krewni i powinowaci niesłusznie rozkułaczonych, lub pociągniętych do odpowiedzialności karnej, nie wiadomo za co. Wszyscy oni, podobnie jak Paweł Jarczuk, nosili w sercach niezagojone blizny, wstydzili się własnych rodzin i cierpieli z powo-

du złego pokrewieństwa, które zagroziło im drogę do spełnienia marzeń.

Ale działało również rozumne rozeznanie — wielka ludzka siła i słabość zarazem. Rozum wszystko zdoła osiągnąć, może pogodzić wszystkie życiowe przeciwieństwa, a nawet usprawiedliwić mysz niewiary, z której poczęła się góra cierpienia. Ale usprawiedliwić jedynie na jakiś czas, gdyż historia posiada swoje własne prawa, które stwierdzają poprzez usta geniuszów, że autentyczny rozum istnieje wyłącznie w intelektualnej formie.

Co najważniejsze jednak — to święta, niczym nie zamroczona wiara w sowiecką władzę, w rzeczywistość, którą żył cały naród. Właśnie ta wiara pomagała ludziom ujrzeć poprzez wszelkie mijające, nieraz bardzo ciężkie nieszczęścia, o ileż ważniejsze dokonania — ciągłe utrwalanie nowej państwowości, w której herbie widniało prawdziwe szczęście i prawdziwa wolność.

A jednocześnie dokonywały się narodziny, wspaniałe choć powolne, nowego sowieckiego chłopca.

W głębi duszy części wieśniaków nie zupełnie umarł żal po własnej ziemi, po własnych koniach, własnym pługu, ale wszystkim już przyświecało żywiołowe zaufanie do kolektywu. We wspólnej, gromadzkiej pracy coraz bardziej zatracało się pojęcie tego co „moje”, i powstawało nowe pojęcie własności, „mojej”, ale w zupełnie innym sensie, niż dawniej. Zanikał strach przed posuchą, przed gradem, przed pomorem bydła, przed tym wszystkim, co dawniej za jednym zamachem mogło sprowadzić ludzi do nędzy.

Szedł czas — rozsądny nauczyciel i wielki lekarz. Nowe czasy. To one uczyły dobrego i leczyły troskami. A już wszelkich trosk ziemia chłopom nie szczędzi.

Szedł czas. Zmieniały się kolejno światło i mrok. Noc zrzucała swoje czarne szaty, zamieniając się w gwarny dzień, pyszniący się młodą urodą, a potem dzień okręcał się ciemnością, stając się łagodną nocą, uwieńconą ciszą i gwiazdami.

Rytmicznie zmieniały się pory roku... Kwietniowe wiatry zrywały z ziemi śnieżne okrycie, więc po umyciu się w wiosennych strumieniach, leżała pod słońcem w błogiej niemocy. Do wtóru stalowej mowy traktorów, ciągnących za sobą siewniki, twardego, sprężystego tupotu końskich kopyt, radosnych ludzkich głosów i pieśni niewidzialnych w niebie skowronków dokonywał się najświętszy akt: zapładnianie ziemi.

Okres wiosennego budzenia się ziemi kończył się Wielką nocą i pierwszomajowym świętem. Ich nadejście zapowiadał przedśmiertny kwik świni w każdej zagrodzie. Rozkwitłe sady kąpały się w słonecznej spiece.

Potem przychodziło lato. Pola omdlewały od wilgotnych, świeżych i prząsnych aromatów rozgrzanych zbóż. Ziemia wysilała swoją macierzyńską pieśczętę w przede dniu zbiorów. W czasie żniwa jedzono zapasy słoniny i wędzonych szynek; żeńcom potrzebna jest krzepa!

Zjawiała się jesień, włócząc leniwe mgły na łąkach Bużanki. Ludzie niepokoiłi się z przyzwyczajenia: „Ile też dostaniemy za każdą przepracowaną dniówkę?”. Dostawali z nadmiarem. Nareszcie w chłopskich sercach zamieszkało zaufanie do kołchozu, a nawet miłość do niego, chociaż jeszcze nieśmiała i nie pozbawiona wyrachowania.

Nastawał gorący okres dla wiejskich muzykantów — wszędzie urządzano wesela. Więc tu i tam w ulicach dźwięczały miedziane czynele, grzmiał bęben, zanosila się harmonia, piszczały skrzypce, śmiał się klarnet i, naturalnie, rozlegały się pieśni. Trzeszczały i z jękiem waliły się płoty pod naporem nieproszonych gości. Podnosząc zgiełk i rwetes, latały po wsi ożywione watahy chłopaków.

A do tego odprowadzanie studentów odjeżdżających do instytucji i szkół specjalnych...

A do tego odprowadzanie rekrutów do wojska. Narzeczone płakały, chłopcy cieszyli się. Służbę wojskową uważano za najlepszą, najmądrzejszą szkołę i chłopców, którzy przez nią nie przeszli, miano za byle co...

Potem święto Październikowe... Boże Narodzenie... Nowy Rok w śnieżnej zamieci. Nowy Rok według starego stylu ze skrzypieniem okrutnych mrozów. A bo to mało okazji, żeby wyróżnąć czapką o podłogę i ryknąć taką pieśń, że aż szyby dźwięczą w oknach z zachwytu! Ukraina — taka to jest Ukraina. Tu wesołości skąpyimi racjami nikt nie odmierza.

Tak, czas płynął niepowstrzymanie... Wydawało się, że Kochanówka ponownie przeżywa swoje panieństwo, swoją młodość wezbraną zdrowiem, błyszczącą urodą i upajającą beztróską radością. Chałupy świeciły białością i wesoło patrzyły na świat otworami czystych okien. Syty dostatek osiedlił się w każdym domu. Jak gdyby obniżyły się przedziały między poszczególnymi zagrodami. Dawniej było tak: im większe, zamożniejsze gospodarstwo, tym wyższy i mocniej zbity płot, tym bardziej gęsty żywopłot z chróśniaka zwanego powijem, co to w jesienną porę płacze czerwonymi łzami twardych jagód. A teraz wydawało się, że stały się niższe. Jakby wszystkie chałupy chciały lepiej widzieć dokoła i lepiej słyszeć pieśni, które w Kochanówce śpiewa się obecnie niezależnie od godziny dnia ani pory roku.

A jeszcze dziwniejsze było to, że od tych pieśni ogrody, zda-

wało się, kwitły bujniej. I las bardziej z bliska tulił się do lewad, a w lewadach dźwięczniejszy słowiczy śpiew i kukułcze nawoływanie, i księżyc spogląda jaśniej zza obłoków, i wyraźniej migocą tajemnicze gwiazdy, i żwawiej odzywają się cykady na jesionach i żaby kumkają głośniejsze w rozlewach Bużanki... Coraz więcej w Kochanówce barw i dźwięków, napełniających serce radością.

Tylko w osieroconych rodzinach nieszczęście wciąż dawało znać o sobie. W udręczeniu oczekiwano wiadomości z więzienia w Winnicy, ciągle z nadzieją, że lada chwilę radośnie zaskrzypi furtka, z zadowoleniem trzaśnie drąg u przełazu i rozlegnie się kochany głos gospodarza... Ale płonne to były nadzieje.

Jedynie w chałupie Chrysty którejś nocy lękliwie zadzwieczała szyba w oknie wychodzącym na sad. Chrysta zbudziła się, z bijącym sercem podeszła do okna i rozróżniła ludzką postać, przytuloną do uschniętej gruszy. Jakby jakiś głos podpowiedział Chrystie: „To Stefan...”.

Tak, to był Stefan. Udało mu się uciec. Uciekł zaś po to, żeby dojść sprawiedliwości. Wierzył, że oburzony jego głos dojdzie do Moskwy, do samego Stalina. Stalin powinien dowiedzieć się o straszliwej samowoli i bezprawiu...

Ale póki co trzeba było schować się. Gdzie? Wielki jest świat, ale ukryć się w nim niewinnemu nie łatwo. I wtedy Stefan przypomniał sobie o podziemnych lochach pod Kochanówką...

A gdzieś daleko, na Zachodzie przyciąła się wojna. Nie w podziemiach, lecz pod jasnym słońcem, na widoku całego świata. Ale o wojnie myślano mało. Nikt nie wierzył, że jest już tak blisko. Wszyscy pragnęli szczęścia...



Któregoś z pogodnych jesiennych dni tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, w godzinie gdy słońce chyliło się ku skłonowi nieba, przepojonego płynnym złotem, przy wiatraku, stojącym tuż za Kochanówką, zatrzymał się samochód i zeskoczył z niego czerwonoarmista. Wiatrak miał jedno jedyne skrzydło — dziurawe, szerniałe, martwe. Czerwonoarmista pozdrowił go jak dobrego znajomego, położył na omszonym kamieniu żarnowym, który dawno wrósł w ziemię, worek na rzeczy, okręcony zwiniętym szynalem, i skierował podniecone spojrzenie ku wsi. Był to Paweł... Paweł Jarczuk, syn Płatona. Mocno ściągnięte, czarne jak smoła brwi nad piwnymi oczami, twarz ze smagłym rumieńcem, pełne, spalone wiatrem usta, nad którymi już przebijał się pewny siebie wąs... Ściągnięty pasem drelich dokładnie uwydatniał rozrośnięty,

muskularny tors. Mnóstwo sportowych odznak pobrzękiwało na jego piersi...

Od podnóża wiatraka było dobrze widać przerzedzoną lewadę, która kiedyś była własnością Stefana Hryhorenki. Do lewady przytulił się mały ogródek, a nad nim wznosiła się, połyskująca jak bursztyń, słomiana strzecha nowej chałupy. Paweł wiedział, że w tej chałupie mieszka jego Nastka... Nie, już od dawna jest nie jego... Sasza Czornych spalił pomyłkowo stary dom Stefana, gdzie mieszkała Nastka ze swoją matką, i razem z domem spalił szczęście Pawła... Trudno w to było uwierzyć.

Rzucił spojrzenie ku przeciwnej stronie wsi, gdzie w sennej gęstwinie akacyj znajdował się cmentarz. Tam pochowano jego matkę. Wypłynęły z pamięci na pół zapomniane słowa, wypowiedziane przez matkę tamtego niepowrotnego wieczora, zagubionego w mgłę czasu: „Syneczku mój, toż ja bym ci nieba przychyliła, gdybym mogła...”.

Ale Paweł pragnął szczęścia na ziemi, tu — w Kochanówce. Jakże Nastka spojrzy mu w oczy, co powie? Ciężkie ich czekało spotkanie.

Usłyszał lekkie kroki za plecami i obejrzał się. Ścieżką, prowadzącą z lasu, szła do wsi Tosia. Poznała Pawła i na jej dziewiczej, wstydlivej twarzy rozkwitł uśmiech i w siwych oczach zapaliły się złote iskierki.

— Tosia? — Paweł stał oszołomiony, tak bardzo wyrosła i wyładniała córka Chrysty.

— Tak, Todośka! — Tosia dumnie poruszyła ramionami i uśmiechnęła się, jak gdyby z łaski.

— Dzień dobry, Todośka!

— Dzień dobry, Pawle! Przyjechałeś?

— Jak widzisz.

— Na stałe, czy tylko w gościnę?

— Na stałe.

Nadleciał swawolny wiaterek i leciutko popchnął Tosię w plecy. Dziewczyna podała się nieco ku Pawłowi i, nie wiadomo czemu, roześmiała się radośnie.

1960-1962

Iwan STADNIUK

(Przełożył Józef ŁOBODOWSKI)

WOŁOGODZKIE WESELE

Z samolotów AH-2 wysiadają mieszkańcy wołogodzkich i kostromskich¹ wsi, chłopci, urzędnicy. Staruszka w półkożuszkach z garbowanej skóry trzyma w rękach walizkę z dyktami i koszyk spleciony z kory brzozy — widocznie wybrała się do miasta w gościnę do syna lub córki. Obok niej stary, prócz takiego samego dyktowego kuferka i przytroczonej do niego pary nowiutkich łapci z lipową taśmą, dźwiga na plecach duży kosz, z którego po bokach sterczą dwie sznurowe pętle. Takie kosze są używane przy wyprawach na sianokosy, na dalekie polowanie lub leśne roboty. Do pętli wsadza się siekiere — wszystko to znam.

Pilot gderze na starego:

— Cały samolot mi zakrwawiłeś! Co to cieknie z twego kosza, ojczu? Mięso?

— Nie mięso, ale żurawiny. Odtajały, przekłete!

Stary wiezie te żurawiny komuś w prezencie.

— A łapcie po co? — pyta pilot.

— Syn prosił żeby mu spleść — dla zabawy. Jadę do Leningradu.

Wszystko to bardzo powszednie. Ale właśnie ta powszedniość jest wzruszająca, mówi ona bowiem, że lotnictwo weszło w życie codzienne.

Pasażerowie ładują się na ciężarówkę-taksówkę i jadą na stację kolejową. A ze stacji podjeżdżają na lotnisko nowi pasażerowie wracający z gościny. Ci mają w rękach już nie kuferki z dyktami, ale prawdziwe walizki, i sami też się wyekwipowali — zamiast watówek i starych półkożuszków wielu z nich ma na sobie miejskie płaszcze, na szyi porządne wełniane szale, a na głowie futrzane czapki.

1. Okręgi (oblasti), dawniej gubernie, wołogodzki i kostromski na północy Rosji europejskiej. Miasto Wołoga położone jest o mniej więcej 570 km. na wschód od Leningradu.

Mocno podejrzewam — choć to może grzech — że moi rodacy jadąc do miast umyślnie ubierają się gorzej, wyglądają biedniej, aby tym pewniej rozczulić krewniaków, którzy „wyszli na ludzi”.

Kupują bilety, ustawiają się w kolejkę do samolotu. Przyglądam się, czy nie stęknie któraś ze staruszek, czy nie przeżegna się. Nie, żadna nie przeżegnała się, przywykły do wszystkiego.

A ja lecę na wieś, na wesele.



Nie bardzo już wierzyłem, aby z dawnych obrzędów weselnych coś jeszcze zostało i dlatego otrzymując od czasu do czasu zaproszenia na wesela nie kwapiłem się na chłęptanie kisielu o tysiąc wiorst ode mnie. Przy tym te zaproszenia ze stron rodzinnych przychodziły zwykle o dwa, trzy dni za późno i nie obiecywały nic interesującego.

„Szura, przyjeżdżaj, Tańka z Wieńką bez ręki rejestrują się”. Albo: „Będziemy zapijali Duńkę Wołkową, przyjeżdżaj, zabawimy się”.

Tym razem przyszedł list napisany jakimiś innymi, serdecznymi słowami, i co najważniejsze — zawczasu.

„Wuju Szura, nasza Hala wychodzi za mąż. Narzeczoną pracuje w fabryce wyrobów lnianych. Piwo mama przyrządziła, wszystko więc będzie jak należy. Przyjeżdżaj, wuju, koniecznie, nie odmawiaj nam, prosimy”.

List pisała sama narzeczona mimo że w trzeciej osobie i bez podpisu. Zdawało się, że od tego czy będę na jej weselu, czy nie, zależy jej przyszły los. Odłożyłem wszystkie swoje sprawy, kupiłem na prędcie to i owo na prezenty dla narzeczonej i krewniaków — i pojechałem.

Dwanaście godzin koleją do stacji Szarża, po czym 45 minut samolotem nad lasami — oczywiście jeżeli samoloty kursują — to znów nie takie straszne. Co prawda, na lotnisku w Szarża można utknąć na kilka dni, ale w gruncie rzeczy nie ma innego sposobu żeby się dostać do mojego rejonu. Ciężarówka kursują nieregularnie i nigdy nie ma pewności, że ciężarówką można będzie dotrzeć prędzej niż pieszo.

Kiedyś, kiedy jeździło się końmi, czas podróży można było obliczyć dosyć ściśle. Ale teraz drogi są tak zjeżdżone, że w czasie wiosennych i jesiennych roztopów i zimowych zamieci, ruch na trasie zupełnie ustaje. — Co za droga — czyste złoto! — mówią wtedy z gorzką ironią wołogodzcy kierowcy. Po trzech —

czterech takich kursach nowa silna maszyna idzie do gruntownego remontu.

Tym razem poszcęściło mi się. Na trzeci dzień po wyjeździe z Moskwy byłem już w gościnie u narzeczonej. Ostatnie kilometry drogi zrobiłem na nartach zajęczymi tropami pośród bajkowych gajów brzozowych ze stadami cietrzewi na wierzchołkach drzew.

— Och, przyjechałeś! A ja nawet marzyć nie śmiałam! — wykrzyknęła Hala ze zdumieniem.

Krągłolica, z różowymi policzkami, bardzo ruchliwa, jest przejęta tym co ją czeka — cieszy się i boi. Ale roboty jest tyle, że na przeżycia nie zostaje ani czasu ani sił.

Nie można nawet przyjrzeć się jej, tak się kręci po domu: nie chodzi, nie biega, ale nosi się jak na skrzydłach. Ale przecie znam ją od dawna, po co więc miałbym się przyglądać? Odkąd jej nie widziałem, Hala ani nie urosła, ani nie wyładniała, ani nie stała się postawniejsza, ani — jak tu mówią — okazańiejsza. A jednak w swojej wsi była uważana za jedną z najlepszych panien do wzięcia. Czy dlatego że była jedynaczką u matki i dziedziczką całego domu? Być może, że częściowo z tego powodu. Ale takich dziewczyn jak ona jest we wsi więcej. Żadna z nich nie ceni swego dziedzictwa, stara się czmychnąć z domu, dostać jakąś niekołchozową pracę — jak to również zrobiła Hala dostawszy się do fabryki wyrobów lnianych.

Zalety Hali — drobnej, nie postawnej i niezbyt mocnej — są innego rodzaju. Pochodzi ona z bardzo pracowitej rodziny, a wieśniacy dotychczas żywią szacunek dla takiej tradycji. Duże i uporządkowane gospodarstwo jej dziada po matce zostało rozwiązane w gorącym czasie kolektywizacji wskutek twardych zarządzeń. Zdaje mi się, że ten sam los spotkał dom jej dziada po ojcu. Ponieważ jednak w żadnym z tych gospodarstw nie korzystano nigdy z najmniejszej pracy, wśród okolicznych ludzi pozostało tylko ubolewanie z powodu tego co się stało i życzliwe współczucie do niesprawiedliwie pokrzywdzonych ludzi.

Odwieczna pracowitość i ruchliwość przeszły z dziadów i babek na obecną pannę młodą i stały się jej głównym posagiem, upiększającym w oczach konkurentów jej niski wzrost i brak urody. Widocznie zdołała już i w fabryce pokazać swój zapał do pracy.

Maria Gierasimowna, wdowa, matka Hali, mająca za sobą w życiu dużo porodów i dużo cierpień a teraz, po stracie męża na wojnie, zmuszona do rozstania się z ostatnią swoją podporą, przestała nawet sypiać. Twarz jej schudła, oczy ze strachem biegają po izbie; wciąż wydaje się jej, że nie wszystko jeszcze zrobione, że coś przeoczyła, zapomniała. Podłoga odkrobana i wyszorowana aż błyszczą, pośrodku izby rozesłano najlepsze chodniki

własnego wyrobu, ramki z pocztówkami i fotografiami wiszą — zdaje się — równo, w oknach firanki z muslinu, na gwoździach haftowane kraciaste ręczniki i chusty dawnej roboty, jeszcze z jej panieńskich lat, z czasu kiedy sama za mąż wychodziła. Chustki i ręczniki wiszą również na ikonie i na ramkach z fotografiami. A w ramkach, pośród wizerunków krewnych i znajomych, oraz różnych przypadkowych, nikomu nieznanym osób, jaśnieją kwieciste pocztówki ku czci Dnia Paryskiej Komuny, Ósmego Marca, Pierwszego Maja, Nowego Roku i pierwszych lotów kosmicznych. Tuż obok pocztówki z nieudolnymi kwiatami i lalkowatymi rumianymi buziąmi w serduszkach z napisem: „Kochaj mnie tak, jak ja kocham ciebie”, „Powinszowania z powodu urodzin”, „Pamiętam o tobie”, oraz z pełnymi błędów wierszykami:

*„Być może, fale świata
Uniosą w dal mnie gdzieś,
Niech więc ta pocztówka
Przypomni tobie coś”.*

Przepisałem te wierszyki wiernie.

Wszystko to jest teraz wyłożone. Między te utwory sztuki stosowanej ktoś wetknął kartki ze ściennych kalendarzy z różnych lat — zapewne dla wypełnienia pustych miejsc. Na jednej kartce figuruje podobizna Louis Aragona, na drugiej — marszałka Timoszenko, na trzeciej — wykres niezawodnego wzrostu rocznego udoju mleka w procentach.

W osobnej ramce koloru wielkanocnego jajka widnieje dyplom honorowy panny młodej, podpisany przez dyrektora fabryki wyrobów lnianych i przez prezesa rady zakładowej: „Za doskonałe wskaźniki wykonania produkcyjnego planu na cześć 43-ej rocznicy Wielkiej Październikowej Socjalistycznej Rewolucji”.

Maria Gierasimowna nalewa naftę i rozwiesza w różnych miejscach pod sufitem pięć lamp — dwie własne i trzy pożyczone od sąsiadów. Następnie znowu ogląda wszystko krytycznym wzrokiem, poprawia kilka nieco krzywo wiszących fotografii, potrząsa ręczniki, aby haft na nich był bardziej widoczny, jeszcze raz przeciera lustro...

— Zdaje się, że już wszystko jest jak należy.

Szczególnie przypada jej do smaku obraz namalowany przez miejscowego zootechnika. Na ogromnym, strasznym zwierzu, prawdopodobnie wilku, mimo że morda jego jest raczej lisia, Iwan-królewicz uprowadza dokądś swoją ukochaną, przesłiczną Helenę. Obraz na całą ścianę, aż kapie od złota, a drzewa i kwiaty są nieprawdopodobnych rozmiarów. Czy ona, Maria Gierasimowna,

nie zna ciemnych dziewiczych lasów? Przecie całe swe życie przeżyła w lesie — ale takich osobliwych pni nawet we śnie nie widziała. I pomyśleć tylko, że coś tak pięknego jak ten obraz, oddał zootechnik za dwa kilogramy śmietankowego masła! Nawet się nie potargował ten zacny człowiek! Ze wszystkich jego obrazów wiszących już w pobliskich wsiach jej dostał się największy, najjaskrawszy. Nawet trzech tędzy chłopci na bohaterskich kobyłach mniej się jej podobali niż ten dziki las i kosmate straszdyłło-wilk...

Maria Gierasimowna jest przekonana, że bez tego malunku zootechnika jej izba wyglądałaby o wiele mniej strojnie.

A jednak Iwan-królewicz uprowadza swą wybraną z jej rodzicielskiego domu, od ojca i matki. I oto od niej, Marii Gierasimowny, wywożą też w tych dniach córkę Halę o 40 kilometrów. Przyjadą ciężarówką razem z dyrektorem fabryki, wypiją całe piwo i zabiorą dziewczynę. Oczywiście to dobrze, a jednak szkoda i smutno, samej teraz trzeba będzie zostać na starość.

Na ostatku Maria Gierasimowna przestawiła wskazówki zegara ściennego z wahadłem. A że wskazówki szybko zaczynają się opóźniać, więc przesunęła je na oko, na chybił trafił. Inny zegar, który od dawna wisi bez wahadła i wskazówki, ozdobiła kraciatym śnieżnym ręcznikiem, bo po co miałaby go zdejmować ze ściany? To nic że zegar nie chodzi, ale zawsze to jeszcze jeden obrazek w domu — kwiatki i lasek i pole.

Teraz już wszędzie zrobiło się ładnie!

— Czemu tak daleko wydajesz córkę za mąż? — pytam.

— Bardzo daleko — potwierdza ze smutkiem Maria Gierasimowna. Gdy zechcę ją odwiedzić — nie dobiegnę. Gdy zapłaczę — nie będzie nikogo żeby łzy obtarł. Czterdzieści kilometrów to nie żarty.

— Gdzie się oni spotkali?

— Ano, tamże, na fabryce. Hala pracuje tam już trzeci rok, wyroszony len podaje do maszyny, a on, narzeczony, na prasie, układa len w kipy. Ze dwa lata chodzili ze sobą. Po powrocie z wojska od razu ją wypatrzył i odtąd już na żadnej zabawie nie odchodził od niej — wiem to od ludzi. Wszystko jak trzeba.

Najważniejsze dla Marii Gierasimowny, żeby wszystko było jak trzeba. A mała Hala rumieni się, nawet rozmowy o swoim weselu się wstydzi.

— A jak będziecie sprawiać wesele — po dawnemu, czy po dzisiejszemu?

— Jakże tam po dawnemu, pewnie nic nie wyszłoby — odpowiada Maria Gierasimowna, a po dzisiejszemu też nie wesele. Należałoby po dawnemu! — konkluduje, po czym zaczyna opo-

wiadać jak wszystko powinno się odbyć, żeby wszystko było jak należy:

— Jutro przyjedzie narzeczony z drużbą, swatka i starosta weselny, no i wszyscy goście pana młodego. Drużba zacznie wykupywać pannę młodą od dziewczyn. On im daje cukierki, a one chcą pieniędzy, on im daje wódkę, a one za wódkę nie oddają boją się że za tanio ustąpią i pannę młodą tym zhańbią. Naturalnie robi się szum, żarty, przypowieści i jest wesoło. Jeżeli przytrafi się dobry drużba, wymowny, to i pannie młodej daleko do łez i wszyscy pokładają się ze śmiechu.

— A czy panna młoda musi płakać?

— A jakże! Powinna drzeć się w niebogłosość! Jeszcze przed przyjazdem pana młodego zbierają się przyjaciółki i śpiewają pożegnalne pieśni przy harmonii, bo przecie odjeżdża w cudze strony.

— Przecie ona tam pracuje już trzy lata?

— Co z tego że pracuje, zawsze to jest cudza strona. A przy tym taki jest z dawna zwyczaj, kiedy córka opuszcza dom rodzicielski.

— Nie umiem drzeć się w niebogłosość — mówi z niepokojem Hala — a przy tym Pietia nie nakazał.

— To nic nie znaczy że nie nakazał, trzeba jednak choć trochę polamentować. Myślisz, że jak podpisali się w sielsowicie — to koniec? Jakież by to było wesele!

— Nie umiem lamentować — powtarza panna młoda.

— To nic, dziewczyny pomogą. A jak nie, to zawołamy naszą młodycię, jej łzy same popłyną, a i głos ma odpowiedni. Dla niej lamentowanie to nie pierwszozna.

— Czy byli już w urzędzie stanu cywilnego?

— Byli w radzie wiejskiej, a jakże. Od razu po swatach tam pojechali. Wszystko jak należy. Ale cóż w tej radzie wiejskiej? Podpisali i koniec. Gdzie tu co ładnego?

— A czy narzeczony przyjeżdżał tutaj?

— Tak, był dwa razy. Najpierw ze swatką, swoją ciotką, a potem sam, z brzeczką. Gdy brzczka dojrzeła, narzeczony nalewał ją do butelki od swego piwa i przywozi narzeczonej. U narzeczonej nalewają mu do tej butelki własnej brzczki i umawiają się, którego dnia ma przyjechać po narzeczoną. Nasz Piotr pomógł nam nawet piwo warzyć.

— Jaki też on jest ten pan młody? — pytam.

— Niezły chłopak, jak to chłopak. Szczyplę, brwi jasne. Wojsko odsłużył — tym lepiej. Jacy są teraz konkurenci na wsi? Wszyscy tylko patrzą żeby wyjechać i ożenić się gdzieś na boku,

w mieście. — Maria Gierasimowna zamyśla się i dodaje: — Niezły chłopak, wysooki!

Kiedy już Hałę wyswatano, zdjęła miarę ze swego narzeczonego, po czym przez dwa tygodnie aż do dnia ślubu ona sama, matka i ciotka — staruszka z sąsiedniej wsi, szyły tak zwany posag. Jakies materiały były przygotowane zawczasu, co brakło kupowano w ostatniej chwili. Dyrekcja fabryki dała dziewczynie urlop i miesięczną płacę w sumie 50 rubli — jako przodującej robotnicy. Matka wydobyła swoje wieloletnie oszczędności. Posag — to nowa odzież dla panny młodej, bielizna dla pana młodego i prezenty dla całej jego rodziny: koszule, fartuchy, chustki na głowę i do nosa, kapciuchy do tytoniu.

Bluzkę i nową suknię po swatach podarły na narzeczonej jej przyjaciółki. Taki już zwyczaj. Niegdyś palono kądziel na kołowrotku. Teraz dziewczyny nie przędą, ale zwyczaj trzeba zachować. Bluzkę podarto w fabryce, a suknię w rodzinnej wsi, kiedy przyszła tam już po swatach. Jeżeli nie podrzeć odzieży na narzeczonej, to jej koleżanki nie wyjdą za mąż. Przecie i szklane naczynia rozbija się na szczęście!

Na posag dla córki oddała matka swój panieński okuty kuferek, który niegdyś był wypełniony po brzegi jej własnym posagiem. Teraz, mimo wszelkich starań, kuferek był wypełniony tylko do połowy dopóki nie domyślono się by włożyć do niego utkanie w domu chodniki, parę walonek i nawet watówkę.



W dzień wesela, na długo przed przyjazdem pana młodego, zebrały się w kuchni u panny młodej jej rówieśnice. Na razie nie było mowy o płaczu. Szeleściły i chrzęściły różnokolorowe sarafany z szerokimi fałdami u dołu, kaftaniki z koronkowymi falbanami, satynowe fartuszki, jedwabne i wełniane chustki — aż ćmiło się w oczach. Jedynie panna młoda miała na sobie zwykłą perkalową sukienkę. Wystroją ją dopiero gdy poprowadzą do pana młodego do stołu.

Młodzież hucznie obchodziła swoje święto.

— Dziewczyny, nie bierzcie mniej niż 10 rubli!

— Za taką pannę młodą można jeszcze więcej wyłożyć!

— Pan młody przecie nie kołchożnik, potrząśnie kiesą.

— Wywiozą ją za dziewiątą górę — jakże by inaczej!

— Tylko nie ustępować!

— To zależy jaki druzka się trafi... Jeżeli taki jak nasz

Gieńka, to można mu głowę ściąć, a on wciąż swoje!

Przyszedł harmonista, chłopak lat 18-u. Podano mu szklanekę

piwa, po czym zaraz usiadł na zydlu i z powagą zagrał. Równie poważnie zaśpiewały dziewczyny pierwsze przyśpiewki, które miały roztkliwić pannę młodą i dopomóc jej płakać. Zaczynała się tak zwana wieczornica.

*Ostatni wieczorek
Jestem u rodziców
Tata z mamą zapłaczę
Nad moją radością.*

*U taty na żniwach
Nadłamałam gałązkę
Przyjdzie tatumio na ściernisko
Przypomni dziewczynę.*

W kącie, za plecami dziewczyn, za różnokolorowymi bluzkami i sarafanami, ukryła się panna młoda — szczęśliwa, okrągłolica, z różową twarzyczką. Czas już płakać, a ona ani rusz nie może zacząć. Obok niej siedzi jej cioteczna siostra Wiera. Już przygotowała chustkę i swój fartuch do ocierania łez panny młodej, rozstawiła nawet kolana, na które Hala powinna padać twarzą. Ale panna młoda wciąż nie płacze.

— Płacz, płacz — namawia ją Wiera.

Pomyślałem — przyznaję — że Hala krępuje się mnie i już chciałem wyjść z kuchni. Ale nareszcie zdecydowała się: zaszlochała, wydała głos. Harmonista opuściwszy głowę nacisnął na basy, dziewczyny zaśpiewały głośniejsze:

*Wyswatali mnie
I Bogu się pomodlili
A na biały fartuch
Moje tzy się polały.*

*Siedzi tata na krześle
Herbatę z winem rozlewa
Przepija moją głowę
Na zawsze do obcego domu.*

Hala płakała źle, pokrzykiwała fałszywie, przyszła więc jej na pomoc młoda mężatka, bratowa. Przedostała się do kąta i od razu wzięła tak wysoką nutę, tak zapiszczała, przycisnąwszy głowę szwagierki-panny młodej do swej piersi, że wszyscy aż się wzdrygnęli. A dziewczyny podchwyciły ten krzyk i zaśpiewały piosenki bardziej odpowiednie do losu tej mężatki:

*Nie idź dziewczyno za mąż
Za druha niemłodego
Lepiej stoczyć się do rzeki
Z urwiska wysokiego.*

*Nie idź dziewczyno za mąż,
W małżeństwie nieswojo żyć
Z jednej deski na drugą
Przestąpić ci nie dadzą.*

Od razu wszystko poszło składniej. Panna młoda na serio roztkliwiła się i zapłakała, a twarz jej jeszcze bardziej zapłonęła od łez.

Przyjaciółki zaczęły przykrywać chustkami oczy, ryknęły gromko wdowy. Nawet ja sam ledwie powstrzymałem płacz — tak to wszystko stało się naturalne i żałosne.

Ale dla matki, Marii Gierasimowny, tego było za mało. Przeprowadziła ona specjalistkę od płaczu i zawodzenia, sąsiadkę Natalię Siemionowną. Harmonista przestał grać, dziewczyny ucichły kiedy weszła ta czarnooka, o cienkich rysach, stara, ale wciąż jeszcze piękna kobieta.

A no, Natasza, pomóż — poprosiła ją Maria Gierasimowna.

— A cóż to wy takie krótkie kawałki śpiewacie — zwróciła się z wyrzutem do wszystkich Natalia Siemionowna. — Trzeba śpiewać pieśni przeciągłe, bez nich się nie obejdzie. Zdaje się, że i „krasoty” nie odprawialiście, cóż to za wesele? Trzeba było mnie wczoraj zawołać, ja nawet całą „krasotę” pamiętam. Kiedyś Miticha Liskina — cóż to za płaczka była! — powiada do mnie: „Siadaj, Nataszka, przy mnie, głos masz doniosły, ucz się. I ja z jej śpiewu, jeszcze jako dziewczynka, zapamiętałam wszystkie przeciągłe, zawodzące pieśni. Bóg pamięci mi nie poskąpił. Ileż swoich dziewczyn potem za mąż wydałam, ni mniej ni więcej jak sześć córek w świat wyprowadziłam — jakże nie pamiętać obrzędowych pieśni! A czytać nie umiem! Abecadło przeszłam i zachorowałam na ospę. Potem już doganiałam kiedy uczono dorosłych, albo jak samouk. Mogę wprawdzie powiedzonka pleść, umiem nawet podpisać się, alem niepiśmienna. Czy była u was „krasota”?

Zadnej „krasoty” w domu Marii Gierasimowny nie było. Matka i córka kręciły się jak oparzone żeby wszystko przygotować jak należy na przyjazd pana młodego i nowych gości. Nie w głowie im były zawodzące pieśni i weselne obrzędy.

— W takim razie pozwólcie że i „krasoty” trochę podchwycimy — zdecydowała Natalia Siemionowna. Może kto podciągnie? Czy nie?

— Podciągniemy! — odpowiedziano niepewnie. — Tylko pociągnij pierwsza.

Maria Gierasimowna podała staruszce szklanę piwa:

— Przepłukaj gardło, Natasza, łatwiej będzie śpiewać.

Natalia Siemionowna wypła piwo, wytarła usta wierzchem dłoni i zaśpiewała smutno, przeciągle:

*„Słoneczko zachodzi, kończy się wiek dziewiczy,
Dziewiczy wiek się kończy i wieczór się zbliża,
Wieczór się zbliża i przeszedł wiek dziewiczy.
A gdy minął wiek dziewiczy — minęło życie dziewicze.
Minęło życie dziewicze, wszelkie spacery i zabawy.
Nachodziłam się i nabawiłam latem na zielonej trawie,
Latem na zielonej trawie, a zimą na białym śniegu.*

Zdawało się, że izba się rozszerzyła, że sufit podniósł się w górę, sarafany i kaftany zajaśniały jeszcze barwniej i jaskrawiej.

Natalia Siemionowna głos miała czysty, wysoki, nie starczy. Śpiewała nie śpiesząc się, starannie i śmiało. Po prostu, wykonywała potrzebną ludziom robotę, czemu więc miała się peszyć?

Dziewczyny zaczęły podciągać, ale żadna z nich nie znała tych staroświeckich weselnych pieśni. Podciągać było łatwo, gdyż każda strofa pieśni śpiewana była dwukrotnie, ściślej mówiąc koniec każdej strofy był początkiem następnej — i tak bez końca.

Wskutek tego łatwo również było zapisać słowa pieśni ze śpiewu, co też uczyniłem.

— Przyłączajcie się, dziewczyny, przyłączajcie — mówiła od czasu do czasu Natalia Siemionowna. Podchwytujcie! — I śpiewała dalej.

Panna młoda przestała płakać, po prostu widocznie zapomniała o swojej roli, zmieszana się, tak niezwykłymi wydały się jej zawodzenia Natalii po niemądrych i jęklivych śpiewkach przy harmonii.

*Zabrzęczały dzwoneczki, a serduszek drgnęło
drgnęło serduszek, mocno zastukało,
Zastukało mocno, lecz nie wiosenna woda,
Nie wiosenna woda rozlewała się pod górą,
Rozlewała się pod górą, bramy podmywała.*

— Przyjechali po pannę młodą, oto o czym mówi pieśń — objaśniła Natalia Siemionowna i poprosiła: — Nalej mnie, swatko, szklaneczkę tego co mi dałaś przedtem, bo w gardle drapie. Mówią przecież, że ile piwa tyle i pieśni.

Maria Gierasimowna podała jej pełną białą filiżankę piwa, uważaną za honorową, jak dawniej wspólne naczynie do jedła i napojów. Staruszka wstała z zydlu, z niskim ukłonem wzięła filiżankę w obie ręce, ale nie wypila do dna — ważny był okazany zaszczyt. Potem starannie wytarła usta i znowu zaśpiewała:

*To nie grudka śniegu spadła, nie iskry się posypały,
Nie iskry posypały się w całym teremie wysokim,
W całym wysokim teremie do rodzzonego ojca.
Do rodzzonego ojca, do mnie młodziutkiej,
Do mnie młodziutkiej i do kuchni, kuchenki,
Drużba książęcy jeszcze w okienko puka,
Puka w okienko i do izby się drużba naprasza.
Do izby drużba się naprasza — ja sama mu odmówię?...
Ja sama drużbie odmówię: drużbo, precz od teremu!
Drużbo, precz od wysokiego — nie sama jestem w teremie,
Nie sama w teremie — ze swoimi przyjaciółkami.*

Byli w tej pieśni — prócz teremów wysokich i słupów dębowych — również książęta i bojarzy, był klasztor dziewiczy z mniszkami, była bystra rzeka — Dunaj — i Wielki Ustiug i Osmołowska rada wiejska i zarząd kołchozu. Pieśń opowiadała kolejno o przyjeździe swatki i drużby, pana młodego i teścia i świekry, o tym jak wchodzą na pomost prowadzący do sieni, następnie przestępują próg izby, siadają za stołem, przywołują do siebie pannę młodą i jak panna młoda rozdaje podarki i prosi ojca i matkę o błogosławieństwo, które „z siniego morza wyratuje, z ciemnego lasu wyprowadzi, za osłonę od wiatru i za okrycie przed deszczem i za tarczę przed ludźmi służyć będzie”.

Pieśń jest śpiewana od imienia panny młodej, błagającej o obronę przed obcym człowiekiem-panem młodym, przed książętami i bojarami, którzy weszli do sieni: „Podrąb ty, ojcze, mosty kalinowe”, lub od imienia dziewczyn wysmiewających swatkę: „Nasza swatka jak księżna, trzy lata nie przędła, nie tkła, wciąż darów się spodziewała”, albo skąpego drużbę: „A u naszego drużby nogi jak szczapy, nogi jak szczapy, a oczy zajęcze...”.

Natalia Siemionowna zapaliła się, rozśpiewała, i wciąż to i owo objaśniała, widocznie nie bardzo wierzyła, aby treść starej pieśni była zrozumiała dla dzisiejszych ludzi i od czasu do czasu wstawiała między strofy jakieś prozaiczne zdanie. Zdawało się, że traktuje to wesele nie na serio, lecz jak grę, w której jej, starej zawodnicy i gawędziarce, dano główną rolę.

— Czy nie szkodzi, że śpiewam o klasztorze? — spytała nagle. — Teraz przecie nie ma klasztorów.

Lub prawie szeptem:

— Może się komuś sprzykrzyło? Może skrócić? Dawniej śpiewano i lamentowano długo, a teraz szybko się z tego wymigują...

Spyta, i nie czekając na odpowiedź śpiewa dalej. A w pewnej chwili nakazała dziewczynom:

— Przechodźcie teraz na inną nutę, żeby pannie młodej jeszcze smętniej się zrobiło! — I sama zmieniła melodię.

Posłyszawszy te słowa Hala, od dawna siedząca cicho w swoim kącie, ryknęła znowu głośno, żałośnie, na serio. Gdy Natalia Siemionowna wspomniała w pieśni jej rodzzonego ojca, Hala zapłakała serdecznie. Została pół-sierotą wcześniej i dotąd tęskni za ojcem-żołnierzem.



Pan młody, swatka, starosta weselny, družba i goście ze strony pana młodego przyjechali po pannę młodą na samowyladowniczym samochodzie, gdyż innej wolnej maszyny w fabryce nie było. W pudle samochodu leżała gruba warstwa żółtego siana, zleżącego w czasie 40-kilometrowej podróży.

Nie był ten samochód w niczym podobny do szarego wilka!

Dawniej zabierano pannę młodą i sprawiano wesele najpierw w domu rodzicielskim pana młodego, a następnie wracano ucztować do rodziców panny młodej. Tym razem wypadło odstąpić od tej kolejności i zrobić wszystko w odwrotnym porządku: najpierw sprawić ucztę u panny młodej, a dopiero potem zawieźć ją na „obcą stronę”. Zmiana ta dyktowana była brakiem transportu i dużymi odległościami.

W charakterze dodatku do samowyladowniczego samochodu przyjechało w nim na weselną ucztę do panny młodej kilku urzędników fabryki z dyrektorem na czele. Goście ci uważani byli za honorowych.

Przy wjeździe do wsi napotkali barykadę z belek skonstruowaną przez miejscowe dzieci. Według obyczaju należało weselny orszak zatrzymać po drodze i brać okup za pannę młodą, lecz ciężarówka — to nie „trojka z dzwoneczkami”, jej nie można zatrzymać żywym ludzkim łańcuchem.

Mróz był tęgi, nie mniej niż 30 stopni. Chłopcy pracowali i tupali na mrozie oczywiście nie dla zarobku i nie dla butelki wódki. Dla nich wesele było czymś w rodzaju amatorskiego przedstawienia. W ogromnej wsi Suszinowie dotychczas nie ma ani elektryczności, ani radia, ani biblioteki, ani klubu. W ciągu ostatnich dwóch lat nie zajrzało tutaj żadne objazdowe kino. A młodzież musi mieć swoje zabawy! Starsi kołchoźnicy zgrywają się wieczora-

mi w karty, schodząc się przez okrągły rok w izbie Nestora Siergiejewicza, opłacając temu męczennikowi za lokal, za przynoszone błoto i za naftę od każdej partii. A gdzie się mają podziąć młodzi? Są oni przy tym jeszcze obciążeni 7-letnim lub 8-letnim wykształceniem. Dawniej dziewczyny przędły len, schodziły się na rozmówki kolejno to do jednej, to do drugiej — i tam też ściągali chłopcy. Teraz oddaje się do fabryki len wyroszony. Tak więc każde wesele we wsi staje się ogólną zabawą, powszechną radością. Być może właśnie dlatego zachowują się tutaj niezmiennie prawie wszystkie dawne obyczaje i obrzędy z przeciągłymi pieśniami o księżętach i bojarach.

Zimą zamkniętych wrót do wsi ani objechać ani obejść nie można — zasy py śnieżne sięgają dwumetrowej wysokości. Szczęśliwi chłopcy-łobuzy triumfowali: skostniali z zimna w samochodzie goście nie targowali się, nie trzeba było długo wychwalać panny młodej. A najważniejsze — że było wesoło!

Zrobiło się wesoło również w izbie panny młodej jak tylko wszedł tam drużba Grigorij Kiryłowicz. Człowiek bywały, z niepowściągliwym swawolnym charakterem, przeszedł w czasie wojny wiele krajów zachodniej Europy jako zwycięski oswobodziciel. Zachował w pamięci niezliczone ilości przysłów i facecji z dawnego drużbanckiego arsenału i nie pogardzał nimi.

*Swat i swatka,
Najechała zwada,
Mnie nie wierzycie,
Sami zobaczycie!*

wrzasnął stukając biczyskiem po malowanej na lazurowo przegrodce oddzielającej izbę od kuchni.

Panna młoda wciąż jeszcze płakała, płaczka śpiewała, dziewczyny pomagały jak umiały, ale wszystkich już to przestało bawić, a pannie młodej odeszła ochota do płaczu. Grisza zwrócił na siebie powszechną uwagę, władczo podporządkował wszelkie dźwięki swemu nieco zachrypniętemu na mrozie głosowi.

Pan młody również wpadł do kuchni. Jak się okazało, był rzeczywiście nieprawdopodobnie wysoki i cherlawy. Przypomniły mi się słowa Marii Gierasimowny: „Jacy też to teraz konkurenci! Był w wojsku — tym lepiej. Niezły chłopak. Brwi ma jasne”. Nazywał się Piotr Piotrowicz.

Pozwolono mu pić w drodze na równi z innymi, aby go dowiesć żywego i nie zamrozić, toteż Piotr Piotrowicz wpadł do kuchni pijany i dumny z siebie ponad wszelką miarę.

Hala od razu przycichła i zaczęła wycierać oczy. Zrozumia-

łem dlaczego tak długo nie chciała wykonywać na swojej wieczornicy dawnych obrzędów.

— Co ja ci mówiłem? — z miejsca zaryczał władczo Piotr Piotrowicz. Mówiłem ci abys nie lamentowała. A ty co? Co, pytam się ciebie?

— O Boże! — nastraszyła się Natalia Siemionowna. — Jeszcze nie mąż, a już się stawia. Cóż to będzie później?

— Cóż ty, Natacha, tak nieładnie mówisz? — rzuciła się na nią z wyrzutem Maria Gierasimowna. — Cóż on takiego zrobił? — I zaczęła przekonywać, uspokajając swego przyszłego zięcia: Pietia, Pietieńka! To nic, Pietieńka! Ot, polamentowała trochę, to cóż to takiego, Pietieńka? Taki zwyczaj, Pietieńka!

A panna młoda ze strachu ryknęła jeszcze mocniej. Zasłoniły ją sobą inne dziewczyny.

— Jeden się żeni, a drugi się rujnuje — żartował dalej Grisza. — Ile ode mnie się należy, dziewczyny?

Każdy družba ma własny sposób strojenia żartów. Oprócz utartych, znanych ogólnie dowcipów i przysłów, musi mieć również własne kawały i powiedzonka. Poczucie humoru i przytomność umysłu są dla niego konieczne. To już wkracza w sferę twórczości. Nie każdego zapraszają na družbę.

Grigorij Kiryłowicz najpierw rzucił w podoly sarafanów dziewczyn kilka garści cukierków, po czym zaczął zarzucać je srebrnymi monetami, jakby ze złości, czy z wielkiej hojności. Pieniądze potoczyły się pod stół, po podłodze i pod ławki. Zadzwończyły szyby, pękło szkło w ikonie, zdawało się, że lada chwila rozlecą się w drzazgi również szkiełka u lamp: ktoś zapiszczał ze strachu. Natalia Siemionowna zasłoniła twarz fartuchem.

Ale wszystkie monety okazały się stare, wycofane z obiegu. I śmiać się i płakać! Właściwie nie było płaczu, był tylko śmiech i nowy powód do dowcipów i kpin.

Jednakże dziewczyny postawiły na swoim. Pan młody i družba musieli dać okazały okup za pannę młodą — wódką i prawdziwymi pieniędzmi.

Następnie do Hali dopuszczona została swatka, starsza kobieta, która wykonała uroczyście i sumiennie wszystko co powinno być zrobione według starego obyczaju. Pomogła pannie młodej ubrać się ciepło, po zimowemu, jak w daleką drogę, choć wszyscy wiedzieli, że dziś już żadnej drogi nie będzie, i w zimowym płaszczu, małą i grubą, wyprowadziła z kuchni i posadziła za stołem na honorowym miejscu obok pana młodego, który też ubrany był po zimowemu — tak jak przyjechał. Podesłano im obojgu półkożuszki pokryte materiałem, aby młodzi siedzieli wyżej, „jak na tronie”. Pannie młodej podłożono pod siedzenie gruby półkożu-

szek. Dryblas — pan młody, wdrapawszy się na tron, sięgał głową prawie do sufitu.

Zaczęła się uczta, poszła w krąg wódka. Krewniacy pierwsi winszowali młodej parze, wołali do nich „gorzko!” żądali by ich „osłodzić”. Młodej parze wolno było pić tylko z jednej szklanki. Pilnowano tego surowo, aby pan młody jeszcze bardziej się nie podchmieleł. Widocznie często okazywał skłonności do tego.

Schodzili się również goście ze strony panny młodej. Każdego z nich witano w progu szklanką wódki lub piwa.

Przyniesiono „słodkie pierogi”.

Na weselach wiejskich, oraz na innych świątecznych uctach na północy „słodkie pierogi” są potrawą obowiązkową. Taką jest stara, być może wielowiekowa tradycja.

„Słodki pieróg” jest biały, pieczony na tłuszczu i z cukrem, okrągły, wielkości przetaka, lub nawet większy. Na wierzchu są różne ozdobne zakrętasy, plecione z ciasta desenie, różnokolorowe landrynki i rodzyнки. Wskutek braku w okolicy landrynek i rodzynek dzisiejsze pierogi weselne były ozdobione bladymi cukierkami w kształcie poduszczyków, nadziewanych powidłami.

Pożałowałem wówczas, że nie pamiętałem w Moskwie o tych słodkich pierogach. Mógłbym zabrać ile tylko chciałbym tych atłasowych, różnokolorowych i innych poduszczyków ze spożywczego sklepu „Udarnik”. Landrynki w tym sklepie pod względem kolorów i odmian nie ustępują koktebelki kamyczkom. Cały ten luksus byłbym mógł przywieźć na czas, aby trafił na weselne stoły!

Przypominam sobie, jak w dzieciństwie, po świątach, wolno było nam, małym dzieciom, wydłubywać skwapliwie z pierogów „oczka” w postaci zapieczonych w cieście landrynek.

Słodkie pierogi na północy — to taka sama sztuka ludowa jak przeróżne futryny okien, koguty i głowy końskie na dachach, wzorzyste kołowrotki rzeźbione w figurki, chałupnicze krosna, jak dzwonki „dar Wałdaja” pod duhą i brzękadłka na zaprzęgach końskich.

Każda zaproszona na wesele rodzina przychodzi ze słodkim pierogiem własnego wypieku. Najstarsza gospodyni przynosi upieczony przez siebie pieróg w szerokiej okrągłej łubianej chlebnicy, lub na „wieku”, pokrywie chlebnicy. Pieróg jest przykryty czerwoną serwetą z frędzelkami. Prócz tego głównego prezentu mogą być również w koszyku lub w chlebnicy zwyczajne białe bułki, „kołobany”.

— Gorzko! — rozlega się coraz częściej to w jednym to w drugim kącie izby, i młoda para wstaje i trzykrotnie, niezręcznie całuje się. Piotr Piotrowicz przy tym pochyla się, a Hala zaciska wargi i ze zmieszaniem zamyka oczy.

— Gorzko! — rozkazująco wołają znowu.

Szczęśliwa Hala odpija kilka łyków ze wspólnej szklanki i podaje resztę piwa panu młodemu, który nie wyprostowując się wlewa resztę piwa w usta i podżartowuje:

— Gdybym wiedział, nie żeniłbym się, nie dają nawet wypić jak należy.

Swatka spogląda na niego z niepokojem — co jeszcze zrobi i czy nie nagada czegoś niepotrzebnego.

— Gorzko!

W każdej takiej obrzędowej uczcie najważniejsi są ludzie. Charaktery ludzkie podczas uczty odsłaniają się łatwo i swobodnie. Na każdej wiejskiej zabawie obowiązkowo tańczą i śpiewają sprzeczą się, gadają głupstwa, śmieją się, biją się, jeden krzyczy, drugi milczy; młode mężatki śpiewają, a wdowy płaczą.

Pośród mężczyzn szybko pojawiają się na ucztach typowo rosyjscy poszukiwacze prawdy, zabiegający słownie o sprawiedliwość, o szczęście dla wszystkich. Dostaje się od nich i Niemcom i Amerykanom i Turkom, ale najczęściej chyba dostaje się im samym, ich rodakom. Tych ludzi mało interesuje wesołość, śpiew, tańce. Oskarżają, demaskują, żądają kary, protestują i przez cały czas pytają co robić, jak ma być, kto winien, i czy wiedzą o naszych troskach tam na górze, czy widzą to wszystko? W tej niepowściągliwości przejawiają się zapewne rysy charakteru narodowego. Ale nie daj Boże trafić w ręce takiego samobiczownika na cały wieczór. Nie będzie wtedy ani uczty ani zgody, niczego się nie zobaczy, niczego nie usłyszy.

Pojawiają się również pospolite samochwały — ludzie zadowoleni z siebie, ograniczeni, chełpiący się swym stanowiskiem służbowym, swoim zarobkiem, choćby był nielegalny, nieuczciwy; chwalący się swoim domem, swoim sprzętem domowym, żywym inwentarzem, wreszcie swoją żoną i teściową.

Dawne wiejskie podania opowiadają o tym, jak tęgie zuchy zasiadają do stołu i „jeden chwali się ojcem rodzonym, drugi — rodzoną matką, rozumny chwali się złotym skarbem, a głupi — młodą żoną”. Współczesne samochwały są skromniejsze. Przez cały wieczór chodził od stołu do stołu pewien kołchoźnik w starszym wieku i nie przestając dziwić się i cieszyć chwalił się swoją niedawno wstawioną sztuczną szczęką z plastyku. Trąci się kieliszkiem ze wszystkimi, wypije szklankę, wyjmie protezę z ust, zademonstruje ją wszystkim i wstawi z powrotem.

— A teraz zobaczcie jak będę żuł. Kości gryźć mogę — cud po prostu! W naszym rejonie to zrobili.

Rzadziej zdarzają się samochwały nietuzinkowe, niepospolite. Posłuchać takich — to prawdziwa przyjemność! Są to szczęścia-

rze, amatorzy życia i swego rodzaju artyści słowa, wiejscy upiększyciele rzeczywistości.

Chwalą się na przykład swoją wynalazczością. W roku ubiegłym kołchoźnicy, aby zapewnić paszę dla swoich krów, potrafili skosić na jeziorach całą osokę już po zamrożeniu.

— Nigdy dawniej chłop by się tego nie domyślił. Głowy były nie takie. Łód cieniutki, chrzęści, idzie się z kosą i z całej siły powyżej lodu — żżyk, żżyk! A piszą, że na fabrykach to i tamto — to spryt, zmysłność. A czyż my bez sprytu żyjemy?

Inni znów opowiadają:

— Dawniej do wielu rzeczy rozum nie sięgał. Ot, na przykład, koza. Dawniej uważano u nas kozę za plugawie stworzenie, od mleka koziego mdłości chwytają... A czemu teraz koza jest pożyteczna? Bo potrzebuje mniej paszy. Wystarczy dać jej osinowych liści, lub sosnowej kory, a będzie syta. Żre gazety i afisze, wszystko idzie jej na użytek. Kozy teraz we wsiach poszły w kurs.

— Moja koza Mańka daje nam osiem litrów na dobę!

— No, wiesz...

Chwalą się tym, że w niektóre lata zboże rośnie nawet na nieuprawionych i nienawożonych gruntach...

A inni znów po prostu siedzą i piją o niczym nie myślą o nic nie pytają, ot, po prostu, odpoczywają. Naturalnie, ten i ów upija się. Na każdej uczcie weselnej co najmniej jeden wali się pod stół, lub zaczyna awanturować się, żądać dla siebie specjalnych honorów, zadzierać nos, robi piekło...

Alkohol różnie działa na ludzi, jednym uderza do głowy, innym idzie do nóg, jeszcze innym do rąk. Jedni robią się łagodni, kochliwi, skorzy do całowania się ze wszystkimi, inni robią się gniewliwi, wściekli.

Płaczą i narzekają głównie kobiety. Nieszczęśliwe mężatki płaczą na każdej uczcie przez całe życie. Stare matki opłakują utraczone dzieci i lekkomyślne córki, które zaczęły żyć z chłopami „nie po ludzku”, nielegalnie i teraz pokutują z powodu tej lekkomyślności; wdowy opłakują mężów poległych na wojnie („nawet procesji pogrzebowej nie było!”).

Można jednak spotkać wdowy zadowolone ze swego losu. Swawolne, obrotne, pierwsze do śpiewu i do tańca. Za życia męża były jak na katordze: „Ani jednego dobrego słowa, tylko mordobicie” i „Poszła ty na trzy litery”, a teraz wolne, rozprężyły gnaty, w kołchozie równe ze wszystkimi, a w domu gospodynie dla siebie; chętne do zabawy i do swawoli.

Wuj pana młodego szybko upił się i zaczął się zataczać. Jeszcze przed małżeństwem był dwukrotnie skazany za chuligaństwo. Żona jego Grunia, buchalterka w fabryce wyrobów lnianych,

miała prawdziwie męczeńskie życie. To drepcze koło niego jak koło małego dziecka, to ukrywa się przed nim w kuchni, na połaciach lub w sieni. Wszystko zależy od jego „pijanego wysokości”. („A kiedy trzeźwy, taki sam człowiek jak inni”).

Już pierwszego wieczora krewniacy musieli tego wujka związać, a drugiego wieczora uciekli się do bardziej współczesnego i humanitarnego sposobu: dali mu w szklance piwa końską porcję nasennego środka.

Grunia znalazła towarzyszkę w nieszczęściu i oto dwie kobiety, podczas gdy pan władca jednej spał, a mąż Toni, zasmarkany, nienasycony kobieciarz z chudą lisią twarzą, kręcił się koło dorodnych wdówek, siedziały razem w kącie kuchni przez cały wieczór i wylewały jedna przed drugą swoje żale.

— Mój też siedział w milicji — opowiadała Tonia. Wzięli od niego zobowiązanie, że więcej chuligaństwa uprawiać nie będzie. Podpisał, ale ja wciąż im mówię: „Przecież on grozi, że mnie zabije, dzieci bez matki zostaną. Własną chatę pewnego razu zaczął podpalać”. A oni powiadają na to: „No, jak zrobi coś takiego, to go zabierzemy i weźmiemy w cugle”.

— Twojego tylko do milicji wozili, a mój już nieraz siedział w turmie — zazdrościła przyjaciółce Grunia.

Myślisz, że mój nie siedział — machnęła ręką Tonia. Ja tylko nie opowiadam o tym. Siedział i odrabiał przymusowe roboty. Pierwszy raz siedział kiedy jeszcze nie był żonaty. Pobili się i razem ze swoim ojcem zabili człowieka. Obu uwolnili po amnestii. Drugi raz, już przy mnie, będąc dziesiętnikiem biura budowlanego, kiedy był przy remoncie drogi, umówił się z kimś i skradł kamienie. Nikt tych kamieni nie zbierał, nikt ich na oczy nie widział, a on wypisał nakaz służbowy jakoby je pozbierał, a pieniądze przepili. Wlepili mu za te kamienie dwa lata. Przesiedział tylko rok i dwa miesiące, wrócił — zrobili go kierownikiem gospodarstwa po raz drugi! Czego tylko nie taszczyli wówczas z fabryki, żeby przepić! Wódka wszystko zmywała z rąk.

— Tak, tak, to wszystko wódka — wstawia swoje słowo Grunia. — Mój też taki sam!

Tonia opowiada dalej:

— Pojechał mój służbowo do Karnysza i tam znów w zmo-wie z kimś ukradł czyjeś siano. Sprzedali je w stogach i przepili. Dali mu znów przymusowe roboty na sześć miesięcy. Potem był strażakiem, pracował na tartaku i kradł, bo cały las był w jego ręku. A wszystko dla wódki, dla tej białej gorączki... Gdyby choć do domu co przyniósł, no to jeszcze... Ale on przychodzi do domu pijany i powiada: „Kładź głowę na kłodę”. — Nie położę — powiadam, dzieci szkoda, co zrobisz z trojgiem dzieci? — Właż

w pętlę sama — powiada — żeby nie było na mnie podejrzenia. — Nie polazę — mówię mu. — „No to włącz do piwnicy i nie pokazuj się przez cały dzień”. — Do piwnicy — mówię mu — włącz”. Zamknie on mnie w piwnicy i trzyma tam siedząc nade mną. A dzieciaki ryczą, trzęsą się ze strachu. Gdy sprzykrzy mu się ten ryk, otwiera piwnicę, „wyłaż, powiada, uspokój je, nakarm”. A sam znów wychodzi do kompanów, do swoich przyjaciół pić wódkę. Gdyby nie wódka może żylibyśmy po ludzku. Gdy trzeźwy — niczego sobie, grzeczny, człowiek jak człowiek. Bardzo dużo wódki zaczęli ludzie pić po wojnie.

Grunia słuchała, współczuła, ale zdawało się jej, że sytuacja Toni jest jednak lepsza niż jej własna.

— Może twój nie drze się tak groźnie, w każdym razie nie ma ręki, uderzyć mocno pewnie nie może... A mój, to prawdziwy zwierz, a kułaki ma jak z żelaza. Jak stuknie w stół, to w drzewie jamki zostają od jego kości.

— Och, co też ty... — obruszyła się Tonia. — Bezręki, a gorszy od trójrękiego. Siły w nim, u przekłętego, tyle co u smoka. Jeżeli ludzie nie pomogą, wszystko mi jedno, powieszę się, albo sama się siekierą zarąbię. On niczego się nie boi. „Ja, powiada, całą wojnę przeżyłem”. Niedawno u nas baba udusiła się, też z powodu pijaństwa męża”. Ja też nie zdołam poradzić sobie z moim, on rzeczywiście całą wojnę przeżył, rękę stracił, zna wszystkie chody i sposoby. Cóż ja dla niego?

Siedzą sobie te dwie swobodne, wyzwolone, lekko podpite kobiety w kuchence, z dala od ogólnego gwaru i śpiewu, i rozprawiają i płaczą i też czasami hałasują. W rezultacie trudno zrozumieć, czy narzekają wzajemnie na swoich mężów, czy też chwala się nimi — tak dalece malują ich jako silnych i nieustraszonych.

Brat panny młodej, też niewysoki, Nikołaj Iwanowicz, pomocnik kołchozowego brygadiera, człowiek skromny, nieznaczący, lecz bez zarzutu, pracowity, z tych ludzi na których wszędzie spada najcięższa robota — chodził bez pośpiechu z kuchni do izby i z powrotem, to z wódką, to ze szklanką piwa, to z karafeczką i stugramową czarką, przedostawał się za stoły, za ławki, zjawiał się u progu przed nowymi gośćmi, nie zapominając ani o milczących ani o spierających się. Był on, że tak powiem, głównym gospodarzem uczyty weselnej, czymś w rodzaju tamady (gruzińskiego starszyny na uczcie). Ale toastów nie wznosił, krasomówstwem się nie odznaczał, tylko uporczywie proponował każdemu wypić — i to wszystko. Nie podobna było wymówić się od jego częstowania. Przyklejał się do gościa, nękał go swą cierpliwością, nie odchodził aż dopóki ten, machnąwszy ręką z beznadziejną rozpaczą, wypił wszystko co mu było proponowane. Uważa

się ogólnie, że jeżeli na weselu nie ma pijanych, to zabraknie młodym szczęścia, więc Nikołaj Iwanowicz rozumiał rozmiary ciąży na nim odpowiedzialności.

Od czasu do czasu ciągnął tego czy owego drogiego gościa do kuchni, za piec, do matki, Marii Gierasimowny, która często wała ich czymś w sekrecie. Zjawił się tam również dyrektor fabryki.

— Pokosztuj — no! Pali — szepnęła do niego Maria Gierasimowna.

— Co? Pali? — ucieszył się dyrektor. — No to dawaj, za dalsze powodzenie!

— Pij na zdrowie!

Dyrektor wypił pufny kieliszek, poweselał, podszedł do Marii Gierasimowny i porozmawiał z nią.

— Ładną masz córkę, Halę, wszystkie plany wypełnia — nawet z nadwyżką. Przyjrzałem się teraz również synowi. Też dobry chłop. Nie papie bez potrzeby, chodzi i częstuje wszystkich. Wszyscy u nas dobrzy ludzie. Ty masz dwoje?

— Dwoje pozostało, dziewięcioro miałam. Wszystkie dzieci umierały w pierwszym roku życia — poskarżyła się Maria Gierasimowa.

— Dlaczego? Czy bieda była?

— Nie można powiedzieć żeby była bieda. Pracowałam dużo, nie żałowałam siebie. Ani jednego dziecka do domu nie doniosłam. W polu rodziłam, albo na żniwach, a zdarzało się że i na drodze.

— Oboje oni niewielkiego wzrostu, i Hala i ten syn Nikołaj. Dlaczego to?

— Pewnie właśnie dlatego, że ani siebie ani ich nie oszczędzałam — odpowiedziała bez urazy Maria Gierasimowna. Dom był nie mały, była było dużo, a chłop zajmował się jeszcze polowaniem. Później owdowiałem, mąż poległ na wojnie śmiercią walecznych. Przy tym mnie nie jeden raz posyłano jako delegatkę, nie było spokoju.

— Dokąd posyłano?

— A no do tego, jak że jego, do rady wiejskiej.

— To znaczy, że pełniłaś także pracę społeczną?

— A jakże, pełniłam. Na wszystkie posiedzenia ciągnęli.

Dyrektor z zadowoleniem zakończył:

— Dlatego też i twoje dzieci na ludzi wyszły. Nikołaj jest, zdaje się, brygadierem?

— Pomocnikiem. Nie wie już jak uwolnić się od biedy, zameczyli go zupełnie. Zapiisał się na członka, więc musi znosić.

Wyszedłszy z kuchni udobruchany dyrektor trafił w ręce „poszukiwaczy prawdy”.

Trzej cioteczni kuzyni panny młodej pracują razem na dalekich wyrębach leśnych, jeden jest szoferem, drugi motorniczym przy pile, trzeci zarządza szkolnymi warsztatami wytwórczymi i jednocześnie wykłada kulturę fizyczną w ośmioklasowej szkole. Trzech ludzi — trzy różne charaktery, lecz nie rozstają się ze sobą.

Kierowca, Wasilij Prokopjewicz — to buntownik z natury. Gdy zacznie opowiadać o nieporządkach w lesie — zapomina o jeźdzeniu i picciu. Twarz mu blednie, oczy błyszczą jak gdyby żądały odpowiedzi od razu na wszystkie pytania, które życie przed nim stawia. A jeździ w różne strony i dużo wie.

Drugi brat cioteczny, Leńka, człowiek wesoły aż do granic lekkomyślności, zna nie mniej smutnych historii, lecz nieprzeparty optymizm nie pozwala mu długo smucić się i oburzać na jakieś niedorzeczności życia. Lubi pożartować, pośmiać się i w czas opowiedzianą anegdotą złagodzić ostrą rozmowę i ponury nastrój Wasilija Prokopjewicza. Być może, że więcej w tym jest mądrości niż lekkomyślności?

Trzeci, nauczyciel wychowania fizycznego, wtóruje albo jednemu albo drugiemu. Łatwo przejmuje nastroje innych, łatwo poddaje się im i może w rozmowach i sporach stanąć po każdej stronie. Gdzie przewaga — tam znajdzie się i Michaił Kuźmicz. Gdy Wasilij Prokopjewicz rozgorączkuje się, rozpala się też Michaił Kuźmicz i dokłada jeszcze drew do ognia fanatyka. A jeżeli Leńka wszystkich rozweseli — on również opowie odpowiednią do potrzeby anegdotkę.

Dowiedziałem się, że żona Michaiła Kuźmicza nazywa swego prawowitego męża bezkostną minogą. Bardziej podoba się jej kierowca Wasilij Prokopjewicz.

Dyrektor fabryki podszedł sam do siedzących za stołem i śmiejących się kuzynów.

— No cóż, chłopcy, jak żyjecie?

— A no żyje się jako tako — odrzekł Michaił Kuźmicz.

— Nie można jako tako. Młodzi jesteście, powinniście dobrze żyć! Takie teraz u nas czasy. A jak się pije?

— Pijemy trochę — odraportował Leńka.

— Trochę to i ja wypilem przed chwilą. Dobrze poszło. A z czego śmiejecie się?

— Z dyrektorów.

— Co takiego? — zaniepokoił się dyrektor.

— A ot, wiecie — Michaił Kuźmicz powtórzył opowiedzianą przed chwilą przez Leńkę anegdotkę — zniszczył u nas szofer

nową maszynę razem z dyrektorem. Stoi więc i drapie się w głowę: „Dobrze, powiada, dyrektora to wyznaczą nowego, ale gdzie ja teraz dostanę zapasowe części?”

Opowiedział i znów roześmiał się z zadowoleniem. Zaśmiał się również Wasilij Prokopjewicz. A motorniczy Leńka patrzy dyrektorowi w oczy i czeka jak ten przyjmie żart. Ale dyrektor zasepił się tylko i zamyślił. Wówczas Leńka opowiedział jeszcze jedną anegdotę:

— Przechwalał się pewien cudzoziemiec swoją cud-techniką. Patrzcie no, co u nas mogą zrobić. Oto, na przykład, kura. — Leńka otworzył dłoń przed nosem dyrektora fabryki i dmuchnął w nią. — Fu, i zamiast kury jajko! — Fu — i znowu kura. Wówczas nasz inżynier obraził się i powiedział: „Pomyśleć, cudo! U nas nie tylko to mogą zrobić — tu Leńka znów otworzył dłoń — dyrektor!.... Fu! drewno, Fu — znów dyrektor!”

Wszyscy trzej krewniacy zgodnie parsknęli śmiechem, a podarty dyrektor fabryki jeszcze bardziej sposepniał, zamyślił się i wreszcie zapytał surowo:

— Gdzie pracujecie?

Wasilij Prokopjewicz od razu spoważniał i przeszedł do ataku:

— A wam po co potrzebne, właściwie, te wiadomości? Kwestionariusz chcecie wypełniać?

Przez nieporozumienie lub przez złość, wielu ludzi uważa kierowców bez wyjątku za „lewaków” (zamaskowanych anty-bolszewików) i nabieraczy, bezwstydnie dorabiających na przypadkowych pasażerach, oraz za „mało pijących”, w tym znaczeniu, że ile by nie pili, zawsze im mało. Wasilija Prokopjewicza nie można podejrzewać o jakieś „lewactwo”. Nie taki to człowiek, nie tym żyje, nie o łatwych zarobkach myśli. Przy tym wozi on nie ludzi, lecz drewno, więc nie ma z kogo ściągać rogatkowego.

— My pracujemy w lesie, mamy własne regulaminy i znamy je — mówił dalej zapalczywie. A ot wy — dyrektor, czy wiecie co u was w fabryce dzieje się? Wiecie? Wasi odbiorcy grabią kołchozy, ilość wyroszonego lnu pomniejszają. Nabieracz z was, ot co. A do partii na pewno należycie?

Dyrektor początkowo speszył się, ale usłyszawszy słowa o partii podniósł się na duchu.

— Ty bracie, mnie krytykuj, ale partii nie tykaj!

— Ja partii nie tykam — odrzekł Wasilij Prokopjewicz. A wy po co oszukujecie kołchozy na rachunkach? Partia prędzej czy później zażąda od was zwrotu. Nie ukryjecie się.

Żartowniś Leńka i Nikołaj Kuźmicz podtrzymali swego krewniaka. Do rozmowy o wyroszonym lnie włączyli się natychmiast są-

siedzi z za stołu i dawny konflikt wypłynął na jaw. Istota jego jest następująca:

Urządzenia fabryki są stare, niemal przedpotopowe, wskutek czego przy pierwiastkowej obróbce lnu otrzymuje się bardzo wielki, niedopuszczalny według norm procent odpadków. Ażeby nie zbankrutować nawet z tym staroświeckim urządzeniem i wypełnić — nawet z nadwyżką — plan produkcyjny, (koniecznie z nadwyżką, dla sprawozdania, dla premii!), pracownicy fabryki nastawili się na umyślne obniżanie gatunku otrzymanego wyroszonego lnu. A len jest głównym źródłem kołchozowych dochodów. Za wyroszony len płaci państwo hojnie i różnica w cenie za najlepszy numer, a nawet za pół numeru, jest bardzo duża. Rejonowy komitet partii ustanowił kontrolę odbioru wyroszonego lnu, sam pierwszy sekretarz przestudiował dokładnie zasady określania gatunku lnu. ale kontrola ta okazała się niedostateczna. Kołchozy i kołchoźnicy w dalszym ciągu ponoszą straty i bardzo się o to gniewają.

Piwo rozwiązało języki i goście nagadali urzędnikom fabryki dużo ostrych słów.

— Krytykanty wy, potwarcy! — odgryzał się dyrektor.

A z kuchni znów doleciał wysoki, bynajmniej nie starczy głos Natalii Siemionowny i popłynęła pieśń o książętach i bojarach.

— Dobrze, len lnem, ale powiedzcie, czy długo jeszcze u nas w lesie szczapy lecieć będą? — przerzucił się Wasilij Prokopjewicz na nowe, delikatne tematy. Chcąc zagłuszyć śpiew krzyczał: — Dlaczego wszędzie człowiek człowiekowi przyjacielem, a u nas na działce leśnej, mówiąc szczerze, panuje zasada: nabrać i oszukać w rachunku kogo tylko się da?

Do ataku użyte zostały smary, paliwo, normy produkcji w metrach sześciennych i kilometraż, części zapasowe do maszyn i ciągników do traktorów, ale przede wszystkim części zapasowe.

— Dlaczego dla niektórych szoferów części zapasowe są, a dla innych nie ma? I dlaczego wszystko trzeba dostawać, wydobywać, a nie otrzymywać, nie kupować?

Wasilij Prokopjewicz bierze w obie ręce podaną mu filiżankę piwa, wypija ją do dna, nie zauważywszy nawet co i ile pije i wycierając usta rękawem w dalszym ciągu mówi, mówi i pyta. Gorzej w nim jakiś namiętny ogień poszukiwacza prawdy, w zapale nie widzi już niczego co nie jest związane bezpośrednio z jego produkcyjnymi niedolami i krzywdami...

Michał Kuźmicz, zarządzający szkolnymi warsztatami, wpadając w ten sam ton, z kolei opowiada, że musi zaznajamiać młodzież nie ze współczesną techniką, nie z traktorem, nie z benzynową piłą drzewną, bo ich w szkole nie ma, lecz z użytkowymi odpadkami zebranych na cmentarzach maszyn; że nawet trzeba

wykorzystywać uczniów jako wyrobników, byle wypełnić godziny przeznaczone na naukę produkcji, że płaca nauczycieli wciąż jeszcze nie jest uregulowana i wielu z nich idzie na wyręby leśne, staje się mechanikami, szoferami...

Przyszedł czas na Leńkę. Ażeby rozładować atmosferę zaczyna nagle wołać:

— Gorzko! gorzko!

Wołanie to podchwytują goście przy innych stołach.

— Gorzko!

Młoda para posłusznie wstaje i całuje się.

— A teraz słodko? — pyta pan młody.

— Teraz nieźle, żyć można!

Wszyscy piją. Piotr Piotrowicz również podnosi szklankę, ale czujna swatka powstrzymuje go i po raz nie wiadomo który pan młody powtarza żart:

— Nawet wypić jak należy nie pozwalają. Gdybym wiedział — nie byłbym się żenił.

Goście chętnie się śmieją, śmieje się również szczęśliwa panna młoda. Ale rozgorączkowany Wasilij Prokopjewicz wciąż jeszcze jest nasrożony. Posłyszał nagle słodko brzmiący śpiew Natalii Siemionowny i wylał na nią resztki swego obywatelskiego gniewu:

— Bojarzy i bojarzy, a sama wyciąga z kołchozu wszystko co tylko źle leży — to len, to wiązki siana, to snopy żyta. Gdy ją przycisną, uderza w płacz, toż płaczka przecie, artystka. A kiedy mąż jej był prezesem — nikomu żyć nie dawał. Pewnego razu Wańka Wichtierkow podpilnował ją na polu, schował się pod snopami niby od deszczu. Czeką co będzie dalej. Płaczka dobrała się również do tych snopów, a on do niej: „Czapę jednak zostaw, Natasza, bo bez niej mnie deszcz zmoczy”.

— Przestań krzywdzić staruchę — ujął się Leńka za Natalię Stiepanowną. Wszystko to kłamstwo, a w dodatku mówisz za jej plecami.

— Powiem to i przy niej.

— Co powiesz, skoro nie widziałeś.

— Ja nie widziałem, ale inni widzieli.

— Nikt nic nie widział.

— Naturalnie, to wszystko obmowa — podtrzymały Leńkę siedzące obok kobiety. — Ot, byle obgadywać. Natalię też trzeba rozumieć.

— No, dobrze już — zaczął dawać za wygraną Wasilij Prokopjewicz. — Ale przecie niedawno spaliła ona sąsiedzką stertę na wyrębie leśnym. Wszyscy o tym wiedzą...

— Znowu „wszyscy”!

— A dajcież jemu dokończyć — włączył się do rozmowy Nikołaj Kuźmicz.

I Wasilij Prokopjewicz zakończył:

— Ten wyrąb kosiła ona nie jeden rok, ale razu pewnego przychodzi, patrzy: siano zgarnięte do kupy. Pomyślała, że to kołchoz skosił i zgarnął, więc podpaliła. Wstydzili ją! Ot wam i bojaźny i klasztory z mniszkami!

Milczący dotąd Nikołaj Iwanowicz, główny gospodarz, słuchał i słuchał tych zbyt dla niego poważnych rozmów i nagle — jak nie grzmotnie pustą szklanką o ziemię. Goście aż wzdrygnęli się z zaskoczenia. Co się stało z tym skromnisiem? Okazało się, że nic się nie stało. Po prostu życzy on młodej parze szczęścia w życiu. A to nietrudno osiągnąć, trzeba tylko tłuc szklane naczynia.

Przy tym Nikołaj Iwanowicz też chciał porozmawiać.

— Ot jakie wesele odwaliliśmy — pokazuje chępliwie na stoły.

A na tych stołach pełno słodkich pierogów, których nikt nie odważa się tknąć, bo leżą dla dekoracji. Jedzą mięso, smażone dorsze, jajecznicę na wielkich patelniach, zwaną „sielanką”, sypką kaszę z owsianych krup — wszystko mocno solone.

— Pij gorzko, i jedz słono, a nigdy nie zakiśniesz — rzekł druhba Grigorij Kiriłowicz.

— Gorzko!

— Ile u was dodawano przy rozrachunku w tym roku? — pytają Nikołaja Iwanowicza. Pewnie ktoś zauważył jego nieprzepartą chęć włączenia się do rozmowy.

— Czy na dzień pracy?

— Tak.

— Nic nie dodawano. Tylko dodatek płacimy.

— Nic nie wypłacili za dni pracy?

— Owszem, wypłacili, a jakże.

— A ile wypłacili?

— Ależ nic nie wypłacili.

— I ty nic nie dostałeś?

— Dostałem, a jakże, nie ja jeden.

— Ileż dostałeś?

— Raz pięć rubli za pokwitowaniem, a drugi raz, ot tak...

— A „ot tak” to ile znaczy?

— A no ze 20 rubli, nie więcej.

Wszystko odbywa się jak należy, wszystko w porządku, jak tego chciała Maria Gierasimowna. Ale ona sama nie ma kiedy ani wypić ani zjeść.

Kobiety posadziły harmonistę na wysokiej leżance i tańczyły do upadłego, wciąż wycierając chustkami i fartuchami spotniałe

twarze. Harmonista nie miał czasu na wycieranie własnej twarzy, więc robiła to w zastępstwie jakaś usłużna młoda dziewczyna.

Tańczyli z przyspiewkami, pokrzykując. Odznaczał się szczególnie, przystojny, nie po wiejsku, młodzik, poczytliw z rady wiejskiej, tak dalece lalkowaty, że wydawał się podmalowany, napomadowany. Znał dużo współczesnych kupletów, które nazywał pieśniami.

*Siedzi luba na ławie,
Do ziemi nie sięga,
Zaniostem do kasy kopiejki,
Za rok będą z nich ruble.*

Pewnie on sam komponuje te pieśni.

Tańczyli aż do chwili, kiedy harmonia wypadła z rąk grajka.

Siwy brodaty chłop w dalszym ciągu chełpił się swoją plastikową szczęką, wyjmował ją, brudną, różową z rzędem białych zębów, wyciągał nad stołem, ale nikt cudzej szczęki nie chciał brać do rąk, i chłop, otworzywszy szeroko usta wkładał ją z powrotem na miejsce.

Znaleźli się pyszałkowie jeszcze bardziej szczeni.

— W tym roku zatwierdzili jednak plan naszego kołchozu. Pięć razy rozpatrywali go w „Rajispolkomie” (komitecie wykonawczym rejonu), nakazywali przerobić, a za szóstym razem zatwierdzili. Co prawda, z naszego pierwotnego planu nic nie zostało. Cóż, nie ma na to rady. My mamy swoje rachuby, a oni swoje. Im z góry podają liczby.

— My też dopięliśmy swego, zamknęli gospodarstwo ptaszarskie (fermę hodowli drobiu). Wypadało po pięć jaj na nośną kurę rocznie. Złote jaja — mogły doprowadzić do ruiny. W końcu zezwolili zamknąć hodowlę.

— A jak z planem na jaja?

— Wykonamy. Orzemy kołchoźnymi końmi działki zagrodowe: po 30 jaj z działki za to dostajemy — i żadnego kłopotu! Nie obyło się też bez myśliwskich opowieści.

— Idę pewnego razu wzdłuż płotu z żerdzi, patrzę — coś się rusza. Myślę — pewnie zajac, więc strzelam. Strzeliłem i podchodzę — rzeczywiście zajac.

Łatwego na zdobycz myśliwego od razu biorą na języki:

— Biegła owca mimo naszego ganku i jak wyrznie głową, aż się przewróciła. „Owco, owco, weź sianka”. Ale owca ani się ruszy. Odtąd owca nie rodzi jagniąt.

— Najbardziej korzystne polowanie, chłopcy, to na niedźwiedzia. Jeśli rok jest urodzajny na jagody, to w lasach na każdej

wypalonej polanie nie można przebrnąć przez maliniaki. Jak kuku-rydza! Zbiera się tam niedźwiedzi bez liku. Nazrą się malin i zasną jak zabici. A śpiące niedźwiedzie, chłopcy, można brać rękami. Idę kiedyś maliniakiem z siekierą. Jednemu misiowi ścinam głowę zupełnie, drugiego ogłuszam obuchem po głowie. A jeżeli któryś zbudzi się, to i tak traci siły od tej niedźwiedziej choroby i z nim też długo bawić się nie trzeba. Wprost traktorem je wywozili, tyle ich leżało koło mnie.

W chwili kiedy trwała jeszcze rozmowa o fermie ptasiej, drużba Grigorij Kiryłowicz, jak gdyby nagle połapawszy się, wyszedł z chaty i wrócił z kurą w rękach. Przestrzegając widocznie jakiś starodawny zwyczaj, stanął po środku izby, chwycił kurę za głowę, mocno nią wstrząsnął i kura pozbawiona głowy zaczęła podrygiwać na podłodze, bryzgając krwią i sypiąc piórami.

Kurę potem usmażyli i świeże kurze mięso obnosili z piwem gościom.

We wsi Suszynowie obrzęd ten nikomu nie był znany, i jaki miał sens, tego nikt wytłumaczyć nie mógł, ale świeże mięso kurze wszystkim smakowało.

Wszechobecny drużba baraszkował i krzątał się przez cały wieczór i pił nie mniej od innych. Drużbie wszystko wolno, wszystko mu się wybacza. Całkiem inaczej — surowo, powściągliwie, z godnością, zachowują się swatka i starosta weselny. Zwłaszcza starosta, wuj pana młodego, tęgi, wysoki, jakby się krępował swoim wzrostem i swoją mocą. Ale, jak się okazało, nie o to chodziło. Przed kilku laty starosta był w Suszynowie prezesem kołchozu, a taka rzecz w niepamięć nie idzie. Każde jego słowo nawet teraz powinno być droższe od złota.

Ale ani swatka ani starosta nie zdołali upilnować swego pupila. W końcu Piotr Piotrowicz upił się. Prawdopodobnie zaciągnął go Nikołaj Iwanowicz w sekrecie do kuchni, do matki, która nie pożałowała ziela własnego wyrobu drogiemu zięciowi.

Upił się młody „książę” i zaczął brawurować. Znalazł gdzieś karakułową czapkę, nasunął na ucho i zakrzyczał:

— Ja jestem Czapaj!². Kto mnie stanie na drodze? Nakazuję wszystkim: precz!

Wystraszone kobiety zaczęły miotać się po izbie, jak owce w zagrodzie, chłopci patrzą na swego nowego krewniaka ze zdumieniem i zastanawiają się, czy by nie związać go jak innych, a Maria Gierasimowna aż ściele się przed nim, głaszcze, schlebia:

2. Wasilij Iwanowicz Czapajew, 1887-1919, bohater wojny domowej sowieckiej, syn biednego chłopca z gubernii kazańskiej, pochodzenia czuwaskiego, doszedł do rangi generała i dowódcy dywizji. W literaturze i filmie stał się symbolem rewolucyjnego bohaterstwa.

— Pietia, Pietieńka, Pietieńka!

Ściele się przed nim również młoda „księżna”, Hala, chwytając go za długie, bezwładnie zwisające ręce, podtrzymuje go, aby mu się nogi nie pozginały. A „księżę” przechwala się, nadyma, drze na sobie koszulę, błaznuje.

— Kto ty? — pyta Halę podsuwając swoją chudą pięść pod jej zapłakaną twarz z różowymi policzkami. — Żona moja, czy nie? Ja jestem Czapaj! Czy ty to rozumiesz: ja Czapaj!

— Zejdź mu z oczu, Halka, nie kręć się przed nim, nie drażnij go! — szepce córce Maria Gierasimowna, wycierając usta Piotrowi Piotrowiczowi.

— A gdzież ja teraz pójde? — odrzuca głową Hala z nagłą determinacją — po raz pierwszy. — No dobrze, jesteś Czapaj. Ale ja więcej zarabiam od ciebie, zrozumiałeś? Czego rozbijasz się? — I zakręciwszy się na pięcie znika z oczu.

„Cóż, jak na początek, zdaje się, nieźle” — pomyślałem sobie.

— Życzę wam zgody i miłości, drodzy rodacy.

Starosta weselny wykręca ręce panu młodemu, swemu krewniakowi i wyprowadza go gdzieś spać.

Dziewczęta prześpiewały pod harmonię kilka przyśpiewek ogłaszających że jest późno.

*„Pójdziemy, dziewczęta, do domu,
Dosyć nasiedziałyśmy się,
Mego miłego nie widać,
A na waszych napatrzyłyśmy się!”*

Na tym zakończył się pierwszy dzień wesela.

Co prawda, po wsi, pod jasnym gwiazdzistym niebem długo jeszcze wafęsali się chłopcy i dziewczyny, ale przeszło 30-stopniowy mróz ścisnął i wyniesiona z rozgrzanej chaty harmonia grać nie chciała. Harmonista rozciągał ją „od ramienia do ramienia”, chłopaki z największym wysiłkiem wykrzykują przyśpiewki, ale harmonia nie wydaje dźwięku i nawet chrypie.

Przypomniało mi się, jak to kiedyś w Moskwie, na skrzyżowaniu ulic przy bibliotece Lenina, w taki sam mróz milicjant przyłożył do ust swój gwizdek, ale ten nie wydał dźwięku, widocznie

zastygł. Dmuchał weń milicjant regulujący ruch i śmiał się. Na tym się skończyło. Szoferom — burzycielom porządku, poszczęściło się.



Goście nocowali w różnych chatach, gdyż w jednej nie starczyłoby miejsca. Spędziłem noc u sąsiadki Duni, wdowy, której dwaj synowie odbywali służbę wojskową. Dunia nigdy nie śpi sama w swojej chacie, gdyż boi się „nieczystej siły”, co ją „kusi”.

Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, abym przespał tę noc spokojnie, chociaż z „nieczystą siłą” nie miałem do czynienia. Ale od wieczora kwiczał nieustannie w chacie prosiak, którego Dunia nie trzyma w chlewie z obawy, aby nie zamarznął. A o północy, tuż u mego wezgłowania dziko zapiał kogut. Okazało się, że w tylnym rogu izby, pod ławą, skupiła się cała osobista ptasia ferma Duni. W ciągu nocy żadna kura nie wydała głosu, natomiast kogut niejednokrotnie rozpoczynał swoje pienia i za każdym razem piał, jak mi się wydawało, coraz głośniejszym, coraz wyższym tonem. Za każdym razem wykrzykiwał swoje kukuryku piętnastokrotnie, jeśli nie więcej.

Sądzi się ogólnie, że pieśń koguta ma cechy muzyczne. Ja też tak myślałem i nawet nieraz pisałem wiersze o tym. Ale tym razem pieśń kogucia bynajmniej nie miała nic wspólnego z muzyką, a nawet nie nazwałbym jej teraz pieśnią. Mimowoli przychodziła mi tylko na myśl „nieczysta siła”.

Gdy już całe piwo w domu panny młodej zostało wypite, szofer uruchomił za pomocą lutowniczej lampy ciężarówkę i wesele przeniosło się do ojczyzny pana młodego, do wsi Gribajewo, odległej o 40 kilometrów. Spośród rodziny panny młodej wsiadł do ciężarówki jej brat Nikołaj Iwanowicz i jeszcze ktoś. Trzej bracia cioteczni nie pojechali.

Towarzysze z komitetu rejonowego partii wyświadczyli mi przysługę — przysłali samochód osobowy i my z Wiktorem Siemionowiczem Śładkowem, kierowcą tej wszystko pokonywującej maszyny, postanowiliśmy zabrać z sobą młodą parę. Młodzi wsiadli, a swatka z ikoną w rękach z zakłopotaniem dreptała u drzwi. Według obyczaju nie wolno jej pozostawić młodych ani na chwilę, póki nie dostarczy ich do domu rodziców.

— Siadaj-no, swatka, nic nie pomoże — zgodził się nieco zmieszany kierowca. Kogo to ja nie wozilem w swoim życiu, ale wozić ikony samochodem komitetu rejonowego jeszcze mi się nie zdarzyło!

Utworzył się prawdziwy kulig weselny. Niestety nie padał

śnieg, bo jeżeli wesele wyjeżdża podczas deszczu lub śniegu — to na szczęście.

Dziewczyny nie rzucały za nami żadnych skorup, jak to niegdyś należało robić. Wówczas panna młoda przed wyjazdem myła się, dziewczyny rozbijały glinianą miednicę i skorupami rzucały na odjeżdżających, aby panna młoda nie wróciła do domu, aby żyła szczęśliwie w nowej rodzinie.

Na ulicy długo fotografowano się na mrozie. Zobaczywszy w moich rękach aparat fotograficzny, kobiety pozdejmowały z siebie kółkożuszki, watówki, chciały bowiem sfotografować się „na pocztówkę”, koniecznie w odświętnych sarafanach. Po wsiach ogromnie lubią fotografować się. Ale bardzo trudno jest zrobić żywe zdjęcie, gdyż przed obiektywem wszystkie twarze sztywnieją, jak drewniane.

Maria Gierasimowna nie pojechała z nami. Nakazywała córce ze łzami w oczach:

— Nie zapominaj, przychodź w gościnę często, to nic że daleko, nogi masz młode. I nie przychodź bez prezentu. Jeżeli zjawił się bez prezentu — zapłacę się, pomyślę, że uciekłeś od męża.

Ciężarówkę oblepiły chłopaki, aby się przejechać do końca wsi.

Dawniej, kiedy wesela odbywały się nie na ciężarówkach, ale na „trojkach”, żyło się tym chłopcom jednak lżej i być może weselej. W swoim czasie przejechałem się w tyle kibitki całych 20 wiorst — z rejonowego miasta, gdzie byłem uczniem 4-ej czy 5-ej klasy, do swojej wsi. Mój wuj, który właśnie powrócił z czerwonej armii, nie rozstał się jeszcze ze swoim śpiczastym hełmem, wiózł pannę młodą z dalekiego Szałaszniewa mimo naszej szkoły. Od rana nie mogłem usiedzieć na ławce szkolnej, czekałem pocztu weselnego i jak tylko go ujrzałem, pędem wybiegłem z klasy i pochwywszy w biegu półkożuszek, wskoczyłem na końce płoz ostatniej udekorowanej kibitki. Grały dzwoneczki, rozwiewały się kolorowe wstążki wplecione w grzywy i ogony końskie, a serce zamierało ze strachu i zachwytu.

Ponieważ wuj miał na głowie pełną chwałę „budienówkę”, wesele wydawało mi się jakimś wojennym pochodem. Naturalnie przemarzałem podczas tej jazdy, ale wspominam ją jako jedną z najlepszych bajek babuni.

Wuj poległ w ostatniej wojnie. Anna Grigoriewna, ówczesna panna młoda, mieszka obecnie na Bobrowskiej zaporze wodnej pod Archangielskiem w otoczeniu synów i wnuków. Niedawno powiedziała mi:

— Rzeczywiście chłopak wisił wtedy z tyłu. Gdybym wiedziała posadziłabym ciebie obok siebie w kibitce.

Teraz jechaliśmy samochodami nocą — przez pola i zagajniki. Droga była oczyszczona ze śniegu i wygładzona, gdyż w tych dniach przejechało z miasta do kołchozu sześć ciągników motorowych z „wołokuszami” dla wywózki torfu na pola. „Wołokusze” — bardzo szeroką metalową płytę na płozach — nazywają nie wiadomo czemu „pianą”. Ładują torf na taką platformę za pomocą buldozera lub inaczej i wyładowują tym samym sposobem. Może dlatego nazywają wołokuszę „pianą”, że więcej wiezie ona na pole śniegu niż torfu?

Wiktor Sładkow prowadził swoją maszynę nie wprost do celu, lecz jako pilot wycieczkowy pokazywał nam swoje pamiętne miejsca: tu zwykle zające przebiegają drogę: na tamtych brzozach zestrzelił niedawno z małokalibrowej broni trzy cietrzewie, a na tej tam łące jeszcze dzisiaj widział łapiącego myszy lisa.

Sładkow — to główny kierowca komitetu rejonowego. Dla wszystkich kierowców w rejonie jest on Bogiem i carem, autorytetem nie tylko jako władza, ale również jako doświadczenie. Jego maszyna kursuje więcej od innych po nieprzebranych drogach w rejonie. Iluż to kolegów wyciągał Sładkow z rowów, z błota, ilu młodym naprawiał w drodze motory, co nawaliły, a najważniejsze, że wszystkim pomagał dostać zapasowe części. Również piechury znają dobrze rajkomowskiego szofera: jeżeli jedzie wolny, zatrzyma się i posadzi na wóz — i to wszystko za „dziękuję”, nie tak jak wielu innych. Sprawiedliwy człowiek!

Jechać zimą polnymi drogami, przy świetle bliskich czy dalekich reflektorów samochodu — to jak w bajce! Droga wiję się i nigdy nie wiadomo co się ukaże za następnym zakretem. Z mroku wyskakują przed oczy jakieś widma: fantastycznie pstre zarośla, krzywe drzewa, pnie pod śnieżnymi pokrywami, jak przechodnie, którzy uskoczyli na bok; ogromne, na wpół zasypane śniegiem wyrócone drzewa z ziejącymi czarnymi dziuplami, a w każdej z nich wydaje się że jest niedźwiedzie legowisko. To zagajnik, to pole, znów las i znów pole. Śnieg wydaje się raz niebieski, raz rudy i wciąż się czeka, że za gęstym świerkowym lasem pokaże się pole — również zielone.

Podczas gdy Sładkow opowiada o zającach i lisach widzę ich ślady. W zaroślach są one głębokie, wyraźne, ostro uwydatnione światłem reflektorów, a na miejscach otwartych wypukłe, wiatr bowiem wydmuchał syпки lekki śnieżek, a zgęszczenia pozostały i wyrosły na białej równinie, jak małe, pobielane słupki na skraju szosy.

Przez całe pole przeszedł lis i słupki jego tropów wyciągnęły się łańcuszkiem od lasu do lasu.

Tor narciarski zrobił się pagórkowaty i przypomina wąskotorówkę.

Na polach panowała nocna cisza, a gdy nasze samochody wdzierały się w leśną gęstwinę, zaczynała ona szumieć i huczeć, napełniając się gwizdem opon i wyciem motorów. Wydawało się, że dźwięki idą w górę po pniach drzew aż do nieba.

Jechałem i powtarzałem sobie strofy Puszkina: „Dzwonek jednobrzmiący monotonnie łąka”.

Jakże brakuje jednak tych dzwonek!

W domu pana młodego swatka i starosta weselny zatrzymali młodą parę i czekali zanim rodzice nie wyjdą z lampą na ich spotkanie.

Młodej parze położono na głowie po bochenku żytniego chleba, ojciec i matka pobłogosławili ich, pocałowali — i znów poszła w kurs ikona. Piotr Piotrowicz bardzo się wstydził tego obrzędu i podżartowywał, ale nie chciał urazić starych i wszystko znosił.

Ojciec był jeszcze wyższy wzrostem niż syn i o tyle tęższy i okazalszy, że długonogi, szczupły pan młody wydawał się przy nim zupełnym malcem. Miało się ochotę nazywać ojca uroczyście rodzicielem. Równie jak brat jego, starosta weselny, był skąpy na słowa, trzymał się z naturalną godnością. Może też był gdzieś, kiedyś prezesem kołchozu?

A matka kręciła się i wierciła jak fryga. Nazywała się Lija.

Wieś Gribajewo była już radiofonizowana. W chacie w kącie z ikonami wisiała skrzynka megafonu, a pod sufitem paliła się elektryczność. Ze wszystkiego znać było, że niedaleko znajduje się zakład przemysłowy. Co prawda, na to aby światło stało się dostatecznie silne trzeba było wkręcać żarówki 150-śwecowe o małym woltażu.

W chacie było więcej plakatów i haseł niż u Marii Gierasimowny. Na ścianie, gdzie u Marii Gierasimowny królowało cudowne dzieło zootechnika „Iwan-królewicz na szarym wilku”, tutaj wisiał plakat „Zawsze z partią”. Obok — kołchoźnica z czerwonymi policzkami pośród kosów z owocami i jarzynami trzyma w rękach ogromną, jak bęben jazzowy, głowę kapusty z napisem:

„Za waszą pracę, majstrzy ogrodów i sadów.
Teraz słowo do was należy.
Damy pod dostatkiem warzyw i owoców,
Soczystych, smacznych i tanich”.

Czyżby to komponowali moi przyjaciele, poeci wołogodzcy?
A oto jeszcze inny plakat. „Hodujcie ptactwo wodne. To
jest wielka rezerwa zwiększenia produkcji odżywczego taniego
mięsa”.

Co za język!

„My za pokojem, ażeby na planecie
Były szczęśliwe wszystkie nasze dzieci!”.

I tak dalej i tak dalej...

We wsi jest ośmioklasowa szkoła, a wśród gości weselnych
wielu nauczycieli, a jeszcze więcej pracowników fabryki wyro-
bów lnianych.

Młodą parę posadzono znowu za stołem w płaszczach i tak
ubrani siedzieli długo aż parować z gorąca zaczęli.

Znowu było piwo, znowu lakoniczne toasty „gorzko!, gorz-
ko”! i tańce. Znowu młodzi całowali się pokazowo, ale Piotr Pio-
trowicz postawił wreszcie na swoim i pił z własnej filiżanki. A
panna młoda wciąż się kłaniała jak nakręcona, taki był nakaz jej
matki.

— Teraz słodko. Pijcie! — żartował pan młody i wypijał
duszką filiżankę.

Tu również spotykano każdego gościa u progu piwem. Gospo-
dyni Lija sama rozbierała gości, i to z takim gościnnym ferworem,
że guziki leciały na podłogę. Wyrażał się w tym oczywiście jej
gwałtowny temperament, ale przede wszystkim — taki był zwy-
czaj, uważano to bowiem za najwyższy wykwest gościnności.

Pomiędzy pracownikami fabryki a kołchoźnikami znowu
wszczał się zacięty spór na temat gatunkowości dostarczonego wy-
roszonego lnu.

Wszystko odbywało się tak samo jak w domu panny młodej,
wszystko się powtarzało. Jedyne Nikołaj Iwanowicz nikogo tu
nie częstował, nie miał co robić ani o czym mówić, więc po prostu
pił i milczał.

Ale wpadło mi w oko coś nowego.

Z początku częstowano gości chlebnym piwem, gęstym i
lśniącym, a gdy goście stawali się weselsi dolewano im do tych
samych naczyń płynną i mętną brahę³. Braha również upija, ale

3. Braha — samogon oczyszczony z fuźla i zabarwiony na brązowo.

powoduje okropny ból głowy, wskutek czego przezwano ją „łami-główką”. Ale jest znacznie tańsza od piwa, więc gości poi się pi-wem, a z nóg zbija się braha.

Ktoś z krewniaków panny młodej chciał powtórzyć obrzęd ze skręcaniem głowy kurze, który tak się podobał poprzedniego dnia, ale gospodyni Lija wpadła w furję:

— Sumienia nie macie! Skręcać głowę żywej kurze!

Palacze poprosili o zapalki. Lija podała pudełko i uprzedziła:

— Jeżeli co zostanie — oddajcie.

Z początku pomyślano, że to znak na szczęście, coś w rodzaju tłuczenia szklanych naczyń. Okazało się jednak, że tu nie chodzi o wróżby na szczęście.

— Czego skąpicie, przecie to wesele? — powiedzieli jej z pewną obawą, że się obrazi. — Gdzie piją tam się leje, gdzie jedzą tam tłuką.

Lija nie obraziła się.

— A wy zaraz chcecie nas zrujnować! I tak już mamy duże wydatki.

— Jakież wesele może być bez wydatków? Gdyby było ina-czej, to wasz synalek zechciałby być może drugi raz się zenić. Trze-ba zrujnować, aby nie pomyślał o rozwodzie.

— No dobrze, pijcie, skoro wam podają.

Z rana panna młoda w obecności gości zamiatała podłogę, w izbie, a goście rzucali jej pod nogi różne śmiecie. Przekonywano się w ten sposób, czy umie gospodarować. Obrzęd ten trwał długo i był prawdopodobnie najweselszy. Krewniaci i goście wysilali się się w pomysłach, przynosili do chaty pokruszone siano, stare łapcie, rzucali z hukiem w kąty potłuczone garnki i wszelkiego rodzaju graty i złom. Ktoś odszukał gdzieś resztki kawalerskiego siodła i rzucił je na środek podłogi. Panna młoda była ucieszona, bo ra-zem ze śmieciami rzucano pieniądze, częściej miedziaki, czasami papierki. Co prawda, w starym siodle nic nie znalazła, choć zdarta z niego całą skórę i wołok.

— Szukaj! szukaj! Złe zamiatasz, nie na czysto zamiatasz!
— wołano do niej.

Hala starała się jak tylko mogła. Wesele rzeczywiście pochło-nęło wszystko co zarobiła i co zaoszczędziła w ciągu kilku lat. Dość było tylko zagapić się przez chwilę, a już łobuzy chwyciły jej miotłę i musiała ją wykupywać.

Następnie panna młoda, którą zaczęto już nazywać młodycią, obchodziła wszystkich obecnych z półmiskiem świeżych blinów z masłem. Gość wypijał honorowy kubek, zakąsał blinem i kładł na półmisk jakąś drobną monetę.

Później młodocia w obecności gości rozdawała prezenty nowej rodzinie: teściowi — niebieską płócienną koszulę, świekrze — kupony na sarafan i spodnią bieliznę, swatce — perkal na bluzkę, szwagierce, siostrze pana młodego, ładnej zgrabnej dziewczynie, która niedawno ukończyła 10-klasową szkołę i pracowała w kołchozie — suknię i czerwoną wstążkę do warkoczy, staroście weselnemu — kupon na koszulę, babce — chustkę na głowę, pozostałym — to chustkę do nosa, to kapciuch na machorkę. Wszystko to co w ciągu długich tygodni szyły i haftowały panna młoda, jej matka i przyjaciółki, rozdane zostało w ciągu kilku minut. Zdaje się, że nikt nie czuł się pokrzywdzony.

Nie zostałem pominięty i ja, przyjezdny. W ciągu weselnych dni drużba Grigorij Kiryłowicz i kołchoźny szofer Iwan Iwanowicz Popowski obdarzyli mnie bezcennymi prezentami. Obszukali oni niemało strychów i komórek i znaleźli dla mnie komplet litych dzwoneczków do zaprzęgu z dułą oraz janczary na rzemieniu⁴. Wkrótce nie stanie ich nawet na północy. Przecie na ciężarówkach i samochodach samowładowczych ich nie zawieszają!

Ofiarowano mi również rzeźbiony kolorowy kołowrotek co najmniej sprzed stu lat. Takie też na pewno wkrótce znikną z powierzchni ziemi. A do tego kołowrotka plecioną kądzielnicę z wrzecionami. Prócz tego jeszcze brzozowy cep, rzucony gdzieś w kącie niemal od początku kolektywizacji. Udało mi się także zdobyć dwa plecaki plecione z brzozowej kory.

Z tymi weselnymi podarunkami wróciłem do Moskwy. Jeden z tych plecaków podarowałem Konstantemu Georgijewiczowi Pautowskiemu na jego 70-lecie, a drugi wraz z łapciami mego własnego wyrobu — poecie Wiktorowi Bokowowi w dzień jego ślubu.

Wszystko rozdałem. Sobie zostawiłem tylko solnicę z brzozowej kory, dzwoneczki i janczary na skórzanym pasku.

Siedzę przy stole, piszę, i podzwaniam sobie od czasu do czasu. Posłucham i myślę: pięknie grają!

Aleksander JASZIN

(Przełożył: Kazimierz OKULICZ)

4. Brząkadelka w kształcie naciętych metalowych kulek z kilku metalowymi grochami wewnątrz.

DOKOŁA I WOKOŁO

Pamięci brata Michała,
szeregowego kółchoźnika,

Pierwszy telefon:

— Ananij Jegorowicz? Witam, witam. Co tam u ciebie dobrego? Powiadasz, robota wre? Wszyscy na żniwa pojechali? Dobrze, dobrze. A co z kiszonką? Rozkręcasz się? No to jedź dalej.

Drugi telefon:

— Kiszonki w wykazie nie widzę. Twój kółchoz cały rejon hamuje. Co? Sucha pogoda — kładziesz nacisk na siano? Dobrze, dobrze. Ale miej na uwadze: za bagatelizowanie soczystej paszy rajkom po główce nie pogładzi. Kto jak kto, ale ty powinienes już tę wiedzę polityczną znać.

Tak, rejonową wiedzę polityczną on zna (dzięki Bogu 30 lat bez mała klepał biedę jako rejonowy): według wykazu, kiszonka nie powinna pozostawać w tyle za sianem, ale czyż nie jest, u diabła, rozsądne aby również i kółchoźnicy czasem ruszyli mózgowicą? Tymczasem oni na ogólnym zebraniu zadecydowali: z kiszonką zaczekać, kiszonkę można zebrać i w mokrą pogodę, a siana nie chwycisz.

Trzeci telefon:

— Towarzysz Mysowski? (Zwrot nie zapowiadający nic dobrego). Jak mam rozumieć twój upór? Jako sabotaż? Czy też jako faszystowskie niezrozumienie zasadniczego gospodarczego zadania?

— Któż ostatecznie jest gospodarzem w kółchozie? — nie wytrzymał Ananij Jegorowicz. — Partia dała kółchozom swobodę, a wy znów włączcie w paradę...

Przekład z mies. „Newa”, Leningrad, styczeń 1963

I oto decyzje:

„1. Za polityczne niedocenianie kiszonki jako pokarmowej podstawy gospodarki hodowlanej kołchozów, udziela się prezesowi kołchozu „Nowe życie”, tow. Mysowskiemu A.J., surowej nagany”.

„2. Tow. Mysowskij zostaje zobowiązany do zlikwidowania w ciągu 5 dni niedopuszczalnego opóźniania się kołchozu „Nowe życie” z zaopatrzeniem się w soczystą paszę”.

I

„Chlip-chlap, chlip-chlap, chlip-chlap”...

To kląska pod nogami, a z góry leje i leje. I tak przez dwa tygodnie z rzędu.

Ananija Jegorowicza bolały zęby. Podniósłszy kołnierz płaszcza szedł trzymając rękę na prawym policzku. Klaudia Niechoroszkowa, brygadier zarzecznej brygady, kroczyła na czele. Długi, zabryzgany błotem deszczowiec sterczał na niej sztywno.

Zatrzymali się przy jeziorku.

— Więc tak — rzekł Ananij Jegorowicz, powtarzając to, co mówił jej przed pół godziną w biurze — przeprawisz przez rzekę traktor i będziesz zwozić kiszonkę traktorem.

— Rozumiem — odpowiedziała Klaudia niskim, zaziębionym głosem.

Wytarła dłonią czerwoną, białobrewą twarz, otrząsnęła się głośno, jak koń i poszła w prawo obchodząc jeziorko, tam gdzie droga skręcała za przewóz.

Ananij Jegorowicz zaczął szukać brodu.

I oto stoi na łące. Stoi jak na mękach. Głucho szemrze deszcz, ściekając po płaszczu, moknie zdrętwiała ręka przyciśnięta do policzka, a dokoła — gdzie nie spojrzeć — katastrofa z sianem. 45 ha siana gnije na łąkach koło wsi, a dalszych 80 wzdłuż dalekich rzeczek.

Przewrócił butem warstwę siana — buchnął ciężki zapach brahy, zleżałego gnoju. Spojrzał na niebo: żadnego przebłysku w niskich, napęczniałych wodą chmurach. Tak, jeszcze ze dwa dni, i trzeba pożegnać się z sianem. Zupełna ruina kołchozu! Nie, nie usprawiedliwił siebie, on tylko zarządził, by ściągnąć ludzi z sianokosu, gdy było jeszcze sucho. A trzeba było stać przy sianie. Trzeba było pojechać do miasta, do zarządu międzyrejonowego, walczyć o słuszność — przecież nie tylko rajkom jest nad nim! Ale, z drugiej strony, kołchoźnicy też dobrzy sobie. O czym oni myślą? Jeżeli już wspaniali się z sianem, to zdawałoby się — rzecz jasna —

trzeba nacisnąć całą siłą na kiszonkę — pogoda tu nie ma znaczenia. Ale nie, uparli się jak barany — choć sznurem ich ciągnij. Ot i dzisiaj na polu, skąd zwozili groch (on to zauważył dawno, jeszcze z górki), tylko dójki mokną.

— Ananij Jegorowicz! Ananij Jegorowicz — zawołały dójki na różne głosy, zauważywszy go.

Pomachał im ręką przyspieszając kroku. Zrobiło mu się nieco lżej na sercu. Jeżeli już z kim znajduje wspólny język, to właśnie z dójkami. Siedem młodziutkich dziewczyn, które niedawno wyszły z ławek szkolnych, a właściwie na nich trzyma się cały kołchoz. Każda kopiejka w kołchozie jest wydojona ich rękami. Dójki, to być może najtrudniejsze zagadnienia, z którymi się spotkał zostawszy prezesem. Starsze kołchożnice, które na swoich plecach wydzwignęły wszystkie ciężary trudnych, powojennych lat, zeszyły na psy: jedna ma ręce pokręcone przez reumatyzm, druga rupturę, trzecia znów coś innego. Poza tym, czyż można z pół-analfabetkami, umiejącymi tylko po staremu nakładać siano bydłu, osiągnąć nagłe podniesienie gospodarki? Trzeba było więc wypożyczać uczennice starszych klas na tygodnie i miesiące. Jeżeli dziewczyna sama zgadza się — matka staje dęba. Jakto? Moja córka ma się w gnoju babrać? To my z chłopem po to ją uczyli, żyły z siebie wyciągając?

A kiedy dziewczyny zaczęły już pracować, ile to zmartwień trzeba było z nimi nałykać się! Wydoić krowy, uprzętać nawóz, pojechać na łąkę po zieloną paszę — to one gotowe. Ale, na przykład, zaprowadzić krowę do byka... Wala Postnikowa, białutka, niebieskooka dziewczyna, drugi rok już pracuje w oborze, a co byś jej nie tłumaczył, że jałówka to plaga dla kołchozu — nic nie pomoże. Ananij Jegorowicz oburzał się: czego uczą u nas w szkole? Dla kogo szykują się te gęsiatka? Ale jednocześnie, w głębi duszy, miał zrozumienie i współczucie dla tej nieśmiałej wstydlivosti.

Gdy tylko wszedł w pole dziewczyny okrążyły go ze wszystkich stron — mokre, uśmiechnięte, ubrane niezwykle pstro: jedna w kwiecistej nieprzemakalnej zarzutce, druga w watówce, inna znów w narciarskich jaskrawych spodniach, a Niura Jakowlewa — tylko w szydełkowej bluzce. Miała wysokie ładne piersi i zapewne ta okoliczność zaważyła niemało na wyborze odzieży. Dziewczyny spotkały go wprawdzie z uśmiechem, ale zaczęły mówić z oburzeniem:

— Gdzie są ludzie?

— Czy tylko dójkom potrzebna jest kiszonka?

— My nie z żelaza, żeby orać za wszystkich.

Ananij Jegorowicz zbywał je żartami — najtrudniej jest robić z siebie zucha wtedy, kiedy trzeba wołać o ratunek — a potem,

posłyszawszy warkot motoru na łące odwrócił uwagę dziewczyn na samochód.

Waśka Ulediew, wysunąwszy nosatą, zbójecką gębę z kabiny, wjechał tylnym biegiem na pole.

— Wszystko w porządku — zaraportował wyskakując z maszyny. Czugajew przy jamie z trzema babami.

— A dlaczego nie ma Jakuba?

— Jaszka siedzi w potoku. Hamulce nawaliły.

Ulediew mówił patrząc na boki. Czarne, figlarne, wypukłe jego oczy błyszczały podejrzanie.

— Cóż ty, od rana popijałeś?

Waśka nachmurzył się, zsunął z czoła czerwony zatłuszczony beret, lecz kłamać nie umiał.

— Tylko komisarską. Setkę, po terazniejszemu.

— Słuchaj, Ulediew. Jeżeli jeszcze raz zauważę, to cię wyjeję. Upprzedzam go raz ostatni.

— Ot, Ananij Jegorowicz, na wojnie pozwalano sto gramów, a tu... I na pogodę potrzebna jest ulga. Jeżeli wyjdę z szeregu...

Ananij Jegorowicz nie słuchał. Dziewczyny już ładowały maszynę. Wziął trójzębne widły i zaczął im pomagać. Groch był ciężki, łopuchowaty. Z podniesionej wiązki ściekała woda, lała się za kołnierz. Od czasu do czasu zagrzewał dziewczyny:

— Tak, tak, dziewczęta, dobrze!

— Hej, panienki! Weselej! — pokrzykiwał, wtórując mu Waśka — chłopcy przyglądają się ze wsi!

Ktoś nakrył go z tyłu mokrą wiązka grochu. Waśka wrzasnął w niebogłoso, zaczął biegać po polu. Ale był to żart i wszystko zakończyło się śmiechem.

Cieżarówkę szybko naładowano i podpierając rękami boki pomagano jej wydostać się na łąkę: koła ślizgały się, grzęzły po osie.

Drugi szofer, Jakub, wciąż się nie zjawiał. Utknął gdzieś, widocznie na dobre. Kołchoźnicy również nie śpieszyli na pole. Wysokie, krzaczaste wzgórze, na którym garbiła się wieś, to tu, to tam kurzyło się białymi dymkami. Niech marnieje siano, niech gnije groch, a my rozpalamy łaźnię! W biały dzień!

Dziewczyny czekając na maszynę gromadziły się na twardym skraju pola. Niura Jakowlewa, poruszając zziębniętymi ramionami, zaczęła strząsać z bluzki przyliptą zielen.

— Chodź, Niurka, pod mój płaszcz, zmarzniesz! — zawołała Elza, brygadier dójek.

— Jeszcze czego! Sama zmarzłaś!

— Zuch dziewczyna! Nie ma co narzekać. Aż dziwne, jak szybko podrasta młodzież. Niedawno matka tej samej Niury wy-

mawiała mu żałośnie: „Jaka ona skotarka? Czy może nosić wiadra z wodą? Popatrz na nią, nawet piersi jeszcze nie ma”. A dziś dziewczyna na schwał. Mocna, zęby białe, na śniadych, jędrnych policzkach puszek. Tylko czy aby długo zostanie w kołchozie? Takie dziewczyny szybko sprzątają czyjeś ręce. Dobrze, jeżeli wyjdzie za mąż za swego, z tejże wsi. A jeżeli ktoś ze strony podchwyci? Wtedy znów trzeba będzie szukać dójki.

Dziewczyny zaczęły śpiewać jakąś nową nieznaną mu piosenkę. O lotniku Wani i o zdrabcy Marusi. Ale piosenka nie rozgrzała. Deszcz ją zgasił.

Załadowali jeszcze dwie maszyny.

Ananij Jegorowicz w ciężkiej zadumie patrzył na wieś. Teraz już wzdłuż całego zbocza wił się dym. Ot, ludzie! Spróbuj z takimi podnieść kołchoz. A brygadierzy? Gdzie oni, u diabła, przepadli, ci brygadierzy?

Zza rzeki nalatywały podmuchy wiatru. Mokra, jaskrawoniebieska płachta, którą przykrywały się od góry dójki, głośno łopotała nad ich głowami.

— Cóż, dziewczęta, nie zmarzłyście?

Co za głupie pytanie! Po co pytać, kiedy on sam przemarzał do kości. W końcu machnął ręką: jazda do domu! Można było wprawdzie do obiadu jeszcze ze dwie maszyny załadować, ale dwie maszyny nie załatwią sprawy, a dójki mogą się pochorować.

I oto — znów on samiuteńki ze swoją biedą. Groch moknie na polu, a siano na łąkach. W zarzecznej brygadzie, którą kierowała Klaudia Niechoroszkowa, nie był chyba 10 dni, a jeśli łódka jest po tej stronie, to najwyższy czas żeby tam zajrzeć. — Łódka była po tamtej stronie.

Od łódki, prowadziła utarta ścieżka do domku na skraju wsi, na uboczu. Jest to ścieżka Klaudii, lub ścieżka Kławkinej, jak ją nazywają w kołchozie. Ścieżka utorowana w żółtym piaszczystym nasypie, prosta jak sama Klaudia. 19 lat depce Klaudia tę swoją ścieżkę. Jeżeli spojrzeć wczesnym rankiem na Zarzeczce, słończko zaledwie tylko się przedziera, a już na piaszczystej mierzei mający kobieta. Wysoka, majestatyczna — jak baba-wielkolud, o której bajka opowiada, i biała płachta, jakby żagiel. A w złą pogodę, gdy ostry wiatr przyciska wszystko co żyje do ziemi, wtedy Klaudia staje się podobna do niedźwiedzicy wypędzonej z legowiska.

Zimą też nie każe na siebie czekać. Jaka by nie była pogoda, czy to trzaskający mróz, czy zadymka bez przebłysku, kiedy mieszkańcy Zarzeczca całymi tygodniami nie przychodzą do wsi, Klaudia wkłada narty i znów depce swoją ścieżkę. Kiedy indziej wali się do zarządu po prostu bryła śniegu, w której nie widać żywego

miejsca, i tylko przeziębiony głos buchnie nagle, jak z dna studni: „Jaki nakaz, prezesie?”.

A jednak Klaudię na pewno co najmniej 10 razy usuwano z brygadierstwa, a nawet i teraz oficjalnie jest zanotowana jako „WRIO” (tymczasowo pełniąca obowiązki). Czy za złą pracę? Czy za nieumiejętność kierowania? Akurat, odwrotnie: Zarzeczna brygada zawsze jest według wskaźników pierwsza, a o Klauдії nie ma co mówić — z ludźmi daje sobie radę i każdą męską robotę wykonuje nie gorzej niż chłop, a w ostatecznej potrzebie i na traktor wsiądzie. Nie, to nie za pracę usuwano Klaudię, lecz za tę samą ścieżkę, po której chodziła nie tylko do biura kołchozu, ale jeszcze gdzie indziej. Pierwsza robotnica w kołchozie, ale również i pierwsza rozpustnica... Trzeba będzie podrapać się po głowie, kiedy przyjdzie czas podsumować roczne wyniki. Trzeba będzie wręczać czerwony sztandar, ale komu? Kobiecie, na którą w prezesowskim biurku leży chyba z 10 donosów? Próbowano różnych sposobów: zawstydzano ją, przekonywano, wyznaczano zamiast niej chłopca na brygadiera. Ale jaki chłop długo wytrzyma? I znów, choć niechętnie, wołano Klaudię: rób brygadierską robotę, Niechorzkowa, czasowo, oczywiście.

Ananij Jegorowicz stał na stromym brzegu dłuższą chwilę. Na rzece przelewały się fale, siekł go skośny deszcz, i żeby choć bodaj jeden człowiek pokazał się po tamtej stronie rzeki... Gdzież ci ludzie? Na polach, czy za domami? Dlaczego nie słychać traktora? Dziś sobota, dzień powszedni, sam Bóg każe pracować, a co będzie jutro, w niedzielę?

Trzeba przedsięwziąć stanowcze, terminowe kroki. Połowa sierpnia, na co jeszcze czekać? A oto co on przede wszystkim zrobi. Wejdzie na górę i zacznie przetrząsać górny koniec wsi. Wejdzie do każdego domu, dostanie się do każdego kołchoźnika. A dlaczego to nie jesteś na kiszonce? Dlaczego, u diabła, marudzisz?

II

TRZEBA BY POMÓC, ALE CZYM?

Pierwszy budynek — chałupka z jednospadowym dachem (nie można jej ominąć wchodząc z podgórze do wsi), należała do Awdotii Mojsiejewny. Chałupka zbutwiała, okienka krzywe, zapłakane, obok chałupki zagonik jęczmienia ze strachem na wrony — kubek w kubek żywa ilustracja z przedrewolucyjnego pisma.

Ananij Jegorowicz pierwszy raz zetknął się z Awdotią Mojsiejewną na ulicy. Szedł któregoś poranku wsią i nagle zobaczył pod jakimś oknem staruszkę, malutką, ślepową, z laską i koszykiem w ręce. Okno otworzyło się i wysunęła się ręka z kawałkiem chleba. Staruszka przeżegnała się, włożyła jałmużnę do koszyka i pokuśtykała dalej. Ananij Jegorowicz był zdumiony. W naszych czasach żebraczka? Kim ona jest?

Okazało się, że to dawna kołchoźnica. Samotna bez rodziny i krewnych. Miała syna, ale „przepadł za słowa”.

Na żądanie Ananija Jegorowicza zarząd wyznaczył Awdotii Mojsiejewnie pensję: 10 kg ziarna miesięcznie i 4 wozy drzewa opałowego na zimę. Była to pierwsza pensja od początku istnienia kołchozu.

W taką pogodę Mojsiejewna była oczywiście w domu. Siedziała na niziutkim ganeczku pod małą szopą, z której gęsto kapało i stukala głucho drewnianym młotkiem. Usłyszawszy kroki przechodnia (ścieżka prowadziła wzdłuż parkanu otaczającego jej zagrodę), podniosła bielmem zasnutę oczy. Nieśmiały uśmiech nadziei i oczekiwania zastygł na jej półotwartych, bezzębnych ustach.

Ananij Jegorowicz spuścił oczy i przeszedł mimo niej. „Tuk, tuk” — zagadał znowu młotek. Podsuszone na piecu ziarno pachniało w wilgotnym powietrzu. Mojsiejewna objała na kłocu pierwszy snop nowego jęczmienia.

Ananij Jegorowicz nie zaszedł również na drugie, sąsiednie podwórko. Na płocie moknie pasiasty materac, na ścianie przy ganku jeżą się kolczaste gałązki wrzosu, a gospodarz od trzech dni na cmentarzu. Zmarł na gruźlicę uduszony sierpniową wilgocią. Nikanor Tichonowicz długo chorował. A spojrzysz — drepce koło domu. To majstruje coś w stodole — ratował kołchoz saniami — to znów grzebie się w chomątach. W ostatnich tygodniach już nie mógł chodzić. Ale widocznie nudno cały dzień męczyć się w izdebnym zaduchu. I oto wywlecze się do ogrodzenia, rozściele utkany w domu chodnik i leży na słońcu spoglądając na wiejską drogę.

— Jak zdrowie, Nikanor Tichonowicz?

— A nieźle, zjadłem dziś trochę. Gdyby tylko nie te nogi...

— No, no. Za wcześnie jeszcze patrzeć w ziemię.

— A cóż ja... Ja nic...

Wielki to był optymista.

Pozostało po nim czworo dzieci. Gospodyni sama nie da z nimi rady. I czyż nie zasłużył swoją długoletnią pracą w kołchozie na to, abyśmy zatroszczyli się o jego rodzinę? Jej potrzebna emerytura. Nie tylko jej — są jeszcze inni. Oto będzie wkrótce przechodził mimo domu Micheja Łukicza. Starzec przekroczył dziewięć-

dziesiątkę. Jest najstarszym człowiekiem we wsi. A żyje jak zwierz. Zimą nie wylazi z kożucha a śpi w piecu.

Ale z drugiej strony, co można wykroić z kołchoźnego budżetu? W roku ubiegłym za dzień pracy zapłacili po 30 kopiejek, a w tym roku już piąty miesiąc kołchoźnicy nie dostają zaliczki. Nie ma pieniędzy! Może za miesiąc znajdą się po oddaniu bydła do państwowego zakupu. A teraz zacisną pas na ostatnią dziurkę. Każdy rubel idzie na budowę dwóch obór. Trzeba je za wszelką cenę zakończyć przed śniegiem, w przeciwnym razie nie przezimują bydła.

Gdy więc ukazał się niewielki zgrabny domek z białymi futrynami brygadiera budowlanego, Ananij Jegorowicz postanowił zajrzeć do niego. Jeżeli Woronicyn w domu — a była to pora obiadowa — trzeba z nim pogadać. Chodzi o to, że pracownicy budowlani płaćeni są dobrze (rubel gotówką za dzień pracy), lecz obory wciąż jeszcze nie pokryte. A sam Woronicyn ostatnio zaczął często popijać.

III

GŁÓWNE OPARCIE

Ananij Jegorowicz był po wojnie 13-tym z kolei prezesem w Bogatce. 13-tym — liczba przekłeta przez sam naród.

Rzeczywiście, zarząd jego rozpoczął się od konfliktu, nie z jednym i nie z dwoma kołchoźnikami, lecz od razu z całym kołchozem.

Było to zimą. Mróz trzymał siarczysty. Przejmując sprawy kołchozu obszedł w ciągu dnia obory, stajnie, składy — ciężki spadek pozostawiał mu poprzedni prezes — i pod wieczór pobiegł do biura, gdzie go oczekiwało pierwsze posiedzenie zarządu. Ale zamiast na posiedzenie — trafił na wiec. Ludzi w biurze pełniutko, ani przycisnąć się do prezesowskiego stołu. O co chodzi? Czy nie nawieczowali się dosyć wczoraj na ogólnym zebraniu?

— Jutro wybory do miejscowego sowietu — powiedział buchalter. — No to co?

— A no, przyszli po pieniądze.

— Po jakie pieniądze?

Okazuje się, że w kołchozie od dawna wprowadzony jest zwyczaj wydawania w przeddzień wyborów zaliczki po 10-15 rubli na każdego wyborcę. Zwyczaj jako taki nie najgorszy. Jakież święto

odbywa się bez pieniędzy? W klubie otworzą bufet, z rajcentru podrzuca zapewne kiełbasy, konserwy mięsne, obwarzanki itp. rarytasy (którymi wieś nie jest zbyt rozpieszczona), a ludzie mają stać i łypać oczyma?

Ale co innego zwyczaj, a co innego kołchoźne rachunki. I Ananij Jegorowicz powiedział:

— Nie czekajcie. Pieniądzy nie będzie.

— A więc nie dasz? — powiedział czerwony na gębie, tęgi mężczyzna siedzący przy piecu.

— Nie dam — odciął Ananij Jegorowicz krótko.

— A no nie dasz, to nie będziemy głosować.

— A ty jak — za pieniądze głosujesz, czy za sowiecką władzę?

Czerwony na gębie mężczyzna nagle uśmiechnął się rozbrajająco:

— Ot, dziwak z ciebie. Ależ my na ciebie tylko głosować nie będziemy (kandydatura Ananija Jegorowicza była postawiona do miejscowego sowietu).

Dokoła zachichotano, uśmiechano się.

— A ty, Woronicyn, czyje to słowa powtarzasz? — ostro zapytał sekretarz part-organizacji Isakow.

Woronicyn — tak się nazywał czerwony na gębie mężczyzna — leniwo machnął ręką:

— Nie strasz. Mnie już strasz yli.

— On stał u Niemców pod rozstrzałem, zapomniałeś? — krzyknęli od wejścia.

Gdy udało się nareszcie wyprowadzić ludzi z kantoru, Isakow złapał się za głowę:

— Czy ty rozumiesz coś narobił, towarzyszu Mysowskij? Zerwałeś wybory. Tak, tak. Dotychczas zawsze składaliśmy sprawozdanie na 8-ą godzinę, a nuż jutro nikt nie przyjdzie?

Wybory odbyły się normalnie. Ale też co przeżył tej nocy Ananij Jegorowicz! Pieniądze nawet zdobył — wziął zaliczkę od prezesa „Sielpo”¹. Pał ich diabli, jeżeli będzie potrzeba — rozda, obiegnie całą wieś.

A nazajutrz, w poniedziałek rano zgłosił się do kantoru Woronicyn i z uśmiechem długo mu się przyglądał.

— Cóż, może pogodzimy się z tobą, prezesie — powiedział, jak gdyby reasumując ich kłótnię.

Słowo Woronicyna okazało się pewne, jak jego ciężka, o krótkich palcach ręka, która z jednakową wprawą włada i toporem i młotem kowalskim. W ciągu pierwszego roku z brygadą stolarzy

1. Magazyn-kooperatywa wiejskiego towarzystwa spożywców.

postawił on nowy zrąb obory, a w drugim roku pokrył jeszcze jeden.

I oto ten najpotrzebniejszy w kołchozie człowiek, można by rzec — główna podpora prezesa, zaczął pić. Ananij Jegorowicz próbował i tak i owak podejść do niego, pytał z czego jest niezadowolony? Ale tamten milczy, słowa od niego nie można wydobyć, a wykończenie obór zagrożone. Jeżeli brygadier utknął nosem w butelce, to czego można żądać od innych?

W małej kuchence pełno białego dymu, który gęstą warstwą wisi pod niskim sufitem. Na stole samowar, talerz z żytnim chlebem i pstrymi jęczmiennymi sucharami oraz dzbanek z gotowanym mlekiem. Pięcioro dzieci, jedno mniejsze od drugiego, siedzi poważnie obok siebie pomiędzy otwartymi drzwiami do przedpokoju, a oknem z białą firanką, z którego widać ulicę wsi. Siedzą, wtykają chleb w miałki cukier, nasypany małymi kupkami wprost na stole przed każdym z nich.

Miejsce gospodarza — stołek pod oknem z lewej strony — było puste. Cienka szklanka z herbatą — niedopita. Na tacy, dookoła nóżek samowaru, stos niedopałków.

— Nie ma gospodarza? — zapytał Ananij Jegorowicz.

Od strony pieca, spoza różowej firanki, wyrzała Polina, żona Woronicyna, wysoka, szczupła kobieta, w wатовanym kaftanie bez rękawów z rozgrzaną od pieca twarzą i złymi, błyszczącymi oczami.

— Był. Całą godzinę siedział tu i stękał.

— Zachorował?

— Diabła mu tam! Pije i żre, który to już tydzień.

Ananij Jegorowicz jakby usprawiedliwiając się zapytał.

— Za jakie pieniądze? Ja mu nic nie dawałem.

Polina parsknęła śmiechem:

— Za jakie pieniądze! Oni, te przekłete pijaki, od dawna żyją według komunizmu. Mój Ty Boże! Przyjdzie taki do sklepi-ku:

„Mańka, daj pół litra na kredyt”. A Mańka, gdy miesiąc się ma ku końcowi, pójdzie po wsi zbierać po domach: „Od ciebie, Polina, należy się 10 rubli, 50 kopiejek”. — Tu Polina, wyciągając długą chudą szyję, pokazała jak z nią Mańka rozmawia. — „Za co, kiedyż to zadłużyłam się u ciebie?”. „Mąż twój wódkę brał na kredyt”. „Ano, jeżeli mąż, to od niego i ściągaj. Nie prowadź handlu według komunizmu”. Polina rzuciła okiem w stronę stołu. — Widzisz, ile mam chlebojadów.

Dzieciaki, pilnie obserwując matkę, która zawsze otwarcie przy nich rozmawiała z ludźmi, zaczęły znowu maczać chleb w cukrze.

— Wyoście się! — wpadła na nich nagle Polina. Jak długo jeszcze będziecie tu siedzieć? Przez cały dzień z domu nie wychodzzą. Obrzydły mi już, diable nasienie.

Dzieci niechętnie wylazły z za stołu i spoglądając posępnie na Ananija Jegorowicza wyszły do przedpokoju.

— A ty, Polina Archipowna, zapytał Ananij Jegorowicz, przymykając drzwi do przedpokoju, czy wiesz co się z nim dzieje? Dlaczego zaczął pić?

Polina westchnęła:

— A diabli go wiedzą. To wszystko po pobycie w mieście. Dawniej też wypijał — nie bez tego przecież — ale przynajmniej znał swój fach. A teraz przyjedzie z miasta — i patrz jak zmienili chłopca. Czegoż to wy, gospodarze, pilnujecie?

— Dobrze, rzekł Ananij Jegorowicz. Gdy będę wracał, wstąpię. Niech nigdzie nie wychodzi.

IV

NIE TE CZASY

Na dworze wciąż to samo. Pada deszcz, wiatr trzepie mokrą bielizną, rozwieszoną na sznurze: Zapalając papierosa Ananij Jegorowicz odwrócił się plecami do wiatru i nagle wyprostował się. Wzdłuż opłotków, obok zagrody Woronicynych, dreptały trzy baby, z koszami, zgięte w pół.

— Stój! — krzyknął Ananij Jegorowicz i złapał się zaraz za policzek — do ust wpadło zimne powietrze.

Baby smyrnęły za próg łaźni.

Nie wybierając drogi, po mokrym kartoflisku, rzucił się za nimi na przełaj, przeskoczył przez ogrodzenie.

— Cóż to, pracujemy? — Ananij Jegorowicz dusił się od biegu i złości.

Baby — ani słowa. Mokre, posiniałe, jak gdyby ukrzyżowane, stały, oparte plecami o ścianę łaźni i tępo patrzyły na niego. Wielkie, plecione kosze, wypełnione czerwonymi i żółtymi surojadkami, piętrzyły się u ich nóg.

— Pracujemy, pytam? — powtórzył Ananij Jegorowicz.

— Cóż, nie my jedno.

— Gdyby w kołchozie o kopiejkę więcej — zagadała płaczącym głosem Agrafiena, któżby poszedł do lasu, Ananij Jegorowicz?

— A kopiejka skąd ma się wziąć? Z nieba spadnie?

Kobiety nabrały śmiałości.

— Słyszymy to piętnasty już rok. Ja całe lato na żniwach spędziłam. A ile zarobiłam?

— A moje dzieci wkrótce trzeba posłać do szkoły, a tu ani na buty ani na odzież. Myślisz, że włóczyć się po lesie to zabawa? Ząb na ząb nie trafia, suchej nitki nie masz na sobie. A wałęsasz się. Oddam kosz grzybów do „Sielpo” — jakaś jednak kopiejka znajdzie się w domu.

— A my same nie potrzebujemy jeść? — ostro i chrypliwie wtrąciła się do rozmowy nagle Olena Rogalewa. Ja już drugi rok bez krowy. Teraz, myślałam, siana nawaliło, krówkę sobie sprawię. Diabła tam.

Po czym, uważając widocznie dalszą rozmowę za bezcelową, Olena chwyciła kosze na rękę, aż rączki gwizdnęły — i poszła uginając się pod ciężarem.

Za nią, niepewnie przestawiając nogi, pociągnęły jej towarzyski.

Ananij Jegorowicz, niezdecydowany, przygryzł dolną wargę. Dopędzić, powywracać te przeklęte kosze, a baby za kołnierz i wprost na pole?

Osiem lat temu, na pewno by tak zrobił. Wzorów do naśladowania było dosyć i w życiu i w literaturze. Na przykład, w jednej książce opowiadał autor, jak prezes kołchozu chwytą krnąbrnych kołchoźników za wsią. A w drugiej prezes działa jeszcze ostrzej: wpada rano do izby i zalewa piec wodą. Książki te były wzięte w rejonie „na uzbrojenie”, „oto jak trzeba pracować” — pouczał kołchozowych prezesów sekretarz rajkomu, powołując się raz po raz na przykłady z literatury. A wy, ciamajdy, nie możecie z babami dać sobie rady!

Tak, przed ośmiu laty Ananij Jegorowicz napędziłby tym grzybówkom strachu. A teraz...

Chwycił ręką za mokry daszek czapki, ostro nasunął na oczy i okrążając zagrodę Woronicyna, poszedł główną ulicą wsi.

V

GRYPA Z WIRUSEM

Po drugiej stronie drogi od Woronicynych, na lewo, na górkach — tak nazywają teren niezabudowany i nieuprawiony wzdłuż zbocza — mieszka Piotr Gawryłowicz Chudiakow.

Przed 10 laty tego pustkowiecia tu nie było. Było tu jakieś 10

domów, szczególnie, niemal ściśle przylegających do siebie. Pozostały z nich teraz dwa domy: dom Piotra Gawryłowicza, oraz po jego lewej stronie o jakichś 200 metrów dalej, wysoki kolos o pięciu ścianach — bez dachu i okien, z czarnymi dźwigarami dachowymi, wzniesionymi jak starcze ręce ku niebu.

Przechodząc mimo pustkowiec, Ananij Jegorowicz zamyślał się często nad losem tego zdziczałego domu. Pamiętał ten dom jako jeszcze nowy. Ściany były z wyborowego drzewa sosnowego, z dźwiękiem — jak mówiono — z osmolonymi węglami (za zawsze!) Tylko wstawić ramy do okien i można sprawić inkortowiny. Ale dom postarzał nie doczekawszy się inkortowin. Któż są jego gospodarze? Gdzie oni są obecnie? Czy żyją jeszcze? I co ich tak zraziło, że porzucili nowy dom i ani razu go nie odwiedzili?

Sterczy stary dom na wzgórzu, dzień i noc oczekuje swoich gospodarzy. A ich jak nie ma, tak nie ma...

Ananijowi Jegorowiczowi nie wypadało bywać w tej zagrodzie. Piotr Gawryłowicz, który niedawno przekroczył pięćdziesiątkę, siedział w krytej drwalni i coś obstukiwał siekierą. Zobaczywszy prezesa wstał i podszedł do furtki. Miał na nogach walonki z czerwonymi kaloszami i watowane spodnie, na sobie fufajkę, na głowie zbutwiałą uszatą czapkę bez tasiemki — na ogół ubrany był ciepło, stosownie do pogody. A w ustach, obsypanych rzadkim, żółtym puszkim, sterczał niezmienny niedopałek.

— Daleko zmierzasz? — spytał i podał rękę. Piotr Gawryłowicz rozmawiał z władzą swobodnie, na „ty”, chociaż bez obraźliwej poufałości.

— A ot, troszcze się o kiszonkę. Widzisz co się dzieje?

— Słusznie, słusznie — rzekł zachęcającym tonem Piotr Gawryłowicz. Wpadliśmy z tą kiszonką, towarzyszu Mysowskij. — Podniósł głowę w górę. — Nabrał stary.

— Nie gadaj.

— To nic, chłopcze. Pogoda jak gdyby na przejaśnieniu, odmieni się. Ten wiatr rozpedzi wilgoć.

Ananij Jegorowicz spojrzął za Piotrem Gawryłowiczem na niebo. Rzeczywiście tu i ówdzie przerwała się szara pokrywa. Deszcz również jak gdyby zelżał.

— Rozpedzi, rozpedzi — z jeszcze większą pewnością potwierdzał Piotr Gawryłowicz swoją przepowiednię.

— Jak zdrowie?

— Moje zdrowie? — Piotr Gawryłowicz westchnął i poruszył wargami. Twarz jego nagle stała się cierpiąca. — Żle, chłopcze. W pogodę całego mnie zrąbało, a teraz znów grypa zamęczyła.

— Gorączka?

— Gdybyż to gorączka, byłoby lżej. Jakaś przeklęta grypa

pojawiła się. Z wirusem, siedzi w tobie, a na zewnątrz nie wyłazi.

— No dobrze — rzekł po chwili Ananij Jegorowicz. Polepszenia.

Można było, oczywiście, pokazać temu Chudiakowowi, gdzie u niego wylazła na zewnątrz wirusowa grypa. Ananij Jegorowicz zauważył i odnowione ogrodzenie zagrody od strony ulicy i nowe belki w ganku. Tego wszystkiego nie było tydzień temu, a siedzenie w szopie z siekierą w ręku w taką pogodę, to nie najlepszy sposób leczenia grypy. Ale Chudiakow — to starzec. Niechby mieszkał w mieście — jakie można by mieć do niego pretensje? Jednakże to, że zdrowe chłopcy pracują w domu pod pretekstem wirusowej grypy — to już poważniejsza sprawa. Tu już trzeba wydać zarządzenia.

„Ale jakie zarządzenia”? — myślał Ananij Jegorowicz idąc skrajem rozkiszłej ulicy. Sama Fajna — felczerka, porządku z tym nie robi, to rzecz jasna. Ona i tak i owak obraca „chorego” — wedle wszelkich oznak zdrowego. A on jej swoje: „No, a więc wirusowa grypa. Daj zaświadczenie”. I spróbuj dowieść, że on symuluje.

— Tak — westchnął Ananij Jegorowicz. — Och, tak wirusowa grypa. Jakoś zbyt często łamie ona dzisiejszego chłopca...

VI

DZIEŃ EMERYTA

— Witaj, Ananij Jegorowicz! Czymżeś tak zdenerwowany, że nie patrzysz na ludzi?

Mysowski obrócił głowę ku głosom.

Po drugiej stronie ulicy kroczył cały oddział staruszek, jedna za drugą. Wszystkie ubrane ozdobnie, odświętnie — tak, bywało, chodziły dawniej do cerkwi.

Ananij Jegorowicz przeszedł przez ulicę.

— Dokąd to wy w takim szyku?

— Cóż ty, wszak to nasz dzień dzisiaj — powiedziała uśmiechając się wysoka staruszka, dosyć jeszcze mocna, wyprostowana, z gładkimi, rumianymi policzkami. — Przypomnij sobie datę.

— A więc po rentę?

— Po nią, po nią — pokiwała w odpowiedzi mała staruszka w jasnych gumowych butach.

— Dzięki obecnym władzom — powiedziała gruba, niska staruszka, i nagle dostojnie pokłoniła się Ananiju Jegorowiczowi. — Gdybym umiała pisać, do samej Moskwy bym napisała. Nie zapominacie o naszej starości.

Przeprowadzając oczami szybko idące emerytki, Ananij Jegorowicz myślał niewesoło: „Eh, staruszki! Do waszych rent przydałoby się nieco uświadomienia. Nie wszystkie wprawdzie, ale niektóre z was mogłyby jeszcze doskonale trzymać grabie w rękach. I sprawy kołchozu wyglądałyby inaczej.

VII

„A CZY ZIEMIA ROŚNIE?”

Pozdiejewowie — ojciec i syn — pracowali przy nowym domu. Stary Ignat w starym ceratowym kitlu, w ciepłej, wypłowiałej chuście, po babsku podwiązanej pod brodą — od dawna cierpiał na uszy — majstrował coś pod okapem, a Kirka, barczysty mężczyzna, ociosowywał okrągłak. Ciosał umiejętnie, z wprawą. Jedno nacięcie, drugie, potem odłupanie ze skrzętem i szczapa z białym bokiem odwałała się od kłoca.

Ananij Jegorowicz zdecydował nie skręcać do Pozdiejewów. Co od nich można dostać? Kirka — inwalida, utyka na jedną nogę: od dzieciństwa ma gruźlicę kości; stary Ignat w podeszłym wieku. A przy tym trzeba im przyznać: w czasie zniw nie siedzieli w domu, obydwoj mordowali się na dalekim sianokosie.

Jednakże nie udało mu się minąć Pozdiejewych. Jak na złość, stary podniósł głowę i zakrzyczał wysokim kogucim głosem:

— Czego kręcisz nosem? My nie złodzieje.

Kirka wyprostował się i ukazując w uśmiechu mocne, białe zęby, powiedział:

— Uszanuj starego, prezesie.

Nie było rady — trzeba było „uszanować”. Z tymi Pozdiejewymi nie ma żartów: i ojciec i syn, obaj „z nadzieiem” — wyjątkowi majstrzy od urządzania publicznych burd. Na przykład jest w klubie odczyt o sytuacji międzynarodowej. No, odczyt jak odczyt. Jeden słucha, drugi drzemie, inny u wyjścia pali machorkę. Nagle w pierwszym rzędzie wstaje staruszek w babskiej chustce:

— A powiedz, czy ziemia rośnie?

Rejonowy prelegent rozkłada tylko ręce. Jaki związek ma to

pytanie z kolejnymi knowaniami imperialistów? Ale po chwili, nie chcąc urazić żadnego wiedzy staruszka, zaczyna wyklądać popularnie prawo zachowania materii.

— Nie rośnie, powiadasz? — znowu wyskakuje Ignat. A czy byłeś na naszych nowinach? Dawniej nie było ani jednego kamienia na polu, a teraz jest ich tyle, że pług odskakuje od nich. Skądże kamień się pojawił, jeśli ziemia nie rośnie?

Na sali szum, śmiech, gwizdanie.

Po chwili ludzie uspokoili się i odczyt trwa. Mija jakiś czas i znowu słychać głos Ignata:

— Nie pojmuję. Czego on trajkocze jak diaczek.

Tym razem, odgarnąwszy chustkę od ucha, zwraca się do syna, który zawsze siedzi przy nim:

Kirka, wykonując z przyjemnością obowiązki tłumacza (we wsi tak go też nazywają), odpowiada:

— O urodzaju mówi.

— O urodzaju? Ach, o urodzaju! — zapala się Ignat. — W takim razie odpowiedz — znów atakuje prelegenta — co korzystniej jest siać: brzozę, czy żyto?

Tłumacz, jak gdyby chcąc pomóc prelegentowi, krzyczy staremu do ucha:

— Pytanie niejasne.

— Niejasne? — Tu Ignat naprawdę wybuchnął: — Mać twoja! tak... niejasne. Pójdź na te nowiny. Dawniej my z pola woziliśmy zboże, a teraz drewno.

Kirkę wołano do Sielsowietu: „Pohamuj starego. Wiesz, co by było dawniej? Za takie odezwanie się?

— Słusznie, towarzysze... Wyście to trafnie zauważyli — godził się Kirka. — Starego ponosi. Ale ja przecież przeczyć ojcu nie mogę. Nie byłem tak wychowany. Mieście to też na uwadze, towarzysze.

We wsi dużo mówią o domu Pozdiejewów. Nie tylko mówią, ale każdy pieszy czy konny zatrzymuje się przy nim. Zbudowali dom w nowym stylu, po miejsku: kuchnia, sypialny Kirki z żoną, pokój dla starych i osobno dla dzieci. Kirka, jak sam mówił, zaplanował na siedmiolatkę siedmiu synów, i trzeba przyznać, wywiązuje się z zobowiązania (żona jego stale jest w poważnym stanie).

Jeszcze jedna osobliwość była w domu Pozdiejewów: facjatka lub strych po tutejszemu, ale nie jakiś zwykły kurnik pod dachem sklecony z desek, (takie nie są teraz w nowych domach rzadkością), lecz prawdziwy pokój ze ścianami z okrągłaków, z dwoma oknami i balkonem.

Stary Ignat, z powodu tej facjatki (Kirka ją wykończył najpierw i nawet poręcze balkonu zdążył pomalować na niebiesko), pienił się ze złości. To nie żarty takie domisko sklepać, a tu jeszcze jakieś paskudztwo wyrabiać. I teraz, ledwie Ananij Jegorowicz wszedł do zaułka, stary zakrzyczał wskazując ręką na strych:

— Widzisz co wymyślił? Facjatki mu potrzeba. A drzewo kto przygotowywał? — Stary, zadarłszy bródkę nagle zwrócił się do syna. — Czy ty?

Kirka, uśmiechając się pobłaźliwie, wzruszył z lekka szerokimi plecami i wbił siekiere w kłoc.

Usiedli na suchym okrągłaku pod okapem.

— Narąbałeś drzewa? — nieoczekiwanie — jak zwykle — zadał pytanie Ignat.

Ananij Jegorowicz nie zrozumiał, spytał powtórnie.

— Jakiego, jakiego... drewnianego — zaperzył się stary. — Cóż, wciąż będziesz wałęsać się po cudzych izbach?

Stary wyraźnie daje do zrozumienia Ananijowi Jegorowiczowi, że czas mu już własne gniazdo uwić, jeżeli chce by się z nim liczone jak z prezesem!

Jednakże Ignat, nie czekając na odpowiedź — wszyscy głusi są jednakowi — znowu zakrzyczał:

— A dlaczego trzymasz się za policzek? Zęby bolą? Jakżeby nie miały boleć! Z kim to wymyśliłeś usuwać ludzi z sianokosu? A?

— Nie drzyj się tak — powiedział Kirka i dodał niewyraźnie: — Partia wie...

— Ty, Pozdiejew, zostaw partię w spokoju...

— A cóż ja, prezesie? — Kirka zawsze zwracał się do Ananija Jegorowicza oficjalnie. — Ja w znaczeniu programu... W tych dniach, jak słyhać, będzie seminarium.

— Owszem, będzie. Ale ja ci radzę — ugryź się w język. Ani się waż robić bałagan.

— Czego? — zakrzyczał Ignat.

— Powiada, że dom twój ładny — odpowiedział Kirka, nie zmrúżywszy oka.

— Tak, tak — stary pokiwał głową z zadowoleniem. Ładny. Jesienią będziemy robili inkortowiny. Przyjdiesz?

Ananij Jegorowicz kiwnął głową i wstał: przyzwoitości stało się zadość, a na bzdurzenie nie ma teraz czasu.

VIII

WIEŚ BUDUJE SIĘ

Któregoś wieczora, zasiedziawszy się do późna w zarządzie, Ananij Jegorowicz z sekretarzem partkomu² Isakowym naliczyli aż 32 nowe domy we wsi. I wszystkie te domy zostały zbudowane w ciągu jakichś ośmiu ostatnich lat.

— Rozumiesz, co to znaczy? — rzekł Isakow z powagą w głosie. — A zjrzyj do wewnątrz! Tam znajdziesz i niklowe łóżko i maszynę do szycia i radio. Nawet rowery są u niejednego. — Isakow pomyślał i uśmiechnął się. — Byłem niedawno w Zarzeczcu. Czy znasz tam dom Prochorowa? Ogromne dwupiętrowe domisko w górnym końcu wsi. W 30-tym roku jego jeszcze rozkułaczano. Co prawda, potem rehabilitowano. Nadaremnie zgnoili chłopą w Sołowkach. Własną pracą wzbogacił się. Według tamtych czasów Prochorow rzeczywiście był bogaty. Wszyscy mu zazdrościli. — Ale, co też wy — mówiono — czyż można z Prochorowymi mocować się? U nich i przed umywalką stoi nie cebrzyk lecz miednica. I oto w tych dniach zjrzałem do jego syna. Mieszka sam, bracia zginęli na wojnie. No, powiadam, Andrzeju, pokaż swoje kułackie życie. Jaki spadek zostawił ci ojciec? On zaśmiał się. — „Patrz” — powiada. Spojrzałem. Miednica pod umywalką rzeczywiście stoi. — No, ale cóż więcej? Czarna szafka na naczynia — bywało też na temat tej szafki mówiono: „Oto jak żyją Prochorowowie. Na naczynie szafkę pod szkłem sobie sprawili. Obejrzałem tę szafkę. Teraz nikt by jej za darmo nie wziął. A co jeszcze? — I Isakow zakonkludował. — A więc nie tak już bardzo źle żyjemy. Jest postęp i u nas na północy.

Tak, to prawda. Gdyby do Ananija Jegorowicza zwrócił się historyk, mógłby mu niemało opowiedzieć o tym, przecież na jego oczach wieś ulegała odnowie.

Wszystko się zaczęło od „rajcentrum”, od urzędników. W „rajcentrze” zgromadziło się po wojnie moc przeróżnych urzędników. Nieskończone „raje” (rejonowe urzędy), o których z takim rozrzewnieniem pisano w pewnej książce, wypompowały ze wsi wszystko, co mniej więcej umiało czytać i pisać. I oto ten drobno-urzędniczy ludek, nudząc się w wolnym od służby czasie (czy to łatwo zdrowemu chłopu nic nie robić od 6-ej po południu?) zaczął bawić się siekierą. Wieś świeci pustkami, niszczeje, a w rajcentrze wyrastają nowe domy jak grzyby po deszczu. Oto jak to

2. Miejskowy Komitet Partii.

było! I dopiero potem, po 1953-im roku, zaświeciły nowe dachy po wsiach.

A jednak, jakbyś nie kręcił — mówił do siebie Ananij Jegorowicz, od jednego zagadnienia nie uciekniesz. Mianowicie — jakimi środkami buduje się wieś? Z dochodów otrzymanych z kołchozu? Cały kłopot w tym, że nie. Kto pobudował się w ostatnich latach? Ci, którzy mają skądś pieniężną pomoc. Jedni mają rentę, inni syna, który pracuje w przemyśle leśnym, inni wreszcie mają urzędników w rodzinie. Weźmy chociażby takich Pozdiejwów. Czy Kirka zobaczyłby taki dom, gdyby jego żona nie była buchalterką w „Sielpo”?

We wsi ustaliła się zasada: jeżeli pracujesz w kołchozie, to szukaj żony wśród urzędników, aby w domu było zawsze trochę grosza. Po wojnie, kiedy przyszła reforma pieniężna, ten system otrzymał swoją nazwę: „ożenić się z buchanką”. Jednym słowem, jeżeli się dobrze zastanowić, widać że tworzy się nowy typ rodziny, w której czynnik gospodarczy odgrywa bynajmniej nie najmniejszą rolę.

Nierzadko trafiają się pomiędzy nowymi domami takie, których okna są zabite. Zdawałoby się że wszystko gotowe — tylko odedrzeć z okien deski i mieszkać. Jednak nikt w tych domach nie mieszka.

Te nowe domy leżą na wątrobie każdemu prezesowi kołchozu. Z reguły ich gospodarzami są pracownicy przemysłu leśnego, wczorajsi kołchoźnicy, którzy w ten czy inny sposób drapnęli w swoim czasie z kołchozu. Cóż, drapnęli — i koniec. Życie z Bogiem, osady leśne są teraz dobrze urządzone, nie ma porównania ze wsią. Przychodzi lato — patrzysz, jeden spaceruje z siekierą dookoła starych ojcowskich zgłiszcz, drugi wiosną spławia zręb, trzeci...

Cóż to jest? Odwieczne przywiązanie człowieka do swej ojczyzny, do gniazda, w którym się urodził? Czy też nie wywietrzał jeszcze z niego chłop? Dali mu urlop, a cóż on ma robić z tym urlopem? Trzeba przecież zabić jakoś ten czas. A czyż nie prościej zbudować dom w miejscu gdzie się pracuje — w osadzie leśnej? A może też wczorajsi kołchoźnicy czekają na zmiany we wsi?

Chudiakow okazał się marnym prorokiem. Co prawda deszcz powoli zacicha, ale kiedyż na koniec wyjrzy słońce?

Ananij Jegorowicz zaszedł jeszcze do kilku domów. Wrota zastawione. Zapewne i tu poszli do lasu...

Niedaleko stuknęła siekiera. Umilkła i znów zastukała, tym razem bez przerwy.

Obszedłszy parę chałup Ananij Jegorowicz zobaczył zwykły

obraz: w polu, za opłotkami nowy zrąb, a na rogu człowiek. Iwan Jakowlew, jeden z tych wczorajszych kołchoźników, którzy po wojnie zapełnili armię miejscowego leśno-przemysłowego kołchozu.

— Nie boisz się przemoknąć — odezwał się Ananij Jegorowicz zbliżywszy się do budowy.

— Nie szkodzi, nie z cukru.

— Tak, tak. Cóż, czy namyśliłeś się wrócić do domu?

— Hm — mruknął Iwan. Można i do domu.

— Doskonale! Przyjmijemy choćby dzisiaj.

— Przyjąć, to wy przyjmiecie. Wiem o tym, A jak co do tego? — Iwan pokręcił złożonymi w szczyptę palcami. — Przecie ja w lesie co najmniej 100-150 rubli wyduszę.

— To od nas zależy. Gdy kołchoz podniesiemy, z rublem też będzie weselej.

— To już poczekamy, towarzyszu Mysowski. Nam nie śpieszno.

Zawsze to samo. Jakieś zaczarowane koło. Na to żeby dzień się opłacał, trzeba żeby ludzie pracowali, bo jakież jest inne źródło dochodów kołchozu? A na to żeby ludzie pracowali trzeba żeby dzień pracy się opłacał.

Jakież więc wyjście z sytuacji?

W rajkomie powiadają: źle rządysz. Zaniedbałeś agitacyjno-wychowawczą pracę. A jak tu agitować dzisiejszego kołchoźnika? Bez rubla żadna agitacja do niego nie dotrze. Tłumaczysz mu: dwa traktory kupiono, czy nie? Kupiono. A na ciężarówki czy są potrzebne pieniądze? Potrzebne. A na nowe obory? A radio założono? Zaczekajcie. Przyjdzie czas i na płacę za dzień pracy. Ale kołchoźnik nie czeka. Nie chce dłużej czekać. W tym sęk.

IX

„PRZEŻYTEK”

Wydało mu się najpierw, że to słońce. Tak się to świeci, tak miga wśród zieleni.

Ale mylił się. Jasna plama w ogrodzie warzywnym przed izbą, to wcale nie słońce, lecz zawój na głowie, ściślej mówiąc brokatowy brzeg zawoju. A wystroila się w ten zawój nie młódka (te w ogóle zawoju teraz nie noszą), lecz starowinka, malutka, szczuplutka. Pochylona nad grządką i lekko kołysząc jasną głową zbierała cebulę — widocznie na obiad, była bowiem tylko w niebieskim sarafanie, noszonym zwykle przez staruszki, i boso.

— Dzień dobry, Tichonowna — powiedział Ananij Jegorowicz podchodząc do ogrodu.

Staruszka żwawo wyprostowała się, przymknęła chytrze jedno oko:

— Poznałeś. A ja patrzę z dołu i myślę: zhardział, przejdzie mimo, czy się odezwie?

— Ciebie nie trudno poznać. Tak się świecisz!

— Nie gadaj, na miłość boską. Nie wstydz mnie. Sama wiem, że to niedobrze. W tym zawoju chodziłam jeszcze jako młoda mężatka. Wciąż oszczędzałam dla Maruśki, ale że Maruśka nie nosi, więc po co ma się marnować. Jeden się zgorszy, a drugi zrozumie.

Prawie cały świat urzędniczy rejonu znał Agafię Tichonowną, lub Ogonię Paleją, jak ją nazywano we wsi za wyjątkową dziariskość. Staruszka była życzliwa, towarzyska. Zanim wypijesz herbatę — opowie ci o wszystkim: jaki jest nowy prezes, jak ludzie pracują, co się robi w kołchozie — według niej źle — a jak należałoby robić, opowie o wszystkim barwnie, ze śmieszkiem, z żarcikami. Delegaci z urzędów zatrzymują się teraz u niej od czasu do czasu, ale tylko w lecie, bo w zimie staruszka mieszka u córki.

— Chodźmy do izby — z właściwą jej gościnnością zaproponowała Tichonowna wychodząc z ogródka z garstką cebuli. U mnie samowar kipi.

Rzeczywiście, dlaczego nie miałby coś przegryźć? Ileż to czasu minie zanim dotrze do swego domu! A może coś gorącego na ząb pomoże?

W niskiej, mocno przygarbionej izbie było ciepło, nawet gorąco. Podłoga wyszorowana żwirem, wypukłe sęki w starych, szerokich deskach błyszczą jak cebule. Tichonowna zawsze była znana ze swej schludności.

Wszystko to było Ananijowi Jegorowiczowi znajome. Zdjął więc — jak u siebie — przemokły płaszcz i rozesał na belce przy piecu — niech i on się pogrzeje.

— A nogi suche? Czy dać walonki?

Nie, to chyba zbytęczne. On nie na długo, nie ma czasu na przesiadywanie.

Tichonowna, szeleszcząc bosymi nogami, szybko zastawiła stół: suszony dorsz, miejskie obwarzanki — te są zawsze ile razy ktoś z miasta przyjedzie, kiszona moroszka, bielaki z cebulą. I szczyt wszystkiego: kipiący samowar.

— Jedz, pij, gościu — powiedziała Tichonowna i według starego zwyczaju, choć z lekką filuterią, pokłoniła się gościowi w pas.

A potem, połyskując brokatowym rąbkiem zawoju, usiadła koło samowaru na miejscu gospodyni.

— Ciebie należałoby ugościć nie tylko herbatą. Miły gość z ciebie. Ale wódki nie ma u babki. Miałam maleńką butelkę, ale wnuk wyłudził. Onegdaj wtacza się pijany: „Babka, dawaj wódkę, bo cię podpalę”! — „Cóż ty, pijana mordo, nie wstyd ci tak mówić do babki”? Ale potem oddałam — byle dalej od grzechu.

Przy herbacie Tichonowna rozgrzała się. Krople potu pokazały się na ciemnym, pomarszczonym czole, a małe zgrabne ucho zaróżowiło się jak u młódki.

— Ileż to ona ma lat? Chyba ponad osiemdziesiąt? — pomyślał Ananij Jegorowicz. Twardy orzeszek! Oczy ma niebieskie, chytrenkie, wyraziste, z mocną jasną źrenicą.

— Jakże tam w mieście? Podobało ci się? — zapytał rozłamując obwarzanek.

— Nie podo-ba-ło się — wymówiła starannie, sylabami, jakby chcąc pochwalić się swymi miejskimi nabytkami.

— Dlaczegoż to?

— Młodzież nie podobała mi się — znowu skandując odpowiedziała staruszka.

— Młodzież?

— Tak, młodzież — kiwnęła potakująco Tichonowna, ocierając twarz suchą dłonią. Idziemy kiedyś po mieście z moją Marušką. Było to majowe święto. Ludzie płyną jak woda. Zapatrzyłam się, o wszystkim zapomniałam. Nagle oglądam się: gdzież to moja Maruška? Patrzę tu i tam — nie ma mojej Maruški. Pytam jednego, drugiego — śmieją się: zabłądziłaś babko. Widzę, w ogródku, wysoko na podwyższeniu stoi dziewczyna. Blondyneczka, w krawaciku, pochyliła główkę i książeczkę czyta. „Ano, mówię, dziewczynko, obejrzyj się, czy nie dojrzyysz gdzie mojej Marusi”. Dziewczynka milczy. Ja znowu swoje: „Na podwyższeniu stoisz, wszystko możesz widzieć”. A ona wciąż milczy. Tu nie wytrzymałam: „Bezwstydnicą — mówię, a jeszcze piśmienna, książkę czytasz. Nawet nie odpowiesz, czy ci język od tego odpadnie?”. A tu i moja Maria nadeszła. Wyszczrzyła zęby: „Z kim ty babko rozmawiasz?”. — Jakto z kim? Z tą, powiadam, bezwstydnicą. — „Co też ty, głupia babko, przecie to dziewczyna nieżywa”.

Ananij Jegorowicz roześmiał się. Że też od razu nie domyślił się, że Tichonowna zawraca mu głowę. Dawniej też była majstrem od wszelkich conceptów.

A Tichonowna pozwoliwszy mu wyśmiać się zakończyła:

— Nieżywa? — mówię. Jak to nieżywa? Książkę czyta, w krawatce...”. To posąg, mówi Maruška. „Posąg”? A po co, pytam, te posągi wystawili? Czy, powiadam, zabrakło w mieście żywych ludzi?

— Tak, tak, roześmiał się znowu Ananij Jegorowicz. Powiadasz, że nie podobało ci się w mieście? Czy u nas lepiej?

— I u nas nie podoba mi się.

— Masz sobie!

— Gospodarze nie podobają mi się. — Tichonowna wyprostowała się nagle i mocno zacisnęła bezzębne zapadłe usta. — Jakaż to robota? Siano zgnoili. Najlepsze siano. Dziś rano idę z lasu z grzybami do solenia. Patrzę, cała wieś w dymie. Zemdliło mnie, pożar chyba, myślę. Nie to nie pożar. To nasze lenie obudziły się i w piecach palą. Moja sąsiadka, młoda baba, wzdłuz i wszerek jednakowo gruba wywaliła się na ganek i drapie swój tłusty tyłek. — Tu Tichonowna zerwała się ze stołka i pokazała jak to robi jej sąsiadka.

Ananij Jegorowicz usiłując przypomnieć sobie, które to małżeństwo mieszka obok Tichonowej, zapytał:

— Czyjaż to młodycia?

— Czyja? Czyście zapomnieli? Duńka od Afanasjewów. Tu mieszka, obok.

— Ależ ta młódka ma już swoje lata.

— Jakież to lata? — zagniewała się nie na żarty Tichonowna. Nie przesadzaj, Ananij Jegorowicz. My wiemy. Ma swoje lata? Ileż ich ma? Może 60? Niech nawet 62, ale nie więcej. Kiedy mnie za mąż wydawali, ona jeszcze była w brzuchu matki. Dawniej była to pierwsza robotnica. A jeszcze ci powiem — Tichonowna z namysłem pociągnęła nosem. — Idę sobie kiedyś, widzę baby siedzą koło zarządu. Słoneczko się chyli ku południowi, a za rzeką rozdziera się żuraw i krzyczy rozpaczliwie: Ej wy, suki bez sumienia, wstawajcie! Żniwa! Żyto w polu płacze, siano wyschło... A one — rozsiadły się, kołem ich nie rozpędzisz. Siedzą, sapią, o wiorstę słycać. Myślę — choroba jakaś — ludzie wciąż tylko na chorobę narzekają. Nie, nie choroba. Czekają na samochód. Trzeba przejść trzy wiorsty. Bezwstydnicie. A jak bywało bez samochodu? Kiedy mój Oleś był dzieckiem — na wojnie zginął — na Jurowie, o 15 wiorst od domu były żniwa. Ja chłopaka na ręce, torbę z chlebem na plecy i biegiem... Lecę jak pod batem. A po skończonym dniu znów do domu. Chłopaka komary pogryzą aż mu oczu nie widać. W czasie wojny też mieli sumienie, nie opalali się — po nowoczesnemu wyraziła się Tichonowna. Przejdźno się po nowinach, jeszcze teraz nagniotki od nich z rąk nie zeszyły. Kołchoziliśmy — koszule nie wysychały od potu. A teraz — wszystko zarosło. Las wyrósł — choć płoży z niego giąć.

Tichonowna wytarła oczy i wysmarkała się w rąbek spodnicy.

— Nie, w dzisiejszych czasach nie spodziewaj się dobrego życia. Panie się rozmnożyły. Widzisz, nawet słońce wstydy się

na ziemię spojrzeć. Odwróciło się, już dwa tygodnie go nie widać. Zamilkła, westchnęła.

— Ja i swojej córki nie bronię. Napatrzyłam się w mieście. „Maszka, czego się wylegujesz? Ludzie poszli do pracy”. Choroba — całe życie przeżyliśmy, a o takiej chorobie nikt nie słyszał — opertia.

— Hypertonia — poprawił Ananij Jegorowicz.

— No, no, nawet wymówić nie sposób. Nie nasza to, widać, choroba, a zagraniczna... Po pewnym czasie „opertia” minęła, a moja Maria znów leży. „Co tobie znowu, kobieto?” — Dichret. Niech państwo płaci — za darmo nie rodzimy...

Ananij Jegorowicz spojrział na zegarek. Szósta. Jak Tichonowna się rozgada, to końca nie będzie.

— Ano, czas na mnie — rzekł wstając.

— Idź, idź. Wszystko w oczy ci powiedziałam. Miło, czy nie miło — wysłuchaj. Ze mnie pożytek niewielki: przeżytek.

Ananij Jegorowicz spojrział pytająco na staruszkę:

— Przeżytek, przeżytek — pokiwała głową. Nas staruchy tak zawsze nazywano. Nie dogodzić czymś waszemu bratu — władzy — a zacznijcie przeżytkiem wytykać. Do mnie nawet rodzona córka tak mówi: „Milcz, ty stary przeżytku...”.

Podczas gdy siedział w izbie, na dworze przejaśniło się. Deszcz ustał. Może ma rację Chudiakow, że pogoda przełamie się?

Z nagrzanego, rozprażonego na piecu płaszcza, szła para.

— Nie zaziębij się — pouczała Tichonowna. — Dymisz jak po łaźni.

Zaułek zarósł gęstą, jak ozimina, soczystą trawą. Wąziutka ścieżka ledwie była widoczna na otawie — widać rzadko kto zachodzi do staruszki.

Wychodząc na drogę Ananij Jegorowicz odwrócił się. Tichonowna stała boso na ganeczku i leciutko, jak słońce, kiwała mu głową w zawoju z jasnym otokiem.

Takim przeżytkom należałoby pomnik wystawić.

X

STARY KOMUNISTA

Dom urzędnika, lub jak go nazywają we wsi, człowieka na pieniądzech, można odróżnić natychmiast. Jest on ozdobniejszy: futryny, drzwi i okna są na pewno malowane, zamiast ogrodzenia z żerdzi — parkan z tyk lub płot z sosnowych czy świerko-

wych kołków. I oczywiście, antena radiowa na dachu (radio zostało przeprowadzone w kołchozie dopiero rok temu).

Dom Serafima Iwanowicza Jakowlewa, prezesa miejscowego „leschim-artelu”³, wyróżniał się jeszcze tym, że miał przednie narożniki obite tarcicą i porządnie wymalowane na ciemno-zielony kolor.

Serafim Iwanowicz był w domu. Wyskoczył na ganek w białej koszuli na gołym ciele z rozpiętym kołnierzem i w kaloszach na bosych nogach.

— Zajdź na chwilę. Mam sprawę do ciebie.

— Jak też mam interes do ciebie — odpowiedział Ananij Jegorowicz.

Z jasnej sieni, zastawionej wzdłuż ścian cebraami i beczułkami, prowadziło troje drzwi: wprost — do kuchni, na lewo — do obórki z krową, a na prawo — obite czarną dermatyną, jak w solidnym, co najmniej na rejonową skalę, urządzie, drzwi do jednego z mieszkalnych pokoi.

Serafim Iwanowicz otworzył te właśnie obite dermatyną drzwi. Od razu znać było, że pokój ten jest przeznaczony dla szczególnie ważnych gości. Stało w nim wysokie niklowe łóżko ze stosem białych poduszek pod muślinową kapą; na ścianie oleodruk wyobrażający białą piękność w objęciach łabędzia; w oknach tiulowe firanki, fikusy do sufitu, a w honorowym kącie etażerka z kilkoma książkami z partyjnej literatury.

Do pokoju bezszelestnie weszła gospodyni, chuda, schorowana, z łagodną smutną twarzą Madonny. Postawiła na stole butelkę wódki i talerz z ogórkami i równie bezszelestnie wyszła.

Serafim Iwanowicz choć miał mocno po pięćdziesiątce (był o cztery lata starszy od Ananija Jegorowicza) wyglądał jeszcze dziarsko. Twarz miał różową, wygoloną. W rudych, sterczących jak szczotka włosach, jeszcze wilgotnych po łaźni, ani śladu siwizny. A w mocnych zębach, sterczących skośnie jak u konia, też wyraz siły. Widać, że nie na próżno mówią, że lata jeszcze za kobietami.

— To niepotrzebne, Jakowlew, powiedział Ananij Jegorowicz, wskazując na butelkę.

— Któż mówi, że potrzebne. Ale jak jest okazja szklaneczka nie zawadzi. A może chcesz do łaźni? Moja łaźnia to rozkosz. Wody i gorąca ile chcesz.

Ananij Jegorowicz usprawiedliwiając się zajęciem przystąpił do rzeczy.

— Ja do ciebie w takiej sprawie. Powiadają, że idziesz na urlop?

3. Artel produkcji chemicznych wyrobów z drzewa.

— Idę. Od jutra. No, trzymaj — Serafim Iwanowicz mrugnął na niego po przyjacielsku rudym okiem i podsunął mu szklaneczkę.

Zęby Ananija Jegorowicza wciąż bolały. A szklaneczka, o, bardzo by mu nie zaszkodziła. Ale powiedział sobie: nie. Nie czas na to. Ludzie i tak na niego krzywo popatrują (prezes wszystkiemu winien), a gdy jeszcze poczują, że perfumami pachnie. — „A, powiedzą, ładny gagatek. Nas poucza, a sam od rana pod parą”.

— Więc nie wypijesz? — zdziwił się Serafim Iwanowicz.

— Nie, nie będę pił.

— Ano, jak chcesz. A ja wypiję. I Serafim Iwanowicz, wyraźnie zachmurzony, wychylił szklaneczkę.

— Jaki masz plan na jutro? My palimy się z kiszonką. Postanowiliśmy ogłosić dobrowolną pracę w dzień wolny od pracy. Serafim Iwanowicz wypił jeszcze szklaneczkę.

— Można — powiedział chrupiąc ogórek.

Ananijowi Jegorowiczowi ciężar spadł z serca. Wstając rzekł:

— A więc od samego rana. Wprost pod górę.

— Można, można — powtórzył Serafim Iwanowicz. — Ja też mam prośbę do ciebie. Napisz no mojemu chłopakowi zaświadczenie.

— O zaświadczenie trzeba zwracać się do zarządu — sucho odpowiedział Ananij Jegorowicz. — Zarząd o tym decyduje.

— Gadaj to innym. Ja mam też zarząd.

— Dziwnie rozumujesz. Twemu chłopakowi zaświadczenie, drugiemu zaświadczenie, a kto będzie pracował w kołchozie?

— Ja myślę — powiedział Serafim Iwanowicz, bardzo wyraźnie wymawiając każde słowo — że mnie można by uwzględnić. Od 29-go roku jestem członkiem partii — czy wielu jest takich we wsi? Czy nie mam prawa jednego syna kształcić? Sam wiesz, w naszych czasach nauka to podstawa życia.

Czy warto dalej rozmawiać? Nie, takiego jak Jakowlew słowem przekonać nie można. On ma za sobą, widzicie, specjalne zasługi. On, widzicie, jest starym członkiem partii. I już nie on ma służyć sowieckiej władzy, ale sowiecka władza ma służyć jemu.

Na wszelki wypadek, kładąc rękę na klamce, Ananij Jegorowicz jeszcze raz przypomniał:

— A więc stoi? Jutro przyjdiesz?

— Przyjdę.

— Nie przyjdzie — pomyślał Ananij Jegorowicz.

Wszystko się w nim gotowało. Tam, w rajkowie liczą: jest 25 komunistów w „Nowym Życiu”. Potężna komórka. Tak, na papierze potężna. A w rzeczywistości? 8-9 emerytów, siedmiu

nauczycieli, prezes Sielsowietu, sekretarz, leśniczy, prezes składu kooperatywy rolniczej z buchalterem, prezes leśno-chemicznego artelu... A kto pracuje bezpośrednio w kołchoźnej produkcji? Kto z niej żyje i karmi się? Ależ to tylko pozory, zawsze ta sama wystawa na pokaz. Oto — organizacja partyjna coś postanawia. Postanowienie jest bardzo słuszne. Ale kto je wykonuje? Zawsze ten sam prezes i dwóch lub trzech brygadierów. Reszta na boku. Oni mają własne zagadnienia. W rezultacie są w partyjnej organizacji czymś w rodzaju radców, konsultantów. Gdy wróci Isakow z rajcentru (wezвано go na rajkom ze sprawozdaniem na temat pogładowej agitacji — też w porę!), on, Ananij Jegorowicz, postawi sprawę na ostrzu noża. Tak dalej być nie może.

XI

PIETUNIA BULDOZER

Warto wstąpić do Pietuni Diewiatyja?

Zagroda Diewiatyja leży na uboczu, na wygonie za wsią. Żeby dostać się do niej trzeba zejść z góry i przejść przez strumyk.

Ananij Jegorowicz spojrział na drogę — rozbitą, rozjeżdżoną, zawałoną czerwoną gliną, przysłuchał się szumowi strumyka za górą. Może nie warto brnąć po tym błocie?

Pietunia, według kołchozowego rejestru jest niezdolny do pracy. Tej zimy zaczął 67 rok życia. Ananij Jegorowicz pamięta, że była o tym mowa w zarządzie. Ale z drugiej strony każdy wie, że nie ma we wsi człowieka, który mógłby się z nim mierzyć na siłę. Nie darmo przezwali go Pietunia Buldozer. Zeszłej jesieni, na przykład, przy wyładowywaniu barki, Pietunia nosił po dwa wory mąki naraz (żeby więcej zarobić). Ananij Jegorowicz widział to na własne oczy. Widział również jak Pietunia poczynał sobie na sianokosach ze składaniem siana w stogi. Jego współtowarzysz, chłop młody, kręci się i tak i owak dokoła stogu, cały mokry, sapie jak zajeżdżony koń, a ten ani się pośpieszy: to na słońce spojrzy, to siano powącha, znów z widłami do kopicy się zabiera podchodząc do niej z tej i z tamtej strony. Aż tu nagle kopica oderwała się od ziemi i poleciała na stóg.

Ananij Jegorowicz zapytał wtedy:

— Skąd ty masz taką siłę, Piotr Nikitycz?

— Skąd mam siłę? Ano, widać taka już rasa. Przy tym my, Diewiatyje, nie pijemy herbaty.

— To herbata siłę odbiera?

— Rozpuszcza. Z wodą siła z człowieka wycieka.

Jeszcze jedno dziwactwo miał Diewiatyj: raz na tydzień odpoczywał. I wtedy, choć byś pękł, Pietunia nie ruszy się. W kołchozie liczone się z tym, bo przecie w dniu powszednie Pietunia robi za czterech. Wkrótce po wojnie, kiedy trafił na wyręby leśne, postąpiono z nim ostro: za niestawienie się do pracy w miesiącu szturmowej roboty Pietunię zasądziło. Ale po powrocie z łagrów został wierny sobie.

— Nie boisz się, Nikitycz, że cię znowu zapędzą? — podkpiwali z niego chłopci.

— Nie chłopcy, nie boję się. Klasa robotnicza odpoczywa i dobrze robi, bo wytwórczość rośnie.

Taki był Pietunia Buldozer.

Późną jesienią dwa lata temu — był to pierwszy rok gospodarowania Ananija Jegorowicza — Pietunia zameldował się w zarządzie i oświadczył:

— Ot co, towarzysze. Napracowałem się. Niech brygadier na próżno butów nie zdiera. I przedstawił zaświadczenie lekarza rejonowego: „Obywatel Diewiatyj, Piotr Nikitycz, cierpi na chroniczny reumatyzm dolnych kończyn. Wymaga systematycznego leczenia...”.

Wszystko jak być powinno.

Zbliżając się teraz do zagrody Diewiatyja Ananij Jegorowicz aż kiwał głową z podziwu. Mój Boże, czego on tu nie zrobił, ten stary z chorymi nogami! I to wszystko w jakieś półtora roku!

Dom pokryty na nowo; z tyłu, za domem, nowa łaźnia z piwnicą, ogrodzenie dokoła zagrody również nowe, z dużymi, pomalowanymi na brązowo wrotami.

Skąd ten dobrobyt u Pietuni? Renty nie dostaje, z boku też ani kopiejki. Całe życie bez dzieci, we dwoje z żoną. Czyżby to wszystko z przyzagrodowej działki? Co prawda, Ananij Jegorowicz słyszał czasem że Diewiatyj handluje na punktach leśnych i ma niemałe zarobki, ale dawniej nie przywiązywał wagi do tych pogaduszek. Mało o czym gadają we wsi! Ale teraz, patrząc na zagrodę, zrozumiał: ludzie mówili nie bez powodu.

Wszystko u Pietuni było obliczone na zbyt. Zamiast małej grzędy cebuli, jaka jest przy każdym domu, tu była cała plantacja cebuli. A jaka cebula! Ani porównać z kołchożną! Łodygi sine, soczyste, rozrzucone po grzędzie jak tłusta osoka, a cebule twarde i jędrne jak rzepa. Za grzędami z cebulą — inspekty z ogórkami — warzywo, które cieszy się również wielkim popytem, a

nie jest jeszcze uprawiane jak należy przez miejscowe kołchozy. Dalej szła długa grzęda z kartoflami. I to wszystko: ani jednego paska ziemi z żytem lub jęczmieniem, ani skrawka z mieszaną wyki i owsa, jak to bywa u innych kołchożników.

Ananij Jegorowicz zwrócił uwagę jeszcze na jedno: każdy cal ziemi u Pietuni był uprawiony. Zaułka, jak w innych zagrodach, wcale nie ma. Szopa na drzewo i łąznia usunięte za ogrodzenie, z tyłu domu. Nawet dróżka od ganku do bramki, dzieląca na dwoje grządki z cebulą jest tak zwężona, że żadna fura nie przejechałaby po niej.

„Tak — pomyślał niewesoło Ananij Jegorowicz — oto co własnym trudem potrafił zrobić stary. A my... Od 15 lat podnosi my kołchoz...”.

Szarpnął mocno wilgotną, jeszcze nie wyschlą po deszczu furtką i jednocześnie usłyszał jak w domu skrzypnęły drzwi. Na ganek wyszedł gospodarz — krzepki starzec, bez czapki, krótko ostrzyżony, w zaruconym na plecy baranim kożuszku i w krótkich walonkach.

— Nie schodzę do gościa. Zawiasy na nogach rozeschły się — oświadczył wprost z góry.

Z otwartych drzwi wyskoczył łaciaty piesek i rzucił się pod nogi wchodzącego na ganek Ananija Jegorowicza.

— Zulka — a pójdziesz — zawołał ospale Pietunia.

Piasek umilkł natychmiast, zamerdał ogonem i zaczął obwąchiwać nogi Ananija Jegorowicza.

— Puste tu u nas miejsce. Trzymamy go dla zabawy, powiedział Pietunia pobłażliwie kiwając na pieska. Zajdziesz do izby, czy może ci śpieszno?

— Śpieszno.

— Jak uważasz. A ja siądę. — I Pietunia trzymając się rękami za odrzwia ciężko opuścił się na próg. — W tę wilgoć tylko mrówkami się ratuję. Baba poszła gdzieś znowu mrowiska wypatrywać.

— A cebula nie pomaga?

— Co? Cebula? Nie, nie pomaga. Zresztą, ja tej cebuli nie lubię. A i moja baba niechętnie je. To trawa — sceptycznie dodał stary.

— A ja myślałem, że z ciebie wielki amator jarzyn. Przecie tu całe plantacje.

— Nie, to nie dla siebie. Hodujemy na sprzedaż — znów z prostoduszną szczerością odrzekł Pietunia.

Ananij Jegorowicz zaczął tracić cierpliwość.

— A sumienie to co? nic? Czy nie ciężko na starość zajmować się handelkiem?

— Ciężko. Zwłaszcza z końmi. Widzisz, ile tej zieleni się rozrosło. A brygadiera jakbyś nie prosił — bez butelki nie słyszy.

— I poisz go?

— Poję. Dawniej bywało, wydawał towar licząc za każdy ogon, a teraz za każde kopyto. Drogo to kosztuje — westchnął Pietunia.

— Ot co, towarzyszu Diewiatyj, zamknij ten sklepik czym prędzej a jak nie, to my go sami przymkniemy.

— Nie przymkniecie — spokojnie, jak przedtem odpowiedział Pietunia.

— Zamkniemy — jeszcze jak! Cóż ty myślisz, że będziemy przyglądać się jak prywatny przedsiębiorca rządzi się pod kołchozowym dachem? Jeżeli nie ma sumienia, znajdziemy na niego sposób.

Pietunia milczał przez chwilę.

— Ty wciąż na sumienie naciskasz... Znów pomilczał, rozcierał zgięte pod kątem prostym kolana, potem nagle uśmiechnął się. — A z sumieniem to tak bywa, prezesie. Tu, w pewnym kołchozie, mieszka stary ze staruchą. Sami, bezdzietni. Przyszła na starego zła godzina, zachorował. Starucha, wiadomo, w płacz. „Jak my będziemy żyć, w domu ani grosza”. — To nic — mówi stary — przeżyjemy. Pieniądzy nie mamy, ale sumienie czyste. Ile my z tobą tego sumienia w ciągu 29 lat zarobili? pójdź — powiada — nabierz go do worka w śpichlerzu i idź do magazynu...

— Może odłożymy bajkę — przerwał Ananij Jegorowicz, chociaż bez poprzedniego zapału.

— Nie, dosłuchaj do końca — rzekł Pietunia. — Ta bajka nie jest zmyślona... Babka wzięła na plecy worek z sumieniem i poszła do magazynu. Po godzinie wraca z płaczem: „Nie biorą — powiada — twojego sumienia. Pieniądzy żądają”. — Więc idź do kołchozu, mówi stary. Tam wydawali sumienie, tam więc przyjmą towar. Ale i tam nie przyjęli...

Ananiju Jegorowiczowi nie zostało nic innego jak przełknąć przypowieść Pietuni. Co mógł na to powiedzieć? Co on sam zrobiłby na miejscu tego starca? Szczerze mówiąc, podobał mu się ten stary ze swoją prostotą i szczerością.

Na temat jutrzejszego dnia dobrowolnej pracy Pietunia też nie kręcił.

— Nie, nie licz na mnie, powiedział. Gdybym miał krowę, może jeszcze bym się wysilił. Ale krówki nie ma — komu przyjdzie ochota żyły sobie zrywać?

Znowu krowie zagadnienie i to w kołchozie, który dosłownie tonie w trawie. Co roku dziesiątki i setki hektarów, a jeżeli policyć wszystkie strumienie, to tysiące, marnuje się pod śniegiem, a

dobra połowa kołchoźników nie ma krowy. Czy to nie bezsens? A rozwiązanie jest proste. Dać kołchoźnikom 10 procent od każdego dnia pracy z ogólnej masy zebranego przez kołchoz siana — i byłaby opłata za pracę. A znaczy to, że kołchoźnik, aby zarobić na swoją krowę, powinien zebrać siana co najmniej na 8-9 krów (licząc dwie tony na krowę) — rzecz w tej chwili zupełnie nie do pomyslenia, nawet przy dostatecznej technice.

Czy rozumieją to w kołchozach? Oczywiście, że rozumieją. Każdy prezes próbuje w ten czy inny sposób obejść obecny porządek. Ale wtedy rozlega się groźny okrzyk rejonowego prokuratora lub sekretarza rajkomu: „Nie ważcie się! To antypaństwowa praktyka. Popieranie prywatnego sektoru...”.

I oto „państwowa” praktyka triumfuje: już w jesieni część kołchoźników nie ma swej karmicielki (jakież to życie na wsi bez krowy!), a z wiosną nastaje pomór bydła z braku paszy. Z każdym rokiem coraz trudniejsze staje się posyłanie ludzi na sianokos.

Nadchodził wieczór. Wiatr rozpędził nareszcie wilgotną pokrywę chmur i nad lasem, za wsią, po raz pierwszy od wielu dni zacerwienił się zachód słońca.

Znużonym krokiem szedł Ananij Jegorowicz skrajem drogi. Myśli były niewesołe. Obszedł prawie trzecią część wsi, był niemal w każdym domu, namawiał, przekonywał, wstydził. A czego dopiął? Czy ludzie stawiają się jutro do kiszonki?

We wsi toczyło się zwykle dla tej pory dnia życie. Po zaułkach, błyskając białymi łydkami, snuły się gospodynie, jedna z wiadrami, druga z trawą, z rzadka ryczały krowy, stukały siekiery na nowych budowach. Długo, do głębokiego mroku, nie zaciśnie ten wieczorny apel siekier, a po kałużach wypełnionych czerwonałą wodą brodzą bose dzieci, blade, splewiałe od długich deszczów, jak od choroby.

XII

JESZCZE JEDNA KWESTIA

Nie ma nic gorszego jak trafić do jakiegoś domu, kiedy rozbrzmiewa tam rodzinny rozgardiasz, lub jak się obecnie mówi (ludzie zrobili się kulturalni) „wychowawcza dziesięciominutka”. Właśnie taką wychowawczą dziesięciominutkę zastał Ananij Jegorowicz u Woronicynów. „Pijana morda”, „szpunt od wódki”, „darmozjad”, wszystkie te znajome zwroty, i inne, bardziej cięte, którymi sypała Polina, dochodziły go już w sieni.

Jednakże Ananij Jegorowicz nie miał czasu na wgłębianie się w rodzinny dramat (na ogół było zrozumiałe, za co Polina prąła swego mężulka), przystąpił więc od razu do sprawy — o budowie.

Paweł Woronicyn milczał. Siedział przy stole zgarbiony, złożywszy na kolanach swoje krótkopalczaste ręce, w watowanym kaftanie, w zabłoconych butach i w posępnym oderwaniu od otaczającej go rzeczywistości patrzył na zapluta i zarzuconą niedopałkami podłogę.

Światło lampki, postawionej na odwrócony do góry dnem dzbanek i jeszcze nie rozpalonej, przecinało jego czerwoną, mięsistą twarz.

— Czego milczysz, do diabła! do kogo mówię? Do ściany?

Paweł z wolna uniósł głowę, popatrzył w milczeniu na żonę i znowu się pochylił.

Oczy Poliny błysnęły w cieniu firanki sucho, jak u kota.

— Zawsze to samo! Napije się, diabeł, do nieprzytomności i siedzi, słowa doczekać się nie można.

Ananij Jegorowicz przysiadł się do stołu.

— Słuchaj, Woronicyn. Dostyc tego. Po dobremu proszę. Czy rozumiesz co będzie z bydłem, jeżeli twoja brygada przestanie budować?

— Z bydłem? Eh, ty... Woronicyn wyprostował się nagle, dmuchnął wonią samogonu w twarz prezesa. — A jeżeli ja nie czuję się człowiekiem — czy ty to rozumiesz?

— Mniej wódki chlaj, to poczujesz się człowiekiem.

— Zaczekaj, Polina Archipowna. Jak to, siebie człowiekiem nie czujesz?

— A tak. Czy ty masz paszport?

— Mam.

— A ja nie mam. Chodzę bez paszportu jak baran kołchoźny.

— Nie rozumiem ciebie — powiedział po chwili Ananij Jegorowicz.

— Nie rozumiesz? — Woronicyn uśmiechnął się krzywo. Jeszcze by też! A pamiętasz, jak na wiosnę do miasta jeździłem? Pamiętasz? Po zapasowe części?

— Pamiętam.

— Wypisałeś mi wtedy kołchoźne zaświadczenie. Miałem odebrać pieniądze według akredytywy. Lipa to całe zaświadczenie! Przyszedłem do kasy oszczędnościowej, wtykam to zaświadczenie w okienko. A tam kasjerka, umalowana, od stóp do głów ufryzowana, parsknęła śmiechem: „To nie dowód osobisty!”. Idę tam i ówdzie, do Obł-ispołkomu, z piętra na piętro, z gabinetu do gabinetu, przez dwa dni dowodziłem, że nie jestem żulik, ale człowiek — Woronicyn znów dmuchnąwszy samogonem przysu-

nął się do Ananija Jegorowicza. — Dlaczego nie mam paszportu? To znaczy, że ja nie jestem osobą, czy tak?

— Nie ty jeden, Paweł Iwanowicz. Nikt z kołchoźników nie ma paszportu.

— A dlaczego nie mają?

— Ponieważ wydawanie paszportów w miejscowościach wiejskich nie zostało przeprowadzone.

— A dlaczego nie zostało przeprowadzone?

— Dlaczego, dlaczego... Powtarzasz to samo w kółko, jak malec. Po co ci paszport?

— Ach, więc to tak... Rozumiem.

Ananij Jegorowicz już oficjalnym tonem wyjaśnił:

— Wydajemy paszport, towarzyszu Woronicyn, wtedy, gdy ktoś z kołchozu wyjeżdża. A ty, mam nadzieję, nie masz zamiaru wyjechać?

— A jeżeli zechcę?

Tu na pomoc Ananiju Jegorowiczowi znów przysłała Polina.

— Gdzież to ty, mordo, pojedziesz? Wszędzie trzeba pracować. Za darmo nic nigdzie nie dają.

— Polina, nie przeszkadzaj. — Twarz Woronicyna skurczyła się, ale natychmiast opanował się. — A jeżeli zechcę?

Ananij Jegorowicz postawił sprawę poważnie:

— Dobrze. Składaj podanie. Jeżeli zarząd kołchozu wyda zaświadczenie — ruszaj na cztery wiatry.

— A jeżeli zarząd nie da? — z pijanym uporem dopytywał się Woronicyn.

— Ależ po kiego diabła potrzebny ci paszport! — zakrzyknęła Polina. Powtarza w kółko: paszport, paszport. Upijesz się i jeszcze zgubisz. Dziesięć rubli kary zapłacisz. Mało to wydajesz?

— Polina, zamilcz!

— Nie pleć tego co nie trzeba, to zamilknę. Zaczekaj tylko, a ten długi język ci przycisną, już go nazbyt rozpuściłeś. Upije się i zaczyna bajdurzyć. Pełna izba dzieci, tu nie gadać trzeba, a pracować!

Woronicyn więcej już „nie wypowiadał się”. Patrzył tylko przez dłuższą chwilę na żonę i powiedział z westchnieniem:

— Ech, ty, hodowło bydła...

XIII

Była sobota i w domu oczekiwał go zwykły obraz: śpiące po łaźni dzieci i czuwająca przy stole z lampą Lidia.

Naturalnie, haftowała kolejnego kota lub jelenia, którymi były już zawieszane wszystkie ściany.

Ananij Jegorowicz zdjął płaszcz, buty i włożył ciepłe walonki. Lidia ani się odezwała, nawet nie spojrzała w jego stronę. Po swemu miała rację: łaźnia była nagrzewana również dla niego. Starając się więc okupić swoją winę, podszedł do niej z boku i pojednawczo położył dłoń na jej ciepłe, pełne ramię.

Wciąż milcząc Lidia wstała i zastawiła stół. Ananij Jegorowicz podziobał widelcem suche kartofle z grzybami i z westchnieniem odsunął talerz.

— Aaa... znów kręcisz nosem! Nie smakuje! A dzieci to co?

I zaczęło się... I jaki ty prezes, jeżeli nie możesz dostać mleka w kołchozie? Słyszane rzeczy, żeby nie było mleka w kołchozie! Po 30 kopiejek za litr płacimy kołchoźnikom! Kto po tym będzie ciebie szanował? — Musiał więc nie wiadomo po raz który objaśniać: tak, nie ma w kołchozie mleka. Plan nie wykonany, przedszkole trzymamy na głodowej racji, nauczycielom nie dajemy mleka. Jakże ona nie może tego zrozumieć?

Ale Lidii było wszystko jedno. Kiedy weźmie na kiel, nie ma sposobu żeby ją zatrzymać.

— Więc po jakiego diabła nas tu przywoziłeś? — puściła w ruch, jak zwykle, swój główny argument. — Ile to razy mówiłam ci, Ananij, nie jedźmy, nie rób tego bez namysłu. W szóstym dziesiątku życia ludzie myślą jak dosłużyć się emerytury, a on, taki chwat się zrobił — pojechał kołchoz stawiać na nogi!

— Dosyć! — zrywając się nagle krzyknął Ananij Jegorowicz. — Przywykłaś żyć jak pani. Żona zastępcy RIKa⁴. Rejonowa arystokracja! Nie, zacznij-no przewracać nawóz razem z babami...

Młodszy syn, Piet'ka obudził się i chmurnie popatrzył z łóżka na rodziców.

Ananij Jegorowicz machnął ręką — nic innego nie było do zrobienia — i wyszedł do drugiego pokoju. Ot, i pogadali z żoneczką. Wiadomo, mile spotkała męża, uspokoiła go. Niedosć mu dziś nerwów naszarпали, jeszcze dodatkową porcję dostał w domu.

Nie rozbierając się, w marynarce, położył się na łóżku i wyciągnął nogi. Ach, gdyby się choć trochę przespać... Bodaj na dziesięć minut zdrzemnąć się...

Po drugiej stronie domu słychać było ciężkie kroki, łaskot naczyń. Potem wszystko ucichło i pośród suchej, dźwięczącej w uszach ciszy słychać było znajomy szmer igły.

4. Rejonowy Komitet Wykonawczy.

Spojrzał w otwarte drzwi. Lidia znów siedziała przy krosnach, chłodna i nieprzystępna, z gładko uczesaną ciężką głową, przepołowioną jasnym przedziałem.

Zacisnął zęby. Czy to naprawdę Lidia? Czy rzeczywiście jest to ta sama Lideczka, młodziutka sekretarka Sielsowietu, która gotowa była pójść za nim w ogień i wodę?

Dopiero po trzydziestym roku zdemobilizowany krasnoarmiejec Ananij Mysowski skierowany został na kolektywizację do R-go rejonu. Sielsowiet dostał na zapadłej wsi. Zanim dotarli do niego na chłopskich saniach — mróz był taki, że omal nie zamarznął. Ale do Sielsowietu wpadł jak orzeł, w długim kawaleryjskim płaszczu, w hełmie z czerwoną gwiazdą.

— Ty w sprawie kołchozów — towarzyszu? — spotkała go na progu rumiana, czarnoooka dziewczyna.

— Nie, ja w sprawie ożenku — roześmiał się Ananij Jegorowicz (miał wtedy ładne, białe zęby i lubił się śmiać).

— A kto twoja narzeczona? — z kolei roześmiała się dziewczyna.

— Kto? A chociażby ty sama. Zgadzasz się?

Dziewczyna nie spieszyła się.

— Zgadzam się — powiedziała i wyzywająco spojrzała na niego.

I tak żart obrócił się w prawdę. Po trzech dniach byli już małżeństwem. Taka właśnie była wówczas Lidia.

A teraz... Teraz siedzi przed nim tęga, tęga baba. Wetknęła nos w swoje przekłete krosna, jak koń w torbę z owsem i nic ją nie obchodzi, choćby się paliło dokoła.

Przykrył oczy ręką. Jak to się wszystko stało? Ech, to lata swoje robią... W owym trzydziestym roku umiał nie tylko ożenić się w biegu, ale i przewrócić wieś do góry nogami w ciągu dwóch dni. Zrobili to we dwóch. On, 23-letni chłopak, smarkacz według obecnych pojęć, i prezes Sielsowietu, prawie niepiśmienny czerwony partyzant. Przewrócili, bo dyrektywa rajkomu głosiła, że albo w ciągu dwóch dni kolektywizacja będzie zakończona, albo — partyjny bilet na stół...

Ananij Jegorowicz zapalił papierosa. Obok na stołku, jak zawsze, stała lampa i leżała gazeta (Lidia liczy się jednak z jego przyzwyczajeniami). Zapalił lampę i leżąc dalej na wznak otworzył gazetę.

„Obwodowe zawody piłki nożnej”. „Odpoczynek pracujących mas zagrożony”.

Przewrócił stronę. To nie to, to nie dla nas. A to nasze:

„Więści z głównego frontu. Pierwszy nakaz dla kołchoźników...”.

— Tak — pomyślał Ananij Jegorowicz. Siedemnaście lat upłynęło od końca wojny, a w rolnictwie wciąż toczymy wojnę. Każdy pud zboża szturmem zdobywamy.

Wieści z głównego frontu nie były pocieszające. Deszcze, przestój maszyn, niestawianie się kołchoźników do pracy...

Odłożył na bok gazetę i znów się zamyślił.

W 30-tym roku było łatwiej. W ciągu dwóch dni przestawić wieś! W dwa dni! A może teraz dlatego trudno, że wtedy wszystko przychodziło łatwo? — przyszło mu nagle na myśl. Na przykład, — jak to oni z prezesem Sielsowietu tworzyli kołchoz! „Dlaczego nie zapisujesz się? Nie podoba ci się sowiecka władza? Chcesz lać wodę na młyn wroga klasowego?”. Tak brali chłopów do roboty...

Ananij Jegorowicz nagle podniósł się. Z kiszonką ma bałagan, siano gnije, a on czort wie o czym rozmyśla!

Kiedy wszedł do pierwszego pokoju i zaczął zmieniać buty, Lidia posępnie spojrzała na niego i nie odezwała się. Przywykła do wieczornych wypraw męża.

XIV

W zarządzie nie było oczywiście nikogo. Zalegał sierpniowy mrok, dokoła bezludzie, tylko na górze, na słupach, porykują głosniki, jak karabiny maszynowe ostrzeliwujące wieś.

Koło magazynu, na pagórku, błysnęło światełko. Pewnie sklepowa, albo dozorca. Dobrze byłoby wziąć buteleczkę, wrócić do domu, do ciepłej izby i wypić z herbatą. Dobrze by mu to zrobiło, zwłaszcza że zęby znowu zaczęły boleć.

Człapiąc w ciemnościach po kałużach Ananij Jegorowicz skierował się do klubu. Jeżeli tam dziś kino, to na pewno spotka kogoś z brygadierów.

Klub w tym kołchozie, to jak chory ząb w twarzy. Dawniej sprawa klubu była załatwiana prosto: krzyżąc „hurra!” ściągali sznurami krzyże z cerkwi, przerobili ołtarz na scenę — i klub gotów. Trzeba też przyznać, że przez dwadzieścia pięć lat ten kołchoz nie miał z klubem kłopotów. A teraz cerkiew chyli się do upadku, już dwukrotnie kładziono nowe belki pod sufit. Trzeba budować nowy klub. To konieczne — mówił do siebie — gdyż inaczej młodzieży w kołchozie nikt nie utrzyma. Młodzieży niedosyć pełnego dnia pracy. Jej potrzeba jeszcze rozrywki.

W klubie tańczono. Dokoła grubych, na prędcie ociosanych

belek, podpierających wysokie, ciemne sklepienie, roło się od komarów, jak w lesie, a pośrodku sali kręciły się starsze dziewczyny, uczennice starszych klas, studentki na wakacjach, dójki.

Ananij Jegorowicz stanął w półmroku przy otwartych drzwiach. Mężczyzn nie widać. Dzisiejsi kawalerowie, to głównie żółtodzioby — uczniowie, a jeżeli przypadkiem pojawi się we wsi jakiś zdemobilizowany żołnierz, to go dosłownie ze wszech stron atakują. W kołchozie jest stała nadwyżka panien na wydaniu.

Po pierwszym tańcu zaraz zaczął się drugi.

Do Niury Jakowlewej wyróżniającej się z dala jaskrawą czerwoną suknią i modnym białym paskiem, podskoczyli jednocześnie trzech chłopcy — wszyscy poważni studenci. Niura kokieteryjnie wzruszyła ramionkami: „cóż mam robić z wami” — uśmiechnęła się do jednego, potem do drugiego i podała rękę wysokiemu o jasnych włosach, synowi nauczycielki.

— Ta starą panną nie zostanie — pomyślał Ananij Jegorowicz. Rzeczywiście, trzeba będzie wkrótce szukać nowej dójki. — Przyglądając się drepcącej na miejscu młodzieży — inaczej, zwa-
wiej, tańczono za jego czasów — spostrzegł Elżę, brygadierkę dójek. Siedziała w rogu, przy piecu, sama, w miejscu gdzie siadują na zabawach niemłode, wychodzące z obiegu dziewczyny. Światło ściennej lampy padało na nią z góry i coś żalosego, smutnego, skazanego na zagładę, było w jej zgarbionej postaci.

Nagle, w drzwiach wyrosła Klaudia Niechoroszkowa. Wysoka, prosta jak tyka, w zachlapanych błotem butach — prawdopodobnie wprost z Zarzecza. Była pod gazem. Twarz miała czerwoną jak u chłopca, jasne oczy świeciły jak w gorączce. Przez chwilę, stojąc nieruchomo w drzwiach, oglądała tańczących, po czym palnęła na cały klub:

— Szurka! Po co ty tę m... rzępolisz? Rosyjskiego zagraj! Tańczący, spoglądając na nią uśmiechali się.

— Szurka! Do kogo mówię? — Klaudia mocno tupnęła nogą.

Szurka, szczupły siedmioklasista grający na harmonii, spojrział z ukosa na kierownika świetlicy. Ten postukując okutą drewnianą protezą, już podchodził do Klaudii:

— Tańcz, jeżeli wola, a jeżeli kłąć i smarkać się — to na ulicy.

— Co? Będiesz mnie uczył! Ja ci...

Ananij Jegorowicz mocno ścisnął Klaudię za łokieć.

— Daj spokój, Niechoroszkowa!

— Aaa... prezes! Ciebie właśnie było mi potrzeba. Dasz na buteleczkę?

W sali wybuchł śmiech.

— Nie buteleczki ci potrzeba, a więcej rozumu. Pijaczysz, a co z ludźmi?

— Ludzie?... — Klaudia przestała się śmiać. — Dziś wszyscy ludzie do lasu popędzili. Jeszcze oni mi potańcują! Mnie oszukiwać? Klaudię? — wykrzyknęła nagle i ponurym wzrokiem potoczyła po zamilkłej od razu sali. Jutro za Boga wszystkich wyciągnę za kołnier!

— Tak, tak, wyciągniesz — wtrąciła się do rozmowy Anisja Jermolina, matka dwóch córek-bliźniaczek, która nie wiadomo skąd tu się wzięła. Tylko nie przeszkadzaj młodym — zaczęła przekonywać Klaudię. — Popatrz jak ucichli, oczu nie podniosą ze wstydu. Czy można przy dziewczynach tak się wyrażać?

— Ja sama jestem dziewczyna! — głośno zawołała Klaudia ze śmiechem — i wśród okrzyków i śmiechów chwyciła w objęcia tłustą, niezgrabną Anisję, wyciągając ją na środek sali.

Szurka zagrał trepaka.

Anisja zaczęła krzyczeć, wrywać się, aż w końcu obie zwały się na ziemię.

— Odczep się ode mnie — krzyknęła Anisja podnosząc się. — Ty sobie, a ja sobie. Ja matka tych dziewczyn! Mnie plecami do góry nie będziesz przewracać!

Znowu wybuchły śmiechy i piski. Teraz już komedia nieprędko się skończy.

Ananij Jegorowicz wyszedł. Mówić teraz z Klaudią nie ma celu. Dopóki nie wytrzesie z siebie alkoholu, można jej kołki ciosać na głowie.

— Dziwna rzecz — pomyślał — jak człowiek się zmienia. Klaudię zna od bardzo dawna, jeszcze z czasów wojny. Pamięta, jak kiedyś przyjechał na żniwa — wtedy pełnomocnicy rajkomu z kołchozu nie wyłazili: czasy były trudne, nasi cofali się na wszystkich frontach. A baby siedzą, wieceją po całej łące, folgują sobie. A na stronie, w krzakach, stoi z opuszczoną głową, wysoka, szczupła dziewczyna. — Brygadierze, zawołały ze śmiechem baby, to my ją posłałyśmy w krzaki! Idź Klaudio, powiadamy, a my tu po swojemu pogadamy — zawsze lżej będzie na duszy. Tak oto po raz pierwszy Ananij Jegorowicz zobaczył Klaudię.

Przypomniał sobie jeszcze inny wypadek. W 47-ym roku przyjechał jako zastępca prezesa rajispołkomu, do kołchozu na zebranie sprawozdawcze. Przyjechał z radosną nowiną: rejonowy związek spożywców przydzielił kołchoźnikom 35 metrów perkalu i 5 chustek dla kobiet. Sprawozdanie, oczywiście, zostało od razu odłożone na bok, a główną sprawą stało się rozdzielenie tego towaru. Ludzie zupełnie się wydarli, przez cały czas wojny wieś nie otrzymała ani metra materiału.

Perkal podzielono (nie obeszło się bez awantury) między wdowy i sieroty, a chustki — taniutkie białe chustki w kwiatuszki — prezes zaproponował oddać dziewczynom.

Zaczęto wywoływać nazwiska.

— Klaudii Niechoroszkowej — ktoś powiedział.

— Niech zaczeka — rozległy się głosy. — Jej nie spieszno. Najpierw trzeba dać młodszym.

No i nie dali chustki Klaudii.

Ananij Jegorowicz przypomniał sobie to dawne zdarzenie i całe niedorzeczne, wykoślawione życie Klaudii stało się dla niego zrozumiałe. — Postarzałaś się — idź na bok! A co ma ta „postarzała” robić? Co Klaudia winna, że młodość jej wypadła na czas wojny? Zaczęła więc swoje wieczorne wypady na wieś — a nuż i jej dostanie się jakaś okruszyna babiego szczęścia? A żeby nie czuć wstydu — zalewa go wódką...

Pogoda robiła się jesienna. Na niebie błyszczały duże sierpniowe gwiazdy i można już było widzieć kałuże na drodze.

— Cóż to ja dziś rozczulam się nad wszystkim? — rozżołościł się nagle na siebie Ananij Jegorowicz. Jestem, do diabła, prezesem kołchozu, czy kierownikiem przytułku? Jednego pożałuję, nad drugim się zlituję, a kto będzie pracować?

Było jeszcze jedno miejsce we wsi, dokąd w soboty zaglądali mężczyźni, herbaciarnia. Poszedł więc w jej stronę.

XV

W pokoju było jasno. Słońce. Dużo słońca.

Czy nie przyśniło mu się to? Przesunął po czole dłonią mokrą od potu.

— Lidia.

Ani słowa odpowiedzi.

Wyskoczył z łóżka, w bieliźnie wybiegł do drugiego pokoju. Nie ma nikogo. Na stole leży kartka: „Poszłam z dziećmi do lasu”.

Spojrzał na ścienny zegar i oczy wyszły mu z głowy: 20 minut po jedenastej! To chyba nie może być! Rzucił się do sypialni. Na jego zegarku na rękę było 25 minut po jedenastej.

Schwycił się za głowę, jęknął. Oto dobrowolny dzień pracy, oto twoja kiszonka...

Wyskoczywszy z domu chciał najpierw iść opłotkami, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Nie ma co się wykrecać. Każdy już wie, że prezes wylegiwał się po przepiciu.

Błyszcza zalane słońcem kałuże. Własne kroki dudnią mu w uszach jak dzwon na trwogę. A wieś jakby wymarła. Nawet żaden malec nie przebiegnie przez ulicę.

Wszystko jasne, Wszyscy wyprawili się do lasu. Teraz już koniec jego kariery.

— Popatrzcie, towarzysze, na tego, pozał się Boże, prezesa — powie sekretarz rajkomu w biurze. Partia powierzyła mu czołową placówkę, sprawę dzisiaj ogólnonarodowej wagi. A on co zrobił? Pijaństwo zaprowadził...

Czym że tu się usprawiedliwiać? Czy leczeniem zębów?

Nagle wpadło mu do uszu przeciągłe wycie maszyny. Stał przysłuchując się. Maszyna wyła w dole, gdzie koło kołchozowego kantoru.

Wybiegł na wzgórze i zobaczył, że od strony pola pełnie z ogromnym wozem siana maszyna, a na łące, za jeziorkiem, pełno ludzi z grabiami i widłami! Biegają, grabią siano, ładują na wozy.

Nic nie rozumiał. Czyżby to wszystko zrobił Isakow? Tak, tylko on, nikt inny. Przyjechał z rajkomu zapewne wczoraj, późno w nocy i zaczął się ciskać i miotać, podczas gdy on popijał w herbarciarni.

Z kabiny samochodu wyskoczył Waśka Ulediew, twarz miał spoconą, głowę rozdziawił od ucha do ucha:

— Ale robota idzie, prezesie! Ludzie oszaleli! Baby wywlokły mnie z łózka. Ot co znaczy 30 procent!

— Trzydzieści procent? — głucho powtórzył Ananij Jegorowicz.

— No jakże! samiście to wczoraj powiedzieli.

Waśka postawił nogę na stopień.

— Pojadę. Dzisiaj łatwo można dostać po karku. Babska oszalała. Mówię im, poczekajcie trochę, siano jeszcze mokre, niech trochę podeschnie. „Zwóz, powiadają, wyrodku. Nie twoja w tym głowa”. Rzeczywiście ponatykali różnych rogatek i wieszaków, a przy stajni chłopci stawiają szopę — o wszystkim pomyśleli!

— Trzymajcie się! — już z kabiny krzyknął Waśka. — Isakow niedawno przejechał tędy z jakąś władzą.

A więc to tak się rzecz ma. Trzydzieści procent... Jak mógł palnąć coś takiego? Zapłaci za to głową. „Rozpętał właścicielski żywioł... Dał się prowadzić zacofanym elementom...”. Ananij Jegorowicz poszedł do Isakowa. Trzeba przynajmniej uprzedzić, wyjaśnić.

Było tak i tak, osądzić zdążycie, a tymczasem rozplączmy rzecz razem.

Nie, żeby go zabili, tego nie pamięta. Pamięta wszystko: że wszedł do herbarciarni, że byli tam brygadierzy: Czugajew, Obro-

sow, Woronicyn, Waśka Ulediew, Kirka — tłumacz... Całe posiedzenie! Pamięta rozmowę o stalinowskich krówkach, to znaczy o kozach, które po wojnie wyparły ze wsi krowy, pamięta spór i krzyki o sianie... Tak, to wszystko było. Ale żeby miał palnąć takie głupstwo: Dosyć narzekania. Daję trzydzieści procent... Czyżby zwariował? Bez naradzenia się z zarządem, lub z rajkodem?

Ananij Jegorowicz zwolnił kroku. „A może to oni uknuli, psie syny? — przeszło mu nagle przez głowę. — Prezes pijany, niech potem dowodzi że nie powiedział...”

Jakby absurdalną nie była ta myśl, gotów był w tej chwili w to uwierzyć. Tutejsi kołchoźnicy wszystko potrafią. Wszystkiego można się po nich spodziewać. Wszak to oni splełali złego figla Martiemianowi Zykowowi. Ten przyjechał do kołchozu i na pierwszym zebraniu oznajmił: „Trajkotać nie lubię. Albo kołchoz podniosę, albo mnie zawieziecie na cmentarz”. I cóż? Po roku — zawieźli. Natknęli się chłopci na pijanego, leżącego na ulicy Martiemiana, załadowali go na furę i zawieźli na cmentarz. Zhańbili chłopca na cały rejon...

Ominął go z turkotem pusty samochód. U kierownicy siedział Jakub. Widocznie jego maszyna zaczęła działać. Później, za samochodem, zobaczył Pietunię, który kulejąc jak kuternoga cały spocony, zmęczony, z grabiami i widłami na plecach, dreptał środkiem ulicy.

— Niedobrze się dzieje u nas, prezesie — powiedział ciężko dysząc. Brygadier zapomniał drogę do mnie.

Stary najpierw pośpieszył do zarządu — stamtąd prowadzi droga na łąkę, ale potem, zdecydowawszy widocznie oszczędzić na czasie, poszedł przed siebie.

A na łące... Co się tam dzieje! Białe chustki — tyle główek rumianku nie znajdzie się dokoła — różnej maści głowy chłopów i chłopców, dzieci jak żrebaki kręcące się po zielonej otawie. Było w tym coś z pierwszych kołchożnych dni, kiedy wieś kipiała od nadmiaru sił.

— Tak, — westchnął Ananij Jegorowicz. I to wszystko stało się dzięki tym trzydziestu procentom. Żadnych posiedzeń, ni krzyku ni ryku.

Po mału zaczął się uspokajać. Idąc pustą ulicą myślał: Czego się właściwie tak nastraszył? Kołchoźnicy będą mieli krowę, zjedzą jedną łyżkę masła więcej. No i co? Dla kogo siano ma się marnować? A zmarnowałyby się bez wątpienia. Jeszcze jeden — dwa dni, a z łąki można by nawóz wozić. A wtedy wszystko poszłoby do diabła, i plan mięsny i plan mleczny. Zupełna katastrofa!

— Wiesz przecie od dawna — mówił do siebie Ananij Jego-

rowicz, że jak długo tutejszy kołchoźnik ma krowę, tak długo ciągnie wóz kołchozowy. A jak zabraknie krowy — zacznie wierzyć na wsze strony. Szczerze mówiąc, czy te trzydzieści procent, to taka wielka osobliwość. W niektórych rejonach jeszcze w zeszłym roku dawano po czterdzieści procent — co prawda w gazetach za to nie chwalili... No to co? Tobie też zmyją głowę. Może nawet usuną z pracy. Może nawet zrobisz się głośny w całym rejonie. Wszystko to być może. Ale u diabła, czy dla siebie się starasz? Przypomnij sobie, ile głupstw — żeby też to głupstw! — ile zbrodni popełniano w ciągu twego życia. Może zapomniałeś wypaczenia roku 30-go? Łatwo powiedzieć — wypaczenia... A rozłożenie podatku żywnościowego zaraz po wojnie, kiedy to z roku na rok wygrzebywano do czysta, do ostatniego ziarenka ze śpichrzów? Albo to, że niemal pod samym kołem polarnym, sieją co roku kukurydzę, a potem przeorywują pod żyto? I tyś to wszystko rozumiał — tak, tak — rozumiałeś, robiłeś, zmuszałeś innych. Miejże więc odwagę! Bodaj jeden raz w 55-ym roku życia!

Isakow mieszkał za klubem, na piaszczystym pustkowiu. Dom jego poznać z oddali — pod wysoką topolą. Ananij Jegorowicz z daleka zobaczył stojący pod topolą samochód rejonowy. Jeździł tą nowiutką maszyną z brezentowym wierzchem zazwyczaj „sam”, czyli pierwszy sekretarz, a inni pracownicy rajkomu jeździli starym, rozklekotanym gruchotem.

— Marny los — pomyślał Ananij Jegorowicz. Jeżeli już przyjechał sam, bez uprzedzenia, to znaczy że nie bez powodu. Ktoś już musiał donieść.

Słońce biło mu wprost w oczy. Z niegolonej twarzy pot spływał strumieniami. Dyszał ciężko, ze świstem, jak gdyby szedł nie po znanym sobie, wzdłuż i wszerz wydeptanym piaszczystym pustkowiu, lecz własnymi nogami przeorywał nowiny.

Im bliżej był domu Isakowa, tym mniej zostawało mu odwagi. Przeklęty, bezwiedny strach, dawne zwątpienia o własnej słuszności, obawa o przyszłość, o przyszłość rodziny — wszystko to go dławilo.

Okna w domu były otwarte na oścież. Wiaterek kołysał firanki. Radio ryczy — świątecznie, triumfująco — jak powinno w dzień wolny od pracy. (Isakow miał własny aparat odbiorczy).

— Ananij Jegorowicz! Ananij Jegorowicz!

Mysowski obejrzał się.

Za nim pędzili doganiając go brygadierzy Czugajew i Obrowsow.

— Tfu, do diabła, biegniemy i biegniemy! a ciebie dopędzić nie można — wołał Czugajew wycierając twarz rękawem kracia-

stej koszuli. — Jak będzie z dalekimi sianokosami? Baby drą się: trzeba jechać!

— Nie ma po co czekać — burknął Obrosow.

Ananij Jegorowicz ścisnął zęby. Oto oni, wczorajsi jego przyjaciele! Zasiedli do stołu, jak ludzie, a jak zakończyli? To oni, oni go wyprowadzili w pole. I jakby na potwierdzenie jego domysłu wstydlawy Czugajew napotkawszy poważny wzrok prezesa, po złodziejsku odwrócił oczy w stronę, lecz zaraz potem zamachał rękami:

— Patrzcie! patrzcie! Sprzymierzeńcy!

Wszyscy trzej zadarli głowy w górę. Nisko nad wsią leciały żurawie. Przeleciały wieś i parami zakołysały się nad łąką.

Tam zauważono je również. Rozległy się krzyki, machano białymi chustkami i grabiami. Wedle miejscowych wróżb żurawie zaczynają latać na dobrą pogodę — stąd ich przezwisko — sprzymierzeńcy.

— No cóż, prezesie? — zapytał znowu Czugajew. Szczęśliwy uśmiech nie schodził z jego okrągłej rumianej twarzy.

Obrosow, bez mrugnięcia okiem, wyczekująco wlepił wzrok w prezesa. Jego oczy mówiły bez słów. Ananij Jegorowicz zwiżył nagle wyschłe wargi i spojrzał na dom Isakowa. W oknach nie widać nikogo. Radio ucichło. Tak, jakby tam za firankami siedzieli wstrzymawszy oddech i czekali na to co on teraz postanowi.

— Dobrze — powiedział wolno i twardo. Wysyłajcie ludzi na dalekie sianokosy.

Kosmate czarne brwi na twarzy Obrosowa o wystających kościach policzkowych drgnęły, a Czugajew — wydało mu się — ze skruchą zamrugał oczami.

— Idźcie — powiedział Ananij Jegorowicz.

Czugajew pobiegł za Obrosowym, lecz nagle odwrócił się i jakby chcąc dodać otuchy krzyknął:

— A co do kiszonki bądź spokojny! Zrobi się. Teraz wiesz, jak się ludzie mogą zerwać!

Ananij Jegorowicz został sam. Twarz miał mokrą, lecz był spokojny. Już postanowił. I co by się nie stało, co by jego miało spotkać, nikt nie może teraz powiedzieć, że palnął głustwo po pijanemu. W zaułku, u Isakowa, zaszczekał pies. Z zalanego słońcem błękitnego ganku schodzili sekretarz rajkomu i Isakow.

Ananij Jegorowicz wyprostował się i twardo stawiając kroki po piaszczystej ziemi poszedł im na spotkanie.

Fiodor ABRAMOW

(Przetłóżył: *Kazimierz OKULICZ*)

ZAGRODA MATRIONY

Od owego wydarzenia minęło przeszło pół roku, a wciąż jeszcze na sto osiemdziesiątym czwartym kilometrze od Moskwy wszystkie pociągi zwalniały bieg, jakoś niemal po omacku. Pasażerowie cisnęli się do okien, wyglądali: reperują tory, czy co? Może pociąg wyszedł z rozkładu?

Ale nie. Po przejściu przez przejazd kolejowy pociąg znowu nabierał szybkości, pasażerowie wracali na swoje miejsca.

Tylko maszyniści pamiętali i wiedzieli, o co chodzi.

Ja również pamiętałem.

1

W lecie 1953 roku wracałem do Rosji z piaszczystej, upalnej pustyni. Wracałem najkrótszą drogą, na chybił trafił. Nikt nigdzie mnie nie oczekiwał i nie przyzywał, ponieważ z powrotem zwlekałem tak jakieś dziesięć latek. Po prostu bardzo chciałem dostać się do Rosji środkowej — bez wielkich upałów, z głębokim szumem liściastych lasów. Chciałem wkręcić się i zagubić gdzieś w najgłębszej Rosji, jeżeli taka w ogóle jeszcze istniała i żyła.

Jeszcze przed rokiem, po tej stronie Uralskich gór mógłbym zostać chyba tylko tragarzem. Nawet nie przyjełoby mnie na żadną porządną budowę w charakterze elektryka. A ja miałem chrapkę, żeby wziąć się do pracy nauczyciela. Ludzie znający się na rzeczy mówili mi, że nawet na bilet nie warto wydawać, cała jazda na nic się nie zda.

Ale coś już zaczęło ruszać z miejsca. Kiedy wszedłem po schodach okręgowego biura i zapytałem, gdzie jest wydział personalny, przekonałem się ze zdziwieniem, że *personalnicy* nie sie-

dzieli jak dawniej za drzwiami obitymi czarną skórą, lecz za oszklonym przepierzeniem, jak w aptece. Nieśmiało podszedłem do okienka, ukloniłem się i zapytałem:

— Proszę o informację, czy nie ma przypadkiem zapotrzebowania na nauczyciela matematyki gdzieś jak najdalej od linii kolejowej? Chciałbym tam zamieszkać na zawsze.

Wymacali każdą literkę w moich papierach, przechodzili z pokoju do pokoju, dzwonili nie wiadomo dokąd. Dla nich przecież także niecodzienna rzecz — wszyscy chcą do miast i to do tych ważniejszych. No, i mimo wszystko wyznaczono mi miejscowość: Wysokie Pole. Nazwa taka, że od razu zrobiło się na sercu weselej.

Nazwa miejscowości nie oszukała. Pagórek między dolinami, a dalej jeszcze kilka pagórków, dokoła ze wszystkich stron las, a także stawek i grobla. Tak, Wysokie Pole wyglądało na miejsce, gdzie nie wstyd i żyć i umierać. Posiedziałem jakiś czas w gaiku na ściętym pniu, myśląc, że całe moje szczęście polegałoby na tym, żeby mieć codziennie na śniadanie i na obiad, byle by zostać tutaj, słuchać szumu gałęzi dotykających dachu, gdy znikąd nie dolatuje głos radia i w całym świecie zupełna cisza.

Niestety, w tej miejscowości nie wypiekano chleba. W ogóle nie było żadnej żywności do sprzedania. Cała wieś zносиła żarcie w workach z powiatowego miasta.

Wróciłem do personalnego wydziału i uderzyłem w błagalny ton przed okienkiem. W pierwszej chwili w ogóle nie chcieli ze mną nawet gadać. Później jednak mimo wszystko chodzili z pokoju do pokoju, telefonowali, postękiwali i wreszcie przybili pieczętkę na polecającym papierku: *Torfoprodukt*.

Torfoprodukt? Ach, taki Turgieniew nie domyślał się, że można w rosyjszczyźnie ułożyć coś podobnego!

Na budynku stacji Torfoprodukt, starym, tymczasowo wystawionym baraku z poszarżanych desek, widniał surowy napis: „Wsiadać do pociągu tylko od strony stacji!”. Ktoś wydrapał gwoździem na desce dodatkowy napis: „Bilety niepotrzebne”. Zaś przy samej kasie ten sam melancholijny dowcipniś wyciął nożem napis: „Nie ma biletów”. Dokładny sens tych dodatków poznałem nieco później. Na stację Torfoprodukt łatwo było przyjechać. Wyjechać dość trudno.

Dawniej na tym miejscu stały i przetrzymały rewolucję olbrzymie, nieobeszłe lasy. Później zostały wycięte przez producentów torfu i sąsiedni kołchoz. Przewodniczący tego kołchozu, Szyszkow, sprzedał na pniu z niebyłe jakim zyskiem wiele hektarów lasu do Odeskiego okręgu.

Na torfiastej nizinie chaotycznie rozrzuciło się osiedle, złożone z jednostajnych baraków z trzydziestych lat i z domów z lat pięćdziesiątych, z rzeźbionymi odrzwiami i o szklonych werandach. Ale w środku tych domków nie spotkałeś przepierznia, które by dochodziło do sufitu, tak że nie widziałem możliwości wynajęcia pokoju o czterech prawdziwych ścianach.

Nad osiedlem dymił fabryczny komin. Tu i ówdzie szły szyny wąskotorówki i malutkie lokomotywy, także buchając gęstym dymem, i przeraźliwie gwizdząc ciągnęły wagony z burym torfem, z wyrobionymi z niego ceglami i brykietami. Bez obawy pomyłki mogłem przypuścić, że wieczorem znad drzwi klubu będzie drzeć się ochryple głośnik od patefonu, zaś ulicą włóczyć się będą pijacy, zawsze gotowi, by pchnąć nożem jeden drugiego.

A więc to właśnie tu zaprowadziło mnie marzenie, by dostać się do jakiegoś zacisznego zakątka starej Rosji. Tam, skąd przyjechałem, mógłbym mieszkać w glinianej lepiance, spoglądającej na pustynię. Jakiż orzeźwiający wiatr przeciągał tamtędy po nogach i nad głową nie było nic, oprócz wygwieźdzonego stropu nieba!

Trudno było usnąć na stacyjnej ławce, więc ledwie świt znowu zacząłem wędrować osiedlem. Dopiero teraz natrafiłem na miniaturowy targ. Że to było zbyt wcześnie, tylko jedna kobieta stała na targu, sprzedając mleko. Kupiłem butelkę i wypięm ją na miejscu.

Uderzył mnie jej sposób mówienia. Właściwie nie mówiła — rzownie śpiewała, zaś słowa były właśnie takie, za jakimi tęsknota wypędziła mnie z Azji.

— Pij-że, pij, kochaneńki, jak masz pożądanie. A ty co, chyba przejazdem?

— A wy, gosposiu, skąd? — jakby mnie kto masłem posmarował.

Dowiedziałem się, że dokoła są nie tylko kopalnie torfu, że za nasypem kolejowym jest wzgórze, a za tym wzgórzem wieś, która nazywa się Talnowo, a ta wieś istnieje od niepamiętnych czasów, że była już za czasów dziedziczki, zwanej „cyganichą”, gdy ze wszystkich stron puszcza stała jak smok. A dalej całym krajem wieś za wsią: Czaslice, Owince, Spudnie, Szewiertnie, Szestomirowo — jedna wieś bardziej zabita od drugiej, coraz dalej od kolei, coraz bliżej ku jeziorom.

Ciszą i spokojem powiało od tych nazw. To była obietnica zetknięcia się z Rosją prawdziwą, starodawną. Zwróciłem się do mojej nowej znajomej z prośbą, żeby po targu zaprowadziła mnie do Talnowa i pomogła znaleźć dom, gdziebym mógł stanąć na kwaterze.

Wyglądało na to, lokator będzie ze mnie nienajgorszy: szkoła oprócz komornego obiecywała ciężarówkę torfu na zimę. Twarz kobiety świadczyła o przeżyciu nie tyle jakich zmartwień i trosk. W jej domu miejsca nie było (miała razem z mężem na dożywociu zgrzybiałą matkę), więc zaprowadziła mnie kolejno do jednych krewnych, potem do drugich. Ale nigdzie nie znalazła wolnego pokoju, wszędzie było ciasno i hałaśliwie.

Wreszcie dobrnęliśmy do wysychającej, zagaconej rzeczki z mostkiem. W całej wsi nie widziałem bardziej przyjemnego miejsca: dwie czy też trzy płaczące wierzby, chałupka pokrzywiona na wszystkie strony, na stawie pływały kaczki i gęsi wychodziły na brzeg, otrząsając się z wody.

— To już tylko do Matriony zajrzemy — powiedziała moja przewodniczka, wyraźnie zmęczona. — Ino że chałupa u niej mało przystrojona, w zapuszczeniu żyje, niedomaga...

Dom Matriony był niedaleko, prawie tuż. Cztery okienka w jednym rzędzie patrzyły na nawietrzną stronę, dach był z gontów, o dwóch spadach i z ozdobnym, o rzeźbionych ramach oknem od strychu. Jednak gonty już przegniwały, zrąb z okrągłych pniaków poszarzał ze starości, jak i potężne niegdyś wrota, nad którymi świecił dziurami stromy daszek.

Furtka była zamknięta, ale moja przewodniczka nie zastukała, po prostu przesunęła dłoń pod spodem i odrzuciła skobel — nieskomplikowane zabezpieczenie przed bydem. Podwóreczko znajdowało się pod gołym niebem, za to znaczna część zabudowań pod jednym pokryciem. Za głównym wejściem wewnętrzne schodki prowadziły na rodzaj obszernego pomostu, pod wysokim okapem dachu. Bardziej na lewo osobne stopnie szły ku *komnacie* — w oddzielnie stojącym zrębie, bez pieca, a inne stopnie na dół, do podziemnej komory. Na prawo był dom właściwy, ze strychem i loszkiem.

Budowa była mocna, dawnej roboty, na liczną rodzinę, a teraz mieszkała tu samotna kobieta, dobrze pod sześćdziesiątkę. Kiedym wszedł do domu, leżała tuż przy samym wejściu, na szerokim rosyjskim piecu chlebowym, przykryta jakimiś ciemnymi łachami, mającymi tak wielką wartość w życiu pracującego człowieka.

W całej izbie, a głównie jej lepszej, przyokiennej części stały na ławkach i stołkach doniczki i kadzie z fikusami. Milczący, ale żywy tłum fikusów, wypełniających samotność gospodyni. Rozrosły się bez przeszkód i zabrały i tak niewielkie światło północnej krainy. Z braku światła zaokrąglona twarz gospodyni, znajdująca się przy tym w mroku za kominem, wydała mi

się żółta i schorowana. Po zmaconych oczach też można było poznać, że choroba mocno daje się jej we znaki.

Rozmawiając ze mną, leżała w dalszym ciągu twarzą na dół, bez poduszki, z głową ku drzwiom, a ja cały czas stałem na dole. Nie wykazała żadnej radości z przybycia lokatora, skarżyła się na ciężką niemoc, z której paroksyzmu nieco zaczynała się podnosić. Choroba opadała ją nie każdego miesiąca, ale jak już opadła, — ...trzyma i dwa dni i trzy dni, tak że ani podnieść się ani zadbać o was nie potrafię. Zaś chałupy to ja wam nie żałuję, co tam, mieszkać można.

Wyliczała mi inne gospodynie, że u każdej będzie spokojniej i wygodniej, i namawiała, żebym je obszedł po kolei. Ale ja już wiedziałem, że mój los — zamieszkać w tej na pół mrocznej izbie z zamglonym lustrem, w którym nie można było niczego rozeznaczyć, i z dwoma tanimi, jaskrawymi plakatami o kupowaniu książek i o urodzaju, które powieszono na ścianie dla ozdoby.

Chociaż Matriona Wasiljewna zmusiła mnie, abym jeszcze pochodził po wsi i chociaż po drugim przyjsciu długo się wymawiała: — A bo to umiem, a bo to podołam — jak tu na siebie brać? — to jednak już zesza z pieca na moje przyjęcie i w jej spojrzeniu widniało jak gdyby zadowolenie, że wróciłem.

Zgodziliśmy się co do ceny i torfu, który szkoła miała dostarczyć.

Dopiero później dowiedziałem się, że rok po roku, od wielu już lat Matriona Wasiljewna nie zarobiła nigdzie ani jednego rubla. Bo to emerytury jej nie płacono. Krewni pomagali niewiele. Zaś w kołchozie pracowała nie za pieniądze, lecz za kreski. Kreski przepracowanych dni w zasmarowanej książeczce.

W taki to sposób zamieszkałem u Matriony Wasiljewny. Nie zrobiliśmy podziału izby. Matriona ścieliła sobie w kącie między drzwiami i piecem, ja zaś polowe łóżko rozkładałem pod oknem. Zsunąłem nieco ukochane przez Matryonę fikusy i pod drugim postawiłem stolik. We wsi była mimo wszystko elektryczność; kabel przeciągnęli jeszcze w dwudziestych latach od Szatury. W dziennikach pisano wówczas o „lampkach Iljicza”, natomiast chłopcy wytrzeszczali oczy i mówili: „To Car Ogień!”.

Być może, tym i owym ze wsi, zwłaszcza bogatszym, chałupa Matriony wydawała się nie nazbyt wygodna w zamieszkaaniu, ale nam owej jesieni i zimy wystarczała całkowicie. Woda, gdy padały deszcze, przez dach jeszcze nie przeciekała i mroźne wiatry ciepła z pieca nie wypędzały od razu, dopiero nad ranem, zwłaszcza jeżeli wiało od strony północnej, bardziej wyziębnętej.

W chałupie, oprócz Matriony i mnie, mieszka kot, oraz myszy i karaluchy.

Kot był już dość stary, a co najważniejsze — kuternoga. Matriona przyjęła go z litości, został i przywiązał się do domu. Wprawdzie chodził na czterech łapach, ale silnie utykał; dbał o jedną łapę, bo była niewyleczona. Kiedy zeskakiwał z pieca na podłogę, zderzenie się nie brzmiało po kociemu miękko, nie, słychać było jednoczesne uderzenie trzech łap — tup! — uderzenie na tyle silne, że nie mogłem przyzwyczać się od razu — wstrząsało mną. Kot przy skoku podstawił trzy łapy jednocześnie, by nie narazić czwartej na uderzenie.

Myszy były w chałupie nie dlatego, żeby kot-kuternoga nie potrafił dać im rady; rzucał się błyskawicznie z kąta w kąt i przynosił mysz w zębach. Stały się niedostępne te myszy dla kota z tej racji, że ktoś kiedyś, kiedy jeszcze żyło się dobrze, wykleił ściany izby grubymi tapetami jasno zielonego koloru. Ale wykleił nie zwyczajnie, jedną warstwą, lecz pięcioma warstwami od razu. Tapety skleiły się ze sobą mocno, ale od ściany w wielu miejscach odeszły i w ten sposób utworzyło się coś w rodzaju grubej, wewnętrznej skóry na ścianach. Między belkami i warstwą sklejonych tapet myszy porobiły sobie przejścia i biegały z bezczelnym szelestem aż pod samym sufitem. Kot patrzył gniewnym spojrzeniem śladem tego szelestu, ale dobrać się do myszy nie mógł.

Niekiedy kot polował na karaluchy, ale robiło mu się od nich niedobrze. Jedyne co karaluchy szanowały, to linię przepięrzenia, oddzielającą chlebowy piec i kuchenkę od świetlicy. Do świetlicy nie przełaziły, natomiast w kuchence aż się od nich roiło i gdy późnym wieczorem, chcąc napić się wody, zapalałem tam lampkę, cała podłoga, wielka ława a nawet ściana, wszystko poruszało się i było niemal jednolitej brunatnej barwy. Przynosiłem z chemicznego gabinetu boraks, którym po zmieszaniu z ciastem truliśmy karaluchy. Ich ilość zmniejszała się, ale Matriona obawiała się, że struje razem z nimi swego kota. Przewstawaliśmy podrzucać truciznę i karaluchy mnożyły się ponownie.

Po nocach, kiedy Matriona już spała, a ja siedziałem przy stole i pracowałem, myszy szybko szurały od czasu do czasu pod tapetami, ale szuranie to zagłuszał szmer karaluchów za przepięrzeniem, jednostajny, zwarty i nieprzerwany jak daleki szum oceanu. Przyzwyczałem się, bo nie było w tym nic złego, nie było żadnego oszukaństwa. Ten szelest — to życiowa prawda karaluchów.

Również przyzwyczałem się do ordynarnej piękności z plakatów, która nieustannie podawała mi ze ściany tomy Bielinskie-

go, Panfierowa i jeszcze cały stos jakichś książek, ale milczała. Przyzwyczailem się do wszystkiego, co było w domu Matryony.

Matriona wstawiała między czwartą a piątą z rana. Mały ścienny zegar z ciężarkiem, kupiony przed dwudziestoma siedmioma laty w wiejskiej spółdzielni, zawsze spieszył się, ale Matriona tym nie przejmowała się — byle by nie opóźniał się, żeby rankiem wstać na czas. Zapalała żarówkę za kuchennym przepiezeniem i cichutko, grzecznie, starając się nie hałasować, paliła w chlebowym piecu, wychodziła doić kozę (całego żywiołu miała tę jedną jedyną, białą brudną kozę o zakrzywionych rogach), także chodziła po wodę i gotowała w trzech sagankach: w jednym saganku — dla mnie, w drugim dla siebie, w trzecim — dla kozy. Dla kozy wybierała z komory najdrobniejsze kartofle, dla siebie — drobne, dla mnie — rozmiarów kurzego jaja. Dużymi kartoflami ogród Matryony nie obradzał; był piaszczysty, nieużyźniany jeszcze od lat przedwojennych, i sadzono w nim tylko kartofle, kartofle i kartofle — więc obradzał wyłącznie drobiazgiem.

Jej poranne krzątanie się prawie do mnie nie docierało. Sypiałem długo, budziłem się późno na blade zimowe światło i przeciągałem się, wystawiając głowę spod kołdry i kozucha. A na nogach jeszcze ciepły łagierniczy kaftan i pod spodem worek wypchany słomą — w ten sposób ciepło utrzymywało się nawet w takie noce, gdy ziąb północny pchał się w nasze wątle okienka. Słyszac za przepiezeniem dyskretne szmery, za każdym razem mówiłem, rozdzielając słowa:

— Dzień dobry, Matriona Wasiljewna!

I zawsze ta sama życzliwa odpowiedź dobiegała zza przepiezenia. Zaczynało się od jakiegoś pomrukiwania niskim i ciepłym tonem, zupełnie jak gdy babcia opowiada bajki:

— Mmm-mmm... żebyście także mieli dobry dzień!

A po krótkiej chwili:

— A na śniadanie już cza-as.

Co na śniadanie, nie oznajmiała, ale i tak nie trudno było domyśleć się — albo *kartople*, albo *kartoplana* zupa (tak mówili wszyscy we wsi), albo jęczmienna kasza (innej owego roku w Torfoprodukcje nie było, a i tak trzeba ją było zdobywać pazurami — że to najtańsza, jęczmienną kaszą tuczono wieprze i kupowano ją na worki). Jedzenie nie zawsze było posolone jak należy, często przypalone, zostawiało nalot na podniebieniu i dziąsłach i powodowało zgagę.

Matriona nie była winna; masła w Torfoprodukcje także nie było, margarynę rozchwytywano z miejsca, a w wolnej sprzedaży tylko mieszanina z najgorszych tłuszczów. Rosyjski chle-

bowy piec, jakim się mógł przyjrzeć, też mało nadaje się do pitraszenia: gosposia nie widzi jak się to pitrasi, gorąco podpływa do saganka z różnych stron nierównomiernie. Ale widocznie ten piec nasi przodkowie otrzymali w spadku po kamiennej epoce dlatego, że jak się raz w nim napali o pierwszym brzasku, cały dzień trzyma ciepło, żeby można było zagrzać zarcie i poidło dla bydła, pożywienie i wodę dla człowieka. A i śpisz także w cieple.

Pokornie zjadałem wszystko, co Matriona zwarzyła, cierpliwie odkładając na boczek, jeśli znajdowałem coś niewydarzonego: jakiś włos, okruszynę torfu, nóżkę karalucha. Nie miałem sumienia, żeby czynić wymówki Matrimonie. Ostatecznie, uprzedziła mnie, powiadając: „A bo to umiem, a bo to podołam — jak tu na siebie brać?”.

— Dziękuję — mówiłem z całkowitą szczerością.

— Za cóż to? Za własną dobroć? — jej rozpromieniony uśmiech rozbrajał mnie do reszty. I patrząc z prostotą wyblakłymi, błękitnymi oczami, pytała: — A na ostatki co mam przyrządzić?

Na ostatki znaczyło — na wieczerzę. Jadłem dwa razy na dobę, jak na froncie. I cóż mógłbym zamówić na te ostatki? Zawsze przecież jedno i to samo: albo *kartople*, albo *kartoplana zupa*.

Godziłem się z tym, gdyż życie nauczyło mnie znajdować sens powszedniego bytu nie w jedzeniu. Bardziej mnie obchodził uśmiech na zaokrąglonej twarzy Matrimonie, uśmiech, który, gdym wreszcie zarobił na aparat fotograficzny, na próżno starałem się złapać na soczewkę. Gdy tylko Matriona dojrzała zimne oko obiektywu, natychmiast wyraz jej stawał się nienaturalny albo wzniosły i surowy.

Raz tylko udało mi się zrobić jej zdjęcie, gdy, spoglądając przez okno na ulicę, uśmiechała się nie wiadomo dlaczego.

Niejedna krzywda spotkała Matrimonę tej jesieni. Poradziły jej sąsiadki, żeby zaczęła starać się o emeryturę. Była sama w świecie jak palec, a od czasu, kiedy opadła ją słabość, zwolniono ją nawet z kołchozu. Kupę niesprawiedliwości zwalono na Matrimonę: chorowała, ale nie uważano jej za inwalidę; dwadzieścia pięć lat przepracowała w kołchozie, ale że nie w fabryce, należała się jej emerytura nie dla niej, tylko z powodu utraty żywiciela, więc mogła starać się o emeryturę po mężu. Ale męża nie było już od dwunastu lat, od samego wybuchu wojny, i jakże się teraz dowiedzieć, co robił w różnych miejscach i ile za to zarabiał. Starania niemałe — zdobyć wszystkie potrzebne informacje i żeby w nich napisali, że otrzymywał miesięcznie co naj-

mniej trzysta rubli, i jeszcze, żeby znaleźli się świadkowie, że jest samotna i nikt jej nie pomaga, i potem zanieść to wszystko do emerytalnego urzędu, i wracać, wnosząc odpowiednie poprawki, i jeszcze raz przynosić uzupełnienia. A potem dowiadywać się, czy dadzą tę emeryturę.

Wszystkie te starania były tym bardziej utrudnione, że urząd emerytalny znajdował się o dwadzieścia kilometrów na wschód od Talnowa, wiejska rada — o dziesięć kilometrów na zachód, zaś rada osiedla — o godzinę marszu w kierunku północnym. Od jednego biura do drugiego pędzali ją przez dwa miesiące — a to kropka źle, a to przecinek na niewłaściwym miejscu. Za każdym razem cały dzień straty. Idzie do wiejskiej rady i okazuje się, że sekretarz nieobecny, ot, po prostu nieobecny, jak to zdarza się na wsi. To znaczy, że jutro znowu masz iść. Tym razem sekretarz jest obecny, ale pieczęci nie ma przy sobie. Na trzeci dzień trzeba iść ponownie. A na czwarty dzień jeszcze raz, bo tak wypadło, że przez nieuwagę nie na tym papierku co trzeba ktoś się podpisał, bo też wszystkie papierki Matriona nosi zszyte na kupę.

— Wi-isz, Ignatycz, krzywdzą sierotę — skarżyła się Matriona przede mną po takich bezskutecznych wyprawach. — Bardzo już jestem zatroskana.

Ale nie była w stanie martwić się i chmurzyć czoła zbyt długo. Zauważyłem, że Matriona rozporządzała murowanym środkiem na powrót do dobrego humoru: zająć się robotą. Więc zaraz chwyciła szpadel i zabierała się do kopania *kartopli*. Albo z workiem pod pachą szła po torf. A kiedy indziej z wyplatany koszem po jagody do dalekiego lasu. Kłaniała się w pas już nie stołom biuralistów, lecz leśnym krzakom, i z dobrze połamanym krzyżem Matriona wracała do domu, już rozjaśniona, już ze swym zwykłym, zacnym uśmiechem.

— Jużem tera, Ignatycz, wdepnęła tam, gdzie potrza — mówiła o torfie. — Już wiem kany podbierać. Miejsce jest takie jedno — nic ino rozkosz!

— Ależ Matriono Wasiljewna, czy to mojego torfu nie starczy? Przecież cała ciężarówka.

— I-ii tam, z tym twoim torfem! Jeszcze raz tyle i jeszcze tyle samo, to może ta i starczyłoby. Tu jak zima zaczniesz kręcić, a jeszcze dujawica w okna, to nie tyle w piecu napalisz, co ci przez komin wydymucha. Latoś tyleśmy torfu znosili! A ja bym i ze trzy takie ciężarówki przywlekła! Ale psiajuchy wyłapują. Jedną z naszych bab to już po trebunałach ciągną.

Tak, to była prawda. Już czuć było ze wszystkich stron trwożący oddech zimy. Lasów dokoła w bród, a opału brać nie

ma skąd. Ekskawatory huczały w krąg na bagnach, ale torfu dla mieszkańców na sprzedaż nie było. Torf dostarczano władzy i tym, co przy władzy się tulą, więc po ciężarówce nauczycielom, lekarzom, fabrycznym robotnikom. Talnowieccy ludzie prawa do torfu nie mieli i zagadywać o to także nie było po co. Przewodniczący kołchozu chodził po wsi, patrzył w oczy wymagająco lub z otwartą prostotą, i gadał o każdej sprawie, byle nie o opale. On sam dawno zapasy porobił. A zima tuż — tuż — czekać nie długo.

No, cóż, przedtem kradli drzewo w pańskim lesie, to teraz kradną torf w truście. Baby zbierały się po pięć, po dziesięć — tak było różnie. Chodziły za dnia. W ciągu lata kopano torf wszędzie i składano w stopy dla przesuszenia. Torf to dobra rzecz, bo po wykopaniu nie można go zwieźć od razu. Schnie aż do jesieni, a niekiedy aż do pierwszych śniegów, jeśli przedtem nie ma twardej drogi. W tym właśnie czasie baby wyprawiały się po torf. Za każdym razem zabierały w workach po pięć kawałów, jeżeli były wilgotne, po dziesięć, jeżeli suche. Jeden taki worek starczał na jednorazowe napalenie w piecu. A trzeba było go czasem nieść aż trzy kilometry i ważył ze dwa pudy. I zima ma dwieście dni i palić trzeba dwa razy: nad ranem w rosyjskim piecu, wieczorem — w „holenderce”.

— Co tu dużo gębę strzepić! — gniewała się Matriona na kogoś niewidocznego. — Odkąd koni zabrakło, to czego na własnym garbie nie przytaszczysz, tego w chałupie nie uświadczysz. Krzyże trzeszczą, nigdy wylekować nie sposób. W zimie saneczki ciągniesz, w lecie naręcza dźwigasz — jak Bożę miłuję, czysta prawda!

Chadzały baby po ten torf nie raz, nie dwa. Jak dobry dzień wypadł, to Matriona przynosiła i sześć worków. Mój torf złożyła na widoku, swój chowała pod pomostem i właz zabijała co wieczór deskami.

— Chyba że się domyślą wrogowie — uśmiechała się, ocierając czoło z potu — bo znaleźć, w życiu nie znajdą.

Cóż miało robić kierownictwo trustu? Brakowało odpowiedniej ilości etatów, żeby rozstawiać posterunki po wszystkich torfowiskach. Zapewne więc podawano w wykazach wysokie wydobycie, a potem część spisywano na straty — czy to że rozkrużyło się, czy że deszcze rozmyły. Od czasu do czasu porywano się do działania: zbierano patrol, który wyłapywał baby u wejścia do wsi. Baby rzucały worki i rozbiegały się. Kiedy indziej, jak był donos, chodzono po chałupach z rewizją, spisywano protokół za zdobycy nielegalnie torf, zapowiadano, że sprawa pójdzie

do sądu. Baby na jakiś czas przestawały, ale nadchodziła zima i znowu pędziła je — w nocy z sankami po torf.

A w ogóle, przyglądając się życiu Matriony, zauważyłem, że oprócz pitraszenia i zajmowania się gospodarstwem, codziennie miała do załatwienia jakąś ważną sprawę i kolejność tych wszystkich spraw trzymała się dobrze w jej pamięci, tak że po zbudzeniu się z rana zawsze wiedziała, co w dniu dzisiejszym jest do zrobienia. Bo to i torf, i zbieranie starych pniaków, wykarczowanych przez traktor na torfowisku, i brusznice, które nastawiała w wielkich słojach („Ano, Ignatycz, umaczaj gębusię” — mówiła, zapraszając), i wykopki kartofli i bieganina w sprawie emerytury, a ponadto musiała jeszcze starać się o siano dla tej swojej jedynej, zawsze brudnej, białej kozy.

— A czemuż to, Matriono Wasiljewna, krowy w zagrodzie nie trzymacie?

— Ech, Ignatycz — wyjaśniała Matriona, stojąc w nie pierwszej czystości fartuchu, w obramowaniu wycięcia w przepierzeniu, prowadzącego do kuchni, zwrócona twarzą ku mojemu stołowi. — Koziego mlika mi starczy. Sprawię sobie krowę, toż ona zeżre mnie całą, skóry-kości nie zostawi. Przy nasypie trawy kosić nie dają — insi są gospodarze, a znowuj w lesie ani-ani, tam leśnictwo gospodaruje, i w kołchozie zakaz nałożyli — z ciebie teraz, pedają, żadna kołchoźnica. A chociabym kołchoźnicą była, to co? Toż ony aż do świętego Marcina wszystko w ten ichni kołchoz taszczą, a dla siebie to już spod śniegu — jakaż to trawa? Drzewiej to ci zwijano się z sianem latoś od świętego Pietra po samego świętego Eljasza. Uważano — nie trawa ino miód...

Tak, niemała to była praca dla Matriony — zebrać dość trawy, by utrzymać kozę, jedyną żywicielkę. Stara z samego rana brała worek i sierp i szła w takie miejsca, o których pamiętała, że trawa rosła tam z boku ścieżek, przy drózkach, na kępkach pośród bagien. Pakowała do worka świeżą, ciężką trawę, dźwigała ją do domu i w podwóreczku rozkładała ciekłą warstwą. Z worka trawy wychodziło wyschniętego siana tyle, co na ukręcenie wianuszka.

Nowy przewodniczący, niedawno przysłany z miasta, zaczął swoją działalność od tego, że wszystkim inwalidom poobcinał ogrody. Zostawił Matrionie piętnaście prętów piaseczku, zaś dzieśięć prętów leżało nieużytkiem za płotem. Co prawda, gdy brakowało rąk do pracy, gdy baby wykrcęwały się od niej z coraz większym uporem, żona przewodniczącego zjawiała się u Matriony. Kobieta była także miejska, zdecydowana, a przez krótkie szare palto i groźne spojrzenie wyglądała jakby na wojskówkę.

Wchodziła do chałupy i, nie witając się, surowo patrzyła na Matryonę. Ta od razu mieszała się.

— Ta-ak... — zaczynała z pewnością siebie żona przewodniczącego. — Towarzyszko Grigorjewa! Trzeba by pomóc kołchozowi! Trzeba jutro iść do wywózki gnoju!

Coś w rodzaju przeproszającego uśmiechu ściągało twarz Matryony — jak gdyby wstydziła się za żonę przewodniczącego, że ta nie może zapłacić Matryonie za pracę.

— No, cóż — mówiła powoli. — Niedomagam — to prawda. I od waszych kołchoźnych spraw jestem tak jakby odłączona. — Ale natychmiast przywoływała samą siebie do porządku. — O jakiej godzinie niby przychodzić?

— Widel zabrać nie zapomnij! — pouczała żona przewodniczącego i wychodziła, szeleszcząc sztywną spódnicą.

— Wi-isz ją! — narzekała Matryona w jej ślad. — I jeszcze widły swoje bier! Ani łopat, ani widel w tym jeich kołchozie nima. Bez chłopca mieszkam, kto mi widły obsadzi...?

Po czym rozprawiała przez cały wieczór:

— Cóż tam gadać, Ignatycz! Pewnie że pomoc trzeba, jakże nie pomoc — gnoju nie wywiozą, jakież tam urodzaj! Ino że psom na buty jeich robota się zdała; stoją baby, o łopaty się oparły i czekają, kiedy ta fabryka zabuczy na południe. Abo swarzyć się zaczną, podliczać, która wyszła, która nie wyszła. Wedle mnie jak już pracować, to tak, żeby głosem nie pisnąć, a nie jak one, że to, oj-rety, laboga, obiad pod lasem wieczór za pasem!

Rankiem brała swoje widły i szła do pracy.

Ale nie tylko z kołchozu, również przychodziła do Matryony wieczorkiem ta czy inna daleka krewniaczka, albo po prostu sąsiadka i mówiła:

— Matryona, jutro przyjdź — dopomożesz. Wykopkę kartofli trza dokończyć.

Matryona nie potrafiła odmówić. Wylaamywała się z kolejnego biegu swoich spraw, szła pomagać sąsiadce a po powrocie mówiła bez cienia zazdrości:

— Ach, Ignatycz, ależ wielgaśne ziemniaki u niej obrodziły! Z uciechą kopałam, zejść z pola chęci nie miałam, jak Bożię miłuję, prawda!

Tym bardziej zaoranie żadnego ogrodu nie mogło obyć się bez Matryony. Talnowieckie baby już dawno stwierdziły, że przekopanie całego ogrodu szpadlem w pojedynkę wymaga więcej pracy i czasu, niż zaprzągnięty się w szóstkę do sochy, przeorać sześć ogrodów. No, to i wzywano Matryonę do pomocy.

— I co, zapłaciliście jej za to? — zapytywałem potem niejednokrotnie.

— Pieniądzy nie bierze. Poniewoli trzaby ją zmuszać.

A znowu wypadało Matrimonie zdrowo uwijać się, kiedy przychodziła jej kolej na wyzywanie pastuchów, którzy paśli kozy. Jeden z nich — tęgi parobas, dotknięty niemotą i głuchotą; drugi — niedorostek z wiecznie zaślinionym niedopałkiem w ustach. Wypadało na nią raz na półtora miesiąca, ale Matriona miał z tym duży wydatek i kłopot. Szła do wiejskiego sklepiku, kupowała konserwy z ryb, szarpała się nawet na tłuszcz i na cukier, czego sama nigdy nie jadła. Wyszło na jaw, że gospodynie rywalizowały ze sobą, która lepiej nakarmi pastuchów.

— Przed krawcem i pastuchem największy strach — wyjaśniała mi Matriona. — Obszczekają przed całą wsią, jeżeli im nie dogodzisz.

Na to życie wypełnione troskami spadała od czasu do czasu ciężka choroba. Matrimonę waliło z nóg i całą dobę albo i dwie leżała jak kłoda. Nie skarżyła się, nie jęczała, ale prawie nie poruszała się. Wtedy przychodziła najbliższa jej przyjaciółka z młodych lat, zwana Maszą, żeby obrządzić kozę i napalić w piecu. Matriona przez ten czas nie piła, nie jadła i o nic nie prosiła. Wołać do domu doktora z punktu pomocy lekarskiej — to uważano w Talnowie za rzecz niewłaściwą. Nawet wstyd przed sąsiadami — że niby, jaśnie panią udaje. Raz jeden tylko zawiadomili, doktorka przyjechała we wściekłym humorze i kazała Matrimonie, żeby, jak trochę wydobrzeje, sama przychodziła na punkt. Matriona chodziła niechętnie, wbrew woli, brali jakieś analizy, posyłali do rejonowego szpitala, a potem jakoś rozeszło się po kościach. Że tak się stało, zawiniła i sama Matriona.

Codzienne kłopoty przywoływały do życia. Wkrótce Matriona zaczynała podnosić się, najpierw poruszała się powolutku, potem znów coraz żwawiej.

— Żebyś ty, Ignatycz, dawniej mnie widywał — usprawiedliwiała się stara. — Na worki byłam pies, pięć pudów ważył, a to dla mnie nie ciężar. Nieraz świekr na mnie krzyczy: „Matriona, krzyże se przetrącisz!”. Nie było tego, żeby dziewierz musiał pomagać, jakem okrąglaka na przodek wozu zadawała. A konia mieliśmy wojskowego, Wołczok się nazywał, dobry był koń...

— Jakto wojskowy?

— A bo jak naszego na wojnę zabrali, to w zamian dali poranionego... To się narowny jakiś trafił. Kiedyś wystraszył się i z saniami do jeziora ponosi, chłopcy odskakiwały na strony, a ja, prawda niby, za uzdę chwyciłam i zatrzymałam. Owsa ten koń był zwyczajny. U nas chłopci lubowali się, żeby konie dobrze karmić. Któren koń owsa zwyczajny, taki ciężaru się nie boi...

Ale to nie znaczy, żeby Matriona była odważna we wszystkim. Lękała się pożaru, lękała się *łyskawic*, a już najbardziej, nie wiadomo czemu — pociągu.

— Jak do Czeruści mam jechać, a od Nieczajewki pociąg pokaże się, ślepią swoje wielgachne wyłupi, szyny huczą — to aż w gorąc mnie rzuca, kolana się trzęsą. Jak Bożę miłuję, prawda! — Matriona sama dziwiła się i wzruszała ramionami.

— A może, Matriona Wasiljewna, to dlatego, że biletów nie chcą sprzedawać?

— W okieneczku? Że ino miękkie papierki wpychają. A tu pociąg już rusza! Rzucamy się to tu, to tam — ludzie kochane, miejcież odrobinę sumienia! Chłopy to ci po drabince na dach polazły. A myśmy nalazły drzwi niezamknięte, wpakowały się, jak tam szło, bez biletów — a tu wagony same zwyczajne, jeden za drugim zwyczajny, chcesz to na półce się rozkładać. A czemu biletów nie dawali, wyzyskiwacze nielitosierne — wiedzieć o tym nie wiemy.



Mimo wszystko na początku tej zimy życie Matriony ułożyło się jak nigdy dotąd. Jednak przyznano jej emeryturę w wysokości osiemdziesięciu rubli. Ponad sto otrzymywała od szkoły i ode mnie.

— Och-cho! Tera Matrionie to i umierać się nie opłaca! — już zazdrościły niektóre sąsiadki. — Większych pieniędzy to stara i podziac nie ma gdzie!

Więc zamówiła sobie Matriona nowe walonki. Kupiła nowy ciepły kaftan. I sprawiła sobie palto z używanego kolejarzkiego płaszcza, co go jej podarował maszynista z Czeruści, mąż dawnej wychowawcy, Kiry. Garbaty wiejski krawiec podłożył pod sukno watę i takie wspaniałe palto wypadło, jakiego Matriona w ciągu sześćdziesięciu lat życia nigdy jeszcze nie miała.

A gdzieś w środku zimy Matriona zaszyła w podszewkę tego palta dwieście rubli na swój pochówek. Poweselała.

— Wi-isz, Ignatycz, pomaluśku i do mnie spokojniejsze życie przyszło.

Minął grudzień, minął styczeń — w ciągu całych dwóch miesięcy nie nawiedziła jej ani razu choroba. Coraz częściej wieczorami Matriona zaczęła chodzić do Maszy — posiedzieć i razem łupać słonecznikowe ziarnka. Gości do siebie wieczorami nie zapraszała, szanując spokój mojej pracy. Raz tylko, gdy wrócił ze szkoły na Trzech Króli, zastałem w chałupie tańce i poznałem trzy rodzone siostry Matriony, które nazywały ją jako

najstarszą, piastunką albo niańką. Do tego czasu niewiele wiedziało się w domu o siostrach — czy aby nie obawiały się, że Matriona zwróci się do nich z prośbą o pomoc?

Jedno tylko wydarzenie, a kto wie czy nie omen, zamroczyło Matrimonie owe święto. Poszła do cerkwi, odległej o pięć wiorst, na święcenie wody, postawiła swój kociołek między innymi, a kiedy święcenie skończyło się i baby rzuciły się jedna przez drugą szukać swoich naczyń, Matriona nie zdążyła razem z pierwszymi i w końcu nie mogła odszukać kociołka. Żadnego innego naczynia zamiast niego nie zostawiono. Kociołek znikł, jakby go porwała nieczysta siła.

— Kobietki! — pytała Matriona w modlącym się tłumie. — Czy aby kto bez umysłu cudzej, poświęconej wody nie zabrał? W kociołku była, niby święcona woda...

Nikt się nie przyznał. Może chłopcy dla psoty zabrali — byli tam i chłopcy, dość, że Matriona wróciła smutna.

Trudno było jednak powiedzieć, żeby Matriona była wierząca nazbyt gorliwie. Może nawet była bardziej poganką, przesady brały w niej górę: a to że w dniu Iwana Poszczącego nie wolno iść do ogrodu, bo w przyszłym roku będzie nieurodzaj; a to że jeżeli śnieg w zamieci wiruje, ktoś na pewno się obwiesił, a jeżeli nogę drzwiami przytrzaśniesz — gość w domu. Przez cały czas mego pobytu w jej domu, nigdy nie widziałem, żeby się modliła, ani żeby się choć raz przeżegnała. Ale każdą pracę zaczynała od słów. „Z Bogiem!” i kiedym wychodził do szkoły, zawsze starała się „Z Bogiem!” rzucić na pożegnanie. Nie wiem, może modliła się, ale nie na pokaz, krępując się mnie, czy po prostu lękając się wprowadzić w zakłopotanie. Na ścianach w izbie wisały ikony. W dni powszednie tonęły w cieniu, ale w dni świąteczne i w czasie nocnego nabożeństwa przed uroczystym świętem Matriona zapalała przed ikonami oliwną lampkę.

Tylko że grzechów miała mniej niż jej kot-kuternoga. Ten przecież dusił myszy....

Z czasem Matriona wygramoliła się nieco z codziennych życiowych kłopotów i nawet zaczęła słuchać radia (wkrótce sprawiłem sobie *obornik* — tak Matriona nazywała mój odbiornik radiowy).

Dowiedziawszy się z radia, że wynalezione zostały nowe maszyny, Matriona gderała w kuchni:

— Ciężem nowe i nowe, na starych pracować to nie chcą, dokąd stare maszyny podziejemy?

Nadawali o tym, w jaki to sposób rozpędza się obłoki przy pomocy samolotów — Matriona kiwa głową, siedząc na piecu:

— O rety, laboga, cosik nam musowo zamienią, albo zimę albo lato...

Był program rosyjskich pieśni w wykonaniu Szaliapina. Matriona stała długi czas, słuchała, potem oświadczyła zdecydowanie:

— Dziwacznie śpiewają, nie po naszemu.

— Ależ Matriona Wasiljewna, jak można, proszę przysłuchać się lepiej!

Posłuchała jeszcze chwilę. Zacisnęła wargi.

— Nie. To nie tak. Nie naszym sposobem. I głosem jakości wydziwia.

Dopiero innym razem Matriona dała mi zadośćuczynienie. Kiedyś nadawali koncert romansów Hlinki. Po kilku kameralnych romansach Matriona wyszła z za przepierzenia rozczulona, z mgiełką łez w wyblakłych oczach, i mnąc fartuch w rękach, wyszeptała:

— A teraz to tak — to po naszemu...

2

Powoli Matriona przyzwyczała się do mnie, a ja do niej, i mieszkaliśmy razem po prostu, bez ceremonii. Nigdy mi nie dokuczała żadnymi pytaniami. Czy do tego stopnia była pozbyta babskiej ciekawości, czy na tyle była delikatna, dość, że ani razu mnie nie spytała, czy byłem kiedykolwiek żonaty. Wszystkie talnowieckie baby nie dawały jej spokoju — chciałyby wszystko o mnie wiedzieć. Matriona odpowiadała niezmiennie:

— Wam to potrzebne — to same pytajcie. Jedno tylko wiem — człowiek *daleki*.

A kiedy po pewnym czasie sam jej powiedziałem, że długie lata przesiedziałem w więzieniu, Matriona tylko pokiwała głową, jak gdyby to podejrzewała znacznie wcześniej.

Więc ja także widziałem w tej zniszczonej, starej kobiecie jedynie dzień dzisiejszy i nie grzebałem się w jej przeszłości, nie podejrzewając nawet, żeby było w niej cokolwiek do szukania.

Wiedziałem, że Matriona wyszła za mąż jeszcze przed rewolucją, i właśnie do tego domu, w którym teraz razem mieszkaliśmy, i od razu od pierwszego dnia musiała *stanąć przy piecu*, to znaczy, że nie żyła ani świekra, ani starsza niezamężna szwagrowa, więc od pierwszego poślubnego rana zabrała się do garnków. Wiedziałem, że miała sześcioro dzieci i że wszystkie umarły, jedno po drugim, w bardzo wczesnym wieku, a dwoje pierwszych tuż po urodzeniu. Potem zjawiała się jakaś wychowanica, Kira.

Zaś mąż Matriony nie wrócił z ostatniej wojny. Nawet żałobnego nabożeństwa nie można było po nim odprawić. Koledzy z kompanii, którzy byli z tej samej wsi, opowiadali, że albo dostał się do niewoli, albo zginął, ale ciała nie znaleziono. W ciągu ośmiu powojennych lat Matriona sama doszła do wniosku, że nie żyje. I dobrze, że tak myślała. Nawet gdyby żył, to pewnie gdzieś w Brazylii albo Australii, i żonaty z inną. Wieś Talnowo i mowa rosyjska jużby się pewnie zatarły się w jego pamięci...



Któregoś dnia, po przyjeździe ze szkoły, zastałem w domu gościa. Wysoki, czarny starzec, z czapką na kolanach, siedział na krześle, które Matriona wysunęła na środek izby, bliżej „holenderskiego” pieca. Ze wszystkich stron twarz starca otaczały gęste czarne włosy, prawie nietknięte siwizną. Z czarną szeroką brodą łączyły się równie czarne, obfite wąsy, tak że usta prawie zupełnie zniknęły; czarne gęste bokobrody, przesłaniając uszy, szły ku czarnym kudłom zwisającym z ciemienia; a ponadto jeszcze szerokie czarne brwi jak dwa mosty rzucone jeden drugiemu naprzeciw. Tylko czoło łysym sklepieniem przechodziło w wielką łysą czaszkę. Cały jego wygląd zrobił na mnie wrażenie dostojęstwa i dużej życiowej wiedzy. Siedział wyprostowany, z rękami złożonymi na posochu, ukośnie wpartym w podłogę, w pozycji cierpliwego wyczekiwania, i najwidoczniej niewiele rozmawiał z Matrioną, która krzątała się za przepierzeniem.

Kiedym wszedł, starzec płynnym ruchem zwrócił ku mnie swoją majestatyczną głowę i nagle odezwał się bezpośrednio:

— Dobrodzieju! Widzę źle, ledwie was dostrzegam. Syn mój u was się uczy. Grigorjew się nazywa, Antoszka...

Mógłby już dalej nie mówić. Przy całej mojej intencji przyjęcia z pomocą temu szacunek budzącemu starcowi, z góry wiedziałem, co mi powie, i z góry musiałem odpowiedzieć odmownie. Antoszka Grigorjew był okrągłym, rumianym malcem z 8-iej „G”; wyglądał jak kot po szperce. Wyglądało też na to, że do szkoły przychodził na odpoczynek, siedział w ławce i leniwie uśmiechał się. O jakimś odrabianiu lekcji w domu w ogóle nie było mowy. Walcząc o utrzymanie wysokiego odsetka dobrych wyników w nauce, czym słynęły szkoły naszego rejonu, okręgów i sąsiednich okręgów, z roku na rok pozwalano mu przechodzić do następnej klasy i Antoszka wyraźnie zdał sobie sprawę, że pomimo wszelkich nauczycielskich odgrzań się i tak przy końcu roku przejdzie dalej, więc uczyć się nie ma potrzeby. Po prostu kpił sobie z nas w żywe oczy. Był już w 8-iej klasie, a nie miał

pojęcia o ułamkach i nie potrafił odróżnić rodzajów trójkątów. Po pierwszym okresie obstarwiłem go szczerze dwójami i takie same dwóje oczekiwały go także w trzecim okresie.

Ale jakże miałem temu na pół ślepego starcowi, który nadawał się bardziej na dziada niż na ojca tego Antoszki, a teraz przychodził do mnie z uniżoną prośbą — jak miałem mu powiedzieć, że z roku na rok szkoła go oszukiwała, że dłużej oszukiwać nie mogę, bo w przeciwnym razie rozbiję całą klasę i sam zamienię się w pajaca, i wyrzucę na śmietnik całą moją pracę i moją wiedzę?

Tłumaczyłem mu z całą cierpliwością, że jego syn bardzo opuścił się, że oszukuje zarówno w szkole jak w domu, trzeba dziennik ze stopniami jak najczęściej sprawdzać i zabrać się do chłopaka ostro ze wszystkich stron.

— Dobrodzieju, toż ostrzej już nie można — zapewniał mnie starzec. — Tłukę go teraz przez cały tydzień. A rękę mam ciężką.

W czasie tej rozmowy przypominałem sobie, że kiedyś także Matriona z jakichś powodów wstawiała się za Antoszką Grigorjewym, ale nie zapytałem, czy jest jej krewniakiem, i także wtedy odmówiłem. A teraz Matriona stała w kuchennych drzwiach, niby milcząca suplikantka. A kiedy Fadij Mironowicz pożegnał się, z tym, że będzie przychodzić od czasu do czasu, dowiadywać się o syna — zapytałem:

— Matriona Wasiljewna, nie umiem domyśleć się — jakże ten Antoszka wam przypada, krewny?

— Syn mojego dziewierza — odpowiedziała Matriona dość oschle i poszła doić swoją kozę.

Po zastanowieniu się zrozumiałem, że ten czarny, stanowczy starzec to rodzony brat jej męża, który zaginął bez śladu.

Minęło długie popołudnie — Matriona nie poruszała więcej tej sprawy. Dopiero późnym wieczorem, kiedy już dawno zapomniałem o staruchu i pracowałem w ciszy do wtóru szeleszczących karaluchów i ściennego zegara, Matriona raptem odezwała się ze swego ciemnego kąta:

— A wiesz, Ignatycz, zem się kiedyś za niego omal za mąż nie wydała...

Ja nawet o obecności Matriony zapomniałem, nie słyszałem jej, a ona powiedziała to z takim przejęciem, jak gdyby ten starzec po dziś dzień o nią się rozbijał.

Widocznie Matriona przez cały wieczór myślała tylko o nim,

Podniosła się z nędznego łóżka zaścielonego łachmanami i powoli szła do mnie tak, jak gdyby ją prowadziły jej własne

słowa. Odrzuciłem się całym sobą wstecz i po raz pierwszy ujrzałem Matrionę zupełnie inaczej niż dotychczas.

W dużej izbie, zastawionej fikusami jak lasem, światła pod pułapem nie było. Od lampy, stojącej na stole odbłask padał kuliście na rozłożone zeszyty, a gdy się oderwało od niego oczy, zdawało się, że w całej izbie stoi półmrok, z lekka zabarwiony na różowo. Z tego półmroku wynurzała się Matriona i przywidziało mi się, że jej policzki nie są żółte, jak zazwyczaj, lecz także różowe.

— Fadij do mnie pierwszy swatów przysyłał... jeszcze przed Efimem... Starszy brat... Miałam wtedy dziewiętnaście, a Fadij — dwadzieścia trzy... W tym samym domu mieszkał. To jeich był dom. Przez jeich ojca budowany.

Mimowoli rozejrzałem się. Ten stary, szary, gnijący już dom nagle objawił mi się zupełnie innym: poprzez bladzieloną warstwę tapet, za którymi latały myszy, przywidziały się młode ściany z jasnych, ledwie okorowanych okrągłaków, wydających radosną woń żywicy.

— A wy co...? I cóż się stało...?

— W owe lato... chodzili my razem w gajku posiedzieć... — wyszeptała Matriona. — Tamuj gajk był, gdzie teraz stajnia kołchozu, wycieli go... Mało, Ignatycz, brakowało, byłabym się wydała. Przyszła ta wojna z Germańcem. Wzięli Fadij na wojnę.

Rzuciła tych kilka słów — i natychmiast stanął przede mną lipiec czternastego roku: błękitno-biały i złocisty. Spokojne jeszcze niebo, płynące obłoki i tłumy ludu rojącego się przy dostających żniwach. Wyobraziłem sobie tych dwoje razem: on — czarnowłosa i czanobrewy siłacz, z kosą przerzuconą przez ramię; ona — rumiana, trzymająca snop żyta w objęciach. I pieśń, bijąca pod samo niebo, pieśń jakiej dziś, przy zmechanizowanej pracy, nikt już nie zaśpiewa.

— Poszedł na wojnę — zaginął... Przyciżłam się przez trzy lata, czekałam. I nic — ani jednej wieści, ani wiatr zaszeleścił...

W niejasnych, łagodnych odbłyśkach lampy okrągła twarz Matriony, obwiązana starą, wypłowiałą chusteczką, patrzyła na mnie jakaś inna, pozbyta zmarszczek, całego powszedniego zaniedbania — przestraszona, dziewicza, znajdująca się przed strasznym wyborem.

Tak, tak... Rozumiem dobrze... Zlatywało listowie, padał śnieg — potem topniał. Znowu orali, znowu siali, znowu żęli. I znowu opadało listowie i znowu padał śnieg. Jedna rewolucja. Druga rewolucja. I cały świat przewrócił się do góry nogami.

— Matka jeich umarła i drugi brat, Efim, zaczął mnie swatać. Że niby, chciałaś do naszej chałupy iść, no, to chodź.

Efim był młodszy ode mnie o rok. Jest u nas taka gadka: mądra idzie za mąż po Marii Panny Opiekuńczej, a głupia — po Świętym Pietrze. Ręk u nich do pracy brakowało. Poszła ja za Efima... Na świętego Pietra żeśmy się pobrali, a w grudniu, na świętego Mikołaja... wrócił... Fadiej... z madziarskiej niewoli...

Matriona zamknęła oczy.

Milczałem.

Zwróciła się ku drzwiom, jak do żywej osoby:

— Stał na progu. A ja od razu w krzyk! Do nóg bym mu się rzuciła! Ale nie można... No, powiada, gdyby to nie był mój rodzony brat, to bym was oboje zarząbał na miejscu!

Wzdrygnąłem się. Czy dlatego, że była taka przejęta czy przestraszona, wyobraziłem sobie wyraziście, jak stoi, czarny, w mrocznych drzwiach, i siekierą zamierza się na Matryonę.

Stara uspokoiła się nieco, oparła się o stojące przed nią krzesło i zaczęła opowiadać śpiewnym głosem:

— Oj rety, oj, laboga, nieszczęsna moja głowa! Tyle dziewczuch na wydaniu było we wsi — nie ożenił się z żadną. Zapowiedział: będę szukać takiej, żeby twoje imię miała — drugiej Matryony. No, i przyprowadził sobie z Lipowki tę drugą Matryonę, postawili z okrągłaków osobną chałupę, w której po dziś dzień mieszkają, ty koło nich codziennie w drodze do szkoły przechodzisz.

A więc to tak! Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że tę drugą Matryonę widziałem już nie raz. Nie lubiłem jej; ciągle przychodziła do mojej Matryony skarżyć się na męża, że ją bije i że stary kutwa, żyły z niej wyciąga, i całymi godzinami płakała w naszym domu i w ogóle jej głos zawsze podszyty był płaczem.

Wynikało więc, że moja Matriona nie powinna była żałować tego co się stało, skoro Fadiej przez całe życie i aż po dziś dzień bija swoją Matryonę i trzyma cały dom w zaciśniętej pięści.

— A mój nie tknął mnie ani-ani — opowiadała Matriona o Efimie. — We wsi to się na inszych chłopów rzucał z pięściami, a mnie — ani-ani... Raz tylko jeden zdarzyło się — poswarzyłam się ze szwagrową, to mi łyżką przygrzał po łbie. Jak się nie zerwę od stołu: „Ażebyście, trutnie, skołowacieli, ażebyście się udławili!”. — I poszłam w las. Więcej już nie tknął.

Zdaje się, że Fadiejowi też nie było czego żałować: ta druga Matriona urodziła mu także sześcioro dzieci (jeden z nich to mój Antoszka, ostatni już wyskrobek) — i wszystkie wyżyły, a Matryony i Efima dzieci się nie trzymały: żyły najwyżej do trzech miesięcy i umierały wszystkie, na nic nie chorując.

— Jedna córeczka, Helena, ledwie urodziła się, wykąpali ją żywą — i zara pomarła. To już martwego ciała obmywać nie było potraza... Gody sprawiliśmy na świętego Piotra, a szóste dziecko, Aleksandra, w ten sam dzień pochowałam.

Doszła cała wieś do wniosku, że Matriona jest popsuta.

— Zły urok we mnie siedzi! — jeszcze i teraz mówiła Matriona z przekonaniem. — Wozili mnie do jednej takiej, co dawniej mniszką była w klasztorze, żeby mnie lekowała. To mnie do kaszłania zmuszała, myślała, że ze mnie ten urok zabą wyskoczy. No, cóż zrobić — nie wyskoczył...

I płynęły lata jak woda w rzece... Fadieja w czterdziestym pierwszym nie wzięli na wojnę, bo ślepowały, za to wzięli Efi-ma. I podobnie jak starszy brat zaginął na pierwszej wojnie światowej, tak młodszy zaginął na drugiej. Ale ten nigdy już nie powrócił. Gniła i chyliła się od starości niegdyś gwarna, a obecnie opustoszała chałupa i starzała się samotna Matriona, pozbawiona czyjejkolwiek opieki.

Poszła do tej drugiej Matriony prosić o maleńki owoc jej żywota (a może chodziło o krew z krwi Fadieja?) — o najmłodszą córeczkę Kirę.

Przez całe dziesięć lat wychowywała w swym domu jak własną, zamiast tych, co poumierały. Na krótko przed moim przybyciem wydała Kirę za młodego maszynistę z Czeruści. I tylko stamtąd sączyła się skąpa pomoc: niekiedy odrobinka cukru, albo słoniny, jeżeli zarznęli prosiaka.

Stale niedomagając i czując zbliżanie się śmierci, zaraz po ślubie Kiry Matriona oznajmiła swoją ostatnią wolę: oddzielnie stojący budynek z okraglaków, z *komnatą*, ma przypaść po jej śmierci Kirze. O samej chałupie nie powiedziała ani słowa. Trzy pozostałe siostry liczyły, że otrzymają ją w spadku.

Tego wieczoru Matriona wywnętrzyła się przede mną całkowicie. I jak to się zdarza, ledwie rozegnał się w sensie i powiązaniach jej życia, w tym samym czasie cały mechanizm poszedł w ruch. Kira przyjechała z Czeruści i stary Fadij od razu zaniepokoił się; aby otrzymać na stałe niewielką parcelę, trzeba było postawić na niej jakikolwiek budynek, będący własnością młodej pary. *Komnata* Matriony nadawała się do tego jak ulał. A nic innego zbudować nie było można, bo nie było sposobu na zdobycie budulca. Samej Kirze i jej mężowi nawet tak bardzo na tym nie zależało, ale stary Fadij zapalił się i postanowił, że młodzi za wszelką cenę muszą zdobyć tę parcelę.

Fadij zaczął przychodzić coraz częściej, raz, drugi, wygłaszał Matrionie perory i żądał, by oddała budynek od razu, jeszcze za życia. W czasie tych wizyt już nie wydawał mi się starcem,

wspartym na lasce, który rozsypałby się od jednego pchnięcia albo brutalnego słowa. Choć przygarbiony dolegliwością, która wlaźła mu w krzyżę, ale ciągle jeszcze postawny, z gęstymi, czarnymi włosami, chociaż już po sześćdziesiątce, Fadiej nastawał z niecierpliwym uporem.

Matriona nie spała przez dwie noce. Niełatwa to była decyzja. Nie żałowała samego budynku, który stał pustką, jak zresztą nie żałowała nigdy ani swego dobytku ani swojej pracy. A komnata przecież i tak była obiecana Kirze w spadku. Ale brał ją lęk, że jakże to rozbierać wspólny gmach, pod którym przemieszkała całe czterdzieści lat. Nawet mnie, zwykłemu lokatorowi, robiło się nieprzyjemnie na myśl, że zaczną odrywać deski i wyłamywać okrągłaki ze ścian domu. Zaś dla Matriony to był koniec całego jej życia.

Ci jednak, którzy nalegali, wiedzieli, że zagrodę można okaleczyć nawet za życia Matriony.

Któregoś lutowego poranka Fadiej przyszedł razem z synami i zięciami. Poszło w ruch pięć toporów, zajęczały, zaskrzypiały odrywane deski. Staremu oczy błyszczały — znał się dobrze na rzeczy. Mimo że nie był w stanie dobrze rozprostować grzbietu, zwinnie wyłaził pod krokwie, albo krzątał się na dole, pokrzykując na pomocników. Jeszcze jako młody chłopiec budował ten dom razem z ojcem; to dla niego ścinano te okrągłaki, z których powstała komnata, dla niego, starszego syna, by w niej zamieszkał z młodą żoną. A teraz z zawziętością rozbierał budynek, żebro po żebro, żeby wywieźć z obcej zagrody.

Poznaczyli numerami okrągłaki, przyciski i deski pułapu; rozebrali komnatę razem z komorą, zaś otwór jaki powstał z tej strony w chałupie, zastawili przegródką z tarcic. Szczelin między tarcicami nie zatykano; wszystko wskazywało, że chodziło im tylko o rozbiórkę i że nie przypuszczają, by Matriona miała długo jeszcze pomieszkać w tym domu.

Podczas gdy mężczyźni pracowali przy rozbiórcie, kobiety zajęły się przygotowaniem samogonu na dzień wywózki; wódka wypadłaby zbyt drogo. Kira przywiozła z Moskiewskiego okręgu pud cukru i Matriona Wasiljewna zaniósła go w nocy razem z fiolkami do nielegalnej gorzelni.

Kiedy wszystkie okrągłaki zostały złożone w stertę za bramą, zięć-maszynista pojechał do Czeruści po traktor.

Ale tego samego dnia zaczęła się zamieć — *dujawica*, jak ją nazywała Matriona. Szalała i kręciła przez dwie doby i zaniósła drogę olbrzymimi zaspami. Potem, ledwie nieco przetarto drogę i przeszły po niej pierwsze ciężarówki, nagle ociepliło się, śniegi

stopniały, podniosły się wilgotne mgły, szumiały strumienie, zło-
biące śnieg, i buty grzęzły na całą wysokość cholewy.

Przez dwa tygodnie rozebrana przybudówka broniła się przed traktorem! Przez te dwa tygodnie Matriona chodziła jakby była skazana na stracenie. Najciężej przeżyła rozmowę z trzema siostrami, które przyszły, zgodnie zwymyślały ją, że durna, że nie powinna była budynku oddawać, i poszły, zapowiadawszy, iż nie chcą więcej jej widzieć.

W tym samym czasie kot-kuternoga odbił się jakoś od do-
mu — i przepadł. Wszystko do kupy. To ostatecznie dobiło Ma-
trionę.

Nareszcie rozmięknęła drogę chwyciło mrozem. Przyszedł sło-
neczny dzień i zrobiło się radośnie na duszy. W przeddzień Ma-
triona miała jakiś przyjemny sen. Wczesnym rankiem dowiedziała
się, że pragnę zrobić zdjęcie kogoś stojącego za starym tkackim
warsztatem (w dwóch domach we wsi były jeszcze dwa takie
krosna, tkano na nich grube chodniki na podłogę) — i uśmiech-
nęła się wstydliwie.

— Zaczekaj, Ignatycz, tych parę dni. Załatwią, okrągłaki
zabiorą — złożę krosna do kupy — mam je w całości — zrobisz
wtedy zdjęcie. Jak Bożię miłuję, prawda!

Widocznie, rada by pokazać się po dawnemu, jak niegdyś
bywało. Czerwone zimowe słońce zaróżowiło zlodowaciałe okno
sionek, teraz krótszych niż były, i jego odblask rozgrzał twarz
Matriony. Takie osoby miewają twarze przyjemne, które pozostają
w zgodzie ze swoim sumieniem.

Wracając ze szkoły przed zmierzchem, dostrzegłem ruch ko-
ło naszego domu. Nowe, wielkie sanie, doczepione do traktora,
były naładowane okrągłakami, ale duża ich część nie zmieściła
się, więc rodzina starego Fadiejaja, przy pomocy zaproszonych
osób majstrowała na prędcie jeszcze jedno dodatkowe sanie. Pra-
cowali zaciekle, po wariacku, jak to bywa w tych wypadkach,
gdy w perspektywie są grube pieniądze, albo dobra popijawa.
Pokrzykiwali jeden na drugiego, sprzeczały się.

Chodziło o to, czy wieźć wszystko jednocześnie, czy kolej-
no. Jeden z synów Fadiejaja, utykający na nogę, i zięć-maszynista
tłumaczyli, że wieźć jednocześnie nie można — traktor nie da
rady. Natomiast traktorzysta, pewny siebie chłop na schwał, o
wypasionych pyskach, odpowiadał zachrypniętym głosem, że się
rozeznaje lepiej, że to on jest kierowcą i podejmuje się dostarczyć
jedne i drugie sanie razem. Kalkulacja nie ulegała wątpliwości:
zgodnie z umową maszynista płacił za cały transport, a nie za
ilość obrotów. Dwóch obrotów w ciągu nocy — po dwadzieścia
pięć kilometrów każdy — nie byłby w stanie odwalić. Na rano

musiał już być z traktorem w garażu, skąd wyprowadził maszynę dla roboty na *lewo*.

Staremu Fadiejowi spieszyło się, żeby zabrać jeszcze dziś cały rozebrany materiał, więc dał swoim znak, że należy ustąpić. Te drubie, byle jak, w pośpiechu sklecone sanie doczepili do pierwszych.

Matriona biegała wśród mężczyzn, krzątała się i pomagała nakładać okrągłaki na sanie. Dopiero wtedy zauważyłem, że ma na sobie mój kaftan i nawet zdążyła już zabrudzić rękawy o oblodzone bierwiona, więc, niezadowolony, zwróciłem jej na to uwagę. Ten kaftan to była pamiątka, grzał mnie w ciągu najcięższych lat.

Wtedy po raz pierwszy rozgniewałem się na Matryonę Wasiljewnę.

— O, rety, la-boga, głupia moja głowa! — zaambarasowała się Matriona. — W biegu go złapałam, ani wiedziałam, że nie mój. Ignatycz, nie bierz mi za złe! — Zdjęła kaftan, powiesiła go, żeby wyschnął.

Wreszcie skończyli ładować i wszyscy, którzy brali udział w pracy, z hałasem przeszli obok mojego stołu do kuchenki. Rozległ się głuchy brzęk szklanek, czasem zadzwieczała flacha, głosy stawały się coraz bardziej podniesione, samochwalstwo — coraz bardziej zaczepne. A już najbardziej chełpił się traktorzysta. Poczulem ciężki smród samogonu. Ale pijaństwo trwało niezbyt długo — zapadał mrok, trzeba było spieszyć się. Wychodzili jeden po drugim. Pierwszy traktorzysta — gęba sztywna, pewna siebie. Towarzyszyć saniom do Czeruści miał zięć-maszynista, kula-wy syn Fadiej i jeszcze jakiś bratanek. Cała reszta wracała do domu. Fadiej wymachiwał laską, doganiał kogoś, starał się coś mu wytłumaczyć. Kulawy syn zatrzymał się przy moim stole, żeby zakurzyć, i nagle zaczął opowiadać, jak bardzo kocha ciotkę Matryonę, że ożenił się niedawno i że właśnie syn mu się urodził. I zaraz go zawołali, poszedł. Za oknem huczał motor traktoru.

Matriona wyskoczyła z za przepierzenia ostatnia, bardzo się spieszyła. Włożyła ciepły kaftan, narzuciła na siebie chustkę. Już w drzwiach zwróciła się do mnie:

— A dlaczego też dwóch nie przywieźli? Jakby jeden traktor nie dał rady, to by drugi mu dopomógł. A tak, jeden Pan Bóg wie, co też może się narobić!

I pobiegła za odchodzącymi.

Po pijaństwie, kłótniach i rozrabianiu opustoszała chałupa wydała się wyjątkowo cicha. Było zimno na skutek częstego otwierania drzwi. Za oknami zapadł zupełny mrok. Otuliłem się kafta-

nem i siadłem do sprawdzania zeszytów. Hałas traktora ucichł w oddaleniu.

Minęła godzina, druga. Potem trzecia. Matriona nie wracała, ale to mnie nie dziwiło; najwidoczniej, po odprowadzeniu sań poszła do swojej Maszy.

I jeszcze jedna godzina i jeszcze. Nie tylko mrok, jeszcze jakaś wyjątkowo głęboka cisza zeszała na wioskę. Wtedy nie rozumiałem, dlaczego taka cisza, a potem wyszło na jaw, że przez cały czas po torze kolejowym, odległym od nas o pół wiorsty, nie przeszedł ani jeden pociąg. Zgaszone radio milczało. Zauważyłem, że myszy rozhałasowały się, jak nigdy: coraz beczelniej, coraz głośniej latały za tapetami, chrobotwały i piszczały.

Zbudziłem się. Była pierwsza w nocy, a Matriona jeszcze nie wróciła.

Nagle usłyszałem kilka donośnych głosów. Sły przez wieś, były jeszcze daleko, ale coś mnie tknęło, że to do nas. Istotnie po krótkiej chwili rozległo się gwałtowne łomotanie do bramy. Nieznany, rozkazujący głos krzychał, żeby otworzyć. Wziąłem elektryczną latarkę i wyszedłem z gęsty mrok. Cała wieś spała, w oknach nie było świateł, śnieg w ciągu ostatniego tygodnia stopniał na powierzchni i nie dawał odbłasku. Odsunąłem dolny skobel i wpuściłem przybyszy. Do chałupy weszło czterech w szynelach. To bardzo nieprzyjemna rzecz, gdy przychodzą w nocy i z hałasem ludzie w szynelach.

Ale przy świetle rozeznałem, że dwóch z nich ma na sobie kolejarские płaszcze. Starszy, z wypasioną gębą, zupełnie jak u traktorzysty, zapytał:

— Gdzie gospodyni?

— Nie wiem.

— Traktor z saniami wyjechał z tej zagrody?

— Owszem.

— A przed wyjazdem popijali?

Wszyscy czterej mrużyli oczy, rozglądali się w półmroku, idącym aż do lampy na stole. Zrozumiałem, że ktoś został aresztowany, albo że ma być aresztowany.

— A co właściwie się stało?

— Odpowiadać, jak was pytają!

— Ale przecież...

— Byli pijani jak wyjechali?

— Przed wyjazdem pili?

Zabił kto kogo? Czy przewożenie rozebranego budynku jest nielegalne? Jakoś za bardzo mnie przyciskali. Jedno wydawało się oczywiste: za samogon Matriona może dostać ciężki wyrok.

Cofnąłem się ku drzwiom od kuchenki i zagroziłem je sobą.

— Doprawdy, nie zauważyłem. Nic takiego nie widziałem. Istotnie, nie widziałem, jedynie słyszałem.

Z lekka zakłopotanym gestem dłoni pokazałem im najbardziej normalne wnętrze izby: spokojne światło lampy padające na zeszyty i książki na stole, gromadę wystraszonych fikusów, twarde łóżko pustelnika. Najmniejszych śladów hulanki.

Ale już oni sami dostrzegli z niezadowoleniem, że żadnego pijaństwa tu nie było. Zawrócili do wyjścia, mówiąc między sobą, że, widocznie, pijaństwa w tym domu nie było, ale byłoby dobrze sprawdzić, czy miało miejsce gdzie indziej. Odprowadzając ich, rozpytywałem, co się stało. Dopiero w furtce jeden z nich mruknął niechętnie:

— Rozwaliło ich wszystkich. Pozbierać będzie trudno.

A drugi dodał:

— To drobiazg. A ot, numer dwudziesty pierwszy mało co z szyn nie wyskoczył, to by dopiero była draka.

I poszli w pośpiechu.

Wróciłem do izby oszołomiony. Ich — to znaczy kogo? Ich wszystkich? Gdzie się podziewa Matriona?

Odsunąłem zasłonę i przeszedłem do kuchni. Uderzył we mnie smród samogonu. To było coś w rodzaju porzuconego pobojuwiska — zsunięte stołki i ławki, poprzewracane puste butelki, jedna z nich niedopita, szklanki, resztki śledzi, cebuli i kawałków słoniny.

Pobojuwisko było martwe. I tylko karaluchy spokojnie łąziły po polu bitwy.

Co oni mówili o ekspresie numer dwadzieścia jeden? Z jakiego powodu? Może, powinienem był im pokazać to wszystko? Zaczynałem mieć wątpliwości. Ale cóż to za przekłety zwyczaj — nie udzielić wyjaśnień człowiekowi, tylko dlatego, że nie jest urzędnikiem!

Nagle skrzypnęła furtka. Wyszedłem pospiesznie na pomost.

— Matriona Wasijlewna?

Otworzyły się drzwi. Masza, przyjaciółka Matriony, weszła, zataczając się, zaciskając ręce.

— Matriona... Ignatycz, nasza Matriona...

Zmusiłem ją, żeby usiadła. Mieszając słowa ze łzami, opowiedziała mi wszystko.

Przejazd kolejowy na wzgórzu, ostry podjazd pod górę. Nie ma szlabanu. Pierwsze sanie traktor przeciągnął, ale żelazny zaczep pękł i drugie sanie własnej roboty ugrzęzły na przejeździe i zaczęły się rozsypywać — Fadij pożałował dobrego drzewa na

te drugie sanie. Odwieźli na bok te pierwsze, wrócili po drugie, przyczep zaczęli naprawiać — traktorzysta i kulawy syn Fadieja, i razem z nimi, między traktor i sanie musiała się wpakować Matriona. Cóż ona tam mogła chłopom pomóc? Zawsze do chłopskich spraw się mieszała. Kiedyś koń mało co jej do przerebli nie zepchnął, do jeziora. I po co na ten przekłety przejazd polazła? — oddała okrągłaki, w porządku, rozliczyła się... Maszynista ciągle patrzył, żeby pociąg z Czeruści nie nadleciał, bo to światła widać z daleka, a tu z drugiej strony, od naszej stacji szły dwie sprężone lokomotywy — tyłem i bez świateł. Dlaczego bez świateł — nie wiadomo, a jak lokomotywa idzie do tyłu, maszyniście sypie w oczy węgielnym pyłem, patrzeć źle. Rąbnęli w tych, co byli między traktorem i saniami, poszatkowali ich. Traktor rozwalony, sanie w drobny mak, szyny do góry, stanęły dęba, a obydwie lokomotywy precz z nasypu...

— Jakże to nie usłyszeli, że zbliżają się lokomotywy?

— Traktor był w ruchu. hałasował...

— A co z trupami?

— Nie puszczają. Obstawili kordonem.

— A co to było z ekspresem? Coś słyszałem, że ekspres?...

— A bo ekspres, ten o dziesiątej — przez naszą stację przeleciał i zbliża się do przejazdu. Ale jak lokomotywy się zwały, obydwa maszyniści uratowali się, zeskoczyli i pobiegli do tyłu, na szynach stoją, rękami machają — to udało się im pociąg zatrzymać... Bratanka także okrągłakiem zraniło. Chowa się teraz u Kławki, żeby się nikt nie dowiedział, że on także był na przejeździe. Bo jak nie, będą ciągać za świadka! Kto nie widział, nie wie, spokojnie na piecu śpi, a kto widział, tego na postrońku prowadzą... A Kiry mąż — ani go zadrasnęło. Wieszać się chciał, w ostatniej chwili stryczek odcięli. To przeze mnie, powiada, ciotuczna zginęła i brat. Zgłosił się teraz, sam na siebie areszt nałożył. Ale co tam, jemu teraz nie do więzienia, ino do domu wariatów. Ach, Matriona nasza, Matrionuszka!

Nie ma Matriony. Zabili kochaną, zginęła. I to właśnie ostatniego dnia skarciłem ją za ten kaftan...!

Jaskrawa, czerwono-żółta baba z plakatu uśmiechała się radośnie.

Ciotka Masza posiedziała jeszcze trochę, popłakała. Już wstała, szykując się do wyjścia, i nagle zapytała:

— Ignatycz! Pamiętasz... kaftanik z wełny Matriona miała... szarego koloru... Obiecała go po swojej śmierci mojej Tańce, prawda, że obiecała?

I patrzyła na mnie z nadzieją w półmroku — czyżbym zapomniał?

Owszem, pamiętałem.

— Tak jest, obiecała.

— To słuchaj, może, jakbyś pozwolił, zabiorę go teraz... Jutro, jak rodzina się zleci, już bym wtedy nie dostała.

Znowu patrzyła na mnie błagalną nadzieją — ona, przyjaciółka od pięćdziesięciu lat, jedyna we wsi, która naprawdę kochała Matryonę...

Widocznie, tak właśnie powinno być.

— Naturalnie... Bierzcie... — potwierdziłem.

Otworzyła kuferek, wyciągnęła kaftanik, schowała pod pokład kubraka, poszła.

Myszy jak gdyby oszalały, rozwydrzyły się tak, że aż zielone tapety niemal widzialnie falowały od ich lataniny...

Rankiem czekała mnie szkoła. Była godzina trzecia w nocy. Więc tylko jeden sposób: zamknąć drzwi i kłaść się spać.

Drzwi można zamknąć, bo Matryona już nie przyjdzie.

Położyłem się, nie gasząc światła. Myszy piszczały, prawie jęczały i latały bez przerwy. Znużona, niekoordynująca niczego głowa nie była w stanie pozbyć się trwożnej myśli, że to niewidzialna Matryona rzuca się i żegna ze swoim domem.

I nagle wyobraziłem sobie, że w półmroku, przy wejściowych drzwiach stoi czarny, młody Fadij z uniesioną siekierą:

„Gdyby to nie był mój rodzony brat, to bym was oboje zarząbał na miejscu!”.

Czterdzieści lat leżała ta groźba gdzieś w kącie, jak stary tasak — a jednak w końcu spełniła się...

3

O świtaniu kobiety przywiozły na saniach, pod zarzuconym, brudnym workiem, to, co zostało z Matryony. Podniosły worek, aby obmyć ciało. To była krwawa miazga — brakowało nóg, połowy tułowia i lewej ręki. Jedna z kobiet powiedziała:

— Prawą rączkę Pan Bóg jej zostawił. Żeby tam miała czym przeżegnać się podczas modlitwy...

I oto całą gromadę fikusów wyniesiono z domu. Tych fikusów, które Matryona tak bardzo lubiła, że gdy któreś nocy zbudził ją dym, rzuciła się nie do ratowania domu, lecz do fikusów — przewracać je na podłogę, żeby nie udusiły się dymem. A teraz wyniesiono fikusy, zamieciono na czysto podłogi. Zmącone lustro Matryony zawieszono szerokim ręcznikiem, utkany przed laty starym sposobem. Pozdejmovano ze ściany niepotrzebne

plakaty. Odsunięto na bok mój stół. Blżej okien, pod ikonami ustawiono na stołkach trumnę, zbitą z prostych desek.

W trumnie leżała Matriona. Pod czystym prześcieradłem jej zmasakrowane, prawie nieobecne ciało, na głowie biała chustka — a twarz była nienaruszona, spokojna, zdawało się, raczej żywa niż martwa.

Wiejscy ludzie przychodzili, żeby postać, popatrzeć. Kobiety przyprowadzały małe dzieci — niech rzucą jedno spojrzenie na umarłą. A jeżeli ktoś zaczynał płakać, wszystkie kobiety, choćby która wstąpiła do izby ze zwykłej ciekawości, wszystkie obowiązkowo popłakiwały wzdłuż ścian i od drzwi, wtórując całym chórem. Tylko mężczyźni stali w milczeniu, wyprostowani, bez czapek.

Ale dyrygowanie zbiorowym płaczem należało do krewnych. Zauważyłem, że był w tym swoisty ład, obmyślony na zimno, wprowadzony za niepamiętnych czasów. Te kobiety, które z nieboszczką łączyło niewiele, podchodziły do trumny na krótko i już przy trumnie zawodziły po cichu. Krewniaczki zaczynały płakać już na progu, a po zbliżeniu się do trumny zawodziły pochylone nad samą twarzą zmarłej. Każda płaczka zawodziła na swoją własną nutę. Zawodząc, wyrażała własne uczucia i myśli.

Wtedy też dowiedziałem się, że ten płacz nie jest tylko płaczem, lecz także swoistą polityką. Przyleciały trzy siostry Matriony, żeby wziąć na własność dom razem z piecem i kozą, zamknęły jej kufer na kłódkę, spod podszewki pałta wypruły dwieście rubli przeznaczone na pochówek, wszystkim, co przychodzili, tłumaczyły, że tylko one stanowią bliską rodzinę Matriony. A nad trumną zawodziły w następujący sposób:

— Aj, nianiusiu ty nasza! Aj, piastuneczko najukochańsza! Ty nasza jedna jedyna! A żyłabyś sobie w ciszy i spokoju! A my byśmy się zawsze tobą opiekowały! A zgubiła ciebie ta *komnata*! Wykończyła cię do reszty, przeklęta! A po cożes ją rozbięrała? A czemu żeś się nas nie posłuchała?!

Tak oto ten siostrzany płacz zamieniał się w oskarżenie rodziny jej męża: nie trzeba było Matriony zmuszać do rozbiórki budynku. (Zaś pod słowami czał się jeszcze inny sens: komnatę wprawdzie zabraliście, ale samego domu to my wam nie oddamy!).

Zaś krewne męża — szwagierki Matriony, siostry Efima i Fadieja, i jeszcze różne bratanice i siostrzenice przychodziły i zawodziły w następujący sposób:

— Ach, ciotucho, ciotucho! I jakże tyś siebie nie ustrze-gła?! I pewnikiem gniewasz się na nas teraz! Najdroższa ty nasza, samaś ty sobie winowata! I nic tu rozbiórka nie ma do

rzeczy! I po coś ty tam szła, gdzie cię śmierć oczekiwała? I nikt tam ciebie nie wołał! I że tak umrzesz, aniś myślała! I czemu żeś nas nie posłuchała?!

(To zawodzenie stanowiło odpowiedź: myśmy jej śmierci nie zawinili, a co do sprawy domu to jeszcze o tym pogadamy!).

Ale „druga” Matriona, ta Matriona, którą Fadij wziął kiedyś w zastępstwie, ze względu na imię tylko, grubo ciosana baba o szerokiej twarzy, nie poznała się widać na tej polityce i krzyczała w niebogłoso, zanosząc się od płaczu.

— Przecież tyś była moją siostrzyczką! O-och! A tożeśmy ze sobą mówiły i mówiły! A cóżem ci wyrządziła, żeby na mnie się gniewać?! Wybacz ty mi nieszczęśliwej! O-och! I odeszłaś do swojej matuli i wstąpisz pewnikiem, żeby mnie zabrać ze sobą! O-och, och!

Na tym „o-och”, zdawało się, że wypuszcza ostatni dech, i znowu biła piersią o brzeg trumny. Aż gdy jej płacz wychodził poza obrzędowy obyczaj, inne kobiety, jakby uznając, że zawodzenie udało się całkowicie, mówiły jednocześnie:

— Odejdź już! Odejdź!

Matriona odchodziła, potem znowu wracała i zanosila się płaczem jeszcze rozpaczliwiej. Wtedy wyszła z kąta całkiem zgrzybiała starucha, położyła Matrimonie rękę na ramieniu i powiedziała surowo:

— Dwie są na świecie zagadki: jak urodziłam się — nie pomnę, jak umrę — nie wiem.

Matriona natychmiast zamilkła, zamilkli wszyscy i nastała całkowita cisza.

Ale po jakimś czasie ta sama kobieta, znacznie starsza od najstarszych z obecnych, a zdaje się, ani krewna, ani przyjaciółka nieboszczki, także zaczęła płakać:

— Och, ty moja nieszczęśliwa! Och, Wasiljewna! *Och, jakże mi obrzydło was odprowadzać na cmentarz!*

I płakała także nieszczęsna Kira, przybrana córka Matriony, ta sama Kira z Czeruści, dla której rozebrali i wieźli okrągłaki. Płakała nie zwyczajowo, dla wypełnienia obrzędu, płakała zwykłym płaczem naszych czasów, jakże bogatych we łzy! Zakręcone loczki żałośnie obwisły i roztrzępały się. Oczy były czerwone, jakby nabiegły krwią. Nie dostrzegała, że chustka opada jej z głowy na mrozie, i przy nakładaniu palta nie mogła trafić w rękawy. Jak niepoczytalna chodziła między jednym domem a drugim, od trumny przybranej matki do trumny brata — a jeszcze nad jej mężem miał odbyć się sąd, więc obawiano się, żeby nie postradała zmysłów.

Wynikało ze wszystkiego, że jej mąż zawinił podwójnie: nie tylko wioził rozebraną przybudówkę, ale nadto jako kolejowy maszynista dobrze znał przepisy dotyczące niestrzeżonych przejazdów, więc powinien był pójść przedtem na stację, uprzedzić o traktorze. Tej nocy w uralskim ekspresie około tysiąca osób spało spokojnie przy świetle przyćmionych lamp i każda z tych osób była narażona na nagłą śmierć, przez chciwość kilku ludzi. Żeby owołać parcelę terenu, żeby nie obracać traktorem po raz drugi.

Żeby zdobyć przybudówkę, która została obciążona przekleństwem w tej samej chwili, gdy Fadij przystąpił do jej rozbioru.

Prawda, żaden ludzki sąd już nie mógł osiągnąć traktorysty. Ale kierownictwo kolei też zawiniło. Bo przejazd w tak ożywionym miejscu był niestrzeżony i dwie połączone lokomotywy szły bez świateł. Właśnie dlatego początkowo usiłowano przypisać wszystko pijaństwu, a następnie zatuszować sprawę, nie dopuszczając do rozprawy sądowej.

Tory i nasyp uległy takiemu zniszczeniu, że w ciągu trzech dni, gdy trumny jeszcze stały w mieszkaniach, pociągi nie przechodziły — cały ruch skierowano na okrężną linię. Przez cały piątek, sobotę i niedzielę — od zakończenia śledztwa do pogrzebu — dzień i noc naprawiano tory. Robotnicy marzli i rozpalali ogniska z desek i okrągłaków, które były na drugich saniach i rozsypały się wzdłuż nasypu po zderzeniu. Ogniska grzały, a w nocy dawały światło.

Zaś pierwsze sanie, nietknięte, całkowicie załadowane, stały niedaleko za przejazdem.

Te sanie, gotowe do transportu, i te drugie, których ładunek jeszcze można było częściowo uratować przed ogniem — wszystko razem nie dawało spokoju, dręczyło czarnobrodego Fadijja przez cały piątek i sobotę. Jego córka traciła zmysły, zięć był zagrożony sądem, w jego domu leżał jego własny, z jego winy zabity syn, obok, na tej samej ulicy leżał, także z jego winy, trup kobiety, którą nigdy kochał. Fadij przychodził na krótko i stał przy trumnach, trzymając się za brodę. Wysokie czoło mroczyło się ciężkimi myślami, ale wszystkie myśli sprowadzały się do jednego — jakby tu uratować pozostałe okrągłaki przed ogniem i przed zakusami trzech sióstr nieboszczki Matriony.

Znając jako tako mieszkańców Talnowa, wiedziałem, że takich jak Fadij było we wsi znacznie więcej.

Dziwna to rzecz: w języku rosyjskim na określenie posiadanego majątku, wszystko jedno — osobistego, czy zbiorowego,

używa się słowa *dobro*. I utarło się wśród ludzi, że kto traci swój dobytek, postępuje głupio i okrywa się wstydem.

Fadiej nie odpoczął ani na chwilę, rzucał się na wszystkie strony, do osiedla, na stację, od jednej władzy do drugiej, i z tymi swoimi zgarbionymi plecami, wsparty o posoch, błagał wszystkich po kolei, by zlitowali się nad jego starością i dali pozwolenie na zwiezenie uratowanych okrągłaków po przybudówce.

Ktoś udzielił takiego pozwolenia. Fadiej zebrał swych ocalałych synów, zięciów i bratanków, wystarał się o konie w kołchozie i z tamtej strony rozbitego przejazdu, okrężną drogę, przez trzy wsie, zwoził resztki budulca do swojej zagrody. Skończył tę pracę w nocy z soboty na niedzielę.

Chowano nieboszczyków w niedzielny dzień. Dwie trumny spotkały się ze sobą na środku wsi, krewni spierali się, która z nich ma iść na przodzie. Wreszcie postawiono obydwie trumny na tych samych szerokich, chłopskich saniach — stryjnę i syna jej dziewierza obok siebie; sanie poszły po wilgotnym, świeżym śniegu lutowym, pod pochmurnym niebem, na cerkiewny cmentarz, znajdujący się w trzeciej wsi od Talnowa. Czas był wietrzny, nieprzyjazny, więc pop razem z diakiem oczekiwali w cerkwi, nie wychodząc na spotkanie konduktu.

Do skraju wsi żałobny tłum szedł powoli, śpiewając chóralnie. Potem coraz więcej ludzi zaczęło zostawać w tyle.



Aż do samej niedzieli babska krzątania trwała w naszym domu; jakaś starowina siedziała przy trumnie i mruczała słowa psalterza. Siostry Matryony snuły się koło pieca chlebowego z imadłami do garnków, z pieca dyszało żarem od rozpalonego torfu — tego samego torfu, który Matryona przynosiła w worku z dalekich trzęsawisk. Pieczono niesmaczne pierogi z niedobrej mąki.

W niedzielę, już pod wieczór, a było to pogrzebie, ludzie zeszli się na stypę. Stoły zestawione razem, na całą długość izby, zajęły także i to miejsce, gdzie rankiem jeszcze stała trumna. Najpierw wszyscy zebrali się dokoła stołu i stary chłop, mąż jednej ze szwagierek, odmówił Ojcie Nasz. Potem każdy otrzymał na dnie miski nieco syconego miodu. Wychłęptaliśmy ten miód łyżkami, niczym go nie podtykając wspominaliśmy duszę nieboszczki. Potem jedliśmy to i owo, piliśmy wódkę, rozmowa ożywiała się coraz bardziej. Zanim podano kisiel, wszyscy wstali i odśpiewali „Na wieki wieczne” (tak mi później wytłumaczono,

że ten śpiew obowiązkowo musi odbyć się przed podaniem kisiela). Znowu pili wódkę. Rozmawiali coraz głośniejszymi głosami, zapominając już całkowicie o Matronie. Mąż szwagierki zaczął się chwalić.

— A czy abyście zauważyli, prawosławny narodzie, że egzekwie odprawiano powolutku? To dlatego, że ojciec Michał mnie zauważył. Wie dobrze, że znam całą ceremonię. Bo inaczej to by odśpiewał — pożał się Boże, pop więcej nie może — i byłoby po wszystkim.

Wreszcie wieczerza dobiegała końca. Wszyscy ponownie podnieśli się. Zaśpiewali — „Chwała Ci na wysokości”. I znowu, powtarzając po trzykroć: — Wieczne odpoczywanie, wieczne odpoczywanie, wieczne odpoczywanie! Ale głosy już były ochrypnięte, niezgodne w śpiewie, gęby pijane, i nikt w to Wieczne Odpoczywanie nie wkładał żadnego uczucia.

Najważniejsi goście porozchodzili się, pozostali sami najbliżsi, powyciągali papierosy, zakurzyli, zaczęły się żarty, rozległ się śmiech. Ktoś wspomniał o mężu Matrony, który zaginął, nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu, i mąż szwagierki, bijąc się w piersi, udawał, że nie wie i szewcowi, mężowi jednej z siostrzyczek Matrony:

— Efim umarł, na pewno umarł! Jakżeby to było możliwe, żeby nie powrócił? Ja, na ten przykład, choćbym wiedział, że w ojczyźnie mnie powieszają, to i tak bym powrócił!

Szewc potakiwał mu z całym przekonaniem. Był dezterterem i nigdy nie rozstawał się z ojczyzną; przez całą wojnę przesiedział u matki w piwnicy.

Wysoko na piecu siedziała surowa, milcząca baba, najstarsza z najstarszych. Milcząc, spoglądała z góry, potępiająco, na zbyt nieprzyzwoicie ożywioną młodzież, liczącą sobie po pięćdziesiąt i sześćdziesiąt lat.

I tylko przybrana córka, nieszczęśliwa córka, która wychowała się wśród czterech ścian tej izby, poszła za przepierzenie i płakała.



Fadiej nie przyszedł na stypę po Matronie, może dlatego, że w tym samym czasie urządzał taką stypę po synu. Ale w następnych dniach dwukrotnie przychodził na pertraktacje z siostrami Matrony i z szewcem dezterterem, i to przychodził w nastroju wrogim.

Wadzono się — komu ma przypaść chałupa: przybranej córce czy siostrze? Już zanosilo się, że sprawa pójdzie do sądu,

ale w końcu ugodzono się, rozumiejąc, że sąd nie przyzna domu żadnej ze stron — odda go wiejskiej radzie. Zawarto ugodę. Jedna z siostrzabraczka zabrała kozę, szewc z żoną wzięli dom, zaś na rzecz Fadijeja — że to w tym domu „każdy kawałek drzewa swymi własnymi rękami wyhuśtał” — poszła, oprócz już zabranej przybudówki, szopa, w której przebywała koza, i cały wewnętrzny płot, oddzielający podwórko od ogrodu.

I ponownie nienasycony starzec ożywił się i odmłodził, przemagając własną słabość i bóle w krzyżu. Znowu zwołał ocalałych synów i zięciów, którzy zabrali się do rozbiórki szopy i płotu, a sam Fadiiej zwoził drzewo na saneczkach i przy tych saneczkach pomagał mu ten jego Antoszka z 8-mej „G”. Przy tej robocie Antoszka zapomniał o swoim szkolnym lenistwie.



Dom Matryony został zabity deskami aż do wiosny, więc przeniosłem się w poblize, do jednej z jej szwagierek. Przy różnych okazjach szwagierka wspominała Matryonę i jakoś w zupełnie inny sposób przedstawiała mi osobę nieboszczki.

— Efim jej nie miłował. Powiadał: lubię ubierać się *kulturalnie*, a ona — byle jak, zawsze po wsiojemu. No, powiada, jak jej nic już nie potrzeba, to co tam, zaczął przepijać, co mu do wydania zostało. A znowuj jakeśmy do miasta jeździły na zarobek, to se tam kochanicę wyszukał, do Matryony już i powracać nie chciał.

Wszystkie opinie szwagierki o Matryonie były niechętne. Bo to i o czystość nie dbała; nie starała się o dobytek, nie gospodarna; nawet prosiaka nie miała, nie wiedzieć czemu nie lubiła wieprzków tuczyć; a i durna, obcym ludziom pomagała bezpłatnie (akurat wtedy zdarzyła się okazja, żeby wspomnieć Matryonę — zabrakło jednej baby do przyprzążki, żeby ogród sochą zaobrać).

Szwagierka przyznawała, że Matryona odznaczała się prostotą i serdecznością, ale nawet i o tych cechach mówiła z litościwą pogardą.

I właśnie z tych niechętnych odezwań się szwagierki wyłonił się pełniejszy obraz Matryony, innej, której dobrze nie rozumiałem, chociaż mieszkaliśmy pod jednym dachem ze sobą.

Bo przecież prawda! — w każdym domu jest prosiak! A Matryona go nie miała. Cóż łatwiejszego od tuczenia żarłocznego prosiaka, dla którego nic w świecie nie istnieje oprócz jedzenia. Przygotowywać mu żarcie trzy razy na dzień, żyć dla niego — a potem zarznąć i mieć słoninę.

A Matriona słoniny nie miała...

Nie dbała o dobytek... Nie wyciągała ze siebie żył, żeby kupować różne rzeczy i trząść się później nad nimi, jakby były droższe od własnego życia.

Nie rozbijała się za strojami. Za przyodziewkiem, który ozdabia potworów i zbrodniarzy.

Ta niezrozumiana przez nikogo Matriona, porzucona przez własnego męża, osierocona przez sześcioro zmarłych dzieci, obca dla sióstr i krewnych, śmieszna, po głupiemu, bezpłatnie pracująca dla innych, zawsze chętna do usług — ta Matriona aż do samej śmierci nie zdobyła żadnego majątku. Biała, brudna koza, kot-kuternoga, fikusy...

Wszyscy żyliśmy obok niej i nikt nie rozumiał, że to był właśnie ten człowiek sprawiedliwy, bez którego — jak mówi przysłowie — nie ostoї się żadna wieś.

Ani żadne miasto.

Aleksander SOŁŻENICYN

(Przełożył: Józef ŁOBODOWSKI)

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński: <i>KSIĘGA KRZYWD</i>	7
Leonid Siomin: <i>Oko w oko</i>	17
Włodimir Maksimow: <i>Żywot człowieka</i>	133
Borys Diakow: <i>Przeżyte</i>	179
Iwan Stadniuk: <i>Ludzie nie są aniołami</i>	226
Aleksander Jaszin: <i>Wołogodzkie wesele</i>	407
Fiodor Abramow: <i>Dokoła i wokół</i>	442
Aleksander Sołżenicyn: <i>Zagroda Matryony</i>	485



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 NOVEMBRE 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 4^e trim. 1963

Instytut. Leków. Paryż

17 - XII - 65

Cena egz. 24 F (35 sh.; dol. 5,00)

R